

# Wędrowiec

COL BUCHANAN



# SPIS TREŚCI

- [TYTUŁOWA](#)
- [DEDYKACJA](#)
- [MAPY](#)
- [PROLOG](#)
- [ROZDZIAŁ 1](#)
- [ROZDZIAŁ 2](#)
- [ROZDZIAŁ 3](#)
- [ROZDZIAŁ 4](#)
- [ROZDZIAŁ 5](#)
- [ROZDZIAŁ 6](#)
- [ROZDZIAŁ 7](#)
- [ROZDZIAŁ 8](#)
- [ROZDZIAŁ 9](#)
- [ROZDZIAŁ 10](#)
- [ROZDZIAŁ 11](#)
- [ROZDZIAŁ 12](#)
- [ROZDZIAŁ 13](#)
- [ROZDZIAŁ 14](#)
- [ROZDZIAŁ 15](#)
- [ROZDZIAŁ 16](#)
- [ROZDZIAŁ 17](#)
- [ROZDZIAŁ 18](#)
- [ROZDZIAŁ 19](#)
- [ROZDZIAŁ 20](#)
- [ROZDZIAŁ 21](#)
- [ROZDZIAŁ 22](#)
- [ROZDZIAŁ 23](#)
- [ROZDZIAŁ 24](#)

- [ROZDZIAŁ 25](#)
- [ROZDZIAŁ 26](#)
- [ROZDZIAŁ 27](#)
- [ROZDZIAŁ 28](#)
- [ROZDZIAŁ 29](#)
- [ROZDZIAŁ 30](#)
- [ROZDZIAŁ 31](#)
- [ROZDZIAŁ 32](#)
- [ROZDZIAŁ 33](#)
- [PODZIĘKOWANIA](#)

COL BUCHANAN

# WĘDROWIEC

*Tłumaczenie: Piotr W. Cholewa*



**AMBER**

Wydawca światowych  
bestsellerów

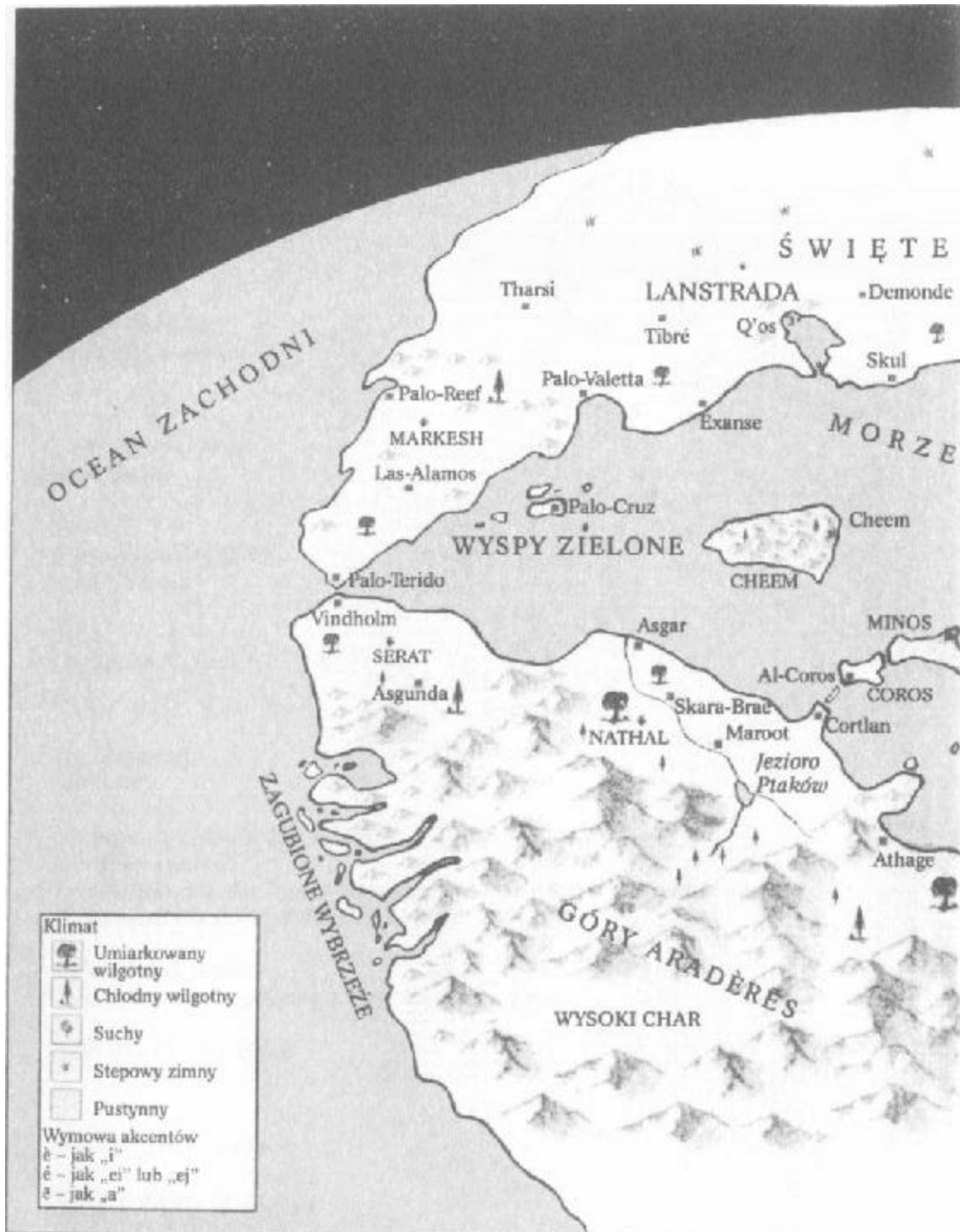
2010

*MOJEJ ŻONIE JOANNIE*

*SYN ODDYCHA,  
OJCIEC ŻYJE.*

ONO WIELKI BŁAZEN

# MAPY





# PROLOG

## Buty



Ash był ledwie żywy z zimna, kiedy wciągnęli go do hali lodowej twierdzy i rzucili do stóp swego króla. Z jękiem zdziwienia wylądował na futrach; jego ciało dygotało i marzył tylko, by zwinąć się w kłębek wokół tej odrobiny ciepła płynącego z własnego serca; jego urywany oddech przebijał powietrze kłębami mgły.

Zdarli z niego futra i leżał w samej bieliźnie, zamarznętej w sztywne płachty wełny.

Odebrali mu broń. Był sam. A jednak zachowywali się, jakby między nich trafiło dzikie zwierzę. Wieśniacy pokrzykiwali na niego wśród dymu pochodni, ci uzbrojeni mówili coś gniewnie, by dodać sobie odwagi, kiedy poszturchiwali go kościanymi grotami włóczni.

Podskakiwali i okrążali go czujnie. Zagłądali poprzez mgłę, która unosiła się z przybysza jak dym, przez chmury oddechu płynące ku zauszonym futrom. Przez szczeliny w kłębach pary dało się zobaczyć krople wilgoci spływające z oszronionej czaszki, obok kryształków lodu na brwiach; kapały z ostrych kości policzkowych i nosa, z zamrożonego klina brody. Pod topniejącym na twarzy lodem skóra wydawała się czarna jak nocne jezioro.

Ostrzegawcze krzyki przybrały na sile i zdawało się, że przerażeni wieśniacy dobiją go tu natychmiast, na podłodze.

- *Brushka* - warknął król ze swojego tronu z kości.



Głos zahuczał z głębi jego piersi, odbił się echem od lodowych kolumn wzdłuż komnaty i powrócił od wysokiej kopuły sklepienia. Przy wejściu strażnicy zaczęli wypychać onieśmielonych wieśniaków za kotary przesłaniające łukowe wejście. Opierali się z początku i skarżyli głośno; trafili tu za tym starym cudzoziemcem, który wyłonił się z burzy; czyli mieli prawo zobaczyć, co się z nim stanie.

Ash nie widział tego wszystkiego. Nawet rzadkie ukłucia włóczni nie mogły zwrócić jego uwagi. Dopiero ciepło zdołało go w końcu rozbudzić i sprawić, że uniósł głowę z podłogi.

Niedaleko stał mosiężny piecyk, a w środku płonęły kości i placki zwierzęcego tłuszczu.

Zaczął czołgać się w stronę ciepła, nie zważając na uderzenia włóczni, które miały go zatrzymać. Ciosy nie ustały, kiedy zwinął się wokół piecyka; i choć drżał po każdym uderzeniu, nie chciał się odsunąć.

- *Ak ak!* - warknął król i jego rozkaz skłonił w końcu wojowników, by odstąpili.

W hali zapanowała cisza, zakłócana jedynie trzaskiem płomieni i ciężkimi oddechami strażników, którzy dyszeli, jakby właśnie się zatrzymali po długiej gonitwie. Potem jęk ulgi wyrwał się w krtani Asha, głośny i wyraźny.

Nadal żyjąc, myślał z pewnym zdumieniem, jak w delirium, kiedy po ciele krążyło ciepło.

Zacisnął zdrętwiałe dłonie na metalu, by intensywniej poczuć bezcenny żar. Zaczęła go piec skóra.

W końcu uniósł głowę i się rozejrzał... Wokół widział lśnienia tłuszczu na nagich skórach, koce noszone jak poncho na wychudzonych ciałach, twarze przekłute kościanymi ozdobami, wynędzniałe i trochę zdesperowane.

Naliczył dziewięciu uzbrojonych ludzi. Za ich plecami czekał król.

Ash zebrał siły, choć nie sądził, by zdołał stanąć na nogach. Ukłęknął tylko chwiejnie i spojrzał w twarz człowieka, którego szukał.

Król patrzył na niego, jakby się zastanawiał, którą część jego ciała zjeść najpierw. Oczy błyszczały mu jak kawałki krzemienia, niemal niewidoczne w pyzatej twarzy, był bowiem mężczyzną tęgim, tak

tłustym, że potrzebował szerokiego pasa z twardej skóry, opinającego talię i podtrzymującego opadający brzuch. Poza tym siedział niemal nagi, a jego skóra lśniła, pokryta grubą warstwą łożu. Skórzany naszyjnik zwisał mu z szyi, a stopy okrywały wielkie buty z cętkowanego futra.

Napił się z ludzkiej czaszki i ze smakiem, leniwie mlasnął wargami. Beknął głośno, aż zatrzęsa się obwisła szyja, a potem długo i z satysfakcją puszczał wiatry, które szybko zasmrodziły powietrze. Ash zachował spokój i milczenie. Miał wrażenie, że przez całe swoje długie życie stawał przed takimi właśnie ludźmi: pomniejszych wodzami, Żebraczymi Królami, nawet samozwańczymi bogami. Dobrze znał te postacie, maskujące się czasami błyskiem statusu, czy nawet pozorem uprzejmości, które jednak pozostawały potworami. Tak jak ten człowiek przed nim, i jak zapewne wszyscy ci, którzy sami uczynili się władcami.

- *Stobay, chem ya nochi?* - Król zwrócił się do Asha, mierząc go wzrokiem wyrażającym niezbyt dużą inteligencję.

Ash odkaslnął, przywracając czucie w krtani. Spierzchnięte wargi pękły i poczuł na nich smak krwi. Pogładził szyję gestem sygnalizującym pragnienie.

- Wody... - wykrztusił w końcu.

Król skinął głową. Przed jeńcem wylądował bukłak.

Przez długą chwilę Ash pił z niego chciwie. Potem odetchnął i wytarł usta, zostawiając na grzbiecie dłoni ślad krwi.

- Nie znam waszego języka - powiedział. - Jeśli chcesz zadawać mi jakieś pytania, musisz to robić w handlowym.

- *Bhattat!*

Ash pochylił głowę, choć nie odpowiedział.

Zmarszczka przecięła czoło króla. Skóra zafalowała, kiedy warknięciem rzucił rozkaz swoim ludziom. Jeden z wojowników, najwyższy, przeszedł na bok wielkiej sali, gdzie pod ścianą z wygładzonego lodu stała skrzynia. Był to zwykły drewniany kufer używany przez kupców do przewożenia chee albo przypraw. Oczy wszystkich w sali wpatrywały się w niego w ciszy; wojownik wyjął skobel ze skórzanej pętli i szarpnięciem otworzył wieko. Potem schylił się i chwycił coś oburącz. Bez wysiłku wyciągnął żywy

szkielet, wciąż jeszcze okryty ciałem i strzępami ubrania. Długie włosy i broda splątały się; stwór spoglądał zaczerwienionymi oczami, które mrużył od światła.

Gorycz wezbrała w gardle Asha. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że ktokolwiek z zeszłorocznej ekspedycji był nadal wśród żywych.

Usłyszał zgrzytanie własnych zębów. Nie... Nie przywiązuj się do tego...

Wojownik przytrzymał zagłodzonego mężczyznę, dopóki jego patykowate nogi nie przestały dygotać i mogły unieść ciężar ciała. Więźniem był przybysz z północy, jeden z tych pustynnych Alhazii - dało się go rozpoznać, mimo jego opłakanego stanu.

- *Ya groshka bhattat! Vasheda ty savonya nochi* - rozkazał król, zwracając się do Alhazii.

Mieszkaniec pustyni zamrugął. Jego skóra, dawniej smagła jak u wszystkich z jego ludu, teraz była żółta jak stary pergamin. Wojownik go szturchnął i więzień skierował wzrok na Asha. Oczy mu pojaśniały i rozjarzył się w nich płomyk życia.

Z suchym cmoknięciem otworzył usta.

- Król każe ci mówić, ciemnolicy - wychrypiał w handlowym. - Jak tu przybyłeś?

Ash nie widział powodów, by kłamać. Na razie.

- Statkiem - powiedział. - Z Serca Świata. Nadal czeka na mnie przy brzegu.

Alhazii wyrecytował tę informację królowi w szorstkim języku plemienia.

Król machnął ręką.

- *Tul kuvasha. Ya shizn al khat?*

- Stamtąd - przetłumaczył Alhazii. - Kto ci pomógł dotrzeć tu stamtąd?

- Nikt. Wynająłem sanie i psi zaprzęg. Przepadły w szczelinie, razem z moim ekwipunkiem. Potem natrafiłem na burzę.

- *Dan choto, pash ta ya neplocho dan?*

- Powiedz zatem - brzmiało tłumaczenie - co takiego chcesz mi zabrać?

Ash zmrużył oczy.

- O czym mówisz?

- *Pash tak dan? Ya tul krashyavi.*

- O czym mówię? Przyszedłeś tu z daleka.

- *Ya bulsvidanya, sach anay namosti. Ya vis preznat.*

- Jesteś z północy, zza Wielkiej Ciszy. Przybywasz tu z jakiegoś powodu.

- *Ya vis neplocho dan.*

- Przyszedłeś, żeby coś stąd zabrać.

Król dźgnął grubym jak kiełbasa palcem w swoją obwisłą pierś.

- *Vir pashak!* - warknął.

- O tym mówię.

Ash mógłby być skałą wyrzeźbioną na doskonałe podobieństwo człowieka, gdyby sądzić po reakcji na pytanie, które zawisło w powietrzu między nimi. Lodowaty podmuch wdzierał się z zewnątrz, poruszając ciężkimi futrami przesłaniającymi wejście, szarpiąc płomieniami w palenisku. Burza przypominała mu o swoim istnieniu i o tym, że czeka na jego powrót. Przez chwilę - ale tylko przez chwilę - Ash zastanawiał się, czy może nadszedł właściwy moment na kilka starannie dobranych kłamstw. Ale zbyt długie rozważanie istotnych spraw nie leżało w jego naturze. Był wyznawcą Dao - jak wszyscy Rōshuni. Kierowany przez swoje Cha uznał więc, że lepiej zachować spokój i działać spontanicznie.

Wewnątrz podążał za strumieniem powietrza, które wpływało przez nozdrza, wprowadzało kłuszące zimno do płuc, a potem ulatniało się znowu jako ciepło i para. Ogarnął go spokój. Oddychał i czekał, aż uformują się słowa odpowiedzi, a potem słuchał, jak je wymawia, zaintrygowany tak samo jak inni.

- Nosisz coś, co należało do innego - oznajmił dźwięcznie, wyciągając palec w stronę naszyjnika wiszącego między obwisłymi piersiami króla.

I pomyślał: najprostsza droga, mogłem się domyślić.

Przedmiot wiszący na sznurku miał wielkość i kształt jajka, rozciąętego pionowo na pół.

Był kasztanowy i pomarszczony jak stara skóra.

Król zacisnął go w dłoni, jak dziecko.

- Nie jest twoje - powtórzył Ash. - I nie wiesz, jakiemu służy

celowi.

Król pochylił się, aż zaskrzypiał jego tron z kości.

- *Khut* - rzucił cicho.

- Powiedz - przełożył Alhazii.

Ash przyglądał mu się przez pięć uderzeń serca, studiując skrawki łuszczącej się skóry w krzaczastych brwiach, zaschniętą od snu ropę w kącikach oczu.

Czarne tłuste włosy niczym kotara opadały na ramiona, podobne do peruki.

W końcu kiwnął głową.

- Za Wielką Ciszą - zaczął - w Midèrēs, nazywanym Sercem Świata, jest miejsce, które mężczyzna albo kobieta może odwiedzić, gdy szuka ochrony. Za brzęczącą monetę, bardzo wiele monet, kupują tam pieczęć, taką jak ta, którą nosisz. Wieszają ją na szyi, by wszyscy widzieli. Ta pieczęć, Stary Królu, gwarantuje im ochronę, albowiem jeśli zginą, ona ginie z nimi.

Tłumaczenie Alhazii przetoczyło się z terkotem przez jego słowa. Król słuchał w skupieniu.

- Tę pieczęć, którą masz na szyi, nosił Omar Sar, kupiec i przedsiębiorca. Miała bliźniaczą siostrę, którą obserwowaliśmy, tak jak obserwujemy je wszystkie, wypatrując oznak śmierci. Omar Sar wyruszył tutaj wiele księżyców temu, prowadził ekspedycję.

Zamiast pozwolić mu handlować w osadach twojego... królestwa, uznałeś, że lepiej zamordować jego i jego ludzi, i zagrabić towary, które ze sobą przywieźli. Ale nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że ta pieczęć go ochrania. Nie wiedziałeś, że kiedy zginie, pieczęć umrze razem z nim, że jej bliźniaczka umrze także, a co więcej, wskaże, kto go zabił.

Powoli, choć kolana i biodra eksplodowały bólem, Ash podniósł się z podłogi i stanął przed królem.

- Nazywam się Ash - oznajmił. - Jestem Rōshunem, co w mojej mowie oznacza „jesienny lód”, ten, który przychodzi za wcześnie. Przybywam z tego miejsca ochrony, skąd przychodzą wszyscy Rōshuni, jest ono bowiem miejscem, skąd prowadzimy wendetę.

Przerwał, by jego słowa zostały zrozumiane. Podjął po krótkiej chwili:

- A więc masz rację, tłusty wieprzu. Przybyłem tu, żeby coś ci zabrać. Przybyłem, żeby zabrać twoje życie.

Kiedy niepewne tłumaczenie umilkło, król ryknął z wściekłości. Odepchnął Alhazii na bok, aż więzień runął na podłogę. Z ogniem w oczach król zamachnął się i cisnął czaszką w Asha.

Ash uchylił się lekko i czaszka przeleciała mu obok głowy.

- *Ulbaska!* - huknął król, a fałdy na policzkach zatrzęsyły się w rytm wykrzykiwanych sylab.

Wojownicy stali przez moment nieruchomo, obawiając się zbliżyć do tego dziwnego ciemnoskórego mężczyzny, który ośmielił się grozić ich władcy.

- *Ulbaska neya!* - wrzasnął znowu.

Dopiero wtedy podbiegli do Asha. Król oparł się z rozmachem, aż zafalowały jego obfite piersi. Ostrza włóczni nakłuły ciało jeńca, a władca wyrzucił z siebie strumień gniewnych słów. Z podłogi, leżąc na plecach, Alhazii, mamrocząc, przekazywał królewską diatrybę w handlowym, jak zegar, którego nie da się zatrzymać.

- Czy wiesz, jak zostałem tu władcą? - pytał król. - Przez całą dakhuse byłem zamknięty w lodowej jaskini z pięcioma innymi mężczyznami i bez jedzenia. Jeden księżyc później, kiedy słońce wróciło i roztopiło wyjście, wyszedłem ja! Tylko ja! - Mówiąc to, uderzył się w pierś z ciężkim, wilgotnym zwierzęcym odgłosem. - Dlatego możesz mi grozić, ile chcesz, stary głupcze z południa... - Alhazii przerwał za królem. Obaj nabrali powietrza. - Bo dzisiaj będziesz cierpiać, będziesz bardzo cierpiać, a jutro, kiedy się obudzę, znajdziemy dla ciebie zastosowanie.

Wojownicy chwycili Asha mocno, choć dłonie im drżały. Zerwali z niego bieliznę, aż stanął nagi i drżący w lodowatym powietrzu.

- Błagam... - szepnął z podłogi Alhazii. - Litości! Musisz mi pomóc!

Król skinął głową i wojownicy powlekli Asha za sobą. Wyszli za kotary, gdzie zatrzymali się na chwilę, by naciągnąć na siebie ciężkie futra, a potem ruszyli tunelem i dalej.

Na zewnątrz burza nadal wstrząsała nocą. Serce Asha niemal stanęło od nagłego uderzenia mrozu.

Wiatr atakował go nieubłaganie i popychał wraz z wojownikami. Wyciem dopominał się o ciepło jego ciała, a śnieg piekł nagą skórę

jak ogień. Ból wlał się w kości, w trzewia, w serce, które zatrzymywało się z niedowierzaniem, a potem biło szybko.

Umrze tu za chwilę, jeśli nic się nie zmieni.

Posępni wojownicy pchnęli go ku najbliższej z lodowych chat stojących w okręgu.

Najwyższy poszedł przodem i zanurkował do wnętrza; pozostali włóczyniami mierzyli w Asha, gotowi pchnąć, gdyby było trzeba.

Ash przeskakiwał z nogi na nogę i bezradnie obejmował się rękami. Obracał się powoli, wystawiając na wiatr najpierw jedną, potem drugą stronę ciała. Otaczający go wojownicy śmiali się.

W wejściu lodowej chaty pojawiła się para ludzi, dźwigająca zwinięte futra z posłań.

Zerkali niechętnie na wojowników, ale w milczeniu powlekli się do sąsiedniego mieszkania.

Za nimi wycofał się wysoki wojownik, ciągnący za sobą skóry, które pokrywały podłogę chaty. Potem zerwał jeszcze skóry osłaniające podobne do tunelu wejście.

- *Huhn!* - burknął, a pozostali wepchnęli Asha do środka.

Wnętrze było czarne jak smoła i ciche; powietrze wydawało się cieplejsze niż to na dworze, gdzie szarpały je podmuchy wiatru. Jednak bez ubrania Ash wkrótce znowu zacznie zamarać.

Wojownicy zamknęli za nim wyjście blokami lodu. Ash słyszał, jak chlapią na nie wodą; czekał bez ruchu, aż zostanie uwięziony.

Kopnął bokiem stopy w ścianę chaty, ale równie dobrze mógłby kopać skałę. Westchnął.

Przez chwilę chwiał się na nogach i o mało nie zemdlał. Poczuł przytłaczający ciężar swoich sześćdziesięciu dwóch lat.

Osunął się na kolana na ubite podłoże, nie zważając na pieczenie zimnego śniegu na goleniach. Musiał użyć całej siły woli, by po prostu się nie położyć, nie zamknąć oczu i nie zasnąć. Sen teraz oznaczałby śmierć.

Zimno. Dygotał tak mocno, jakby miał się rozpaść na kawałki. Chuchnął w złożone dłonie, roztarł je energicznie, mrowiącymi rękami uderzył się po bokach. Trochę go to pobudziło, więc kilka razy klepnął się po twarzy. Lepiej.

Zauważył, że ma rozciętą głowę, więc przycisnął do rany śnieżną

kulę i po chwili przestał krwawić. Oczy wkrótce przyzwyczyły się do ciemności; lodowe ściany rozjaśniły się i wyglądały jak wypełnione słabym mlecznym blaskiem.

Ash oddychał powoli. Złożył ręce, zamknął usta, by powstrzymać dzwonięcie zębów, i zaczął powtarzać bezgłośnie mantrę. Już wkrótce rdzeń ciepła pulsował w jego piersi i promieniował na zewnątrz, sącząc się jednostajnie do rąk, nóg, do palców. Para zaczęła się unosić ze skóry pokrytej gęsią skórką. Przestał się trząść.

Wysoko ponad jego łysą głową zawodził wiatr, dochodzący przez niewielki otwór wentylacyjny w kopule - całkiem jakby go wzywał swoim lamentem, niosącym czasem płatki śniegu.

Wyobrażał sobie, że rozbił mocny płócienny namiot, a teraz kuli się wewnątrz, bezpieczny od wiatru, grzejąc się przy małym olejowym piecyku z brązu. Bulion bulgocze wesoło wśród dymu. W powietrzu unosi się para, ciężka od odoru tającego ubrania i słodkiego zapachu wywaru. Na zewnątrz skamlą psy kryjące się przed burzą.

Oshō był w namiocie razem z nim.

- Źle wyglądasz - powiedział dawny mistrz w ich rodzinnym języku honshu. Zmarszczki niepokoju znaczyły jego wyschniętą skórę, tak ciemną jak u Asha.

- Myślę, że jestem już niemal martwy.

- Dziwi cię to? W twoim wieku?

- Nie - przyznał Ash, choć przez chwilę, karcony przez mistrza, nie czuł swoich lat. - Bulionu? - zaproponował.

Nabrał trochę do kubka, choć Oshō odmówił, unosząc palec wskazujący. Ash wypił, siorbiąc głośno. Gorący płyn ściekał do żołądka i ożywiało ciało. Gdzieś z daleka dobiegł jęk, jakby tęsknoty.

Mistrz przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Twoja głowa - zauważył. - Boli?

- Trochę. Myślę, że zbliża się kolejny atak.

- Uprzedzałem cię, że tak będzie, prawda?

- Jeszcze nie umarłem.

Oshō zmarszczył brwi. Zatarł ręce i na nie chuchnął.

- Ash, widzisz chyba, że wreszcie nadszedł czas.

Płomienie w piecyku zafalowały od westchnienia Asha. Rozejrzał



się; popatrzył na trzepoczące głośno płótno namiotu, na kłębiącą się nad bulionem parę. Na swój miecz, oparty pionowo o skórzany plecak, jak nagrobek...

- Ta praca... to wszystko, co mam... - powiedział. - Chcesz mi ją odebrać?

- Twój stan ci ją odbiera, nie ja. Ash, nawet jeśli przetrwasz dzisiejszą noc, jak sądzisz, ile czasu ci jeszcze zostało?

- Nie będę leżał beczynnym i czekał na koniec, bez żadnego celu przed sobą!

- Nie proszę cię o to. Ale powinieneś być tutaj, z całym zgromadzeniem, z twoimi towarzyszami. Zasłużyłeś na odpoczynek i tyle spokoju, ile zdołasz znaleźć, póki jeszcze możesz.

- Nie - sprzeciwił się gwałtownie Ash. Odwrócił głowę, wpatrzony w płomień. - Mój ojciec poszedł tą drogą, kiedy jego stan się pogorszył. Uległ zgryzocie, kiedy zaatakowała go ślepotą, a potem leżał, płacząc, na swym posłaniu i czekał na koniec. Stał się swoim własnym duchem. Nie, nie roztrwonię tego krótkiego czasu, jaki mi jeszcze pozostał. Umrę wyprostowany, wciąż idąc naprzód.

Oshō machnął dłonią, jakby chciał odtrącić ten komentarz.

- Ale nie masz już na to zdrowia. Twoje ataki są coraz silniejsze. Całymi dniami ledwie widzisz z ich powodu, i nie możesz się ruszać. Jak chcesz działać w taki sposób, jak chcesz doprowadzić wendetę do końca? Nie, nie mogę na to pozwolić.

- Musisz! - ryknął Ash.

Na drugim końcu ciasnego namiotu Oshō, przywódca zakonu Rōshun, zamrugał, ale milczał.

Ash spuścił głowę i odetchnął głęboko, by odzyskać równowagę. Wolno popłynęły słowa, jakby składane w ofierze na ołtarzu.

- Oshō, znamy się ponad pół życia. Jesteśmy więcej niż przyjaciółmi. Jesteśmy sobie bliżsi niż ojciec i syn, bliżsi niż bracia. Uwierz mi: potrzebuję tego.

Patrzyli sobie w oczy, on i Oshō, otoczeni płótnem i wiatrem, i tysiącami laq zamarzniętych pustkowi w tej wyimaginowanej komórce ciepła, tak małej, że dzielili ze sobą oddech.

- No dobrze - mruknął w końcu Oshō, a Ash odchylił się zdziwiony. Otworzył usta, by podziękować, ale mistrz uniósł dłoń. -

Pod jednym warunkiem, który nie podlega dyskusji.

- Mów.

- W końcu weźmiesz sobie ucznia.

Podmuch wiatru przycisnął mu do pleców płótno namiotu. Ash zeszywniał.

- Poprosiłbyś mnie o to?

- Tak - warknął Oshō. - Poprosiłbym, jak ty mnie poprosiłeś. Ash, jesteś najlepszy. Jesteś lepszy nawet ode mnie. A jednak przez wszystkie te lata odmawiałeś szkolenia ucznia, któremu przekazałbyś swoje umiejętności, swoje talenty.

- Wiesz, że zawsze miałem swoje powody.

- Ależ wiem! Znam cię przecież lepiej niż ktokolwiek z żyjących. Byłem tam, jak pewnie pamiętasz. Ale nie ty jeden owego dnia straciłeś w bitwie syna... albo brata, albo ojca...

Ash zwiesił głowę.

- Nie - przyznał.

- A więc zgodzisz się, jeśli uda ci się bezpiecznie stąd wyjść?

Nadal nie mógł spojrzeć wprost na Oshō; wzrok przesłaniał mu migotliwy blask płomieni w olejowym piecyku. Starzec dobrze go znał. Był dla Asha jak zwierciadło, żywa gładka powierzchnia, odbijająca wszystko, co Ash mógłby próbować ukryć przed samym sobą.

- Czy chcesz umrzeć samotnie w tej zapomnianej dzicy?

Milczenie Asha wystarczyło za odpowiedź.

- A więc przyjmij moją ofertę. Obiecuję ci, że jeśli się zgodzisz, wyjdiesz z tego cało i znowu zobaczysz swój dom... A tam pozwolę ci kontynuować pracę, przynajmniej dopóki będziesz kogoś szkolił.

- Taki jest układ?

- Tak - zapewnił go stanowczo Oshō.

- Ale nie jesteś prawdziwy. Zgubiłem ten namiot dwa dni temu... i nie podróżowałeś wtedy ze mną. Jesteś snem. Echem. Umowa z tobą nic nie znaczy.

- A jednak mówię prawdę. Wątpisz w to?

Ash zajrzał do pustego kubka. Gorąco ulotniło się z jego metalowej krzywizny, która teraz wysysała ciepło dłoni.

Dawno temu Ash pogodził się ze swoją chorobą i jej ostatecznym,

nieuniknionym skutkiem. W taki sam sposób godził się z odbieraniem życia, które wiązało się z jego pracą - z pewnego rodzaju fatalizmem. Może w rezultacie pojawiała się szczypta melancholii, świadomość, że esencja życia jest gorzko-słodka i nie ma żadnego sensu prócz tego, jaki się jej przypisuje: przemoc lub pokój, dobro lub zło, wszystkie dokonane wybory, ale nic więcej.

A z pewnością nic fundamentalnego, czystego i neutralnego, co odwija się wiecznie i nieskończenie z potencjałów Dao i szuka wyłącznie równowagi.

Ash umierał i nic innego się nie liczyło.

A jednak nie chciał skończyć na tej martwej równinie. Chciałby znowu zobaczyć słońce, otwierać oczy i usta, by rozkoszować się jego żarem, wciągnąć w nozdrza odurzające zapachy życia, czuć na stopach chłodne kielki trawy, słuchać plusku wody na kamieniach. Tutaj, w tej sennej fantazji, Oshō był tworem tego samego pragnienia... W owej chwili Ash nie śmiał żywić nadziei, że mógłby być czymś więcej.

Uniósł wzrok, równocześnie wypowiadając słowa.

- Oczywiście, że wątpię - odpowiedział na pytanie mistrza.

Ale Oshō zniknął.

Rozbudził go powolny, mdlący ból, słabość przesłaniająca wzrok. Ból głowy zacisnął się jak imadło na skroniach.

Wyrwał go z delirium.

Ash rozejrzał się w mroku lodowej chaty. Konwulsje wstrząsały jego nagim ciałem, a maleńkie sople zwisały z rzęs. Musiał prawie zasnąć.

Żadne dźwięki nie dobiegały przez otwór w sklepieniu - burza wreszcie się skończyła.

Ash przechylił głowę w bok i nasłuchiwał.

Zaszczekał pies, potem dołączyły kolejne.

Wypuścił z płuc powietrze.

- Ostatnia próba - powiedział głośno.

Wstał chwiejnie. Mięśnie go bolały, a ból ścisnął czaszkę. Na razie nic nie mógł na to poradzić, ponieważ miszek dulce został mu odebrany razem ze wszystkim innym. To nieważne; na razie nie był to poważny atak, nie taki, jakie przeżywał podczas długiej podróży

na południe, kiedy pod koniec cierpienie przykuwało go do koi na długie dni.

Tupał nogami i uderzał się rękami po ciele, aż odzyskał czucie. Oddychał szybko i głęboko, z każdą falą powietrza zbierając siły, z każdym wydechem pozbywając się znużenia i zwątpienia. Chuchnął w dłoń, klasnął dwa razy i skoczył w górę. Jedną rękę wsunął w otwór wentylacyjny i zawisł tam, dyndając nogami. Drugą zaczął uderzać w lód wokół otworu, a każdy cios zadawał z cichym „ha!”, które było raczej sapnięciem niż słowem.

Każde trafienie posyłało mdlący wstrząs wzdłuż kości ramienia.

Z początku nic się nie działo. Znowu było to jak daremne uderzanie o skałę.

Nie, w ten sposób niczego nie osiągnie. Pomyślał więc o topniejącym lodzie pokrywającym staw, o skorupie dostatecznie cienkiej, by się przebić. Powietrze świszcząco mu w nozdrzach; czuł zawrót głowy, który tylko pozwolił mocniej się skoncentrować.

Wreszcie odprysnął kawałek lodu. Pozwolił, by spłynęło na niego uczucie tryumfu, ale nie ustawał w wysiłkach. Odpadały kolejne lodowe drzazgi, a po chwili odłamki sypały mu się już na twarz. Zamknął oczy, by oczyścić je z potu - ale było tam coś więcej niż pot, dłoń była zakrwawiona od ciosów. Krople krwi kapały mu na czoło albo spadały na ziemię, gdzie zamarzały, nim zdążyły wsiąknąć.

Ash rzeźił ciężko, nim poszerzył otwór tak, że dostrzegł fragment gwiaździstego nieba.

Przerwał wtedy na moment i wisiał bez ruchu, by odzyskać oddech.

Chwila się wydłużała, więc podjął kolejny wysiłek, by się podciągnąć. Stękając ze zmęczenia, precyzyjnie się przez otwór, kalecząc nagie ciało.

W całej osadzie panował spokój. Niebo przypominało pole czerni usiane gwiazdami, małymi i martwymi jak diamenty. Ash zsunął się na ziemię i przykucnął, po kolana w śniegu.

Nie oglądał się na krwawą linię, biegnącą przez kopułę lodowej chaty. Potrząsnął głową i się rozejrzał - wokół niego wyrastały inne lodowe chaty, na wpół ukryte w zaspach. Niewielkie kopczyki poruszały się lekko tam, gdzie spały psy. W oddali grupa mężczyzn

szykowała zaprzęg na poranne polowanie, nieświadoma, że ktoś obserwuje ich w milczeniu poprzez mrok.

Pochylony, Ash ruszył w stronę lodowej fortecy; świeża skorupa śniegu chrzęściła pod bosymi stopami.

Budowla wyrastała coraz wyżej, przesłaniając gwiazdy. Ash nie zwolnił kroku; podbiegł do tunelu i przecisnął się pod zasłoną do korytarza wewnątrz. Zaskoczył dwóch wojowników, którzy trzymali wartę przy płonącym piecyku. Było zbyt ciasno, za mało miejsca, by się swobodnie poruszać. Ash uderzył czołem w twarz strażnika, łamiąc mu nos i powalając nieprzytomnego na ziemię. Ból wybuchł też w jego głowie, przez co drugi strażnik niemal go dosięgnął włócznią. Ash uchylił się w ostatniej chwili, czując, jak zakrzywiony kościany grot ześlizguje mu się po ramieniu. Rozległy się zduszone stęknienia, potem kłaśnięcie skóry o skórę, kiedy wbił kolano w krocze przeciwnika, a kostki zaciśniętej pięści uderzyły w krtań.

Przestąpił nad dwoma nieruchomymi ciałami, zmrużył oczy i ruszył dalej.

Stanął w ciasnym przejściu. Przed sobą miał główną halę z przestłoniętym skórami wejściem. Dalej panowała cisza... Ale nie, nie całkiem. Usłyszał dobiegające stamtąd chrapanie.

Mój miecz, pomyślał.

Skoczył w lewo, do innego przejścia. Prowadziło do niewielkiego pomieszczenia, wypełnionego gęstym dymem, oświetlonego przez mały piecyk w rogu; czerwony blask z tłustego żaru ukazywał niewiele; resztę kryła ciemność. Obok piecyka stała prycza, na której leżeli mężczyzna i kobieta; spali mocno, przytuleni do siebie. Ash jak mroczny cień przeszedł pod ścianę, gdzie rzucono jego sprzęt. Nadal tam leżał.

Pogrzebał wśród futer, aż palce trafiły na niewielki worek liści dulce. Wyjął jeden, zastanowił się i dodał jeszcze dwa. Potem wcisnął brązowe listki do ust, między zęby a policzek.

Na chwilę oparł się o ścianę, przeżuując i połykając ich gorzki smak. Ból głowy zelżał.

Ash zignorował futra. Błysnęła stal, gdy wydobył miecz z pochwy. Para spała dalej, nie zważając na niego, kiedy pobiegł z powrotem w stronę wejścia do głównej hali.

Światło padło na jego bosc stopy ze szczeliny pod kotarą. Ash nabrał powietrza, wypuścił je nosem i wszedł, wciąż nagi jak klinga, którą opuścił nisko. Król spał, siedząc na swoim tronie na drugim końcu sali. Jego ludzie, niektórzy z kobietami, leżeli bezwładnie na podłodze przed nim. Obok wejścia, na wpół drzemiąc, stał wsparty na włóczni wojownik.

Ash już nie drżał. Znalazł się w swoim żywiole i zimno stało się czymś, co okrywało go jak płaszcz. Nie bał się; lęk był dla niego dalekim wspomnieniem, starym jak jego miecz.

Zmysły wyostrzyły się tuż przed atakiem. Zauważył sople, wysoko na suficie nad piecykiem; słyszał cichy syk za każdym razem, gdy lód rzucał w płomień kroplę wody; wyczuwał ostry zapach ryby, potu, płonącego tłuszczu i jeszcze czegoś niemal słodkiego, od czego zaburczał mu brzuch. Mięśnie grały w oczekiwaniu.

Poruszenie zwróciło uwagę strażnika i go rozbudziło. Uniósł głowę akurat na czas, by zobaczyć, jak Ash sunie ku niemu z zakrwawioną twarzą i obnażonymi zębami. Błysnęła klinga, zakreśliła łuk w zadymionym powietrzu i napotkała krótkotrwały opór piersi. Padając, wojownik krzyknął krótko.

To wystarczyło, by zbudzić innych.

Sięgali po włócznie i podnosili się niezgrabnie. Bez rozkazu rzucili się ze wszystkich stron na Asha, który opędzał się od nich jak od dzieci. Pojedynczymi cięciami zabijał każdego, kto stanął mu na drodze; nie dbał o siebie. Był jak cisza pośród gwaru; jego ruchy napędzał wyuczony instynkt, by iść naprzód i tylko naprzód; cięcia, sztychy i uniki współgrały z naturalnym rytmem jego kroków.

Zanim padł ostatni z wojowników, Ash znalazł się przed tronem; mgła unosiła się za jego plecami z podłogi zasłanej pokrwawionymi ciałami. Król siedział na tronie, dygocząc z wściekłości, ściskając palcami poręcz, jakby zamierzał się podnieść. Był pijany - jego oddech cuchnął alkoholem. Piers mu falowała, jakby potrzebował więcej powietrza, a cienka strużka śliny ciekła z rozchylonych warg, kiedy spod przymkniętych powiek spoglądał na mściciela.

Wygląda jak rozżłoszczone dziecko, pomyślał Ash, ale odrzucił tę myśl.

Strzepnął krew z klingi i oparł czubek pod brodą króla. Ten zaczął

szybciej oddychać.

- Ha - rzucił Ash, przyciskając klingę, aż rozcięła skórę i zmusiła króla, by uniósł głowę.

Spojrzeni sobie w oczy.

Król zerknął na klingę. Strumyczek jego krwi płynął wzdłuż rowka w stali niczym woda spływająca z nasmarowanej olejem derki. Popatrzył na Asha i poniżej lewego oka drgnął mu mięsień.

- *Akuzhka* - warknął.

Klinga przesunęła się nagle i przebiła do mózgu. W jednej chwili król patrzył nienawistnie, w następnej jego życie zgasło. Ash wyprostował się, zdyszany. Para uniosła się spod tronu, kiedy na podłodze rozprysnęła się zawartość królewskiego pęcherza.

Ash zdjął z szyi trupa pieczęć i wsunął ją sobie przez głowę. Zatrzymał się jeszcze i zamknął zabitemu oczy. Podeszedł do drewnianej skrzyni przy ścianie, otworzył ją i wywlekl skulonego we wnętrzu Alhazii.

- Już koniec? - wychrypiał mężczyzna, chwytając rękę Asha tak, jakby nigdy już nie chciał jej puścić.

- Tak - odparł krótko Ash.

I wyszli.

# ROZDZIAŁ 1

## Tarcza



Bahn wiele razy w życiu wspinał się na Górę Prawdy. Było to zielone, szerokie wzgórze o łagodnych zboczach, niezbyt wysokie; jednak tego ranka, gdy wędrowali ścieżką wijącą się ku spłaszczonemu szczytowi, wydawało się bardziej strome niż kiedykolwiek.

- Bahn - odezwała się Marlee u jego boku.

Jej dłoń szarpnęła go i przystanął.

Obejrzał się; żona spoglądała do tyłu, na ścieżkę; wolną ręką osłaniała oczy przed słońcem. Juno, ich dziesięcioletni syn, włókł się kawałek za nimi. Był drobny jak na swój wiek, a piknikowy koszyk, który dźwigał, zbyt wielki dla jego krótkich rączek. Mimo to uparł się, że sam będzie go niósł.

Bahn otarł pot z czoła. Dłoń wyschła w jednej chwili, a chłodne powietrze ucałowało jego skórę. Pomyślał: nie chcę, żeby dziś to oglądał. I wiedział, że to nie wzgórze jest bardziej strome. To jego opór wobec niego.

Jabłko wypadło z kosza, czerwone i błyszczące jak pomada do warg; potoczyło się po wypolerowanych przez stopy kamieniach ścieżki. Rodzice przyglądali się, jak chłopiec zatrzymuje je butem, a potem schyla się, by podnieść.

- Pomóc ci? - zawołał Bahn do syna, usiłując nie myśleć, ile musiał



za nie zapłacić.

Chłopiec odpowiedział mu niechętnym spojrzeniem. Wrzucił jabłko do kosza i poprawił trochę chwyt, nim pomaszerował dalej.

Grom zahuczał w oddali, choć na niebie nie było chmur. Bahn odwrócił wzrok od syna i próbował wraz z oddechem wypuścić z ciała niepokój, który ostatnio zdawał się bezustannie ciążyć na żołądku. Z wysiłkiem przywołał na twarz uśmiech - sztuczka, której nauczył się przez te lata walk w Czerwonej Gwardii. Jeśli rozciągnął wargi w ten sposób, jego problemy wydawały się odrobinę lżejsze.

- Dobrze jest widzieć, jak się uśmiechasz - powiedziała Marlee; zmarszczki pojawiły się w kącikach jej brązowych oczu. Na plecach, w płóciennej chuście, spała z otwartymi ustami ich maleńka córka.

- Dobrze jest spędzić dzień nie na murach, choć wolałbym każde miejsce prócz tego.

- Jeśli jest dość duży, by pytać, to jest dość duży, by zobaczyć. Nie możemy wiecznie chronić go przed prawdą, Bahn.

- Nie, ale możemy próbować.

Zmarszczyła czoło, ale tylko mocniej ścisnęła jego dłoń.

Poniżej miasto Bar-Khos huczało jak odległa rzeka. Mewy szybowały i nurkowały nad zatoką, krążyły setkami niczym śnieżyca w dalekich górach. Z dłonią u czoła, by osłonić oczy, przyglądał się, jak kolejno przelatują nisko i szybko nad wodą płaską niczym lustro, a ich odbicia suną odwrócone pomiędzy burtami statków. Światło słońca oślepiało i odbijało się od powierzchni, malując na niej złociste płomienie. Pozostałą część miasta okrywał upał; figurki ludzi były małe i niewyraźne, kiedy przesuwają się ulicami pogrążonymi w głębokim cieniu. Dzwony brzmiały znad kopuł Białej Świątyni, rogi grały na Stadionie Walk. W zamglonym od pyłu powietrzu migotały lustra z koszy kupieckich balonów, zacumowanych do smukłych wież. Poza tym wszystkim, poza północnymi murami, powietrzny statek wznosił się od słupów nieboportu i kierował na wschód, w niebezpieczny rejs do Zanzaharu.

Nawet teraz Bahnowi wydawało się dziwne, że życie płynie na pozór całkiem zwyczajnie, chociaż miasto chwieje się na krawędzi upadku.

- Na co czekacie? - wysapał Juno, kiedy ich dogonił.

Uśmiech Bahna stał się teraz całkiem szczery.

- Na nic - odpowiedział chłopcu.

W taki dzień - upalny Dzień Głupców w środku lata - wielu ludzi porzucało gorące ulice Bar-Khosu, by szukać ucieczki na szczycie Góry Prawdy. Wokół jej płaskiego wierzchołka rozciągały się tarasy parku, a od morza zawsze wiała świeża bryza. Ścieżka wyrównała się, kiedy dotarli do parku. Młody Juno, czując się teraz pewniej ze swym bagażem, wykorzystał okazję, by przyspieszyć kroku. Wyprzedził rodziców i zaczął wymijać innych, którzy szli spokojniej. Razem przekroczyli wąski pas zieleni; w grupie dzieci bawiących się latawcem właśnie zaczynała się walka o to, kto będzie go trzymał jako następny. Za nimi, na ławeczce pod wyschniętym kłoszowym drzewem, siedział mnich z żebraczego zakonu; trzymał butelkę wina i bez przerwy mówił do swojego psa. Pies zdawał się nie słuchać.

Po niebie ponownie przetoczył się grom, jakby bardziej odległy stąd, bliżej południowych murów. Juno obejrzał się na rodziców.

- Pospieszcie się! - zawołał, nie mogąc opanować podniecenia.

- Powinniśmy zabrać też jego latawiec, na później - stwierdziła Marlee, kiedy dzieci za nimi przestały się kłócić i posłały w powietrze przedmiot z piórkodrewu i papieru, który pożegłował na wietrze.

Bahn pokiwał głową, ale milczał. Z uwagą przyglądał się budynkowi na samym szczycie wzgórza pośrodku parku. Otaczały go żywopłoty, setki okien znaczyły jego białe ściany; szyby odbijały albo niebo, albo pustkę, zależnie od tego, gdzie spojrzeć. Bahn prawie codziennie stawał się w tym budynku z racji swojej funkcji adiutanta generała Creeda.

Całkiem bez udziału woli sięgał wzrokiem do bocznej części Ministerstwa Wojny, gdzie wiedział, że znajduje się gabinet generała. Szukał sylwetki starca, być może obserwującego go z okna.

- Bahn... - skarciła go żona i pociągnęła naprzód.

W końcu dotarli na południowy skraj parku. Juno szedł przodem, skręcając pomiędzy grupami ludzi, siedzących w wysokiej trawie, ale zwalniając z każdym krokiem, w miarę jak rozpościerał się przed nim widok z góry. W końcu się zatrzymał. A po chwili kosz wypadł mu z rąk.

Bahn zbliżył się i zaczął zbierać rozsypane jedzenie. Przez cały czas pilnie obserwował syna, tak jak kiedyś przyglądał się jego ostrożnym pierwszym krokom. Chłopcu nie wolno było wchodzić na wzgórze samemu, ale w zeszłym roku zaczął prosić, a potem błagać, by go tu przyprowadzić; opowiadane przez kolegów historie rozpały jego ciekawość. Chciał sam się przekonać, dlaczego wzgórze nazywane jest Górą Prawdy.

Teraz, od tej chwili, już zawsze będzie wiedział.

Z południowego zbocza najwyższego wzgórza miasta widać było morze, rozciągające się na wschód i na zachód wzdłuż wybrzeża - a wprost przed nimi długi, szeroki na pół laq lądowy korytarz, nazywany Lanszlakiem i sięgający niczym droga do dalekiego kontynentu, który dzisiaj był jedynie sugestią konturu i ledwie widoczną w oddali chmurą.

A w poprzek tego przesmyku, z nagiego szarego kamienia, wyrastały wielkie południowe mury Bar-Khosu, znane jako Tarcza.

Te mury - które od trzech stuleci broniły przed inwazją lądową miasta, a zatem i wyspy Khos, spichlerza Wysp Mercjańskich - wyrastały na prawie trzydziestu metrów, a jeszcze wyżej wznosiły się wieże na blankach. Były dostatecznie starożytne, by nadać miastu ich nazwę - Bar-Khos, czyli „Tarcza Khosu”. Sześć pasów murów stało na przesmyku, przynajmniej dopóki nie przybyli Mannijczycy ze swymi sztandarami i deklaracjami podboju.

Teraz już tylko cztery bariery blokowały Lanszlak, z czego dwie wzniesiono niedawno. Z oryginalnych zewnętrznych murów pozostał jeszcze jeden, choć bez bram ani furtek - wszystkie przejścia zostały zablokowane kamieniem i zaprawą.

Góra Prawdy była najwyższym punktem obserwacyjnym w mieście. To stąd i tylko stąd zwykły obywatel mógł zobaczyć tych pod murami po drugiej stronie. Chłopiec, właśnie tym zajęty, mrugał niepewnie, gdy jego spojrzenie przesunęło się od Tarczy w stronę mannijskich oblegających, pokrywających równinę przesmyku niczym biała powódź - pełna potęga Czwartej Armii Imperium.

Młoda twarz bladła, oczy rozszerzały się przy każdym nowym szczególe.

Lanszlak całkowicie pokrywało miasto namiotów, równo

ustawionych w rzędy i podzielonych na kwadraty ulicami drewnianych domków. Miasto namiotów spoglądało na Tarczę spoza linii konstrukcji ziemnych - szańców usypanych na piaszczystej żółtej równinie i wijących się rowów zalanych ciemną wodą. Za najbliższym rzędem tych umocnień, niczym odpoczywające na słońcu wielkie stwory, przysiadły maszyny oblężnicze i artyleria, plująca dymem i bezustannym hukiem, kiedy ostrzeliwała miasto z powolną, nieprzerwaną regularnością, trwającą - wbrew wszelkim oczekiwaniom - od dziesięciu lat.

- Urodziłeś się pierwszego dnia, kiedy zaatakowali mury - odezwała się z tyłu Marlee pozornie spokojnym głosem. Odwinęła wyjęty z kosza bochenek miodowego keeshu. - Poród zaczął się za wcześnie i przyszedłeś na świat nie większy od farla. Myślę, że to przez wstrząs po stracie ojca, bo właśnie tego ranka zginął.

Chłopiec zdawał się jej nie słyszeć; to, co leżało przed nim, całkowicie go pochłaniało.

Jednak w przeszłości nieraz wypytywał o dzień, w którym się urodził - i poznawał tylko podstawowe fakty. Bahn i jego żona mieli swoje powody, by nie przywoływać tamtych wspomnień.

Trzeba dać mu czas, myślał Bahn, siadając na trawie, by przyjrzeć się okolicy wzrokiem człowieka bardziej doświadczonego. Napływały wspomnienia - nieproszone, przywołane słowami żony.

Bahn miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, kiedy zaczęła się wojna. Wciąż dobrze pamiętał, gdzie był, kiedy nadeszły pierwsze wieści o uciekinierach, przybywających do miasta z kontynentu. Siedział w głównej sali Gardła Mnicha, wciąż spragniony po czwartym ciemnym piwie, ale już pijany. Tego wieczoru był w paskudnym nastroju - miał już dość pracy kontrolera ładunku w miejskim nieboporcie, znoszenia pretensji nadzorca, małego dyktatora najgorszego rodzaju, a wszystko to za pensję, która jemu i Marlee ledwie wystarczała do następnego tygodnia.

Wieści przekazał tłusty handlarz skór, który właśnie wrócił z południa. Jego krągła twarz miała kolor jaskrawego szkarłatu, jakby biegł całą drogę tylko po to, by przekazać wiadomość: Pathia upadła, wydyszał. Pathia, ich najbliższy sąsiad na południu, była odwiecznym nieprzyjacielem Khosu - i powodem, dla którego

zbudowano Tarczę. W sali gospody zapadła nagła cisza. Słuchali, a szok i zdumienie narastały w równej mierze. Król Ottomek V, pogardzany trzydziesty pierwszy monarcha z królewskiego rodu Sanse, okazał się tak głupi, że dał się schwytać żywcem. Mannijczycy przeciągnęli go wrzeszczącego, wijącego się i skręcającego, przez ulice zdobytego Bairatu za galopującym białym koniem, dopóki bruk niemal całkiem nie zdarł skóry z ciała - razem z uszami, nosem i genitaliami.

Bliski śmierci, król został potem wrzucony do studni, gdzie jakoś utrzymał się przy życiu przez całą noc, a Mannijczycy śmiali się głośno z jego błagań o litość. O świcie zasypali studnię kamieniami.

Nawet wśród najtwardszych mężczyzn w sali taki los wywołał stłumione przekleństwa i kręcenie głowami. Bahna ogarnął lęk - to były złe wieści dla wszystkich. Przez całe jego życie, a nawet dłużej, Mannijczycy jeden po drugim podbijali kraje wokół wewnętrznego morza Midèrēs. Jednak jeszcze nigdy nie dotarli tak blisko Khosu. Rozmowy wokół zabrzmiały głośniejsz; słyszał krzyki, dyskusje, niepewne próby żartów. Bahn precyzyjnie się do wyjścia. Spieszył się do domu, do swojej żony - zaledwie od roku byli małżeństwem. Wbiegł po schodach do ich małego wilgotnego pokoiku nad publiczną łaźnią i wyrzucił z siebie to wszystko w jednej desperackiej, pijackiej tyradzie. Próbowała go uspokoić cichymi słowami, potem przygotowała mu chee, a jej ręce cały czas pozostawały magicznie spokojne. Przez pewien czas - Bahn szukał ucieczki przed własnymi myślami - kochali się na skrzypiącym łóżku, powoli i namiętnie. Ona cały czas patrzyła mu w oczy.

Później tej nocy stali razem na płaskim dachu budynku i wraz z resztą mieszkańców Bar-Khosu słuchali wołań uciekinierów, proszących, by ich wpuścić; tysiące kuliły się pod murami. Na innych dachach ludzie krzyczeli, by otworzyć bramy, niektórzy zaś gniewnie żądali, żeby pozwolić Pathianom zgnić na miejscu. Marlee, pamiętał, modliła się cicho za ich biedne dusze, szeptem błagając Erēs, Wielką Matkę Świata, a jej pomalowane wargi poruszały się czarno w dziwnym blasku wiszących na południowym niebie bliźniaczych księżyców. Okaż łaskę, Słodka Erēs, pozwól im wejść, daj im schronienie.

Następnego ranka to generał Creed osobiście nakazał otworzenie bram. Uciekinierzy włali się do miasta, niosąc wieści o rzeziach, o całych społecznościach spalonych za opór stawiany najeźdźcom.

Nawet słysząc tak niepokojące wieści, większość mieszkańców Bar-Khosu uważała, że nic nie może im zagrozić. Ochraniła ich przecież wielka Tarcza. Poza tym Mannijczycy będą mieli dość zajęć z nowo podbitym południem.

Bahn i Marlee żyli dalej, najlepiej jak potrafili. Marlee znów była w ciąży, więc starała się przyjmować wszystko spokojnie i nie ryzykować kolejnego poronienia. Piła ziołowe esencje, które podawała jej akuszerka, i całymi godzinami siedziała w oknie, obserwując ruchliwą ulicę na dole, z dłonią ułożoną na brzuchu, jakby dla ochrony. Czasami wpadał z wizytą jej ojciec w cuchnącej zbroi - potężny mężczyzna o surowej twarzy, prosty jak strzała.

Spoglądał na nią spod zmrużonych powiek, wzrokiem przyćmionym przez wiek. Córka była dla niego bezcenna i razem z Bahnem rozpieszczali ją, aż czasem nie wytrzymała i traciła ciepłość. Ale nawet to nie zniechęcało ich na długo.

Cztery miesiące później nadeszły wieści o zbliżającej się armii imperialnej. Nastroje w mieście prawie się nie zmieniły. Mieli w końcu sześć pasów murów, dostatecznie wysokich i grubych, by ich obroniły. Mimo to w mieście ogłoszono nabór ochotników, by uzupełnili szeregi Czerwonej Gwardii, mocno przeredzonej przez dziesięciolecie pokoju. Bahn niezbyt nadawał się na żołnierza, ale w głębi serca był romantykiem. Miał też żonę, dziecko i dom do obrony, i to w pewnym sensie pchnęło go do działania. Rzucił pracę bez wielkiego zamieszania, zwyczajnie nie zjawiając się tam pewnego ranka - miły dreszcz budziła w nim myśl o nadzorcy, który teraz sam musiał sobie radzić z chaosem. Tego samego dnia Bahn wstąpił w szeregi obrońców miasta. W głównych koszarach wręczyli mu stary miecz z wyszczerbioną klingą, czerwony płaszcz z cuchnącej wilgocią wełny, okrągłą tarczę, pancerz, parę nagolenników i za duży hełm... oraz jedną srebrną monetę. Polecono mu stawiać się każdego ranka na Stadionie Walk na szkolenie.

Ledwie zdążył poznać imiona innych rekrutów swojej kompanii, wciąż był zielony i niedoświadczony, kiedy mannijski herold przybył

konno z żądaniem, aby miasto się poddało.

Ich warunki były proste: otwórzcie bramy, a większość przeżyje; walczcie, a wszyscy zginą albo pójdą w niewolę. Niemożliwe jest, ogłosił herold wznoszącym się przed nim wysokim murem, by sprzeciwiać się oczywistemu przeznaczeniu Świętego Mannu.

Jakiś nadgorliwy strzelec na wałach strącił herolda z wierzchowca. Okrzyk podniósł się zza blanków - pierwsza krew...

Miasto wstrzymało oddech, czekając na to, co się wydarzy.

Z początku ich liczebność budziła niedowierzanie. Przez pięć dni Czwarta Armia Imperialna rozbijała obozy na całej szerokości Lanszlaku; dziesiątki tysięcy maszerowały na pozycje w równym szyku, po czym rozchodziły się, by tworzyć kolonię namiotów, nasypów ziemnych, armat w niewidzianej dotąd liczbie, ogromnych wież oblężniczych - a wszystko na oczach obrońców.

Kanonada zaczęła się na pojedynczy sygnał skrzekliwego gwizdka. Pociski uderzyły o mur; jeden przeleciał łukiem wysoko i z ogłuszającą eksplozją spadł między oczekującymi w rezerwie ludźmi. Obrońcy na parapecie skulili się i czekali.

O poranku w dniu pierwszego szturmu Bahn stał z grupą świeżych rekrutów za główną bramą pierwszego muru; ciężka tarcza wisiała na jego ramieniu, w drżącej dłoni ścisnął miecz. Nie spał tej nocy. Przez cały czas spadały wokół nich mannijskie szrapnele, a rogi niczym zmory wyły wśród imperialnych szeregów, rozszarpując nerwy na strzępy. Teraz, o świcie, mógł myśleć tylko o jednym: o swojej żonie Marlee, czekającej w domu z nienarodzonym dzieckiem, zamartwiającej się na śmierć o męża i o ojca.

Mannijczycy nadeszli niczym fala przelewająca się nad urwiskiem. Z drabin i wież oblężniczych jedną nieprzerwaną linią zaatakowali wały; Bahn z dołu patrzył z lękiem, jak mężczyźni w białych zbrojach rzucają się nad blankami na obrońców z Czerwonej Gwardii z bojowymi okrzykami, jakich jeszcze nie słyszał - te ostre zawodzenia wydawały się niemal niemożliwe dla ludzkiej krtani. Słyszał już, że wrogowie przed bitwą przyjmują narkotyki, głównie po to, żeby stłumić lęk. Rzeczywiście, walczyli jakby w szale, zupełnie nie dbając o życie. Ich gwałtowność zaskoczyła khosyjskich obrońców; ich szeregi ugięły się i niemal przerwały.

To była rzeź, mordercza i prymitywna. Ludzie ślizgali się i spadali z wysokości. Krew płynęła z rynien przy parapetach, jakby spadł czerwony deszcz, a żołnierze musieli przebiegać dołem z tarczami nad głową. Jego teść był gdzieś na górze, wśród jęków i krzyków. Bahn nie widział jego upadku.

Prawdę mówiąc, owego dnia Bahn ani razu nie użył swojego miecza. Nawet nie stanął z wrogiem twarzą w twarz.

Stał ramie w ramie z innymi żołnierzami swojej kompanii, w większości wciąż dla niego obcymi, a każda twarz wydawała się śmiertelnie blada i pozbawiona ducha. Gwar bitwy odbierał mu oddech; czuł, że ogarniają go mdłości, jak oszałamiające uczucie spadania. Miecz trzymał przed sobą niczym kij. I równie dobrze mógł to być kij, bo przecież nie potrafił go jeszcze używać.

W pobliżu komuś puściły zwieracze; smród nie wzmocnił raczej odwagi innych; wzbudził w nich raczej pragnienie, by uciec, znaleźć się jak najdalej. Rekruci dygotali jak źrebaki, które chcą wyrwać się z płonącej stajni.

Bahn nie wiedział, co w końcu wyłamało wrota bramy. W jednej chwili wyrastały przed nimi, masywne i solidne, na pozór niezdobyte. Rall, piekarz, mamrotał z boku coś o tym, że hełm i tarcza są jego, że kupił je na bazarze - potok słów, których Bahn prawie nie słyszał. A w następnej chwili leżał na plecach i z trudem chwycił powietrze, oszołomiony i półprzytomny, słysząc przenikliwe dzwonięcie w uszach. Usiłował sobie przypomnieć, kim jest i co tu robi, i dlaczego gapi się na to mlecznoniebieskie niebo, przestłonięte kłębamii pyłu.

Uniósł głowę; wszędzie wokół padały kawałki gruzu. Stary Rall, piekarz, krzyczał mu prosto w twarz, z oczami i ustami otwartymi niemożliwie szeroko. Podtrzymywał kikut ręki, z dłonią wciąż wiszącą na wąskim kawałku ścięgna. Krew tryskała łukiem, chwytającym ukośne promienie słońca tak, że w tej krótkiej chwili wydawała się niemal piękna.

I wtedy dopadł go ból. Zapiekleła zdarta z policzków skóra, poczuł eksplozję oddechu Ralla, wrzeszczącego mu przed twarzą, chociaż Bahn nadal go nie słyszał. Spojrzał ku bramie, między nogami wciąż stojących mężczyzn, i zobaczył pas surowego mięsa i kości, tu i tam



wstrząsany ohydnyimi ruchami. Wrota zniknęły. Ich miejsce zajmowała rozwijająca się zasłona czarnego dymu, rozdzierana tam, gdzie przebiegały przez nią wyjące białe postacie.

Udało mu się chwiejnie wstać; ocaleli z jego kompanii biegli naprzód, żeby bronić wyłomu. Bahnowi wydało się to szaleństwem: farmerzy i sklepikarze w niedopasowanych zbrojach, pędzący prosto na zabójców, czekających, by ich wyrznąć. Oczy piekły go od tego, co widział: ten pęd, ten szal ludzi, kiedy wszędzie wokół ich towarzysze leżeli bezwładnie albo kuśtykali oszołomieni, albo przepychali się, by uciec. Ten widok obudził coś w umyśle Bahna. Pomyślał o mieczu w dłoni i o biegu, by dopomóc tym ludziom, zbyt nielicznym, by powstrzymać falę.

Ale nie ścisnął już miecza. Rozejrzał się za nim nerwowo i znowu zobaczył starego Ralla - klęczał i wrzeszczał coś do niego.

Czego on chce? - zastanawiał się Bahn. Myśli, że naprawię mu tę rękę?

Tymczasem w bramie obrońcy padali jak kłosa. Byli przecież rekrutami bez doświadczenia. A Mannijczycy nie. Gdzieś za plecami Bahna sierżant krzyczał do żołnierzy, by trzymali pozycję, a kropelki śliny wylatywały mu z ust, kiedy popychał ich i usiłował uformować szereg. Nikt go nie słuchał, a ci wokół Bahna potrącali go, przeklinali, wołali, chcieli tylko uciec.

Zrozumiał wtedy, że to beznadziejne; poza tym nie mógł znaleźć miecza. Wśród odłamków leżały inne, ale żaden nie miał na rękojeści odpowiedniego numeru - a z jakiegoś powodu stało się dla niego niezwykle istotne, by odszukać ten właściwy. Może zginąłby tego dnia, gdyby go znalazł. Ale przez te niezborne momenty, jakie poświęcił na bezskuteczne poszukiwania, chęć walki go opuściła. Bardziej niż czegokolwiek na świecie zapragnął znowu zobaczyć Marlee. Zobaczyć ich dziecko, kiedy się urodzi. Żyć.

Złapał starego Ralla i niezręcznie przerzucił go sobie przez ramię. Kolana się pod nim ugięły, ale strach dodał mu sił. Wraz z resztą spanikowanych ludzi pozwolił popychać się do bramy w drugim murze. Pamiętał twarze spoglądających za siebie, ponad ramieniem Bahna, żadnych rozmów ani krzyków, tylko sapanie bez słów. Nawet Rall przestał krzyżeć i zaczął mu dziękować, nie mógł przestać

dziękować... Mówił urywanie, w rytm kroków Bahna.

To był pogrom; setki ludzi biegły przez pas śmierci, odrzucając po drodze miecze i tarcze. Musieli przebiec kilka rzutów, by dotrzeć do bezpiecznej osłony drugiego muru. Stary piekarz stawał się coraz cięższy, więc Bahn nieuchronnie zwalniał i został z tyłu za tłumem uciekających. Rall krzyczał, kazał mu biec szybciej, ostrzegał, że wrogowie są już blisko.

Bahnowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać - słyszał ujadających w pościgu Mannijczyków.

Przebiegli jako ostatni; za nimi zatrzaśnięto i zaryglowano wrota. Ci, co mieli mniej szczęścia, zostali uwięzieni po tamtej stronie. Dobijali się; krzyczeli, że mają w domach żony i dzieci. Przeklinali i błagali. Ale wrota się nie otworzyły.

Bahn leżał bezwładnie, słuchał krzyków z drugiej strony i bardziej niż kiedykolwiek w życiu był wdzięczny, że to nie on jest za bramą.

Załamany, zamknął oczy. Przez długi czas leżał na ziemi twarzą w dół. I płakał.

Wiatr dmuchnął nad Górą Prawdy, ciepły i wilgotny. Bahn wypuścił z płuc powietrze i znowu spojrzał na rozjaśnione letnim słońcem wzgórze, na swojego syna patrzącego w stronę murów.

- Chcesz pić? - spytała Marlee, podając mężowi dzbanek cydru. Poruszała się wolno i ostrożnie, by nie obudzić niesionego na plecach dziecka.

Bahnowi zaschło w gardle. Wypił trochę i przez chwilę trzymał w ustach słodki płyn, zanim połknął. A potem podążył wzrokiem za spojrzeniem syna.

Nawet teraz, kiedy patrzyli w milczeniu, od czasu do czasu jakiś pocisk wybuchał albo odbijał się od wciąż całego zewnętrznego obwałowania, zwróconego w stronę imperialnej armii. Wielki ziemny nasyp osłaniał teraz cały mur - jedna z pomysłowych innowacji, która pozwoliła im tak długo wytrzymać mannijskie oblężenie. A jednak wał miejscami osiadał, a mur za nim przypominał tu i ówdzie bezzębną szczękę, bo wypadały z niego fragmenty ściany i blanków. Za tą kruszącą się osłoną kulili się niemal niewidoczni żołnierze w czerwonych płaszczach; pomiędzy nimi stały krępe balisty i armaty, bezustannie ostrzeliwujące pozycje

Mannijczyków.

Za kolejnymi trzema murami, w porównaniu z pierwszym obsadzonymi mocniej, dźwigi i robotnicy wznosili kolejny. Jak dotąd cztery linie murów runęły pod nieprzerwanym ostrzałem wroga - przy oszałamiających stratach Mannijczyków. W odpowiedzi obrońcy wzniesli dwie kolejne, jednak nie mogli przecież postępować tak w nieskończoność. Ostatnia konstrukcja wyrastała już blisko prostego kanału, przecinającego Lanszlak i łączącego dwie zatoki. Niedaleko za tym kanałem Lanszlak kończył się u stóp Góry Prawdy; za nią rozciągało się już miasto. Było jasne, że obrońcom kończy się miejsce.

Syn Bahna patrzył w dół, na mur, który właśnie znalazł się pod ostrzałem. Wzdłuż blanków, między armatami, balistami i czasem rusznicą, ludzie podnosili na linach wielkie łyżki ziemi i kamieni; niektóre znikwały potem z widoku, kiedy opuszczali je za murem, a inne po prostu wysypywali nad krawędzią. Nagle cała grupa ciągnących liny robotników zniknęła wśród chmury latających odłamków.

Juno syknął.

- Popatrz tam - powiedział szybko Bahn, by odwrócić uwagę syna.

Pokazał mu równe konstrukcje, wyrastające między murami, wokół przyszłego pola walki. Wyglądały jak wieże, choć otwarte ze wszystkich stron i niezbyt wysokie.

- To szyby górnicze - wyjaśnił. - Specjalni przez cały czas prowadzą na dole bitwę.

Bronią murów przed podkopami.

Juno w końcu spojrzał z góry na siedzącego ojca.

- Jest inaczej, niż sobie wyobrażałem - stwierdził. - Ty tam codziennie walczysz?

- W niektóre dni. Choć teraz rzadko zdarzają się bitwy. Tylko to...

Te słowa chyba chłopcu zaimponowały. Bahn przełknął ślinę i odwrócił się, widząc dumę w oczach dziecka. Juno już wiedział, że jego dziadek zginął, broniąc miasta. Już teraz nosił u pasa krótki miecz starca. Kiedy wrócić do domu, z pewnością będzie nalegał, żeby ojciec udzielił mu dalszych lekcji fechtunku. Często zapewniał, że kiedy dorośnie, pójdzie w ślady ojca. Jednak Bahn nie chciał go zachęcać ani budzić ambicji. Lepiej, żeby syn uciekł i został

wędrownym mnichem, jeszcze lepiej, żeby zaciągnął się na ciekący statek kupiecki, niż żeby został tutaj i walczył aż do nieuchronnego końca.

Zdawało się, że Juno wyczuwa jego nastrój.

- Jak długo możemy ich powstrzymać? - zapytał cicho.

Bahn zamrugał zdziwiony. To było pytanie żołnierza, nie dziecka.

- Tato?

Bahn chciał go okłamać, chociaż wiedział, że byłoby to obrazą dla jego coraz wyraźniejszej dojrzałości. Ale Marlee siedziała tuż za nimi - jego żona, przyzwyczajona do mierzenia się nawet z najgorszą prawdą. Wyczuwał, że nasłuchuje pilnie w tej ciszy, gotowej na jego odpowiedź.

- Nie wiemy - przyznał i na moment zamknął powieki, chroniąc oczy przed kolejnym podmuchem. Wyczuł na wargach smak soli, jakby resztkę zaschniętej krwi.

Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że Juno znowu wpatruje się w mury i stojących przed nimi Mannijczyków. Zdawało się że obserwuje niezliczone flagi: po jednej stronie khosjańska tarcza albo mercjański wir na morskozielonym tle - dziesiątki takich powiewały wzdłuż wałów. Po drugiej stronie imperialna czerwona ręka Mannu, z brakującym czubkiem małego palca, umieszczona na tle czystej bieli - setki ich wystawiono na przesmyku. Skupiony chłopiec marszczył czoło.

- Zawsze jest nadzieja - pocieszyła Marlee ich niespokojnego syna.

- Tak - zgodził się Bahn. - Zawsze jest nadzieja.

Ale nawet kiedy mówił te słowa, nie potrafił spojrzeć synowi w oczy.

## ROZDZIAŁ 2

### Podarek



Stopa trąciła go ponownie, tym razem mocniej.

- Twój pies - usłyszał przez cienki koc. Głos był kobiecy i niechętny. - Chyba zdechł.

Nico zmusił się, żeby uchylić powieki - tylko trochę, by promienie porannego słońca wplątały się w rzęsy. Za jasno, pomyślał, zsuwając się głębiej w ciepło własnego ciała. Za wcześnie.

- Daj mi spokój - wymruczał.

Koc zsunął się, wyrzucając go na światło dnia. Zasłonił oczy dłonią i spojrzał przez szczelinę między palcami. Zobaczył nad sobą dziewczynę z rękami opartymi na biodrach...

Lena, przypomniał sobie.

- Twój pies. Chyba zdechł.

Potrzebował kilku chwil, by te słowa nabrały sensu. Ostatnio nie lubił się budzić; poranki zawsze były ponure i niechciane; nie lubił się z nimi konfrontować.

- Co? - zapytał.

Usiadł i spod zmarszczonych brwi spojrzał na dziewczynę, a także na słońce, które świeciło na niebie już od kilku godzin. Podarek leżał przy nim, w tym samym miejscu, w którym ułożył się wieczorem. Stary pies ciągle spał, to nic dziwnego, ale muchy łąziły po jego pysku i płowej sierści.

- Co? - powtórzył Nico.

Machnął ręką, przeganiając muchy, a potem pogładził Podarka. Pies nawet nie drgnął.

- Tak leży, odkąd się obudziłam - dobiegł gdzieś z daleka głos Leny. - Mówię ci, my będziemy następni, jeśli nie znajdziemy czegoś porządnego do jedzenia.

- Podarek?

W świetle dnia pies wydawał się przeraźliwie chudy. Żebra sterczały z boków, grzbietem biegł ostry grzebień kości. Nico spodziewał się zastrzyżenia uchem, może głębokiego westchnienia do jakichś zwierzęcych snów. Ale się nie doczekał.

Położył się na trawie i naciągnął koc na głowę. Po chwili objął starego przyjaciela ramieniem.

Letnie susze utwardziły grunt, więc Nico musiał spulchnić go nożem, zanim zdołał gołymi rękami wykopać grób. Wybrał miejsce pod starym rozłożystym drzewem na pagórku, zaraz za południowym końcem parku, niedaleko miejsca, gdzie zwykle sypiali. Wygłodzone twarze wpatrywały się w niego, kiedy pracował. Niejeden raz w ostatnich miesiącach musiał odpędzać ludzi, którzy chcieli zabić jego psa, ludzi desperacko pragnących mięsa. Nico krzyczał na nich i rzucał patykami, a Podarek stał przy nim i warczał. A teraz chłopiec patrzył na nich wyzywająco, a łzy rysowały jasne linie na brudnej twarzy. Zabiję każdego, kto spróbuje go dotknąć, powtarzał sobie w myślach.

Podarek ważył tyle, co worek chrustu, kiedy Nico podniósł go na rękach i złożył w płytkim grobie. Przez chwilę klęczał nad nim i głaskał złociste futro. Muchy znowu się zleciały. Podarek był ledwie szczeniakiem, kiedy ojciec przyprowadził go do domu; Nico miał wtedy parę miesięcy. „Towarzysz, który będzie się tobą opiekował”, wyjaśnił ojciec kilka lat później. Podarek wyrósł już wtedy na wielkiego psa gończego, a oni stali się niemal nierozłączni. Tę rasę hodowano do polowań na jelenie i niedźwiedzie, do biegania po otwartych polach i zalesionych zboczach. Ten ostatni rok, kiedy byli bezdomni na ulicach miasta, kiedy ciągle brakowało im jedzenia, źle się obszedł ze zwierzęciem.

Ciężko było wpychać ziemię do otworu, zasypywać go...

- Żegnaj, Podarku - powiedział w końcu, uklepując grób, a jego

młody głos wydobył się jako suchy szept, samotny pod niebem.

Wstał i wcisnął na głowę słomkowy kapelusz. Żałował, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Zwykle słowa z łatwością wypływały z jego ust.

Jego cień padał na grób - wyraźny kontur, z rozsuniętymi nogami, dłońmi zaciśniętymi jak kule i pękata przez ten kapelusz głową. Jego obecność barwiła czernią tę suchą, rozkopaną ziemię.

- Przykro mi, że pozwoliłem ci iść ze sobą do miasta - rzekł. - Ale cieszę się, że byłeś tu ze mną. Bez ciebie nie przetrwałbym długo, Podarku. Byłeś dobrym przyjacielem.

Przygaszony, powlókł się do wielkiej sadzawki i znalazł sobie miejsce wśród innych mieszkańców parku, którzy obsiedli brzeg. Zmył ziemię z rąk, choć pod paznokciami pozostały półksiężyc brudu. Poobcierał skórę wokół nich przy kopaniu i przez chwilę obserwował, jak krew skapuje małymi obłoczkami w mętną wodę sadzawki.

Nico odgarnął zanieczyszczenia z powierzchni wody, wyjął z tobołka czyściłkę i wyszorował zęby. Czuł obrzydliwy smak wody na wargach, jakby zgnilizny, i pilnował, żeby jej nie połykać. Światło go oślepiało. Kawalek dalej, na środku sadzawki, płonęło odbicie słońca. Przez chwilę wpatrywał się w nie - dość długo, by zapiekły oczy.

Zagubiony, bez celu... Myśli powracały wolno, osiadały ostrożnie. Po prostu idź, mówiły do niego. Wstań i idź.

Nico wstał i zarzucił na plecy swój tobołek - wszystko, co posiadał. Krew odpłynęła mu z głowy i zachwiał się, czując mdłości i osłabienie. Dookoła niego w parku tłoczyli się uchodźcy; już dawno wydeptali do gołej ziemi żółte trawniki i wycięli drzewa - teraz tylko smętne samotne pnie sterczały z ziemi. Wysunął nogę do przodu i pozwolił ogarnąć się rytmowi marszu. Bez pośpiechu, nawet bez celu wybierał drogę między drewnianymi szałasami i połatanymi namiotami, pozszywanymi ze starych ubrań. Mijał grupki brudnych, chudych jak patyki dzieciaków, mężczyzn i kobiet o tępych spojrzeniach, starających się przetrwać dłużej niż tylko tę chwilę. Niektórzy wyglądali na Khosyjczyków, ale wielu uszło z południowego kontynentu, Pathianie i Natalczycy, albo niedawni przybysze z północy, z Lagos albo z Zielonych Wysp. Jak na tak wielu

ludzi, panowała tu dziwna cisza. Psy szczekały, oczywiście. Niemowlaki płakały, domagając się matczynego mleka. Ale poza tym oszczędzano siły na rzeczy ważniejsze od rozmów.

Nicowi zaburzało w brzuchu od zapachów ich jedzenia. Od dwóch tygodni jadł tylko bulion żebraków - gorącą chee z pływającymi w niej kawałkami keeshu. Nikt nie mógł długo przeżyć na takim wikcie; już teraz spodnie wisiały luźno na pasku, który ledwie parę dni temu zaciągnął mocniej. Przy każdym ruchu czuł, jak sterczące kości ocierają się o szorstkie, brudne ubranie. Ta dziewczyna, Lena, miała rację: jeśli szybko nie zje czegoś porządnego, położy się i umrze jak Podarek.

Po prostu idź, uspokajał się w myśli.

Minął główną bramę parku Słonecznych Jaskółek i wyszedł na ulicę. Ludzie poruszali się bez pośpiechu, gawędzili albo byli zatopieni we własnych myślach. Ciągnięte ręcznie riksze turkotały na bruku, przewożąc pojedynczych pasażerów ze wszystkich warstw społecznych.

Od południa Nico słyszał pomruk dział, oddalonych ledwie o laq.

Ruszył do serca miasta, w stronę tych armat; luźne podeszwy stukały o grunt, głowę miał zwieszoną. Kilka przecnic dalej skręcił za róg i znalazł się w Alei Kłamstw. Hałas ogłuszał - jakby Nico wynurzył się z głębokiej jaskini w ryczący prąd wody. Krzyki słychać było częściej niż zwykłą rozmowę. Hordy ulicznych komediantów uderzały w dzwonki albo grały na fletach za drobną monetę, pobrzękiwały wiszące nad ulicą wiatrowe dzwonki. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy Bar-Khosu zapragnęli jak najgłośniej hałasować, zagłuszyć wszystko, co w codziennym życiu mogłoby im przypomnieć o trwającym oblężeniu.

Drzewa stały wzdłuż prawie całej alei. Na jednym z nich, na nagiej skrzyżowanej gałęzi opadającej ku ulicy, czarno-biała sroka przyglądała się chaosowi w dole. Z przyzwyczajenia, Nico uniósł palce do skroni, witając ptaka.

Ten drobny gest przypomniał mu całkiem inny ranek - tego dnia, kiedy na dobre opuścił dom. Wtedy też widział srokę. Skrzeczała na niego z dachu chaty, kiedy wyruszał o brzasku z tobołkiem na plecach i głową pełną naiwnych myśli. Nie lubił tych ptaków tak



samo, jak nie lubił bezsensownych zabobonów, ale i tak skinął sroce głową, jak zawsze robiła matka. Potem skierował stopy na ścieżkę, która miała go doprowadzić do nadbrzeżnego traktu, a potem, po czterech godzinach marszu, do miasta. Akurat tego dnia wolał nie kusić losu.

Tego samego ranka przekonał się, że ucieczka z domu nie jest takim radosnym wydarzeniem, jakie sobie wymarzył. Z każdym krokiem coraz bardziej ciążyły mu wyrzuty sumienia. Matka oszaleje, kiedy zobaczy, że zniknął. A Podarek... Podarek będzie tęsknił na swój własny psi sposób.

Odchodząc, delikatnie pogłaskał psa, który spał spokojnie na wysłużonym, wytartym kocu pod łóżkiem Nica - był już za stary, by budzić się o świcie. Zaskomlał tylko przez sen, jak szczeniak, i dyskretnie puścił wiatry.

- Nie mogę cię zabrać - szepnął Nico. - Nie spodobałoby ci się w mieście.

Potem odszedł szybko, by zdążyć, nim zmieni zdanie. Jednak poczucie winy nie pozwoliło mu odejść daleko; kiedy maszerował po ścieżce, z niezwykłą mocą uświadomił sobie, że widzi coś więcej niż rzędy trzcinodrzew, kołyszące się czerwone trawy i wijący się łagodnie szlak. Przed nim rozciągała się ogromna przestrzeń nieznanego, przyszłość budząca lęk i bezgraniczna. Ta myśl mogłaby go skłonić, by zawrócić, gdyby tylko miał jakąś sensowną alternatywę - ale nie miał. Lepiej uciec, niż tkwić w dusznej atmosferze chaty, z Losem, ostatnim kochankiem matki. Drań, myślał o nim Nico. Człowiek, którym gardził.

Tego dnia Nico kończył szesnaście lat. Skręcając i tracąc z oczu dom swojego dzieciństwa, jak jeszcze nigdy w życiu odczuwał przytłaczający niepokój i samotność, ponure odosobnienie ducha.

Kiedy usłyszał za sobą miękkie stąpanie łap Podarka, uśmiechnął się wbrew sobie.

Pies zjawił się u jego boku, w podnieceniu machając ogonem.

- Wracaj do domu - szepnął Nico, ale niezbyt szczerze.

Podarek sapał beztrąsko. Wyraźnie nie miał zamiaru iść nigdzie bez Nica.

Chłopak jeszcze raz spróbował go przepędzić, ale nie wkładał w to

serca. W końcu zwichrzył sierść na jego karku.

- No to chodź - powiedział.

Dzień się rozjaśniał, a oni razem kontynuowali długą wędrówkę do miasta.

Nico uśmiechnął się do tych wspomnień. Miał wrażenie, że choć było to rok temu, minęło całe życie. Zmiana jest prawdziwą naturą czasu, jak sobie uświadomił. Zmiana i strata.

Teraz zmierzał na południe, podążając za tłumem kierującym się na bazar albo do portu.

Nie wiedział jeszcze, który z tych celów wybierze, gdyż o żadnym jeszcze nie myślał.

Budynki po obu stronach wyrastały na trzy, niekiedy cztery piętra; ściągały spojrzenie Nica ku górze, ku dachom porośniętym zielenią. Wysoko ponad kominami, w powietrzu wisiały zacumowane kupieckie balony. Pod nimi dyndały wiklinowe kosze, a w jednym wypatrzył nawet twarz młodego chłopaka - osłaniał oczy, spoglądając ku brzegowi, obserwując dalekie platformy sygnalizacyjne, wypatrując znaków zbliżających się jednostek. Poza nim błękitna powłoka nieba rozjaśniała się i białała w oślepiającym blasku słońca. Krążące mewy były zaledwie punktami.

Nico odruchowo skręcił w lewo w Drogę Gato. Zatem bazar... Zastanowił się nad tym instynktownym wyborem. Bazar niewiele oferował komuś wygłodzonemu i bez żadnych środków - ale właśnie tam bywali z matką, żeby raz w miesiącu sprzedawać warzony w domu potcheen; jeździli do miasta rozklekotanym wózkiem, by zarobić trochę pieniędzy. Kiedy był młodszy, te wyprawy stanowiły główną atrakcję miesiąca - ekscytujące, ale jednak bezpieczne dzięki obecności matki.

Mężczyzna ciągnący pustą riksę skręcił przy nim i Nico wstąpił w eksplozję hałasu.

Bazar był miejscem chaosu. Wielki plac - tak ogromny, że najdalsze granice przesłaniały dym i mgiełka - otwierał się z jednej strony na morze i szare kamienne pomosty portu, gdzie maszty kołysały się gęsto jak drzewa w lesie. Z pozostałych trzech stron plac otaczały cieniste portyki domów chee, oberży i świątyń Wielkiego Błazna. Między nimi zaś rozciągał się labirynt straganów; tysiące ludzi

przeciskało się, targowało albo oglądało wystawione towary.

Nico nagle zapragnął zgubić się w tym ścisku; pozwolił, by poniosła go ludzka fala.

Ze wszystkich stron przykuwały wzrok przesycone słońcem kolory. Nico odpędził muchy od twarzy i wciągnął do płuc wilgotny odór potu, aromatycznych przypraw, zwierzęcych odchodów, perfum i owoców. Jego żołądek płonął - z każdym krokiem pożerał sam siebie i resztę wychudzonego ciała. Czuł się półprzytomny, jakby nierzeczywisty. Oczy śledziły tylko jedzenie wokół, na straganach już na wpół opróżnionych z towarów. Głowę wypełniały myśli o porwaniu jabłka czy kawałka wędzonego kraba. Walczył z nimi, bo wiedział, że gdyby go ścigali, nie miałby sił na ucieczkę.

Na chwilę, żeby zapomnieć o rosnącej pokusie, przystanął w cieniu straganu i słuchał, jak uliczni sprzedawcy śpiewają z zapałem ponad głowami przechodniów. Melodia była przyjemna, choć piosenka nie dotyczyła niczego ważniejszego niż oferowane towary i dzisiejsze ceny. Pod wpływem nagłego impulsu, Nico zapytał kilku, czy nie mają pracy za jedzenie. Pokręcili głowami - nie mieli dla niego czasu. Sami ledwie zarabiali na życie, mówiły ich miny. Jakaś stara kobieta na straganie, na którym leżały płaty galackich koronek obok kosza na wpół zgniłych ziemniaków, roześmiała się, jakby powiedział jakiś żart... ale opanowała się, kiedy dostrzegła jego niepewne spojrzenie i wychudłe ciało.

- Przyjdź za parę dni - zaproponowała. - Niczego nie obiecuję, ale może będę miała jakąś robotę. Przyjdiesz i zgłosisz się do mnie, tak?

Podziękował jej, choć obietnica niewiele mu pomogła. Za kilka dni może już być za słaby.

A może, pomyślał smętnie, pora wrócić do domu? Co jeszcze trzyma go teraz w mieście?

Czerwona Gwardia go nie chce; już nie pamiętał, ile razy próbował się zaciągnąć, jak kiedyś jego ojciec, ale wyglądał na swój młody wiek i nie udało mu się granie starszego. A w Bar-Khosie nie było wiele dorywczych zajęć. Przez ostatni rok raptem kilka dni udało mu się przepracować, głównie w dokach, gdzie dźwigał w upale ciężkie pakunki za nędzną zapłatę.

A poza tym nic prócz codziennej desperacji. W mieście było po

prostu zbyt wielu ludzi do pracy. A wobec pogłębiającego się kryzysu żywnościowego, wynikającego z oblężenia, coraz trudniej było tu przeżyć.

Luźna konfederacja wysp, zwana Mercją, nadal była wolna, oczywiście, ale tak naprawdę oblężona przez mannijskie blokady morskie, podobnie jak Bar-Khos był oblężony przez Czwartą Armię. Nie istniała bezpieczna droga prowadząca z wysp ani na wyspy. Odkąd wszystkie krainy Midèrēs zostały podbite - oprócz pustynnego Kalifatu na wschodzie - imperialne flotylle patrolowały morskie szlaki. Tylko jedna droga handlowa była jeszcze otwarta dla Mercji - szlak zanzaharski, trudny dla konwojów i broniony każdego dnia, gdyż wrogowie bezustannie szarpali linie żeglugowe.

Blokady powoli niszczyły życie w Wolnych Portach. Wielu ludzi usiłowało przetrwać o keeshu, rozdawanym za darmo przez radę miasta, albo dzięki temu, co hodowali na dachach, w niewielkich ogródkach warzywnych. Niektórzy uciekali się do przestępstw i prostytucji albo przebierali za mnichów Dao, którzy jako jedyni mieli jeszcze prawo legalnie żebrac na ulicach. Albo głodowali, jak Nico.

W domu będzie miał przynajmniej strawę i dach nad głową. Poza tym, znając matkę, do tej pory pewnie otworzyły się jej oczy i wyrzuciła Losa z chaty. Albo, jeśli nie, Los pewnie od niej uciekł, bez wątpienia zabierając wszystkie cenne rzeczy. Tak czy inaczej, jakiś inny mężczyzna zajmuje teraz miejsce jego nieobecnego ojca.

Mimo to nie chciał wracać jako nieudacznik. Przyznałby wtedy, że nie potrafi sam sobie radzić.

Ale jesteś nieudacznikiem. Nie potrafiłeś nawet zaopiekować się Podarkiem. Zwyczajnie pozwoliłeś mu umrzeć.

Na tę myśl nie był przygotowany. Przełknął ślinę i mocno zamrugął oczami.

Było już prawie południe i asago zaczął swym gorącym oddechem podnosić baldachimy.

Zawsze nadchodził o tej porze roku, a zwłaszcza o tej godzinie. Wkrótce potem rosnący upał zaczął wypędzać ludzi do chłodniejszych miejsc, do okolicznych pijalni chee, gdzie mogli przetrwać czas sjesty w spokoju i gdzie było w miarę wygodnie. Nico prawie nie zauważał gorąca. Pustoszejący bazar pozwolił mu szybciej

pójść na południowo-zachodni róg wielkiego placu. Tam, niczym głęboki oddech ulgi, bazar otwierał się na rozległą przestrzeń portu. Tam właśnie znalazł ulicznych komediantów, którzy zaczynali pracę. Siedzieli lub stali wszędzie, gdzie znaleźli nieco wolnej przestrzeni w nieustającym strumieniu tragarzy, podążających z nabrzeży. Wielu przerywało na czas sjesty, ale inni - ci twardzi, a może w większej potrzebie - woleli raczej zostać, mimo upału. Nico rozejrzał się wśród żonglerów, wróżących z języka, wśród żebrzących mnichów przy swoich miseczkach - fałszywych mnichów, jak zawsze powtarzała matka - aż wreszcie dotarł do grupy ledwie widocznej w tłumie gapiów. Wcisnął się między ludzi, żeby lepiej widzieć.

Była to trupa aktorska: dwóch mężczyzn i kobieta, których nigdy jeszcze nie widział. Bez zastanowienia zaczął pchać się dalej, aż stanął w pierwszym rzędzie.

Przedstawienie było dość proste - historia ubogiego hodowcy wodorostów i jego miłości do pięknej morskiej czarownicy. To były *Opowieści Ryby*, recytowane przez młodszego mężczyznę, chyba w wieku Nica, prostą prozą, która ostatnio zyskiwała coraz większą popularność, wypierając zawikłane sagi z dawnych czasów.

Drżącym, piskliwym głosem młody człowiek snuł opowieść, a tymczasem starszy mężczyzna i kobieta odtwarzali ją w pantomimie. Było jasne, dlaczego przyciągnęli tak liczną publiczność: kobieta była wysoka i gibka, o pięknej brązowej skórze, a morską wiedźmę grała w odpowiednim kostiumie, a więc była naga, jeśli nie liczyć długich złocistych włosów i kilku pasemek wodorostów. Delikatne przebłyски nagich ud czy piersi rozpraszały uwagę i ściągały spojrzenie Nica, choć próbował skoncentrować się na spektaklu.

Lubił oglądać aktorów, kiedy tylko na nich trafił. Uznał, że kobieta jest świetną aktorką, a jej talent wyraźnie kontrastował z mniejszymi i niezbyt licznymi umiejętnościami partnera.

Był zbyt przesadny, zbyt napuszony w swojej roli i niewielu widzów zwracało na niego uwagę. Wszyscy gapili się na ciało kobiety, tak jak Nico.

Wciąż patrzył oczarowany, kiedy oklaski nagrodziły tragiczny koniec historii - hodowca wodorostów popłynął po śmierć, ścigając swoją ukochaną do morza. Gdy młody narrator przeszedł dookoła z

kapeluszem, prosząc o datki, Nico poczuł, że ma rozdziawione usta.

Zamknął je gwałtownie. Aktorka tymczasem narzuciła na ramiona cienką szatę, pod nią zerwała z siebie wodorosty i rzuciła je do drewnianego cebrzyka. Kiedy odgarnęła włosy do tyłu, rozejrzała się i pochwyciła wzrok Nica. Przyjrzała mu się.

Jeszcze rok temu Nico spuściłby głowę i zakłopotany wpatrywał się we własne stopy.

Jednak przez ten rok, żyjąc w mieście, nabrał doświadczenia w odpowiadaniu na takie spojrzenia, bo przyciągał ich sporo. Nie wiedział dlaczego. Nie uważał się za szczególnie przystojnego; nawet gdy dobrze się odżywił, zawsze był chudy. A jego twarz, kiedy ją oglądał w zmatowiałym lustrze matki, zawsze wydawała mu się dziwaczna - nos zadarty, wargi zbyt pełne i szerokie, skóra piegowata jak u dziewczyny. A jeśli przyjrzał się uważniej, to między brwiami, gdzie kiedyś rozdrapał krostę wietrznej ospy, widział dwie okrągłe blizny.

Prawdę mówiąc, nie wiedział, czemu osłonięte długimi rzęsami oczy aktorki zatrzymały się na nim tak długo. Przynajmniej potrafił wytrzymać jej pełen uznania wzrok przez chwilę dostatecznie długą, by liczyć ją w sekundach; potem jej spojrzenie wygrało, odwaga go opuściła i odwrócił głowę.

- Zarumieniłeś się - odezwał się jakiś głos.

To była Lena. Stała tuż za nim, mrużąc oczy od słońca. Wydawała się całkiem ładna bez tej swojej zmarszczki na czole, która szpeciła jej pathiańskie rysy.

- Jest gorąco - wyjaśnił, a wąskie wargi Leny uniosły się lekko w kącikach. Nico mówił dalej, podejrzliwie: - Nie zauważyłem, że tu stoisz.

- Szłam za tobą - przyznała bez oporów. - Żeby sprawdzić... no wiesz... że wszystko z tobą w porządku.

Nie uwierzył jej. Jak dotąd Lena nie dała się poznać jako ktoś przesadnie zainteresowany samopoczuciem innych. Zastanawiał się, o co może jej chodzić.

- Posłuchaj - mówiła dalej. - Przykro mi z powodu twojego psa. Naprawdę. Ale musimy coś zrobić, Nico. Musimy szybko zdobyć jakieś jedzenie.

Wzruszył ramionami.

- Keesh będą rozdawać dopiero jutro. Zresztą zastanawiam się, czy nie powinienem już wrócić do domu.

- Ale tego nie chcesz, co?

- Raczej nie.

- To dobrze, bo mam o wiele lepszy pomysł, jeśli cię to zainteresuje. To sposób, żebyśmy zdobyli jakieś pieniądze.

Aha, pomyślał. Zaraz się okaże...

Stała tak blisko niego, że jedna pierś musnęła jego skórę. To nim wstrząsnęło, fizycznie, tym bardziej że - jak podejrzewał - nie był to przypadek. Nico przyglądał się jej spod runda kapelusza i myślał - nie pierwszy raz - jakby to było, gdyby ją pocałował.

- Dlaczego mam przeczucie, że mi się ten pomysł nie spodoba? - zapytał chrapliwym głosem.

Lena odgarnęła z twarzy kosmyk ciemnych włosów i odpowiedziała cicho, z przejęciem:

- Bo ci się nie spodoba. Ale nie mamy wielkiego wyboru, prawda?

Asago szeleścił na dachach Bar-Khosu, niosąc ziarna piasku z pustyni Alhazii, sześćset laq stąd na wschód. Od pyłu piekły oczy; Nico mrużył je i się krzywił. Chciał zejść na dół.

Nie czuł się dobrze na wysokości.

Z tego miejsca wyraźnie widział Tarczę i Górę Prawdy z parkiem na szczycie. Wśród zieleni wyrastał wysoki gmach Ministerstwa Wojny.

Na kilka przyjemnych chwil wiatr ucichł, jakby ktoś zamknął drzwiczki piekarnika. Z daleka słyszał zwykły perkusyjny rytm armatnich strzałów, a czasem ledwie słyszalny krzyk.

- To szaleństwo. A jeśli nas złapią?

- Nie marudź - burknęła z tyłu. - Jak nie, to pójdę do portu i będę zadzierać spódnice dla każdego, kto mi zapłaci. Wolałbyś, żebym tak zarabiała?

- Nie masz nawet spódnicy.

- Po paru ręcznych akcjach będzie mnie na nią stać. Mógłbyś wtedy zostać moim sutenerem. Zaczynam myśleć, że by ci się to podobało, tak stać z tyłu i nic nie robić.

Westchnął i ruszył dalej.

Zdjął buty i niósł je w rękę, jak zasugerowała Lena. W ten sposób

łatwiej mu było utrzymać się na dachówkach. Oczywiście, pomysł był dobry, tylko dachówki tak mocno parzyły bose stopy, że niemal tańczył po dachu.

- Moje stopy - poskarżył się. - Przypalę je...

- Wolisz spaść i rozbić sobie głowę?

- Wolę zejść z tego dachu, Lena. Tego właśnie chcę.

Nie odpowiedziała.

Przesuwali się po ukośnym dachu tawerny, trzy piętra nad ulicami miasta. Tawerna składała się z dwóch budynków, jednego wyższego niż drugi. Dwa piętra wyższego wyrastały przed nimi: krusząca się bielona ściana z wąskimi oknami. Niektóre miały szczelnie zamknięte okiennice, inne były otwarte i powiewały z nich firanki z pięknych galackich koronek.

Wokół stóp Nica jaszczurki wylegiwały się na rozgrzanych dachówkach, rzucając mu prastare i wrogie spojrzenia; Lena zaś, gdy wyszła na prowadzenie, rozglądała się szybko i nerwowo. Zajrzała do jednego z otwartych okien i odsunęła się szybko, słysząc z wnętrza jakieś głosy. Przykucnęła i przeszła do kolejnego, sprawdziła je, zrezygnowała, poszła dalej.

Nico przeskakiwał z nogi na nogę; ból stawał się nie do wytrzymania. Wsunął buty, nie pojmując, co - na Erēs - robi tutaj z dziewczyną. Zastanawiał się też, czy już wcześniej próbowała czegoś takiego. Ryzykowali publiczną chłostę, gdyby ich schwytano.

- Tutaj - szepnęła, gdy Nico zbliżył się do okna, które wybrała. - Włóż do środka i szukaj torby albo sakiewki.

- Ja? - spytał bezgłośnie Nico.

- Tak, ty. Do tej pory niczego nie robisz, tylko narzekasz.

- Lena, mówię poważnie, chodźmy stąd, zanim będzie za późno.

Mocniej zmarszczyła brwi.

- Chcesz coś zjeść, czy nie? - spytała.

- Nie, jeśli mam zajmować się czymś takim. Ty rób co chcesz, ja idę.

Odwrocił się, ale chwyciła go mocno.

- Mówiłam poważnie - szepnęła. - Jeśli nie spróbujemy, to idę do portu. Zrobię wszystko, nic mnie nie obchodzi. Nie mam zamiaru umrzeć z głodu jak twój pies.

Słowa i uścisk jakby rzuciły na niego urok. Żołądek zaburczał,



zachęcając go do działania. Otępiały, pokiwał głową.

Puściła go i splotła dłonie, by go podsadzić. Nie całkiem wiedział, co robi, kiedy zacisnął zęby i wdrapał się na górę.

Niezręcznie przesunął się pod kołysanymi wiatrem firankami; starał się zachowywać jak najciszej. Cały drżał; biały parapet grzał dłonie. Wewnątrz opuścił stopy na kamienną podłogę. Podeszwy dotknęły jej bezgłośnie.

Wyprostował się... i zamarł.

Na łóżku leżała jakaś postać w ciemnej szacie.

Nico omal się nie zadławił. Serce biło tak głośno, że musiał je chyba słyszeć każdy w zasięgu głosu. Na szczęście leżący spał; jego pierś unosiła się i opadała w regularnym rytmie.

Skóra mężczyzny była czarna. Przybysz z bardzo daleka, uznał Nico. Stary wędrowiec z łysą głową i surową, pooraną zmarszczkami twarzą. Było coś jeszcze - na policzkach, coś błyszczącego w promieniach słońca wpadających przez rozkołysaną koronkę.

On płacze przez sen, uświadomił sobie Nico.

Lena patrzyła na niego gniewnie przez okno. W żaden sposób nie mógł nie patrzeć na tę twarz. Przełknął ślinę, tłumiąc lęk i nagłe poczucie winy. Zacisnął spocone dłonie i przekradł się do miejsca, gdzie stało krzesło, wyrzeźbione z poskręcane drewna. Leżał na nim skórzany plecak. Sięgnął po niego bezszelestnie. W oknie Lena wyszczerzyła zęby i zamachała dłonią, dając sygnał do pośpiechu.

Przeszukiwanie skórzanej sakwy okazało się nerwowym zajęciem; dłonie Nica przesuwwały się niezręcznie, a pot zalewał mu oczy. Przez chwilę słyszał głosy za drzwiami, zaskrzypiały deski, gdy ktoś przeszedł. Przyspieszył, aż wreszcie znalazł sakiewkę, grubą i ciężką od monet.

Lena znów zamachała ręką. Starzec spał dalej.

Miał już wyjść, kiedy zauważył przedmiot wiszący na tym samym krześle. Był to wisior, ale nie ozdoba z klejnotami lub srebrem. Ten był brzydki: przypominał duży skórzasty orzech, pokryty jakby zaschniętą krwią.

Pieczeń, uświadomił sobie. Starzec nosi pieczęć.

Jakby bez udziału świadomości, ręka sięgnęła po wisior.

Za jego plecami starzec stęknął nagle na posłaniu. Nico

powstrzymał się i cofnął rękę. Co on sobie myślał?

Odwrócił się do okna i przerażony niemal upuścił sakiewkę. Stary wędrowiec siedział wyprostowany i mrugał niespokojnie dziwnymi, spuchniętymi powiekami.

Nico poczuł, że przestaje panować nad żołądkiem. Nie mógł się ruszyć. Spoglądał to na drzwi, to na okno, i nerwowo oblizywał wargi.

Mężczyzna poruszył głową, jakby przeszukiwał wzrokiem pokój. Wydawało się, że prawie nie widzi.

- Kto tu jest? - wychrypiał.

Nico nie mógł się dłużej powstrzymać. W sześciu szybkich krokach przebiegł przez pokój i wygramolił się przez okno.

- Zbudził się - szepnął, kiedy biegli po pochyłym dachu.

Jaszczurki bez ruchu obserwowały ich ucieczkę.

- I jest na wpół ślepy, sądząc po tym, co mówił - odpowiedziała Lena, nie zwalniając biegu. - Szybciej.

Nico podążał za nią wolniej, skoncentrowany na tym, by nie ześliznąć się z dachówek.

Dotarli na krawędź dachu. Czekał ich wysoki na półtora metra skok na dach sąsiedniego budynku.

- No już. - Lena odwróciła się do niego. - Dawaj ją - zażądała, zerkając na sakiewkę.

Nico zatrzymał się, przyciskając zdobycz do piersi. Nie chciał tych pieniędzy. Ale nie chciał też, żeby wzięła je Lena.

Spróbowała mu wyrwać sakiewkę, ale szarpnął się do tyłu. I wtedy ześliznęła się jego lewa stopa. Upadł na bok. Zobaczył jeszcze, jak Lena sięga po niego rozpaczliwie - z pewnością po sakiewkę - i uderzył o dachówki, wśród uciekających jaszczurek, wydychanego powietrza... I to było wszystko. Stoczył się z hałasem aż na krawędź, nogi zawisły wysoko nad brukiem, oddech uwiązał w gardle, palce rozpaczliwie szukały zaczepienia, którego nie znalazły...

Spadł.

Wrzasnął ze wszystkich sił, jakie miał jeszcze w płucach. Ramieniem otarł się o sztyd tawerny i jego ciało się obróciło, nim pomknął dalej twarzą w dół, w stronę płóciennego baldachimu. Zaklął, kiedy przebił się przez tkaninę, i wciąż krzyczał, gdy skoczył

ku niemu bruk ulicy; ręce uniosły się odruchowo, by osłonić twarz, kiedy roztrzaskał jeden ze stolików wystawionych przed tawerną.

Nico leżał bez tchu wśród szczątków baldachimu i stolika, a drewniane drzazgi, płatki farby i strzępy materiału opadały na niego jak śnieg. Po krótkiej chwili jakaś gruba kobieta podeszła, by mu pomóc; inni siedzieli wstrząśnięci z uniesionymi do ust kubkami chee. Nico był oszołomiony, nie mógł nabrać tchu. Widział leżący przed sobą słomkowy kapelusz. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze żyje.

Na dodatek wypchana sakiewka musiała wypaść mu z ręki, kiedy zsuwał się po dachu, i przez ten czas wolniej, prościej drogą, ale równie nieuchronnie zbliżała się do krawędzi.

Kiedy kobieta się nad nim pochyliła, sakiewka eksplodowała na kamieniach tuż przed twarzą chłopca, rozrzucając po ulicy złote i srebrne monety wśród przerażającego brzęku i błysków.

Kobieta podniosła dłoń do ust. Przechodnie patrzyli zdumieni. Ich spojrzenia rejestrowały chłopca, fortunę, upadek z dachu tawerny... i po chwili podniósł się krzyk.

- Złodziej! - wołali, gdy Nico był wciąż zbyt oszołomiony, by się ruszyć.

- Złodziej! - krzyczeli chórem, kiedy przewrócił się na wznak, spojrzał na dach, z którego właśnie zleciał, i przekonał się, że Lena zniknęła.

Tylko słońce pozostało, spoglądając na jego nieszczęście.

Ogłupiały Nico miał nadzieję, że to tylko sen, nocny koszmar, z którego zaraz się ocknie.

Ale para mocnych rąk potrząsnęła nim mocno, odbierając tę nadzieję. A kiedy postawiono go na nogi, rzeczywistość uderzyła z większą siłą niż grunt. Słodka Erēs, krzyczał w myślach, to prawda! To rzeczywiście się dzieje!

I wtedy stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ 3

### Wizyty



Nigdy jeszcze nie widział więzienia, a co dopiero mówić o spędzeniu w nim nocy.

Był to otwarty plac i większość osadzonych mogła swobodnie się poruszać wewnątrz murów. Była tam nawet swego rodzaju tawerna dla tych, którzy mieli pieniądze, i kantyna z jedzeniem lepszym niż owsianka nalewana na placu. Na ogół strażnicy - w większości także więźniowie - nie wtrącali się i zostawiali innych samym sobie.

Nico zajął miejsce w kącie celi - jednej z wielu w labiryncie głęboko pod głównym placem. Usiadł na warstwie gnijącego, pełnego robactwa siana; światło dawała wisząca nad drzwiami oliwna lampa. Siano cuchnęło starym moczem i widział przebiegające między źdźbłami karaluchy.

W tej samej celi siedzieli inni złodzieje i dłużnicy w różnym wieku, niektórzy młodzi jak Nico albo jeszcze młodsi. Nie zwracali na niego uwagi; wchodzili i wychodzili, i rzadko zostawali na dłużej. Nico był im za to wdzięczny. Siedział w swoim kącie, chroniąc poobijane i obolałe ciało; myśli krążyły jak czarne ptaki, dręcząc go bezustannie. Choć się starał, nie mógł nie wspominać domu i matki. Byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, że został złodziejem, schwytanym na gorącym uczynku. Nie miałyby słów, by wyrazić swój gniew.

Ale z drugiej strony, sama też nie była bez winy. Gdyby się zastanowił, co doprowadziło go tutaj, gdyby cofnął się o rok czy nawet dalej, to była tak samo odpowiedzialna jak on. To przecież ona uważała, że musi wypełnić swoje puste życie sznurem źle dobranych kochanków. To ona wolała ignorować konflikt między synem i Losem, który doprowadził Nica do ucieczki z domu, a potem do tego.

Los był kolejnym w długim rzędzie złych wyborów matki. Pierwszej nocy sprowadziła go do domu z oberży na rozstajach, ubranego w kosztowny strój, o wiele za luźny - na pewno kradziony; mężczyzna mierzył wzrokiem przedmioty w chacie, jakby chciał ocenić, ile są warte - włącznie z matką. Było jasne, że postanowił ją uwieść; nocą tak bardzo hałasowali w sypialni, że Nico musiał zawlec swoje poślanie do stajni i położyć się w towarzystwie ich starego konia Szczęściarza.

Miał jej to za złe - tę słabość do mężczyzn. Wiedział, że miała swoje powody, wiedział, że trudno właśnie ją obwiniać za to, co stało się z obojgiem, matką i synem. Ale tak już było i nic nie mógł na to poradzić.

Dzień już teraz był najgorszym w jego życiu i pozostałe godziny spędził w otępieniu. Po zapadnięciu nocy, którą tutaj zapowiadały nie zmierzch, ale zgaszenie lamp i daleki trzask ciężkich wrót, smród celi stał się jeszcze bardziej odrażający - płynąca w powietrzu, dusząca miazma, niosąca odór ludzkich zwierząt, zbyt długo trzymany w klatce we własnym brudzie. Był tak silny, że Nico obwiązał chustką usta i nos. Niewiele to jednak pomogło i od czasu do czasu musiał unieść jej róg, by wypluć osiadający na języku obrzydliwy posmak.

Zdawało się, że zawieszenie broni obowiązywało wśród więźniów za dnia, ale nie w długich godzinach ciemności. W sąsiedniej celi wybuchła bójka, podniosły się wrzaski i jęki, a potem przeciągły krzyk cierpiącego człowieka; po chwili przycichł do rzadkich szlochów, po czym całkiem zamilkł. Przez jakiś czas tępe uderzenia docierały przez kamienną ścianę za plecami Nica, jakby po drugiej stronie ktoś tłukł głową o mur, przy każdym uderzeniu wykrzykując zduszone słowa, które mogły brzmieć: „Wypuście mnie, wypuście mnie!”

Nico nie mógł się zmusić, by zasnąć. Był jednak zmęczony, wyczerpany wydarzeniami tego dnia i myślą o tych, które jeszcze nadejdą. Leżał więc i słuchał chrapania więźniów, czasem strącał karalucha i przeklinał sam siebie, że w ogóle przyszedł do tego miasta, że zabrał ze sobą Podarka, że dał się skusić Lenie i jej głupim pomysłom.

Wiedział, że nie należy jej ufać - w jego towarzystwie rzadko okazywała sumienie.

Ciekawe, co robi w tej chwili, pomyślał. Czy w ogóle się przejęła, że złapali go i wrzucili do miejskiego więzienia, gdzie miał czekać na karę? Wątpił.

Wpatrywał się w ciemność, zbyt dobrze wiedząc, co robili w tym mieście ze złodziejami.

To właśnie o tym z całych sił starał się nie myśleć. Podczas ostatniego Świąta Plonów widział, jak chłostają i piętują złodzieja, a przestępca był niewiele starszy od niego.

Nico nie miał pewności, jak zniesie taką karę.

Jakiś czas później ocknął się z drzemki, czując na nodze czyjąś rękę i cuchnący oddech na twarzy. Poderwał się, odepchnął od siebie ciężar niewidocznego mężczyzny, wydobył z siebie raczej okrzyk lęku niż słowa.

Niewyraźnie przekleństwo w ciemności, szuranie stóp odchodzącego...

Roztarł twarz, żeby oprzytomnieć, a potem znowu oparł się plecami o ścianę.

Musiał się stąd wydostać. Ledwie mógł oddychać w tym dusznym, wszechobecnym smrodzie. Ciemność uciskała go jak płat ciężkiego aksamitu. Czuł się jak w pułapce, wiedząc, że do rana nie może po prostu wstać i wyjść na zewnątrz, choćby po to, żeby zobaczyć gwiazdy, poczuć wiatr na twarzy. Nadpłynęło wspomnienie, raczej pamięć uczuć, jakie go ogarnęły dawno temu, kiedy spacerując po wzgórzach niedaleko chaty, znalazł wnyki - cienka metalowa pętla zaciskała się na oderwanej nodze dzikiego psa; strzępy ciała wisiały jeszcze z odgryzionej kości.

Odgłos kroków w ciemności... Znowu ktoś się zbliżał. Nico napiął mięśnie, gotów do ataku.

Zębami zerwę ci ciało z kości, pomyślał, jeśli się nie odczepisz.

- Uspokój się - zabrzmiał głos. - Jestem przyjacielem.

Mężczyzna usiadł przy nim; Nico słyszał, jak szuka czegoś w ubraniu. Ognik zapłonął w ciemności, z początku zbyt jaskrawy, by na niego patrzeć. Nico zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Przez chwilę płomyk skwierczał i migotał, a po chwili rozjarzył się czerwienią poczerniały koniec cygaretki. Mężczyzna zdmuchnął zapałkę i pogрузzył ich w ciemności jeszcze głębszej niż poprzednio.

- Wiesz, całą noc nie mogłem zasnąć i próbowałem sobie przypomnieć, skąd mogę znać twoją twarz.

Czerwony koniec cygaretki zakreślił smugę w powietrzu i rozjarzył się, gdy mężczyzna się zaciągnął; ukazał wypukłości twarzy, kryjąc wklęsłe miejsca w głębokim cieniu.

- Twój ojciec - powiedział, wydychając dym. - Znałem kiedyś twojego ojca.

Nico zamrugał; kolorowe plamki wciąż pływały mu przed oczami.

- Jasne, wierzę - odpowiedział sarkastycznie.

- Nie nazywaj mnie kłamcą, mój chłopcze. Twój ojciec ożenił się z taką rudą dziewczyną, miała na imię Reese. Piękna kobieta, o ile sobie przypominam.

Nico opuścił dłoń i na moment powstrzymał gniew.

- Tak, z moją matką - przyznał. - Więc naprawdę pan go znał.

- Nie gorzej od innych. Przez dwa lata walczyliśmy razem pod murami.

- Był pan Specjalnym?

- Jasne. Choć wydaje się, że to w innym życiu, Błaznowi niech będą dzięki. Teraz utrzymuję się, skromnie, z gry w sponta. Resztę czasu, kiedy nie mogę spłacić swoich długów, zobowiązany jestem spędzać tutaj. - Mężczyzna potarł dłonią szczecinę na twarzy. - A co z tobą? Co cię tu doprowadziło?

Nico nie miał ochoty opowiadać o swoich żalosnych wyczynach.

- Lekarz mi powiedział, że to dobre na płuca, więc zaglądam tu co jakiś czas.

- Twój ojciec też był taki dowcipny - odparł mężczyzna bez choćby śladu rozbawienia. - To było jedyne, co w nim lubiłem.

W jego głosie zabrzmiała złość. Nico zauważył to i czekał, aż

mężczyzna powie coś więcej. Tytoniowy dym otoczył przez chwilę jego twarz; w tym cuchnącym lochu zapach wydawał się przyjemny. Przypominał mu te noce, kiedy siedzieli przy ognisku w parku, z Leną i innymi, których poznał, żyjąc bez domu ani schronienia. Nico żartował i patrzył, jak butelki taniego wina i skręty ze smołodruwu krążą między nimi swobodnie, słuchał ostrego śmiechu, a ciepły krąg światła odsuwał myśl o dniu, który musiał przecież nadejść.

- Mieliśmy spór przy jakiejś okazji - mówił mężczyzna, przeciągając słowa. - Oskarżył mnie, że oszukuję w sponta. I oczywiście nie mogłem tego tak zostawić. Musiał się zawziąć i przyłapać mnie przed całym oddziałem. Kosztował mnie kupę forsy ten twój ojciec. Ale mu odpłaciłem.

Zabrzmiał kaszel, który równie dobrze mógł być niechętnym śmiechem.

- Żeby być z tobą szczerzy, nie byłem specjalnie zdziwiony, jak nas zostawił i zdezerterował. Kiedy ostatni raz widziałem te jego przerażone oczy, wiedziałem, co sobie myśli. To było jasne jak dzień.

Nico zacisnął zęby i gniewnie rozszerzył nozdrza. Odetchnął jednak i powiedział spokojnie:

- Mój ojciec nie był tchórzem.

I znowu ten kaszel.

- Nie mam przecież do niego pretensji. Każdy jest tchórzem, kiedy przychodzi co do czego... z wyjątkiem wariatów. Niektórzy są po prostu bardziej wystraszeni od innych, o to tylko mi chodzi.

Nico oddychał tak głośno, że tamten usłyszał go mimo chrapania innych więźniów.

- Spokojnie, mały, to tylko gadanie, a gadanie nic nie jest warte. Trzymaj, pociągnij sobie.

Nico nie zwracał uwagi na gorący koniec cygaretki przed swoją twarzą. Myślał o ojcu, o wysokiej, prostej postaci we wspomnieniach: długie włosy, łagodne oczy, cichy głos. Ten sam człowiek roześmiany, z kuflem piwa w dłoni, chwytający matkę w talii, by z nią zatańczyć, albo sięgający po jitarę, by zaśpiewać jakąś marnie skomponowaną piosenkę.

Wspólna wycieczka na samotne wzgórza. Słoneczny Dzień Błazna, kiedy ojciec zabrał Nica na plażę, żeby wpatrywać się w morze, kiedy



syn bawił się nad wodą.

Nico miał dziesięć lat, kiedy ojciec wstąpił do Specjalnych. Wrogowie naciskali mocniej, jak mówiono.

Codziennie trafiano na nowy mannijski tunel albo sami Mannijczycy wdzierali się do podziemnych wykopów obrońców. Specjalni ponosili ciężkie straty i potrzebowali ochotników.

Teraz ojciec często znikał na miesiąc - szedł do miasta i walczył pod murami Tarczy, a potem wracał trochę odmieniony. Z każdym powrotem wydawał się cichszy i mniej przystojny.

Na jednej takiej wyprawie stracił całe ucho, tylko otwór pozostał z boku głowy. Ale Reese i tak go objęła i szeptała słodkie słówka do uszkodzonego ucha tak głośno, że nawet Nico usłyszał; mówiła, jaka jest szczęśliwa, że widzi go żywego.

Innym razem wracający ojciec stanął u drzwi z bandażem dookoła głowy. Kiedy go zdjął kilka dni później, wyglądał, jakby pies przeżuł jego drugie ucho. Z czasem zupełnie zniknęły jego brwi, długie włosy zmieniły się w krótką szczecinę, a siatka blizn pokryła czaszkę, twarz i wargi. Chodził, zwieszając swoje niegdyś szerokie bary, jak gdyby stale było mu zimno.

Matka Nica starała się ukrywać przerażenie zmianami w człowieku, którego kochała; często jednak zdradzał ją jakiś mimowolny grymas.

Kiedy ojciec w końcu powrócił na pierwszy wydłużony urlop z Tarczy, Nico ledwie rozpoznał mężczyznę, który spoglądał na syna jak na obcego; siedział samotny na deszczu, nigdy się nie uśmiechał, rzadko odzywał, za to często upijał. W ich chacie zapanowała nerwowa atmosfera - ojciec krzyczał z byle powodu, aż Nico stał się napięty i stale oczekiwał kłopotów.

Częściej wychodził z Podarkiem i razem wędrowali po lesie albo po polach wokół chaty.

Kiedy padał deszcz, siedział w pokoju za zamkniętymi drzwiami, w pamięci przywoływał znane sobie historie albo *Opowieści Ryby*, które oglądał grane przez aktorów podczas wizyt w mieście, i tak za pomocą fantazji zabijał czas.

Pewnej nocy ojciec upił się i wpadł w taki szal, że zaatakował matkę; ciągnął ją za włosy dookoła pokoju, a Nico krzyczał i błagał

go, żeby przestał. Wtedy uderzył Nica tak, że ten padł na podłogę. A potem nagle stanął w miejscu, zamrugał, widząc oszołomioną minę syna, i wybiegł w ciemność.

Wrócił następnego ranka, spakował swoje rzeczy i wyszedł, gdy Nico z matką spali razem skuleni w jego wąskim łóżku. Potem matka jeszcze długo płakała.

Nico zacisnął pięści w dusznej ciemności celi i westchnął.

- Miał swoje powody, by odejść - rzekł do niewidocznego mężczyzny.

Cygaretką rozjarzyła się, rozjarzyła znowu i przygasała.

- No tak, wystraszony czy nie, pewnie wiesz lepiej ode mnie.

- Niby co to ma znaczyć?

- Chcę powiedzieć, że krew ojca zawsze płynie w żyłach jego syna. Co jest prawdą dla niego, będzie też prawdą dla ciebie.

Nico poczuł, że rumieniec oblewa mu policzki. Odwrócił głowę; nie chciał już słuchać obcego.

Krzyki z jakiejś celi odbiły się echem. Słowa były prawie niezrozumiałe - szaleniec bredził o Mannijczykach, którzy przybywali zza morza, żeby wszystkich spalić żywcem.

Czerwony żar cygaretki zniknął szybko, kiedy obcy zgasił ją na dłoni. Stęknął, wstając, a potem zatrzymał się, mrucząc coś pod nosem. Odwrócił się znowu do Nica; ciężka dłoń spoczęła na ramieniu chłopca, po czym klepnęła je jeden raz.

- Teraz już w porządku, synu - stwierdził mężczyzna. - Możesz spać.

Wyszedł, a słaby aromat dymu wciąż unosił się nad miejscem, gdzie siedział.

Potem nikt już Nica nie zaczepiał.

Matka przyszła rano, ubrana cała na czarno, jakby uczestniczyła w pogrzebie. Oczy miała spuchnięte od płaczu, a związane ciasno rude włosy nadawały jej twarzy skupiony, zdeterminowany wygląd. Nico zobaczył ją pierwszy raz od ponad roku. Los zjawił się razem z nią, ubrany w najlepszy strój, udając przykładnie wstrząśniętego tym, co zrobił młody Nico.

To Los odezwał się pierwszy, kiedy spoglądali na siebie przez kraty, rozdzielające więźniów od gości w mrocznej, chłodnej piwnicy, przeznaczonej na odwiedzinę.

- Marnie wyglądasz - stwierdził.

Nico nie mógł znaleźć słów. Matka i Los byli chyba ostatnimi ludźmi, jakich spodziewał się zobaczyć.

- Skąd wiedzieliście? - zapytał, starając się mówić szeptem.

Matka podeszła, jakby chciała sięgnąć do niego, ale zatrzymała ją krata. Jej oczy nagle błysnęły gniewem.

- Stary Jaimeena widział, jak Gwardziści wloką cię po ulicy - odpowiedziała lodowatym tonem. - I był tak uprzejmy, że przyjechał i mnie zawiadomił.

- Och - rzekł Nico.

- Och? Tylko tyle masz do powiedzenia?

Jej gniew był niczym podmuch dla jego gniewu: rozpałił na powrót żar, który przygasał w nim od tamtego dnia, kiedy odszedł z chaty.

- Nie prosiłem, żebyś przychodziła - burknął. - Ani on.

Zdziwienie przemknęło po jej twarzy; Los stanął przy jej boku, cały czas przeszywając Nica surowym spojrzeniem. Nico też patrzył. Raczej zginie, niż pierwszy odwróci głowę.

Matka próbowała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. I nagle przygarbiła się; jej pancerz się rozpadł. Ręka wsunęła się przez kraty i Nico poczuł, jak sięga za jego kark, przyciąga głowę, jak matka tuli go przez pręty.

- Synu - szepnęła mu do ucha. - Coś ty zrobił? Nigdy nie miałam cię za złodzieja.

Ze zdumieniem poczuł pieczenie łez w oczach.

- Przepraszam - powiedział. - Byłem strasznie głodny.

Szepnęła coś uspokajająco, cały czas gładząc jego głowę.

- Martwiłam się o ciebie. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżaliśmy do miasta, rozglądałam się za tobą, ale widziałam tylko głodujących ludzi. Zastanawiałam się, jak w ogóle udaje ci się przetrwać.

Nabrał tchu.

- Podarek... - wykrztusił. - Podarek... nie żyje.

Mocniej objęła go za szyję. Zaczęła szlochać. Płakał razem z nią; odrętwienie ustąpiło, emocje uwolniły się we wspólnym cierpieniu.

Drzwi do korytarza dla odwiedzających otworzyły się nagle i wszedł jakiś człowiek. Nico spojrzął na niego, ocierając oczy, i

rozdziawił usta ze zdumienia.

To był ten wędrowiec - stary człowiek, któremu wczoraj ukradł pieniądze. Stał teraz w progu, przechylając głowę na ramię, ze skórzanym kubkiem parującego chee w dłoni. Był niższy, niż się wydawał, kiedy leżał w łóżku. Z ogoloną głową, w czarnej szacie, przypominał mnicha, ale dziwnego mnicha, bo w drugiej ręce trzymał miecz w pochwie. Matka Nica odsunęła się i także na niego spojrzała. Mężczyzna zrobił płynnie kilka kroków i stanął przed nimi; jego ruchy przypominały trochę chee w kubku, jednocześnie ograniczone i jakby falujące.

Z bliska oczy wędrowca przypominały kolorem wygasłe popioły, choć patrzyły czujnie.

Niewiele brakowało, by Nico cofnął się o krok. Nie pozostał żaden ślad po tym otępiałym starcu, zbudzonym nagle ze snu, mrugającym niepewnie, jakby nie widział.

- To jest złodziej? - zwrócił się do matki Nica.

Otarła oczy i się wyprostowała.

- To mój syn - oświadczyła dumnie. - I raczej głupiec niż złodziej.

Mężczyzna przez chwilę spokojnie patrzył na Nica, jakby przyglądał się psu, którego miał ochotę kupić. Kiwnął głową.

- W takim razie będę rozmawiał z tobą.

Podszedł do jednego z krzesel ustawionych na środku piwnicy i usiadł wyprostowany, z mieczem na kolanach. Kubek postawił na podłodze.

- Jestem Ash - oświadczył. - A głupi czy nie, twój chłopak ukradł mi pieniądze.

Wyczuwając jakiś interes, matka odzyskała spokój. Usiadła naprzeciwko.

- Reese Calvone - przedstawiła się.

Los zbliżył się i oparł jej dłoń na ramieniu, wyraźnie zaniepokojony. Strzepnęła ją, a on wycofał się pod ścianę, jak najbliżej drzwi. Obserwował oboje z ukosa, milcząc.

- Twój syn z pewnością będzie wychłostany i napiętnowany - ciągnął starzec. - Takie wymierzanie kary w tych krainach. Pięćdziesiąt batów, jak słyszałem, dla pospolitego złodzieja.

Reese kiwnęła głową, jakby to było pytanie.

- Trudna sprawa.

Zmrużyła zielone oczy i obejrzała się szybko na Nica. Potem znowu skupiła się na siedzącym przed nią obcym.

- Dzielnie to znosisz - zauważył.

- Przyszedłeś napawać się naszym nieszczęściem, starcze?

- Raczej nie. Ale by poznać syna, chciałbym najpierw poznać matkę. Mogę pomóc chłopcu.

Reese spojrzała na swoje ręce, a Nico podążył za jej spojrzeniem. To były szorstkie, spracowane dłonie, pokryte skaleczeniami i oparzeniami z wielu lat. Wyglądały starzej niż jej twarz - piękna nawet teraz, mimo łez i trosk. Odetchnęła głęboko.

- To mój syn i znam go dobrze. Wiem, że wytrzyma.

Nico oderwał wzrok od matki i popatrzył na starca.

Jego twarz nie zdradzała niczego.

- A gdyby było inne wyjście?

Matka zamrugwała.

- O co ci chodzi?

- Gdyby nie musiał brać bata na grzbiet ani piętna na rękę?

Znowu obejrzała się na syna, ale Nico wciąż wpatrywał się w postać w czarnej szacie.

Było w tym starym mężczyźnie coś niezwykłego... coś, czemu mógłby zaufać. Może to swobodne poczucie siły - nie takiej, którą mu nadano i którą nauczył się wykorzystywać, ale raczej czegoś całkowicie naturalnego, rezultat szczerości, bezpośredniości ducha...

- To, co mam ci do powiedzenia, musi pozostać między nami. Twój... mężczyzna musi wyjść. Wtedy wyjaśnię.

Los prychnął. Nie miał zamiaru wychodzić.

- Proszę - zwróciła się do niego Reese. Los udał urażoną dumę. - Idź.

Wahał się ciągle. Spojrzał na starca, potem na Nica, wreszcie znowu na Reese.

- Zaczekam na zewnątrz - oznajmił.

- Dobrze.

Wyszedł; już w progu rzucił wędrowcowi ostatnie niechętnie spojrzenie. A potem zamknął za sobą drzwi. I zanim jeszcze przebrzmiało echo trzaśnięcia, wędrowiec podjął:

- Pani Calvone, nie mam wiele czasu, więc od razu przejdę do rzeczy. - Przerwał jednak i Nico zauważył, jak gładzi kciukiem skórzaną pochwę miecza. - Starzeję się - powiedział. - Jak widzisz. Był czas, kiedy taki chłopak jak twój nigdy nie wszedłby przez moje okno tak, żeby mnie nie obudzić. Odrąbałbym mu rękę, zanimby ją wyciągnął po moją sakiewkę. Teraz jednak przesypiam takie rzeczy, znużony popołudniowym upałem, jak stary człowiek, którym jestem. - Spuścił głowę. - Moje zdrowie... nie jest już takie jak dawniej. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł wykonywać swoją pracę. Krótka mówiąc, zgodnie z tradycją mojego obrządku, nadszedł czas, bym wyszkolił ucznia.

- Już raczej czujesz się samotny - odparła ostro matka Nica. - I przyszła ci chęć na młodego chłopca.

Pokręcił tylko głową: nie.

- A jaka to właściwie praca? Ubierasz się jak mnich, ale widzę, że masz miecz w ręku.

- Pani Calvone... - Szeroko rozłożył ręce, jakby sugerował coś oczywistego. - Jestem Rōshunem.

Nico wbrew swojej woli parsknął śmiechem, trochę histerycznym. A kiedy usłyszał odbite od sklepienia echo tego śmiechu, nagle zamilkł.

Obie twarze zwróciły się ku niemu.

- Chcesz, żebym się szkolił, jako Rōshun? - wykrztusił Nico. - Oszalałeś?

- Posłuchaj mnie - powiedział wędrowiec. - Jeśli wyrazisz zgodę, jeszcze dziś porozmawiam z sędzią. Poproszę, by wycofał oskarżenie i zapłacę mu pewną sumę jako wynagrodzenie za kłopoty jego i dozorców. A ty unikniesz tej próby.

- Ale to, o co prosisz... - zaprotestowała matka. - Mogę już nigdy nie zobaczyć syna. W takiej pracy będzie ryzykował życie...

- Jesteśmy w Bar-Khosie. Jeśli tu zostanie, prędzej czy później może być wezwany, by zaryzykować życie na murach. Tak, moja praca jest niebezpieczna, ale dobrze go przygotuję, a jeśli zabiorę go ze sobą w pole, będzie tylko obserwowany. Kiedy czas nauki dobiegnie końca, zdecyduje, czy poświęcić się mojej profesji, czy iść dokądkolwiek sobie wymarzy. W tym czasie zdobędzie już pieniądze

i wiele cennych umiejętności. Może nawet wrócić tutaj, do Bar-Khosu, o ile miasto nadal będzie się bronić.

Odczekał, aż Reese sobie to przemyśli, po czym mówił dalej.

- W miejskim nieboporcie czeka na mnie statek powietrzny. Za kilka dni skończą naprawy i wyruszymy do siedziby mojego zakonu. Tam nas pozna i zapewniam, pani Calvone, że zawsze życie pani syna będę przedkładał nad własne. Takie składam pani uroczyste przyrzeczenie.

- Ale dlaczego? Czemu mój syn?

Zdawało się, że pytanie zaskoczyło wędrowca. Przejechał dłonią po krótkiej szczecinie na głowie, czemu towarzyszył dźwięk, jakby kamień ocierał się o papier ścierny.

- W tym, co uczynił, wykazał się talentem i pewną odwagą. Takich cech szukam.

- Ale to z pewnością nie wszystko.

Starzec przyglądał się jej przez chwilę, która coraz bardziej się wydłużała.

- Nie - przyznał w końcu. - To nie wszystko. - Zaczął huśtać się na krześle, znowu spoglądając na podłogę, na przestrzeń pomiędzy nim a Reese. - Ostatnio miałem sny, choć dla pani to pewnie bez znaczenia. Jednak kierują mną w pewnym stopniu i czuję, że były prawdziwe.

Matka Nica obserwowała go spod zmrużonych powiek, nadal nieprzekonana.

- Pójdę - oświadczył nagle Nico z drugiego końca piwnicy. Obie głowy zwróciły się ku niemu, więc uśmiechnął się, czując się trochę głupio. Matka zmarszczyła brwi. - Pójdę - powtórzył, tym razem bardziej stanowczo.

- Nic z tego - odparła.

Nico pokiwał głową, trochę smutno. Wiedział, kim są Rōshuni - wszyscy wiedzieli.

Zabijali ludzi, mordowali ich we śnie w zamian za pieniądze, które im płacono za wendetę.

Nie wyobrażał sobie, żeby sam mógł to robić, nawet za skarby świata. Ale przecież będzie mógł odejść zaraz po zakończeniu nauki, wyposażony w nowe umiejętności i doświadczenie.

Może to właśnie była szansa, żeby coś ze sobą zrobić. Może Wielki Błazen miał rację i w najgorszych dniach kryje się szansa na lepsze czasy.

Z drugiej strony, może aby uciec przed jednym cierpieniem, zamienia je na inne, jeszcze gorsze.

Nie wiedział. I nigdy się nie dowie, dopóki się z tym nie zmierzy.

- Owszem, mam - powiedział bardzo stanowczo. - Pójdę.



## ROZDZIAŁ 4

### Flagi podboju



- Jestem głodny - poskarżył się młody kapłan Kirkus.

Stara kapłanka, leżąca naprzeciw niego na otomanie, rzuciła mu uśmiech, który rozciął jej pomarszczoną twarz niemal na połowy. Pokazała przy tym komplet białych zębów, które nie były jej własne.

- Dobrze - powiedziała, malowanym paznokciem kreśląc na swoim wydatnym brzuchu spiralę, przesuwając go wzdłuż starych rozstępów do złotego kolczyka w pępku. - Ciało jest mocne, Kirkusie. Ale tylko wtedy osiąga boskość, kiedy działa zgodnie z wolą. Sprzeciw się swojemu głodowi. Kiedy następnym razem będziesz jeść, uczyni to dlatego, że twoja wola podjęła taką decyzję, nie tylko twój żołądek. Dlatego rozwijamy nasze apetyty, by wymagały mocy. W ten sposób osiągamy Mann.

Kirkus burknął coś z irytacją.

- Zaczynasz mnie nudzić - stwierdził. - Nie proponujesz niczego prócz kazań, które słyszałem już po tysiąckroć.

Jej śmiech kojarzył się z suchym papierem, mściwie deptanym stopą. Tylko bardziej go zirytował. Wciąż chichocząc, odwróciła na otomanie swoje kościste ciało, wystawiając do słońca nagie, pomarszczone plecy. Odgłos śmiechu wylał się za burtę imperialnej barki i wśród powolnego plusku wiosła opadł do brunatnych wód Toinu, nim ucichł z wolna przy dalekich gliniastych brzegach - gdzie

krokodyl poruszył się w krótkim refleksie słońca i zsunął w ospały nurt.

I nagle z trzaskiem zębów zamknęła usta.

- Ale chyba się zapominasz, młody człowieku, hm? Jeszcze całkiem nieopierzony, a już uważasz się za następnego Świętobliwego Patriarchę. Bardzo dobrze, ale tymczasem jesteśmy w wielkim pochodzie i muszę cię uczyć, aż okażesz się godnym wiary. To wszystko, co musisz wiedzieć... ale nie tylko wiedzieć. Musisz to czuć głęboko w trzewiach.

- Już to czuję w trzewiach - burknął. - Na tym polega problem, starucho.

Rzuciła mu spojrzenie pełne oszczędnego uznania. Kirkus wiedział, że jest jej ulubionym uczniem. Czasami, kiedy przyglądała mu się w taki sposób, przypominała mu obsesyjnego rzeźbiarza, od lat zamkniętego na strychu i z uczuciem pracującego nad ostatnim bezcennym dziełem. Nieco zde gustowany, Kirkus odwrócił się od tych zachłannych oczu. Spojrzał za to na niewolnicę stojącą za jego otomaną i chłodzącą go wachlarzem ze strusich piór; odpoczywali oddzieleni parawanem od reszty pokładu. Niewolnicą była szczupła nathalska dziewczyna, z rudymi włosami opadającymi na małe jędrne piersi; zniszczone oczy skrywała szarfa z brzoskwiniowego jedwabiu, a dłonie osłaniały białe rękawiczki, by nawet przypadkiem nie dotknęły boskich skór Mann. Apetyty, myślał leniwie Kirkus, obserwując gładkość jej skóry, zauważając, jak naciąga się w rytm ruchów. Wyobraził sobie przez chwilę, jakby to było wziąć ją tutaj, na pokładzie - tę ślepą i głuchą dziewczynę, której pozostał tylko zmysł dotyku, źródło bólu albo rozkoszy. I nagle fizycznie zareagował na te myśli.

- Cierpliwości - rzuciła ze śmiechem stara kapłanka; jej uwaga aż nazbyt wyraźnie skupiała się na jego nagłym entuzjazmie. - W południe przybijamy do brzegu w następnym mieście. Myślę, że o nim słyszałeś. Nazywa się Skara-Brae.

Kirkus kiwnął głową. Czytał o nim w niedawno wydanych *Raportach o Imperium*

Valoresa i chciał uprzedzić jej kolejny wykład.

- Znajdziemy tam inne zabawki na twoją inicjację. Potem złożymy

wizytę najwyższemu kapłanowi w mieście, a tam będziemy pić i ucztować, ku satysfakcji naszych żołądków.

- Gdybym to tylko pożywienia pragnął - rzucił smętnie, raz jeszcze zerkając na niewolnicę.

- Biedne, słabe dziecko... Na końcu nie będziesz żałował. Zaufaj starej kobiecie, która chce dla ciebie tylko tego, co najlepsze.

Przez chwilę spoglądała na rzekę; spokój wygładził jej twarz, gdy rozmyślała nad jakimś dalekim wspomnieniem, może o własnej inicjacji jako kapłanki. I nagle młodzieńczy wyraz pojawił się na jej twarzy, jakby wywołany dawnym czarem.

- W noc Cull - dodała, wciąż patrząc w nurt rzeki - będziesz tak pełen, że kiedy uwolnisz wreszcie żądze, w końcu zrozumiesz, co to znaczy być boskim. Mogę ci to obiecać, mój piękny chłopcze.

Następne kazanie, pomyślał Kirkus. Ale stłumił irytację, ofiarowując jej krótkie burknięcie na potwierdzenie, choćby po to, żeby się wreszcie zamknęła. Niech się cieszy tą swoją próżną mądrością, myślał. Nic więcej już jej nie zostało - na pewno nie uroda czy choćby rzeczywiste wpływy na dworze jego matki.

Kirkus spróbował pomyśleć o innych sprawach. Spojrzał na wodę i daleki brzeg, szukając czegoś interesującego, co mogłoby zatrzymać jego badawczy wzrok. Ale były tam tylko ptaki, brzęczące owady, od czasu do czasu zel w czarne i białe pasy, pijący wodę na brzegu.

Był już szczerze tym wszystkim znudzony: dwanaście dni na nieruchawej, cuchnącej rzece w głębi Imperium, a wcześniej dziesięć długich miesięcy wędrówki i podziwiania widoków. I ani razu nie mógł działać swobodnie, według własnych pragnień.

Co jeszcze mógłby zrobić, zastanowił się. Ta stara suka była w końcu jego babką.

Toin był jedną z wielkich rzek Midèrēs. Spływał ze szczytów potężnych gór Aradèrēs, początkowo jako niewielkie, bystre potoki, które szybko łączyły się w większe strumienie i wpadały do Jeziora Ptaków; potem płynął dalej coraz szerszym korytem, mającym w niektórych miejscach ponad 100 szerokości. Rzeka stanowiła komercyjną arterię Nathalu i wszystkie większe miasta tej krainy leżały wzdłuż jej naturalnego biegu.

Jako naród Nathalczycy byli dumnym ludem. Nigdy nie zostali

podbici przez sąsiadów - Serat od zachodu, Tilanę i Pathię od wschodu. Ich kultura kwitła bez przeszkód od tysięcy lat, wraz z filozofią, nauką i sztuką. Daoizm dotarł do nich i przyjęli go z otwartymi ramionami, podobnie jak wszystkie nowe idee i nurty, dodając go do wielu innych religii, wyznawanych i praktykowanych w ich kraju.

Ale nie mogli już być tacy dumni. Piętnaście lat temu ich tak ceniona niezależność runęła pod uderzeniami podkutych butów Świętego Imperium Mann. Przez jakiś czas prowadzili jeszcze wojnę partyzancką z okupantami, ale nawet te niewielkie ogniska oporu zostały w końcu zduszone. Ukrzyżowania całych miast w odwecie za akty buntu nawet dumnych Nathalczyków zmusiły do kapitulacji. Teraz Nathal był tylko kolejną prowincją Świętego Imperium. Był rządzony - jak wszystkie inne podbite krainy - przez hierarchię administrujących kapłanów Mann; jego tradycyjne religie zostały zakazane, wszystkie koncepcje i wierzenia niezgodne z boskością ciała, były energicznie cenzurowane i niszczone.

Gdy ekstrawagancka imperialna barka zawinęła do portu Skara-Brae, nabrzeże wyglądało jak wszędzie w Imperium. Wielkie szyldy zwisały ze starych i nowych budynków, towary i usługi były graficznie oznaczone dla tych, którzy nie umieją czytać w handlowym. Przed składami grupy bezrobotnych mężczyzn czekały w nadziei na jednodniową pracę. Grubi patrycjusze i ich ochrona pilnowali załadunku i wyładunku cennych towarów. prostytutki i żebracy czekali w ocienionych wylotach zaułków; wielu z nich chorowało z braku regularnych dawek drossu. Wszędzie widać było pilnujące porządku oddziały imperialnej milicji; służyli w nich miejscowi, noszący białe skórzane pancerze i prezentujący twarde, czujne twarze ludzi pogardzanych przez swych rodaków.

Choćby nie wiadomo jak głośno Nathalczycy domagali się niezależności, okupacja Imperium pomagała im w sposób oczywisty. Piętnaście lat temu nad brzegiem odbywała się tylko leniwa wymiana towarów, powolna jak rzeka. Teraz interesy kwitły.

Kiedy barka się zatrzymała, na brzegu zapadła cisza. Sześćdziesiąt ociekających wodą wioseł uniosło się równocześnie. Z pokładu zszedł najpierw oddział akolitów, uzbrojonych we włócznie i w długie

miecze - a nawet kilka strzelb. Nosili długie kolczugi, zwisające im aż do kolan - niezdolne w tym upale, jednak kapłani-wojownicy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie okazywali, że jest im choć trochę niewygodnie. Ich twarze skrywały się za gładkimi maskami, mieli tylko otwory na oczy i do oddychania. Na kolczugach nosili olśniewająco białe obrzędowe szaty, na głowach mieli kaptury. Materiał był cienki, we wzory haftowane białą jedwabną nicią, w subtelny, zmienny sposób odbijającą promienie słońca.

Spośród ich szeregów natychmiast wysunął się goniec i truchtem pobiegł do miasta, niosąc wieści dla najwyższego kapłana i gubernatora. Podoba mu się czy nie, dziś wieczorem będzie miał gości na kolacji.

Akolici weszli w tłum ze stanowczością fanatyków, zrodzonych i wychowanych w jednym tylko celu. Odepchnęli miejscowych, tworząc szeroki pusty krąg. Potem zaczęli zmuszać najbliższych stojących, by uklękli. Miejscowa milicja poszła za ich przykładem - spychając ku ziemi dzieci i bogatych kupców, aż jedynymi stojącymi pozostali sami akolici.

Kiedy skończyli, pojawiła się dwójka kapłanów, rozpartych w dużej lektyce, niesionej przez dwunastu niewolników skutych razem za szyje złoconymi łańcuchami. Akolici uformowali się wokół niej, gdy kilkaset twarzy pokornie wpatrywało się w ziemię albo próbowało choćby kątem oka spojrzeć na te istoty, podające się za boskie. Niewiele zobaczyli - dwie postacie w lektyce, za złotymi maskami, ze lśniącymi, ogolonymi gładko czaszkami.

Padł rozkaz i procesja zagłębiła się w spokojniejsze ulice miasta, zakłócając ciszę stukaniem podkutych butów i czasem jakąś komendą rzuconą przez dowódcę akolitów. Na czele maszerował młody człowiek niosący flagę Imperium z wizerunkiem czerwonej ręki Mannu.

Przez cały czas akolici rozbiegali się na boki, pojedynczo albo parami, i zmuszali gapiów do klękania.

- Kapitanie - odezwała się cicho babka, Kira, do dowódcy. - Daj im na razie spokój. Nie możemy się im przyjrzeć, kiedy tak się przed nami płaszczą.

Dowódca skinął głową i wydał instrukcje.

Para kapłanów w lektyce nosiła takie same białe szaty jak akolici. Leżeli jednak wygodnie i od czasu do czasu wsuwali przez wąskie szczeliny masek jakieś suszone owoce.

Chwilowo Kirkusowi nie wolno był jeść niczego więcej. W oczach obojga błyszczało podniecenie, gdyż minęły już dwa dni od ostatniej wizyty w nathalskim mieście i tęsknili za rozrywką, jakiej dostarczał port.

To Kirkus pierwszy zauważył coś, co zwróciło jego uwagę: młodą dziewczynę z brudnymi bosymi nogami, sprzedającą keesh z koszyka.

Stara kapłanka obserwowała swojego protegowanego; dostrzegła jego zainteresowanie.

Czekała spokojnie, aż Kirkus odchrząknął.

- Ta - rzekł, wskazując dziewczynę palcem.

Kapitan wydał rozkaz, kilku akolitów wyrwało się z formacji i otoczyło ofiarę. Rzucili koszyk na ziemię i ponieśli ją, wyrywając się, na tył procesji. Mieszkańcy miasta, którzy stali jeszcze wyprostowani, krzyknęli z lękiem. Kilku nawet się ruszyło, jakby chcieli pomóc porwanej, lecz inni ich powstrzymali - dla ich własnego dobra i dla dobra wszystkich.

Mogli tylko patrzeć, jak akolici zakuwają dziewczynę w łańcuchy i odprowadzają na tył procesji; płakała teraz i rozglądała się, szukając wsparcia. Milczący tłum na ulicy spoglądał tylko wrogo - jedynie tak mogli zaprotestować. Ale i to nie miało trwać długo. Przyszła kolej na babkę Kirę - pstryknięciem palców pchnęła akolitów na wrogich mieszkańców. Po chwili tłum rozbiegł się na wszystkie strony, uciekając przed wybuchem przemocy. Kapłani-wojownicy zaczęli wywlekać ludzi z zamętu.

- No świetnie - mruknął Kirkus. - Teraz spłoszyłaś nam zwierzynę.

- To duże miasto. Jest tu wiele ulic.

Miała rację, oczywiście. Inne ulice w innych częściach miasta były spokojniejsze niż te, które za sobą zostawili. Z pewnością rozeszły się już wieści, bo były bardziej opustoszałe niż zazwyczaj. Mimo to ludzie zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami, może sądząc, że plotki są przesadzone, a może nie chcieli dać się wypłoszyć z własnego terenu. Nikt jednak nie patrzył już wprost na przechodzącą procesję.

- Zauważyłeś jeszcze coś ciekawego, dziecko?

Kirkus pokręcił głową pod maską o ostrych konturach. Ale rozglądał się zafascynowany i przyglądał każdemu, czekając, aż znów ktoś przyciągnie jego uwagę.

- Zastanawiam się czasem... - powiedziała Kira, obserwując młodą dziewczynę w łańcuchach, idącą teraz z tyłu - ...czy czegoś nie utraciliśmy, budując imperium. Przynajmniej tak mi się czasem wydaje. Każdej zdobyczy towarzyszy strata. A każdej stracie towarzyszy zysk. Dawno temu musieliśmy załatwiać takie rzeczy ukradkiem i podstępem: pijacy wracający do domów z oberży, jakieś bezdomne dzieci ulicy, nieuważni wędrowcy na drodze... Ale to było dawno temu. I we wspomnieniach wydaje mi się, że było lepiej.

Kirkus prawie nie słuchał; nadal rozglądał się czujnie - czekał... czekał... Lektyka zatrzymała się wreszcie przy gwarnym rynku. Tu znajdowało się centrum miasta, Kirkus zrozumiał to od razu - bo gdzie jeszcze mógłby zobaczyć wyrastający ponad placem trzydziestometrowy rdzewiejący kolec?

- To był pomysł Mokabiego - zaczęła. - Kiedy miasto padło...

- Wiem.

Zajęci swoimi sprawami miejscowi nie zwracali uwagi na pomnik. Widział girlandy kwiatów przy poplamionej podstawie, gdzie trzymający straż żołnierze niezwykle czujnie obserwowali tłum. Miasto Skara-Brae było ostatnią twierdzą Nathalczyków, jakiej broniono podczas Trzeciego Podboju. Hano, młoda królowa i geniusz militarny, pokonana wreszcie w polu, z resztkami swoich wojsk ukryła się w Skara-Brae. Arcygenerał Mokabi, dowodzący Czwartą Armią Imperium, ścigał ją, a potem rozpoczął oblężenie. Zażądał otwarcia bram, grożąc, że zginą wszyscy mieszkańcy. Podobno młoda królowa zaproponowała, że odda się w ręce najeźdźców, ale mieszkańcy miasta nie zgodzili się na to. Zapłacili najwyższą cenę za swój opór. Kiedy miasto w końcu padło, po wielkich stratach Czwartej Armii, arcygenerał Mokabi pozwolił swoim żołnierzom uczcić zwycięstwo tak, jak się im należało za to, że tak wiele poświęcili w czasie walk. Przede wszystkim zmienili miasto w otwarty zamtuz, zabijając każdego, z kim skończyli albo na kogo nie mieli ochoty. Potem, w chwili natchnienia, arcygenerał rozkazał

wykuć wielki kolec z przetopionych zbroi wszystkich żołnierzy swojej armii, którzy zginęli podczas oblężenia. Kolec miał trzydzieści metrów długości, a u jego podstawy umocowano wielką bryłę betonu. Potem całość umieszczono poziomo na miejskim rynku. Piątego dnia po zwycięstwie, wśród orgii pijaństwa i rozpusty, ludzie arcygenerała nabijali na ostrze pokonanych oficerów oraz miejskich rajców. Przekłuci mężczyźni i kobiety byli przeciągani przez całą długość - większość umierała po drodze - aż całkiem zapełnili kolec. Na czubku umieścili samą Hano. Na sygnał arcygenerała, krzykiem oddającego cześć pokonanej królowej - tak przynajmniej opisywał tę historię Valores - obciążony trupami kolec został ustawiony pionowo przez trzystu niewolników z miasta i umocowany jako trwały pomnik zwycięstwa.

To była porywająca opowieść i kiedy po latach Kirkus poznał Mokabiego na uroczystościach urodzinowych Świętobliwej Matrony, czyli matki Kirkusa, głos uwiązał mu w gardle. Nie umiał wykrztusić żadnej odpowiedzi na uprzejme pytania arcygenerała, dotyczące studiów i nauki - poraziła go obecność żywej legendy.

Ale było coś jeszcze, coś bardziej subtelniejszego, co usztywniło mu język, kiedy stał przed arcygenerałem. Zrozumiał to dopiero po kilku bezsennych nocach na posłaniu w Świątyni Szeptów. Kiedy młody Kirkus ścisnął wielką dłoń arcygenerała, ten miękki dotyk, chłodny i lekko wilgotny, nagle go przeraził. Wszystkie opowieści o wyczynach Mokabiego stały się czymś więcej niż tylko słowami na stronie książki. Ten mężczyzna, którego żywe, pulsujące ciało czuł w swojej dłoni, nakazywał rzeźnię tysiący ludzi - nie tylko pokonanych żołnierzy, ale też kobiet i dzieci, starców i niemowląt. Dotyk wzbudził w Kirkusie odrazę, jakby zwykły uścisk ręki mógł go zarazić czymś okropnym, czymś nieczystym. Później wyobrażał sobie, że czuje nawet krew na swoich dłoniach. Nieważne, jak często je szorował, nadal wyczuwał delikatny metaliczny zapach, kiedy leżał bezsenny, sam na sam ze swoimi myślami. To uczucie zniknęło dopiero po czternastych urodzinach, kiedy wreszcie mógł dzielić łożo z przyjaciółmi ze świątyni - czasem z Brice i Asamem, ale potem głównie z Larą. Odkrywając tak nowe, oszałamiające doznania, zapomniał o wyimaginowanej krwi na rękach. W tym samym



okresie intensywności nabrała nauka rytuałów Mannu. Przeszedł swoje pierwsze oczyszczenie. Matka coraz częściej pozwalała mu obserwować intrygi i obowiązki związane z nowo objętym tronem. Kirkus z czasem zaczął tracić wrażliwość. Nauczył się rozumieć konieczność bezlitosnego działania i zasadniczy egoizm współczucia. Kiedy jednak czasem znowu ogarniało go poczucie nieczystości - wywołane niekiedy przez brudną klamkę drzwi, kielich wina dzielony z przyjaciółmi, nawet basen w łaźni, w którym pływał ktoś inny - wracał do swoich komnat, żeby nie ulec impulsowi i nie szorować skóry aż do krwi. Był przecież kapłańskim nowicjuszem i pierwszym w kolejce do tronu. Nie mógł sobie pozwolić na publiczne okazywanie słabości.

- Idziesz? - spytała babka, wysiadając z lektyki.

Kirkus oderwał wzrok od gigantycznego kolca, a zwłaszcza plam rdzy na powierzchni.

Minęło kilka uderzeń serca, nim dotarł do niego sens jej pytania.

Pokręcił głową. Patrzył, jak stara kapłanka wędruje po rynku w towarzystwie osobistych niewolników, swobodnie kosztując słodczy i miejscowych win. Zrezygnowała ze zbrojnej eskorty, licząc na zastraszającą moc białej szaty; wystarczała, by ludzie się przed nią rozstępowali.

Przez chwilę Kirkus siedział nieruchomo i rozważał możliwości, fantazjując na temat ludzi, którzy go zaciekawili. W końcu, kiedy był już pewien, kogo chce, wstał.

Tym razem spokojnie wskazał wybranych: dwie piękne siostry z długimi jasnymi włosami, sięgającymi prawie do ziemi, tłustego rzeźnika, który operował tasakiem jak weteran i być może stawi opór, młodego człowieka, który przypominał mu Asama, przyjaciela z dawnych lat, i starą rybaczkę o ciele wciąż smukłym, silnym i interesującym.

Akolici rozbiegli się w tłumie i chwytali wskazanych. Podniosły się krzyki, które jednak zatoneły w gwarze placu targowego. Kirkus obserwował zamieszanie, śledząc wzrokiem, jak faluje i wiruje. Patrzył niczym zhipnotyzowany, gdy wzburzeni przyjaciele i krewni trzymali z całej siły tych, których im zabierano, wołając innych na pomoc. Akolici zbliżali się do nich po kolei, krzyki przerażenia

wzniosły się wyżej i w końcu zaczęły zagłuszać nawet hałas zatłoczonego targu.

Kirkus zrozumiał, że do końca swojego długiego życia nie znudzi się takimi dniami jak ten.

Po chwili wróciła Kira, a za nią kosz napełniony wybranymi smakołykami; zostawiła za sobą porzucone stragany, kosze wirujące tam, gdzie upadły, i ich właściciele uciekających z krzykiem, by przekazać ostrzeżenie sąsiednim ulicom. Za lektyką, gdy zakuwano w łańcuchy nowo schwytanych, ich szok emanował jak namacalna aura.

Kilka ulic dalej jakiś człowiek w wytartych skórkach kuriera podjechał do czoła kolumny; jego pasiasty zelback płoszył się, zaniepokojony posępną atmosferą. Jeździec rozmawiał chwilę z kapitanem akolitów, wręczył mu złożoną kartkę, po czym zawrócił i popędził wierzchowca do galopu. Kira przeczytała liścik z rosnącym zdumieniem.

- Chyba wiadomość o naszym przybyciu wzbudziła w mieście coś więcej niż tylko strach.

Słuchaj, co tu napisano: „Dziś wieczorem, kiedy spotkacie najwyższego kapłana Beliasa, przyjrzyjcie się uważnie, jak pasuje na niego szata. Pod spodem znajduje się zwykły szarlatan”.

- Jest podpisany? - zapytał Kirkus, tylko odrobinę zainteresowany.

- Lojalny poddany Mannu.

Kirkus wzruszył ramionami.

- Zawsze do samo, gdziekolwiek przybijemy - zauważył wzgardliwie. - Najwyższy kapłan z pewnością ma tu swoich wrogów, a teraz, kiedy tu jesteśmy, mają nadzieję zająć jego stanowisko.

- Masz sprawny umysł, jeśli tylko chce ci się go używać. Możesz mieć rację, ale na wszelki wypadek przyglądaj się kapłanowi uważnie. To sztuka, którą musisz opanować: jak odróżnić prawdziwych wyznawców od fałszywych. I kolejna umiejętność: jak ich traktować, jeśli okażą się fałszywi.

- Pozbyć się ich. O czym tu jeszcze myśleć? - odparł, znowu rozglądając się po ulicach.

Wciąż szukał.

- Czasami - gderała Kira zza maski - twój brak wyobraźni mnie

zaskakuje. Musimy popracować nad tą twoją wadą. - Pstryknięciem palców przywołała dowódcę akolitów. - Udamy się teraz do rezydencji najwyższego kapłana - poinformowała. - Chcę tam trochę odpocząć, nim zasiądziemy do uczyty z człowiekiem, który rządzi naszym miastem.

- Jak sobie życzysz. - Kapitan skłonił głowę.

Procesja ruszyła naprzód.

- Nudzę się - oznajmił Kirkus, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Młody kapłan był tylko gościem podczas posiłku, ale siedział u szczytu stołu i popijał mocne serackie wino, jakby to była woda.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - poradziła Kira rodzinie, która tego wieczoru pełniła funkcję gospodarzy. - Po prostu się upi!.

Belias, najwyższy kapłan miasta, a zatem jego gubernator, odpowiedział tylko lekkim, nieco nerwowym uśmiechem. Chustką przetarł pot gromadzący się na jego łysej czaszce.

Czul się dziwnie nie na miejscu, choć siedzieli w sali bankietowej jego własnej rezydencji, gdzie gościł tych dwoje przybyszów z dalekiego Q'os, stolicy Świętego Imperium Mann.

Może chodziło o to, jak przyglądała mu się stara kapłanka. Było w jej wzroku coś niedopowiedzianego.

Raz jeszcze zapragnął, by skończyli jeść i wcześniej poszli do swoich pokojów. Belias musiał porozmawiać ze służbą, sprawdzić, czy mieszkańcy miasta przestrzegają pospiesznie ogłoszonego zakazu chodzenia wieczorem po ulicach. A jednak od dwóch godzin siedział uwięziony przy stole z gośćmi, udając zainteresowanie gadaniem staruchy, oceniając tempo, w jakim pochłaniali jedzenie i pili wino. Prostą modlitwą starał się ich ponaglić. Chyba już wkrótce się nasycą.

U jego boku siedziała w milczeniu jego pulchna żona. Ubrana w najbardziej wyszukane jedwabie z dalekich krain, nosiła klejnoty odpowiednie dla królowej - w każdym razie jakiejś prowincjonalnej królowej. Znowu skromnie spojrzała na przystojnego młodego kapłana, siedzącego jak król u szczytu długiego stołu, i znowu Kirkus starannie zignorował to spojrzenie. Belias także udał, że nie zauważył. Nie był zaskoczony próbą flirtu żony - zawsze pociągała ją

władza. Dlatego w ogóle za niego wyszła.

Naprzeciwno siedziała jego córka, Rianna. Belias często na nią zerkał, kiedy potrzebował odrobiny wsparcia. Szeptła coś do swojego narzeczonego, starszego o dziesięć lat; był przedsiębiorcą klasy patrycjusza. Już dawno skończył jeść i teraz z ledwie skrywaną nieufnością obserwował kapłanów.

Stanowili zabawną grupę, to prawda, jedząc w milczeniu w rozległej sali, słuchając uderzeń deszczu o okienne witraże, mlaskania i brzęczenia sztućców, od czasu do czasu jakiejś uprzejmej uwagi - oraz krzyków niewolników, kulących się na żwirowym podjeździe na zewnątrz.

Kanclerz poinformował już Beliasa o dzisiejszych wydarzeniach na ulicach Skara-Brae.

Między innymi dlatego tak się pocił, dlatego musiał udawać apetyt, grzebiąc w zimnych resztkach posiłku. Mieszkańcy miasta byli wzburzeni, to jasne. Chcieli powrotu swych ukochanych, a jeśli to się nie uda, chcieli krwi. Bardzo go niepokoiły te nieoczekiwane, publiczne wybuchy gniewu - ponieważ rozumiał Nathalczyków aż za dobrze i wiedział, jak łatwo te niepokoje mogą się przerodzić w otwarty bunt. W końcu sam był Nathalczykiem.

- Dobrze się czujesz, najwyższy kapłanie? - spytała współczująco Kira.

Belias podejrzewał, że wszelkie współczucie okazywane przez tę kobietę przypomina raczej zabawę kota z myszą.

Spróbował się opanować. Nie, nie czuł się dobrze. Ta stara wiedźma była matką Świątobliwej Matrony, natomiast ten prostak, chwiejący się na krześle u szczytu jego stołu, to nie kto inny jak syn Matrony, prawdopodobnie pierwszy w kolejce do tronu. To dość, by zepsuć nastrój prostego kapłana z prowincji.

- Jak najlepiej - usłyszał własną odpowiedź. - Zastanawiałem się tylko, rozumiesz...

czemu musieliście zebrać dziś tylu niewolników?

Kobieta delikatnie łyknęła wina, spoglądając na niego ponad krawędzią kielicha.

Młasnęła wargami.

- Ten mój tępy wnuk ma wkrótce odbyć swoją inicjację - wyjaśniła

głosem skrzypiącym jak stare schody. - Zbieramy to, co nam potrzebne, zatrzymujemy się tu i tam nad rzeką, w miastach, na które przyjdzie nam ochota. W tym ostatnim roku zabrałam go w wielki pochód.

Jestem pewna, że jako najwyższy kapłan też byłeś na pielgrzymce.

Uniosła kielich i przyjrzała się uważnie, jakby szukała w nim niedoskonałości, a Belias zauważył, że obserwuje go przez przezroczysty kryształ.

Kiwnął głową, uśmiechając się jak idiota; uniknął odpowiedzi wprost. Nie, nigdy nie wyruszył w tę wędrówkę, choć nie miał zamiaru jej o tym informować.

Droga była długa, potwornie kosztowna, jeśli ktoś chciał minimalnych choćby wygód, i łączyła się z wszelkiego rodzaju orgiami i łamaniem tabu, czego pewnie jego serce by nie wytrzymało. I dlatego Belias jakoś nie mógł się wybrać.

- Rozumiem - powiedziała Kira.

Belias pozwolił, by uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie wiedział, co zrozumiała, ale serce zaczęło mu bić nieco szybciej. Zmusił się, by wsunąć do ust plasterek słodkiego korzenia - prosty akt, mający świadczyć o opanowaniu. Niestety, sam zepsuł cały efekt, kiedy spróbował przełknąć i prawie się udławił ledwie pogryzionym kęsem.

Córka podała mu puchar z wodą, z troską marszcząc czoło. Wypił do dna i uśmiechnął się do niej. Miała dziś na sobie suknię z miękkiej zielonej bawełny, podkreślającej kolor jej rudych włosów i sięgającej dostatecznie wysoko, by zasłonić pieczęć, którą na prośbę ojca zawsze nosiła na szyi. Wcześniej Belias trochę na nią burczał, że tak ją ukrywa, co zawsze czyniła w towarzystwie. Próbował jej wytłumaczyć, że ukryta pieczęć jest bezużyteczna. Nie powstrzyma kogoś, kto jej nie zobaczy. Ale Rianna nigdy w pełni nie rozumiała, jakie niebezpieczeństwa mogą zagrażać córce najwyższego kapłana miasta. W pewnym sensie miał nadzieję, że nigdy nie zrozumie.

Teraz, kiedy córka uśmiechnęła się w odpowiedzi, pożałował tych surowych słów. Choć wiedział, że już mu wybaczyła. Zawsze mu wybaczła.

Był zadowolony przynajmniej z tego, że para wizytujących

kapłanów nie zaczęła rozmowy o doktrynie i rytuałach. Zawsze starał się osłaniać Rianę przed mrocznym jądrem tej religii. Chronił jej niewinność, jedyne jasne światło w szarym poza tym życiu.

- Popatrz na niego! - Stara kapłanka szturchnęła wnuka palcem, choć dosyć żartobliwie.

Mimo to Belias drgnął. - Pijany winem i pęka z przejedzenia, a jednak narzeka, że się nudzi.

Uwierzyłbyś, że przez ostatnie miesiące oglądał całe imperium przesuwające się pod jego stopami, podziwiał widoki, jakie tylko nieliczni uprzywilejowani zobaczą? Nie, on tylko jęczy o więcej, jak rozpuszczony dzieciak, którym jest.

Kirkus beknął głośno.

„Nie ma pana prócz ciebie samego”, wyrecytował w myślach Belias, jakby nagle stał się szczerym wyznawcą Mannu. Jednocześnie ukradkowo zerkał na rozpartego na krześle, pijanego młodego kapłana. Czy to naprawdę ma być następny przywódca zarówno imperium, jak i religii obejmujących dwa kontynenty i przynajmniej czterdzieści różnych ras? W przeciwieństwie do wielu swoich rodaków, którzy raczej walczyliby o niepodległość do samego końca, Belias uważał się za realistę. Była to cecha, którą cenił najwyżej ze wszystkich i której nieszczęśliwie brakowało większości Nathalczyków. Może z wyjątkiem klas kupieckich, które potrafiły rozpoznać okazję do interesów, kiedy ta kopniakami wywaląta im drzwi. Wiele lat temu, gdy imperialne wojska najpierw przetoczyły się do nathalskich granic, a potem niemal z marszu przełamały obronę, uznawał przyszlą okupację za to, czym rzeczywiście była - nieuchronność. Po ostatniej klęsce królowej Hano i jej sił właśnie tutaj, w tym nieszczęsnym mieście, z którego udało mu się uciec, spędził pewien czas daleko stąd, w rodzinnej posiadłości, razem z żoną i dzieckiem. Jako młody i ambitny polityk bez oporów przeszedł na drugą stronę. Został - choć trudno uwierzyć - kapłanem Mannu, co uważał za jedyną drogę awansu w nowej hierarchii. Nie było to trudne. Wystarczyło studiować przez trzy lata w nowo wybudowanym kompleksie świątynnym w Seracie, do którego przybywali rozmaici prowincjusze, by przywdziać obrzędowe szaty najeżdźców, a potem mężnie przetrwać Cull, ów tajemniczy rytuał,

który i dla Beliasa miał wyznaczyć ostateczną inicjację religijną.

To przesunięcie lojalności udało się całkiem dobrze - a Belias lubił sobie o tym przypominać, jak również o dalszych sukcesach, jakie przyniosła ta decyzja. Wspominał je zwłaszcza w bezsenne noce, kiedy dręczyło go sumienie. Ale przecież był teraz gubernatorem w swoim własnym mieście.

Jednak mimo całego pragmatyzmu, a może właśnie dzięki niemu, Belias dobrze rozumiał swoich mniej wyrafinowanych rodaków. Taki epizod jak dzisiaj - publiczne łapanie ludzi w całym mieście - może wystarczyć do wybuchu buntu, mimo groźby krwawego odwetu, jakiego wszyscy by się spodziewali. Gdyby doszło do powstania, najwyższy kapłan Belias z całą pewnością stałby się trupem. Byłby pierwszy w kolejce do stryczka, gdyż ludność uważała go za zdrajcę i marionetkę. A gdyby nawet uniknął samosądu, kapłani sami by go zabili za to, że dopuścił do buntu. Oskarżą go, że jest słaby, że nie jest prawdziwym kapłanem Mannu; odbiorą mu kapłańskie szaty swoją ulubioną metodą - ustawiając go na szczycie płonącego stosu.

A wszystko przez tych fanatyków z Q'os, siedzących tutaj, przy jego stole, w jego własnym domu, w jego mieście, opychających się jego jedzeniem, kiedy ich cuchnący niewolnicy blokują jego podjazd. Jeśli obywatele się zbuntują, to przecież z winy tych dwojga; może nawet pętle zacisną się także na ich szyjach - ale jemu niewielką to przyniesie satysfakcję. Trup to trup, nic tego nie zmienia.

Mann, myślał z goryczą kapłan. Boskie ciało. Starał się dowiedzieć wszystkiego, co mógł na temat tej pochłaniającej wszystko religii, do której przystąpił. Wierzył, że zrozumiał, czym jest naprawdę.

Święty Zakon Mann nie zawsze był taki święty. Kiedyś stanowił tylko mroczny miejski kult, plotkę powtarzaną szeptem w miastach-państwach Lanstrady, był czymś, czym matki straszyły nieposłuszne dzieci. Ale to było wcześniej, zanim jeszcze ten tajemny kult zdominował bogate miasto-państwo Q'os - mieszkańców ogarniętych strachem i zabobonami wywołanymi przez długie lata chorób i nieurodzajów. Kult doszedł tam do władzy w drodze zamachu stanu, znanego jako Najdłuższa Noc.

Pchany euforią po zwycięstwie i ambicją możliwie szybkiej konsolidacji sił, kult zainwestował ogromne rezerwy bogactw, jakie

znalazły się w jego posiadaniu, by zreformować armię i zmienić ją w machinę do podbojów. Marzyli o rozpowszechnieniu mannijskiej filozofii na całym znanym świecie. Z początku ich militarne wyprawy nie kończyły się dobrze. W końcu jednak, gdy uzbroili się w działa nowego typu - celniejsze, rzadziej wybuchające i wymagające mniejszej ilości czarnego prochu - fortuna w bitwie zaczęła im sprzyjać. Zapoczątkowało to erę inwazji i dominacji, a ta w niecałe pięćdziesiąt lat doprowadziła do wykucia zrębów imperium, a przy tym zmieniała samą naturę wojny.

W czasie tych pięćdziesięciu lat u władzy, kult świadomie osłonił się boskością. W stosunkowo krótkim czasie wyrósł na religię państwową, a liczne dawne zwyczaje zmieniły się w tradycje. Przykładem takiej tradycji był Cull - dla kapłanów neofitów był to rytuał inicjacji, w którym tracili czubki małych palców, a potem musieli gołymi rękami zamordować niewinnego człowieka. Takie przełamanie tabu służyło wyostrzeniu jaźni, by stała się niepowstrzymana.

Tak przynajmniej wierzono, choć już po wszystkim Belias uznał, że to w pewnym sensie bajki. Czuł tylko mdłości po długiej, całonocnej inicjacji. Wprawdzie liczni fanatyczni kapłani wiele razy powtarzali ceremonię Cull, podobno by jeszcze bardziej wyostrzyć boskie ciała, jednak Belias nie próbował na nowo tego przeżyć i starał się nie wracać pamięcią do tego jedyne go razu. Nigdy nie zdradził rodzinie, co zrobił, by zdobyć białą szatę i stanowisko.

Aż do teraz dla Beliasa nie było specjalnie ważne, że nie wierzy w żadne fundamentalne nonsensy Mannu. Był ambitnym zdrajcą, kapłanem religii, która nie dbała o bezinteresowność czy ofiarę. Skupiała się tylko na władzy i własnej boskości, a zatem Belias - w młodszych latach człowiek czczący sam siebie - rzadko kiedy uważał się za oszusta.

Czuł się jednak dziwnie, siedząc przy własnym stole z tymi oczywistymi fanatykami z Q'os - prawdziwymi kapłanami w każdym sensie tego słowa, ze starannie ogolonymi czaszkami i mnóstwem ćwieków na twarzach - Belias czuł się w końcu jak szarlatan, którym przecież był. I ta myśl dominowała w jego umyśle, gdy siedział i patrzył. Złe przecucie narastało z każdą chwilą. Zastanawiał się tylko,



co by z nim zrobili, gdyby coś podejrzewali.

Kirkusa ogarniała irytacja. Wino było przyzwoite, jedzenie przynajmniej obfite, ale miał uczucie, jakby ostatnią godzinę spędził na przyjęciu z trupami, tak sztywne i oficjalne wydawały się prowadzone przy stole rozmowy. Nie po raz pierwszy w ostatnich sześciu miesiącach marzył, by znaleźć się znowu w Świątyni Szeptów, w towarzystwie równych sobie.

Ostry krzyk na zewnątrz przerwał burzliwe rozmyślania. Pewnie któryś z nowych niewolników został uciszony uderzeniem pejczy.

- Najwyższy czas - mruknął, niezręcznie napełniając znowu swój kielich. Arogancja służyła głównie demonstracji, gdyż Kirkus wcale nie był takim bezczelnym prostakiem, jakiego udawał; po prostu bawiło go, kiedy czasem za takiego go uważano.

Nikt nie zareagował na tę uwagę. Brzęk sztućców i szuranie talerzy trwało nieprzerwanie.

Kirkus ułożył przed sobą sztucce, aż wszystkie leżały idealnie równo na swoich miejscach. Zgrzytnął zębami. Jeśli szybko nie zrobi czegoś, by rozproszyć nudę, chyba tu zwariuje.

Cicha wymiana zdań trwała przez moment pomiędzy Kirą a najwyższym kapłanem, coś o rzece i jak daleko jest droga do Jeziora Ptaków. Belias pocił się jeszcze bardziej niż poprzednio.

- Nudzę się! - zawołał znowu Kirkus, głośniejszym niż poprzednio, choć nie aż tak, by przerwać zdawkowe rozmowy.

Jednak córka najwyższego kapłana spojrzała na niego znad talerza świeżego łososa.

Odwróciła głowę i obrzuciła go niechętnym, pełnym oburzenia wzrokiem. Odkąd usiedli do stołu, pierwszy raz mógł popatrzeć jej w oczy. Spojrzał więc na nią wyzywająco, potem na jej narzeczonego, tego oślizłego handlarza, który rzucił tylko okiem, jakby chciał zaznaczyć, że wie o obecności gościa. Po czym oboje równocześnie wrócili do jedzenia. Kirkus zauważył, że zerkają na siebie znacząco. Tę parę łączyło jakieś niewypowiedziane porozumienie.

Pewnie dosiada ją jak wierzchowca, kiedy tylko wyjdą rodzice, dumiał smętnie. I natychmiast wypłynęło niepożądane wspomnienie: Lara i ostatni raz, kiedy także pędzili razem; jej obłąkany, perwersyjny apetyt na seks doprowadzał go do euforii,

jakiej nigdy wcześniej nie zaznał.

Wspomnienie legło mu w brzuchu niczym ołowiany ciężar; po chwili przywołało kolejne.

Wieczór spędzony z babką w jej chłodnej, zaciemnionej prywatnej kwaterze; jej skrzypiący głos przypominający mu o sprawach, których wolał nie rozważać w tych dniach, gdy mógł myśleć tylko o następnym spotkaniu z Larą. Dla niego liczył się jedynie zapach jej skóry, tak gładkiej i jędrnej pod jego palcami albo językiem; dźwięk jej śmiechu, czystego i melodyjnego, wywoływanego czymś, co mógł tylko zgadywać; wizja jej idealnej twarzy, zaczerwienionej pod nim albo nad nim; jej dar spontaniczności i radości.

- Mała Lara nie może być twoją glammari, Kirkusie - oświadczyła bez ogródek babka, po godzinie tłumaczenia, jak to wyłącznie kobiety Mannu przekazują władzę i bogactwa swoich rodów, ponieważ tylko one bez żadnych wątpliwości przedłużają pradawną linię krwi.

- Tych spraw musisz być świadom o wiele głębiej niż tego, kto najlepiej zadowolony twojego ptaszka - zadrwiła. - Pamiętaj, ród Lary jest już sprzymierzony z naszym. Ty, moje dziecko, musisz wybrać partnerkę tak, by wzmocnić swoją pozycję; musi pochodzić z wpływowej rodziny, którą chcemy mieć po swojej stronie. Dla ciebie Lara nie może być nikim więcej, niż jest w tej chwili, i to musi wystarczyć wam obojgu.

Kirkus przeklął staruchę i kazał jej pilnować swojego nosa. Larze nic nie powiedział - nie miałby nawet pojęcia, jak zacząć. Ale jakoś musiała o tym usłyszeć.

Była trochę nerwowa tamtej nocy, która miała się okazać ich ostatnią, choć tylko ona o tym wiedziała. Po długich godzinach miłosnych zabaw pokłócili się o coś całkiem nieistotnego, jakies nieporozumienie, którego powodów dzisiaj nie mógł sobie nawet przypomnieć. Lara wybiegła wściekła, krzycząc, że nie chce go więcej znać, a on śmiał się z tej demonstracji i uważał, że to zwykła sprzeczka - nie wiedział, że właśnie ją stracił.

Kilka dni później, na Ball de Pierce, Lara pojawiła się z nowym kochankiem, tym durniem Da-Ranem, który paradował dumnie w galowej zbroi, z tymi swoimi wstążkami i niezabliźnioną jeszcze raną

na policzku, gdyż właśnie w tamtym tygodniu wrócił po stłumieniu buntu jakiegoś plemienia na północy. Przez całą noc Lara nawet nie spojrzała na Kirkusa.

Ani razu.

Ta dziewczyna przy stole, Rianna, potrafiła tak patrzeć na narzeczonego, że Kirkus czuł się niepewnie; gdyby miał choćby niewielką skłonność do samoanalizy, rozpoznałby w tym uczuciu zazdrość. Ale tylko siedział w coraz gorszym humorze i obserwował wszystko ciemniejącymi z irytacji oczami.

Zauważył, że dziewczyna, jedząc, jedną rękę trzyma pod stołem. I kiedy przyjrzał się dokładniej, odkrył, że porusza nią w rytmie tak delikatnym, że prawie niedostrzegalnym.

Prychnął cicho, po czym z demonstracyjną subtelnością pijaka upuścił na podłogę swoją nieużywaną serwetkę, po czym schylił się i zajrzał pod stół. No tak... Jej delikatna, okryta koronką dłoń czubkami palców gładziła lekko krocze mężczyzny.

Kirkus podniósł serwetkę i odłożył ją na blat. Uśmiechał się szeroko, a kiedy spojrzał na dziewczynę, miał wrażenie, że widzi całkiem inną osobę. Zwrócił uwagę na szczupłe ciało pod zieloną suknią, na jędrne młode piersi, łabędzią szyję wyginającą się ku twarzy delikatnej i dumnej, bladej i zarumienionej makijażem, obramowanej burzą rudych włosów.

- Chcę ją - oświadczył nagle, a jego spokojny, ale stanowczy ton zwrócił uwagę wszystkich.

- Co, kochanie? - spytała siedząca naprzeciw babka; ta wiedźma udawała chyba, że jest głucha.

Wskazał Riannę palcem.

- Chcę ją - powtórzył.

Pulchna matka dziewczyny w końcu przerwała milczenie. Zachichotała, osłaniając dłonią usta, jakby znalazła się w towarzystwie wariata. Jednak pozostali nie wydawali się skłonni do śmiechu. Wciąż jakby próbowali pojąć jego słowa; z rozdziawionymi w zdumieniu ustami zamarli w doskonałym bezruchu.

- Mówisz poważnie? - spytała babka tonem sugerującym, że zanim znów się odezwie, lepiej, by był absolutnie pewien.

Kirkus wiedział, czego od niej wymaga. Jeszcze w Q'os mogłaby

mu odmówić - tak postąpiła, kiedy po balu zażądał dla siebie Lary. Zbyt się obawiała naruszyć delikatną równowagę sił, którą stworzyła jego matka. Ale tutaj? Z tym prowincjonalnym durniem jako najwyższym kapłanem? List, jaki otrzymała wcześniej, nie kłamał - Belias wyraźnie grał tylko rolę wyznawcy Mannu, nie był szczery.

- Tak samo jak ja wiesz, kim są ci ludzie. Tak, babciu, chcę ją... na mój Cull.

Rudowłosa dziewczyna sięgnęła dłonią do szyi i spojrzała na ojca, u niego szukając pomocy. Narzeczony położył jej dłoń na ramieniu i poderwał się, ale milczał. Matka ciągle chichotała.

Stara kapłanka Kira westchnęła ciężko. O czym myślała przez następne chwile, nikt w sali nie mógłby się domyślić, nawet Kirkus, ale patrzyła na niego z uwagą ponad stołem, a on na nią, aż cisza stała się niemal namacalna i ciężka. Potem Kira zwróciła się do Beliasa, którego twarz stężała nagle i pobladła ze strachu. Zdawało się, że to właśnie pchnęło ją do decyzji. Uśmiech, jaki mu rzuciła, pojawił się jedynie z grzeczności.

- Najwyższy kapłanie Beliasie - rzekła, kładąc sztucce obok talerza.  
- Chcę ci zadać pewne pytanie.

Mężczyzna odkaszlnął.

- Pani?

- Co, twoim zdaniem, jest największym zagrożeniem dla naszego zakonu?

Kilka razy otwierał i zamykał usta, nim odzyskał głos.

- Ja... ja nie wiem. Rządzimy prawie całym poznany światem. Wszędzie dominujemy.

Ja... nie dostrzegam żadnych zagrożeń.

Na moment przymknęła oczy, jakby nagle zaciążyły jej powieki.

- Największe zagrożenie - oznajmiła - zawsze przychodzi od wewnątrz. Musimy się strzec własnej słabości, abyśmy nie zmiękli, nie dopuścili do zakonu tych, którzy nie są szczerzy w wierze. W ten sposób religie stają się puste i pozbawione znaczenia. Z pewnością się ze mną zgodzisz.

- Pani, ja...

Znów otworzyła oczy i kapłan zamilkł. Jego dłonie nad obrusem wyraźnie drżały.

- Dziękujemy ci za twoją gościnność - rzekła kapłanka, otarła usta i odłożyła serwetkę.

A potem uniosła dłoń i pstryknęła palcami z odgłosem jakby pękającej kości. I natychmiast ustawieni w rogach pomieszczenia czterej akolici ruszyli przed siebie.

Dziewczyna wrzasnęła, kiedy ją otoczyli.

Narzęczony zamachnął się; był dostatecznie oszołomiony i przerażony, by zadać cios - trafił jednego z akolitów w szczękę. Drugi natychmiast wznosił miecz, a mężczyzna instynktownie zasłonił się ramieniem. Z bezmyślną prostotą rzeźnika akolita przerąbał je, potem zamachnął się znowu i przeciął obojczyk. Odcięta ręka upadła na podłogę, a obok uderzyło głucho ramię, które znieruchomiało na otwartej dłoni. Mężczyzna runął z krzykiem, a krew siknęła na wszystkie strony.

Matka wstała i z wymiotowała na swój haftowany obrus deszczem ledwie przetrawionych krewetek.

Ojciec wybełkotał jakieś nieważne słowa i potykając się, ruszył wokół stołu, na pomoc córce. Ale pośliznął się w kałużę krwi, a kiedy odzyskał równowagę, chwycił się za pierś.

Grymas wykrzywił mu twarz.

Drzwi na końcu sali otworzyły się nagle i wpadli strażnicy rezydencji, z wydobytymi mieczami - wyraźnie spodziewali się kłopotów. Spojrzeli na scenę przed sobą: ich pan zataczał się jak pijany, pokrwawiony i ranny mężczyzna ciągle jeszcze wrzeszczał z bólu na podłodze, córka szarpała się w uścisku akolitów. A na obu końcach stołu spokojnie sączyła wino dwójka przybyszów z Q'os w białych szatach.

Strażnicy wycofali się i cicho zamknęli za sobą drzwi.

Najwyższy kapłan jęknął, po czym osunął się na kolana. Kira stanęła nad nim.

- Proszę - wykrztusił, przyciskając dłoń do piersi.

Krótki sztylet pojawił się w ręku kapłanki. Szybkim ruchem przeciągnęła ostrzem po jego gardle.

- Weźcie też matkę - poleciła, prostując się nad konającym mężczyzną.

Akolici pochwycili matkę i razem z krzyczącą córką wywlekli z

pokoju. Kira spojrzała z góry na Beliasa. Patrzył na nią oczami zachodzącymi mgłą.

- Całkiem dobrze nas oszukiwałeś - powiedziała, choć nie była pewna, czy ją słyszy. - Do czasu.

Przestąpiła nad nim, zamiast go omijać, pozostawiając za sobą linię krwawych śladów.

Kirkus jednym haustem dopił wino i wstał.

W głównym holu rezydencji strażnicy czekali ze słabo skrywanym przerażeniem. Egan, kanclerz najwyższego kapłana, stał przed nimi z dłońmi schowanymi w rękawach białej szaty. Siwe włosy ostro kontrastowały z zaczerwienioną twarzą; Kirkus sądził, że to gniew, dopóki nie dostrzegł błysku zaciekawienia w jego oczach, śledzących matkę i córkę, wyprowadzane właśnie na deszcz. Zastanowił się, czy to nie ten człowiek napisał list, który dzisiaj otrzymali.

- Potrzebny nam nowy najwyższy kapłan, kanclerzu Eganie - oświadczyła Kira.

- Istotnie - wymruczał mężczyzna.

- Mam nadzieję, że okażesz się bardziej oddanym wyznawcą naszej wiary niż twój poprzednik.

Egan skłonił głowę.

- On był słaby, pani. Ja nie jestem.

Kira przyglądała mu się przez chwilę, po czym prychnęła cicho, odwróciła się zamasyście i wyszła frontowymi drzwiami.

Kirkus pokornie ruszył za nią.

## ROZDZIAŁ 5

### W locie



Kabina cuchnęła pleśnią, wilgocią i wymiocinami. Panował bezruch, a jednak delikatne kołysanie statku dawało o sobie znać poprzez rzadkie skrzypnięcia drewna, grzechot wiszącej u sufitu latarni, lekkie uczucie wznoszenia i opadania w żołądku. Na pościeli leżał wyczerpany i blady Nico.

Gdy tylko statek wystartował z Bar-Khosu i wzleciał w zachmurzone niebo, a Nico zaczął wpatrywać się w nienaturalny widok malejącej w dole ziemi, natychmiast ścisnął reling z uczuciem lekkości w głowie i kotłowania w brzuchu. Już trzeci dzień leżał na koi, nękanym lękiem i nudnościami. Od czasu do czasu wychylał się, by zwymiotować do drewnianego cebrzyka na podłodze. Nawet mówienie było bolesne, gdyż gardło piekło od żółci. Jadł niewiele, głównie pił wodę i zupę, którą potrafił utrzymać w żołądku dość długo, by ją strawić. W każdej chwili, przytomny czy pogrążony w niespokojnym śnie, był świadom tysięcy metrów pustej przestrzeni pod sobą, nieustannie naprężonych lin i wsporników, podtrzymujących kadłub wiszący pod cienkim, wypełnionym gazem pojemnikiem. Każdy okrzyk kogoś z załogi na pokładzie, każde tupnięcie czy gwałtowniejszy ruch wewnątrz statku były dla Nica zwiastunem nadchodzącej katastrofy. Chyba jeszcze nigdy tak nie cierpiał.

Większość czasu był sam. Ash dzielił z nim ciasną kabinę, ale stary wędrowiec jakoś nie doceniał powtarzających się ataków mdłości chłopca, w końcu tracił cierpliwość, odkładał tomik poezji, który zdawał się zawsze czytać, i wychodził na pokład, burcząc coś pod nosem.

To Berl, chłopiec okrętowy, opiekował się chorym, przynosząc mu wodę i jedzenie.

- Musisz jeść - przekonywał, podsuwając mu miskę bulionu. - Zostały z ciebie sama skóra i kości.

Ale Nico skrzywił się i odsunął miskę. Berl pokręcił głową nad jego uporem.

- W takim razie wodę - tłumaczył. - Musisz wypić trochę wody, nieważne, czy utrzymasz ją w sobie, czy nie.

Nico pokręcił głową.

- Jeśli nie wypijesz, będę musiał sprowadzić twojego mistrza.

W końcu Nico zgodził się na kilka łyków, choćby po to, żeby udobruchać chłopca.

Zapytał, jaka jest pora dnia.

- Późne popołudnie. Chociaż tutaj i tak nie zauważysz różnicy, z tymi zamkniętymi cały czas okiennicami. Potrzebujesz świeżego powietrza, bo tu śmierdzi. Nic dziwnego, że twój mistrz cały czas sterczy na pokładzie.

- Widok mi się nie podoba - wyjaśnił Nico.

Przypomniał sobie ten pierwszy dzień, kiedy otworzył okiennice i natychmiast zatoczył się w tył, uciekając od widoku, który go powitał.

Jęknął, przyciskając dłońią obolały żołądek.

- Chyba bardzo ze mną źle.

Berl wyszczerzył zęby.

- Kiedy leciałem pierwszy raz, chorowałem tak przez cały tydzień. To typowe. Niektórzy zdobywają skrzydła szybciej, inni wolniej.

- Skrzydła?

- Tak. Nie przejmuj się, jeszcze parę dni i ci przejdzie.

- Chyba umieram.

Chłopiec znów uniósł bukłak z wodą do ust Nica.

Berl wyglądał najwyżej na czternaście lat, ale promieniował



pewnością siebie kogoś znacznie starszego. Nico otarł usta i przyjrzał mu się uważnie. Dostrzegł drobne blizny na wąskiej twarzy, skupione wokół brwi, a przede wszystkim wokół oczu, które zresztą też wydawały się twarde jak dawno zagojone rany.

- Pracowałem kiedyś pod Tarczą - wyjaśnił Berl, widząc jego zaciekawienie.

No tak, pomyślał Nico. Ojciec mówił mu kiedyś, że czasami wysyłali chłopców do tuneli pod murami Bar-Khosu, w miejsca zbyt ciasne dla mężczyzn, ale dostatecznie szerokie dla chłopców i psów bojowych. Powiedział o tym Berlowi: że jego ojciec też był Specjalnym, może by nawiązać w ten sposób bliższy kontakt? Chłopak kiwnął tylko głową i na podłodze obok cebrzyka położył pełny bukłak.

- Na razie wystarczy - stwierdził. - Ale musisz pić tę wodę, jasne?

- Tak - obiecał Nico. - Powiedz, gdzie jesteśmy?

- Nad Saliną. Dziś rano dotarliśmy do wschodniego wybrzeża.

- Myślałem, że lecimy już do Cheemu.

- Jak tylko trafimy na sprzyjający wiatr. Kapitan woli oszczędzać biały proch. Ale jak tylko zawieje, ruszymy na północ przez blokadę. Nie przejmuj się, Mannijczycy nie mają więcej statków od nas, a „Sokół” jest naprawdę szybki. Przejście nie potrwa długo.

Wstał.

- Przyjdź później na pokład, jeśli dasz radę - powiedział. - Świeże powietrze ci pomoże.

A potem swobodnym krokiem ruszył po wyraźnie nachylonej podłodze - statek nabierał wysokości. Nico słyszał, jak odpalają kadłubowe rury napędu, zużywając cenne paliwo.

Berl zatrzymał się jeszcze w drzwiach, oparty ręką o futrynę.

- Naprawdę się uczysz, żeby być Rōshunem?

- To chyba miała być tajemnica - odparł Nico.

Chłopiec kiwnął głową i w zadumie wysunął dolną wargę. A po chwili zamknął za sobą cienkie drzwi.

Nico położył się na wznak i zamknął oczy. Lepiej się czuł, kiedy nie widział nachylonej kabiny.

Już teraz jego dawne życie w Bar-Khosie wydawało się bardzo, bardzo dalekie.

Następnego ranka poczuł się lepiej - zupełnie jakby ciało wyczerpało już cierpienie i mimo lęku postanowiło się uspokoić. Nico westchnął z ulgą i zsunął się z przepoconego pościania.

Kabina znajdowała się w tylnej części powietrznego statku. Pod zasłoniętym oknem wisiała szeroka półka, podtrzymująca umywalkę; w rogu pokrywa zasłaniała wygodkę.

Odetchnął głęboko i po krótkim majstrowaniu otworzył okiennice. Zamrugał, oślepiony widokiem błękitnego nieba; kilka białych obłoków przepływało na poziomie oczu. Lekki wietrzyk musnął jego twarz i do końca go rozbudził. W dole rozciągał się zielony i brązowy pejzaż - wyspa, sądząc po zakrzywionej linii brzegowej - z drogami biegnącymi tu i tam pomiędzy kilkoma niewyraźnymi miasteczkami, aż zbiegały się w rozległym, obwałowanym mieście portowym. Błyszczące rzeki spływające z zalesionych wzgórz do jezior, a potem dalej, do morza, przyprawiały o zawroty głowy.

Nico chwycił mocno ramę okna i nakazał sobie zachować spokój.

Zawartość cebrzyka wylał do wygodki, by pozbyć się smrodu. Potem zrzucił brudne ubranie. Przed odlotem Ash kupił mu torbę ze wszystkim, co potrzebne w podróży; teraz Nico wyjął z niej kostkę mydła i umył się od stóp do głów, przy okazji zalewając drewnianą podłogę. Znalazł nową ściłkę, wyjął ją z woskowanego papieru i długo, mocno szorował zęby.

Kiedy wkładał czyste ubranie: miękką bawełnianą koszulę, tunikę i spodnie z mocnego płótna, skórzane buty i pasek z twardą drewnianą klamrą - uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny.

Stawiając krótkie, ostrożne kroki, wyszedł z kabiny i ruszył korytarzem za zapachem chee. Dotarł do dużej, nisko sklepionej sali. Marynarze siedzieli w grupach przy stołach i rozmawiali cicho, odpoczywając po pracy; pokój wypełniał już fajkowy dym. Niektórzy przyglądali mu się posępnie, kiedy przechodził na koniec sali, gdzie przez otwartą klapę kambuza kucharz - chudy, łysy mężczyzna z wytatuowanym na twarzy zakręconym wąsem - wydawał ciepłe chee oraz talerze sera i sucharów. Berl także pracował w kambuzie, pilnie dokładając drewna do ognia, płonącego w ceglany kominku. Skinął głową, kiedy Nico go pozdrowił, ale nie przerwał pracy.

Nico zajął się nakładaniem jedzenia na talerz. Kucharz postawił

przed nim kubek chee, po czym wrócił do prac kuchennych, które polegały najwyraźniej na waleniu w patelnie, rozrzucaniu dookoła brudnych ścierek, poceniu się i przeklinaniu pod nosem. Nico usiadł przy pustym stole i jadł ostrożnie, czekając na reakcję żołądka. Spoglądał na działa ustawione przy otworach strzelniczych wzdłuż obu ścian i starał się nie zwracać uwagi na ukradkowe spojrzenia, rzucane czasem w jego stronę. Zastanawiał się, czy cała załoga jest taka przyjazna.

Kiedy skończył, podziękował kucharzowi i wspiął się na schody, prowadzące na górny pokład. Wolno stawiał nogi i przytrzymywał się poręczy po obu stronach. Przed szczytem przystanął, by się opanować.

Wreszcie zatrzymał się na odkrytym pokładzie statku i przez chwilę udawał, że jest na zwykłym morskim statku, unoszącym się na powierzchni wody, a nie lecącym w powietrzu.

„Sokół” nie różnił od licznych statków, które Nico widywał w porcie; pokład rufowy wyrastał za plecami chłopca, a dziobowy z przodu.

Grupa marynarzy siedziała w pobliżu i rozmawiała, splatając liny. Inna grupa, na drugim końcu, grała w kości; ci kłócili się ze sobą, a jeden z nich mocno trzymał drugiego, który wyraźnie szukał zwady. Załoga wydała się Nicowi dość młoda - tylko nieliczni wyglądali, jakby przekroczyli trzydziestkę. Byli szczupli; wszyscy też nosili brody i długie włosy.

Poza rozmowami załogi, panował dziwny spokój, zakłócany tylko trzaskiem tkaniny; Nico uniósł głowę i zobaczył wielki zbiornik gazowy z falującego na wietrze białego materiału, uwięzionego w cienkiej sieci lin i drewnianych wsporników. Jego wielki cień padał na cały pokład. Z nosa zbiornika opadały kaskady żagli, wydęte między drągami z tiquowego drewna; dwie wielkie płachty z tego samego materiału wysuwały się z boków jak skrzydła. W górze biegali ludzie, zwinnie wspinający się po linach oplatających jedwabną tkaninę. Byli bosi; brudne, różowe podeszwy stóp prześlizgiwały się po linach, z pozoru zbyt postrzępionych, by im ufać.

Szaleńcy, uznał Nico. Zupełnie obłąkani.

Na tej wysokości panował chłód. Wiatr przenikał przez ubranie i Nico czuł, jak dostaje gęsiej skórki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do kabiny po płaszcz, ale wtedy zauważył Asha, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na dziobowym pokładzie, jak zwykle okryty czarną szatą.

Nico przekonał się, że może chodzić po pokładzie, dopóki nie wyjrzy poza reling; dzięki temu mógł sobie wyobrażać, że znalazł się na zwyczajnym statku, na morzu. Wpatrywał się skupiony w deski, aż dotarł do schodów prowadzących na pokład dziobowy. Wspiął się na nie i podszedł do starca.

Zdawało się że Ash zamknął oczy, choć między powiekami widać było niekiedy błyski źrenic. Ten wpeł przesłonięty wzrok skupiał się na jakimś punkcie, który mógł leżeć daleko albo całkiem blisko. Wyglądał jak posąg, nawet pierś nie unosiła się i nie opadała wraz z oddechem.

- Jak się czujesz? - zapytał Ash, wciąż nieruchomy.

Nico skrzyżował ręce na piersi, żeby się ogrzać.

- Lepiej - zapewnił. - I dzięki za troskę, starcze.

Zabrzmiał oschły chichot.

- Nie mam zamiaru ci matkować, chłopcze.

Ash w końcu otworzył oczy, spojrzał i wyciągnął rękę.

Nico przyglądał się jej przez chwilę; paznokcie wydawały się jasne na tle różowej ciemnej skóry wokół. Potem chwycił tę dłoń, szorstką jak kora, i pomógł starcowi wstać.

- Jeśli chodzisz, to jesteś zdrowy - uznał Ash. - Pora więc rozpocząć szkolenie. A zatem będziesz się do mnie zwracał „mistrzu” albo „mistrzu Ash”. Nigdy „starcze”.

Nico poczuł, że krew napływa mu do głowy. Nie podobał mu się ton tamtego.

- Jak sobie życzysz.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości, chłopcze. Jeśli okażesz zuchwałość, powalę cię natychmiast.

Mówił tak, jak niekiedy ojciec Nica, kiedy wstąpił już do Specjalnych, albo jak któryś z tych idiotów, których przyjmowała pod swój dach matka.

- Więc mnie uderz - powiedział. - Tę lekcję znam już dobrze.

Mina Asha nie zmieniła się ani odrobinę, jednak kątem oka Nico zauważył, jak prawa dłoń starca zaciska się w pięść. Naprężył mięśnie.

Ash jednak go nie uderzył. Wypuścił powietrze.

- Chodźmy - powiedział. - Usiądziemy razem.

Znowu ukląkł na pokładzie, tym razem twarzą w stronę Nica. Po chwili wahania chłopiec poszedł za jego przykładem.

- Odetchnij głęboko - polecił starzec. - Dobrze. I jeszcze raz.

Nico posłuchał i poczuł, że gniew odpływa.

- Słuchaj teraz - zaczął Ash. - Jesteś Mercjaninem. Twój lud podąża za Dao, które niekiedy nazywają Losem. Musisz zatem znać nauki Wielkiego Błazna.

Nico nie spodziewał się takiego pytania.

- Oczywiście - odparł z pewną ostrożnością.

Starzec kiwnął głową. Wyraźnie zachęcał go, by kontynuował.

- Byłem parę razy w świątyniach i słuchałem, jak recytują jego słowa. I co roku, w Dzień Błazna, matka kazała mi siedzieć przy sobie w czasie modlitwy.

Ash ściągnął brwi; wyznanie nie zrobiło na nim wrażenia.

- Powiedz mi zatem, czy wiesz, gdzie Wielki Błazen się urodził?

- Opowiadali mi, że urodził się na jednym z księżyców i spadł na Erēs na płonącym kamieniu.

Stary człowiek pokręcił głową.

- Urodził się w mojej ojczyźnie, Honshu, sześćset czterdzieści dziewięć lat temu. Tak powstał daoizm. Wbrew waszym legendom, Wielki Błazen nigdy nie opuścił Honshu. To Wielka Apostoła przeniosła jego nauki do Midèrēs i to dzięki niej i jej własnym uczniom rozprzestrzeniły się one w różnych formach we wszystkich południowych krainach, w tym twojej. A teraz powiedz, czy czasem medytujesz.

- Jak mnisi?

- Tak, jak mnisi.

Nico pokręcił głową.

- Ha... To znaczy, że nie poznałeś niczego prócz religii, tak jak się spodziewałem. W moim zakonie także jesteśmy daoistami, ale podążamy za naukami Wielkiego Błazna bez tych bzdur, które

narosły wokół jego słów. Jeśli chcesz także słuchać jego nauk, a powinieneś, by być prawdziwym Rōshunem, to musisz o tych rzeczach zapomnieć i skupić się tylko na jednym. Musisz się nauczyć, jak być spokojnym.

Nico wolno skinął głową.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz, ale zaczniesz. A teraz rób, co mówię. Ułóż swoją lewą dłoń w prawej. Tak, właśnie w ten sposób. A teraz się wyprostuj. Bardziej, nadal jesteś zgarbiony.

Tak. Przymknij oczy, ale nie zamykaj. Wybierz punkt przed sobą i wpatruj się w niego.

Oddychaj. Rozluźnij się.

Nico oddychał, nieco skonsternowany. Nie rozumiał, co to miało do spraw Rōshunów.

- Obserwuj powietrze, które wpływa przez twoje nozdrza, porusza się w tobie i wypływa.

Wciągaj je głęboko, do brzucha. Tak, właśnie tak.

- I co teraz? - spytał Nico. Kolana zaczynały go już boleć.

- Siedź po prostu. Pozwól, by myśli się uspokoiły. Oczyść swój umysł.

- Ale jaki to ma sens?

Szum powietrza w nozdrzach Asha... ale wzrok nadal spokojny.

- Umysł wiecznie zajęty jest chory. Umysł, który jest pusty, płynie z Dao. A kiedy płyniesz z Dao, działasz w zgodzie z wszelkimi rzeczami. Tego uczył nas Wielki Błazen.

Nico usiłował wykonywać polecenia starca, ale przypominało to próbę żonglowania trzema przedmiotami równocześnie: uważać na rytm oddechu, utrzymywać wyprostowane plecy i koncentrować wzrok na drzazdze w relingu. Ciągle o czymś zapominał i narastała w nim irytacja. Czas się wydłużał i w końcu nie potrafił już określić, czy siedzi tu kilka chwil czy kilka godzin. Zdawało się, że im bardziej chce zachować spokój, tym bardziej umysł ma ochotę pogawędzić sam ze sobą. Twarz go swędziała, zaczynały doskwierać wyprostowane sztywno plecy, kolana pulsowały bólem. To ćwiczenie mogło służyć jako tortura. Po chwili Nico świadomie skierował myśli ku innym kwestiom: dokąd zmierza statek, co dadzą do jedzenia... wszystko, co

pomogłoby zapomnieć o niewygodzie. Miał wrażenie, że minął bardzo długi czas, nim wreszcie zabrzmiał dzwon sygnalizujący pełną godzinę.

Ash wstał z cichym szelestem szaty. Tym razem to on pomógł chłopcu wstać.

- Jak się czujesz?

Wolał nie wypowiadać pierwszego słowa, jakie przyszło mu na myśl.

- Uspokojony - skłamał, kiwając głową. - Bardzo.

W oczach starego wędrowca błysnęło rozbawienie.

Później tego dnia statek obniżył lot o kilkaset metrów w nadziei na sprzyjający wiatr - i rzeczywiście trafili na szybki strumień powietrza wiejący na północny zachód. Na podwyższonym pokładzie rufowym, z opadającymi na ramię natłuszczonymi włosami, kapitan wykrzykiwał rozkazy, by zrefować płetwy ogonowe i wypuścić główne. Zanim skończył, marynarze wspinali się już po linach.

Kapitan Trench był wysokim mężczyzną, mniej więcej trzydziestoletnim, gładko ogolonym i bardzo chudym. Szczupłe, blade dłonie kryły się w kieszeniach szaro-granatowego marynarskiego płaszcza bez żadnych insygniów - być może na pokaz, być może na pamiątkę wcześniejszej kariery w marynarce wojennej, gdyż teraz miał pod komendą jednostkę zaledwie handlową, choć niezwykłą. Jedyne zdrowe oko spoglądało w górę, na pojemnik z gazem, którzy utrzymywał ich w powietrzu i który falował bezustannie od strony nawietrznej. Na jego ramieniu oswojony kerido popiskiwał mu coś do ucha, jakby prowadził rozmowę. Zwierzak przesunął nogę dla równowagi w tej samej chwili co jego właściciel.

Niczym wielka ryba, „Sokół” skręcił, skrzypiąc, a pokład przechylił się przy zwrocie; statek cały czas tracił wysokość.

Pobielającymi palcami Nico ścisnął reling. Nerwowo słuchał trzeszczenia drewnianych rozpór, łączących zbiornik z kadłubem. Wielkie wygięte główne płetwy po obu stronach pochwyciły wiatr; obok koła sterowego marynarz wpatrywał się w jakiś wirujący aparat i głośno wykrzykiwał prędkość. Statek pomknął naprzód.

W końcu opuścili terytoria Wolnych Portów. Wieczorem jedli

kolację w obszernej kapitańskiej kajucie pod pokładem rufowym - niskiej i szerokiej, sięgającej od burty do burty.

W ścianach były liczne okna, a ołowiana siatka dzieliła na romby ich grube, mętne szyby; niektóre zabarwiono przezrystą zielenią czy żółcią. Horyzont za nimi zlewał się z chmurami, rozświetlonymi zachodzącym słońcem.

Posiłek był solidny - zupa z ryżem, pieczone ziemniaki, zielenina, jakaś wędzona dziczyzna i wino. Potrawy podawano na żółtej jak kość zastawie, pięknej i z wyglądu kosztownej; każdy jej element udekorowany był motywem sokoła w locie. Nico uznał, że to zapewne prezent od któregoś z dawnych pasażerów.

Rozmowy zamilkły, kiedy wszyscy rzucili się na jedzenie. Ash i kapitan jedli jak ludzie skoncentrowani na tym, by pochłonąć, ile zdołają, póki jeszcze mogą. Dalas, zastępca kapitana - potężny Coricjanin z włosami splecionymi w cienkie warkoczyki, w skórzanej kamizelce i z wygiętym rogiem myśliwskim na szyi - był niemową, najwyraźniej od urodzenia. Nawet kapitański kerido, z początku podniecony obecnością dwóch gości, teraz siedział spokojnie przed talerzem swojego pana, cicho stukał dziobem i ślinił się w skupieniu.

Zwierzak przypominał Nicowi Podarka, jeszcze w domu, kiedy Nico jadł posiłek, który matce udało się przygotować, i dyskretnie wsuwał pod stół różne kąski. Nigdy jeszcze nie widział kerido, choć o nich słyszał - na ulicznych przedstawieniach *Opowieści ryby*, mówiących o kupcach wędrujących do lasu-oazy na pustyni, gdzie czekały ich szaleństwo i śmierć.

*Opowieści* zawsze prezentowały kerido jako stworzenia złośliwe i groźne, mimo ich niewielkich rozmiarów. Widząc zwierzaka, Nico łatwo potrafił to zrozumieć: ubarwienie twardej skóry przywodziło na myśl bujną roślinność poznaczoną plamami cienia, a ruchy były szybkie jak u drapieźcy. Nie wiedział, że można takie zwierzę oswoić.

Z przykręconej do podłogi zamkniętej szafki wyjęto czerwone wino; kapitan, Ash i Dalas dopijali już drugą butelkę, gdy Nico wciąż jeszcze sączył pierwszy kieliszek. Podejrzywał, że tamci są już trochę pijani.

- Dobrze widzieć cię znowu na nogach - stwierdził cicho kapitan Trench, używając chustki do nosa zamiast serwetki, by otrzeć blade



wargi. Rzucił przy tym Nicowi spojrzenie ślepego, pokrytego bielmem oka, jakby nim właśnie widział lepiej. Nawet w wypełniającym kajutę ciepłym blasku zachodzącego słońca jego skóra wyglądała blado, niczym szary deszczowy dzień.

Ash burknął coś niewyraźnie i Nico zerknął na niego, ale tamten unikał jego wzroku.

- Nie tak łatwo przywyknąć do szerokiego nieba - mówił dalej Trench z wyraźną intonacją, sugerującą solidne wykształcenie. - Trudniej niż do morza, jak twierdzi większość.

No cóż, to żaden wstyd, taka reakcja. Możesz mi wierzyć, sam jestem w niewiele lepszej formie, kiedy wracam na ląd. Potrzebuję... naprawdę... całego dnia w łóżu, z szalejącą dziwką, by znowu dojść do siebie.

Rzucił Nicowi dobroduszny uśmiech i uniósł brew, po czym szybko odwrócił głowę, jakby zakłopotany, że powiedział za dużo.

Nico uśmiechnął się w odpowiedzi, gdyż trudno było nie lubić kapitana. Tego wieczoru zaczął rozumieć, że dla Trench'a ważne jest, by być lubianym przez ludzi, wśród których przebywa. Wydawało się to zaskakujące, bo pamiętał, jak wcześniej tego dnia wrzeszczał na kogoś z załogi, kto poplątał takielunek; słowa wylatywały chaotycznie z taką ilością śliny, że Nico zaczął się zastanawiać, czy kapitan jest całkiem zdrowy na umyśle. W końcu wkroczył Dalas i odciągnął dowódcę do kabiny, poza zasięg wzroku - choć nie słuchu - załogi.

Teraz, przy kolacji, kapitan był całkiem spokojny. Uśmiechał się często, a spojrzenie zdrowego, choć zaczerwienionego oka, wyrażało coś na kształt skruchy. Najwyraźniej prześladowające go demony powściągała teraz spokojniejsza natura - która wydawała się także prawdziwsza, więc mimo niedawnego wybuchu, Nico dobrze się czuł w jego towarzystwie. Z drugiej strony stołu Dalas obserwował go obojętnie, widelcem ładując jedzenie do ust. Nagle uniósł wolną rękę i wykonał znak w mowie gestów, niemal zbyt szybki, by za nim nadążyć: zaciśnięta pięść kołysząca się z boku na bok, falisty ruch, gest rąbania, otwarta szybująca dłoń.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradził Trench, machając lekceważąco ręką.

Nico jednak wciąż wpatrywał się w dłoń Coricjanina, spoczywającą teraz na obrusie; jego palec wskazujący nerwowo pocierał o kciuk.

- Czemu? - zapytał. - Co powiedział?

Trench uniósł do ust zwiniętą chustkę i wymruczał:

- Mówi, mój młody przyjacielu, że wątpi, byś kiedykolwiek zeglował, a co dopiero latał.

Coricjanin przestał jeść, choć wciąż trzymał pod prawym policzkiem jakiś kęs, i czekał na reakcję Nica.

- Ma rację - przyznał chłopak.

- Tak, ale mogłeś nie zauważyć, w jaki sposób to powiedział. Ten gest w tej chwili, z rozluźnionym nadgarstkiem, oznacza, że traktuje to pogardliwie.

Trench w wyrzucie pokręcił głową. Dalas zmarszczył brwi.

- Dalas urodził się na statku. Całe życie spędził na pokładach. Często pogardliwie traktuje ludzi, którzy nigdy nie byli na morzu. Uważa, że mają niewłaściwe priorytety.

Nico uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Kiedy miałem dziesięć lat i pływałem w morzu, znalazłem belkę i użyłem jej jako łódki.

Trench lekko odsunął chusteczkę od ust.

- Belkę, powiadasz?

- Dużą.

Trench stłumił śmiech, który zmienił się w kaszel, uciszony po chwili chusteczką. Nawet twarz Dalasa złagodniała, przynajmniej na tyle, by mógł przełknąć.

- Prawie wcale nie pijesz - zauważył kapitan, kiedy złapał oddech.  
- Berł, dolej mu, proszę.

Berł stał czujnie pod ścianą i posłusznie podszedł, by dolać wina do kielicha Nica, choć był jeszcze prawie pełen.

Nico wpatrywał się w naczynie.

- Widzę, że nie nabrałeś jeszcze pragnienia wina - stwierdził Trench, spoglądając nad brzegiem własnego pucharu. - To przyjdzie z czasem, możesz mi wierzyć. W takim życiu jak nasze przychodzi aż za szybko. Popatrz na swojego mistrza... Kiedy ostatnio był na pokładzie tego statku, musiałem wszystkie zapasy trzymać pod kluczem, bo

jego pragnienie wydawało się bezgraniczne.

- Nonsens - oświadczył Ash, wychylił kielich i wyciągnął go na bok, czekając na napełnienie.

Nico siedział spokojnie w nadziei, że przestaną go zauważać. Sięgnął po kielich tylko po to, żeby zająć czymś ręce. Wszędzie wokół słyszał skrzypiące w nierównym rytmie drewno.

Przypominało mu to las w pobliżu domu, kiedy stał samotny pomiędzy sosnami, które kołysały się i trzeszczały w porannej bryzie. Raz jeszcze spróbował wina - pozostawiało w ustach słodki posmak, nie taki, jak to tanie i gorzkie, które piła czasami matka. To wino mógłby nawet polubić, gdyby kiedyś miał pieniądze, żeby je kupować.

W umyśle pojawiła się wizja ojca: pijany i wściekły, ze świszczącym oddechem i językiem usiłującym wysunąć się poza przeszkodę dolnej wargi... Odruchowo odstawił kielich.

Trench oparł się na krzesło i przechylił je na dwóch tylnych nogach. Westchnienie tylko pogłębiło wrażenie, że jest znużony.

- Przerwałem twój urlop na łądzie - rzekł Ash przepraszająco.

- Reszty załogi także - mruknął Trench. Wyprostował krzesło i uśmiechnął się wąskimi wargami, gdy spojrzenie zmrużonego oka przemknęło po stole. - Są teraz trochę niezadowoleni ze swojego kapitana i trudno mieć do nich pretensje. Dopiero co wróciliśmy z ostatniego rejsu. Widziałeś, w jakim marnym byliśmy stanie i to już po tygodniowych naprawach. Teraz znowu muszą przebić się przez blokadę, po zaledwie tygodniowym odpoczynku. To dla nich trudne... dla nas wszystkich.

Raz jeszcze przetarł twarz chusteczką.

Ash otarł wargi.

- Przynajmniej ta podróż będzie krótka.

- Fakt - zgodził się kapitan. - Choć mało dochodowa. Tyle że przewieziemy trochę materiałów na wymianę za ziarno, co uspokoi moich inwestorów. I oczywiście spłacę swój dług wobec ciebie. Zakładam, że wyszliśmy na czysto?

- Przede wszystkim nic mi nie byłeś winien.

- Słyszałeś? - Trench zwrócił się nagle do kerido, który przestał sięgać łąpką do resztek na talerzu i uniósł łebek. - Nabija się ze mnie

nawet teraz!

Sięgnął po nadgryziony słodki korzeń i zwierzak łakomie rozwarł dziób.

- Jedno mi obiecaj - zwrócił się Trench do Asha.

Urwał, a Nico odsunął się zalekniony. Trench spojrzął na siedzącego między nimi stworza, który machał językiem z otwartego dzioba, wydając dźwięk jak dziecięca grzechotka, wyraźnie mający brzmieć groźnie. Trench rzucił zwierzakowi smakołyk i mówił dalej.

- Kiedy następnym razem jakiś szczer lądowy w tawernie zajdzie mnie od tyłu - zwrócił się do Asha - zrób mi uprzejmość i nie przeszkadzaj mu. Przyjaźń to piękna rzecz, ale wolę raczej przekłutą wątrobę niż kolejny dług u ciebie.

Ash skinieniem dał znak, że się zgadza. Nico obserwował posilającego się zwierzaka: łapkami przytrzymywał jedzenie i odrywał kęsy, mocno szarpiąc dziobem. Zauważył nagle, że sztucce trzyma przed sobą, jakby dla obrony.

Światło wypełniło kabinę - to zachodziło słońce. Jaskrawe promienie wpadały przez witrażowe okna i kreśliły świetlne romby tuż nad głowami, na drewnianych ścianach i na biurku zasłanym mapami, których rogi przyciśnięto okrągłymi kamieniami. Nico przyjrzał się mapom. Siedział dość blisko, by rozróżnić pewne detale: masy lądów pokryte symbolami, notatkami, szerokimi łukami strzałek. Wydawało się, że to mapy powietrza, nie tylko powierzchni.

Ta myśl sprawiła, że sięgnął spojrzeniem dalej. W dolnej części rufowych okien widoczne było morze, z tej wysokości płaskie i gładkie.

- Jeśli wolno zapytać... - odezwał się, odrywając wzrok od wodnej płaszczyzny. - Jak długo potrwa nasz lot?

Jakby cień przemknął po twarzy kapitana. Trench pochylił się i skinął na Nica kielichem.

Chlusnęło wino, a Berl skrzywił się, widząc czerwone plamy na obrusie.

- To zależy - rzekł kapitan głosem trzeźwiejszym niż do tej pory. - Jeszcze tej nocy zbliżymy się do imperialnej blokady. Może wiatr się utrzyma. Może nie mają tam nic w powietrzu.

- W powietrzu? - zdziwił się Nico. - Mówi pan o mannijskich

statkach powietrznych?

- Zawsze istnieje szansa, w tej odległości.

Nico zerknął na Asha, ale starzec udał zainteresowanie dnem swojego kielicha. Trench zauważył jego zakłopotanie.

- Ale niewielka szansa - powiedział. - Ich wojenne ptaki są na wschodzie i pilnują szlaku zanzaharskiego. Tam wszystko się dzieje, nie tutaj. Możesz mi wierzyć, wiem. Tylko Zanzahar pozostał dla handlu zagranicznego, więc wszystkie handlowce są na niego skazane, „Sokół” też. Kiedy morskie flotylle nie mogą się przebić albo ponoszą ciężkie straty, handlowce zajmują ich miejsce. Latamy po szlaku zanzaharskim już od czterech lat. - Przerwał i przechylił kielich, osuszając go do ostatniej kropli. - Słyszałeś te historie... Jestem pewien, że tak.

Rzeczywiście, Nico słyszał te historie. O tym, jak mannijskie statki powietrzne czekały stadami wzdłuż szlaku niczym wilki, gotowe do ataku na handlowce, które by się pojawiły.

Jak każdego roku liczba handlowców malała. Trench nie musiał tłumaczyć, wszystko dało się odgadnąć z jego ponurego tonu, od którego nawet kerido na chwilę przestał skubać resztki jedzenia i spojrzał niespokojnie na swojego pana. Nico także patrzył na kapitana. Zdawało się, że Trench nie ma już na krześle, że zaginął między plamami wina na obrusie.

Po chwili, kiedy słońce zalało go ostatnimi promieniami, uniósł głowę zdziwiony, jakby powrócił gdzieś z daleka. Powoli odwrócił się w kierunku gasnącego światła. Z profilu jego nos był wystający i zakrzywiony, jakby sugerował pochodzenie od Alhazii - chociaż tutaj, w tej kajucie, mężczyzna wydawał się zaledwie duchem alhazijskiej pustyni; był raczej chorowitym Khosjaninem, kierującym tym statkiem czasem drżącą lewą ręką, a czasem mocniejszą prawą, która zdawała się stale ścisnąć przepoconą chusteczkę z obszytego koronką płótna.

Nico nabił na widelec ziemniaka i wcisnął go do ust. Był zimny i żołądek znów zareagował niespokojnie, ale Nico mimo wszystko przełknął. Nie podobały mu się takie perspektywy. W Bar-Khosie stały przynajmniej mury, jak symbol, a życie toczyło się dalej.

Tutaj nie było nic prócz nieba, i sądząc z tego, co usłyszał,

całkowitego uzależnienia od wiatru i szczęścia. A to wcale nie brzmiało obiecująco.

A potem co? Cheem, ta okryta złą sławą wyspa rozbójników i żebraczych królów. Tam, według słów Asha, powędrują w głąb górzystych terenów, by znaleźć ukryty klasztor Rōshun, gdzie Nico będzie się szkolił, by zostać skrytobójcą. Im więcej myślał o tym, co go czeka, tym bardziej stawał się niespokojny. Wszystko wydawało się łatwiejsze, kiedy mieszkał jeszcze w Bar-Khosie, każdego dnia walcząc o przetrwanie. Przynajmniej miał wtedy u boku Podarka.

Jakiś krzyk z zewnątrz...

Trench i Dalas spojrzeli na siebie nawzajem. Krzyk zabrzmiał znowu. Kerido złapał resztki słodkiego korzenia i wspiął się na ramię kapitana. Dalas wstał - chociaż się garbił, i tak dotykał głową belek sufitu.

Wyszedł.

- Trochę wcześniej niż się spodziewałem - mruknął Trench, po raz ostatni ocierając wargi. Zgrzytnęło krzesło, kiedy odsuwał je i wstawał. - Przepraszam na chwilę.

Zabrał ze sobą kielich. Berl z butelką wina powlókł się za nim. W nagłej ciszy Ash i Nico zostali sami.

- Statek - wyjaśnił Ash.

- Mannijczycy? - spytał Nico. Głos miał niepewny.

- Chodźmy się przekonać.

W panującym na zewnątrz półmroku, Nico z początku niewiele widział. Stał obok Asha i patrzył w tym samym kierunku co pozostali, nie wyłączając kerido. Widział tylko płaszczyznę wody w dole i ciemniejące niebo.

Po chwili jednak zauważył: na wschodzie, na powierzchni morza, biały żagiel.

- Można rozpoznać banderę? - Kapitan zwrócił się do Dalasa.

Warkoczyki Coricjanina zafalowały, kiedy pokręcił głową.

- Jesteśmy już za daleko, może być tylko imperialny. Jeśli nie kupiecki, to blokada.

Zdawało się, że Trench mówi do siebie, ale potem roztarł błądy policzek i spojrział na Dalasa. Ten splótł ręce na piersi i wzruszył ramionami.

Zebrali się na pokładzie rufowym, obok koła sterowego - na najwyższym poziomie statku. Nico zadrżał; oczy mu łzawiły od ciągłych podmuchów wiatru. Kapitan Trench wypił łyk wina z kielicha i mlasnął wargami. Drugą dłonią, w której wciąż ścisnął chusteczkę, pieścił gładkie drewno relingu, jakby chciał go odkurzyć. Zbudował tę jednostkę, opowiadał wcześniej Ash, z wraku, który odkupił po katastrofie. Przebudowa pochłonęła cały jego rodzinny majątek i jeszcze więcej.

Trench przeszedł cztery kroki w stronę rufy, cztery kroki z powrotem; w końcu zatrzymał się, drapiąc butami pokład.

- Bandera! - krzyknął do obserwatora, unosząc dłonie do ust.

- Jeszcze za daleko, kapitanie! - zawołał marynarz.

Trench potarł podbródek. Patrzył na zbiornik nad głowami; gasnące światło słońca malowało go jaskrawo. O tej porze dnia, dla bystrych oczu spoglądających w ich stronę, byłby wyraźnie widoczny z odległości wielu laq.

- Ciekawe, czy nas zauważyli - mruknął Trench, wpatrując się w daleki żagiel.

Przez moment zdawało się, że na dalekim statku znowu wzeszło słońce. Oślepiające żółte światło pomknęło ku niebu i zawisło na kilka chwil w górze, wśród gęstniejącej ciemności. W dole morze odbijało światło jako falujący ognisty dysk. Mannijski statek rzucił ostry cień na powierzchnię wody.

Trench wlał do ust resztę wina i rzucił kielich Berlowi.

- To wyjaśnia sprawę - uznał.

Flara opadała wolno, a morze ciemniało wokół coraz mniejszego kręgu światła.

Wylądowała na powierzchni i zatoneła, ciągle się paląc: dziwne, upiorne zejście w głąbiny.

Nico przetarł oczy, by zniknęły powidoki, ale otworzył je na czas, by zobaczyć wzlatającą na wschodnim horyzoncie kolejną flarę. To znaczy, że był tam drugi statek, wciąż zbyt daleki, bo go zobaczyć.

- W pobliżu pływa cała formacja - uznał Trench. - Jeśli mają w okolicy jakieś ptaszki, to przed świtem ci nabożni dranie już będą przy nas.

Nico poruszył się niespokojnie.

- Zachowaj spokój - ostrzegł go Ash. Stary Rōshun stał nieruchomo, z dłońmi schowanymi w rękawach, i obserwował gasnącą flarę.

- Rozkazy, kapitanie? - zapytał sternik, stary żeglarz.

- Odpal rury, Stones, i prowadź nas na zachód. Wróć na kurs, kiedy całkiem się ściemni.

- Tak jest, kapitanie.

Trench odchylił głowę, spoglądając na pojawiające się już pierwsze gwiazdy.

- Dalas, dopilnujesz dzisiaj zaciemnienia. Inspekcje co ćwierć wachty. Każdy, kogo przyłapiesz, trafia do karceru.

Odwrócił się, a zęby błysnęły mu w ciemności.

- Taka robota budzi pragnienie - stwierdził. - Może dokończymy butelkę?

Nico nie miał ochoty wracać do zimnych resztek kolacji. Poszedł więc do swojej kajuty, samotny i niespokojny. Przez długi czas usiłował zasnąć, ale koja wydawała się dzisiaj twarda. Z pokładu tuż nad nim dobiegał szmer głosów: Trench i Ash wciąż rozmawiali, wciąż pili. Choć starał się jak mógł, nie udało mu się uspokoić myśli.

Cały czas myślał o przyszłości - o jutrze, i następnym dniu, o kolejnych tygodniach, miesiącach, o latach. Sen byłby schronieniem, ale teraz nie mógł na nie liczyć.

Po kilku godzinach w ciemność kabiny wtoczył się cuchnący winem Ash. Stęknął i zwałił się na swoje pośłanie. Nico przetoczył się na plecy i obserwował jego niewyraźny kontur.

W mroku zobaczył, jak mężczyzna przyciska dłoń do czoła. Oddychał głęboko, jakby mu to w czymś pomagało, i szukał czegoś w wewnętrznych kieszeniach szaty. Znalazł w końcu miszkę liści dulce, który chyba zawsze przy sobie nosił, wyjął jeden i włożył do ust. Potem przeżuł, oddychając głęboko przez nos.

- Mistrzu Ash - wyszeptał Nico w stronę ciemnej sylwetki.

Przez chwilę sądził, że starzec go nie usłyszał, ale po chwili Ash cmoknął językiem i rzucił:

- Co?

Dziesiątki pytań tłoczyły się w umyśle Nica. Zdążyli tylko pobieżnie porozmawiać o zakonie Rōshun, o tym, co będzie tam robił, o pieczęciach i ich działaniu. Tak wiele chciał się jeszcze



dowiedzieć.

Ale powiedział tylko:

- Martwiłem się, czy dobrze się czujesz. To wszystko.

Nie było odpowiedzi.

- Bo zauważyłem, że często używasz liści dulce.

Kiedy Rōshun się odezwał, jego głos brzmiał oschle.

- Bóle głowy, nic więcej.

Nico przytaknął, choć w ciemności Ash nie mógł tego widzieć.

- Jeden z moich dziadków też tak miał - powiedział. - Znaczący, nie był naprawdę moim dziadkiem, ale tak go nazywałem. Zginął, broniąc Tarczy. Pamiętam, że też brał liście. Kiedy go zapytałem, tłumaczył, że to przez oczy. Gorzej widział i od tego mrużenia zaczynała go boleć głowa.

Koja zatrzeszczała, wskazując, że starzec odwrócił się do niego plecami.

- Moje oczy mają się świetnie - wymruczał Ash. - Śpij już, chłopcze.

Nico westchnął i ułożył się na plecach, wpatrzony w ciemność. Wiedział, że sen jest daleko.

Gdzieś nad jego głową, w kajucie kapitana, para butów stąpała tam i z powrotem wśród nocy.

## ROZDZIAŁ 6

### Wojenne ptaki



O świcie nie było widać nawet śladu żagli. Przelecieli nad imperialną flotyllą w nocy, kiedy Nico wiercił się i przewracał w hamaku albo przysypiał na krótkie chwile, pełne męczących snów. Ash wstał wcześniej i Nico zbudził się w pustej kabinie; poranny brzask wpadał przez otwarte okno; od czasu do czasu w ramę wsuwała się linia horyzontu - statek nabierał wysokości.

Słuchał rozmów w gwarnym półmroku mesy, gdy z zaspanymi jeszcze oczami opierał się o ladę w kambuzie i nakładał na talerz keesh z masłem oraz suchary z ziarna. Nastrój załogi bardzo się poprawił, kiedy nocą ominęli mannijską blokadę; w każdym razie nie rzucali mu już niechętnych spojrzeń. Wciąż jednak wyczuwał, że nie wszystko jeszcze skończone.

Pochłonał swoją porcję - jego ciało nadal łaknęło pożywienia, którego było pozbawione przez ponad rok. Potem siedział nad kubkiem chee, wspominał bulion żebraków i zastanawiał się, co porabiają Lena i inni, których poznał w mieście. Pomyślał nawet o matce. Powoli zaczynał się budzić.

Ledwie zdążył dopić swoje chee, kiedy zaskoczył go całkiem niespodziewany dźwięk - granie myśliwskiego rogu z górnego pokładu. Marynarze znieruchomieli; cisza wypełniła mesę.

Róg zagrał znowu - trzy krótkie dźwięki. Kroki zadudniły po

deskach nad głowami jedzących.

Marynarze poderwali się natychmiast, rzucając krótkie przekleństwa. Ruszyli w kierunku schodów albo do dział rozstawionych po obu stronach szerokiego pomieszczenia.

Słoneczny blask zalał niską mesę, kiedy otworzono luki działowe. Nico poderwał się, czując wzbierającą panikę. Ludzie na zewnątrz krzyczeli i ciągnęli liny, by wysunąć przez otwory lufy armat; jakiś mężczyzna odepchnął go na bok i nie przystanął nawet, by przeprosić; inni biegali, dźwigając ładunki czarnego prochu, pociski armatnie, wiadra starych gwoździ, kamyków i zwiniętych łańcuchów, bez przerwy krzyżąc na innych, by zeszli im z drogi. Wiatr wpadał przez luki i rozwiewał dym unoszący się zwykle w mesie; niósł ze sobą odgłosy łopoczących żagli i spalających paliwo rur napędowych. Ciekawość pociągnęła Nica do luku. Statek wciąż się wspinał, a on przeszedł do plamy dziennego światła i stanął, opierając dłoń o belkę w stropie.

Jeden z marynarzy przy dziale wysunął głowę na zewnątrz. Nico przechylał się, żeby spojrzeć obok człowieka i działa.

Biały punkcik, zmierzający prosto w ich stronę...

- Wojenny ptak - oświadczył marynarz, kiedy cofnął się do wnętrza i otarł mroczną twarz.

Nica ogarnęło nagle pragnienie, by odszukać Asha i trzymać się jego boku. Odwrócił się więc i pobiegł do schodów. Przy wejściu spotkał Berla, dźwigającego naręcze broni.

- Weź coś - poradził chłopak, kiedy wspinali się razem.

Nico złapał pierwszą rzecz, jaka mu wpadła w ręce - krótki miecz w pochwie o szerokości piętnastu centymetrów.

Na pokładzie panował chaos. Uzbrojeni już marynarze nawzajem pomagali sobie wciągać skórzane pancerze. Na pokładzie rufowym kilku ludzi ustawiło przy relingu na sterburcie trzy muszkiety na trójnogach, obok niewielkiego obrotowego działka. Inni nakładali cięciwy na łuki.

Nico spojrzał w dół, by przyjrzeć się trzymanej broni. Miała rękojeść ze zwykłego drewna, wygładzonego przez inne dłonie. Wyjął klingę z pochwy i odkrył, że to zwykły rzeźnicki nóż. Wyglądał brzydko w jego dłoni, wyważony dla jednego tylko

brutalnego ataku; Nico zadrżał, kiedy pomyślał o użyciu go przeciwko człowiekowi.

Zatrzymał jednak broń, idąc na drugą stronę pokładu; ostatnich kilka metrów przebiegł, kiedy statek pochylił się wzdłuż osi i przekrzywił na bok. Przytrzymał się relingu, a mocny wiatr zdmuchnął mu włosy do oczu.

Po prawej stronie, na pokładzie rufowym, kapitan Trench spoglądał przez lunetę, rozmawiając równocześnie z Dalasem. Wczorajsze zmęczenie zniknęło niemal całkowicie; choć oczy miał nadal podkrążone, a cerę ziemistą, jego postawa była teraz swobodniejsza, głos stanowczy.

Słońce wschodziło za wojennym ptakiem.

Wrogi okręt zbliżał się od sterburty, ale „Sokół” mijał go od północnego zachodu. Nico osłonił oczy - przed nimi, bardziej na wschód, kolejny statek sunął kursem, który musiał się przeciąć z trasą „Sokoła”.

Jak szpony, pomyślał; zbliżają się, by nas pochwycić.

- Chłopcze!

Odwrócił się. Pomiedzy ludźmi zobaczył Asha, klęczącego samotnie na pokładzie dziobowym. Stary Rōshun wezwał go skinieniem głowy.

Nico przeszedł wzdłuż statku, ostrożnie trzymając się relingu. „Sokół” wyrównał lot i droga była łatwiejsza.

Wspiął się na schody i podszedł do starca. Ash kiwnął głową.

- Spóźniłeś się.

- Spóźniłem? Na co?

- Na poranną sesję. Zapomniałeś?

- Ash, gdybyś nie zauważył, jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- Już raz ci mówiłem. Masz się do mnie zwracać „mistrzu”, albo „mistrzu Ash”. Teraz siadaj.

- Nie mamy na to czasu!

Starzec westchnął.

- Nico, nie ma dla ciebie lepszej okazji do nauki niż wtedy, kiedy pracuję w terenie. A to... - Machnął ręką wokół siebie. - To jest właśnie moja praca.

Nico nie znalazł na to odpowiedzi. Ze zmarszczonym czołem

ukłęknał w tej samej pozycji co Ash. Nóż położył obok siebie.

- Pamiętaj, skoncentruj się na oddechu. Obserwuj go, kiedy powietrze przez ciebie przepływa.

To absurd, mówił umysł Nica. Przez chwilę usiłował się skupić, zgodnie z poleceniem, ale między słupkami relingu widział, że drugi wrogi okręt zbliża się coraz bardziej. Nie był już białym punktem, ale plamką bieli.

- Uspokój się - powiedział starzec.

To dziwne, ale kiedy Nico nabrał tchu, jego bijące w szaleńczym rytmie serce zwolniło, a i krzątanina na pokładzie wyraźnie przycichła. Zapanowało milczenie. Wszystkie uszy wsłuchiwały się w dźwięk rur napędowych, pchających ich naprzód.

Ludzie nie mieli nic więcej do roboty. Mogli tylko czekać.

Nico zamknął oczy i przekonał się, że to pomaga. Po chwili ogarnęło go dziwne uczucie oddalenia, tak że potrafił znieść narastający ból kolan i pleców. Obserwował siebie, jak wciąga do płuc chłodne powietrze, jak je wypuszcza. Moment pustki... a potem ból się wzmógł, a wraz z nim powróciły dawne myśli. Spod przymkniętych powiek spojrzął na wojennego ptaka - był jeszcze bliżej.

Dzwon okrętowy wybił godzinę, jakby to był kolejny zwykły dzień na pokładzie. Tyle że nie było słyhać zwykłego rubaszego śmiechu i prawie żadnych rozmów.

Ash odetchnął głęboko.

- Teraz musimy się przygotować - oświadczył i wstał.

Nico wstał także, krzywiąc się z bólu w zeszywniałych nogach. Ruszył za Ashem do relingu.

Wojenne ptaki znalazły się już tak blisko, że rozróżniał zawieszony pod zbiornikami wygięte kadłuby. Okręty były dwa razy większe od „Sokoła”, z podwójnym rzędem luków działowych wzdłuż burty. Pierwszy znajdował się za rufą i ścigał ich. Drugi wciąż był z przodu, zataczając łuk na kursie pościgowym - wkrótce miała się pokazać wielka czerwona dłoń wymalowana z boku zbiornika gazu.

- Dlaczego nie skręcamy?! - wykrzyknął Nico. Widział już imperialnych żołnierzy ustawionych wzdłuż burty okrętu. - Powinniśmy skręcić z wiatrem na zachód i uciekać!

- Kapitan jest sprytny. Prawdopodobnie na zachodzie czeka trzeci ptak. Zwykle działają trójkami. Te dwa próbują skierować nas na trzeciego.

- To znaczy, że pozwolimy im się dopaść?

- Przy każdym zakręcie tracimy szybkość. Okręt za nami może wejść w zasięg. Lepiej dać szansę na jeden strzał temu drugiemu i wyminąć go, kiedy będzie robił zwrot.

- To nie brzmi sensownie.

- To najlepszy plan z możliwych. W tych okolicznościach tak właśnie bym zrobił.

Kapitan ma przewagę szybkości, bo „Sokół” to naprawdę szybki statek. Spróbuje się przebić prosto.

Wtedy właśnie Trench przerwał ciszę na pokładach.

- Przygotować się! - ryknął, kiedy wojenny ptak przed dziobem przeciął ich kurs.

Marynarze przykucnęli, szukając osłony.

Imperialne działa plunęły ogniem, rozcinając przestrzeń długimi smugami dymu z burty.

- Padnij! - warknął Ash.

Ściągnął Nica na dół w chwili, gdy pobliska część relingu rozpadła się w drzazgi. Coś ciemnego i wirującego przemknęło im nad głowami.

Nico westchnął, ogłuszony hukiem dział. Wszystkie jego mięśnie zmieniły się w galaretę.

Osłonił głowę rękami. Wśród huku słyszał krzyki ludzi, ale nie rozróżniał słów. Coś trzasnęło w górze, skrzypnęło drewno i rozległ się głuchy stuk. Nico poczuł, że przyciska go jakiś ciężar.

- Chłopcze!

Ręka chwyciła go za ubranie. Zobaczył, że Ash wywleka go spod splątanego takielunku.

Zaczął kopać nogami i po chwili zdołał się uwolnić spod lin. Starzec coś krzyczał.

- Mój miecz! - powtarzał. - Przynieś z kabiny mój miecz! Szybko!

Szarpnięciem postawił chłopca na nogi i pchnął go w kierunku schodów. Nico zjechał po nich na siedzeniu; na samym dole przekonał się, że to od krwi pokład jest taki śliski. Po jego prawej

ręce leżał martwy marynarz ze zmiądzoną głową. Nico odstąpił gwałtownie, ale nie mógł oderwać wzroku od przerażającej sceny... Splątane włosy i usmarowane na czerwono odłamki kości pomiędzy strzępami skóry... Szara materia, która pewnie jest... słodka Erēs, to musi być mózg!

Nogi przejęły dowodzenie. Nico pobiegł schylony, przeskakując nad leżącymi na deskach ludźmi, wymijał innych, biegnących naprawiać takielunek. Obejrzał się przez ramię - wojenny ptak robił zwrot, by skierować się do nich bąburką.

- Wy wredne sukinsyny! - pieklił się Trench z rufy, zaciskając palce na relingu. Spoglądał na mijający ich okręt.

„Sokół” zadygotał Nicowi pod stopami. Dym przelał się przez burty, gdy odpowiedzieli ogniem własnych dział - zdawało się teraz, że żałośnie nielicznych. Chmura łańcuchów i śmieci pomknęła w stronę nieprzyjacielskiego zbiornika i takielunku. Nico zakaszłał i przetarł oczy; wśród hałasu słyszał kolejne strzały. Marynarz przed nim zachwiał się nagle ze zdumioną miną na śmiertelnie bladej twarzy, przechylił się przez reling i runął w dół. Inny, chudy chłopak, szlochał rozpaczliwie.

W polu widzenia pojawił się szczyt schodów. Coś gorącego przeleciało obok głowy Nica; fontanna drewna wystrzeliła z poręczy. Zanurkował pod pokład, przetoczył się przez ramię, upadł i stoczył się na sam dół, aż do mesy.

Syknął, czując ból w boku. W zamkniętej przestrzeni kłębił się prochowy dym. Tu niedawno jadł śniadanie, a w powietrzu unosił się dym z tytoniu. Teraz ludzie biegali przy działach, bez zatrzymywania przestępując nad rannymi towarzyszami i ignorując ich wołania o pomoc. Nico zamarł nieruchomo; przez chwilę nie myślał o niczym, czuł w sobie absolutną pustkę - kiedy się nie starał, przyszło mu to całkiem łatwo. Obserwował wszystko jakby przez wąski tunel, daleki od tego, co widział. Dostrzegł wojennego ptaka, przepływającego za lukami działowymi - wystrzelił znowu i czerń zasnuła przestrzeń między statkami. Mesa pociemniała, odłamki przecięty zadymione powietrze: pociski przebijające burty i rozświetlające mesę jaskrawymi, wirującymi odpryskami drewna, stukające o belki i działa, kończące lot w ciałach ludzi.

Nie było tu bezpieczniej niż na pokładzie. Nico przetoczył się, oddychając z trudem, i na czworakach ruszył w stronę swojej kabiny. Mamrotał coś pod nosem, nie zastanawiając się nad sensem słów.

Po drodze minął go Berl, który prowadził rannego. Zauważył Nica na czworakach, ale się nie zatrzymał.

W kabinie Nico zatrzasnął drzwi i przez chwilę opierał się o nie plecami, próbując się opanować. Cały się trząsał.

Słodka Erēs, pomyślał, chwytając się za brzuch. Wnętrzności wyraźnie miały zamiar się opróżnić.

Zataczając się, dobiegł do wygodki w głębi kabiny i otworzył pokrywę, odsłaniając kanał, zabrudzony wcześniej, sięgający do otworu ponad morzem, bardzo daleko w dół. Nico rozpiął pasek, spuścił spodnie i ustawił się nad kanałem. I aż jęknął z gwałtownej ulgi.

Nie zdawał sobie sprawy, że tak to wygląda. Grzechot pocisków o kadłub budził w nim chęć, by wczołgać się pod koję - jakby znowu był małym dzieckiem. Ojciec mówił mu kiedyś, że bitwa może człowiekowi zmienić wnętrzności w płyn, albo usztywnić go tak, że w ogóle nie będzie mógł działać. Wtedy Nico zakładał, że ojciec mówi o tych lękliwych, o ludziach nienadających się do wojny.

Może tak było, myślał teraz, i wcale mu się to nie podobało. Czuł w ustach nieprzyjemną gorycz.

Może naprawdę był tchórzem i ja też jestem tchórzem, obaj jesteśmy tchórzami, ojciec i syn...

Splunął i drżącą dłonią otarł wargi. Pospiesznie wytarł się wielkim liściem i zapiął spodnie.

Miecz Asha wisiał nad koją. Gdyby Nico akurat go nie zauważył, pewnie by zapomniał, po co tu przyszedł.

Porwał go, wybiegł do wrzącej mesy, a potem wbiegł schodami na pokład.

Minęli już drugiego wojennego ptaka, który teraz robił zwrot przez rufę. Pierwszy wciąż ich ścigał. Nico zauważył Asha na rufie i podszedł, nisko pochylony, jakby cienkie słupki relingu mogły go osłonić przed pociskami.

- Twój miecz - oznajmił.

Przez chwilę Ash przyglądał się broni, jak gdyby on też o niej



zapomniał. Przyjął ją.

- Tu nie jest bezpiecznie - powiedział.

- Nigdzie nie jest!

Strzały przeleciały obok i Nico schylił się niżej. Kerido kulił się pod kołem sterowym; zobaczył Nica w tej samej sytuacji, podbiegł do niego i skoczył mu na ręce. Oddech zwierzęcia cuchnął gnijącym jedzeniem.

W tylnej części pokładu Dalas skierował obrotowe działko w przepływający za rufą okręt.

Wymierzył starannie, gdy nieprzyjaciel odsłonił burtę; przesunął lufę, śledząc nią ruch zbiornika. Kapitan Trench stał obok i spoglądał wzdłuż lufy. Klepnął Dalasa w plecy.

Nico zatkał uszy w chwili, gdy Coricjanin wystrzelił. Kerido drgnął mu w ramionach.

Rozdarcie pojawiło się w przedniej części zbiornika. Przez chwilę nic się nie działo, a rozerwany jedwab trzepotał jak inne drobne uszkodzenia. Ale nagle dziób zbiornika opadł i okręt zaczął płasko nurkować.

- Ładny strzał - zauważył Ash.

Jakby rozgniewany, opadający okręt wystrzelił z tych dział, które mógł jeszcze wycelować. Było tak, jakby uderzyła ich fala. Wstrząs rzucił Nica na plecy; chłopiec krztusił się, kaszlał i połykał kurz. Drzazgi kłuły go w plecy, kerido wbijał mu pazury w szyję. Jak przez mgłę widział rozciągniętego na plecach Dalasa i innych marynarzy wokół niego.

Brakowało połowy koła sterowego, a Stonesa nigdzie nie było widać. Wśród chaosu Trench zataczał się jak pijany.

Ash stał na nogach przy szczątkach relingu, nieco zgarbiony, jakby stawiał opór wiatrowi.

Przyglądał się czemuś i Nico podążył za jego spojrzeniem. Jakiś duży przedmiot wyfrunął właśnie z chmury dymu na dziobie ścigającego ich wojennego ptaka; włókł coś za sobą, mknąc płaskim łukiem w ich stronę.

Żelazna kotwica przeleciała obok Nica i uderzyła w główny pokład „Sokoła”.

Umocowany do niej łańcuch przełamał rufowy reling; drugi koniec

był przytwierdzony do dziobu mannijskiej jednostki.

- Szybko, za burtę z tym! - To zabrzmiał chrapliwy głos kapitana. Trench się wyprostował.

Kilku mężczyzn skoczyło do kotwicy, ale było już za późno. Łańcuch napiął się, a Nico patrzył ze zgrozą, jak kotwica wlecze się po deskach, jak chwyta krawędź pokładu rufowego i wbija się mocno w ścianę.

„Sokół” szarpnął, tracąc szybkość. Byli teraz złapani jak ryba na haczyk.

- Wszystko stracone! - jęknął śmiertelnie przerażony Nico.

Nie przejmował się tym, że mówi jak podstarzały aktor, ogłaszający publiczności swoją zgubę. To było jakieś szaleństwo.

Ash spojrzał na niego z góry; ścigający okręt zmniejszył odległość. Marynarze zaczęli siekierami rąbać deski przy kotwicy, próbując ją uwolnić. Starzec milczał przez chwilę i spokojnie patrzył na Nica. I nagle się roześmiał; wiatr porwał jego głos, drwiący, choć pobłażliwy.

- Ach, młodzi - rzekł. - Tak łatwo wpadacie w rozpacz.

Nico przyciskał do siebie kerido; obaj drżeli.

- Kapitanie! - zawołał Ash. Trench spojrzał na niego. - Zrób zwrot.

- Zwrot? Oszalałeś?

Tak, uznał Nico. Wyraźnie całkiem stracił rozum. Cokolwiek powie, nie słuchajcie go!

- Zrób zwrot - powtórzył Ash.

Trench stanął za sterem i zakręcił zniszczonym kołem.

„Sokół” odwrócił się ciężko, tracąc przy tym sporą część relingu, kiedy łańcuch przesunął się po burcie. Ścigający skręcili także, choć nie tak ostro. Łańcuch się rozluźnił.

- Ciągnąć, chłopcy! - krzyknął kapitan.

Dalas, który zdążył już stanąć na nogi, z wysiłkiem wyrwał kotwicę. Potem wraz z sześcioma marynarzami podbiegł do burty i cisnęli ją w powietrze.

Trench znów zakręcił kołem, wracając na dawny kurs. W tym starciu stracili nieco wysokości, a tutaj, na niższym poziomie, wiał sprzyjający wiatr. Płetwy żagli wypełniły się i „Sokół” skoczył naprzód.

- Zajmijcie się rannymi! - polecił Trench. - I poślijcie zszywaczy na górę; puszczamy gaz z komór.

Załoga zrozumiała, że są już bezpieczni. Nie krzyčili z radości, jak herosi w sagach.

Zamiast tego, kiedy okręty Imperium zostały w tyle, na wszystkich pokładach zaległa dziwna cisza.

- Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie kolejny dług do spłacenia - mruknął przez ramię Trench, zwracając się do Asha.

Stary Rōshun milczał.

Nico rozglądał się dookoła. Słyszał krzyki rannych, którzy pewnie nie dożyją wieczoru.

Jestem o wiele za młody na takie rzeczy, pomyślał z nagłą, otrzeźwiającą wyrazistością.

## ROZDZIAŁ 7

### Narada



- **P**otrzebujemy tych statków, Phrades - oznajmił premier Chonas, pochylając się w fotelu, jakby chciał mocniej zaakcentować swoje słowa. Wyciągnął pięść w stronę dwunastu ministrów, zebranych na wojennej naradzie, i zaciskał ją, aż pobiełały mu kostki. - Nasi ludzie muszą coś jeść.

Phrades, minister budowy statków, spojrzał z ukosa na swojego syna, siedzącego obok przy wielkim owalnym stole w sali narad. Prawie wszystkie twarze ministrów były przyprószone bielą, co znaczyło, że z urodzenia i wychowania należą do klasy Michine - choć było kilka istotnych wyjątków. Phrades ostatnio nie mógł głośno mówić, podobno z powodu raka krtani. Szepnął coś do syna, którego twarz, opalona i bez makijażu, ostro kontrastowała z bladą cerą ojca - w ostatnich czasach wielu młodzieńców Michine preferowało taki styl.

Młody człowiek słuchał uważnie z pochyloną głową, a potem odchrząknął i wstał.

- Rozumiemy, premierze, i proszę nam wierzyć, że skoncentrujemy się na tym zadaniu jak na żadnym innym. Wszystkie zasoby, które możemy przerzucić z innych projektów, zostały udostępnione, by przyspieszyć ukończenie budowy tych statków. W tym celu wykorzystaliśmy nawet część rodzinnego majątku, organizując

import surowców. Z przykrością jednak musimy przyznać, że nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej.

Potrzebujemy jeszcze miesiąca by dokończyć pozostałe statki kupieckie, budowane w stoczniach Al-Khosu. Tymczasem mamy prywatne statki handlowe, którymi spróbujemy wypełnić lukę. Niestety, nasi ludzie muszą jeszcze bardziej zacisnąć pasa.

Wtedy właśnie komuś głośno zaburczało w brzuchu, a kilka głów zwróciło się w tamtym kierunku.

Premier Chonas nie należał do ludzi, którzy zwracają uwagę na takie drobiazgi. Nie miał też ochoty akceptować odmowy.

- A co na nasze żądania ma do powiedzenia Pincho? - zapytał, odwołując się do głównego zgromadzenia na Minosie, siedzibie mercjańskiej demokracji.

- Oni także budują tak szybko, jak mogą, ale przede wszystkim po wiosennych sztormach starają się uzupełnić flotyllę wojenną. Nowe jednostki pojawią się u nas na początku jesieni.

- Przynajmniej tyle - wtrącił minister Memes, opierając na dłoniach swoją równo opaloną twarz. - Rezerwy żywności powinny być przed zimą uzupełnione do odpowiedniego poziomu.

Głos bogatego eksportera gali wydawał się przyciszony w tej wielkiej komnacie. Mówca z pewnością zdawał sobie sprawę, kim jest dla tych ludzi - zdobył bogactwa i wpływy polityczne, mimo że przyszedł na świat w niższej klasie. To kolejny dowód zmieniających się czasów.

- Łatwo coś takiego powiedzieć - sprzeciwił się premier Chonas - ponieważ niewielu w tym pokoju wygląda na głodujących. - Sam jednak wydawał się szczupły, jak gdyby czasami nie dojadał. Uniósł dłoń, by uciszyć protesty, a potem mówił dalej cichym i zrezygnowanym głosem: - Nie, mają rację, najpierw trzeba odtworzyć flotę wojenną. Lepiej, żeby nasz lud jeszcze trochę zacisnął pasa... - rozejrzał się po sali, spoglądając posępnie spod ogromnych krzaczastych brwi - ...niż abyśmy stracili przewagę na morzu, a więc stracili wszystko.

Generale Creed, ma pan jakieś życzenie?

Wygłodniały żołądek Bahna znów głośno zaburczał. Bahn z trudem oderwał wzrok od zastawionego stołu przy głównych

drzwiach do sali i wyprostował się na krześle obok generała. Obaj siedzieli na końcu stołu, patrząc na tych naprzeciwko, a za nimi na słoneczne okna południowej galerii. Jego zwierzchnik nie odpowiedział, a Bahn nie wyczuł w nim żadnej zmiany.

Zerknął w bok na starego żołnierza i zobaczył, że generał Creed, lord protektor Khosu, spogląda teraz przez okna na bladoniebieskie morze w Zatoce Szkwałów. Z tego miejsca nie widzieli klifów, na których wznosił się budynek Kongresu, a tym bardziej slumsów na ławicach, rozciągających się w dole i przy każdym sztormie zalewanych morską wodą.

Widok z tego miejsca był przyjemny. Powietrze wydawało się dziś wyjątkowo czyste, a elementy krajobrazu bliższe niż w rzeczywistości. Po zatoce krążyła eskadra trójmasztowych okrętów pod khosyjską banderą. Żeglowały poza zasięgiem ciężkich mannijskich dział, umieszczonych na dalekim brzegu, widocznym stąd jako linia rdzawych wzgórz, bladych w słońcu, z szarymi plamkami fortyfikacji. Z tego miejsca wydawało się, że fortów jest najwięcej wokół ciemnej smugi pathiańskiego miasteczka Nomarl, gdzie w wodach portu wciąż leżały kadłuby mannijskich jednostek, zwęglone i gnijące po khosyjskim ataku sprzed trzech lat. Była to ostatnia ofensywna akcja Khosyjczyków, zakończona sukcesem.

Zdawało się, że generał Creed spogląda na niewyraźny obraz ufortyfikowanego miasta.

Jakby chciał tam wrócić.

Znów się zamyślił, uznał Bahn i delikatnie trącił stopą nogę generała.

- Tak jest, premierze - odparł gładko Creed, jakby przez cały czas uważnie słuchał.

Krzesło skrzypnęło, gdy wstał, aby zwrócić się do wszystkich zebranych. Wypolerowany pancerz odbijał światło słońca. Generał przycisnął dłonie do stołu z błyszczącego tikowego drewna i spokojnie kolejno zmierzył wzrokiem ministrów. Zdawało się, że ich widok nie zrobił na nim wrażenia.

- Mam prośbę, abyśmy powrócili do kwestii fortów nabrzeżnych. Możecie jęczeć, ile chcecie, panowie, jednak zamierzam rozwiązać ten problem, i to dzisiaj.

- Generale. Mówiliśmy o tym już wiele razy. Zdajemy sobie sprawę, że nasze wschodnie forty mają niepełne załogi. Ale co pańskim zdaniem możemy zrobić?

- Panie premierze, forty nie mają niepełnych załóg, jak chętnie sugeruje rada. Mają ledwo jako taką obsadę. Mają szkieletowe załogi, które mogą jedynie obsługiwać umocnienia i je naprawiać. Nic poza tym, a już na pewno nie są zdolni, aby stawić opór. Mają niewiele czarnego prochu, jeszcze mniej dział, bo wszystkie zostały przerzucone do obrony Bar-Khosu i naszego południowego wybrzeża. Więc nie mamy możliwości zareagować na niespodziewany atak od wschodu.

- Przy założeniu, że taki atak z zaskoczenia byłby możliwy, generale. Jak dotąd, ochrania nas trzecia flota. Musimy się modlić, by trwało to nadal.

Creed machnął tylko ręką.

- Panie premierze, trzecia flota ma wielki kawał morza do patrolowania. Jak dotąd mieliśmy szczęście, ale to wszystko. Teraz, po stłumieniu powstania na Lagos i zabezpieczeniu ich wielkiego portu, Mannijczycy mają idealny punkt wyjściowy, skąd mogą nas zaatakować. Nie powinniśmy dłużej liczyć, że ochroni nas nasza flota. Panie premierze, musimy obsadzić te forty.

Premier Chonas, nie tylko polityk, ale i filozof, przyjął to żądanie ze zwykłą uprzejmością. Pokiwał głową staremu przyjacielowi i oponentowi.

- Rozumiem cię doskonale, Marsalasio. Ale i tak mamy zbyt małe siły. Wiesz równie dobrze jak ja, że brakuje nam zasobów, by wyposażyć i utrzymać więcej wojska. Skąd weźmiemy tych dodatkowych żołnierzy? Czyżbyś znalazł nagle jakieś rozwiązanie?

- Podzielmy nasze rezerwy na dwie części. Połowę użyjemy, aby obsadzić forty.

Wokół stołu rozległy się wzburzone okrzyki.

- To żadne rozwiązanie, generale - odezwał się jakiś głos. To był Sinese, minister obrony, trzeci najpotężniejszy człowiek na Khosie; siedział odsunięty od stołu, z nogą założoną na nogę, a dłonie w białych rękawiczkach oparł na kościanej główce laski. - Rada nie pozwoli, by nasze rezerwy zostały jeszcze bardziej uszczuplone.

Nawet gdybyśmy w pełni obsadzili te forty, wątpię, czy potrafiłyby powstrzymać inwazję. - Przerwał i zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny: - Ministrze Eliph, jak rozumiem, ma pan pilne wieści od naszego korpusu dyplomatycznego.

- Istotnie - odparł Eliph, unikając gniewnego wzroku generała i przez chwilę zbierając myśli. - Nasz ambasador w Zanzaharze ponownie rozmawiał z Kalifatem na temat ich ostatnich propozycji. Ambasador wierzy, że obietnice dotyczące przesunięcia granic bezpiecznych wód w naszą stronę są szczerze. Wydaje się, że to prawdziwa nadzieja.

Te słowa wywołały niechętnie syknięcia, połowa zebranych pokręciła głowami. Wielu z nich wierzyło, że ta propozycja to kolejny pusty manewr w ostatniej handlowej dyspucie Kalifatu i Mannu.

- Kalifat ma nadzieję, że podtrzyma tę wojnę tak długo, jak to możliwe - stwierdził Chonas, jakby tłumaczył coś dziecku. - Zbyt dobrze zarabia na dostarczaniu obu stronom czarnego prochu.

Ktoś zastukał palcami o stół, wyrażając zgodę z tą tezą. Inni protestowali głośniejszym głosem i żądali prawa głosu.

Potem zebranie zmieniło się w ciąg kłótni. Potrafili tak dyskutować przez godzinę lub dłużej - Bahn dobrze o tym wiedział.

W sali z wychodzącymi na południe otwartymi oknami było gorąco. Mimo ręcznie obracanych wentylatorów pod sufitem i wpadającej do środka chłodnej morskiej bryzy, pomieszczenie wypełnił zapach potu, nie całkiem maskowany przez mdląco słodkie perfumy.

Zainteresowanie Bahna opadło i teraz tylko się przyglądał, myśląc o całkiem innych sprawach.

Miał nadzieję, że dziś pozna jakieś rozwiązanie dotyczące kryzysu żywnościowego, lecz wydawało się, że nic w tej sprawie nie mogą poradzić. Dostawy jedzenia dla Khosu zostały jeszcze bardziej ograniczone, odkąd stracili powracającą z Zanzaharu flotę ze zbożem. W teorii Khos mógł się utrzymać bez importu, był przecież spichlerzem Mercji. Ale przez ostatnie dziesięć lat szerokim strumieniem napływali do Wolnych Portów uciekinierzy, których Mercjanie w końcu przyjęli. Po ciężkich stratach, jakich doznali w



pierwszych latach wojny, uznali, że potrzebują tych zdesperowanych ludzi, choć Khos już dawno przestał wytwarzać dość żywności dla innych wysp. Na polach pszenica wciąż czekała na żniwa, a duża część importu była potrzebna gdzie indziej. Racje żywnościowe stały się zatem jeszcze bardziej skąpe niż dotąd.

Gdy Bahn zauważył u syna i żony sterczące kości, postanowił zrezygnować z jedzenia tygodniowych racji dla rodziny, udając, że jada podczas służby na murach lub w ministerstwie. Ale nawet żołnierze cierpieli jak inni i jedli ledwie tyle, ile trzeba, aby męczyzna mógł zachować siłę.

Pięść uderzyła o blat stołu tuż obok jego ręki i wyrwała go z zamyślenia. Bahn spojrział na nią, jakby spadła z nieba.

- Dość tego! - zahuczał generał do ministrów, przerywając dość chaotyczną dyskusję.

Wyprostował się, spojrział nie na premiera, lecz na pozostałych, i mówił dalej stanowczym głosem: - Dyskutowaliśmy o fortach i wciąż jeszcze mam głos w tej sprawie. Jeśli nie chcecie ich obsadzić, musimy się bronić innymi środkami. Nie możemy dłużej siedzieć na tyłkach za wysokimi murami. Musimy zaatakować i przenieść walkę na teren wroga.

Zaatakować? Bahn natychmiast się skupił.

Krześło upadło na podłogę. To stary Phrades podniósł się niezgrabnie, mamrocząc słowa, których nikt nie słyszał. Inni ministrowie także wstali i głośniejszym głosem poparli jego protest. Bahn oparł się mocno na krześle, starając się nie zwracać uwagi gniewnych Michine. Mrugał tylko, spoglądając na blade od pudru twarze wokół stołu. Ci ludzie od wczesnej młodości byli uczeni okazywać emocje tylko wtedy, kiedy były naprawdę niezbędne. Mówiono, że pudrowali twarze na biało, by ukryć choćby sugestię rumieńca. Teraz w ich wrogich obliczach widział, jak na powierzchnię wypływa krew przodków, jak ciemnieje pudrowana skóra. Ta sama krew płynęła w żyłach ich prapradziadów, bogatych patrycjuszów, którzy zrzucili z tronu pierwszego i jedyne Najwyższego Króla Mercji, a dokonali tego jedynie z pomocą zbieraniny ludzi pobudzonych do działania królewskimi planami zagranicznych podbojów. Imperialne ambicje nie były bowiem dobrze widziane wśród mieszkańców Wolnych

Portów.

- Czym atakować? - dopytywał się minister Sinese, potrząsając w powietrzu laską.

- Naszymi rezerwami, do łoża. Tak, tymi samymi. Mamy dość ludzi, by poprowadzić ofensywę na Nomarl. Widzisz je na własne oczy, człowieku, tak blisko, że mógłbyś niemal sięgnąć tam swoją laską. - Mówiąc, Creed wyciągnął rękę i najpierw wskazał okno, a potem przesunął ją na wschód ku ścianie komnaty, jakby potrafił spojrzeć przez mur na wybrzeże. - Najpierw zdobędziemy Nomarl. Potem, wykorzystując rezerwy z Minosu i wysp, możemy odbić kolejne miasta portowe wzdłuż pathiańskiego wybrzeża. Zdobędziemy przyczółki, umocnimy pozycje na kontynencie i tym sposobem utworzymy nowy front. To da nam jakiś wybór. Po co nam rezerwy, skoro tylko kryjemy się za murami, a nasze nadzieje gasną z każdą chwilą. Nie dopuszczając tych ludzi do walki, mamy tylko więcej gęb do wyżywienia i nie zyskujemy nic, prócz spokoju ducha. A więc, panowie, powiem wam - rozejrzał się po sali, jeszcze raz mierząc wzrokiem wszystkich ministrów - że spokój ducha już nie wystarczy.

Nadeszła pora na działanie.

Przed naradą generał nie uprzedził Bahna o tej propozycji, mimo że ten był jego adiutantem. Bahn wiedział jednak, że stary weteran może być zarówno wyrachowany, jak i spontaniczny. Być może poruszył temat fortów, wiedząc doskonale, że znów go zlekceważą, od początku natomiast zamierzał zażądać tego, czego pragnął naprawdę: nowej ofensywy przeciwko Imperium. A może kiedy siedział tak i patrzył ponad wąskim pasem wody na wrogie miasto, wezbrał w nim instynkt działania i niósł go teraz jak na skrzydłach.

Sinese, minister obrony, uciszył wszystkich, unosząc rękę, równocześnie oparł się mocno na lasce, jakby chciał wbić ją w podłogę.

- Generale Creed, powiedziałem już, co myślę o rezerwach, zarówno dzisiaj, jak i na poprzednich spotkaniach gabinetu. Nie możemy zostać bez odwodów, na wypadek wielkiej ofensywy Mannijczyków przeciwko Tarczy. A ponieważ, jak lubi nam pan przypominać, jesteśmy odsłonięci również od strony wschodniego

wybrzeża, daje nam to jeszcze więcej powodów, aby nie naruszać rezerw. Wtedy przynajmniej będziemy mogli zareagować, gdyby Imperium spróbowało takiego ataku. Sytuacja nie pozwala nam na podejmowanie agresywnych działań przeciw Mannijczykom. W całych Wolnych Portach, najszybciej jak potrafimy, produkujemy nowoczesne działa, muszkiety i okręty, teraz nawet szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Głodujemy, bo musimy tyle samo płacić Zanzaharowi za czarny proch, co za zboże. A mimo to ledwie jesteśmy w stanie utrzymać pozycję.

- Utrzymać pozycję, powiada pan? Od dziesięciu lat z wolna spychają nas w tył. Kiedy my tu rozmawiamy, Mur Kharnostu niemal rozpada się na kawałki. To nie jest sytuacja patowa i musi pan to zrozumieć, jeżeli nadal pan w to wierzy. Nie, to bardzo powolna, lecz pewna egzekucja. Jeśli nie zmienimy podejścia, to jakbyśmy już byli martwi.

Premier odchrząknął i spojrzął na Creeda spod krzaczastych brwi.

- Jak zawsze jest pan reformatorem, generale. Najistotniejsze dla pana jest zwycięstwo.

Zmieniłby pan świat, gdyby to mogło nas ocalić. W szaleńczym szturmie po chwałę pozbawiłby pan nas ostatnich ludzkich rezerw. A jednak poza tym, co możemy zyskać, proszę też pomyśleć o tym, co możemy stracić.

Bahn w głębi duszy zgadzał się z tą opinią, choć nie przyznałby się do tego przy swoim zwierzchniku. Tak, pomyślał, zbyt wiele już straciliśmy.

- Jesteście zakładnikami własnej ostrożności - oznajmił Creed zaskakująco cichym głosem, znów nie zwracając się do premiera, lecz do pozostałych. - Każdy z was. Co takiego was powstrzymuje, bojaźliwość? Rozumiałbym ją u chłopców, ale nie u dorosłych mężczyzn.

Musimy się tego pozbyć.

- Przemówił pan, generale, a my wysłuchaliśmy. Chce pan teraz poddać swój wniosek pod głosowanie?

Creed parsknął niechętnie, a potem jego buty zgrzytnęły o podłogę, gdy odwrócił się i odszedł od stołu. Bahn patrzył za swoim zwierzchnikiem przez jeden krótki oddech. Co w niego wstąpiło? -

pomyślał. A potem opanował się i ruszył za starym generałem.

- Przekłęci durnie - odezwał się Creed tak głośno, by wszyscy go usłyszeli. Zatrzymał się przed drzwiami i odwrócił w stronę stołu z jedzeniem i winem, które przygotowano na naradę. Było to proste i skromne jedzenie, ale Bahnowi wydawało się prawdziwą ucztą.

- Trzymaj - rzucił generał. Bahn zamrugał tylko, a Creed wepchnął mu w ręce drewnianą misę z owocami i dołożył torbę słodyczy. - Wyglądasz, jakbyś głodował, człowieku - powiedział i wyszedł za drzwi.

Bahn wahał się przez chwilę. Spojrzał na zgromadzonych - wszyscy patrzyli teraz na niego. Ale to głównie jedzenie przyciągnęło jego uwagę. A w szczególności krążek białego sera z błękitnymi żyłkami, którego zapach roznosił się na parę metrów dookoła. Być może udałoby się go przechować aż do ceremonii nadania imienia córce, pomyślał. Zrobił krok naprzód i delikatnie wziął ser w ręce.

Zanim wyszedł, skłonił się najlepiej jak potrafił i wytrwał w tej pozycji, licząc do trzech.

Błede twarze odwróciły się od niego równocześnie.

## ROZDZIAŁ 8

### Cheem



Serce Świata rankiem było spokojne, tak błękitne i puste jak niebo, które okrywało je niczym wielka kopała jasnego szafiru, łącząca się z wodą najdelikatniejszą linią horyzontu. Jedynym wyjątkiem były spowite kłębamii chmur góry na zachodzie. Słoneczne światło padało na powierzchnię morza i odbijało się falami żaru. Wokół krążyły ptaki. Od południa napływała lekka bryza i marszczyła powierzchnię wody, pieniąc tu i ówdzie leniwe fale.

*Chohpra*, jak określała to załoga „Sokoła”. Idealny dzień.

„Sokół” płynął nisko nad spokojnymi wodami Midèrēs, niczym morski ptak, choć raczej taki, który zbyt długo walczył z żywiołami i teraz cieszy się bliskim celem. Choć wydawał się mocno uszkodzony, z dobrą prędkością zbliżał się do wyspy swojego przeznaczenia. Zwalniał teraz, niedaleko portu Cheem.

Mewy ścigały go i chwytaly kawałki keeshu, rzucane przez ciemnoskórego mężczyznę na dziobie. Ash ściągał na siebie spojrzenia kilku odpoczywających na pokładzie, zabandażowanych marynarzy. Potrząsali głowami i przerzucali się drwiącymi uwagami.

Uważali mewy za szczury morza, więc czemu ten stary dureń je karmi?

Stary dureń jakby nie dostrzegał ich niechęci. Podobnie jak stojący przy nim Nico. Kątem oka obserwował wesołość na twarzy Asha,

gdy ten bawił się z nurkującymi ptakami, spoglądał jednocześnie na port w dole i liczne zakotwiczone statki. Za nimi miasto wspinało się na zbocza wzgórz, które z kolei wydawały się niskie na tle ciemnych, zaśnieżonych wierzchołków gór w oddali.

Było to jedyne miasto i głębokie kotwicowisko na całej górzystej wyspie Cheem. Port był spory - choć niedorównujący rozmiarem temu w Bar-Khosie - ale miał złą sławę i przynajmniej tutaj ta sława odpowiadała rzeczywistości.

Jak wszystkie mercjańskie dzieci, Nico kiedyś słuchał opowieści o piratach z Cheemu.

Rodzice w Wolnych Portach regularnie straszili niegrzeczne dzieci piratami, którzy porywają niewolników. Przedstawiali ich jako potwory i powtarzali, że zostawiają drewniany stateczek przy łóżku niedobrego dziecka, które wkrótce zamierzają porwać. Jeśli ostrzeżenie nie wystarczało do poprawy zachowania, statek-zabawka rzeczywiście pojawiał się nocą koło dziecięcego łóżka, by rankiem wzbudzić oczekiwane przerażenie. Tylko najbardziej zatwardziały taki znak nie przywoływał do porządku.

Lęki rosły jeszcze w późniejszych latach, kiedy dziecko osiągało dojrzałość i odkrywało, że piraci porywają w niewolę nie tylko dzieci, ale też dorosłych mężczyzn i kobiety.

Właśnie ta obawa tłumiła nieco u Nica poczucie ulgi, że udało się dotrzeć do celu.

Prawdę mówiąc, wolałby, żeby lądowali gdzie indziej. Nie tutaj.

Bryza była ciepła i niosła ostry zapach morza, a kiedy ustawała na chwilę, z pokładów unosił się ciężki odór topionej smoły. Wiatr sprzyjał, ale rury napędowe płonęły pełną mocą, kiedy zbliżali się do portu. Wzniesli się w górę nad zewnętrznym murem portowym i zobaczyli prowadzący na drugą stronę wąski kanał wejściowy pomiędzy oślizłymi kamiennymi ścianami. Podtrzymywały niskie forty nowej konstrukcji - okrągłe, co miało pomagać w odbijaniu pocisków dział. Z góry Nico widział lufy sterzące z tych fortów oraz staromodne balisty na płaskich stropach; żołnierze w jasnych płaszczach wspierali się na włóczniach, zadzierając głowy, by spoglądać na powietrzny statek z zielonymi flagami, oznaczającymi neutralność.

Ashowi skończył się keesh i mewy wrzasnęły na znak protestu. Statek skręcił, marynarze rzucili się do przestawiania płetw. Skierowali się do plaży przy południowej granicy portu, gdzie na szczycie wysokiej wieży na skałach powiewał rękaw wskazujący kierunek wiatru.

Maszty cumownicze wyrastały wzdłuż brzegu, a na piasku leżał gnijący statek powietrzny bez zbiornika gazu.

- Trzymaj się blisko - ostrzegł Ash. - Zostaniemy w mieście tylko na parę godzin, ale historie, które pewnie słyszałeś o tym miejscu, nie są całkiem zmyślane. Port Cheem to legowisko wściekłych psów. Za dnia będziemy raczej bezpieczni, ale nie oddalaj się zbyt od mnie.

- A potem ile czasu zajmie nam droga do górskiego jeziora?

- Dość długo, ale teren nie jest trudny, jeśli zna się szlaki. I dość spokojny. Niewielu ludzi mieszka w głębi wyspy, są tylko klasztory na pustkowiach.

- I szkoły skrytobójców?

Ash zeszywniał.

- Nie jesteśmy tylko skrytobójcami, chłopcze.

Za prawą burtą uniosły się kłęby szarego dymu. Rzucone kotwice wlokły się pod wodą, a potem po plaży, oplecione teraz sznurami wodorostów. Potem w dół spadły liny, a ludzie na brzegu chwyтали je i przyciągali do masztów cumowniczych. Kołysząc się od podmuchów, „Sokół” powoli opadał na ziemię.

Podszedł Trench; jego marynarze wyskakiwali przez burty, by zamocować cumy. Kapitan ciągle utykał od odniesionej w bitwie rany.

- Przywiozłem cię do domu - zwrócił się do Asha.

- Tak. Dzięki.

Trench podał rękę jemu, a potem Nicowi. Kerido na jego ramieniu zakrzeczał na do widzenia. Niestety, Berl się nie zjawił, by się pożegnać. Chłopak leżał pod pokładem i pocił się na koi, trawiony gorączką. W bitwie stracił stopę.

Nico się zachwiał, gdy płaskodenny kadłub spoczął na ziemi. Zarzucił sakwę na ramię.

To dziwne, ale teraz, kiedy „Sokół” leżał na lądzie, trochę żał mu było go opuszczać.

- Chodźmy - rzekł Ash i zszedł po rozkołysanym trapie.

W końcu, po tylu ostrzeżeniach, Port Cheem okazał się rozczarowaniem.

Ash kroczył naprzód tak stanowczo i szybko, że Nico właściwie nie miał kiedy się rozejrzeć. Zatrzymali się tylko po to, by kupić trochę prowiantu i dwa muły na drogę na południe wyspy.

Początkowo Nicowi najbardziej przeszkadzał wszechobecny smród. Po niedawnych deszczach ulice zmieniły się w błoto; po bokach albo środkiem płynęły cuchnące potoki ścieków. Śmierdziały też trupy psów i kotów, a w jednym miejscu także ignorowane przez przechodniów zwłoki obdarłej z ubrania młodej kobiety.

Przed sklepem Nico pomógł umocować zapasy na grzbietach mułów. Kończył już, kiedy musiał gwałtownie ustąpić z drogi oddziałowi straży miejskiej - grupie smagłych najemników Alhazii w pstrokatych zbrojach; szli szybko ulicą, śpiewając jakąś cudzoziemską i przerażającą pieśń. Kilka chwil później, wraz z Ashem, minęli tych samych strażników zajętych tłumieniem bójki w tawernie. To była prawdziwa bitwa; na zewnątrz mężczyźni leżeli w błocie i klęli, wewnątrz brzęk stali przebijał się przez gwar i krzyki.

Szybko minęli tę okolicę, zмирzając na południe. Ash krzyknął w handlowym na ulicznych urwisów, pozbywając się ich z drogi za pomocą kilku rzuconych monet. Dzieciaki ciągnęły Nica za rękawy, prosząc o jedzenie, pieniądze, smołodrew lub dross. Wszędzie stały prostytutki - nagie i od stóp do głów pokryte złotą farbą. Potrząsały piersiami przed Nikiem, a on starał się spokojnie patrzeć na ich ciemne sutki, jedyne niepomalowane części ciała.

Targi niewolników okazały się trudniejsze do zniesienia. Przez drewniane bramy widział mężczyzn, kobiety i dzieci w łańcuchach, kulących się lękliwie, kiedy sprzedawano ich na aukcji jak stada bydła.

- Czujcie ciało! - zakrzyknął uliczny kaznodzieja, stojący w pobliżu jednej z takich aukcji. - Czujcie ciało albo zostaniecie niewolnikami, bo wszyscy słabi słusznie trafiają w niewolę!

- Co on głosi? - spytał Nico.

Przejeżdżając, Ash splunął kaznodziei pod nogi.

- Mann - wyjaśnił po chwili.



W przeciwieństwie do Bar-Khosu, Port Cheem nie miał żadnych murów; Nico ze zdziwieniem patrzył, jak budynki po obu stronach stopniowo zmieniają się w nędzne szopy, a potem poza miastem całkiem znikają. Kołysał się rytmicznie na grzbiecie muła i czuł, jak spływa z niego napięcie.

Droga wiła się u stóp wzgórz nad brzegiem; nigdy nie tracili z oczu morza i halsujących statków. Cheem był wyspą złożoną z gór i właściwie niczego poza tym; większość gruntów uprawnych leżała nad brzegiem albo w licznych wąskich dolinach, sięgających aż do porośniętych lasem szczytów. Prawie cały dzień wędrowali tym samym traktem, mijając kilka wiosek i samotnych chat, których mieszkańcy obserwowali ich podejrzliwie i w milczeniu.

Późnym popołudniem skręcili na zachód w jedną z tych wąskich dolin i zaczęli wjeżdżać coraz wyżej pomiędzy nędznymi polami, aż ustąpiły wrzosom i dzikim trawom, nadającym się tylko do wypasania owiec. Na zboczach po obu stronach zaczęły wyrastać drzewa, gęstniejące i z wolna zmieniające się w czarne sosnowe lasy.

Kiedy wjechali na wyżej położone tereny, Ash wyraźnie się zmienił: był spokojniejszy, bardziej nawet niż zwykle, jego oczy złagodniały, z satysfakcją wciągał do płuc świeże górskie powietrze.

- Jesteś chyba szczęśliwy, że wróciłeś - zauważył Nico.

Niewyraźne mruknięcie było jedyną odpowiedzią. Starzec jechał dalej w milczeniu i Nico sądził już, że zapomniał o jego słowach. Jednak dziesięć czy piętnaście minut później, kiedy zachodzące słońce ożywiło kolory, a w wieczornym chłodzie mocno pachniała żywica, stary wędrowiec przemówił:

- Te góry... teraz są dla mnie domem.

Rozbili obóz na wysokiej polanie otoczonej przez stare kloszowce; zachodzące słońce nadawało ich srebrzystym liściom odcienie czerwieni i złota. Nico czuł się zeszywniały po długiej jeździe, a siedzenie miał poobijane. Zauważył, że Ash wyjmuje z mieszka zielony liść i wsuwa go do ust - kolejny ból głowy. Potem starzec zaczął rozkładać koce do spania, a garścią trawy wytarł muły, które wyjadały z krzaków jagody. Nico odrąbał z pobliskiego cicado kawał żywicznej kory, by rozpalić ogień, i zebrał drewno na ognisko.

W końcu Ash usiadł z wyraźną ulgą. Spoglądał na ciemniejące

niebo i popijał z tykwy, gdy tymczasem Nico zajął się ogniskiem. Użył krzemienia i kawałka żelaza, by wykrzesane iskry padły na sproszkowaną wcześniej korę. Potem dmuchał delikatnie, aż pojawiły się płomienie. Wilgotne drewno wypuszczało w powietrze biały dym, mocno kontrastujący z czarnymi szczytami gór dookoła.

- Zimno się robi - stwierdził.

Roztarł dłonie i wyciągnął je nad ogniem. Od wyjazdu z Bar-Khosu przybrał trochę na wadze, ale wciąż był tak chudy, że mocno odczuwał chłód.

Starzec parsknął śmiechem.

- Kiedyś opowiem ci o zimnie.

- To znaczy o tej wendecie, która cię zaprowadziła w lody południa?

Ash przytaknął bez słowa.

Tak samo kiwnął głową ostatnim razem, kiedy pojawił się ten temat, zanim jeszcze odlecieli z Bar-Khosu, a Nico wypytywał o wszystkie wcześniejsze wendety i otrzymywał tylko najbardziej zdawkowe odpowiedzi. Mógł jedynie zgrzytać zębami, rozczarowany - tak jak teraz. Bardzo chciał dowiedzieć się czegoś o tych legendarnych dalekich krainach, które znał dotąd tylko ze sztuk i pieśni.

- Czy to prawda, że oni tam zjadają swoich? - spróbował.

- Nie, jedzą tylko wrogów. Zostawiają ich na noc, żeby zamarзли, a potem obierają kości z mięsa.

To dziwne, ale ta obrzydliwa wizja sprawiła, że Nicowi zaburczało w brzuchu. Po długiej drodze był wygłodzony. Dorzucił do ogniska gałąź, a potem drugą.

- Nadal mi nie zdradziłeś, jak udało ci się wrócić na wybrzeże. Sam mówiłeś, że wcześniej straciłeś wszystkie psy.

Syk powietrza wypuszczanego przez zęby...

- Innym razem, chłopcze - rzekł Ash. - Na razie posiedzmy sobie tu i rozkoszujmy się ciszą.

Nico westchnął i zakołysał się na piętach. Nie patrzył na starca.

- Spróbuj. - Ash podsunął mu tykwę.

Przez chwilę Nico nie zwracał na nią uwagi; patrzył, jak lekki podmuch wiatru roznieca płomienie, aż rozjarzyły się w mroku.

- Nie jestem z tych, co piją - oświadczył w końcu.

Ash się zastanowił.

- Twój ojciec... był pijakiem? - zapytał.

Tym razem to Nico zignorował pytanie. Raz jeszcze roztarł dłonie i w nie chuchnął.

Kątem oka widział, że Ash mu się przygląda.

- I czego bałeś się u ojca, teraz najbardziej boisz się u siebie.

- Czasami się złościł, kiedy wypił - przyznał Nico. - Nie chcę być taki sam.

- To rozumiem. Ale nie jesteś swoim ojcem, chłopcze, ani on nie był tobą. No dalej, spróbuj trochę. Wszystko należy traktować z umiarem, nawet sam umiar. Poza tym to cię rozgrzeje.

Nico westchnął ciężko, potem wziął od starca tykwę i usiadł, przyglądając się jej niepewnie.

- Tylko ostrożnie. To mocny napitek.

Nico uniósł tykwę do ust i wypił łyk. Nabrał tchu, gdy poczuł słonawy, piekący smak na języku. Zakrztusił się.

- Co to jest? - wychrypiał, oddając tykwę.

- Woda jęczmienna... i kilka kropel potu dzikiego ibosa. Nazywają to ogniem Cheemu.

Ten opis wcale się Nicowi nie spodobał. Ciepło rozlało się w żołądku, ale wiedział, że jest iluzoryczne. Ojciec tłumaczył mu kiedyś, że zasypianie po pijanemu, kiedy spada temperatura, może być śmiertelnie groźne.

- Myślisz, że to rozsądne, żeby się dziś upić? - zapytał.

Ash machnął tylko ręką, jakby opędzał się od muchy.

- Nie marudź, chłopcze. Zresztą kac pomoże nam w tym, co mamy do zrobienia jutro.

Było to oczywiście dla Nica całkowicie niezrozumiałe, ale mistrz nie zdradził nic więcej.

Na kolację zjedli wędzoną szynkę i bochenek keeshu, popili kubkami chee zaparzonej w wodzie z pobliskiego strumyka. Wypili więcej trunku, co poprawiło im nastroje. W górze pojawiały się gwiazdy. Ogień strzelał i trząsał w ciemności, która poza kręgiem światła wydawała się jeszcze czarniejsza.

Zdjęli buty i grzali przy nim stopy.

- Czy to daleko? - zapytał w końcu Nico, który wpatrywał się w płomienie, syczące i tańczące jak żywe istoty.

- Co?

- Klasztor. Daleko stąd?

Starzec wzruszył ramionami. Podniósł kamień i podrzucił go jedną ręką.

- Dlaczego wzruszasz ramionami?

- Bo nie wiem.

Na pewno jest pijany, uznał Nico.

- Ale przecież tam mieszkasz - spróbował znowu. - Jak możesz nie wiedzieć, czy to daleko?

- Zaufaj mi, Nico, dobrze? Rano wszystko się wyjaśni. A teraz pij i się ciesz. To ostatnia okazja, bo kiedy dotrzemy do Sato, czeka cię ciężka praca i dużo ćwiczeń.

Nico z wahaniem wziął tykwę, pociągnął łyk ognistego płynu i oddał ją. Położył się na plecach, z ręką pod głową, i patrzył w gwiazdy. Robiło się coraz zimniej.

Kątem oka widział Asha, wciąż z kamieniem w dłoni, jak przygląda się zawieszanej na szyi pieczęci. Nico odwrócił głowę w jego stronę - starzec pogrążony był w zadumie.

Mogłem się domyślić, uznał. Upija się ponuro, jak mój ojciec.

Ash uniósł wzrok, zauważył, że Nico mu się przygląda, mruknął coś i wsunął pieczęć pod szatę.

- Co jest? - zapytał.

- Nic, Ash... Mistrzu Ash. Mam pytanie.

Stary wędrowiec westchnął.

- No to je zadaj.

- Mówiłeś, że ta pieczęć, którą nosisz, jest teraz martwa. Ale kiedyś należała do klienta.

- Tak.

- Skoro używacie tych pieczęci do odstraszenia, dlaczego nie nosisz własnej? Dlaczego nie chcesz się chronić przed niebezpieczeństwami wendety?

Zęby Asha błysnęły w świetle ognia.

- Wreszcie - rzekł. - Pytanie warte rozważenia.

Podrzucił kamień i chwycił go w powietrzu. Schylił się do chłopca,

jakby chciał mu się zwierzyć.

- Powiem ci teraz, Nico, a ty musisz to zawsze pamiętać. - Oddech miał gorący, pachnący jęczmienną wodą. - Zemsta, mój chłopcze... Zemsta to krąg, który nie ma końca. Rodzi się z przemocy i rodzi przemoc. A pomiędzy jednym a drugim nie ma nic prócz cierpienia. Dlatego właśnie my, z Rōshun, nie nosimy pieczęci dla własnej ochrony. Prawdę mówiąc, zawsze mamy nadzieję, że damy skuteczną metodę odstraszenia, nic więcej. Gdyż lepiej niż większość wiemy, że zemsta nie służy żadnym pozytywnym wartościom na tym świecie. To tylko profesja, do której doprowadziły nas życiowe ścieżki.

- Mówisz tak, jakby to, co robicie, było złe.

- Nie oceniamy tego w kategoriach dobra i zła. Nasza praca jest moralnie neutralna i to musisz zrozumieć, bo ta zasada jest podstawą filozofii Rōshun. Jesteśmy jak kamienie na zboczu, wprawione w ruch przez inne kamienie. Podążamy za naturalnym biegiem zdarzeń.

Zastanowił się przez chwilę.

- Ale sprawa nigdy nie powinna oddziaływać na nas osobiście. W przeciwnym razie stajemy się czymś więcej niż prostą energią ruchu. Stajemy się częścią samego cyklu.

Gdybym zginął w czasie wendety, inny Rōshun zająłby moje miejsce, potem następny i jeszcze następny, aż wendeta zostanie doprowadzona do końca i nasze zobowiązanie wypełnione. Wtedy wszystko się kończy. Żaden z nas nie nosi pieczęci i nie szukamy zemsty za naszych ludzi. W ten sposób przerywamy cykl.

Starzec zakończył, znowu popijając z tykwy. Otarł wargi i lekko szturchnął chłopca.

- Zrozumiałeś?

Nicowi kręciło się w głowie, nie tylko od napitku. Myśli krążyły bezładnie. Khosyjczycy rozumieli wendetę, czuli ją głęboko w ciele, potrafili rozpoznawać jej impulsy tak, jak ryba potrafi pływać. Ich sagi pełne były krwawych mordów i zemsty, a postacie próbujące odpłacić krzywdzicielom zawsze były głównymi bohaterami.

Pokiwał głową, choć nadal nie był przekonany.

- Dobrze. Zatem opanowałeś najważniejszą lekcję.

Płonące drewno wypadło z ogniska, a Nico aż podskoczył.

Obserwował, jak iskra żaru między jego bosymi stopami przygasa do szarości. Przyjął tykwę i wypił kolejny łyk.

Złudzenie czy nie, przyjemnie było poczuć w sobie ciepło. Podejrzewał, że jest już trochę pijany, i uznał, że to wcale nie takie straszne. Więcej, był rozweselony i jakby lekki, jak gdyby zrzucił ciężkie brzemie.

Znowu usiadł, żeby popatrzeć w nocne niebo.

Tu, w górach, gwiazdy były jasne, a najjaśniejsze z nich niemal pulsowały blaskiem.

Kiedy Nico odwrócił głowę z lewej strony na prawą, mógł podążyć wzrokiem za smugą Wielkiego Koła; w dole, pod Kołem, trochę na prawo od ogniska, widział jasne punkty swoich ulubionych konstelacji - Dama, która dłonią z gwiazd trzymała gwiazdne pęknięte lustro, a z boku i nad nią Wielki Błazen, Mędrzec Świata, pozujący z wierną surykatką u stóp - te cztery małe światełka z falistej linii - swoim jedynym towarzyszem pod koniec, kiedy porzucił niebiański tron, by wędrować po świecie i głosić nauki Dao.

Meteor przemknął nad głową i niemal natychmiast następny. Na wschodzie kometa świetlnym palcem skreśliła smugę w niebiosach. Nico patrzył na to wszystko i ogarniał go spokój.

Spokój ten jednak zmącił odgłos cichego śmiechu Asha, który chichotał pod nosem w świetle ognia.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał Nico niezbyt wyraźnie.

Ash kołysał się do przodu i do tyłu, próbując się opanować, ale jedno spojrzenie na minę chłopca rozbawiło go jeszcze bardziej. Wskazał tykwą na Nica, usiłował coś powiedzieć mimo śmiechu i musiał zacząć od początku.

- Wszystko stracone! - zawołał, drwiąco naśladując głos chłopca.

Nico zmarszczył czoło; rumieniec oblał mu policzki. Nie chciał pamiętać o powietrznej bitwie i o tym, że o mało się nie załamał. Ten wstyd wolał trzymać głęboko ukryty.

Otworzył usta, by odpowiedzieć ostro, ale Ash wskazał go palcem, jakby wiedział, co zaraz usłyszy, i zaczął się śmiać jeszcze głośniej.

Może to ogień Cheemu był przyczyną, a może błysk oczu starca, bez śladu złości czy wyższości, ale humor udzielił się też Nicowi, który bez wstydu zaczął dostrzegać zabawną stronę wydarzeń. I

zanim się zorientował, też zanosił się śmiechem i kołysał w przód i w tył jak stary wędrowiec. Obaj wyli jak głupcy, a łzy ściekały im po policzkach.

- Wszystko stracone! - zawołał znowu Ash i obaj ryczeli ze śmiechu, ściskając się za brzuchy, płomienie plamami światła i cienia malowały ich roześmiane twarze, a gwiazdy jarzyły się w zasięgu ręki, tuż nad głowami.

- Wszystko stracone! - wykrzykiwali w ciemność.

## ROZDZIAŁ 9

### Dzikość umysłu



- Co to jest?

- Krzak.

- Widzę, ale co w nim niezwykłego?

- O co ci chodzi?

- No, dlaczego tak stoimy i się na niego gapimy?

To właśnie robili: stali i gapili się na nieduży krzak rosnący nad górskim strumykiem. Był wczesny ranek, słońce zbyt jasno świeciło im w oczy, a po ostatniej nocy Nico czuł pulsujący ból w głowie.

- Widziałeś już kiedyś taki krzak, Nico?

- Nie jestem pewien.

- No to przyjrzyj się dokładniej. Popatrz na jagody.

Nico przyjrzał się dokładniej. Jagody były małe i lśniąco czarne. Miały niewielkie białe plamki, przypominające malutkie czaszki.

- Nie, chyba nie.

- Na pewno nie. Na całej wyspie Cheem rośnie ich tylko kilka. Sprowadzono je z Zanzaharu, a tam trafiły aż z Niebiańskich Wysp.

Nico słuchał bez wielkiego zainteresowania. Żołądek kołysał się dziwnie i chłopak marzył tylko, żeby zwinąć się w kłębek i przespać resztę dnia. Jeśli ogień Cheemu przynosił takie skutki, to Nico przysiągł sobie, że już nigdy więcej nie napije się tego świństwa.

- To moja pamięć, Nico. - Ash przyklęknął, zerwał dwie jagody z



tej samej gałęzi i wrzucił je do swojego pogiętego blaszanego kubka.

Nico obserwował go, czekając na dalsze wyjaśnienia.

Starzec westchnął i przerwał to, co robił.

- Przybyliśmy na Cheem, by założyć swój zakon - zaczął - ponieważ w tych górach miały już siedziby liczne starsze sekty. Religijne zakony w ukrytych dolinach, gdzie poszukujący prawdy mogli się schować przed światem ludzi. Poza nimi nie ma tu wielu mieszkańców. Na tym pustkowiu łatwo się zgubić. Ale to nie wystarczało, by zasłonić zakon przed wzrokiem ciekawskich. Obawialiśmy się, że gdyby ktoś z Rōshun został kiedyś schwytany, mógłby wyjawić położenie klasztoru i narazić nas na ryzyko. Zatem nasze własne wspomnienia o jego lokalizacji zostały... odmienione. Zakopane głęboko. Wróż z Sato zna sposoby, by to osiągnąć.

Ash zaczął rozgniatać jagody ułamaną gałązką, powoli i starannie, całkowicie skupiony.

- Kiedy użyję soku tych jagód, uwolni on ukryte przede mną wspomnienia. Pokaże mi drogę.

Napluł do kubka, potem podsunął go chłopcu, by ten zrobił to samo. Nico zmarszczył brwi i splunął. Ash znowu zamieszał.

- Jeśli nie przygotuję tego właściwie - oświadczył spokojnie - sok może być śmiertelny.

Wskazał Nicowi miejsce u swojego boku. Chłopiec wahał się przez chwilę, niepewny, w co chce go wpłatać starzec. Uklęknął jednak. Tamten wysunął z kubka gałązkę i sięgnął do czoła Nica, który odsunął się gwałtownie.

- Nie ruszaj się, chłopcze.

- Dlaczego ja też mam to przyjąć?

- Żebyś nie zapamiętał drogi.

Ash maznął czoło chłopca, nucąc przy tym pod nosem. Potem nałożył maść na własną skórę.

- Co teraz? - spytał Nico, kiedy starzec płucał kubek. Ciemnoniebieska plama na jego czole wysychała już i stawała się czerwona.

- Spokojnie. Nie denerwuj się. To działa powoli.

Nico się uspokoił. A dokładniej, zwinął się w kłębek i od razu zasnął.

Nadpłynęły sny, niczym sącząca się z ziemi czarna smoła. Zalewała go wolno, ale niepowstrzymanie, wciskała się w pory skóry, pełzła w górę, aż jego umysł także zaczął płynąć jak smoła.

W tych snach zdawało mu się niekiedy, że jest całkiem przytomny. Panował zmierzch, a jego mistrz prowadził ich, siedzących na mułach, przez srebrzyste lasy, gdzie nawet wiatr nie wzbudzał żadnego ruchu ani dźwięku. Niebo nad nimi wydawało się szare i wyblakłe, zawieszane niżej niż zwykle, niemal przygniatające. Mknęły po nim chmury, zabarwione na niebiesko światłem siostrzanych księżyców, sunących po niebie wyżej i szybciej niż powinny.

Nico przyglądał się przez jakiś czas tym księżycom za chmurami, jednemu białemu, drugiemu niebieskiemu, a w umyśle pulsował mu jakiś żywioł czasu, nieskończony, nieograniczony i zapętłony. I zanim się zorientował, trwał już dzień, chociaż rozwodniony i mglisty, w którym unosiła się ciągle resztką nocy. Szli pieszo, prowadząc muły kamienistą doliną, a Ash śpiewał na całe gardło - jakąś prostą i cudzoziemską piosenkę, która odbijała się echem od zboczy i wracała do nich, tworząc harmonię, jakiej Nico nigdy jeszcze nie słyszał.

Potem siedzieli skuleni przy malutkim ognisku ze smętnych gałązek, w jaskini cuchnącej odchodami nietoperzy i wodorostami. Nico płakał z jakiegoś powodu. Ash także płakał, wspominając rodzinę, którą utracił tak wiele lat temu, swoją ukochaną żonę i małego syna.

Widząc to, Nico nie mógł się powstrzymać i jego własne łkania zmieniły się nagle w śmiech.

Ash rozgniewał się na niego i krzyczał w tym obcym języku, bardziej podobnym do warkotu niż mowy - ale to tylko śmieszyło Nica jeszcze bardziej i wskazywał na rozzłoszczonego wędrowca, powtarzając „Wszystko stracone! Wszystko stracone!” Starzec spróbował go chwycić, ale przewrócił się do przodu, upadł, potoczył do ogniska, tłumiąc słabe płomyki, i już nie wstał.

Ale nie, to niemożliwe, ponieważ padał deszcz, a oni ślizgali się w błocie pod chmurami tak ciemnymi i niskimi, że nie dało się określić pory dnia. Ciągnęli muły w górę zbocza, po którym płynęły lodowate strużki wody. Przed nimi huczał wielki, spowity mgłą wodospad; pył wodny przemoczył ich do nitki, kiedy zbliżali się do

tej ogromnej kaskady po przerażającej ścieżce wzdłuż krawędzi trzystumetrowego urwiska. Przeszli przez ścianę wody i znaleźli się w jaśniejącym niesamowitą zielenią tunelu o ścianach porośniętych futrem mchu; starzec wykrzykiwał coś dla dodania otuchy, ale huk wody był zbyt głośny, by cokolwiek usłyszeć, wstrząsał żołądkiem, a nawet umysłem Nica.

Potem śnił już z całą pewnością, gdyż nie był już w górach Cheem, ale na rozległej trawiastej równinie, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność pod sunącym w górze bladym i słabym słońcem. Po niebie krążył samotny ptak. Muchy unosiły się rojami tuż nad trawą, ale nigdzie nie było widać żadnych zwierząt, nie było słychać żadnych odgłosów życia.

W mgnieniu oka zapadła noc i nad nimi zajaśniały dwa księżyce. Nico patrzył z góry na człowieka leżącego pod drzewem, przykrytego zwierzęcymi skórąmi. Spał mocno. I nie był sam - jakieś kształty sunęły bezgłośnie ku niemu. Nico zauważył, że to stworzy z koszmaru: przypominały pająki, może mrówki, chociaż ogromnych rozmiarów. Każdy z nich wydawał się wielki jak muł, i sunął naprzód drobnymi krokami.

To sen, zrozumiał Nico, ale niepodobny do żadnego, jakiego w życiu doświadczył.

Zdawało się, że jego samego w tym śnie nie ma - a raczej unosi się tam w bezcielesnej formie, obserwując cudzy koszmar. Było w tym coś dziwnego, bo miał uczucie, że zna tego człowieka, choć w ciemności ledwie mógł odróżnić plamę jego twarzy.

I nagle Nico krzyczał na obcego, by się zbudził, by chwycił za broń i zaczął walczyć, ale bez skutku, gdyż żaden głos nie wydobywał się z jego ust. Krzyczał coraz głośniej, zaczął nawet wrzeszczeć, gdy cienie zbiegały się przy leżącym. Ale jedynym ruchem był lekki podmuch wiatru, jedynym dźwiękiem szelest liści na drzewie, pod którym zasnął.

Nasionko oderwało się od nagiej gałęzi - być może ostatnie na tym drzewie. Skrzydełka pochwyciły wiatr i wirując, opadało wolno, aż wylądowało delikatnie na policzku śpiącego.

W jednej chwili mężczyzna poderwał się i stanął do walki o życie.

- Chłopcze!

Nico ocknął się nagle, z trudem chwytając oddech.

Ash potrząsał go lekko; trzymał w dłoni kubek parującego chee. Otepiały Nico mrugał niepewnie. Przez kilka sekund nie potrafił się ruszyć; wreszcie wstał.

Odwrócił głowę, by odkryć, że znajdują się w kolejnej górskiej dolinie.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytał.

- Prawie. Jak się czujesz?

Nico stęknął tylko w odpowiedzi. Miał wrażenie, że cały jest dziwnie kruchy; za oczami tętnił ból. Ubranie też było w opłakanym stanie, podarte, ubrudzone ziemią i liśćmi. Ash wcale nie wyglądał lepiej - szata w strzępach, twarz brudna, porośnięta siwą szczecinę.

- Jak długo...? - spytał Nico, nie potrafiąc dokończyć zdania.

- Myślę, że pięć dni... może trochę dłużej. Dobrze sobie radziłeś. Trzymałeś się.

Nico sączył gorące chee, choć prawie nie czuł smaku. Koniecznie powinien wyszorować zęby... Oczy oczyściły się już ze snu i mógł dokładniej przyjrzeć się dolinie. Szeroki strumień dzielił ją wzdłuż na połowy - wił się i przepływał niedaleko ich obozowiska, za dwoma pasącymi się mułami.

Podążył wzrokiem w górę strumienia, poza rosnące w zakolach sitowie, ku łąkom pokrytym żółtą trawą, rozciągającym się na dnie doliny i falującym w porannym wietrze.

Wiatr niósł zapachy gorącego keeshu i smażącego się czosnku, a czasem też sugestię dalekiego śmiechu. U samego końca doliny wznosił się duży budynek z czerwonej cegły, z wyrastającą w rogu wieżą. W pobliżu rósł rzadki las niskich, złocistych drzew.

Nie spieszili się, zwijając rankiem obóz. Nico siedział spokojnie, pozwalając, by chee kołał pusty żołądek, i podziwiał widoki, gdy tymczasem dym z niewielkiego ogniska chronił go przed muchami. Ash ogolił się i umył w strumieniu - stał w wodzie nagi, zanurzony do pasa, pokrzykując z zimna. Nico układał w całość te nieliczne obrazy, które zapamiętał z ostatnich pięciu dni... zaledwie odpryski wspomnień, wyraźne sceny obramowane pustką i - jeszcze bardziej nie na miejscu - dziwny sen człowieka, którego skądś znał... Nic z tego nie tworzyło sensownej całości.

W końcu uznał, że naprawdę musi się opłukać i umyć zęby. Odrzucił daremne rozmyślenia wraz z ubraniem, wyjął z sakwy kostkę mydła i małą czyściłkę, po czym dołączył do Asha w lodowatym górskim potoku. W niektórych miejscach woda była dostatecznie głęboka, by dało się pływać, więc sporo czasu spędził, pływając albo dryfując na plecach. Słońce świeciło wysoko, niekiedy tęczyowy pstrąg usiłował skubnąć go w palec.

Zesztywniałe, zmęczone mięśnie rozluźniały się z wolna. Liczne skaleczenia i otarcia piekły trochę w przyjemnie świeżej i zimnej wodzie.

Kiedy wyszedł, wytarł się tuniką, drżąc lekko w chłodnym wietrze. Zauważył niski krzew rosnący nad brzegiem strumienia - taki sam posłał ich w niezwykłą cztero- czy pięciodniową podróż przez góry; miał czarne lśniące jagody z małymi plamkami.

Wskazał go Ashowi.

- Tak, używamy tych jagód znowu, kiedy gdzieś wyruszamy - wyjaśnił starzec. - Nie martw się - dodał, widząc niepokój chłopca. - Zostaniemy tu na wiele księżyców.

Byli obserwowani. Nico wyczuł to, kiedy dosiedli mułów i ruszyli dnem doliny w górę.

Ash zauważył jego czujny wzrok, kiedy chłopiec rozglądał się po skalnych zboczach.

- Tracisz czas.

To było wszystko, co miał do powiedzenia. Potem spiął muła do szybszego truchtu.

Droga do klasztoru potrwała dłużej, niż Nico się spodziewał. Dym unosił się leniwie z licznych kominów budynku, a okiennice w oknach bez szyb były otwarte.

Kiedy zbliżyli się do niewielkiego lasu przy klasztorze, zaczęli mijać otoczone murkami ogrody, w których pracowali ludzie w czarnych szatach; mężczyźni wielu ras pocili się pod gorącym słońcem, niektórzy śmiali się albo gawędzili, inni w samotności całkowicie koncentrowali się na pracy.

Wielu witało Asha, kiedy ich mijał: salutowali zaciśniętą pięścią albo pochylali głowy, składając przed sobą dłonie w *sami*, tradycyjnym pozdrowieniu Drogi, a usta rozciągając w uśmiechu.

- Ash! - wykrzyknął jakiś stary mnich. Błysnął szczerbatym uśmiechem i podbiegł do nich bosy, podciągając przybrudzoną czarną szatę. Był w wieku zbliżonym do Asha i miał podobnie niezwykle rysy, ale bardziej krępe ciało, a na czubku głowy węzeł z czarnych i siwych włosów. - Na Dao, myślałem, że jesteś martwy i zagrzebany pod lodem - wysapał.

- Co u ciebie, stary przyjacielu? - spytał Ash.

- Lepiej, skoro wróciłeś do nas bezpiecznie. I nie sam, jak widzę.

- To mój uczeń. - Ash machnął kciukiem nad ramieniem, wskazując Nica. - Nico, przywitaj się z tym starym durniem. Ma na imię Kosh.

Mężczyzna szerzej otworzył oczy, a Nico blado się uśmiechnął.

- Spokojny chłopak - zauważył wesoło Kosh.

- Raczej nie. Ale odzywa się tylko wtedy, kiedy to najmniej pożądane.

- No cóż - rzekł Kosh - nie będę was zatrzymywał, jedźcie się rozpakować. Ale dziś wieczorem musimy się napić i posłuchać twoich opowieści.

Z rozmachem klepnął w zad Ashowego muła, który ruszył natychmiast szybkim truchtem. Nico podążył za nim; odwrócił się jeszcze i zobaczył, jak stary Rōshun się prostuje, po czym kłania z szacunkiem w stronę oddalających się pleców Asha.

- Te drzewa... - zaczął Nico, kiedy pod kopytami mułów zachrząścił żwir leśnej ścieżki.

Niewysokie drzewa, pokryte złocistobrązową korą, z liśćmi o barwie miedzi i kwiatami w kształcie gwiazd... nigdy jeszcze takich nie widział.

- To drzewa mali. Również pochodzą z Wysp. To z nich mamy nasze pieczęcie.

- Z nasion?

- Tak.

- Nasiona wyrastają w pieczęcie?

Ash westchnął.

- Nasiona to właśnie pieczęcie, Nico. Chociaż te akurat drzewa, które widzisz dookoła, są nieplodne i nie wydadzą owoców. - Szarpnął martwą pieczęć, którą wciąż nosił na szyi. - Znajdę odpowiednie miejsce na brzegu lasu i ją zakopię. W krótkim czasie,

krótszym niż sobie wyobrażasz, wyrośnie z niej takie samo drzewo. I tak jak tamte, nie zrodzi już następnych, gdyż wykiełkuje z pieczęci, która przestała oddychać.

- Czyli ten las... te drzewa... - Nico rozglądał się, otwierając usta ze zdumienia. Wiatr umilkł na chwilę i drzewa zamarły w bezruchu. - Wszystkie wyrosły z pieczęci po zabitych?

- Tak. Co do jednego.

Ludzie w czarnych szatach ćwiczyli się w strzelaniu z łuków na szerokim otwartym pasie trawy przed klasztorem. O jej skracanie dbało kilka spacerujących tu i tam kóz, które nie zwracały uwagi na strzały świszczące im nad głowami.

Nico patrzył, jak na stanowisku staje najstarszy ze strzelców, jedyny wśród nich przybysz z dalekich krain. Może się uśmiechał, choć trudno było powiedzieć, gdyż skórę miał pomarszczoną, plecy zgarbione, a twarz tak obwisła, jakby miała odpaść. Pozostali zamilkli, kiedy mężczyzna założył strzałę. Nie unosząc głowy, nabrał powietrza i wstrzymał oddech.

Na wydechu wyprostował grzbiet, natychmiast naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę, wszystko w jednym płynnym ruchu. Zamarł w tej końcowej postawie do chwili, gdy strzała spadła z nieba i wbiła się w sam środek tarczy.

- Ha! - wykrzyknął z aprobatą Ash. Muły niosły ich wciąż naprzód.

Ze stukiem kopyt minęli wąską bramę i znaleźli się na kwadracie suchej ziemi, ze wszystkich czterech stron otoczonym murami klasztoru. Na samym środku dziedzińca wyrastała kępa siedmiu drzew mali, otoczonych pomalowanym na biało płótem. Niezwykła cisza zawisała nad tym miejscem - otaczała kilkunastu mężczyzn, siedzących ze skrzyżowanymi nogami i pogrążonych w medytacji. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na nowo przybyłych - z wyjątkiem jednego, brodatego Alhazii, ubranego w płaszcz bez rękawów.

Ziewnął, kiedy ich zauważył, wstał i ruszył w ich stronę.

- Wróciłeś - powiedział, kiedy zsiadli z mułów.

- Baracha... - powitał go Ash, a Alhazii lekko schylił głowę.

- Dobrze wyglądasz jak na kogoś, kto podobno zginął.

Muł niecierpliwie szarpnął wodzami.

- Niewiele brakowało - przyznał wędrowiec i pogładził zwierzę po

grzbiecie. - Co się tu działo pod moją nieobecność?

- Nic ciekawego. - Baracha wzruszył potężnymi ramionami. - Oczywiście wszyscy się modliliśmy za twój szczęśliwy powrót.

Mówiąc, położył dłoń na nozdrzach muła i patrzył zwierzęciu w oczy, aż zesztyniało i znieruchomiało.

- Kto to? - zapytał.

Nico odwrócił wzrok od medytujących Rōshunów i przyjrzał się potężnemu mężczyźnie.

Z bliska wyraźnie widział liczne tatuaże na jego ciemnej skórze - cała była pokryta drobnym, zaokrąglonym pismem Alhazii, łącznie z brodatą twarzą - z pewnością święte wersety, którymi podobno chętnie ozdabiali swoje ciała ludzie pustyni. Jego ciemne oczy spojrzały uważnie na chłopca, by zaraz powrócić do Asha.

- Mój uczeń - wyjaśnił Ash i Nico zauważył lekką zmianę na twarzy Barachy: chwilowe zaciśnięcie warg, wyrażające zaskoczenie.

Baracha zaraz uśmiechnął się znowu i popatrzył na Nica.

- No to ma z kogo brać przykład.

Uśmiecha się fałszywie, stwierdził Nico i uznał, że mężczyzna z niego kpi. Poczuł, jak rozpała się w nim iskra gniewu. Miał ochotę jakoś się wykazać.

Wskazał ręką kępę drzew mali na środku dziedzińca.

- Dlaczego stoją tu takie samotne? - zapytał.

- Samotne? - Baracha się obejrzał.

- Mistrz Ash mówił mi, że sadzicie martwe pieczęcie w lesie na zewnątrz. Zastanawiałem się, czemu te siedem rośnie tutaj.

- Nie domyślasz się? - zachęcił go Alhazii.

Ale Nico już wiedział i właśnie dlatego zapytał.

- Zgaduję, że te drzewa wyrosły z pieczęci, które... ciągle oddychały. To znaczy, że same też dają owoce.

Baracha przechylił głowę.

- Nie umiem rozpoznać twojego akcentu, chłopcze. Skąd pochodzisz?

- Z Bar-Khosu - odparł Nico, sam zdziwiony dumą, jaką usłyszał we własnym głosie.

- Mercjanin? Mogłem się domyślić po tym, jaki jesteś mały i niedożywiony.



I znowu Alhazii się uśmiechnął, jakby kpiąco.

- My, Mercjanie, całkiem dobrze sobie radzimy - odparował Nico - od dziecięciu lat powstrzymując Mannijczyków.

- Fakt - przyznał Baracha, kładąc dłoń na szyi muła chłopca. Zwierzę drgnęło. - Ale nie mów takich rzeczy, póki tu jesteś. Może twój mistrz zapomniał cię o tym uprzedzić. Mamy tu ludzi ze wszystkich zakątków Midèrēs. Nie rozmawiamy o polityce.

- Sugeruję zatem, żebyś nie prowokował takich rozmów - rzekł chłodno Ash.

Alhazii spojrział gniewnie na starego wędrowca. Ten popatrzył tylko spokojnie.

Po chwili Baracha parsknął, odwrócił się i odszedł bez słowa.

- Twardy człowiek - mruknął Nico, spoglądając za nim.

- W dalekiej pustyni rodzą się twardzi ludzie - zgodził się Ash. - A jej wielka pustka daje im bogatą wyobraźnię. Ostrzegam, byś nie starał się nikogo prowokować, póki tu jesteś, Nico, a zwłaszcza tego człowieka. Teraz chodźmy. Przed nami sporo pracy, zanim będziemy mogli coś zjeść.

Zjedli keesh i mięso pozostałe po wspólnym posiłku, ponieważ skończył się, zanim zdążyli wytrzeć muły i odebrać świeżą odzież. Kiedy skończyli jeść, Ash pokazał Nicowi drzwi do pokoju, gdzie miał zamieszkać z innymi uczniami, i zostawił go, żeby sam się tam wprowadził.

Nico poczuł się nagle zagubiony, kiedy starzec odszedł szybko, a on został sam w korytarzu. Nowa czarna szata wisiała sztywna i ciężka na ramionach, pachniała lekko igłami sosny. Koncentrował się przez chwilę, jak go uczył Ash, a potem pchnął drzwi.

Pokój był duży, z kamienną podłogą i stropem z lakierowanych drewnianych belek. Rząd okien wychodził na dziedziniec, a pod ścianą naprzeciwko stały posłania. Pokój był prawie pusty, tylko dwóch uczniów zajmowało swoje łóżka. Jeden pracowicie zaszywał rozdartą szatę, wykrzywiając w skupieniu usta. Wydawało się, że ma najwyżej piętnaście lat, a biała koszula wisiała luźno na szczupłym ciele. Drugi, mniej więcej w wieku Nica, leżał na plecach i czytał książkę; jasne włosy połyskiwały jak słoma we wpadających przez okno promieniach słońca. Kiedy Nico wszedł cicho, obaj spojrzeli na

niego z zaciekawieniem.

Skinął im głową, a potem rozejrzał się, szukając wolnego posłania. Podszedł do jednego, przy którym stała pusta skrzynia.

- Cześć - odezwał się jasnowłosy chłopak.

Odłożył książkę, wstał i się zbliżył. Kiedy wyciągnął rękę, Nico patrzył na nią przez chwilę, nim ją ujął i uścisnął.

- Musisz być uczniem mistrza Asha - stwierdził chłopak; miał dziwną wymowę. Zauważył zaskoczenie Nica. - Plotki tutaj rozchodzą się szybko. Wasze przybycie było prawdziwą sensacją przy obiedzie.

- Rozumiem - odparł Nico.

- Nazywam się Aléas, a ten tam to Floerés. Nie jest nieuprzejmy, po prostu nie ma języka.

Młody Floerés rozdziawił usta, by pokazać, że to prawda. Nico uśmiechnął się zażenowany i odwrócił wzrok, może nieco zbyt szybko.

- Nico - przedstawił się, przekładając swoje nieliczne rzeczy z sakwy do skrzyni.

- Wiemy - zapewnił Aléas. - Mój mistrz uprzedzał, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

- Twój mistrz? - Nico uniósł głowę.

- Tak, Baracha. Jak rozumiem, już go poznałeś.

- Wydaje się, że twój mistrz zbyt pochopnie osądza ludzi.

- Uznał, że mogłoby dojść do starcia, bo ty jesteś Mercjaninem, a ja z Imperium - wyjaśnił Aléas, obserwując go spokojnym wzrokiem.

Nico zmusił się, by odpowiedzieć podobnym spojrzeniem. Myślał: Imperium? Naprawdę stoję twarzą w twarz z wrogiem? Dziwne, że nie wydaje się taki straszny.

- No więc jakie to uczucie? - zapytał tamten.

- Słucham?

- Stać tak i rozmawiać sobie z ohydny Mannijczykiem?

Nico rozważył pytanie.

- Całkiem normalne uczucie - oświadczył w końcu. - Chociaż, prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczony, więc może trudno mi odczuć jakąś dodatkową przykrość.

Uśmiech Aléasa był całkiem szczery.

- A więc miło cię poznać - rzekł.

# ROZDZIAŁ 10

## Porzucenie



Nico starał się przyzwyczać do nowego otoczenia, choć z początku nie było to takie łatwe.

W klasztorze przebywało dziewięciu innych uczniów - sami chłopcy. Nie o to chodzi, że obowiązywał całkowity zakaz przyjmowania dziewcząt; według uczniów po prostu nigdy nie były rekrutowane ani same się nie zgłaszały.

Trudno się dziwić, że wszyscy ci młodzi ludzie mówili wspólnym językiem, jakim był handlowy, choć często wtrącali słowa i wyrażenia ze starszych - czasem nadal ojczystych - języków z krajów, z których pochodzili. Nico się cieszył, że jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył się w klasztorze, był bogaty wybór przekleństw, jakich wcześniej nie słyszał.

Codziennie wszyscy wstawali na długo przed świtem i myli się we wspólnej łazience, wraz z innymi milczącymi Rōshunami. Potem siedzieli w jadalni rozjaśnionej blaskiem świec - słońce kryło się jeszcze za górami - i jedli skromne śniadanie złożone z owsianki, suszonych owoców oraz chee albo wody, do wyboru. Uczniowie starali się jak najlepiej wykorzystać te skromne potrawy, gdyż ich następnym i jedynym w ciągu dnia posiłkiem miała być tylko kolacja po zmroku. Często szli spać głodni, bo pożywienie ledwie zaspokajało ich potrzeby.

Całkiem jakby zakon chciał ich zachęcić do podkradania jedzenia. Na pewno za to nie karano, napominano jedynie uczniów tak niezręcznych, że dali się przyłapać na gorącym uczynku.

Zaraz po śniadaniu szli na pierwszą z zaplanowanych na ten dzień lekcji; ich młode twarze rozjaśniały się wraz z nadejściem świtu. Nicowi resztę dnia wypełniały pogmatwane, szybko zapominane instrukcje oraz lekcje. Ledwie pojmował, jakiemu celowi mogą służyć.

Wieczorny posiłek, kiedy wreszcie nadchodził, niósł niezrównaną ulgę. Nico siedział wtedy i jadł, otepiały ze zmęczenia, myśląc jedynie o łóżku.

Uczniowie pochodzili z różnych okolic Imperium, chociaż - co zaskakujące - prawie nie zdarzały się tarcia z powodu różnic kulturowych. Mimo to Nico był przygotowany na najgorsze, ponieważ od dziecka nie należał do towarzyskich. Jako młody chłopak uczęszczał do miejscowej szkoły i wiedział, jak inni traktowali jego samotniczą naturę i ostry język, kiedy został sprowokowany.

Ale nie tutaj. Ci, którzy z największym prawdopodobieństwem mogli go prześladować - wielki Sanse, mający siłę po swojej stronie, albo mały i zjadliwy Arados, który mógłby chcieć się wykazać - z jakichś powodów trzymali się z daleka. Z początku Nico brał to za efekt surowej klasztornej dyscypliny, ale mniej więcej po tygodniu zauważył, że chodzi o coś więcej. Zrozumiał, że wszyscy podziwiają Asha, i trochę tego podziwu spłynęło także na niego, bo był pierwszym, którego Ash przyjął na naukę.

Najtrudniejsze były początkowe tygodnie szkolenia. W związku ze sławą otaczającą Asha - a więc także, choć w mniejszym stopniu, Nica - uznał, że musi sprostać swej reputacji, choć nie zrobił niczego, by na nią zasłużyć. Tylko inni zakładali, że skoro został uczniem Asha, musi być wyjątkowy.

Tyle że wcale nie czuł się wyjątkowy. Nie wiedział, dlaczego Ash go wybrał, ale podejrzewał, że nie ma to nic wspólnego z umiejętnościami. Chętnie powiedziałby im to wszystko, wyznał całą prawdę, ale za każdym razem, kiedy próbował, powstrzymywał go jakiś wewnętrzny opór. Zaczęła mu się podobać ta mimowolna

popularność. Chłopcy traktowali go z szacunkiem całkiem mu obcym w trudnych latach na ulicach Bar-Khosu, a wcześniej w chacie z matką i jej kolejnymi kochankami. Teraz potrafił spojrzeć w oczy innym uczniom i nie uciekać szybko wzrokiem.

Zatem, w tych pierwszych dniach, za bardzo się starał, by im zaimponować, i często cierpiał z powodu własnej gorliwości.

Nie szło mu na lekcjach cali - szermierki w stylu Rōshun dostosowanym do walki z kilkoma przeciwnikami, przy czym należało cały czas atakować, nigdy się nie cofając.

Podczas biegów zatrzymywał się zdyszany, niekiedy wymiotując ze zmęczenia; podczas walki wręcz złamał dwa palce i zapłakał, widząc, jak się wykrzywiły; wściekał się sfrustrowany na treningu oni-oni - próbie szybkości, kiedy przeciwnicy na sygnał usiłovali uderzyć się nawzajem w twarz. Spadł nawet, kiedy dosiadał zela, i to nie raz, a dwa razy, niemal łamiąc sobie przy tym kark.

Wyróżniał się za to w innych dyscyplinach, dostatecznie, by przynajmniej podtrzymać swoją reputację. Fikał, skakał i wspinał się jak urodzony akrobata; doskonale radził sobie z aktorstwem, wymagającym też podstępów i przebierania; szybko opanował podstawy włamań; na lekcjach maskowania i skradania nie dawał się znaleźć przez całe godziny.

Doskonale szło mu łucznictwo, do którego istotnie miał predyspozycje: celne oko i spore doświadczenie w polowaniu na ptaki zdobyte jeszcze w domu u matki. A przede wszystkim wyróżniał się w ali - połączonych sztukach unikania, znanych też jako ucieczka; tu odkrył w sobie wyjątkowy talent.

W innych okolicznościach tęskniłby pewnie za domem, za znajomymi ulicami Bar-Khosu czy nawet za chatą matki. Ale jako uczeń Rōshun miał po prostu zbyt wiele nauki i ćwiczeń, by tracić czas na takie rozmyślenia, tylko nocami dręczyło go poczucie osamotnienia - a i to niedługo, gdyż w ciągu kilku minut zasypiał ze zmęczenia.

W tym okresie rzadko widywał Asha. Wydawało się, że jego mistrz nie angażował się w ćwiczenia. Nie proponował też swojemu podopiecznemu prywatnych zajęć, być może planował szkolić Nica jedynie w terenie, gdzie - jak mówiono - kończy się nauka, a zaczyna

wiedza.

Na ogół stary wędrowiec trzymał się na osobności i rzadko spotykał się ze swoim młodym protegowanym. Całkiem jakby porzucił Nica przy pierwszej nadarzającej się okazji.

To porzucenie zabolalo chłopca bardziej, niż chciał się to tego przyznać.

- Naostrzcie noże! - wrzasnął Holt ponad głowami dziesięciu uczniów, zebranych na dziedzińcu w ten słoneczny i wietrzny dzień.

Natychmiast wzięli się do pracy.

Nico nawet się nie ruszył. Patrzył tylko, co robią pozostali. A ze szczególną uwagą obserwował Aléasa, u którego już wcześniej dostrzegł skłonność do wykonywania zadań poprawnie już przy pierwszej próbie. Po chwili ujął w jedną rękę drewniany nóż ćwiczebny, a w drugą stalowy, i zaczął wycinać nowe ostrze w wygiętej krawędzi, stępionej po ostatnim użyciu. Takie noże nazywali gupikami, może z powodu ryby, którą przypominały kształtem.

Broń nie miała ostrego czubka, a wykonana była z zimorośli, rzadkiego i bardzo twardego drzewa, które rosło tylko na najbardziej stromych urwiskach i z jakiegoś powodu kwitło tylko zimą.

I nagle obok Nica pojawił się Ash, ściskający kubek z chee. Stał nieruchomo i przyglądał się, jak chłopiec pracuje; zamrugał tylko, gdy wiatr dmuchnął mocniej i szarpnął jego szatę.

Ten dzień miał być poświęcony symulacjom - zaplanowanym scenariuszom, mającym do pewnego stopnia imitować warunki pracy terenowej. W czasie tych zajęć - przypadających co dwa tygodnie - obecność mistrzów była obowiązkowa, uczniowie byli więc nadzwyczaj poważni i skupieni.

Nico nie rozmawiał z Ashem od sześciu dni. Starzec stał się dla niego niemal jak duch, dostrzegany tylko przez okna albo niekiedy we śnie. Nawet inni chłopcy zaczęli zauważać ten brak poświęcanej uczniowi uwagi. Szeptali o tym między sobą, zdumieni zachowaniem najślawniejszego z Rōshun, i coraz częściej rzucali Nicowi dziwne spojrzenia, kiedy wchodził niespodziewanie do sypialni.

- Pospieszcie się, nie mamy na to całego tygodnia! - Holt spoglądał na nich groźnie, dumnie unosząc podbródek.

Nico sprawdził drewnianą klingę i przekonał się, że jest dość ostra,

by skaleczyć. Ssąc kciuk, czekał spokojnie i nie patrzył na Asha.

Holt przeszedł między nimi; sprawdzał ostrza i przy okazji odbierał stalowe noże.

- A teraz, moi młodzi panowie... - rzekł - ...dzisiejszy scenariusz to kot i szczur. Tak, Pantush, wiem, jak bardzo go lubisz. A teraz niech każdy dobierze sobie partnera i zaczniemy.

Partnera, pomyślał Nico i rozejrzył się smętnie. Inni chłopcy szybko dobrali się z przyjaciółmi i po chwili cała grupa podzieliła się na pary. Naprzeciw Nica, oddzielony kilkunastoma stopami opadającego kurzu, stał samotny Aléas. Był zbyt dobry, by ktokolwiek chciał z nim współzawodniczyć akurat dzisiaj.

Nicowi zamarło serce, kiedy młody człowiek uśmiechnął się zachęcająco. Stojący za nim potężny Baracha spojrzał pytająco na Asha.

- Kot, szczur, zachodnie skrzydło, pierwsze piętro... - mówił Holt, stukając w głowę jednego, potem drugiego chłopca z kolejnej dwójki. - Kot, szczur, zachodnie skrzydło, drugie piętro...

Dotarł do Nica z Aléasem i się uśmiechnął. Wszyscy się uśmiechali, z wyjątkiem tych dwóch par stojących naprzeciw siebie.

- Kot - rzekł stanowczo, kładąc dłoń na głowie Nica. - Szczur. - Skinął na Aléasa. - Zachodnie skrzydło, strych. Ale postarajcie się niczego tam nie rozbić, panowie.

Klasnął w dłonie i ruszył dalej, znowu krzyząc:

- Macie czas do następnego dzwonu! Jeden się chowa, drugi szuka. Kto pierwszy zrani do krwi, wygrywa. Kto nie da się znaleźć do uderzenia dzwonu, też wygrywa. To wszystko.

Szczury naprzód!

Aléas ruszył, długimi skokami zmierzając do drzwi zachodniego skrzydła. Biegł jak atleta na bieżni, absolutnie pewny swoich fizycznych możliwości.

Walczymy do pierwszej krwi, myślał Nico; dłoń mu zwilgotniała, zaciśnięta na rękojeści drewnianego noża. Zaszło mu w ustach. Jakie rany może zadać ta zabawka? Jakie rany wolno zadawać? To typowe dla tych Rōshunów, że podają zaledwie minimum informacji, a potem rzucają człowieka na głęboką wodę.

Baracha został w tyle. Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami, z

miną pełną pogardy, pewien łatwego zwycięstwa.

- Wolałbyś, żeby twój chłopak został szczurem, co? Słyszałem, że dobrze się chowa.

Ash zeszywniał, jakby zbyt znużony, by powstrzymać cisnące się na usta słowa:

- Może gdybyś ty potrafił lepiej się chować, w przyszłości moglibyśmy oszczędzić sobie wielu kłopotów.

Śmiechy zabrzmiały wśród Rōshunów, którzy stali dość blisko, by go usłyszeć. Baracha chrząknął głośno i splunął na piasek.

Nico poczuł się pewniej, kiedy usłyszał, że mistrz stanął w jego obronie. Ale wiedział też, że chodzi o coś więcej: o to bezustanne współzawodnictwo między nimi dwoma, a przynajmniej wrażenie współzawodnictwa, jakie sprawiał Baracha.

Usłyszał cichy szept, niemal zagłuszony wietrzykiem:

- Wiedz, że Aléas nie będzie się chował jak szczur. Raczej spróbuje wciągnąć cię w pułapkę, jak drapieźnik. Uważaj, gdzie stawiasz stopy, mój chłopcze.

- Koty naprzód! - padło polecenie.

Pozostali uczniowie pomknęli ku różnym drzwiom klasztoru. Nico zawahał się i w końcu spojrzął w oczy starego wędrowca. To, co zobaczył, sprawiło, że zamrugał niepewnie.

On uważa, że przegram...

Ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy starzec kazał mu ruszać.

Nico skierował się do dalszych drzwi, w północnym skrzydle. Skoncentrował się na tym, co powinien osiągnąć; ogarnęło go niemal przytłaczające pragnienie, by pokazać im wszystkim, że się mylą.

Dobrze było przynajmniej schować się przed wiatrem.

Klasztor wydawał się jeszcze cichszy niż zwykle; jego mieszkańcy opuścili budynek na to popołudnie, poświęcone scenariuszom. W zachodnim skrzydle znajdowały się biblioteka i pracownia, a także sala używana do medytacji. Wszystkie te pomieszczenia miały dużo światła wpadającego przez wielkie okna, a pachniały polerowanym drewnem i starym kurzem.

Poczuł ruch powietrza, kiedy do holu weszli Baracha i Ash, wciąż z kubkiem chee w dłoni. Obaj nosili białe opaski na rękawach i mieli iść za nim w pewnej odległości, wyłącznie jako obserwatorzy,



ponieważ w czasie testu nie wolno im było udzielać żadnych instrukcji.

Celem ćwiczenia była nauka poprzez działanie, i przez to umacnianie wiary we własne instynkty.

Strych, powiedział Holt; Nico odszukał więc schody i wspiął się na piętro. Obok przeszedł młody Rōshun, ale zachowywał się tak, jakby w ogóle Nica nie zauważył.

Prowadzące na strych drewniane schody znajdowały się na końcu korytarza, za podwójną linią drzwi do indywidualnych kwater. Okno na końcu wychodziło na pofałdowaną dolinę, a dalej ciemne skaliste urwiska. Wyżej dryfowało skupisko chmur, rozdierane wysokim szczytem.

Nico zatrzymał się i przyjrzał otwartej klapie na szczycie schodów. Dalej było ciemno.

Może powinien znaleźć latarnię?

Nie, uznał, to głupi pomysł. Byłby wtedy zbyt łatwym celem.

Ash i Baracha czekali z tyłu, na końcu długiego korytarza. Patrzyli, jak zdejmuje i ostrożnie układa na podłodze sandały.

Nico odetchnął głęboko i możliwe wolno ruszył po schodach. Starał się trzymać z boku, by stopnie nie skrzypiały pod jego ciężarem. Schylił się, stając przed otworem w stropie.

Miejsce nie gorzej od innych nadawało się, by Aléas zastawił tu pułapkę i zaatakował, kiedy tylko Nico wsunie głowę do wnętrza, przez moment oślepiony w mroku.

Chwila minęła i żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy. W tej sytuacji miał tylko jedną możliwość.

Rzucił się w górę, skoczył przez otwór i przetoczył się po trzeszczącej podłodze strychu.

Potem leżał chwilę na plecach, z wyciągniętym przed siebie nożem, i czekał na atak.

Chociaż nie nastąpił, Nico nadal się nie ruszał; leżał i starał się opanować oddech. Swoim wejściem narobił już dość hałasu. Cekał, aż wzrok przyzwyczai się do mroku; stopniowo zaczynał dostrzegać wokół siebie cienie ciemnych przedmiotów.

Wstał bezszelestnie i ostrożnie odsunął się od szarego światła otworu wejścia. Strych był ciepły i o wiele większy, niż Nico się

spodziewał. Wzrok sięgał na jakieś trzy metry, a potem wszystko przestaniała czerń, ale Nico wyczuwał rozmiar pomieszczenia dzięki lekkim poruszeniom powietrza. Wszędzie stały zmagazynowane tu przedmioty; skrzynie i pudła, stosy tkanin, niepotrzebne meble, a nawet stojaki na broń. Aby ukryć się skutecznie, wystarczyło stanąć w jakimś miejscu - dowolnym - i zwyczajnie się nie ruszać.

Nico zrobił krok naprzód, najpierw sprawdzając, czy nie skrzypną pod nim deski podłogi.

Potem następny krok... Wiatr na zewnątrz szarpał za drewniane gonty dachu, niektóre obluzowane tak, że teraz stukały, upiornie akompaniując do świstu wiatru.

Zatrzymał się na samej granicy sączącego się przez klapę światła. To miejsce również nadawało się na pułapkę - Nico wciąż był widoczny, gdy jego przeciwnik mógł pozostawać w ciemności.

Aléas był gdzieś blisko. Nico go wyczuwał.

Zmrużył oczy i spojrzął w ciemność. Po prawej stronie z ukośnego dachu wisiła pajęczyna, jarząca się upiorną bielą, a pod nią płatanina kształtów, które ledwie mógł rozróżnić. Po lewej panował jeszcze głębszy mrok - coś dużego przestaniało światło.

Nico cofnął się o krok. Bardzo ostrożnie się pochylił, cały czas zerkając na prawo i na lewo. Otworzył usta, by lepiej słyszeć.

Czekał, prawie nie oddychając.

Nagle uświadomił sobie, jak absurdalna jest jego sytuacja: byli jak grające w chowanego dzieci, uzbrojone tylko w drewniane noże. Ale potem pomyślał o takim nożu w dłoni Aléasa, bez wątpienia kryjącego się w pobliżu - nożu ostrym jak jego własny i tak samo mogącym kaleczyć.

Słyszał uderzenia własnego serca.

Światło za jego plecami na chwilę przygasło i wszystko spowiła głębsza ciemność.

Odwrócił głowę i zobaczył za sobą sylwetki Barachy i Asha. Oni także poruszali się w absolutnej ciszy.

Nico skinął im, żeby się odsunęli, więc przykucnęli po obu stronach wejścia i słaby blask powrócił.

Myśl, ponaglał sam siebie. Myśl.

Pajęczyna się zakołysała. Nico miał tylko tyle czasu, by odchylić

się szybko, gdy niewyraźna sylwetka skoczyła ku niemu z lewej strony. Poczował podmuch na twarzy, ruch...

potem ciął nożem, ale trafił jedynie pustkę. I zaraz ukłucie bólu na lewym policzku, i jeszcze jedno na prawym.

Był tak zaskoczony, że odskoczył do tyłu. Przycisnął dłoń do twarzy, a krew kapiała mu między palcami.

- Auu - jęknął.

Aléas stanął przed nim w słabym świetle. Pomazał sobie twarz brudem tak, że tylko fragment skóry przy samej linii włosów pozostał biały. Baracha zachichotał, po czym zszedł ciężko po schodach.

Ash wciąż czekał. Nico podniósł się i spojrzał na niego, ale niczego nie zdołał wyczytać z twarzy mistrza.

Ash wypił łyk chee i mlasnął wargami.

- Ćwicz dalej - mruknął. - Musisz być gotów, kiedy zabiorę cię w pole.

Odwrócił się z szelestem szaty i także wyszedł.

Aléas skinął głową na rany Nica.

- Opatrz je pszczelim woskiem - poradził. - Dzięki temu blizny będą małe. Chodź, pomogę ci.

Nico został na chwilę sam w lepkiej ciemności. Krew coraz wolniej kapiała spomiędzy palców. Prawa dłoń, drżąc, poszukała twardej, pocieszającej pewności drewnianej podłogi; osunął się i spuścił nogi do otworu. Odetchnął głęboko i czekał, aż przestanie mu walić serce.

# ROZDZIAŁ 11

## Cull



Noc dusiła się żarem.

Na środku Jeziora Ptaków imperialna barka kołysała się lekko, z dala od świateł miasteczek na brzegach. Nad spokojnymi wodami unosiły się strzępy muzyki, czasem krzyki i śmiechy, czasem szczekanie psów

Na pokładzie barki słychać było tylko szepty niewolników i stały, równy rytm samotnego bębna. Atmosfera wydawała się nierealna i ciężka. Nathalscy niewolnicy wyczuwali ją i zbici w grupki kulili się przerażeni w swoich klatkach. W końcu zrozumieli, czemu zostali tak brutalnie wyrwani z codziennego życia nad brzegami Toin - dzisiejsza noc miała być dla nich ostatnią w niewoli.

W powietrzu, oprócz ostrego odoru ludzkich ciał, unosił się gryzący aromat piżmowego kadzidła, dolatujący od dziobu barki, gdzie w otoczeniu osobistych służących stała para nagich kapłanów. Ich ciała połyskiwały w blasku płonącego w żelaznych koszach ognia, lśniły od olejku, nałożonego obficie przez służbę. Dwoje nathalskich niewolników, sztywnych i wyprężonych, leżało już na ich końcu barki. Trzeci właśnie przestał krzyczeć i osunął się na pokład - nie wiadomo, żywy czy martwy.

Jeden z akolitów skinieniem nakazał wyprowadzić kolejnego niewolnika. Nathalscy więźniowie z lękiem cofnęli się w głąb klatki;

strażnicy kopniakami utorowali sobie drogę i szorstko chwycili ofiarę. Tym razem wybrali kobietę w średnim wieku, w pięknej jedwabnej sukni, podartej i brudnej po długim pobycie w niewoli. Nie wyrывała się. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie wiedziała, co się z nią dzieje. Obok jakaś młoda, rudowłosa dziewczyna krzyczała i chwytiała towarzyszkę za rękę.

Akolita kopnął ją i odsunęła się, jęcząc. Zanim wywlekli z klatki starszą kobietę, zdarli jej z szyi kosztowne ozdoby i rzucili jej do stóp, gdzie przez chwilę błyszcząły obok łańcucha, którym skuto jej nogi. Pozostali niewolnicy przyglądali się temu z mniejszym lub większym współczuciem, choć głównie z ulgą, że to nie ich wybrali strażnicy. Poczucie wstydu ogarnęło wszystkich w klatce; ludzie nie śmieli spojrzeć sobie w oczy.

Ale kobieta nie była tak bezradna, jak się wydawało. Kiedy akolici prowadzili ją na dziób, potknęła się, wyrwała z ich uścisku i pobiegła chwiejnie do burty. Któryś spróbował ją zatrzymać, ale się spóźnił - wypadła na zewnątrz, z głośnym pluskiem uderzyła o wodę i natychmiast poszła na dno, pociągnięta ku śmierci przez kajdany na nogach.

Rudowłosa dziewczyna szlochała, patrząc, jak jej matka znika za burtą. Jedynie słaby, zwierzęcy skowyt wydobył się z jej krtani - tylko tyle emocji jej pozostało. Nie zauważyła nawet, że drżącymi dłońmi wyrывa z pokrwawionej głowy kępki włosów. Umysł stracił kontakt z ciałem, chociaż nadal zachował zdolność myślenia - w pewnym sensie. Myślał: moja mama już nie żyje, mój ojciec nie żyje, mój ukochany Marth nie żyje i ja też już nie żyję, nic, nic nie żyje...

- Och, Erēs! - zapłakała w myślach, gdy nagle wyobraziła sobie, jak matka walczy o oddech w lodowatych głębinach jeziora. Mamo, mamo kochana...

By przestać myśleć o tych strasznych rzeczach, zaczęła uderzać głową o pręty klatki, raz za razem. Jakaś kobieta obok próbowała ją pocieszyć i objęła za ramiona. Szepcząc uspokajająco, ścisnęła ją mocniej i mocniej, jak gdyby chciała ratować je obie, by nie rozpadły się ze strachu.

Zrób to samo, radziła Riannie jakaś przytomna jeszcze część umysłu. Rzuć się do wody, kiedy tylko wyjdiesz z tej klatki...

Nie, zaprotestował inny głos. Nie zasługujesz na taką czystą śmierć. Oni wszyscy umarli przez ciebie... bo zwróciłaś na siebie uwagę tego młodego kapłana i sprawiłaś, że cię zapragnął...

- Mamo! - zaskomlała głośno i w jej myślach zapanował chaos.

Musiała wyrwać się z tego koszmaru. Musiała się obudzić i uciec do własnego świata, który znała.

W pewnym sensie jej życzenie zostało spełnione: zemdlała, zapadając w słodką ciemność.

Kiedy odzyskała przytomność - chyba niedługo później - wciąż tuliła się do prętów klatki, wśród innych więźniów. Zakrztusiła się, kiedy na nowo uświadomiła sobie całą grozę sytuacji. Z trudem chwytła powietrze.

Mogła się załamać, całkowicie stracić rozum - ale zauważyła, że w dłoni zaciska przedmiot zwisający z jej szyi.

Bez zastanowienia drugą ręką odgięła pobielające palce i spojrzała na niewielki wisior. To pieczęć, uświadomiła sobie, wpatrując się w nią tępo, bo do tej chwili o niej nie pamiętała.

Pieczęć, którą kupił jej ojciec na szesnaste urodziny - jak zawsze martwił się o bezpieczeństwo rodziny.

Rianna była oburzona, kiedy pierwszy raz zmusił ją do noszenia pieczęci - była tak samo obrzydliwa w dotyku, jak z wyglądu. A wystraszyła się jeszcze bardziej, kiedy obudziła się tej pierwszej nocy i odkryła, że pieczęć żyje, że oddycha na jej piersi.

Jednak ojciec był niewzruszony. Jestem najwyższym kapłanem tego miasta, przypomniat jej. Wielu chciałoby mnie zobaczyć martwego, a jeśli nie potrafią osiągnąć mnie, zawsze mogą uderzyć w moją rodzinę. Zawsze musisz nosić tę pieczęć, choćby tylko dla własnej obrony.

Kłóciła się z nim, narzekała, że wygląda okropnie, potem płakała, że to niesprawiedliwe, bo przecież on nie nosił żadnej pieczęci i mama też nie, więc czemu ona? Jednak ojciec pozostał nieugięty: mama bierze przykład ze mnie, wyjaśnił; zakon Mann nie pozwala mi nosić takich rzeczy, byłoby to uznane za słabość.

Siedział przy jej łóżku i czekał, aż przestaną płynąć łzy.

Pilnuj tej pieczęci, upomniał ją. Teraz jest z tobą związana. Jeśli zginie, ty również.

Poraziła ją myśl, że jest na zawsze połączona z tym paskudztwem. Niechętnie zgodziła się ją nosić, choć zawsze starała się ukrywać pieczęć pod ubraniem. Ojciec gniewał się, twierdząc, że nikogo nie powstrzyma, jeśli nie jest widoczna.

Ale czy taki talizman powstrzyma tych kapłanów z Q'os, zastanawiała się Rianna, kiedy pieczęć pulsowała jej w dłoni jak żywe stworzenie. Pieczęć to pieczęć, prawda? Przecież nawet ci kapłani Mannu zapłacą za jej śmierć, jak każdy?

To była jej szansa na przetrwanie, uświadomiła sobie, i poczuła wyrzuty sumienia.

Ale gdyby zerwała teraz pieczęć i odrzuciła tak, by nikt tego nie zauważył? Przecież nie trzeba mieć jej na szyi, żeby dowiedziała się o śmierci właściciela - były połączone niezależnie od tego, jaka odległość je dzieli.

A gdyby tak ją ukryła i pozwoliła tamtym robić, co zechcą? Jeśli odbiorą jej życie, nastąpi wendeta. Z pewnością ktoś zemści się na tych bestiach za śmierć jej najbliższych.

Rianna jęknęła głośno. Nie wierzyła, że znajdzie w sobie dość odwagi na taką ofiarę.

I nagle wydało jej się, że ten wybór jest jeszcze gorszy od niedawnego braku wszelkiej nadziei. Leżała nieruchomo, rozdarta wewnątrz, na granicy utraty zmysłów.

I wtedy po nią przyszli.

- Cicho! - krzyknął zamaskowany akolita, wywlekając ją na plecach na drugi koniec barki.

- Czekaj! - zawołała. - Jestem chroniona, nie widzisz?

Ale akolita nie widział, bo było za ciemno, a on był zbyt rozgorączkowany. Rzucił ją na deski pokładu obok jednego z żelaznych koszy; zauważyła błysk stali, kiedy wyciągnął nóż.

Przejechał klingą wzdłuż jej pleców, rozcinając suknię od szyi do talii. Potem przycisnął ją do pokładu, wbijając kolano między łopatki. Zbliżył się inny, niosąc coś w przezroczystym szklanym słoju. Pochylił się i pokazał jej, że to robak: tłusta i obrzydliwie biała potworność, która wiła się i próbowała wyrwać ze szklanego więzienia.

- Czekaj! - krzyknęła znowu, kiedy akolita przechylił słoje i

przycisnął otwarcie do jej nagich pleców.

Wtedy zaczęła przeklinać ojca - z całą pasją, jaką w sobie czuła, za to, że związał siebie i całą rodzinę z tymi ludźmi, z tą obsceniczną religią. Co on sobie myślał? Jakie zbrodnie popełnił w imię Mannu?

Wrzasnęła - ból był nie do zniesienia. Ale gorsze, o wiele gorsze było poczucie, że robak wgryza się w jej ciało.

Akolici ją puścili. Rianna próbowała się poderwać, sięgnąć do rany na plecach. Trafiła palcem do otworu i wbiła go głębiej, szukając intruza...

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego: nagle opuściły ją siły. Osunęła się na pokład, obok trojga leżących tam niewolników; dyszeli ciężko, bezradni, a na ich twarzach błyskały tylko białka oczu. Rianna także nie mogła się ruszyć, nie mogła wydobyć głosu. Leżała tylko i czekała, co zdarzy się za chwilę.

Akolici sprowadzali kolejnych niewolników i każdemu z nich podawali robaka. Już wkrótce przynajmniej kilkunastu ludzi leżało sparaliżowanych na deskach pokładu. Nastrój paniki narastał wraz z przyspieszonym rytmem bębna, a para kapłanów pożądliwie obserwowała ofiary. Wymieniali jakieś uwagi, gładząc swoje ciała; od czasu do czasu wdychali opary z naczynia zawierającego płynny narkotyk; drobne złote łańcuszki ozdób na twarzy wisiały tuż nad jego powierzchnią.

Ceremonia zaczęła się od zamordowania jednego niewolnika, starszego mężczyzny z kataraktą. Naga kapłanka, której wyschłe piersi zwisały nisko, pochyliła się nad nim i uderzyła nożem.

Natychmiast napięcie wzniosło się na wyższy poziom. Całkiem jakby kapłanka przebiła nie tylko ciało ofiary, ale też abstrakcyjną barierę, powłokę świata, rozciągającą się nad wszystkim, co żyje, osłaniającą ludzkie oczy przed rzeczywistością pozbawioną wszelkiego człowieczeństwa, bezgraniczną i obcą. Krzyk konającego człowieka rozdarł nocną ciszę, a sparaliżowani niewolnicy zrozumieli, co ich czeka. Patrzyli nieruchomo, jak starzec dygocze na pokładzie, jak rżąc, wydaje ostatnie tchnienie, jak krople krwi pojawiają mu się na wargach.

Ale to zabójstwo było jedynie początkiem.

Stara kobieta zwróciła się do młodszego kapłana, Kirkusa, który z



drżeniem wpatrywał się w nóż w jej pokrwawionych rękach. Kapłanka skierowała wzrok ku młodej dziewczynie po lewej ręce Rianny. Przeszyła ją spojrzeniem.

- Wstań - rzuciła i skinęła głową.

I nagle dziewczyna odzyskała zdolność ruchu. Podniosła się niezgrabnie... a potem, bez żadnego ostrzeżenia, rzuciła się do relingu.

- Stop! - zawołała stara czarownica.

Dziewczyna opadła na kolana; nogi się pod nią ugięły.

- Teraz ty spróbuj - poleciła kapłanka wnukowi.

Kirkus spojrzał na grubego mężczyznę, wciąż noszącego poplamiony krwią fartuch rzeźnika.

- Chodź tu - rozkazał.

Rzeźnik usiadł, stękając głośno. Spojrzał w stronę dalekiej burty, a potem na Kirkusa.

Wstał niepewnie... i nagle warknął chrapliwie, i skoczył na młodego kapłana. Mimo swej tuszy, poruszał się błyskawicznie.

- Stop! - rozkazał Kirkus, ale tamten chwycił go już za gardło i kiedy ugięły się pod nim nogi, ściągnął Kirkusa na deski.

- Skup się, idioto - rzuciła drwiąco kapłanka.

Kirkus dławił się i szarpał, próbując się uwolnić.

- Przestań! - rozkazała kapłanka.

Gruby rzeźnik zwolnił uchwyt i klęcząc, oparł dłonie o pokład. Ryczał wyzywająco w stronę desek, które miał przed nosem.

- Przypuszczam, że był żołnierzem - zauważyła starucha.

- Wiem - odparł zirytowany Kirkus, rozcierając obolałą szyję. - Ma tatuaż na ramieniu.

- Ach... Nathalski marines...

Stanęła za weteranem. Jak w szpony chwyciła go za głowę i szarpnęła do tyłu, aż wyprostował się na kolanach.

- Twoje oczy - szepnęła mu do ucha. - Wydłub sobie oczy.

Mężczyzna zaklął, ale ręce uniosły się mimo woli i sięgnęły do twarzy. Drżały od wewnętrznego konfliktu woli, jednak nie zdołał ich powstrzymać - zakrzywione palce wbiły się w oczodoły i szarpnęły.

Wydał z siebie chrapliwy jęk, ale - choć trudno uwierzyć - nie krzyknął, kiedy gałki oczne wysunęły się niczym dwa ugotowane

jajka i zawisły na policzkach.

- Podobny raczej do tłustej świni na rzeź - stwierdziła i pozwoliła mu upaść na pokład.

Kirkus raz jeszcze głośno wciągnął opary ze swojej narkotycznej misy. Starucha stanęła przy nim i pogładziła go po brzuchu.

Rianna patrzyła, szeroko otwierając oczy. W głębi umysłu głośno krzyczała.

- Rób co chcesz - powiedziała stara czarownica. - Dzisiaj w nocy musisz pozbyć się wszelkich skrupułów, jakie wciąż jeszcze w tobie drzemią.

Młody kapłan się zawahał. Przyjrzał się ułożonym na deskach niewolnikom, potem znowu odetchnął narkotycznym oparem.

- Nastaw się odpowiednio - poradziła starucha. - Przed nami cała noc. Jak mówię: wszystko, na co ci przyjdzie ochota.

Spojrzał na Rianne, a ona spróbowała odwrócić wzrok. Ale jej ciało już nie należało do niej, oczy nie chciały się zamknąć na dłużej niż mgnienie.

Kirkus oddał misę kapłance i podszedł do Rianny. Z jej krtani nie wydobył się żaden dźwięk.

Drżące dłonie zerwały z niej strzępy sukni. Jego twarz była jak maska, gdy patrzył na falowanie jej białych piersi, na nabrzmiące z przerażenia sutki. Pieczęć leżała pomiędzy jej piersiami i pulsowała, jak zawsze. Popatrzył na nią z uwagą, początkowo zaskoczony - ale zaraz pojawiło się zrozumienie.

Wyszczerzył zęby i kłapnął nimi. Z początku myślała, że chce ją ugryźć, ale on gwałtownym szarpnięciem zerwał pieczęć. A potem wypluł ją do ognia w żelaznym koszu.

- Ciało jest silne - szepnął, zionąc jej w twarz cuchnącym oddechem.

Ale wtedy Rianna już umierała.

## ROZDZIAŁ 12

### Wendeta



- Dokąd idziemy? - zapytał Nico, idąc za Ashem przez zachodnie skrzydło klasztoru, głównym korytarzem wyłożonym tikowymi panelami, a potem schodami w dół do ciemnej piwnicy, między skrzynie, beczki i zapasy. Ash przeszedł cicho na środek drewnianej podłogi; w świetle samotnej lampy pod sufitem jego sylwetka rzucała długi cień. Nico zatrzymał się u jego boku i spojrzał pod nogi.

Starzec wyjął spod szaty klucz - cienki jak gwóźdź, z precyzyjnymi nacięciami na jednym końcu. Schylił się i wsunął go do otworu w podłodze, którego Nico wcześniej nie zauważył.

Przekręcenie, szcęknięcie... i nagle Ash podniósł klapę w podłodze, odsłaniając kamienne stopnie. Dmuchnęło stęchłe powietrze.

Zeszli w milczeniu.

Dwanaście stopni niżej dotarli do niskiego, wilgotnego tunelu; ruszyli nim w stronę światła na drugim końcu.

- Nazywamy to domem strzeżenia - tłumaczył cicho Ash. Skinął głową dwóm długowłosym Rōshunom, którzy klęczeli plecami do siebie w jasno oświetlonej krypcie.

Przez biały tynk sklepienia nad ich głowami przebiegał się tu czy tam jakiś korzeń i zwisał, jakby zagubiony w zadymionym powietrzu. Sklepienie łączyło się z kolistą ścianą, pokrytą taką samą smutną, wilgotną bielą.

Niezliczone latarnie oświetlały tę ścianę, pokrytą rzędami identycznych wnęk. Wewnątrz niektórych Nico dostrzegł znajome kształty zawieszonych na hakach pieczęci. Było ich tu chyba tysiące.

To, co powinno być uroczystym doznaniem - znaleźć się pod ziemią w otoczeniu takiej mnogości pieczęci - wydawało się jednak niesamowite i nierzeczywiste, ponieważ wszystkie te pieczęcie się poruszały. Nico przyjrzał się bliżej. Potrzebował długiej chwili, jak gdyby rozum odmawiał zobaczenia rzeczy takimi, jakimi są... ale nagle cała scena nabrała sensu i zrozumiał, że w równym rytmie, mniej więcej pięć razy na minutę, tysiące pieczęci wciągają i wypuszczają powietrze niczym maleńkie skórzaste płuca.

Wszystkie oprócz jednej.

Stanęli przed nią. Nico słyszał własny głośny oddech, gdy mistrz tymczasem tłumaczył spokojnym głosem, jak pieczęć umarła nocą i jak miał nadzieję, że to tylko przypadkowa albo naturalna śmierć, a nie morderstwo, wymagające pomsty. Po czym Ash zdjął pieczęć z haka i wyszedł z domu strzeżenia, a Nico pomaszerował za nim.

Szybkim krokiem wyszli z klasztoru.

- Dokąd idziemy? - zapytał Nico, kiedy ruszyli ścieżką w górę doliny.

- Spotkać się z pewnym człowiekiem - odparł Ash. - Człowiekiem, do którego już dawno powinienem cię zaprowadzić.

- Więc czemu nie zaprowadziłeś?

Starzec przeskoczył nad niewielkim osypiskiem i szedł dalej w milczeniu. Nico maszerował za nim, przyspieszając kroku, by nadążyć; suche trawy czepiały się jego nóg.

- Co to za człowiek? - zawołał.

- Wróż. Odczyta nam tę pieczęć i powie, co zdarzyło się w nocy.

- Więc to prawda, co mówią inni uczniowie? - wysapał Nico. - Że to czarownik?

- Nie. Wróż po prostu rozumie subtelną mądrość rzeczy. Przy odpowiedniej technice i wielkim spokoju, potrafi dokonywać rzeczy, które innym udają się tylko przypadkiem. Albo wcale.

- Nie rozumiem.

- Wiem.

Przez chwilę podążali wzdłuż strumienia, po czym skręcili w bok,

przez podmokły grunt, który wsysał ich sandały. Ash maszerował dalej bez wysiłku, jakby wyszedł na przedwieczorny spacer. Nico obok zaczynał się już pocić.

- Wróż jest najwartościowszym członkiem naszego zakonu, chłopcze. Pamiętaj o tym, kiedy przed nim staniesz. Nasza tradycja, nasza historia, wszystko jest przekazywane przez jednego Wróża następnemu. Bez Wróża bylibyśmy ślepi, bez kierunku. On jeden potrafi zajrzeć do serca pieczęci i wyczytać to, czego musimy się dowiedzieć. Potrafi również zajrzeć do serca nowicjusza i osądzić, czy jest godny. W pewnym sensie tak postąpi i z tobą.

- Mam zostać osądzony?

- Nie będziesz tego wiedział. Skoncentruje się przede wszystkim na pieczęci.

- Nadal wygląda mi na czarownika.

- Nie ma żadnych czarów, chłopcze. To, co robi Wróż, jest całkowicie naturalne.

- Na bazarze w Bar-Khosie widziałem kiedyś człowieka, który potrafił ustać głową w dół, na własnych wargach. Robił nawet takie jakby pompki, kiedy ściągał wargi na ziemi. Jeśli to nie są czary, to nie wiem już, czym mogłyby być.

Ash pokręcił tylko głową.

- Wróż jest tym, kogo wy, Mercjanie, nazywacie człowiekiem wybitnie uzdolnionym.

Nasi Wróże nie zawsze tacy byli, ale ten... Ten posługuje się nauką, nie tylko intuicją. Kiedy pierwszy raz przybyliśmy tutaj, do Midérēs, usłyszał o Zanzaharze i wielu rzeczach importowanych z Niebiańskich Wysp. Wyruszył do miasta, by je przestudiować, choć nie zawsze było jasne, czemu miałyby służyć. Na przykład nasiona mali... W tamtym mieście sprzedawali je jak rzadkie talizmany, zdolne wiązać się z właścicielem. W pewien sposób magazynują w sobie życie człowieka, więc potem, używając pewnych technik, właściciel może na nowo przeżywać w snach najciekawsze wydarzenia, które sam wybiera. To właśnie Wróż odkrył, jak dzielić te nasiona na bliźniacze pary, dzięki czemu możemy je wykorzystywać do swoich celów. W pewnym sensie to on wynalazł pieczęcie.

- A jak wcześniej prowadziliście wendety?

- Z wielkimi trudnościami. - Ash obejrzał się na swojego ucznia. Jakby iskra pojawiła się w jego wzroku, jakaś energia, od dłuższego czasu nieobecna. - Twoje rany ładnie się zagoiły - zauważył.

- Owszem - przyznał Nico.

To była prawda. Rany zadane przez Aléasa okazały się drobnymi nacięciami, niewymagającymi nawet szycia. Nico obłożył je woskiem, jak sugerował sam Aléas, dzięki czemu nie spuchły, ale przez kilka dni pozostały czerwone i czyste, aż zablizniły się, a najbardziej dokuczliwe okazało się bezustanne swędzenie. Kiedy Nico zobaczył potem swoje odbicie w jednym z kuchennych okien, całkiem mu się spodobał ten widok. Z drobnymi bliznami wydawał się starszy.

Wróż mieszkał samotnie w niewielkiej chacie w górnej części doliny. Chata stała na trawiastym wzgórku w zakolu niedużego, spienionego potoku, który płynął między zielonymi od wodorostów skałami. Drzewa osłaniały ją od wiatru - sękate kloszowce w pełnym rozkwicie i duża wierzba płacząca, której gałązki zanurzały się w wodzie i kołysały w nurcie.

Sama chata była zaledwie szalasek z wyciętym w ścianie prostokątnym otworem, który wychodził na potok; służył jako okno i drzwi jednocześnie.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - przypomniał Ash, kiedy się zbliżyli.

Nico wszedł za nim do wnętrza. Przez chwilę, stojąc we wpadającym przez otwór przymglonym świetle słońca, zastanawiał się, czy na pewno trafili we właściwe miejsce.

Na samym środku małego pomieszczenia Wróż siedział ze skrzyżowanymi nogami na trzcinowej macie. Oczy miał przymknięte. Był bardzo stary i wychudzony, z mleczną błoną na przesłoniętych częściowo oczach, i skórą pomarszczoną jak owoc, który zbyt długo leżał na słońcu. Także pochodził z dalekich krain i jego ciemna cera wyraźnie kontrastowała z kępkami białych włosów w uszach i nozdrzach. Czaszkę miał łysą. Rytualnie okaleczone małżowiny zwisały niemal do ramion - Nico nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział.

Z rozdziawionymi ustami odwrócił się do Asha i odkrył, że jego mistrz klęczy na ziemi.

Skinieniem głowy nakazał Nicowi, by także uklęknął.

Wiekowy starzec przypatrywał się chłopcu w milczeniu, w sposób, jaki przypominał Nicowi jednego z matczynych kotów - jakby patrzył na coś, czego nawet tam nie ma. Po chwili zamrugął wolno i rozciągnął wargi w uśmiechu, odsłaniającym bezzębne dziąsła.

Skinął głową, jak na powitanie - zdawało się, że cieszy się na widok młodego człowieka. A przynajmniej jest rozbawiony.

Spowaźniał, kiedy zwrócił się do Asha, który bez słowa włożył martwą pieczęć w drżącą dłoń starca.

Czekali. Zabrzmiała inkantacja, kiedy Wróż zanucił w mowie dalekich krain, drapiąc się przy tym, jakby pchły załęgły się w jego szacie. Po chwili zamilkł i siedział w absolutnym bezruchu, z zamkniętymi oczami. Od czasu do czasu mucha lądowała mu na łysinie, pokrytej wątrobowymi plamami. Nico miał wrażenie, że znowu znalazł się na „Sokole” i ćwiczy medytację; nie potrafił się wtedy uspokoić, a drobne dolegliwości stawały się nie do wytrzymania. Prawdę mówiąc, teraz również usiłował zapaść w medytacyjny trans, jednak bezskutecznie, gdyż zbyt się niecierpliwił i chciał jak najszybciej wiedzieć, co będzie dalej. Z roztargnieniem przygryzał dolną wargę i wpatrywał się w plamy wilgoci na deskach przeciwległej ściany.

Ogarnęła go błogosławiona ulga, kiedy Wróż przerwał wreszcie milczenie, mlasnął wyschniętymi wargami i odsunął od siebie trzymaną w dłoniach martwą pieczęć.

- *Shinshō ta-kana...* - wyrzucił piskliwym głosem. - *Yoshi, linaga!*

Po czym ze smutkiem kiwnął głową.

- Morderstwo - przetłumaczył Ash poważnym tonem.

Tego wieczoru, kiedy skończyła się kolacja w wielkiej jadalni, zajmującej dużą część północnego skrzydła klasztoru - kiedy zajaśniały świece, przybladło bowiem światło wpadające przez liczne okna, nagłe dzwonienie widelca o szkło uciszyło wszystkie pogawędki.

Nico uniósł głowę znad stołu, gdzie siedział z innymi uczniami, wciąż przeżuwając ostatni kęs ryżowego ciasteczka. Aléas przerwał rozmowę z nim i także spojrzął. W głębi sali wolno wstał pomarszczony starzec z dalekich krain. Był starszy od Asha, choć nie

tak wiekowy i pomarszczony jak Wróż. Nico wiedział, że to Oshō - przywódca zakonu, człowiek, który założył ten klasztor w górach Cheem. Widział go już kilka razy, jak utykając, chodził po korytarzach; nigdy jeszcze nie słyszał, jak mówi.

Głos starego Rōshuna odbijał się dźwięcznym echem od ścian sali.

- Przyjaciele - zaczął, zwracając się do zwróconych ku sobie twarzy.  
- Dziś w nocy na nasze barki spadło zadanie wyjątkowej natury. Jeden z naszych klientów podążył Wysoką Drogą. Wróż informuje, że było to morderstwo. Zdradził nam także, dzięki swojej mądrości, kto jest odpowiedzialny za ten czyn. - Oshō przerwał i wpatrywał się w oblicza kolejnych osób, jakby oceniał ich skupienie albo inną cechę, którą on jeden potrafił dostrzec. - Dzisiaj musimy ogłosić wendetę przeciwko kapłanowi Mannu. Ale nie zwykłemu kapłanowi. Nie; życie jak zwykle nie chce być takie proste. Dzisiaj ogłaszamy wendetę przeciw Kirkusowi dul Dubois, synowi Sasheen dul Dubois, Świętobliwej Matrony Mann.

Wokół zabrzmiały pomruki zaskoczenia. Nico zerknął dyskretnie w stronę Asha, który siedział przy tym samym stole co przywódca. Ash z obojętną miną sączył wodę z pucharu.

- Wiele razy prowadziliśmy wendetę przeciwko obywatelom Imperium, ale nigdy przeciw komuś o tak wysokiej pozycji. Jeśli uczynimy to dzisiaj, może to zagrozić naszemu zakonowi.

Kirkus zdawał sobie sprawę, że ofiara nosi pieczęć, a zatem jest przez nas ochraniająca.

Imperium musi wiedzieć, że podejmiemy przeciw niemu wendetę. Bez wątpienia zrobią wszystko, co w ich mocy, by nas powstrzymać. Jak podejrzewam, spróbują całkowicie nas zniszczyć. Chodzi przecież o jedyne potomka samej Matrony.

Zamyślił się na chwilę.

- Uważam - podjął - że ich pierwszą reakcją będzie namierzenie naszych agentów rozproszonych w portach wokół Midèrès, w fałszywym przekonaniu, że nasi ludzie w miastach wiedzą coś o lokalizacji klasztoru. Ponieważ nie mamy innego kontaktu z klientami niż za pośrednictwem agentów, na razie Mannijczycy nie mogą zrobić nic więcej. Dzisiaj wydałem już polecenie, żeby wysłano do nich ptaki pocztowe, ostrzegające, by zachowali czujność.



Rozejrzał się.

- Chodzi o sprawę wielkiej wagi dla nas wszystkich, postanowiłem więc przemówić tutaj, kiedy zbieramy się razem przy skromnym posiłku. Każdy z nas musi być świadom tego, czego się dzisiaj podejmujemy. Nie wskazuję więc nikogo, by wyruszył z wendetą. Zamiast tego proszę o trzech ochotników.

Moment przerwy... i na środku sali zgrzytnęło krzesło, wstał jakiś człowiek i złożył ręce przed sobą. Niemal równocześnie jeszcze kilkunastu Rōshunów poderwało się z miejsc.

- Dziękuję wam. - Oshō się uśmiechnął. - Spójrzmy teraz, kogo tu mamy... Ach, Anton, ty pójdziesz. I Kylos z małych wysepek... A ty... tak, Baso, widzę cię... ty pójdziesz także.

Dobrze; troje z naszych najlepszych.

Pozostali usiedli i tylko ta trójka stała ponad morzem głów.

- Obawiam się, że musicie wyruszyć jeszcze tej nocy - mówił dalej Oshō. - Już teraz może być za późno, by dotrzeć do Kirkusa dul Dubois, zanim zdoła powrócić do Q'os, ale musimy się spieszyć, żeby zdążyć i nie dać Imperium czasu na przygotowanie się na nasz odwet. Gdyż odwet jest konieczny mimo oczywistego ryzyka dla naszego zakonu.

Pamiętajcie, dziś zginęła niewinna kobieta, dziś młody kapłan odebrał jej życie. Choć raz... a wszyscy wiemy, jak rzadko się to zdarza... jasna jest słuszność naszych działań. Tym razem nie ścigamy zabójcy bogatego zbója, czy patrycjusza, który przyłapał brata śpiącego z jego żoną, ani kobiety zmuszonej do działania, która nie miała żadnej rozsądnej alternatywy. Nie ma tutaj szarości, która tak często się pojawia i za którą tak często szukamy wybaczenia w godzinach skupienia.

Głowy pochyliły się na znak aprobaty - choć z jednym wyjątkiem. Siedzący obok Asha Baracha wyglądał na zaniepokojonego i wyraźnie chciał zabrać głos.

- Wyruszamy łowić prawdziwego potwora. Musimy dotrzymać przysięgi i dotrzynamy jej, niezależnie od kosztów. Gdyż zaprawdę, jeśli my, Rōshun, mamy mieć jakąś wartość dla świata, musimy wykazać to teraz. To jest ta chwila.

Skłonił głowę.

- To wszystko.

- To niedobra sprawa - oświadczył przywódca zakonu Rōshun następnego ranka, siedząc w swoim fotelu w gabinecie na szczycie klasztornej wieży. Mówił w ich rodzinnym honshu, o sylabach ostrych i urywanych, jak zwykle kiedy byli sami.

Ash, siedzący przy oknie po drugiej stronie pokoju, nie odpowiedział.

- Podejmując tę wendetę, rzucamy wyzwanie całemu Imperium - ciągnął Oshō. - Mam nadzieję, że nie doprowadzi nas to do zguby.

- Mieliśmy już potężnych przeciwników, mistrzu - przypomniał Ash.

- Tak. I straciliśmy wszystkich.

Mięsień na policzku Asha drgnął nerwowo.

- Może wtedy nie było innego wyboru - rzekł. - Tak jak nie ma teraz. Co innego możemy zrobić niż wypełnić przysięgę, działać według naszego Cha?

Cha... to interesujące słowo. W powszechnym języku handlowym trzeba było wielu innych, by go przełożyć - takich jak „centrum” albo „spokój”, albo „czyste serce”.

- Cha... - powtórzył w zadumie Oshō. Uśmiechnął się lekko z wyraźną ironią. - Moje Cha zawsze wydaje mi się całkiem oczywiste, kiedy kroję ser, piję chee albo puszczam wiatry w swoim starym łóżku. Ale kiedy siedzę tak i rozważam kwestie, wpływające na przyszłość samego klasztoru, i liczne zagrożenia, które muszę uwzględnić dla dobra naszej wspólnej przyszłości, Cha zaczyna mętnieć od niepewności. I wtedy zastanawiam się, czy przypadkiem nie zgubiłem drogi.

- Bzdura - burknął Ash. - Wczoraj wieczorem wyjaśniłeś nam, czemu musimy przystąpić do tej wendety, niezależnie od konsekwencji. Twoje działania rozstrzygnęły sprawę. Jakiej jeszcze pewności oczekujesz?

Oshō westchnął. Odpowiedział wolno, jakby zwracał się do siebie.

- A przez cały czas się zastanawiałem, czy moje słowa nie doprowadzą do kolejnej masakry, a przynajmniej, czy znowu nie zostaniemy wygnani z naszego domu.

Ash wyjrzał przez okno. Dzisiaj czuł się zmęczony, jak niemal

każdego dnia w klasztorze, gdyż bóle głowy zdarzały się coraz częściej i źle sypiał. Spodziewał się czegoś takiego. Często, kiedy podążał za wendetą, ciało jakby czekało, aż wróci do bezpiecznej przystani, nim pozwoliło, by rany czy choroby naturalnie się rozwijały.

Mieszkając w klasztorze, zwykle zadowalał się własnym towarzystwem. Jednak od ostatniego powrotu izolował się chyba jeszcze bardziej. Kiedy czuł się lepiej, ćwiczył za murami albo wyruszał na długie spacery po górach, unikając innych, których zauważał na takich wycieczkach - w tym również swojego ucznia. Na ogół jednak przebywał samotnie w swojej celi, spał, kiedy potrafił zasnąć, albo czytał poezję starego kraju. Najczęściej po prostu medytował. Nie chciał, by inni członkowie zakonu zauważyli, że jest chory.

- Nie na takiej pewności mi zależy - odparł Oshō. - W życiu byłem nie tylko zwykłym Rōshunem. Dowodziłem armiami na polu bitwy, pamiętasz? Prowadziłem flotę przez wielki ocean burz. Mój drogi Ashu, kiedyś zabiłem nawet władcę w przypadkowym starciu, które trwało przez całe trzy sekundy. Nie, to nie pewności działania mi brakuje czy kiedykolwiek brakowało. Myślę, że może utraciłem Chan i obawiam się, że przez to moim decyzjom brakuje mocy.

Kolejne interesujące słowo: Chan. Podobnie jak Cha, w handlowym może znaczyć wiele rzeczy: pasję, wiarę, miłość, nadzieję, sztukę, brawurę... Czasami mogło oznaczać też tajemniczo chytre drogi Błazna. Tak naprawdę, stanowiło zewnętrzną manifestację Cha w działaniu.

- Zmęczyły mnie już te sprawy, to wszystko. Zbyt wielką część swojego życia przeżyłem jako Rōshun; żołnierz, generał, nic więcej. Takie życie stało się prawie niewarte oddechu.

Kiedy nadejdzie czas, oddam wodze w ręce Barachy. Jest sprytniejszym politykiem ode mnie, nawet jeśli jego Cha nie jest jasne.

- Phi... Gdyby to on dzisiaj rządził, negocjowalibyśmy z Mannijczykami i omawiali warunki zapłaty za życie tego młodego kapłana.

- Może więc Baracha jest mądrzejszy, niżby wskazywały jego lata. Kto może powiedzieć, że to błąd, jeśli dzięki temu przetrwamy?

Ash poczuł, że krew napływa mu do twarzy, ale milczał.

- Nigdy nie należałeś do Rōshun w starym kraju, Ash, jak ja - mówił dalej Oshō. - Nie wiesz, jak to było. Nie tak naprawdę. Nasi klienci nosili wtedy zwykłe medaliony, żeby wszyscy je widzieli. Kiedy ginęli, gromadziliśmy wszelkie informacje, jakie mogły nas doprowadzić do zabójcy. Wyniki były niepewne, możesz mi wierzyć. Czasami zabijaliśmy niewłaściwą osobę. Często w ogóle nie udawało nam się wyśledzić prawdziwego winowajcy.

Nawet dzisiaj, w Midèrēs, z naszymi pieczęciami i naszymi drzewami mali, sprowadzonymi tu aż z Niebiańskich Wysp, czasami nie udaje nam się dokończyć wendety.

- Tak, ale zawsze próbujemy. To obietnica, jaką składamy.

- Nasza obietnica, fakt - zgodził się Oshō. - Ale w starym kraju ta obietnica była bardziej praktyczna. Wątpię, czy zaryzykowałibyśmy w ten sposób istnienie całego zakonu.

Ash pokręcił głową.

- To możliwe. Ale w tej krainie staliśmy się czymś innym niż ci dawni skrytobójcy.

Pozostajemy odizolowani od światowej polityki, nie staramy się nią manewrować dla własnych zysków. Proponujemy tylko sprawiedliwość tym, którzy jej potrzebują. Jeśli teraz nie podejmiemy ryzyka, to nasza obietnica składana tym ludziom jest pozbawiona znaczenia, my sami jesteśmy pozbawieni znaczenia, a wszystko, dla czego żyliśmy, to tylko pozór.

Oshō rozważył jego argumenty. Zdawało się, że nie może znaleźć w nich luki.

Ash mówił dalej.

- A co ty sam zawsze mi powtarzałeś, kiedy to ja z wielkim niepokojem próbowałem podjąć decyzję?

- Wiele rzeczy, w większości bzdury.

- Tak, ale co powtarzałeś mi raz za razem?

- Ach... - mruknął stary generał. - Uśmiechnij się i rzucaj kośćmi.

- Godna postawa. Zawsze tak uważałem.

Oshō westchnął głośno, ale był to wyraz ulgi, nie zniechęcenia. Usiadł wygodniej w fotelu, spoglądając na stolik do chee ustawiony na środku pokoju - być może obserwował grę światła na jego

powierzchni. Stolik zrobiony był z dzikiego tiku, wyrzeźbiony z desek jednego z tych statków, które trzydzieści lat temu przywiozły tutaj ich obu z Honshu.

Ash obserwował tego starca, którego znał przez tak wielką część swojego życia.

Przywódca zakonu nie był chyba świadomy, że drapie się mimowolnie w lewą nogę. Ash zauważył to jednak i uśmiechnął się do siebie, powstrzymując się od komentarza.

Zdawało się, że dyskusja została chwilowo zakończona. Zapadło przyjazne milczenie - takie, które mogło trwać godzinami i nie wymagało rozmowy. Jakiś brzęk zabrzmiał pod podłogą, daleki i przytłumiony - zapewne ktoś upuścił naręczce ćwiczebnej broni, a może stos talerzy w kuchni. Niedługo obiad, pomyślał Ash, więc raczej talerze. Przez otwarte okno wpadały przyjazne zapachy pieczonego keeshu i mocno przyprawionego mięsa.

Oshō poruszył się w fotelu, zerknął na swoją rękę i odkrył, że drapie się po nodze.

Rozbawiony, cofnął dłoń.

- Od dwudziestu lat chodzę z tą drewnianą nogą, a wciąż mi się zdaje, że naprawdę mnie swędzi.

Ash jednak prawie go nie słyszał. Tępy ból głowy narastał; Ash ścisnął palcami skronie.

- Dobrze się czujesz, stary przyjacielu?

Oshō wstał w milczeniu, poprawił sztuczną nogę i pokuśtykał przez pokój do miejsca, gdzie w słońcu siedział Ash.

- Tak - zapewnił Ash, ale głos mu drżał. Coraz mocniej naciskał palcami skronie, jakby chciał w ten sposób zdusić ból.

- Znowu głowa? - Oshō oparł mu dłoń na ramieniu.

- Tak.

- Czyli ataki się nasilają?

Ash sięgnął pod szatę i wyjął swój mieszek. Rozwiązał go drżącymi palcami i wydobył liść dulce, który włożył do ust, pomiędzy język a policzek.

- Ostatnio są tak silne, że czasem w ogóle nic nie widzę.

Oshō ścisnął go za ramię. Ten gest pocieszenia do niego nie pasował.

Ash wyjął następny liść i umieścił pod drugim policzkiem.

- Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Może Ch'eng?

- Nie, mistrzu. Nie może mi pomóc.

- Proszę, wystarczy już tego mistrza. Już bardzo, bardzo dawno temu przestałeś być moim uczniem.

Ból przycichł z wolna - przynajmniej na tyle, by Ash mógł się uśmiechnąć. Unikał jednak oczu mistrza, które nagle pociemniały i załśniły wilgocią.

- Starzejemy się bardziej, niż nam się wydaje - powiedział, by trochę poprawić im obu humor.

- Nie - odparł Oshō, wracając na swój fotel. - Ty się starzejesz bardziej, niż ci się wydawało. Ja jestem już świadom własnego zniedołężnienia i planuję zrezygnować możliwie szybko, by zachować jeszcze resztkę godności.

- Zastanawiałem się nad tym samym.

Stary generał usiadł i obrzucił Asha wzrokiem, dobrze mu znanym po tylu latach - głowa odchylona, ostre rysy ściągnięte w skupieniu, przymknięte oczy oceniające tego, na którego patrzyły.

- Na to liczyłem, kiedy zobaczyłem cię z uczniem, po tylu latach. Co ci kazało zmienić zdanie?

- Nie zmieniłem zdania. Ale parę miesięcy temu rozmawialiśmy, ty i ja. W mojej głowie.

- Kiedy tkwiłeś w łodzi?

Ash przytaknął.

- W takim razie może było w tym coś więcej. Parę miesięcy temu miałem sen. Było w nim bardzo zimno. Nie sądziłeś, że uda ci się wrócić.

- Nie, nie sądziłem. Ale zaproponowałeś mi układ i obiecałeś, że jeżeli się zgodzę, wrócę żywy do domu. Więc przyjąłem tę propozycję.

- Rozumiem. I na czym polegał ten układ?

- Że nie zakażesz mi pracy, dopóki będę szkolił ucznia.

Oshō parsknął śmiechem.

- Aha, to wyjaśnia sprawę. Tak, to uczciwa umowa. Chętnie jej dotrzymam.

- Dobrze.

- Powiedz mi, w jaki sposób go wybrałeś?

Ash nie był pewien, jak odpowiedzieć. Na chwilę znowu znalazł się w Bar-Khosie; dryfował w snach podczas długiej, gorącej sjeisty, kiedy jakiś młody człowiek wśliznął się do jego pokoju, by ukraść sakiewkę.

Ash śnił wtedy o domu: małej wiosce Asa, wtulonej głęboko w zakręt doliny, gdzie teren opadał rzędem tarasów z poletkami ryżu i jęczmienia, do sięgającej aż po horyzont płaszczyzny błękitnego morza.

Jego młoda żona Butai także tam była. Stała w drzwiach ich chaty z koszem dzikich kwiatów na rękach. Miała dar tworzenia z nich subtelnych perfum, zawsze zaskakujących nowymi aromatami. Obserwowała ich syna, który pewnymi, wprawnymi ruchami rąbał drwa; miał czternaście lat.

Ash pomachał do nich, ale go nie widzieli - śmiali się oboje z czegoś, co powiedział chłopiec. Roześmiana piękna żona wydawała się bardziej dziewczęca niż kiedykolwiek.

I wtedy nagle Ash zbudził się w obcym pokoju, w obcym mieście, w obcej krainie, do obcego życia, które w żaden sposób nie należało do niego... Oczy miał wilgotne od łez, poczucie straty tak silne, jakby to wszystko stało się wczoraj. Ból uderzył w głowę tak mocno, że na moment go oślepił. Krzyknął do kogoś obok, przez chwilę wierząc, że to jego syn... ale już wtedy wiedział, że to nigdy nie będzie jego syn. I nagle ogarnęło go wrażenie izolacji tak silne, że nie mógł się nawet poruszyć. Umrę samotny, myślał; taki jak teraz, ślepy, nikogo nie mając u boku.

- Wydaje się - usłyszał własny głos, odpowiadając na pytanie Oshō - że to on został dla mnie wybrany.

Oshō przyjął to wyjaśnienie, przynajmniej w części.

- Zastanawiałeś się, w jakim celu?

- Nie wiem, ale mam takie wrażenie, jakbyśmy obaj wzajemnie się potrzebowali. Nie wiem, w jaki sposób.

Oshō kiwnął głową z mądrym uśmiechem, ale nie zdradził ani słowem swoich podejrzeń.

Powiedział za to:

- A więc zmieniłeś zdanie i nie chcesz już przejąć ode mnie sterów?

Myślałem, że może byś się zgodził, gdybym dostatecznie długo drażnił cię imieniem Barachy.

Ash nie potrafił dłużej patrzeć mistrzowi w oczy.

- A jaki by to miało sens? Choroba atakuje coraz mocniej i nie sądzę, żeby zostało mi dużo czasu. Wiesz przecież o moim ojcu, a przedtem jego. Kiedy uderzyła ślepotą, odchodzili szybko.

Uśmiech zniknął z twarzy Oshō, ustępując miejsca powadze. Stary mistrz odetchnął gwałtownie.

- Tego się obawiałem - przyznał. - Ale miałem nadzieję, że się mylę. Bardzo mi przykro, Ash. Jesteś jednym z niewielu prawdziwych przyjaciół, jacy mi pozostali.

Na dziedzińcu za oknem odezwał się drozd. Ash spojrzął w tamtą stronę, odwracając wzrok od tego niezwykłego manifestu emocji przyjaciela. Młody Oshō nigdy by się tak nie otworzył - nie ten Oshō, który szkolił Rōshunów w starym kraju, starymi metodami, kiedy tylko nieliczni przeżywali próbę. Ten sam Oshō, który opuścił zakon, kiedy Rōshun stanęli po stronie władców, który potem został żołnierzem, walczył pod Hakk i Ag-sa i jakoś przeżył obie bitwy; potem zdobywał kolejne honory w długiej wojnie z władcami, zyskując sławę i w końcu stanowisko dowódcy w skazanej na klęskę Armii Ludu. Wtedy trudno byłoby sobie wyobrazić, że generał tak otwarcie uzala się nad losem towarzysza. Tym bardziej, kiedy później prowadził ich na wygnanie - jedyny, który potrafił się przebić po wyrwaniu się z ostatniej, śmiertelnej pułapki, która raz na zawsze rozbiła Rewolucję Ludu.

Oshō był wtedy szczupły, silny i wytrzymały - krótko mówiąc, twardy drań. Tylko pod jego dowództwem mogli przetrwać długą drogę do Midèrēs, kiedy większość ludzi we flocie - w tym pogrążony w bólu Ash - marzyła tylko o śmierci po klęsce, po utracie najbliższych, albo poległych w walce, albo pozostawionych za sobą. Kiedy wreszcie dotarli tutaj, do Midèrēs, i niektórzy uchodźcy chwycili za broń, by służyć jako najemnicy Imperium Mann albo przeciwko niemu, Oshō wybrał inną, niepewną ścieżkę - drogę Rōshun.

A teraz siedział tutaj - pomarszczony stary człowiek w pomarszczonym, starym fotelu.



Kępki włosów sterczały z niego i z fotela; i skrzypieli obaj, gdy przenosili ciężar swoich znudzonych od wieku ciał. Pozwolił, by żal swobodnie popłynął z serca, kiedy wreszcie zobaczył przed sobą koniec.

Ash wyjrzał z okna wieży na drzewa mali, rosnące na środku dziedzińca. Widział wśród gałęzi niebieską plamę ptasich piór, wyraźną na tle brązowych liści.

- Smucić się swoim odejściem to smucić się swoim życiem - rzucił Ash.

- Wiem. - Stary dowódca pokręcił głową.

Tak oto dwaj weterani siedzieli w przymglonym świetle słońca, słuchając przez chwilę krótkiej, dźwięcznej piosenki jakiegoś letniego ptaka. Przywołuje samiczkę, pomyślał Ash.

Utraconą partnerkę.

- Chciałbym tylko... - wydobył z siebie Oshō, ale głos mu się załamał i słowa zawisły niewypowiedziane w powietrzu.

- Raz jeszcze spojrzeć na Diamentową Górę - dokończył za niego Ash, recytując stary poemat. - I dotknąć wargami tych, których kocham.

- Tak - szepnął Oshō.

- Wiem, stary przyjacielu.

## ROZDZIAŁ 13

### Serēse



Dziwny spokój ogarnął klasztor po ogłoszeniu przez Oshō wendety i po wyjeździe trójki Rōshunów, którzy mieli jej dopełnić. Wszystkich ogarnęło poczucie celowości, którego wcześniej brakowało. Nawet starsi mężczyźni, którzy więcej czasu poświęcali na pracę w ogródkach niż na ćwiczenia, zaczęli na nowo przypominać sobie dawne umiejętności.

Rōshuni zbierali się w grupki i rozmawiali z powagą. Śmiech rozlegał się rzadziej.

Wszystko to nie miało większego wpływu na uczniów. Nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, a surowy program szkolenia wystarczał, by ich młode umysły koncentrowały się głównie na codziennych sprawach.

Nico niełatwo się zaprzyjaźniał i odkrył, że to się nie zmieniło, nawet w tym klasztorze na pustkowiu. Nieustanne towarzystwo innych po jakimś czasie zaczynało go nużyć, aż szukał przed nim ucieczki, zamykając się w sobie. Wiedział, że przez to wydaje się czasami chłodny i obojętny.

W przeszłości zdarzało się, że małomówność ściągała na niego kłopoty, tu jednak zdawało się, że jest przeciwnie. Inni uczniowie go chyba polubili, rozmawiali z nim i swobodnie żartowali. Wyczuwali jednak dystans, a że poznali go już trochę, widzieli w tym nie

arogancję, ale po prostu chęć, by być samemu. Szanowali to pragnienie, a więc często wykluczali go ze wspólnoty, którą tworzyli. W efekcie nawet kiedy potrzebował towarzystwa, nie potrafił przeskoczyć muru, jaki wyrósł między nim a pozostałymi.

Ironią wydawało się zatem odkrycie, że ktoś jeszcze cierpi na tę samą przypadłość - i że tym uczniem jest Aléas.

Wszyscy lubili Aléasa, jednak był adeptem Barachy, którego nie znosili. Ale chodziło też o jego zachowanie. Młody człowiek był skromny i naturalny, choć pozostali widzieli, jak bardzo jest uzdolniony. To budziło zakłopotanie. Taki talent połączony ze skromnością sugerował - w głębi ich umysłów - że Aléas jest w jakiś sposób lepszy, a zatem oni sami gorsi. A taki układ nie dawał solidnej podstawy do przyjaźni.

A jednak, ponieważ Nico i Aléas nie należeli do grupy, to odosobnienie nieuchronnie ich do siebie zbliżyło. Sugerowało jakieś pokrewieństwo charakterów. Zdarzało się, że obaj młodzieńcy śmiali się głośno z czegoś, co tylko oni uważali za zabawne, albo jeden z nich w gorącej dyskusji odruchowo wspierał argumentację drugiego. Często ćwiczyli razem, z braku innych chętnych. A jednak wciąż zachowywali między sobą dystans, taki jak z innymi uczniami. Nico był trochę onieśmielony talentem kolegi, Aléas stosował się do polecenia swego mistrza, by raczej unikać Nica.

Dla Nica, urodzonego samotnika, życie tutaj nie było takie, jak sądził, choć przecież, gdy tu przybył, nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Jakiegokolwiek miałyby mgliste wyobrażenia o tym niezwykłym miejscu, gdzie ludzie szkolą się na skrytobójców, rzeczywistość okazała się całkiem inna.

Codziennie przez długie godziny siekał mieczem powietrze na placu ćwiczeń, kłuł i dusił wypchane słomą manekiny, krył się przed wyimaginowanym wrogiem, wypuszczał strzały do dalekich tarcz z wymalowanymi postaciami. Jednak tak mocno się koncentrował na osiągnięciu dobrych wyników, na podtrzymaniu swojej reputacji, podejmowaniu nowych wyzwań, jakie przynosił każdy dzień, że rzadko próbował połączyć te ćwiczenia z rzeczywistością, z ich prawdziwym znaczeniem i ze ścieżką, jaką teraz podążał. Albowiem starannie uczono go, by bez wahania i namysłu przekroczył próg.

Pewnego dnia przyjdzie mu z zimną krwią dokonać morderstwa.

Jednak ten dzień był jeszcze daleki, a ćwiczenia uczyniły go w końcu nieczułym na taką perspektywę; ciężka praca zniechęcała do rozważań o tym, do czego to wszystko naprawdę prowadzi. Po pewnym czasie Nico przestał się nad tym zastanawiać.

Miłą niespodzianką było spostrzeżenie, że nie może się doczekać codziennych medytacji.

Sesje odbywały się dwa razy dziennie i trwały godzinę. Niektórym uczniom wciąż sprawiały kłopoty, głównie tym, którzy nadal zachowali inną religię niż daoizm. Nico uważał, że to dziwne, ponieważ wymagano od nich jedynie skupienia na daoistycznych praktykach wewnętrznego spokoju.

Sam nie był głęboko wierzący i rzadko poważnie traktował rytuały wykonywane przez mamroczących niewyraźnie mnichów w zadymionej świątyni, w których uczestniczył, kiedy tylko matka zdołała go tam zaciągnąć. Teraz jednak zaczął z niecierpliwością czekać na te godzinne sesje w spokojnej atmosferze sali chachen, używanej do medytacji, albo na zewnątrz, na dziedzińcu, kiedy sprzyjała pogoda. Religia nie grała tu wielkiej roli, ponieważ Rōshuni nie przejmowali się zbyt mocno doktryną. Po prostu klęczeli, składając dłonie na kolanach i koncentrując się na powolnym wciąganiu i wypuszczaniu powietrza, aż zabrzmiał gong, oznaczający koniec sesji.

Z czasem Nico przekonał się, że coraz łatwiej mu osiągnąć spokój; nauczył się relaksować, nie tracąc przy tym skupienia. Potem był odświeżony i skoncentrowany, lepiej się czuł we własnej skórze.

Minęły tygodnie, nim sobie przypomniał, że powinien napisać do domu. Trochę było mu wstyd, że tak łatwo zapomniał o matce. Swoim nierównym pismem zawiadomił ją, że jest zdrowy, a resztę strony wypełnił opisem bardziej przyziemnych aspektów nowego życia.

Starannie ominął wszystko, co mogłoby sugerować, jak dramatyczne sytuacje mu się zdarzały.

Stary przyjaciel Asha, Kosh, obiecał dopilnować, żeby list został wysłany. Poleciał zabrać go na dół, do Portu Cheem, kiedy kilku Rōshunów wyprawiało się, by uzupełnić zapasy. Tam przekazali go przemytnikowi, który zarabiał na życie łamaniem mannijskiej

blokady Wolnych Portów. Nico miał nadzieję, że list trafi w końcu do matki. Prawdę mówiąc, potem już niewiele o niej myślał.

W każdy Dzień Głupców dostawali wolne i mogli robić, co tylko chcieli. W takie dni, kiedy inni zbierali się w dwu- albo trzyosobowe grupki, Nico porzucał ich żarciki i zabawy, by ruszyć w okoliczne góry i kilka cennych godzin spędzić wśród ich surowego splendoru. To było dla niego jak pożywienie - zostawał sam ze swoimi myślami, które w te dni, po dostatecznie długim marszu, przybierały zwykle mglistą formę - jak wtedy, gdy jako chłopiec wędrował do wzgórz niedaleko ich chaty i spędzał tam popołudnie tylko z Podarkiem. To był czas ciszy, czas ukojenia.

Z wolna zaczynała go opanowywać rutyna życia. Przez pewien czas Nico nie spoglądał ani za siebie, ani naprzód.

Pewnego ranka, jeszcze przed śniadaniem, Nico zauważył idącą przez dziedziniec dziewczynę. Zdumiał się tak, że upuścił na ziemię cebrzyk z wodą. To nie fakt, że była kobietą, zrobił na nim takie wrażenie; nie chodziło też o jej wygląd - prosta czarna szata, włosy w tym samym kolorze, długie i opadające na plecy, opalona twarz o ostrych rysach i wielkich oczach. To raczej sposób w jaki się poruszała, długonoga i swobodna, z widoczną mimo luźnej szaty gracją. To właśnie przyciągało spojrzenia męskich oczu, od dawna tęskniących za takim widokiem.

Nico zapomniał o wiadrze i skoczył za nią; widział, jak wchodzi przez drzwi prowadzące do północnego skrzydła. Szybko wymyślił jakiś pretekst, by iść za nią i sprawdzić, kim jest.

Szybko przebiegł przez drzwi i spojrzał w obie strony. Dziewczyny nie było. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy jej sobie nie wyobraził.

Przez następne dni widział ją kilka razy. Jednak zawsze tylko przelotnie, i zawsze był albo zajęty ćwiczeniami, albo szedł na trening i nie mógł zwlekać. To go rozczarowało i wkrótce zaczął bezustannie się rozglądać w nadziei, że ją zobaczy.

- Kim ona jest? - spytał kiedyś Aléasa przy kolacji.

- Kto? - zdziwił się chłopak, ale zdradził go fałszywie niewinny ton.

- Dobrze wiesz kto! Ta dziewczyna, którą tu widuję!

Aléas rzucił mu drapieżny uśmiech.

- To nie jest zwykła dziewczyna, Nico. To córka mojego mistrza i lepiej trzymaj wzrok od niej z daleka, a tym bardziej ręce. Mój mistrz jest bardzo opiekuńczy.

- Córka Barachy? - Sama myśl o tym była szokująca.

- Nico, czy kogoś lubisz, czy nie, nie wpływa to na jego zdolność płodzenia dzieci.

- Jak ma na imię?

- Serēse.

To było mercjańskie imię... Nico powiedział to głośno.

- To prawda - przyznał Aléas. - Jej matka była Mercjanką. Ale czemu cię to interesuje? A może nie muszę pytać?

- Interesuje? - zdziwił się Nico, odwracając wzrok. Ale po chwili znowu zapytał: - Na długo przyjechała?

Aléas westchnął.

- Ty przebiegły, przebiegły psie! Pozwól, że powtórzę, nawet jeśli mam cię znudzić. To córka Barachy i przyjechała tu na kilka tygodni, żeby odwiedzić ojca. Potem wróci do Q'os, bo tam dla nas pracuje. Jeśli w czasie jej pobytu będzie molestowana czy zaczepiana... a pod pojęciem molestowania rozumiem rozmawianie z nią, patwienie na nią, myślenie o niej, kiedy grzebiesz łapami pod kocem... jeśli jakkolwiek z tych rzeczy zdarzy się między tobą i nią, bądź pewien, że mój mistrz potraktuje nożem twoje jaja. Patrz na niego. Nawet teraz nas obserwuje. Później sobie ze mną pogada za to, że w ogóle z tobą rozmawiam.

Nico się odsunął. Nie wątpił w ostrzeżenia Aléasa.

Mimo to jednak, kiedy Aléas wrócił do jedzenia, Nico rozejrzał się w sali jadalnej w nadziei, że znów ją zobaczy, choć przez chwilę. Był rozczarowany, że mu się nie udało.

Następnego ranka ich drogi wreszcie się skrzyżowały i natychmiast zrozumiał, że to spotkanie było ich przeznaczeniem. Nico wierzył w takie rzeczy.

Był Dzień Głupców, a więc miał wolne. Wchodził właśnie do pralni, żeby wyprać kilka rzeczy, zanim wyruszy na swoją wycieczkę w górę doliny.

Właśnie tam, w parnym powietrzu ogromnego pomieszczenia,

stała ona - wykręcając ostatnią sztukę prania.

Nico znieruchomiał w progu, niepewny, czy iść dalej, czy lepiej odejść.

- Witaj - rzuciła swobodnie, zerkając na niego przez ramię.

Jej ton pociągnął go naprzód. Zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez salę. Zrzucił ubrania obok bulgoczącego nad ogniem kotła, znowu skinął jej głową i się uśmiechnął.

Skończyła składać mokrą tunikę i ułożyła ją na stosie rzeczy w koszu. Miała podwinięte rękawy, a ściągnięte z tyłu włosy odsłaniały twarz, zaróżowioną od gorąca i wysiłku.

Zauważył, że jest mniej więcej w tym samym wieku co on.

- Co? - spytała z lekkim uśmiechem, widząc, jak się jej przygląda.

Pokręcił głową.

- Nic. Jestem Nico, uczeń mistrza Asha.

Zauważył, że ostatnia informacja wywołała u niej pewną zmianę - jakby na nowo próbowała go ocenić. Jej ciemne oczy zatrzymały się dłużej na jego twarzy. To było spojrzenie, jak sobie uświadomił, które zawsze powodowało, że się rumienił i odwracał głowę. Wewnątrz zaś zmieniał się w roztrzęsionego idiotę.

Zamknął usta w obawie, że cokolwiek teraz powie, zająknie się albo palnie głupstwo.

Albo, co gorsza, jedno i drugie naraz.

- Jestem Serēse - przedstawiła się.

Głos miała niski i gardłowy; wzbudził w nim dreszcz.

- Wiem - powiedział i natychmiast tego pożałował.

Wydawała się zadowolona, choć nie wiedział, czy z tego, że zna jej imię, czy z jego nagłego zakłopotania.

- Musisz być Mercjanką - mówił dalej, próbując się uspokoić. - Serēse. To znaczy „bystra” w dawnej mowie.

- Aha... Właśnie mi się wydawało, że poznaję twój akcent.

- Tak, jestem z Bar-Khosu.

- Ach...

Znow jej zaimponował.

Na zewnątrz zabrzmiał gong, oznaczający pełną godzinę.

- Muszę iść. Zostawiam cię z praniem. - Wskazała kocioł z gorącą wodą.

- Zaczekaj! - wyrzucił, choć przypomniał sobie poważne ostrzeżenie Aléasa. Ale serce zabiło mu szybciej, gdy pomyślał, że mógłby poprosić tę dziewczynę, żeby spędziła z nim wolny dzień. Wyobraził sobie, jak idą razem przez dolinę, rozmawiają, żartują i poznają się nawzajem. - Mam dzisiaj wolne - oświadczył. - Jak skończę z praniem, wybieram się na wycieczkę. Może się przyłączysz?

Zdawało się, że rozważa tę propozycję, przynajmniej przez kilka uderzeń serca. Ale potem pokręciła głową.

- Niestety, ojciec na mnie czeka.

- Och... - zmartwił się Nico, choć jednocześnie odczuł ulgę.

- Ale może innym razem - stwierdziła i poweselała.

A kiedy schyliła się, by podnieść kosz, nie mógł się powstrzymać, by nie podziwiać jej kształtów od tyłu.

- Czekaj - odezwał się nagle. - Pomogę ci.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

Udał, że nie słyszy, i wyrwał jej kosz. Był cięższy, niż się spodziewał i Nico z trudem powstrzymał stęknienie.

Serēse wyszła za nim na zewnątrz. W jaśniejszym korytarzu ich twarze lśniły od potu, a kosmyki włosów lepiły się do skóry. Zatrzymali się i spojrzeli na siebie. Serce Nica biło jak szalone.

Chciał jej dotknąć.

- Serēse? - Baracha stał w otwartych drzwiach na dziedziniec.

Dziewczyna przewróciła oczami.

- Do zobaczenia - szepnęła z przepaszającym uśmiechem.

Podeszła do ojca, oglądając się tylko raz. Baracha spojrział na Nica gniewnie, z ponurą miną.

Trwało leniwe pierwszodniowe popołudnie; Nico i pozostali uczniowie pocili się przy ćwiczeniach cali. Pole pełne było Rōshunów, którzy doskonalili swoją sztukę. Ledwie wystarczało miejsca dla wszystkich, a w oknie na wieży widzieli Oshō, który przyglądał się im z góry.

Uczniowie trzymali się w jednym rogu. Sapali głośno po wcześniejszej powtórce cięć, a teraz ćwiczyli prostą kombinację ataku od zewnętrznej i wewnętrznej. Baracha wydawał donośne komendy.

Wydawał się poirytowany jak zwykle, nie bardziej i nie mniej niż normalnie; kilku z nich poczuło już jego rękę, kiedy okazali się zbyt



powolni jak na jego nastrój. W pewnym momencie zaczął nawet krzyczeć na Aléasa za to, że nie uważa, co robi - nic niezwykłego, gdyż zawsze wymagał od swojego ucznia więcej niż od pozostałych. Jednak Nico się zaniepokoił. Inni także - wiedzieli, że Aléas jest z nich najlepszy i nie zasługuje na takie traktowanie.

Podczas tej tyrady nagła cisza zaległa nad polem ćwiczebnym. Baracha urwał w pół słowa; gniewne oczy błysnęły, szukając przyczyny tego zjawiska.

Z boku pojawił się Ash, idący w ich stronę, trzymał miecz w pochwie. Widać postanowił choć raz poćwiczyć z innymi, zamiast wykonywać poranne ćwiczenia w samotności.

Zebrani Rōshuni szybko wrócili do swoich zajęć, ale uczniom trudniej było się skoncentrować. Wielu kątem oka obserwowało starca w czarnej szacie, jak obok nich wykonywał serie manewrów zbyt szybkich, by mogli za nimi nadążyć wzrokiem. To tylko pogorszyło nastrój Barachy; musiał trzepnąć dłonią kilku podopiecznych, nim wreszcie naprawdę wzięli się do pracy.

Po chwili zarządził przerwę, by mogli odetchnąć i napić się wody.

- Widzę, że jakiś staruszek się dzisiaj z nami bawił - zawołał do Asha tak głośno, by wszyscy w pobliżu usłyszeli.

Przez krótki moment Ash patrzył mu w oczy, po czym wrócił do ćwiczeń. Całkowicie ignorował potężnego Alhazii, a Nico widział, że ten brak reakcji podrażnił dumę Barachy.

W czasie przerwy kilku uczniów zebrało się przy Nicu, pytając, jaki jest jego mistrz w walce. Chłopiec odczekał, aż ucichną gorączkowe pytania, po czym odparł cichym głosem:

- On jest jak spokojne oko cyklonu.

Pokiwali głowami, wyobrażając sobie to, co usłyszeli. Aléas zachichotał.

Następnego ranka Nico spotkał Barachę, idącą na zajęcia z łucznictwa. Alhazii wychodził właśnie ze zbrojowni i kiedy zobaczył Nica, stanął jak wryty.

- Ty! - warknął.

- Ja?

- Tak, ty. Chodź ze mną.

- Idę na lekcję. Spóźnię się.

- Chodź! - warknął niecierpliwie Baracha.

Nico przełknął ślinę, spoglądając za odchodzącym Alhazii. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie uciec, ale wyglądałoby to głupio i dziecinnie. Ruszył więc za nim.

Przeszli przez gorącą, zaparowaną kuchnię. Dwaj kucharze nie zwrócili na nich uwagi, zajęci wyrywaniem sobie pustego garnka. W głębi sali Baracha schylił się i podniósł klapę w podłodze. Następnie zszedł w ciemność.

Nico spojrzał na kamienne stopnie i znikającą w mroku masywną postać. Zastanawiał się, o co może chodzić... Ale przecież już wiedział o co: o gniewnego, nadopiekuńczego ojca.

- Złaź! - usłyszał głos Barachy i postawił nogę na stopniu. Jak we śnie, zszedł na sam dół.

Znalazł się w spiżarni, kamiennej i lodowato zimnej. Jedyne światło wpadało przez klapę za jego plecami. W półmroku widział przedmioty wiszące na hakach, umocowanych do drewnianego stropu: solone i wędzone udźce dziczyzny, worki mąki, przyprawy czy suszone jarzyny. Coś kołysało się na haku po prawej stronie - ptak, oskubany już i wypatroszony.

Przesunął się w tamtą stronę, po drodze zatrzymując ptaka ręką - wydawał się chłodny i miękki.

Przed nim poruszyła się jakaś sylwetka. Coś załśniło bielą: wyszczerzone zęby Barachy.

Nie zrobiłem nic złego, przypominał sam sobie Nico. Rozmawialiśmy tylko przez chwilę.

Nie uspokoiło go to specjalnie; poczuł na czole krople potu.

- Podejź tu, chłopcze.

Nico nerwowo przełknął ślinę. Głupia wyobraźnia sprawiła, że zaczął żałować, że nie ma ze sobą miecza.

Cisza zalegała ciężko jak w grobowcu. Baracha stał o coś oparty, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Kiedy Nico się zbliżył, zobaczył, że to krąg starej studni, o średnicy prawie dwóch metrów, przykryty żelazną kratą. Wewnątrz, daleko w dole, słyszał plusk płynącej szybko wody

Baracha odwrócił się bez słowa i oburącz chwycił kratę. Stękając z wysiłku, do wtóru zgrzytu zawiasów, uniósł ją i odepchnął na bok.

Nico spojrział w ciemność. W dole pędziła woda, niewidoczna, ale przerażająca. Czuł chłodny podmuch na twarzy. To był podziemny strumień, płynący pod terenami klasztoru.

Odruchowo cofnął się o krok.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

Baracha schylił się i podniósł coś z ziemi. Było to wiadro, zielone od wodorostów, owiązane gnijącym powrozem. Koniec sznura umocowany był do kraty.

Alhazii opuścił wiadro w ciemność.

- Moja córka mogła tam wczoraj coś zgubić - wyjaśnił. - Chcę, żebyś zszedł na dół i to znalazł.

Nico odsunął się jeszcze o krok.

- Jestem raczej pewny, że nie zejdziesz.

Powróż wyrwał się niemal z dłoni Barachy, gdy nurt pochwycił wiadro. Mężczyzna złapał mocniej. Nico słyszał, jak wiadro obija się o kamienie, jak woda szumi mocniej, przelewając się nad przeszkodą.

- Zejdziesz - oświadczył Baracha. - Tak czy inaczej, będziesz na dole.

Oszołomiony Nico wpatrywał się w ciemną twarz mężczyzny. Nie miał pojęcia, czy tamten mówi poważnie.

Jeśli próbuje mnie wystraszyć, to mu się udaje!

Chciał uciekać, ale miał wrażenie, że stopy wrosły mu w kamienną posadzkę. Baracha postąpił ku niemu, ciągnąc za sobą powróż. A jednak Nico nadal nie mógł się ruszyć.

Otworzył usta - sam nie wiedział po co: by wołać o pomoc, tłumaczyć, że jest niewinny?

Ciężka dłoń opadła mu na ramię. Palce Barachy chwyciły materiał szaty, który zacisnął się na jego szyi. Bez widocznego wysiłku, potężny Alhazii pociągnął go do studni.

- Puszczaj! - krzyknął Nico, czując, jak jego stopy ślizgają się po kamieniach. Szarpał się i próbował wyrwać. - Nie! - wrzasnął rozżłoszczony, kiedy rozwarł się przed nim czarny otwór.

Starał się dosięgnąć twarzy Barachy, szukał palcami jego oczu. Ale mężczyzna cofnął głowę poza zasięg ramion chłopca. Z porażającą siłą wepchnął Nicowi głowę do studni i usiłował wcisnąć tam również resztę ciała. Dłonie Nica rozpaczliwie próbowały uchwycić śliską krawędź; w dole, głęboki i zimny, głośno szumiał niewidoczny nurt.

I wtedy Baracha litościwie zwolnił uchwyt i Nico wyrwał się na wolność. Zatokczył się i odsunął od prześladowcy. Dostrzegł jego rozbawione spojrzenie.

- Drań! - rzucił gniewnie.

Wycofał się pospiesznie, odsuwając wiszące przeszkody; za plecami słyszał drwiący śmiech Barachy.

Nie zatrzymywał się, dopóki nie wybiegł na zewnątrz, na świeże powietrze. Oddychał ciężko i mrużył oczy od słońca. Przeklinał własną głupotę.

Serēse, jak później się dowiedział, wyjechała tego samego dnia.

## ROZDZIAŁ 14

### Boska pewność



**W** pozbawionej okien sali, przed wejściem na arenę zwaną Shay Madi, Kirkus przyglądał się, jak otoczona przez licznych kapłanów matka rozmawia z dostojnikami.

Dwa lata sprawowania funkcji świątobliwej matrony Imperium odcisnęły na niej swoje piętno, mimo królewskiego mleka, za przygotowanie którego tak drogo płaciła. Wyraźne zmarszczki na czole z pewnością były skutkiem licznych trosk, choć dzisiaj, wobec publiczności, matka wolała raczej się uśmiechać, i to uśmiechać często.

To wyraźne postarzenie było pierwszym, na co Kirkus zwrócił uwagę po powrocie z wyprawy z babką, kiedy po kilku miesiącach wreszcie zobaczył matkę. Było też pierwszym, co skomentował, prowokując uśmiech na jej wargach i delikatny pocałunek w czoło.

Gdyby nie kapłańskie złote łańcuszki, zwisające od uszu do nozdrzy, i lśniąca powierzchnia ogolonej czaszki, matka mogłaby zarządzać jakimś krzykliwym miejskim burdelem podczas przyjemnie pracowitej nocy. Jej zwyczajna twarz była zaczerwieniona od ciepła tak wielu stłoczonych ciał, licznych gazowych lamp w poczerniałych wnękach na ścianach oraz z braku przewiewu od zalanego słońcem przejścia z tyłu, prowadzącego do imperialnej loży. Stała teraz, wysuwając biodro, z nadgarstkiem wspartym na łonie. Poniżej

dumnie wzniesionej brody, jej duże, ciężkie piersi sterczały pod białą tkaniną szaty.

Kusząca, ale niebezpieczna - to była pierwsza myśl, jaka przychodziła do głowy większości mężczyzn. Matka była też dla Kirkusa jedyną informacją na temat ojca - bo zdradzała jego gust w doborze partnerek.

Kapłani i kapłanki w sali rozmawiali między sobą - z wyjątkiem stojących najbliżej świątobliwej matrony. Ci z szacunkiem słuchali Sasheen, ale odpowiadali swobodnie, jak było to przyjęte wśród wyższych kapłanów w Q'os; zaskoczyło to Kirkusa, kiedy pierwszy raz zjawiał się na audiencji u poprzedniego przywódcy, patriarchy Anslana. Spodziewał się większej pompy i ceremonii, jakie znał z oficjalnych uroczystości państwowych.

Zamiast tego kapłani w Q'os zachowywali się jak trochę niepewni towarzysze broni, zaangażowani w porażający i niewiarygodnie ambitny spisek: rządzenie całym znanym światem. Szacunek, jaki okazowali świątobliwej matronie, nie wynikał tylko z poszanowania dla jej stanowiska, gdyż tak samo jak ona sięgnęli po władzę, przychodząc jakby znikąd.

Podziwiali jednak jej gotowość, by zdeptać najmniejszą nawet oznakę nielojalności, czego dowiodła śmierć wielu ich dawnych kolegów.

Ta groźba była bliska nawet teraz - obok Sasheen stali dwaj potężni gwardziści. Oczy przesłaniały im gogle z przydymionego szkła, żeby nikt nie mógł odgadnąć, w którą stronę patrzą, na rękach zaś nosili rękawice z zatrutymi kolcami.

Kirkus nieuważnie słuchał, co mają do powiedzenia jego matka i pozostali. Dzisiaj nie odbywała się oficjalna narada, jedynie popołudniowe spotkanie przy Shay Madi, kiedy podczas spektaklu na publicznej arenie członkowie wyższej kasty korzystali z okazji do towarzyskiej rozmowy. Mimo to byli przecież ludźmi na wysokich stanowiskach; nie mogli więc zaprzestać walki o przewagę nad innymi.

Kirkus nie przejmował się takimi nieistotnymi kwestiami; gryzł miąższ owocu parmadio i drżał lekko z każdą falą narkotycznej rozkoszy, kiedy miażdżył zębami gorzkie pestki. Od czasu do czasu

rozglądał się po sali i obserwował obecnych, jak wdychają opary z dymiących mis albo popijają chłodne napoje. Zawsze jednak jego wzrok kierował się w stronę podwójnych drzwi na drugim końcu pomieszczenia.

Podjeżdżał, że Lara się dzisiaj nie zjawi. Jej ostatni kochanek, generał Romano, przybył samotnie i teraz stał w kącie, pogrążony w ożywionej dyskusji z generałem Alero. Kirkus przyglądał mu się właśnie, gdy młody generał odwrócił głowę i poprzez zatłoczoną salę popatrzył mu prosto w oczy.

Jakby nienawiść przepłynęła pomiędzy ich spojrzeniami.

Romano był bratankiem poprzedniego patriarchy i uważano go za najbardziej uzdolnionego przedstawiciela jednego z najstarszych i najpotężniejszych rodów Imperium.

Młody Romano był głównym rywalem Sasheen w walce o tron. Spodziewano się, że zaczeka, aż jej panowanie dobiegnie końca, zanim sam sięgnie po władzę. Wielu oczekiwało jednak, że wtedy sam Kirkus zostanie patriarchą. Prawdę mówiąc, Lara nie mogła sobie wybrać kochanka stojącego od Kirkusa dalej niż ten.

Po drugiej stronie sali Romano skłonił się lekko w stronę Kirkusa. Kirkus pochylił głowę, obserwując tamtego czujnie.

Gdyby Lara miała zamiar się zjawić, przyszłaby z Romano. Najwyraźniej nadal unikała Kirkusa. Jego ostatni publiczny wybuch - w górnych łaźniach Świątyni Szeptów, w dniu jego powrotu - zakłopotał ich oboje.

Miał nadzieję, że gdy znów zobaczy Larę, zachowa się spokojnie i dojrzałe. Uważał, że w czasie tej wyprawy rozwinął się dostatecznie. Jednakże, kiedy tylko ją zobaczył, jego ciało doznało jakby wstrząsu; stojąc tam w wieży i widząc, jak przechodzi obok, nawet nie patrząc w jego stronę, nagle zaczął krzyczeć do jej pleców; głos tak mu drżał z wściekłości, że potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, co dokładnie powiedział.

- Wkrótce będę potrzebowała twojej zgody, matrono - tłumaczyła jego matce kapłanka Sool. - Pozostało trochę ponad miesiąc do rocznicy Augere el Mann.

Kirkus przełknął ślinę, czując bolesną kulę w gardle. Oderwał wzrok od zamkniętych drzwi i skupił się na rozmowach wokół.

Sool stała z nisko pochyloną głową, jak lojalny i wierny sługa, choć Kirkus podejrzewał czasem, że to pozory.

- Muszę wiedzieć, czy odpowiednio zaplanowaliśmy uroczystości. W końcu w tym roku obchodzimy pięćdziesiątą rocznicę mannijskiej władzy. Może sama masz jakieś pomysły?

- Nie licz na to - odparła matka z lekceważącym gestem dłoni. Drugą ręką unosiła szatę nad wysuniętym udem, by się ochłodzić. - Wszystkie decyzje pozostawiam tobie i twoim ludziom, wiesz przecież. Zapewniam cię, że w tej chwili mam inne problemy.

- Tak. - Sool pochyliła głowę odrobinę niżej. - Przypuszczam, że coś o nich słyszałam. To ta nowa petycja Mokabiego: kolejny plan inwazji na Wolne Porty. Stary żołnierz nudzi się na spoczynku.

- Jak zawsze, twoje uszy słyszą tylko szepty niesione na skrzydłach nudy... - W głosie matki brzmiało zniecierpliwienie i znużenie, które ostatnio Kirkus słyszał coraz częściej.

- A jednak... Mimo to... - podjęła Sool, ale przerwała nagle.

Kirkus się roześmiał.

- Dobrze, że ty i moja matka jesteście najbliższymi przyjaciółkami - zadzwiał. - Kto jeszcze chciałby słuchać waszego marudzenia?

Sool uśmiechnęła się, choć ten uśmiech przypominał raczej grymas.

- Swego czasu matka wydała cię na świat - powiedziała. - Mógłbyś okazać jej nieco szacunku, dzieciaku.

Odpowiedzią był tylko chrzęst pestek między zębami. Nie powiedział tego, co mógłby powiedzieć.

W pewien sposób w dzieciństwie Sool była dla niego jak ciotka - przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe w obrządku, w którym rodzinne więzi podtrzymywane są z konieczności i z lojalności, na pewno nie z miłości i rzadko z dobroci. Jako chłopiec, Kirkus mieszkał w Świątyni Szeptów, w przestronnym apartamencie swojej matki i babki - jedna z nich była ostatnią glammari, czyli wybraną małżonką patriarchy Anslana, druga zaufaną doradczynią w sprawach wiary. Sool odwiedzała je często, niekiedy w towarzystwie swojej córki Lary. W letnie wieczory opowiadała jemu i Larze historie z przeszłości - siadywali wtedy razem na balkonie w jego pokoju, a zwierzęta, które przygarnął przez lata, popiskiwały i stukały w swoich klatkach; wieczorne światła niczym całun okrywały miasto



Q'os w dole.

Z tego wysokiego punktu, z boku Wieży Szeptów, można było zobaczyć kształt całej wyspy-miasta. Na wschodnim wybrzeżu naturalna lądowa ostroga wbijała się ukośnie w morze; od północy cztery sztuczne nasypy przypominały palce: Pięć Miast, jak je nazywano.

Każde z nich zstępowało bryłami budynków aż do granicy wód. Jako chłopak, Kirkus mierzył wyspę wzrokiem od wschodu do zachodu - można było sobie wyobrazić, że ma kształt wielkiej dłoni skierowanej ku niebu, a ostatni skrócony występ symbolizował święty mały palec wyznawców Mannu. Ten widok nigdy go nie nudził, kiedy jako dziecko obserwował go z góry, z samego serca miasta.

W te dawne, ciepłe wieczory Sool powtarzała swoje opowieści chrapliwym szeptem, jakby jej słowa były senne i należało ich strzec. Mówiła o czasach, kiedy jej własna matka i jego babka były młodymi kobietami, w tajemnicy pracującymi dla kultu w czasie głodu i zarazy, znanego jako Wielka Próba. Były dzikie w sercu, pokrewne sobie duchem, a do zakonu trafiły, ponieważ miały wspólnego kochanka, którym dzieliły się bez zazdrości.

Obie uczestniczyły w Najdłuższej Nocy, która nastąpiła po zniszczeniu miasta przez pożar. Działając razem, zamordowały jednego z najwyższych miejskich urzędników, żyjącego w bogactwie i luksusach swojego pałacu, gdy miasto leżało w ruinach i wszędzie panował głód. Obie były świadkami w szaleńczej egzekucji dziewczęcej królowej - a nawet odegrały w niej swoją niewielką rolę. Zdyszane, klęczały u stóp samego najwyższego kapłana Nihilisa, kiedy został namaszczonej na pierwszego świątobliwego patriarchę Mannu.

Sool opowiadała jemu i Larze o tym wszystkim, a także o wielu innych sprawach.

Zdawało się, że jest dumna z bliskości jej i jego rodzin, ze wspólnego zyskiwania wpływów i władzy. Dopiero kiedy był starszy, Kirkus poznał też inną stronę tych wydarzeń. Pamiętał, jak jego babka, na wpół przytomna po oczyszczeniu, leżąc w łóżku i mówiąc jak w delirium, chwyciła Kirkusa za ramię, by go zatrzymać,

i opowiedziała o zamordowaniu swojej najbliższej przyjaciółki, matki Sool, za to, że zбочyła z drogi Mannu.

Minął już ponad rok od ostatniego spotkania z Sool. Kiedy teraz widział ją w tłumie, patrzył oczami chłopca i zastanawiał się, kiedy utracili tę szczególną więź, która ich łączyła i którą tak cenił jako dziecko. Zakładał, że może chodzić o rozstanie z Larą, ale po zastanowieniu zrozumiał, że to ochłodzenie trwa o wiele dłużej. Odkąd dorósł, nie potrzebował już w życiu takich ludzi jak ta łagodna matrona.

Odepchnąłem tę kobietę, myślał, patrząc w jej niebieskie oczy; ją i całą dobroć, którą mi okazywała.

Uniósł ręce do piersi i skierował dłońmi na zewnątrz, w geście oznaczającym ustępstwo.

Kobieta zamrugła zdziwiona.

Ktoś chrząknął obok: Cinimon, najwyższy kapłan sekty Monbarri, kultu wewnątrz kultu, ludzi, którzy uważali się za inkwizytorów i obrońców wiary. I bronili jej tak gorliwie, że budzili przerażenie u innych wyznawców. Głos mężczyzny przypominał przesypywanie żwiru w korycie strumienia, a wyraz jego twarzy był niemal niewidoczny za licznymi ozdobami.

- Czyli to prawda? - zwrócił się do Sasheen. - Mokabi uważa, że w końcu uda mu się złamać Wolne Porty?

Sasheen z namysłem przechyliła głowę.

- Tak uważa, choć na razie ledwie zdążyliśmy przejrzeć jego propozycje. - Zerknęła na Sool. - Mam się spotkać z generałami, żeby omówić tę sprawę. Oczywiście będziesz pierwszym, który dowie się o naszych wnioskach.

- Musimy także rozważyć kwestię Zanzaharu - odezwał się mały Bushrali, spoglądając ponad brzegiem pucharu. Najwyższy kapłan Regulatorów najwyraźniej był już pijany. - Ten spór o ceny ziarna i soli na pewno nie przyniesie nam korzyści. Jeśli ich nie obniżymy, oni przesuną granicę bezpiecznych wód o dwieście laq w stronę Wolnych Portów, czym stale nam grożą. A wtedy wojna na przetrzymanie zmieni się w wojnę bez końca.

Cinimon pokręcił głową; jego ciężkie ozdoby zadźwięczały cicho, a spod nich błysnęły ciemne oczy. Jego biała, prosta tunika okrywała

ramiona i nogi. Połyskiwały na nich wszczepione pod skórę drzazgi szlachetnych metali, niczym stado węży spływających aż do łokci i do stóp - jakby w każdej chwili mogły się wyrwać i wypełznąć na ziemię jak żywe stworzenia.

- Powinniśmy postawić Kalifatowi własne żądania - mruknął. - Przede wszystkim niech przestaną sprzedawać Wolnym Portom to samo ziarno, które my im sprzedajemy. To obrzydliwe. I przestali nawet się z tym kryć.

- Takie żądanie może się skończyć embargiem - ostrzegł Bushrali i urwał, unosząc dłoń do poplamionych winem warg, maskując czkawkę. - I co wtedy zrobimy bez stałych dostaw czarnego prochu?

- Więc niech tak będzie - wtrącił Kirkus, wreszcie dostatecznie zaniepokojony, by włączyć się do rozmowy. - Może już czas sprawdzić ten zanzaharski monopol. Zobaczymy, ile wytrzymają bez naszego ziarna. Studiowałem liczby, tak samo jak wszyscy, i nie jestem przekonany, że wynik może być tylko jeden.

- Dobrze powiedziane - pochwalił go Cinimon.

Matka także spojrzała na Kirkusa z zainteresowaniem, ale milczała.

Zirytowany Bushrali machnął ręką, w której trzymał kielich. Wino chlusnęło czerwienią na marmurową podłogę, niczym krople krwi.

- Liczby są dokładne, młody człowieku. Wyczerpiemy nasze rezerwy prochu na długo, zanim Zanzahar będzie zmuszony gdzie indziej szukać dostaw ziarna, soli i ryżu. Myślisz, że pozwoliliby na inny układ? Myślisz, że racjonują dostawy prochu, bo nie chcą go sprzedawać? Co do garana wiedzą, ile zmagazynowaliśmy w całym Imperium. Wiedzą, ile zużywamy co miesiąc w oblężeniu Bar-Khosu i gdzie indziej. Wiedzą nawet, kiedy zapas czarnego prochu starzeje się i przestaje nadawać do użytku. Myślisz, że przeciwko komu tak ciężko pracują moi Regulatorzy, czyje plany starają się pokrzyżować? Może przeciwko buntownikom i heretykom? Tak, owszem, gdyż co tydzień setki takich zdrajców przekazujemy Monbarrim Cinimona, kiedy już z nimi skończymy. Ale powiadam ci: połowa raportów, jakie czytałem, dotyczy samego El-mud. Nocne Skrzydło wszędzie ma oczy i uszy, a my nie znaleźliśmy jeszcze sposobu, by ich zneutralizować.

Urwał, widząc błysk gniewu w oczach Kirkusa. Zdawało się, że

wreszcie sobie przypomniał, z kim rozmawia. Zaczerwienił się nagle, a śmiertelna bladeść pokryła łysą czaszkę, w ostrym kontraście z pociemniałą twarzą. Zerknął na Sasheen i jej dwóch gwardzistów.

Skłonił się nisko.

- Wybacz - zwrócił się do Kirkusa. - Chyba za dużo wypilem, bo pouczam mężczyznę, jakby wciąż był chłopcem.

Kirkus przyglądał mu się niechętnie - podobało mu się, jak mały człowieczek się wije. W końcu to Cinimon przerwał milczenie:

- Wydawało mi się, Bushrali, że będziesz ostatnim, który potwierdzi taki niedobór waszych możliwości.

- Nie zaciemniam prawdy, jak niektórzy - odparł gniewnie Bushrali. Po czym znów zwrócił się do Kirkusa: - Ci ludzie pustyni z Zanzaharu ze szpiegostwa i gry cieni już przed tysiącami lat uczynili sztukę. Nie możemy liczyć na to, że uda nam się ich oszukać. Agenci El-mud są prawdziwym źródłem zanzaharskiego monopolu. Nie możemy nawet podjąć decyzji o inwazji Kalifatu tak, żeby się o tym nie dowiedzieli. Mówić o takich sprawach nawet tutaj, wśród tych najbardziej lojalnych, to i tak mówić zbyt wiele.

- I dlatego to tylko słowa - przerwała gładko Sasheen. - Nie mamy żadnych wrogich zamiarów wobec Zanzaharu, ani teraz, ani w przyszłości.

I choć jej głos brzmiał szczerze, to Kirkus domyślał się, że matka nie mówi całej prawdy.

Mruknął coś z niedowierzaniem, czym zasłużył na jej ostrzegawcze spojrzenie. Natychmiast więc ukrył uśmiezek, odgryzając kolejny kęs parmadio.

- Zapomniałeś chyba o lekcjach historii, które tak usilnie próbowałam wbić ci do głowy?

- skarciła go. - Jak padł Markesh, kiedy objęli ich embargiem za to, że szukali Niebiańskich Wysp, żeby zagarnąć dla siebie tamtejsze źródła czarnego prochu?

Dobrze znał historię, ale nie miał zamiaru reagować na jej przynętę. Przeżuwał więc i patrzył, jak ona patrzy na niego.

- Kiedy zabrakło dział, wrogowie pożarli ich w ciągu dekady. Powinieneś zawsze o tym pamiętać, synu. Markesh nie był słaby. Ich kupieckie imperium miało tak wielki wpływ, że jeszcze dzisiaj całe

Midèrēs używa ich wspólnego języka handlu. Gdyby nie oni, wciąż mielibyśmy żelazne rury jako działa i puste drągi jako strzelby. A mimo to upadli. Naprawdę wierzysz, że nam nie może zagrozić taki los?

- My jesteśmy Mannem. Oni nie byli.

- Jesteśmy Mannem, to prawda. Ale nie jesteśmy niezniszczalni. Może podczas swojego niedawnego cullu również powinienes o tym pamiętać, co?

Nie powiedziała ani słowa więcej, nie w obecności innych. Przynajmniej tyle.

Kirkus rzucił przechodzącemu niewolnikowi ogryzek parmadio i wytarł ręce o szatę. Nie odezwał się już, a rozmowa zesła na inne tematy.

Matka była wściekła po jego powrocie, uderzyła go nawet, kiedy odkryła, że podczas cullu zabił właścicielkę pieczęci.

- Myślisz, że nie spróbują go osiągnąć, nawet tutaj?! - wrzeszczała Sasheen do jego babki.

- Potrafimy przeciwdziałać, gdyby spróbowali - usłyszał odpowiedź babki przez ciężkie drzwi, pod którymi podsłuchiwał. - Uspokój się, dziecko. Nie dotarliśmy na szczyty dzięki temu, że boimy się takich jak Rōshuni. Takie lęki to oznaka słabości. Musisz się z nich oczyścić.

Sam Kirkus z początku nie odczuwał niepokoju. Cull przekształcił go w pewien sposób.

Jego normalna, codzienna arogancja zmieniła się w coś głębszego, wyraźnie odczuwał słusność każdego działania, jakie podejmował, drobnego czy istotnego. Wiedział przy każdym dotknięciu palców, że tymi samymi rękami odebrał życie. Nagiał swoją wolę do tego zadania i okazało się, że to nie takie trudne. W końcu doświadczył ulotnego posmaku boskiego ciała.

Kiedy przybył do Świątyni po swoim wielkim pochodzie, spodziewał się niemal, że Lara będzie tam czekać, by zobaczyć nowo dojrzałego mężczyznę, że rzuci mu się w ramiona, odgrywając miły sercu spektakl żalu i łez. Na pewno nie spodziewał się powrotu ich dawnej wrogości.

Po tym ciosie odrzucenia Kirkus zamknął się w swojej kwaterze i

unikął ludzi; często odsyłał nawet przyjaciół. W myślach powracała wizja pieczęci zawieszanej na szyi martwej dziewczyny. Napływały nieproszone legendy o Rōshun, nieprawdopodobne mity, jakie ich otaczały. Dostatecznie często wyczuwał, jak w żołądku budzą się wiry strachu, by to nowo odkryte poczucie siły zaczęło się rozwiewać.

Nadejdą jeszcze inne culle i oczyszczenia. Znowu poczuje moc i nauczy się jej używać, zanim sam stanie się jej nieodłączną częścią. A jednak kąsał go niepokój, kiedy nocą nie mógł zasnąć, kiedy słuchał trzaskania dalekich drzwi, wśród tej ciszy, która wcale nie była ciszą, ale kakofonią dźwięków zbyt subtelnych, by mógł je usłyszeć.

Kirkus spojrział na własne dłonie i poczuł na nich lepki pot. Miał wrażenie, że nozdrza zatyka mu pył z areny, niesiony wiatrem aż tutaj.

Muszę się umyć, pomyślał.

Odwrócił się, by przeprosić i wyjść, ale zobaczył, że od przejścia do imperialnej loży nadchodzi kapłan Helas. Przez chwilę otuliły go koronkowe zasłony, gdy przechodził z blasku słońca w cień wewnętrznej komory.

- Święta pani... - Skłonił się przed matką Kirkusa. - Lud cię wzywa.

Rozmowy w sali umilkły. Rzeczywiście, gwar widowni zmienił się w rytmiczne wołanie, które Kirkus odczuwał aż w żołądku.

- W takim razie chodźmy zrobić im przyjemność - odparła Sasheen, a jej uśmiech pojaśniał w jednej chwili.

Kirkus raz jeszcze wytarł dłonie o szatę, westchnął i ruszył za matką na zewnątrz; za nimi podążała kolumna kapłanów.

Kiedy pojawiła się Sasheen, z ław wokół areny sto tysięcy głosów wykrzyczało swój entuzjazm. Uniosła rękę, by im podziękować, a Kirkus zapomniał o osobistych urazach, czując, jak narasta w nim podniecenie.

W imperialnej loży, zarezerwowanej dla świątobliwej matrony i jej najwyższych kapłanów, było nieco chłodniej; niebo w górze wciąż pozostawało jasne i bezchmurne. Na piasku areny Shay Madi kuliła się ciasno grupa nagich mężczyzn i kobiet w łańcuchach.

Wyglądali raczej jak uchodźcy po jakiejś naturalnej katastrofie, ale w rzeczywistości byli heretykami z całego Imperium, przyłapanymi

na praktykowaniu dawnych religii - dyskretny znak czci dla któregoś z bóstw, modlitwa do Wielkiego Błazna... Donosił na nich sąsiad, a czasem nawet krewny.

Wśród nich stali także nędzarze, bezdomni i kalecy, którzy ledwie potrafili się utrzymać.

Dla Mannu co do jednego byli porażką, pasożytami i ścierwem, tak odległym od boskiego ciała, jak to tylko możliwe.

Jeden po drugim zostawali napiętnowani przez członków Monbarri w białych tunikach - posępnych inkwizytorów Cinimona, z połyskującymi w słońcu ozdobami na twarzy.

Niektórzy z więźniów zostaną odesłani do stawów solankowych w Wysokim Char, by tam ciężko pracować przez resztę swojego krótkiego życia. Większość jednak miała zostać niewolnikami w miastach Imperium - pracownikami fizycznymi albo nawet seksualnymi. Ci bezużyteczni dostarczą rozrywki zebranym tłumom na miejscu, na piasku areny.

Piętnowanie zostało szybko przerwane, kiedy Sasheen stanęła wyprostowana, unosząc obie ręce. Monbarri czekali gotowi, ze swoimi pętlami z powrozu i dymiącymi żelazami, spoceni z wysiłku i czekający na jej słowa. W tłumie wokół zalegała cisza.

Sasheen odezwała się czystym głosem, który docierał do wszystkich. Mówiła to, co najbardziej chcieli usłyszeć od świątobliwej matrony: jak w swym oddaniu wszyscy należą do Mannu, razem; jak swoją lojalnością zbudowali to wielkie imperium, razem. Byli zwycięzcami za życia, oświadczyła, gdyż pomagali szerzyć prawdziwą wiarę, a kiedy nadejdzie śmierć, by ich zabrać, nadal pozostaną zwycięzcami.

Wszystko to bzdury, myślał Kirkus, spoglądając na zebrane masy; mimo to w tej niezwykłej chwili pęczniał z dumy. Jego wzrok przesunął się na arenę, wabiony białą skórą zebranych pośrodku nagich kobiet. Stały twarzami do wnętrza kręgu, jakby chciały ukryć swój wstyd, a oczy ochronić przed otoczeniem. Kirkus słyszał ich zmęczone szlochy, a w oddali ostre krzyki mew nad zatoką Pierwszej Przystani.

Nagle matka chwyciła go za przegub i szarpnęła w górę, wykrzykując jego imię. Znowu zabrzmiały krzyki.

Kirkus poczuł wilgoć w oczach i delikatne ukłucia gęsiej skórki na ciele. Raz jeszcze wypełnił go Mann, a wraz z nim poczucie własnej ważności.

Własnej boskości.



## ROZDZIAŁ 15

### Inshasha



- Czy mówiłeś o tym mistrzowi Ashowi? - spytał Aléas.

Nico widłami przesypał nawóz do wiadra i pokręcił głową.

- Nie widziałem go od tamtego czasu.

- To może lepiej, żeby nie wiedział.

Też z widłami, stał w snopie światła wpadającego przez otwarte drzwi stajni, dokąd wysłał ich obu Olson, klasztorny mistrz dyscypliny, z powodu marnych efektów ich pracy przy wieczornym sprzątaniu kuchni.

Zagrody były puste; klasztorne muły i kilka zeli pasło się na niskich zboczach. Chłopcy mieli zebrać stąd cały nawóz, który był używany jako paliwo. Aléas ziewnął - był podobnie jak Nico zmęczony po całej nocy spędzonej pod gołym niebem - uczniowie pełnili normalne dyżury jako strażnicy.

- To tylko jeszcze bardziej ich poróżni. Mój mistrz zabawił się z tobą, Nico, ale ostrzegałem cię przecież, co może się stać. Mogło być gorzej.

- Ale ja tylko z nią rozmawiałem... i to chwilę.

Aléas wyprostował się, aż strzeliły mu kości grzbietu.

- Oczywiście - powiedział. - Pozwól, że zgadnę. Kiedy mój mistrz was zobaczył, tylko rozmawiających, na pewno stałeś blisko niej z wywieszonym jęzorem, oczy wlepiąłeś w jej miechy, a fiut pod szatą

stał ci sztywno, jak mój mały palec. Taki człowiek jak Baracha zauważył takie drobiazgi, gdy chodzi o jego córkę. - Aléas udał, że z troską unosi brew, a potem odwrócił się, aby poszukać ładunku dla swoich wideł.

Nico pomógł mu, zrzucając nawóz ze swoich wideł na jego głowę.

- Czemu to zrobiłeś? Teraz będę się musiał myć z tego gówna!

- Wybacz, ale mały palec mi się ześliznął.

Młody człowiek zmarszczył brwi i próbował oczyścić szatę, rozmazując kolejne smugi brudu. Odwrócił się, by zrzucić ładunek nawozu na Nica, lecz chłopak zablokował atak widłami.

I nagle zaczęli się pojedynkować.

Nie była to poważna walka - odwrócili tylko broń, aby atakować styliskami. Z początku się uśmiechali, ale potem, gdy próbowali cięć i pchnięć w atakach i odskokach, narastało poczucie współzawodnictwa.

Chociaż używali zwykłych wideł, Aléas i tak był co najmniej dziesięciokrotnie lepszym szermierzem. Jednak Nico improwizował, jak się tego nauczył, na ulicach Bar-Khosu. Rzucił w Aléasa bryłę wilgotnego nawozu, więc młody Mannijczyk odruchowo próbował się uchylić, a ponieważ Nico to przewidział, wyprowadził cios w głowę rywala. Tyle że przy całym entuzjazmie i braku umiejętności, machnął bronią o wiele za mocno i niecelnie, trafił Aléasa w usta i rozciął mu górną wargę, aż ze skaleczenia popłynęła krew.

- Przepraszam! - Nico uniósł wolną rękę.

- Przepraszasz?

Aléas odwrócił się, pochylił i z rozpędu wyprowadził szeroki cios, trafiając Nica w skroń.

Nico się zachwiał; zadzwoniło mu w uszach.

Teraz Aléas uniósł rękę, a potem rzucił widły na pokrytą słomą ziemię i osunął się na nią.

Sięgnął palcem do rozbitej wargi i uśmiechnął się drwiąco, przez co krew popłynęła bardziej obficie.

- Nie za mocno, mam nadzieję? - zapytał, stukając palcem w skroń.

Zdyszany Nico także opadł na klepisko. Drobinki kurzu między nimi zatańczyły w promieniach słońca i osiadły powoli, a oni zaczęli oddychać spokojniej.

- Czy oni zawsze tacy byli? - spytał Nico.

- Kto?

- Mistrzowie Ash i Baracha.

Aléas przez chwilę ssał wargę.

- Starsi uważają, że tak, ale ja sędzę, że wszystko się pogorszyło po Masheen. I to głównie przez mojego mistrza. Nie potrafi znieść, że ktoś jest od niego lepszy.

- Ash go pokonał? - W głosie Nica zabrzmiało wyraźne zdziwienie.

Przypomniał sobie szczupłego i pomarszczonego Asha, dręczonego bólami głowy.

Wspomniał Barachę ćwiczącego z mieczem - był potężny i szybki.

- Nie w takim sensie. - Aléas wzruszył ramionami, pochylił się na bok i splunął krwią. - Ash ośmielił się uratować mojego mistrza, gdy on nie zdołał uratować się sam.

- Co? Opowiedz mi o tym!

- Usiądź wygodnie. To długa historia.

Sześć lat temu, krótko przed przybyciem Aléasa do klasztoru, Baracha wpadł w takie problemy, jakich najbardziej boi się każdy Rōshun podczas działań w terenie - został schwytany.

Miał wtedy dokonać wendety w Masheen. A dokładniej w górzystym kraju zwanym Wielkim Masheen, otaczającym wspaniałe wschodnie miasto w delcie rzeki Aral, gdzie topniejące lody z pasm Wysokiego Pashu szerokim i leniwym nurtem wlewają się do Midèrès.

Baracha zjawił się tam, aby zabić Króla Słońce - człowieka, który twierdził, że jest żywym wcieleniem słonecznego bóstwa Rasa, i choć to niewiarygodne, przekonał do tego górski lud, tak samo zabobonny jak wszystkie ludy wschodu, a może nawet bardziej.

W tej okolicy wierzono w dawne proroctwo: kiedy góra upadnie i zmiążdży Węża Świata zwiniętego w jej skalistym sercu, od strony wschodzącego słońca przybędzie bóg w ludzkiej postaci i będzie chodził wśród nich, głosząc nadejście nowej ery oświecenia. Nawet kiedy ich religię zdusiło Imperium Mann, które kilkadziesiąt lat temu zagarnęło Masheen jako najdalszą prowincję swoich wschodnich podbojów, wiara miejscowych w to proroctwo pozostała nienaruszona.

Nie wiedzieli nawet, o której górze mówi legenda. Wszystkie kryły w głębi zło i trzeba było ostrożnie wśród nich chodzić. A jednak, kiedy dostatecznie silne trzęsienie ziemi doprowadziło do zawalenia pewnego górskiego szczytu, po którym została tylko samotna kolumna, niczym nagrobek wyrastająca z ogromnego stosu gruzu, i kiedy od wschodu przybył człowiek o złotej skórze, prowadząc ze sobą orszak uczniów wychwalających jego boskość, mieszkańcy Masheen uklękli u jego stóp i oddali mu wszystko.

Król Słońce rządził z rozległego pałacu, zbudowanego na najwyższym szczycie góry, spoglądającej na portowe miasto Masheen - Miasto Chmur, jak je nazywano. Był już stary, a jego władza podupadała, jak dowiedział się Baracha podczas pierwszego tygodnia w mieście.

Zdawało się, że ta nowa era oświecenia niewiele zmieniła w życiu mieszkańców, poza narzuceniem im jeszcze wyższych podatków. Co nieuniknione, niektórzy zaczęli myśleć cynicznie o bogu, który stał nad nimi i wymagał danin jak każdy inny tyran. Król Słońce żył teraz samotnie i widywał tylko nielicznych, którym całkowicie ufał. Raz do roku ogłaszał swoją Najwspanialszą Mądrość, którą przekazywał mieszkańcom w postaci tysięcy pergaminów - każdy starannie ręcznie spisany. Zawsze tylko pouczał w nich i groził.

W Mieście Chmur mówiono, że nie mijał nawet tydzień, aby kolejny ważny urzędnik czy kapłan nie został oskarżony o zdradę i skazany na śmierć przez ugotowanie żywcem. Król Słońce w murach swojego pałacu zakazał wszelkiej broni, z wyjątkiem tej używanej przez strażniczki, Cudowne Dziewice - żeńską gwardię, wybraną w młodym wieku spośród jego haremu, ze względu na miłość, jaką mu okazywały. W swojej paranoi zakazał noszenia kapeluszy, a nawet długich rękawów. Nocami z wewnętrznego sanktuarium aż na wybrzeże morza Midèrès niosło się jego wycie, gdyż zupełnie oszalał.

Baracha został schwytany, gdy tylko przedarł się do tego sanktuarium, stanowiącego pałac wewnątrz pałacu, oddzielonego od reszty Miasta Chmur, bo położonego na własnej iglicy i znanego jako Zakazane Sanktuarium. Zdawało się, że nie docenił czujności strażniczek. Był jednak dobrze uzbrojony, a one straciły sporo swoich ludzi, nim pokonały go przewagą liczebną i zanim pod ich ciosami

osunął się nieprzytomny na podłogę.

Wrzucono go do kamiennej celi w trzewiach Zakazanego Sanktuarium, gdzie przez kilka dni strażniczki torturowały go bez litości. Chciały się dowiedzieć, kim jest, skąd pochodzi i oczywiście dlaczego zamierzał zabić ich boga.

Z tego, co sam opowiadał, Baracha nie zdradził niczego. Było jasne, że nie zdawały sobie sprawy z mrocznej tajemnicy Króla Słońce - że ten tak zwany bóg niedawno zamordował własnego dwunastoletniego syna, właściciela pieczęci, któremu odebrał życie w ataku szaleństwa. Tłumaczył to potem jako tajemniczy wypadek, choć zakon Rōshun znał prawdę.

Piątego dnia niewoli zaciągnęły go do wyłożonego drewnem pokoju z ażurowym parawanem na końcu, a potem skórzanymi pasami przywiązały za ręce i szyję do drewnianej kolumny. Zerwały z niego resztki ubrania, a następnie wpuściły dzikiego górskiego psa z okolicy, cuchnącego od własnego brudu i ogłupiałego z głodu. Pazury zwierzęcia drapały o gładką podłogę. Strażniczki zostawiły ich samych. Pies przez chwilę patrzył na niego czujnie, a potem pochylił głowę i warknął.

Baracha wiedział, co najpierw atakują dzikie zwierzęta: miękkie genitalia swoich ofiar. I nagle bardzo mocno zdał sobie sprawę z własnej nagości.

Zwierzę podeszło bliżej, obwąchując gładką podłogę. Gdy zbliżyło się dostatecznie, Baracha dojrzał na sierści zaschnięty śluz, twardniejący w niewielkie kępki, wśród których pełzały białe robaki. Pies zatrzymał się o kilka kroków od niego i warknął, obnażając kły.

Baracha też zawarczał.

Ale kiedy bestia ruszyła dalej, sięgając paszczą do jego krocza, nagle - bez żadnego przejścia - odkrył, że obejmuje zwierzę i tarza się po podłodze, kciukami miażdżąc tchawicę, a pies drapie łapami, próbując go odepchnąć. Baracha nie puszczał, mimo głębokich ran, jakie zadawały mu pazury. Dopiero po długiej walce pies zginął w jego uścisku.

Wreszcie znieruchomiał. A kiedy Baracha spojrzał przytomnie, zobaczył na przegubach zerwane rzemienie, a pod nimi rozciętą skórę. Zrozumiał, że udało mu się wyrwać w chwili największej grozy. Choć

oczywiście nie tak to określał - mówił potem o chwili największego zagrożenia.

Za ażurowego parawanu dobiegło dziwne skamlenie. Baracha zrozumiał wtedy, że obserwował go Król Słońce i że teraz boi się Rōshuna.

Zakrwawionego i oszołomionego Barachę otoczyły strażniczki, które szybko wyprowadziły go po schodach i drabinach, aż znów znalazł się w swojej skalnej dziurze.

Obiecały mu na jutro kolejnego psa i mocniejsze więzy.

Przez ten czas do klasztoru w Sato dotarły wieści. Wróż przeżył we śnie wizję: Baracha cierpiał długie i niewypowiedziane męki. Wysłali gołębia pocztowego do agenta zakonu, a ten powiadomił Asha, który przebywał wtedy na wyspie Lagos. Ash szybko wyruszył do Masheen, a stamtąd do Miasta Chmur, przebrany za jednego z wielu wyznawców, którzy ciągnęli do pałacu, aby oddać cześć swojemu bogu. Opracował plan zaledwie po kilku dniach rozpoznania.

W Zakazanym Sanktuarium miała się odbyć uczta z okazji dnia urodzin ulubionej metresy bóstwa. W tym wydarzeniu mieli prawo uczestniczyć tylko najbardziej zaufani ze wszystkich wiernych. W noc uczy goście spożywali najbardziej egzotyczne dania: pieczone ognioćmy i piaskowe krewetki w miodzie, rzadkie nietotne ptaki, wciąż jeszcze z piórami, gotowane jajka muala i groteskowe egzemplarze ryb tak wielkich, że nie można było przygotować ich w kuchni Zakazanego Sanktuarium, ale w innej części pałacowego kompleksu, skąd przenoszono je pod strażą do sali bankietowej. Głównym elementem tych kulinarnych odkryć miał być mruczący wąż. Stwora wniosło czterdziestu pałacowych służących i rozciągnęło na całą długość czterdziestometrowego stołu. Był gruby jak beczka i biały jak czerw, albowiem podczas długiego życia w podziemnych szczelinach i grotach nigdy nie wystawiał się na światło dnia. Goście jeszcze nie zdążyli skosztować tego delikatesu, kiedy Król Słońce wkroczył do sali w otoczeniu zawsze czujnych strażniczek.

Zapadła cisza i wszyscy padli na podłogę.

Z początku nie zauważyli tego, co wysunęło się z boku wielkiego węża.

Najpierw pojawiło się w jednym z większych nacięć, przez które

kucharze wypełniali wnętrze delikatnym nadzieniem. Ale potem ktoś krzyknął - była to właśnie metresa Króla Słońca - i wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. Na zewnątrz wysunęło się ramię, potem głowa, aż w końcu całe ciało mężczyzny, który oddychając z trudem, wypadł na podłogę. Natychmiast wstał na nogi. Ubranie miał wilgotne od soków zwierzęcia.

Po drugiej stronie sali błyszczał Król Słońce. Jego nagie ciało pokryte było migoczącym złotem, nawet włosy i rzęsy. Obcy przybysz nie nosił żadnych ozdób i miał puste ręce.

Kiedy szedł w stronę Króla, wierni rozstępowali się przed nim; wielu było zdumionych widokiem jego czarnej skóry, całkiem jakby sam Wąż Świata powrócił w ludzkiej postaci.

Oszło im ich ten mroczny duch - nawet strażniczki, które z rozszerzonymi oczami wpatrywały się w nadchodzącą postać. Wszyscy znieruchomieli. Tymczasem obcy wstał na podwyższenie, gdzie stał Król Słońce, i pochylił się, jakby chciał go pocałować.

Ocknęli się dopiero na widok noża, który pojawił się jakby znikąd, a jego ostrze dotknęło krtani złotoskórego boga.

- Odsunąć się! - wrzasnął Ash, powstrzymując ich, gdy biegli na pomoc swojemu panu.

Najwyraźniej nie uważali Króla Słońce za nieśmiertelnego.

Patrzyli na ostrze przy szyi, patrzyli na twarz obcego, na oślepiająco białe oczy i zęby.

Ash rozkazał, aby uwolnili i przyprowadzili jego towarzysza. Kiedy nikt się nie ruszył, powtórzył swoje słowa, tym razem zwracając się do króla.

- Zrób to - polecił - to cię nie zabiję.

Uwierzył mu czy nie, król skinął drżącą dłonią, nakazując wiernym wykonać rozkaz.

Przez dłuższy czas wszyscy stali i czekali, aż wyciągną Barachę z jego celi. W końcu minęło już dość czasu, by wierni zaczęli przestępować z nogi na nogę i szeptać między sobą.

Smród potu uniósł się ze skóry władcy. Sytuacja mogłaby być zabawna, gdyby nie strażniczki, które wyraźnie traciły cierpliwość. Ash zdawał sobie sprawę, że mimo zagrożenia wobec boga, jedna z nich może się wyrwać i spróbować ataku.

Wreszcie zaskrzybiały drzwi i Ash rozpoznał prowadzonego do sali Barachę. Kiedy więzień spojrzął na niego jedynym zdrowym okiem i zobaczył stojącego przed sobą wędrowca, uznał, że Ash przybył, by dokończyć wendetę i zginąć u jego boku. W żaden sposób przecież nie zdołają się stąd wydostać, kiedy Król Słońce już zginie.

- A teraz powiedz im - zwrócił się do boga Ash. - Powiedz, kim naprawdę jesteś.

Król Słońce był bliski załamania. Pot ściekał z niego strumieniami, a u nagich stóp uformował kałużę.

Kiedy nóż przekłuł skórę i pojawiła się kropla krwi, fałszywe bóstwo zaczęło bełkotać ze zgrozą.

Opowiedział wszystkim, kim był naprawdę. Że urodził się w klanie wędrownych złodziejasków, którzy zarabiali na życie drobnymi oszustwami. Tłumaczył, jak usłyszeli o tej zniszczonej górze i dawnym proroctwie i jak wpadł na świetną myśl, żeby stać się bogiem; złodzieje z rodziny mieli udawać pierwszych apostołów. Ledwie słyszalnym szeptem przyznał się, jak ich mordował i zdradzał przez kolejne lata, bowiem przestał im ufać, gdy tylko przejął władzę. Usuwał ich w ten czy inny sposób, aż stał się samotny. Ludzie wokół Asha i króla przestali patrzeć z przerażeniem, a w ich wzroku pojawiła się niepewność, a potem gniew.

- Proszę was - błagał. - Z pewnością musiała mnie tu doprowadzić boska ręka. Kto mógłby bez boskiej pomocy dokonać tego co ja? Pytam was! Nawet jeśli nie jestem bogiem, to przynajmniej jestem wybranym przez boga pośrednikiem.

- A zatem wracaj do swojego boga - powiedział Ash i odstąpił.

Zebrani w sali nawet nie próbowali powstrzymać Rōshuna. Zwrócili się do nagiego, drżącego ze strachu złotego mężczyzny i rzucili się na niego niczym dzikie zwierzęta na ofiarę.

- I wiesz to wszystko od Barachy i Asha, znanych ze swojej gadatliwości? - zapytał Nico, mrużąc oczy od słońca.

- Przyznaję, że może trochę upiększyłem historię i wypełniłem niektóre luki. Słyszałem też inne wersje. Chodzi jednak o to, że mój mistrz nie był Ashowi wdzięczny za pomoc. Nie; poczuł się poniżony i od tego czasu korzystał z każdej okazji, żeby zmierzyć się ze swoim wybawcą albo rzucić o nim jakąś lekceważącą uwagę, żeby inni



usłyszeli. Najbardziej ze wszystkiego chciałby bezpośredniego starcia, pojedynku, w którym mógłby wykazać, że jednak Ash nie jest lepszy.

- Myślisz, że Ash wygrałby taki pojedynek?

- Oczywiście, że by wygrał. Nie słuchałeś?

Mówiąc to, Aléas szukał czegoś pod szatą, i po chwili wyjął dwa suszone preeny i rzucił jeden Nicowi.

- Powiem ci tyle - kontynuował - wyobraź sobie wendety dokonywane przez ten zakon.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto chodzi o zabicie jakiegoś chciwego kupca lub zazdrosnego kochanka. Ale to nie dla Asha: Rōshuni mają dla niego specjalne imię.

Nazywają go *inshasha*, co oznacza zabójcę królów.

Nico nadgryzł suszony owoc, rozkoszując się ostrym dymnym smakiem na języku.

Przełknął, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- A jak nazywają Barachę? - zapytał.

Zanim Aléas zdołał odpowiedzieć, na ich nogi padł cień - to Olson stanął w drzwiach, podpierając się pod boki.

- Co to za nieróbstwo? - zawołał, widząc obu leniuchujących uczniów. Potem spostrzegł zakrwawioną wargę Aléasa. - Ach, w dodatku walczyliście ze sobą.

Podszedł do nich energicznie, chwycił obu za uszy i poderwał do góry.

Nagły ból przyćmił nieco wzrok Nica.

- Jak nazywają Barachę? - syknął mimo to, zgięty w uchwycie palców Olsona.

Krztusząc się jednocześnie ze śmiechu i bólu, Aléas zdołał powiedzieć:

- Alhazii.

- Co tu się dzieje?! - zahuczał jakiś głos z drugiej strony dziedzińca, kiedy Olson wyciągnął ich ze stajni.

Głos należał do Barachy, który przerwał swoje ćwiczenia z mieczem.

Obaj uczniowie wyprostowali się natychmiast, gdy tylko Olson ich puścił.

- Przyłapałem ich na lenistwie. Jedli kradzioną żywność. I

najwyraźniej walczyli ze sobą.

- To prawda, Aléasie? - spytał Alhazii swojego adepta. - Przewracacie się teraz po ziemi, jak dzieci?

- Ależ skąd - odparł Aléas, ścierając z brody resztkę krwi. - Ćwiczyliśmy szermierkę krótkimi kijami. Obawiam się, że byłem zbyt powolny w obronie.

- Tylko ćwiczyliście? - Potężny mężczyzna ujął Aléasa pod brodę i obejrzał ranę. Puścił go, najwyraźniej niezadowolony z tego, co zobaczył. - Kazałem ci trzymać się z daleka od tego chłopaka, i teraz rozumiesz dlaczego. Pamiętaj, że uczysz się, jak zostać Rōshunem. Nie rozwiązujemy naszych sporów jak psy, które gryzą się na ulicy. Jeśli jest między wami jakiś konflikt, musimy go rozstrzygnąć we właściwy sposób.

Aléas i Nico spojrzeli na siebie niespokojnie.

- Ale my nie mamy żadnych konfliktów - zapewnił czujnie Aléas.

- Co? Przecież krwawiłeś, chłopcze.

- Tak, ale to był tylko przypadek.

- To obelga!

- Mistrzu - rzekł Aléas. - Nie zostałem obrażony. To zwykły sport.

- Cicho, Aléasie.

Uczeń ponuro zwiesił głowę.

- Musimy rozstrzygnąć to jak należy - obwieścił Baracha, spoglądając porozumiewawczo na Olsona. - I dokonamy tego w tradycyjny sposób, rozumiecie?

O nie, pomyślał Nico. Wcale mu się nie podobało to, co usłyszał.

- Świetny pomysł - zapewnił Olson z błyskiem w oku. - Przyniosę, co trzeba.

Po czym odszedł w stronę północnego skrzydła.

- Co trzeba? - powtórzył Nico, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Będziemy łapać ryby. - Aléas westchnął, wpatrując się nieruchomo w ziemię.

Łapać ryby? - zdziwił się Nico, ale wiedział, że lepiej nie otwierać ust. Wśród narastającej paniki zastanawiał się tylko, jakie straszliwe próby mogą kryć się pod tak niewinnym określeniem.

## ROZDZIAŁ 16

### Połów



- **W**idzę, że zachowujesz do niego dystans - zauważył Kosh, mówiąc w ich rodzinnym honshu.

- Zachowuję dystans do wszystkich - odparł Ash, podając przyjacielowi tykwę z ogniem Cheem.

Kosh wypił łyk i oddał naczynie.

- Owszem. Ale szczególnie do tego chłopaka. O to mi chodziło.

- Tak jest dla niego lepiej.

- Naprawdę? Lepiej dla niego czy lepiej dla ciebie?

Ash oparł się o pień drzewa, pod którym siedzieli na skraju lasu mali. Wypił jeszcze łyk i poczuł, jak palący płyn ścieka mu przez gardło do żołądka.

Jak na góry Cheem, dzień był wyjątkowo gorący, więc cień pod koroną tego mali dawał prawdziwą ulgę. Codzienne odgłosy niedalekiego klasztoru zakłócały ciszę rozpostartej przed nimi doliny. Wydawała się mała i drogocenna na tle wyrastających wokół surowych gór: w oddali przykryte śniegiem szczyty, niżej zbocza usiane jasnymi punktami dzikich kóz, powyżej zaś intensywny błękit nieba i żeglujące po nim chmury, na pozór delikatniejsze niż papier.

Kosh czknął.

- Wiesz, wysłałem jego list do matki - oświadczył ostrożnie.

- Przeczytałeś najpierw?

Przeczący ruch głowy.

- Chłopak jest delikatny. Słyszałem, że zwykle trzyma się na osobności.

- Może tak woli.

- Tak samo jak jego mistrz. Zastanawiam się jednak... Zastanawiam się, czy jest na to wszystko gotów.

- A kto w ogóle jest na to gotów? - prychnął Ash.

- My byliśmy.

- Byliśmy żołnierzami. Zabijaliśmy już wcześniej.

- Żołnierze czy nie, byliśmy stworzeni do takiego życia. Ale kiedy patrzę na twojego chłopaka, nie widzę tego w jego oczach. Może być wojownikiem, owszem. Ale czy łowcą?

Zabójcą?

- Bzdury opowiadasz, Kosh, jak zwykle. Jest tylko jedno, co liczy się w tej pracy. A nawet w tym świecie. I on ma to przede wszystkim.

- Ładną matkę, która potrzebuje jakiejś ostrej akcji?

Ash uniósł głowę.

- Ma serce - odparł.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając w głąb doliny. Słońce migotało, odbite w zmarszczkach na powierzchni strumienia przypominającego srebrzystą wstęgę usianą złotymi rozbłyskami. Ash widział, że Kosha wciąż dręczą pytania. Powstrzymywał je już od dnia, kiedy Ash powrócił do klasztoru w Sato, prowadząc ze sobą ucznia.

- Jestem tylko zdziwiony, to wszystko - oświadczył w końcu Kosh.

- Nie sądziłem, że po tylu latach zobaczę cię z uczniem. A mówią, że nie da się starego psa nauczyć nowych sztuczek. - Jego głos zmienił się nagle, przycichł. - Czy czas wyleczył w końcu rany?

Ash spojrział na niego z ukosa; Kosh z oczu wyczytał odpowiedź.

Skinął głową i popatrzył w dal - być może wracając do własnych wspomnień z tego dnia, o którym żaden z nich nie chciał mówić.

Ash już dawno się przekonał, że potrafi odtworzyć we wspomnieniach twarz syna tylko w tych ostatnich chwilach życia chłopca. To ironia pamięci, myślał, że widzimy wyraźnie tylko najbardziej bolesne momenty.

Widział te rysy nawet teraz, bardziej podobne do matczynych niż jego własnych. Syn, szkolący się na giermka, czternastoletni i niezgrabny w ciężkim skórzanym napierśniku, dźwigający zapasowe włócznie i obwieszony bukłakami z wodą. Chłopiec brnął w jego stronę, przestępując nad konającymi i poległymi w obronie pozycji na niewielkim wzgórzu na lewej flance; potykał się przerażony. Wołanie Asha ginęło w ogłuszającym hałasie toczącej się bitwy. Twarz syna poblądła nagle, kiedy obejrzał się i zobaczył kawalerię, szarżującą z tyłu na ich przeredzone szeregi. Żołnierze generała Tu, ich towarzysze z Armii Ludu, w zamian za fortunę w złocie przeszli na stronę władców.

W tej właśnie chwili Ash zrozumiał, że bitwa jest przegrana. Wiedział też, że jego syn jest martwy - zanim jeszcze jeździec wychylił się z siodła i przeciął mieczem kark chłopca, jednym uderzeniem odrąbując głowę... w jednej chwili stał tam żywy chłopak, a w następnej pozostała już tylko groza, która odcisnęła się w pamięci już na zawsze, pozbawiony życia przedmiot, padający na ziemię, by zniknąć między innymi ciałami.

Ash wpadłby w szal, gdyby Kosh i jego giermek nie powalili go na ziemię i nie odciągnęli od zwłok syna i z pola walki. Całe ich lewe skrzydło rozbiegło się już jak nasiona dmuchawca na wietrze. Ze stanowiska Oshō sygnał odwrotu powiewał niezauważony, gdyż wszyscy uciekali w panice. Kiedy dotarli do jednego z wąwozów, generał ze swoją gwardią stanął na drodze ścigającej ich konnicy. Walczyli i cofali się powoli, gdy tymczasem resztki jego armii, około trzech tysięcy ludzi, gnały przed siebie, myśląc jedynie o ratowaniu skóry.

Tamtego dnia większość uważała się za wielkich szczęściarzy, że udało im się ująć z życiem. Ash nigdy tak nie myślał.

Odezwał się gong. Może dźwięczał już od kilku minut, zanim któryś z nich zwrócił na to uwagę.

Ash i Kosh poruszyli się i spojrzeli w stronę klasztoru.

- Śniadanie?

- Śniadanie jedliśmy dwie godziny temu.

- W takim razie o co chodzi?

Jednak Ash poderwał się już i skinieniem głowy ponaglił Kosha.

Coraz bardziej zakłopotany Nico stał na dziedzińcu, słuchając uderzeń gongu. Wokół gromadzili się mieszkańcy klasztoru. Ani Olson, ani Baracha nie prosili o gong; zrobił to inny Rōshun, nieznanym Nicowi z imienia, który zobaczywszy, co się dzieje, uśmiechnął się i zdecydował, że trzeba wezwać wszystkich, by mogli uczestniczyć w dzisiejszej rozrywce.

Wydawało się, że każdy obecny w klasztorze Rōshun zjawiał się na dziedzińcu. Był Dzień Głupców, więc wszyscy mieli wolne; stali i rozmawiali wesoło, a ciepło letniego słońca gwarantowało dobre nastroje.

Aléas stanął o dziesięć kroków od Nica; Baracha szeptał mu coś do ucha. Młody człowiek wydawał się równie skrępowany tą sytuacją, co jego przeciwnik.

Wtedy właśnie przez bramę wszedł Ash w towarzystwie Kosha; obaj szli tym ostrożnym krokiem ludzi już trochę pijanych.

Cudownie, pomyślał Nico; teraz będę mógł zrobić z siebie durnia także przed mistrzem...

Ash zatrzymał się i spojrzał na rozgrywającą się przed nim scenę: spuchnięta warga Aléasa, pochylony nad nim Baracha, Olson z posępną miną, ale rozbawionym wzrokiem; pomiędzy dwójką uczniów zestaw narzędzi: dwie szpulki linki na ryby, każda z haczykiem i srebrzystą folią na błystki, a obok dwie duże obciążone sieci.

Ash bez słowa zajął miejsce przy swoim uczniu. Nico postanowił się nie odzywać, dopóki stary wędrowiec nie przemówi pierwszy. Stali więc tak przez chwilę jak dwie niemowy; Rōshuni dookoła szeptali do siebie. Aléas pokręcił głową, ale Baracha zmarszczył brwi i syknął coś gniewnie. Pociągnął ucznia do rozłożonego na ziemi sprzętu; krew znowu popłynęła z rozciętej wargi chłopca.

- To wszystko jest bez sensu - wyrzucił w końcu Nico, zwracając się do mistrza.

Kątem oka zobaczył, że starzec kiwa głową.

- Musisz to przejść - powiedział.

Olson wzniosł ręce, by uciszyć widzów.

- Wystąpcie - zwrócił się do obu uczniów.

Obaj młodzieńcy podeszli do rybackich narzędzi; Aléas wpatrywał

się w nie - albo może w ziemię, na której leżały. Nico za to przyglądał się Aléasowi, jednak tamten unikał jego wzroku.

- Tu, w Sato, mamy metody załatwiania takich sporów - oznajmił Olson. - Różnicę zdań rozstrzygniecie w tradycyjny sposób, albowiem wynika on z mądrości. - Wskazał leżący sprzęt. - Każdy z was wybierze jeden z tych przedmiotów. Tak wyposażeni, ruszycie do stawów na samym końcu doliny. Tam będziecie łowić aż do południa, łapiąc tyle, ile zdołacie, takich rozmiarów, jakie się trafią, po czym wrócicie tu od razu. Macie trzy godziny.

Jeśli nie będzie was z powrotem z uderzeniem gongu, zostaniecie zdyskwalifikowani. Ten, który pokaże więcej ryb na tym dziedzińcu, będzie zwycięzcą. Wasz spór zostanie wtedy rozwiązany. Czy obaj zrozumieliście?

Aléas ponuro kiwnął głową. Po chwili Nico poszedł za jego przykładem.

- Dobrze. A teraz wybierajcie.

Nico zerknął na swojego mistrza, szukając rady. Ash zamrugał, ale milczał.

Ryby, myślał chłopiec. Może naprawdę chodzi o łapanie ryb?

Ale równocześnie musiało tu chodzić o coś więcej, czego dowodziło zainteresowanie Rōshunów. Uczeń był świadectwem swojego mistrza. Publiczne współzawodnictwo między tymi dwoma było tak naprawdę starciem między Ashem i Barachą.

Nico chciał to powiedzieć, poradzić obu mężczyznom, żeby sami rozstrzygnęli między sobą ten konflikt i jego w to nie mieszał. Zachował jednak milczenie.

W końcu, pomyślał, może rzeczywiście będę miał teraz szansę na zwycięstwo z Aléasem.

Skupił się i przyjrzał przedmiotom u stóp. Linka czy sieć, zastanawiał się. Siecią złapie więcej ryb, ale sądząc z wyglądu, jest ciężka, obciążona kamieniami na brzegach. Najpierw będzie musiał biec całą drogę na sam koniec doliny, dźwigając tę sieć na ramieniu, a potem wcześniej ruszyć w drogę powrotną, by dotrzeć przed uderzeniem gongu. Nie, na to nie miał sił. Za dużo straci czasu. Poza tym Nico umiał łowić. Taka sieć po pierwszym rzucie już tylko straszy ryby.

Dlatego przykleknął i chwycił nieduży kłębek linki.

Znów obejrzał się na Asha. Stary wędrowiec niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Aléas także dokonał wyboru. Nico patrzył z pewną satysfakcją, gdyż jego przeciwnik wybrał ciężką sieć.

- Przypominam - dodał Olson. - Ten, który wróci o czasie, niosąc więcej ryb, będzie zwycięzcą. A teraz naprzód.

Wśród widzów zabrzmiały krzyki i śmiechy. Aléas przerzucił sieć przez ramię i pobiegł do bramy. Po chwili wahania Nico ruszył w pościg.

Wspinaczka trwała w wilgotnym upale. Nico biegł, aż zabołały go nogi. Otuchy dodawał mu fakt, że na kamienistej ścieżce wyprzedził Aléasa. Młody człowiek zwalniał już pod ciężarem sieci na plecach.

- Zostawię dla ciebie trochę ryb! - zawołał przez ramię, lecz Aléas nie odpowiedział.

Szedł równym krokiem, zwieszając głowę.

Nico w biegu ściągnął ciężką szatę i został tylko w cienkiej szarej bieliźnie. Ubranie cisnął daleko w wysokie trawy, by nie podsuwać Aléasowi tego samego pomysłu.

Cały czas uważając na grunt pod stopami, Nico zmierzał przed siebie w tempie, o którym wiedział, że z pewnością zdoła je utrzymać. Po prawej stronie płynął strumień, ale Nico nie zbliżał się, by nie wchodzić na grząski pas ziemi nad brzegiem. Słońce wzeszło wyżej, choć do doliny napłynęło więcej chmur, chroniących przed żarem, a chwilę później nadszedł wiatr, który rozwiał mu włosy i wprawił trawę wokół w falowanie.

Nico minął chatę Wróza i skłonił głowę, widząc wiekowego mnicha, który siedział na zewnątrz i malował coś na arkuszu pergaminu. Odpowiedział chłopcu skinieniem.

Przystanął na krótką chwilę, by napić się wody z coraz węższego strumyka. Kiedy spojrzął za siebie, dostrzegł sylwetkę Aléasa, wlokącego się z trudem tą samą ścieżką. To był przyjemny widok.

Pół godziny później dotarł do końca doliny, gdzie skręcił do strumienia i ciągu bulgoczących źródełek. Widział pstrągi połyskujące w sadzawkach, które powstały wokół nich. Szybko wybrał najlepsze miejsce i zbliżył się tam ostrożnie.



Sprawnie rozwinął linkę, wpatrując się w jeziorko i pływające w czystej wodzie ryby.

Potem wytrząsnął haczyk i błysk. Przypomniał sobie, że potrzebny jest spławik, więc zerwał gałązkę z poszarpanych wiatrem krzaków i przywiązał ją do linki. Odetchnął głęboko, zarzucił haczyk i przykucnął, by czekać.

Ryby były głodne. Niemal od razu, gdy tylko srebrna błyska spadła do wody, dopadł jej pstrąg i pochłoniął ją razem z haczykiem. Nico aż pisnął z podniecenia i szybko poderwał linkę. Ryba była mała, ale rozmiar nie miał znaczenia. Czuł niewielki ciężar, kiedy ostrożnie wyciągał ją z wody, trzepoczącą na końcu linki. Po chwili trzymał ją już w rękach, mokrą, śliską, realną i próbującą się wyrwać. Z wprawą, której nabrał jeszcze w dzieciństwie, zdjął ją z haczyka i zabił uderzeniem o kamień.

Szybko znów wrzucił haczyk do wody; serce biło mu mocno. Nie do końca mógł uwierzyć, jak łatwo mu idzie; uśmiechał się szeroko.

- Chociaż raz, moi mali przyjaciele - zwrócił się do niezłapanych jeszcze ryb - fortuna zaczęła mi sprzyjać.

Godziny płynęły wolno. Nico pracował z haczykiem i linką do chwili, gdy uznał, że ryby w jeziorku są dostatecznie przetrzebione, potem przenosił się do kolejnego, niższego, i tam próbował szczęścia.

Była to czysta praca, dająca satysfakcję. Nastrój miał spokojny i życzliwy światu, jak ciepło słońca na nagich ramionach. Wietrzyk igrał w wąwozie wyrzeźbionym nurtem rzeki - dostatecznie chłodny, by odświeżać. Od czasu do czasu odzywał się jakiś niewidoczny ptak.

Szemrała woda. Muchy brzęczały leniwie, a czasem podlatywały tak blisko, by zabzyczeć mu prosto w ucho.

Nie widział już Aléasa, co uznał za dziwne. Z początku niepokoił się, że kolega szykuje podstęp. Ale czas mijał, słońce wznosiło się powoli do najwyższego punktu swojego łuku i Nico pozwolił sobie uwierzyć, że Aléas sam zrezygnował - może skręcił nogę, a może postanowił łowić niżej, uznając, że sieć jest za ciężkim brzemieniem.

Obok niego na trawie leżały już dwadzieścia dwa małe pstrągi, nawleczone na kawałek linki. Z położenia słońca wywnioskował, że ma jeszcze jakieś pół godziny, nim będzie musiał ruszyć w drogę powrotną. Postanowił zostawić sobie sporo czasu.

Tak pochłoneły go wyliczenia, że nie usłyszał za sobą delikatnych odgłosów, sugerujących, że ktoś się zbliża.

Ptaka przerwał swoją piosenkę. Kępka trawy zaszeleściła, jakby nadepnięta. Nico nie zauważył jednego ani drugiego. Jednak kiedy wiatr zawirował nagle, jego nozdrza pochwyciły jakiś zapach. Pociągnął nosem, nie zdając sobie z tego sprawy; jego umysł, znowu czujny i ostrożny, próbował umiejscowić tę woń. I po chwili zrozumiał: to odór ludzkiego potu.

Nico odwrócił się zaalarmowany.

Ale było już za późno.

- Nienawidzę ci tego robić, naprawdę. Ale mój mistrz nie zostawił mi wyboru i taki jest efekt.

Te słowa robią wrażenie, pomyślał Nico. Choćby dlatego, że zostały wypowiedziane tylko ze śladem zadyszki, jakby Aléas wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem, a nie szedł w dół, dźwigając na jednym ramieniu przewleczone przez pętlę z linki złowione ryby, a na drugim rybacką sieć wypełnioną zwiniętym w kłębek chłopcem.

Nico zamrugał jednym okiem, strącając z niego krople potu. Drugie opuchło już mocno po ciosie, którego nie pamiętał. Przypominał sobie tylko, że się odwrócił, zauważył jakiś błyskawiczny ruch... a potem był już tutaj, w najbardziej krępującej pozycji, jaką mógł sobie wyobrazić.

- Twoje słowa - wymamrotał przez zaciśnięte zęby i przez sznury sieci, krzyżujące mu się na twarzy - wcale mnie w tej chwili nie pocieszają, Aléasie.

Tamten stęknął tylko, jakby chciał potwierdzić, że ten świat nie zna wdzięczności i on właśnie musi to znosić.

- Dlaczego to robisz? - spytał Nico, czując sznur sieci między zębami. - Tak bardzo się boisz swojego mistrza?

Aléas przystanął na chwilę. Odwrócił się, by odpowiedzieć, jakby Nico stał za nim.

- To nie strach, Nico. Mógłbym go pokonać dowolną bronią, jaką by mi wybrał, chociaż on tego nie wie.

- Tak? - rzucił Nico ze zdziwieniem, by zyskać na czasie.

- Zawdzięczam mu życie, Nico. A jaki masz wybór, kiedy tyle jesteś

komuś winien?

Aléas pomaszerował dalej. Przy każdym jego kroku Nico krzywił się z bólu w napiętych mięśniach, drętwiejących już - oprócz jednej ręki, którą zdołał wystawić przez oko sieci.

- Wynagrodzę ci to - usłyszał głos Aléasa, cichszy niż poprzednio. - Obiecuję.

Nico poczuł, jak sznur rozrywa mu się między zębami. Wolna ręka szarpnęła mocno i zerwała kolejne włókno, potem następne... Aż nagle wyturlał się przez otwór na ziemię i przetoczył przez ramię.

Aléas odwrócił się natychmiast i patrzył, jak Nico wstaje niepewnie; wyglądał raczej na rozbawionego niż zaskoczonego. W dłoniach wciąż ścisnął przerzuconą przez ramię pustą sieć.

Szybkim prawym sierpem Nico starł mu uśmiech z twarzy. A kiedy Aléas się zachwiał, próbując odzyskać równowagę, stopa Nica trafiła go precyzyjnie w krocze, tak mocno, że sam Nico skrzywił się z bólu.

Aléas zbladł nagle.

Delikatnie osunął się na ziemię, przyciskając dłonie do podbrzusza.

- Na litość... - szepnął. - Czy to naprawdę było konieczne?

- Takich wyborów musimy dokonywać na tym smutnym świecie. I taki jest efekt.

- To już lada chwila - uznał Kosh, podając przyjacielowi tykwę.

- Naprawdę uważasz, że może zwyciężyć? - spytał Oshō, obserwując wejście na dziedziniec.

Kosh wzruszył ramionami.

- Zawsze powtarzasz, że żadne zwycięstwo nie jest pewne, nawet jeśli już zostało odniesione.

Oshō zachichotał na te słowa, Ash zaś poczuł ulgę, słysząc jego śmiech.

- Jeśli wygra twój chłopak - rzekł Baracha, który także wpatrywał się w bramę, równocześnie nerwowo stukając palcami o udo - to połknę własny język, od razu, prosto z ust.

- Proszę cię... - westchnął Kosh. - Naprawdę wolałbym, żebyś tego nie robił.

W rogu dziedzińca wodny zegar pluskał głośno, odmierzając czas. Ash był zdziwiony, że odczuwa nerwowy ucisk w żołądku - może tylko zaraził się nerwowością od Barachy. A może naprawdę mu

zależało, by pokonać Alhazii w tych bezsensownych gierkach.

Coś takiego przyda się chłopakowi. Zwycięstwo na oczach wszystkich pomoże mu zyskać pewność, uwierzyć w siebie.

- Idą - rzucił Kosh na chwilę przed tym, nim obaj uczniowie pojawili się pod łukiem bramy. Niektórzy krzyknęli; z budynku wybiegli kolejni Rōshuni.

- Ha! - zawołał Kosh. - Patrzcie, idą ramię w ramię. I razem niosą połów.

- Co to znaczy? - zdziwił się Ash, uśmiechając się szeroko.

Baracha skrzyżował ręce na piersi. Przesuwał szczękę z boku na bok, jakby rzeczywiście próbował odgryźć sobie język.

Obaj chłopcy byli brudni i spoceni. A kiedy zatrzymali się przed zebranymi Rōshunami, ich wzrok mówił wyraźnie, że skończyli tę zabawę, niezależnie od tego, co inni mają do powiedzenia. Zgranym ruchem rzucili pod nogi swym mistrzom sieć i złowione ryby.

- Dość tego - mruknął Aléas do Barachy, gdy tamten zdziwiony przechylił głowę.

Rōshuni ciasniej otoczyli uczniów. Kosh klepnął obu po plecach, a Aléas objął Nica za ramiona i uśmiechnął się z satysfakcją.

To Oshō zauważył przybycie Wróża. Zwrócił uwagę Asha, kiedy zrobił kilka kroków naprzód, spoglądając w łuk bramy, gdzie w upale czekał starzec.

Cisza zapadała powoli, gdy pozostali Rōshuni także zauważyli przybysza. Oshō i Ash wyszli mu na spotkanie.

- Stało się coś niedobrego - stwierdził Aléas, ciągnąc Nica za sobą.

- *Ken-dai* - oznajmił Wróż, zwracając się do Oshō. Jego głos zabrzmiał dźwięcznie wśród ciszy.

- *Ken-dai* - odparł Oshō.

- O co chodzi? - szepnął Nico.

Ale Wróż mówił dalej.

- *Ramaji kana su.*

Aléas schylił się do ucha Nica.

- Miał sen - przetłumaczył.

- *San-ari san-re, su shidō matasha.*

- Sądzi, że powinniśmy o nim usłyszeć, zanim świat obróci się dalej.

- *An Rōshun tan-su... Anton, Kylos shi-Baso... li an-yilichō. Naga-su!*  
Aléas gwałtownie nabrał tchu, podobnie jak wszyscy obecni. W absolutnej ciszy wyszeptał:

- Nasi trzej Rōshuni, ci, których wysłaliśmy przeciwko synowi matrony... wszyscy zginęli w Q'os.

- *An Baso li naga-san, noji an-yilichō.*

- Baso odebrał sobie życie, zgodnie z tradycją, aby nie wpaść w ręce kapłanów.

Na dziedzińcu zapanował bezruch. Wszyscy czekali na coś więcej, ale widocznie starzec nie miał już nic do powiedzenia.

- *Hirakana. San-sri Dao, su budos* - rzekł w końcu, na chwilę składając dłonie.

Potem odwrócił się na pięcie i odszedł; jego rozciągnięte uszy kołysały się na boki, kiedy znikał za bramą.

- To wszystko. Zostańcie z Dao, bracia.

Wszystkie oczy wpatrywały się w Oshō. Nico zauważył, że przywódca zaciska pięści, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

Cisza trwała nadal; Rōshuni czekali na głos wodza, może na jakąś przemowę, może choć kilka słów, by uhonorować poległych towarzyszy. Ale Oshō milczał. A milczenie z wolna zmieniało się w pustkę, wymagającą wypełnienia.

Nico wpatrywał się w dłonie Oshō, w jego pobielające palce. Chwila przedłużała się kłopotliwie i kilku młodszych zaczęło przestępować z nogi na nogę.

Ash uniósł nogę i postąpił o krok naprzód. Widząc to, Baracha uczynił to samo. Obaj próbowali przemówić równocześnie.

- Ja pójdę - oznajmił Ash.

- I ja także - rzekł Baracha.

Spojrzeli na siebie z wyraźnym zdziwieniem.

Za ich plecami Aléas i Nico zrobili to samo.

## ROZDZIAŁ 17

### Wojna pod ziemią



Większą część dnia Bahn spędził pod ziemią.

Generał Creed posłał go do labiryntu tuneli i komór wyrytych w ziemnych i kamiennych fundamentach zewnętrznej bariery - Muru Kharnostu. Saperzy i Specjalni pracowali tam bez przerwy, by nie dopuścić do podkopania Tarczy przez wrogów. Jego instrukcje były proste: jako niezależny obserwator miał ocenić sytuację ludzi na dole.

Są jak upiory, uznał Bahn w pierwszej godzinie pod ziemią, w zimnych, ciemnych przestrzeniach, gdzie pracowali ciężko, a niekiedy walczyli.

Saperzy wydawali się obszarpani i brudni. Wielu z nich było przestępcami, zwolnionymi z kary pod warunkiem, że zaczną pracować tutaj. Wielu jednak zgłosiło się na ochotnika - głównie byłych górników i wykwalifikowanych robotników. Każdy fragment ich skóry, którego nie pokrywał brud, jaśniał w słabym świetle latarni chorobliwą bladością. Kopali ziemię, przynosili ziemię, podpierali stropy smołowanym drewnem, a wszystko w posępnej ciszy, jak w trumnie. Dni niewolniczej, bezlitosnej, wyczerpującej harówki nie pozostawiały wiele czasu na sen. Pracowali na zmiany po jedenaście godzin, pół doby, które w tunelach wydawało się trwać dwa razy dłużej, a potem wychodzili na powierzchnię, gdzie chciwie łykali świeże powietrze i przecierali porażone słońcem oczy

niczym ludzie wracający z martwych.

Specjalni stanowili jakby inny gatunek. Żyłaści i małomówni w swych pancerzach z czarnej skóry, z odsłoniętymi twarzami pokrytymi siatką blizn, siedzieli oddziałami w niewielkich komorach, ledwie mieszczących ich wszystkich; grali w karty, naprawiali sprzęt albo zwyczajnie czekali na sygnał alarmu z oczami zmętniałymi od nudy. Mieli psy - silne zwierzaki o spłaszczonych pyskach, hodowane specjalnie do podziemnych walk i pokryte bliznami tak samo jak ich opiekunowie. Leżały przywiązane smyczami do filarów, z ciałami okrytymi podobnymi, ale prostszymi skórzanymi osłonami. Od czasu do czasu strzygły uszami, reagując na szczekanie innych psów pod ziemią.

Powietrze było cuchnące i stęchłe. W słabym świetle oczy szybko się męczyły. Cisza uciskała uszy, jak zapowiedź czegoś straszego.

Bahn po raz pierwszy odwiedzał tunele. Jak większość zwykłych żołnierzy, był zadowolony, że może je omijać. Opowieści o podziemnych starciach słuchał ze zgrozą, jaką budziła sama myśl o tym, co przeżywali ci ludzie, ale też z ulgą, że jego nie ma wśród nich.

Nie mógł nie wspominać własnego brata, który kiedyś także żył w tych podziemiach. Jako ochotnik w Specjalnych nudził się przez kolejne zmiany, wiedząc, że lada chwila może zabrzmieć alarm i wezwać go do desperackiej, chaotycznej walki w jakimś ciemnym przejściu, nie wyższym ani szerszym niż on sam. Cole wytrzymał dwa lata; potem się załamał, zdezerterował z armii, porzucił rodzinę i wszystko, co znał. Nigdy nie rozmawiał o swoich doświadczeniach spod ziemi - nawet z Bahnem.

Bahn szedł teraz tunelem tak niskim, że musiał się schylać, by unikać osiadających, na wpół spróchniałych belek. Droga biegła zygzakiem przez setki sążni, oświetlona latarniami rozmieszczonymi zbyt rzadko, by zlewały się plamy ich świateł. Na każdym skrzyżowaniu blokowały ją ciężkie wrota, których pilnował Specjalny, a ubite podłoże wznosiło się i opadało, kierując się pod Mur Kharnostu i dalej, pod ziemię niczyją. Na końcu tunelu, kiedy czuł już napierający na niego ogromny ciężar sklepienia, jakby ziemnego nieba nad głową, wskazano mu drewniany stołek w pomieszczeniu ledwie mieszczącym dwa posłania, stół, wiadro jako

wychodek i dwóch spoconych Specjalnych. Usiadł więc dość niepewnie i przytknął ucho do otworu stożkowego aparatu, przypominającego megafon, który szerszym końcem dotykał ściany z ubitej ziemi.

W ciszy Bahn słuchał przytłumionego i rozpaczliwego wrzasku człowieka.

- Pewnie nieprzyjacielski saper - wyjaśnił jeden ze Specjalnych. - Uwięziony w jakimś zawale.

Bahn uniósł głowę i zobaczył, że mężczyzna się uśmiecha.

- Musi być nowy, bo inaczej by tak nie wrzeszczał.

Drugi Specjalny, który siedział obok i strugał kawałek drewna, uniósł głowę.

- Zawsze noszą przy sobie dzwonki, więc jak utkną, mogą odwiązać serce i dzwonić po pomoc. Zużywa się wtedy mniej powietrza niż na krzyki. - Skinął głową w stronę ściany. - Ale ten spanikował.

Bahn w końcu ich zostawił w tej ciasnej celi. W drodze powrotnej jechał tym samym wózkiem na małych kółkach, ciągniętym po żelaznych torach przez karłowatego muła. I nagle zabrzmiał alarm. Dotarli właśnie do skrzyżowania tuneli, kiedy z przejścia po lewej stronie dobiegł dźwięk dzwonka tak głośny, że spłoszył zwierzę.

- No dobrze, cicho już - powtarzał woźnica, próbując je uspokoić.

Przed nimi przebiegł oddział Specjalnych; biegli pochyleni, z katarskimi nożami w rękach.

Przerażony muł stanął dęba i zamachał w powietrzu kopytami. Nie udało mu się wyrwać z uprzęży, co wywołało u niego jeszcze większą panikę.

Wyciągając przed siebie ręce, woźnica podszedł do niego, cmokając językiem i powtarzając ciche, uspokajające słowa. Muł kłapnął na niego zębami, przewrócił oczami, a potem zaczął rzucać się bokiem na ścianę, razem z uprzężą. Uderzał z głuchym odgłosem, jakby wielka pięść tłukła o ziemię. Bahn wysiadł z wózka i chciał podejść, by pomóc woźnicy. Było jasne, że muszą powstrzymać zwierzę, zanim skręci sobie kark.

Nie mógł jednak podejść bliżej, bo woźnica blokował drogę. Wycofał się więc, obszedł wózek z tyłu i precyzyjnie przycisnął się po drugiej stronie. Przystanął i zasłonił twarz - muł kopnął tuż obok niego,



rozbijając w drzazgi deskę, a przy okazji własne kopyta.

Tutaj nic nie zrobię, pomyślał. Muszę przedostać się do przodu.

Skoczył naprzód, kiedy zwierzę znowu stanęło dęba, ale muł chyba go wyczuł, bo kopnął mocno i trafił go w bok. Bahn wypuścił powietrze, przetoczył się po ziemi i poczuł pod plecami żelazne szyny. Leżał nieruchomo, próbując złapać oddech.

Zwierzę nie dało się uspokoić. W końcu woźnica musiał je zabić, przesuwając nożem po gardle, z pośępną determinacją na twarzy.

Wielki Błaźnie, myślał Bahn jakiś czas później. Wciąż przyciskając dłoń do obolałego boku, maszerował coraz szybciej w stronę promieni słońca, które przenikały do tunelu niczym wyciągnięta przyjaźnie dłoń łaskawego bóstwa.

To tutaj mój brat stracił rozum...

Bahn był zbyt wzburzony, by wspinać się na wzgórze ministerstwa i natychmiast składać meldunek. Tego dnia skończył już pracę, postanowił więc poczekać z raportem do rana.

Zatrzymał riksę i podał mężczyźnie swój adres, a sam wspiął się na wąskie siedzenie i podziwiał wspaniałość otwartego nieba nad głową.

Na ulicach jak zwykle tłoczyli się przechodnie i handlarze. Riksza z pewnymi kłopotami prześlizgiwała się przez tłum; jej właściciel holował Bahna swobodnym truchtem i pokrzykiwał, kiedy chciał, by ludzie zeszli mu z drogi. Przecinając Dzielnicę Cyrulików, mijali ulice, na których dorastał Bahn - dom ludzi ubogich, ale blisko ze sobą związanych, okolica fryzjerów, warsztatów, drobnych rzemieślników i walących się kamienic. Teraz stały tu przede wszystkim wózki żebraków i plotkujące prostytutki - przed wojną nie zobaczyłby ich za dnia. Obserwował te uliczne dziewczyny, kiedy riksza przejeżdżała obok - ich prześwitujące sukienki niewiele skrywały przed błędzącym wzrokiem.

Dopiero późnym popołudniem dotarł do domu w północnej części miasta, tak daleko od Tarczy, jak to tylko możliwe. Z ulgą, że zakończył już pracę, wysiadł z rikszy na ulicę akurat w chwili, kiedy swoim wózkiem podjechała jego szwagierka Reese.

Dziwnie się czasem zdarza, uznał Bahn, wyczuwając w tym zbiegu okoliczności jakiś wpływ Dao, wpływ Losu - przecież jego myśli

wciąż krążyły wokół brata.

Reese objęła go i pocałowała w policzek. Wprowadził ją do ich skromnego dwupoziomowego mieszkania. Było trochę większe niż tamto pierwsze, które z Marlee zajmowali nad łaźnią publiczną, ale i tak dość ciasne. W domu nie zastał nikogo, co najpierw trochę go zaskoczyło, ale zaraz sobie przypomniał, że Marlee z dziećmi wybrała się dzisiaj do własnej siostry.

On i Reese pili chee i gawędzili na balkonie na pierwszym piętrze; nie widzieli się od jej poprzedniej wizyty w mieście.

- Gdzie jest dzisiaj Los? - zainteresował się uprzejmie Bahn. Uznał, że choćby z grzeczności powinien zapytać o jej ostatniego partnera.

Reese tylko wzruszyła ramionami. Bahn wiedział, że Los potrafi zniknąć na kilka dni, nie dając znaku życia. Na pewno hazard i dziwki, wywnioskował Bahn na podstawie swoich mglistych wspomnień o przelotnie poznanym mężczyźnie. Los był w wieku poborowym, co znaczyło, że albo unika zaciągu, albo udało mu się wykupić.

Fatalna sytuacja, uznał, bo przecież mężczyzna z pewnością wróci do Reese, kiedy skończą mu się pieniądze i nie będzie miał gdzie mieszkać.

- Zbliża się uroczystość nadania imienia twojej córce - zauważyła Reese z wymuszonym uśmiechem.

- No tak...

Bahn starał się oddychać płytko. Przekonał się, że posiniaczone żebra nie bolą wtedy tak bardzo.

- Odłożyłam na tę okazję trochę jedzenia. Parę ziemniaków na zapiekanki, papryka konserwowana w oleju... Obawiam się, że więcej nie dam rady.

- To miło z twojej strony. - Bahn westchnął. - Marlee nie chce mi uwierzyć, kiedy jej tłumaczę, że nigdzie nie da się znaleźć więcej żywności.

Reese pokiwała głową, wpatrując się we wnętrze kubka.

- Coś cię dręczy - stwierdził. - Zawsze to poznaję.

Nie odpowiedziała. Kiedy się zastanawiał, co powinien teraz powiedzieć, nagle zrozumiał, co ją martwi.

- Chodzi o Nica, prawda?

Zamrugła nerwowo i odwróciła głowę.

- Wyjechał z miasta i podjął... naukę.

- Co?

Ból w boku nagle się pogorszył. Bahn świadomie spowolnił oddech, czekając na odpowiedź szwagierki. Było oczywiste, że Reese chce powiedzieć coś więcej, ale się waha.

W końcu odniósł wrażenie, że zrezygnowała z prób, jakby sprawa była zbyt śmieszna, by mówić o niej głośno.

- Odezwał się do ciebie? Wszystko u niego w porządku?

Chyba nie wiedziała.

Zazwyczaj Reese potrafiła swobodnie rozmawiać z Bahnem. Łączyła ich pewna bliskość, otwartość, która pogłębiła się jeszcze, odkąd opuścił ją Cole, jego brat i ojciec Nica. Całkiem jakby ta wspólna strata pozwoliła im dzielić się innymi niepokojami i wyznaniem. Często rozmawiali o Cole'u, wymieniając się pogłoskami, jakie słyszeli o nim od weteranów, których spotkali przypadkiem albo którzy przybywali, by przekazać wieści. Ostatni znany szlak Cole'a prowadził do Pathii, gdzie podobno został powieszony za rozboje na drogach, choć inni twierdzili, że jest teraz pionierem, przekracza góry i wchodzi do świata Wielkiej Cisy, by całymi miesiącami żyć w dziczy. Jak bardzo musiał być obłąkany, myślał często Bahn, by porzucić taką kobietę i samotnie zamieszkać na pustkowiu...

Ból w boku objął teraz także pęcherz - Bahn musiał sobie ulżyć. Przeklinając ciało za tak fatalne wyczucie czasu, przeprosił gościa i wstał.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Reese.

- Nic. Parę poobijanych żeber, jak sądzę.

Wolał nie wspominać o tunelach, co nieuchronnie budziło pamięć o Cole'u.

Zszedł do wygodki na podwórzu i odkrył, że ma krew w moczu. Podwinąwszy tunikę, z zaciśniętymi zębami sięgnął do brzydkich sińców na boku i raz jeszcze sprawdził, czy nie ma pękniętych żeber. Zadowolony, że są całe, odgarnął włosy, przygładził tunikę i wyszedł.

Gdy tylko wrócił na balkon, zaczął się zastanawiać, czy słusznie zrobił, zostawiając szwagierkę samą. Reese siedziała nieruchomo,

opierając rękę o drewnianą balustradę; w drugiej trzymała kubek chee i patrzyła smętnie na obsadzoną drzewami ulicę.

Zdawało się, że nie zauważyła, jak Bahn ostrożnie siada na swoim miejscu. U kogoś innego mógłby podejrzewać, że rozczuła się nad sobą - ale nie Reese.

- O czym myślisz? - zapytał cicho.

Uniosła głowę; lekki uśmiech był jakby przeproszający. Zapomniała chyba o kubku chee w dłoni.

- Właśnie myślałam... Myślałam, jak teraz odeszli i Nico, i Cole.

Głos miała cichy, opanowany. Bahn przypomniał sobie cichy krzyk tamtego człowieka uwięzionego w ziemi, który nie widział, nie czuł, nie słyszał niczego prócz ciemności dookoła.

## ROZDZIAŁ 18

### Siostry Straty i Tęsknoty



Siostrzane księżycy świeciły w górze, na usianym gwiazdami niebie. Oba weszły w pełni, jarząc się blaskiem, każącym przymknąć oczy - jeden w kolorze poszarzałej bieli, drugi błękitny. Razem sunęły po szlaku, który w części prowadził wzdłuż Wielkiego Koła, widocznej na niebie jasnej smugi galaktyki. Przyćmiewały blask gwiazd. Tylko raz w roku oba księżycy wschodziły razem i w pełni, zwiastując zbliżające się dni jesieni. Może właśnie dlatego nadano im imiona Sióstr Straty i Tęsknoty.

Pod tą gwiazdną panoramą dwie postacie wspinające się na wzgórze wydawały się małe i nieznaczące. Noc była dostatecznie jasna, by widzieli grunt przed sobą, szli więc ze spuszczonej głowami, zamyśleni, uważając, gdzie stawiają stopy. Dlatego niemal z zaskoczeniem odkryli, że dotarli do małej chaty; zauważyli ją nagle w półmroku, wśród odgłosów płynącej wody, które przypominały im trzask płomieni dalekiego ognia. Ale dzisiaj w chacie nie płonął ogień, a jedynie samotna lampa, wylewająca przez otwarte drzwi plamę żółtego światła.

Bez wahania weszli do wnętrza.

Wróż siedział ze skrzyżowanymi nogami na macie, a na kolanach trzymał otwartą księgę.

Spoglądał na karty przez okulary z wyjątkowo grubymi szklami.

Jedną ręką odruchowo drapał się po głowie.

Minęła długa chwila, zanim zwrócił na nich uwagę. Nico czuł, jak odpływa jego cierpliwość. Chciał, żeby Ash przynajmniej odkaszlnął i jakoś zaznaczył ich obecność.

Kiedy Wróż wreszcie na nich spojrzął, uśmiechnął się i ostrożnie odłożył księgę na bok, na stos innych. Skinął, by usiedli.

Ash zaczął mówić. Starzec słuchał uważnie i kiwał głową, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie, na które Ash odpowiadał. Słowa brzmiały spokojnie, z szacunkiem dla otaczającej ich ciszy. Wiekowy Wróż nie miał chyba nic przeciwko temu nocnemu najściu; zdawało się raczej, że z radością powitał towarzystwo. Całkiem jakby spodziewał się dzisiaj wizyty Rōshunów.

Kiedy Ash skończył, Wróż przyniósł z kąta chaty lakierowaną drewnianą szkatułkę i ustawił ją na podłodze przy sobie. Drżącymi palcami zaczął z niej wyjmować niezwykle przedmioty. Nico przyglądał się z zaciekawieniem, kiedy sędziwy starzec układał je na macie.

Na kwadratowej czarnej tabliczce spoczęła bryłka kredy, a obok plik jakby zasuszonej trzciny, każda długości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Przez chwilę leżały nietknięte, a Wróż się koncentrował, oddychając głęboko i rytmicznie. Potem klasnął w dłonie, ogłaszając gotowość do dalszych działań.

Kiedy wziął się do pracy, jego dłonie poruszały się szybko jak na człowieka w jego wieku. Na początek rzucił trzciny na matę, i szybko przesunął po nich dłonią, dzieląc stos na dwie części. Potem zebrał prawą część i zaczął błyskawicznie przerzucać trzciny z ręki do ręki, jedną po drugiej, zatrzymując się za każdym razem, kiedy w prawej ręce zostało mu cztery albo mniej. Wsuwał wtedy trcinę lub trzciny między dwa palce i zaczynał znowu, z wyłączeniem tych już wybranych.

Kiedy wreszcie miał już trzciny między wszystkimi palcami, przerwał i policzył, ile ich jest. Wynik uważał chyba za znaczący. Skreślił znak na tabliczce - jedną prostą linię - po czym rzucił trzciny na matę i zaczął od początku.

Proces trwał długo. Od czasu do czasu Wróż rysował kredą kolejną linię, ciągnął albo przerywaną; stopniowo tworzyły ciąg. Nico stracił

poczucie czasu; oczy mu się już zamykały, gdy Wróż najwyraźniej zakończył; na tabliczce widniało teraz sześć linii.

Starzec przyjrzał się rezultatom, mrużąc coś do siebie.

- *Ken-yoma no-shidō* - oświadczył, zwracając się do Asha.

Rōshun pokiwał głową.

Wróż mówił dalej, streszczając to, co przewidział. Kiedy znów zaczął oglądać tabliczkę, Nico szeptem poprosił o przekład.

Ash najpierw się zirytował, ale spojrzenie Nica trochę go ułagodziło i zaczął szybko tłumaczyć:

- Zapytałem, jak nam pójdzie z tą wendetą. Mówi mi o gromie, o szoku... jakieś szokujące wydarzenie wpłynie na efekty działania. A teraz cicho, dochodzi do sedna.

- Po tym wstrząsie będziesz miał przed sobą dwie ścieżki - oświadczył nagle Wróż bezbłędnym handlowym. Zerknął na Nica, po czym jego wzrok powrócił do Asha. - Wybierając jedną z nich, nie wykonasz swojego zadania, choć nie będzie to wstyd i wiele jeszcze zostanie do zrobienia... Na drugiej ścieżce zwyciężysz w końcu, ale w wielkim zawstydzeniu i niewiele pozostanie przed tobą.

Ash rozważył przepowiednię. Po chwili odchrząknął.

- To wszystko?

Wróż uśmiechnął się łagodnie, ale milczał.

Wkrótce potem skłonili się i podeszli do drzwi. Kiedy Nico odwrócił się do Wróża plecami, ten krzyknął za nim:

- Chłopcze!

Nico się cofnął. Starzec mlasnął bezzębnyimi dżiąsłami i spojrzał na niego z dołu.

- Nie prosiłeś mnie o przepowiednię. Tej nocy masz takie prawo.

- Nie wiedziałbym, o co pytać.

Sędziwy wędrowiec przechylił głowę.

- Nie masz ochoty wyruszać na tę ich szaleńczą misję.

Nico obejrzał się, by sprawdzić, czy jego mistrz słucha, ale Ash wyszedł już z chaty. Raz jeszcze popatrzył na Wróża; usta miał otwarte, ale milczał.

- Obawiasz się, że nie jesteś gotów do wendety, na którą zabiera cię twój mistrz.

Podejrzewasz, że wykracza to poza twoje możliwości.

To była prawda. Przez cały dzień Nico starał się zmierzyć z myślą, że rankiem opuści górską kryjówkę, miejsce, w którym zaczynał się już czuć jak w domu. I po co? By przepłynąć morze do miasta Q'os, do samego serca Imperium, a tam zabić samego syna świątobliwej matrony, chociaż Nico ledwie potrafił używać miecza. Słodka Erēs, na samą myśl o tym krew płynęła mu szybciej.

- Czy zatem wysłuchasz mojej rady? - zapytał Wróż.

Nico odkaszlnął.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle wierzę w takie rzeczy... W przepowiednie i w ogóle. I twoja rada może się u mnie zmarnować.

- Wiedz to, młody przyjacielu, że nasiona rzeczy pokazują, jakie wydadzą owoce.

Nico skinął głową, raczej z uprzejmości niż z przekonania.

- Kiedy nadejdzie czas, by go opuścić, musisz iść za głosem serca.

- Co?

Starzec uśmiechnął się i zaczął pakować leżące przed nim akcesoria.

Nico wycofał się szybko do drzwi i wyszedł.

Wokół panował spokój; nawet plusk strumienia wydawał się teraz przyciszony. Milczący Ash stał na brzegu i patrzył, jak woda zbiera się i spływa między kamieniami.

Razem ruszyli przez mrok do domu.

- Dziwny człowieczek - stwierdził Nico.

Ash stanął przed swym uczniem.

- Winien mu jesteś więcej szacunku - oświadczył gniewnie.

Natychmiast jednak pożałował tego wybuchu i próbował powiedzieć coś jeszcze - może przeprosić. Nie zdołał jednak znaleźć właściwych słów. Odwrócił się więc i ruszył dalej.

Księżycy Strata i Tęsknota świeciły na niebie, rozjaśniając drogę, a dwie postacie schodziły wolno, pogrążone w myślach. W dole jaśniały ciepłe, przyjazne światła klasztornych okien, wyraźne na tle lasu srebrzystych liści.



## ROZDZIAŁ 19

### Dyplomata



Pierwszego dnia jesieni w roku, w którym zbliżała się już pięćdziesiąta rocznica władzy Mannu, nad miastem rozszalała się straszliwa ulewa. Krople deszczu jak szklane drzazgi uderzały o każdą powierzchnię. W tym deszczu jakiś człowiek wyszedł z ciemnej, osłoniętej bramy Świątyni Szeptów, narzucił kaptur na ogoloną głowę i szybkim krokiem ruszył po drewnianym moście. Wiatr szarpał jego białą kapłańską szatę, a uderzenia stóp ginęły w głośnym szumie wody w fosie.

Nie zatrzymał się, mijając zamaskowanych akolitów, trzymających straż w wartowni na końcu mostu. Patrzył pod nogi, maszerując po pustych ulicach przez Dzielnicę Świątynną; skóra swędziała go bezustannie, więc ciągle drapał się po twarzy i rękach. Minął kilku kapłanów, którzy także osłaniali kapturami głowy, pochylone w pokorze przed gniewem żywiołu. Kałuże niemal wrzały, nie odbijając niczego. Biały kot siedział w bramie, milczący i czujny.

Za nim, coraz dalej za nim, Świątynia Szeptów wyrastała za kotarami deszczu niczym żywa istota, a jej ściany jeżyły się rozpryskami wody jak sierścią. Wieża nie była naprawdę wieżą, ale wielką skręconą kolumną żłobionych filarów i wieżyczek, opiętych i wykrzywianych wstęgami kamienia. Przy każdym kroku młody kapłan wyczuwał ją za plecami - jakby obserwującego go

bezustannie masywnego strażnika. Ta niema obecność jeszcze bardziej psuła mu nastrój - pogłębiała uczucie zagubienia, z jakim obudził się rankiem w dniu swoich dwudziestych czwartych urodzin.

Im dalej odchodził, tym większy ruch panował na ulicach. Przed nim narastał już gwar głosów i krzyków, dobiegających jakby z egzotycznej menażerii.

Ulewa zmieniła się w jednostajny deszcz, kiedy kapłan wszedł na wielki plac zwany Skwerem Wolności. Dalekie marmurowe budowle otaczały przestrzeń z trzech stron, a poza nimi widoczne były mniejsze wieże - blade iglice, częściowo przesłonięte deszczem.

Fatalna pogoda nie przerzedziła tłumu wiernych, czekających już na nadchodzące święto Augere el Mann, do którego pozostał jeszcze prawie miesiąc. Większość stanowili pielgrzymi z całego Imperium, których w większej niż zwykle liczbie przyciągała pięćdziesiąta rocznica mannijskiej władzy: mężczyźni i kobiety, którzy z radością przyjęli religię Mannu, choć wielu ich rodaków wciąż narzekało i wzywało do powstań. Wszyscy nosili charakterystyczny ubiór świeckich wyznawców: jaskrawoczerwone szaty, sięgające prawie do bosych stóp. Z przodu widniały świadectwa niedawnego nawrócenia: odbicie białej otwartej dłoni; farba wykruszała się często, tak że wiele dłoni miało teraz bladoróżowy kolor.

Po kilku latach w tym mieście młody kapłan Ché wciąż się nie przyzwyczaił do tych masowych demonstracji oddania wierze. Brnął po mokrym bruku i obserwował otoczenie spod bezpiecznych fałd kaptura.

Pielgrzymi wykrzykiwali w różnych językach i wili się w konwulsjach. Albo z szeroko otwartymi oczami słuchali porywających kazań kapłanów, stojących na podwyższeniach i pod baldachimami, podżegaczy krzyczących i gestykulujących gorączkowo w stronę ich pochylonych głów i nawołujących do posłuszeństwa. Ludzie przebijali pokrwawione twarze kolcami, paradowali z płonącymi czaszkami, kopulowali na bruku albo krążyli wokół, jakby w oszołomieniu podziwiali widoki, z rozdziawionymi ustami chłonąc wszystko, co działo się wokół nich.

Ché ominął wielki czworobok podobnych do siebie ludzi, sięgający niemal od jednego brzegu placu do drugiego: dziesięć tysięcy

wiernych, stojących twarzami w stronę przesłoniętej deszczem Świątyni Szeptów; wszyscy mieli na sobie gładkie czerwone szaty. Z uniesionymi nad głową rękami śpiewali monotennie, a ich twarze rozjaśniał ten sam zapał, który przywiódł ich do świętego Q'os na ceremonię nawrócenia.

Jak jeden uklękli na bruku i dziesięć tysięcy szat zaszeleściło równocześnie, jakby powiał wiatr. Padli na ziemię, potem wstali, by powtórzyć rytuał od początku.

Młody kapłan przeszedł wzdłuż linii przemoczonych neofitów, czekających, aż ktoś wyświęcony z Q'os odbije im na piersiach znak białej dłoni.

Prześliznął się między nogami ociekającego wodą posągu świątobliwej matrony Sasheen na stojącym dęba białym zelu, oraz drugiego - Nihilisa, patriarchy-założyciela nowego porządku; jego twarz z brązu była wiekowa i posępna.

Na wschodnim krańcu placu tłum zaczął rzednąć, a pielgrzymi mieszały się ze zwykłymi mieszkańcami, zajętymi codziennymi sprawami. Stały tu wózki handlarzy z prostymi, obwisłymi daszkami, pod którymi sprzedawano gorące chee w papierowych kubkach, jedzenie i zwinięte peleryny przeciwdeszczowe. Inni stali na deszczu, namawiając do zakupu pamiątek: tanich cynowych figurek Sasheen, Mokabiego czy Nihilisa. Z zadowoleniem obserwowali tłumy na placu, ale też zerkali niespokojnie na Regulatorów w zwykłych ubraniach, którzy stali parami na granicach placu i przyglądali się wszystkim.

Para strażników na zelach zatrzymała się, by go przepuścić; na kolanach trzymali nienaładowane kusze. Ché nie skinął im nawet głową, gdy wychodził z placu ulicą Dubusi po wschodniej stronie. Skręcił szybko w lewo, potem w prawo, w niewielkie wąskie uliczki, a z każdym krokiem cichł za nim ludzki gwar. Czułym wzrokiem wypatrywał jakichkolwiek znaków, że jest śledzony.

Zanim zbliżył się do jednej z mniejszych wież, nieustający deszcz przemoczył jego szatę, która z białej zmieniała się w szarą. Materiał lepił się do rąk i nóg, ukazując żylaste mięśnie.

Twarz wciąż swędziała potwornie, więc zatrzymał się pod mostem prowadzącym do jednej z niższych wież, zrzucił kaptur i spojrzał w

pochmurne niebo; wolno kręcił głową, wystawiając twarz na łagodzące strugi. Po minucie odpoczynku wypluł z ust kwaśną wodę i przetarł oczy.

Nad nim krążyło powoli stado nietoskrzydłych. Wydawały się większe od tych, jakie zazwyczaj widywał nad miastem, wykorzystywanych do nadzoru oraz jako kurierzy przynoszący wiadomości z jednej świątyni do drugiej. Uznał, że to pewnie ptaki bojowe, które Imperium hodowało w ostatnich latach, podobno dostatecznie silne, by przynosić ładunki nad polem bitwy. Zrozumiał, że ma rację, kiedy skręciły nagle i pofrunęły nad Skwer Wolności - przelot pokazowy, aby oszołomić pielgrzymów nieskończonymi innowacjami Mannu.

Ché postawił stopę na moście i przekroczył go ostrożnie. Kiedy dotarł do wejścia, zatrzymał się przed solidnymi żelaznymi wrotami. Na wysokości głowy wprawiono w nie kratkę, ale było zbyt ciemno, by zobaczyć za nią oczy, o których wiedział, że go obserwują.

Kłapa odsunęła się na wysokości pasa, jakby akceptując jego obecność. Ché raz jeszcze podrapał się w kark, po czym wsunął obie dłonie w odsłoniętą ciemną przestrzeń.

Seria szczęknęła zasygnalizowała otwieranie wielu zabezpieczających przejście zamków, a po chwili w większych wrotach otworzyły się mniejsze drzwiczki. Były wąskie i niskie, gdyż miały zmuszać wchodzących, by odwracali się bokiem i schylali. Niski wzrost Ché pozwolił mu wejść bez pochylania głowy.

Każde utrudnienie jest błogosławieństwem, pomyślał; i nawet tutaj, w sercu Świętego Imperium Mann, nie zdziwiło go, że przypomniał sobie to stare powiedzenie Rōshunów.

O tak wczesnej porze w Wieży Sentiatu panowała cisza. Okrągłe pomieszczenie na parterze było mroczne jak zwykle, pozbawione okien i oświetlone jedynie kilkoma gazowymi lampkami migoczącymi na krzywiźnie ściany. Dwóch akolitów obserwowało spod masek, jak Ché niczym pies strząsa wodę z ogolonej głowy, a potem z przemoczonej szaty.

- Pada - wyjaśnił, jakby chciał przeprosić.

Strażnicy wyraźnie się zastanawiali, czy nie mają do czynienia z idiotą, jednym z tych uprzywilejowanych młodych kapłanów, którzy

dzięki pieniądзом i wpływom rodziców prześlizgują się czasem przez sieci egzaminów.

Wyższy wyrastał nad głową przybysza niczym jeszcze jedna wieża.

- Tutaj służymy jedynie najwyższej kaście - oznajmił. - Jaką masz sprawę?

Ché zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że głównie taką...

Mieli akurat tyle czasu, by otworzyć oczy ze zdumienia, nim dwa katarskie noże przebiły im gardła.

Akolitami wstrząsnęły konwulsje. Ché wyjął oba ostrza równocześnie i w tej samej chwili odstąpił na bok, by uniknąć fontann krwi - dokładnie wiedział, kiedy i gdzie wytrysną.

Obszedł pomieszczenie dookoła, omijając rozlewającą się kałużę i szukając ewentualnych świadków; wrócił akurat na czas, bo zobaczył, że akolici dopiero teraz przewracają się z kolan - jeden osunął się na bok na kamienną posadzkę, drugi najpierw usiadł na piętach, a potem zwałił się na plecy.

Ché nie czuł niczego.

Szybko odciągnął trupy na bok, chowając je za posągiem jakiejś imperialnej sławy: emerytowanego arcygenerała Mokabiego, co zauważył, kiedy przystanął na moment, by obejrzeć wnękę, w której stała rzeźba. Kałuże krwi w końcu zdradzą miejsce ukrycia ofiar, ale w tym mroku jedynie wtedy, kiedy ktoś przejdzie tuż obok.

To jednak wystarczy na czas, jakiego potrzebował, żeby wykonać swoje zadanie.

Przykucnął w cieniu i nożem uwolnił zabitego z szat. Zwinął je w kłębek i wsunął pod pachę.

Północne schody były spiralą stopni umocowanych do centralnego filaru. Ché wspiął się aż na siódme piętro; szedł swobodnie, jak ktoś, kto ma pełne prawo tu przebywać. Nikt, kogo spotkał, nie próbował go zatrzymać.

Dotarł na siódme piętro wieży, gdzie schody kończyły się w wytwornym, obszernym pomieszczeniu, wyłożonym różowym marmurem, z fontanną pośrodku, otoczoną roślinami w doniczkach. W powietrzu unosił się oszałamiający aromat narkotyków rozkoszy. Trzech łysych i nieco pulchnych eunuchów kołysało się na brzegu

fontanny; mieli na sobie luźne szaty i byli uzbrojeni w sztylety. Od czasu do czasu chlapali na siebie wodą i z rozbawieniem spoglądali na dwóch kapłanów, którzy siedzieli po drugiej stronie fontanny; jeden był wyraźnie pobudzony, drugi demonstrował znudzenie. Z łuku przejścia, wyłożonego zmysłowymi mozaikami i czerwonym jedwabiem, dobiegał śmiech, męski i kobiecy, na tle muzyki fletów i cichych uderzeń bębna, wybijającego równy rytm.

Ché, wciąż na schodach, schylił głowę poniżej poziomu podłogi. Mimowolnie podrapał się w ramię, rozważając możliwe działania.

Wycofał się na niższe piętro, pozornie bezładne, jednak rozbrzmiewające echem zbiorowego chrapania.

Blade światło wpadało przez okno do mrocznego korytarza. Ché podszedł, szarpnął, otworzył je i wysunął głowę na deszcz.

Spojrzał w górę i przekonał się, że mur wygląda tak, jak się spodziewał. Betonowa ściana, niemal pionowa, usiana ozdobnymi występkami, zbyt rzadkimi, by pomóc we wspinaczce. Na czterech piętrach nad nim nie było żadnych okien.

Pracował szybko. Najpierw wciągnął rękawice z najcieńszej skóry, potem z upręży zapiętej pod kapłańską szatą wyjął gliniany dzban. Był zapieczętowany woskowym korkiem i miał pasek umocowany do drutu, owiniętego kilka razy wokół szyjki. Kiedy odkorkował, nozdrza zaatakował smród zwierzęcego tłuszczu i wodorostów. Ché sprawdził jeszcze, czy kremowa, biała zawartość nie zaczęła już twardnieć. Zadowolony, przeciągnął pasek przez ramię tak, by dzban wisiał mu na biodrze, a potem rozwinął odebraną strażnikowi szatę.

Wyjętym z buta nożem pociął materiał na paski. Raz tylko się rozejrzał, by sprawdzić, co się dzieje dookoła, ale nawet wtedy nie przerwał pracy.

Schował strzępy szaty do kieszeni, wskoczył na parapet i odwrócił się, wystawiając plecy na deszcz. Miał idealne wyczucie równowagi, jak linoskoczek. Mimo to zdawało mu się, że wsysa go pusta przestrzeń.

Wyjął pasek tkaniny, zwinął go w kłębek, a potem wsunął do dzbana. Umocował wilgotną kulę na zewnętrznej ścianie obok okna, gdzie przylgnęła do betonowej powierzchni.

Podobnie postępował z kolejnymi pasami, umieszczając ich łącznie

sześć, każdy w zasięgu ręki. Zanim skończył z ostatnim, pierwszy i najniższy wysechł i zmienił się w twardy występ na murze.

Ché zdjął buty, związał je za sznurówki i zawiesił sobie na szyi. Ostrożnie wysunął nogę w bok i nagą stopą sprawdził pierwszy występ. Trzymał mocno.

- Matka Świata ma głupców w opiece - mruknął, po czym stanął na nim całym ciężarem.

Nie śmiał spojrzeć w dół. Skrzywił się tylko niechętnie i rozpoczął wspinaczkę.

Mimo dość młodego wieku Ché miał wiele doświadczeń z tego typu pracami. Odkrył w sobie wrodzony talent, co było dziwne, biorąc pod uwagę, że nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

To właśnie przyszło mu do głowy, kiedy zmuszał się, by wędrować w górę po niemal pionowej ścianie wieży, w lodowatym deszczu, ponad sto metrów od ziemi. Palce drżały mu z wysiłku, a krople wody kłuły go w oczy.

Życie bez wyborów...

Na przykład jego dzieciństwo.

Ché miał szczęście, gdyż przyszedł na świat w bardzo bogatej rodzinie - w kupieckim klanie Dolci-Feda, którego składy zajmowały połowę północnego nabrzeża. W wieku trzynastu lat żył szczęśliwie w zamożnej dzielnicy na wschodnim końcu miasta. Jak każdy chłopiec, był wtedy wesoły i śmiały, choć czasem zanadto szalony. Życie jednak zmieniło się całkowicie, kiedy wpadł w kłopoty, które sam na siebie sprowadził - najgorszy rodzaj kłopotów, związanych z córką rodziny, która w handlu rywalizowała z jego własną. Najkrócej mówiąc, Ché obdarzył ich najcenniejszy skarb dzieckiem.

Pewnego dusznego wieczoru, kiedy nad miastem zawisły czarne burzowe chmury, Ché musiał obserwować pojedynek na miecze, jaki jego ojciec stoczył z jej ojcem - tak obyczaj nakazywał rozstrzygać honorowe spory w Q'os. Obaj mężczyźni odnieśli rany, ale przeżyli, a bez niczyjej śmierci dysputa pozostała nierozwiązana. Kilka dni później pocisk artyleryjski wybuchł na zewnętrznej ścianie sypialni Ché. Na szczęście chłopca nie było wtedy w pokoju.

Strzał padł z działa ustawionego dyskretnie na dachu sąsiedniej

rezydencji, której właściciele wyjechali na lato do swoich winnic w Axanse. Początkowo ojciec Ché był wściekły. Później, kiedy pył opadł, jego nastrój stał się nerwowy i niespokojny.

Nawet w kręgach wojskowych czarny proch był niezwykle cenny i trudno dostępny. To jednak nie zniechęciło jego przeciwników. Zresztą nie powstrzymała ich także pieczęć, jaką Ché nosił na szyi, odkąd skończył dziesięć lat - a przecież powinna go chronić groźbą wendety. Stało się więc jasne, że wrogowie nie cofną się przed niczym, by zakończyć spór ich rodzin.

Ché był jedynym dzieckiem w rodzinie i pewnego dnia miał przejąć stery handlowego imperium. Szybko mu oznajmiono, że musi wyjechać. Ojciec nie potrafił wymyślić innego sposobu, by zagwarantować mu bezpieczeństwo.

Następnego ranka Ché został przemycony w zasłoniętym powozie do miejscowej agentki zakonu Rōshun. Gdy znaleźli się wewnątrz budynku, za zamkniętymi drzwiami i za grubymi okiennicami, przy przygaszonych lampach, ojciec ofiarował kobiecie niewielką fortunę w złocie, aby przekonać ją do wysłania Ché gdzieś daleko, gdzie szkoliłby się jako uczeń Rōshun. Z początku się opierała, ale ojciec Ché prosił i błagał, tłumacząc, że od niej zależy życie chłopca.

Ché odpłynął mniej więcej po tygodniu, ukrywając się przez ten czas w piwnicy agentki.

Ktoś się po niego zjawił - Rōshun w średnim wieku, mężczyzna o ostrych kościach policzkowych i surowych fiołkowych oczach, typowych dla ludzi z Wysokiego Pashu.

Mężczyzna się przedstawił - Shebec - a potem prawie się nie odzywał. Bez szansy na choćby krótkie pożegnanie z rodziną, Ché został przeszmuglowany na statek, który odbił od brzegu, gdy tylko znaleźli się na pokładzie. Ponad tydzień później dotarli do Cheem, a stamtąd rozpoczęli dziwną i przerażającą wyprawę przez górzystą wyspę.

I tak rozpieszczony Ché spędził resztę swojej wczesnej młodości, ucząc się zabijać bez litości i dowolnymi narzędziami, jakie znalazły się pod ręką. Tygodnie zmieniały się w miesiące, a te w lata, a on ze zdziwieniem zauważył, że wcale nie tęskni za rodziną ani za życiem w luksusach, jakie za sobą pozostawił.



Nauka zawsze przychodziła mu z łatwością, więc jako uczeń skrytobójca czynił szybkie postępy. Łatwo zyskiwał przyjaciół i bardzo się starał, by nie robić sobie wrogów. Ale mimo to cały czas odczuwał dziwny niepokój. Nocami, na posłaniu we wspólnej sypialni, śnił sny innego człowieka. W tych snach żył w całkiem innej rodzinie, a ojciec i matka nie byli jego prawdziwymi rodzicami ani ich dom jego prawdziwym domem. Te senne wizje wydawały się tak rzeczywiste, tak osadzone w faktach i pełne niezliczonych szczegółów, że rano po przebudzeniu czuł się obcy dla samego siebie i rozpaczliwie usiłował zrozumieć, co jest prawdą, a co tylko złudzeniem. Czasami podejrzewał nawet, że traci rozum.

Mijały lata, a on starał się nad sobą panować. Te sny o innym życiu zachowywał w sekrecie.

W końcu stał się mężczyzną. Stał się Rōshunem.

Tamten dzień wydawał mu się całkiem zwyczajny - tyle że była to wigilia jego dwudziestych pierwszych urodzin, co zresztą dla Ché nie miało wielkiego znaczenia.

Jego mistrz, Shebec, jak zwykle pomylił daty i uznał, że już są urodziny Ché. Narobił trochę zamieszania, piekąc dla niego miodowe ciasto z orzechami, a potem wypili razem nieco wina. Ché nie miał serca uświadamiać mistrzowi pomyłki.

Kiedy poszedł do swojego pokoju, odczuwał narastający, choć nieokreślony niepokój.

Tej nocy, pierwszy raz od przybycia do klasztoru, nie śnił o niczym. Spał mocno, nie wiercił się i nie mamrotał. A rano w dniu swoich urodzin obudził się i odkrył, że nie jest już sobą.

Jakby nagle spojrzął przez okno, nieoczekiwanie otwarte i ukazujące widok, który zawsze tam był, choć nigdy niedostrzegany - tak poznał prawdę o swoim życiu. W odosobnieniu małej, skromnej celi, kiedy blask świtu sączył się przez szczeliny w okiennicach, Ché zaśmiał się gorzko, a łzy popłynęły mu z oczu - łzy ulgi, rozpacz i żalu po wszystkim, co utracił.

Nie pożegnał się z mistrzem. Stłumił chęć, by odszukać Shebeca i przygotować go do rozstania, ofiarować mu przynajmniej uśmiech... Ale obawiał się, że tamten odgadnie jego intencje. Dlatego Ché wyszedł przez bramę klasztoru, gdy inni budzili się dopiero do

nowego dnia. Pozostawił wszystko, co posiadał - zabrał jedynie sakwę podróżną wypełnioną suszonym pożywieniem.

Nie schodził wzdłuż doliny, ale przeciął ją w poprzek. Surowa szara góra, nazywana Staruchem, wyrastała ponad krętym bocznym parowem, wyciętym w zboczu przez bystry nurt potoku. W blasku poranka Ché zaczął się wspinać na jej stromy łupkowy stok. Wiedział, gdzie ukrywa się najbliższy strażnik Rōshunów w swojej wartowni, obserwujący ścieżkę w dole, i zadbał o to, by przejść za nim. Gdy dotarł na szczyt, ze wzburzonym sercem raz jeszcze spojrzął na klasztor w Sato.

Potem odwrócił się i zszedł po drugiej stronie.

W kolejnych dniach przyszło mu wspinać się na wiele przełęczy. Podążał ścieżkami górskich kozic, często nad krawędziami urwisk, gdy tuż obok rozwierała się rozległa pustka przepaści. Ché starał się wybierać szlaki prowadzące stopniowo coraz niżej. Wijąca się droga była celowa jak nurt strumienia szukający morza - i Ché powoli zostawiał za sobą serce górskiego łańcucha.

W łachmanach i wygłodzony dotarł na wybrzeże, po dwunastu dniach od porzucenia Sato. Kupił trochę jedzenia od posępnych właścicieli mijanych gospodarstw i muła w pierwszym portowym miasteczku, które mijał. I tak, drogą wzdłuż brzegu, wkroczył wreszcie do Portu Cheem.

Tam wsiadł na szybki żaglowiec, płynący do Q'os.

Nigdy już nie wrócił.

Teraz, trzy lata później i wiele pięter wyżej, Ché znieruchomiał tuż pod otwartym oknem.

Gdyby spojrzął w dół, zobaczyłby niknącą spiralę stwardniałych szmat - ponieważ wspinał się nie tylko w górę, ale też wokół wieży, po drodze mocując nowe chwytty.

Jednak nie patrzył w dół.

Z otwartego okna powyżej dobiegały odgłosy miłosnych pieszczot. Były przeciągłe i głośne, a Ché czekał, aż ucichną, nie myśląc o niczym. Nie trwało to długo.

Szybki rzut oka do wnętrza pokoju i zobaczył tłusty męski tyłek, blady i pokryty pryszczami, nim został zasłonięty pospiesznie narzuconą szatą.

- Jestem wdzięczny - rzucił gruby kapłan kobiecie, leżącej nago na pomiętej pościeli. A potem, nie oglądając się więcej, zniknął za drzwiami.

Ché nie zdołał się dobrze przyjrzeć twarzy kobiety, ale coś w niej wzbudziło ostrzegawczy dreszcz. Czekał niewidoczny i słuchał szelestu jedwabiu, gdy ona także się okryła.

Wsunął w zęby garotę.

A potem, pokonując opór ciała, skoczył.

Znalazł się wewnątrz, rozciągając linkę między zaciśniętymi pięściami; kobieta odwróciła się i uniosła dłoń do ust, jakby chciała stłumić krzyk.

Ché westchnął i oparł się o parapet. Opuścił garotę, a kobieta cofnęła dłoń.

- Nie mógłbyś korzystać z drzwi, jak wszyscy? - spytała, marszcząc niechętnie czoło.

- Witaj, mamó - odpowiedział.

Kobieta na chwilę zajęła się porządkami. Ściągnęła z łóżka pościel i rozpyliła w powietrzu mdlące perfumy, pachnące dzikim lotosem i drapiące w gardle. Wreszcie odwróciła się do niego, a głęboka zmarszczka na czole psuła jej idealne rysy.

- Przyszedłeś mnie zabić? - spytała, skinieniem wskazując linkę garoty.

- Oczywiście, że nie - zaprotestował. - Dostałem polecenie, by dotrzeć na miejsce, a potem natychmiast wracać do Świątyni.

- Czyli jesteś tu tylko w ramach ćwiczeń... Ale zastanawiam się, co ich opętało, żeby posyłać cię na własną matkę?

Ché jak zawsze zachował spokój, przynajmniej z pozoru, gdyż wewnątrz wzbierała w nim wściekłość.

- Nie wiem - przyznał. - Ale przecież zazwyczaj zajmujesz pokój piętro wyżej?

- Ach... - rzuciła, nagle uświadamiając sobie fakty. - Oczywiście. Przenieśli mnie tutaj dziś rano.

Kiedy się zbliżyła, wyczuł zapach piżma. Uśmiechnęła się do niego niemal uwodzicielsko - to był chyba jedyny uśmiech, jaki znała.

- Zastanawiam się czasem - wymruczała - co byś zrobił, gdyby rozkazali ci zdusić życie własnej matki.

Ché zmarszczył brwi. Unikając jej wzroku, schował garotę między fałdy szaty.

- Ja też się zastanawiam, czy te miłosne wyczyny sprawiałyby ci taką samą przyjemność, gdybyś wiedziała, że twój jedyny syn wisi tuż za oknem.

Odwróciła się tyłem i ciasniej otuliła szatą.

- Więc nie powinnaś się ze mną drażnić - rzucił w stronę jej sztywnego karku.

Podeszła do stołu i nalała sobie wody do kryształowego pucharu. Na powierzchni kołysało się kilka kawałków skórki pomarańczy.

Matka - choć to określenie wciąż przychodziło Ché z pewną trudnością - mimo wieku zachowała urodę. O ile wiedział, miała czterdzieści jeden lat, niezależnie od kłamstw, które powtarzała z próżności. Na pewno nie była tą samą kobietą, którą pamiętał jako matkę, kiedy był jeszcze dzieckiem i mieszkał w bogatej dzielnicy na przedmieściu Q'os, bez żadnych życiowych trosk.

W rzeczywistości tamta matka z dziecięcych wspomnień nigdy nie istniała. Ani tamto życie.

W klasztorze, rankiem w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin, Ché odkrył, że każde wspomnienie sprzed przybycia na Cheem było fałszywe. Wszystkie umieszczono mu w głowie, by uznał je za własne.

Kiedy zbudził się tamtego ranka, zrozumiał to całkiem jasno - a także to, że jego umysł otrzymał jasne instrukcje, by przypomnieć sobie wszystko właśnie w dwudzieste pierwsze urodziny. Jak fala przypływu, prawdziwe wspomnienia spłukały dotychczasowe fundamenty jego życia, które odpłynęły niczym bezużyteczne śmieci. Ché uświadomił sobie nagle, że wcale nie był potomkiem bogatej rodziny kupieckiej. Był zwykłym bękartem, synem nieznanego ojca i matki będącej wierną sentiatką w jednym z kultów miłosnych wewnątrz mannijskiego zakonu; początkowo szkolono go na akolitę, kandydata na kapłana.

Kiedy zalała go ta fala wspomnień, Ché pozostał jak ryba na płyciźnie, trzepocząc się bez tchu. Miał już tylko jeden cel: opuścić Cheem, wrócić do Q'os.

Dopiero po powrocie do stolicy odkrył, co dokładnie mu zrobiono.

Imperium wykorzystało go dla własnych celów. Ludzie przy władzy najwyraźniej obawiali się Rōshunów, uznali więc, że rozsądnie będzie wysłać kogoś z nowicjuszy, by wyszkolił się na tajnego skrytobójcę. Liczyli, że poznają nie tylko ich metody i narzędzia, ale przede wszystkim położenie klasztoru - na wypadek, gdyby kiedyś Imperium musiało walczyć z zakonem.

Ché zakwalifikowali do tego zadania w procesie, którego nie znał. Może zresztą wybór był przypadkowy. A może wykazał się pewnymi przydatnymi w takiej pracy zdolnościami.

Przez kilka miesięcy poddawali jego trzynastoletni umysł intensywnej psychicznej manipulacji; doprowadzali narkotykami do całkowitego otępienia i słowami tłumili młodą jaźń, przesłaniali kluczowe wspomnienia, wprowadzali i wzmacniali inne.

Oczywiście, te odkrycia głęboko nim wstrząsnęły. Nie dając mu czasu, by po powrocie doszedł do siebie czy choćby upewnił się o własnej tożsamości, imperialni Regulatorzy zaczęli trwające pełen miesiąc przesłuchania z użyciem serum prawdy i hipnozy. Wydarli z niego najdrobniejsze szczegóły. Zadowoleni, że zdradził im wszystko, nakazali odrąbanie czubków obu jego małych palców, co było elementem inicjacji w zakonie Mann. Oznaczało też, że byliby zachwyceni, gdyby kontynuował pracę skrytobójcy - nie jako Rōshun, oczywiście, ale jako wysłannik Imperium.

W tej sprawie nie zostawili mu wyboru.

- Wody? - zaproponowała matka, podając mu puchar.

Ché go przyjął. Wypił jednym łykiem i przez chwilę siedział nieruchomo, rozkoszując się smakiem w ustach.

Świat jednak zawsze przerywa takie chwile ukojenia.

Muszę wiedzieć, czemu wysłali mnie tu dzisiaj, żebym odegrał zabójstwo własnej matki.

Słodka Erēs! Spójrz tylko na nią, tę pustogłową dziwkę! W swoim oddaniu dla nich wierzy, że tylko się z nami bawią.

Przez moment miał ochotę chwycić ją i potrząsnąć szczupłym ciałem, a potem uderzyć ją w twarz, mocno, i jeszcze raz, i znowu, aż wreszcie obudzi się i zobaczy to wszystko - te żywoty, jakie oboje wiodą.

Ale zamiast tego tylko odchrząknął.

- Co u ciebie? - zapytał.

- Mm? Och, wszystko w porządku, dziękuję.

Usiadła przed lustrem i gęstym kościanym grzebieniem zaczęła rozczesywać długie, złociste loki - były luksusem, wynikającym z sentiackiego powołania. Znieruchomiła na chwilę, spoglądając na jego odbicie.

- Naprawdę, wszystko dobrze się układa. To był dobry okres, z festiwalem i całą resztą. - Natrafiła na uparty supeł, więc uniosła pasmo włosów i szarpnęła lekko grzebieniem, by jakoś się prześliznęła. - Właściwie nawet lepiej niż świetnie. Czuję się cudownie, jakbym znów była młodą dziewczyną. Stałam się głównym obiektem pożądania jednego z najwyższych kapłanów Sasheen. Ja! Możesz w to uwierzyć?

- Tak. Zdaje się, że przed chwilą widziałem jego goły tyłek.

- Rainee? Ależ nie, mój kochany, skądże, co za myśl. Nie, to po prostu jeden z regularnych gości. Farando to całkiem inna klasa. Niestety, jest trochę brzydki, ale ma siłę, władzę, pozycję, obsypuje mnie prezentami i często wychodzi ze mną do miasta. Nie mogłabym prosić o więcej. A ty? - spytała, kierując twarz w stronę syna. - Co z tobą?

Ché drapał się w łokieć - nie mimowolnie, ale w pełni świadomie.

- Bardzo dobrze - odparł. I pomyślał: nie pamięta, że dzisiaj są moje urodziny.

- Twoja skóra lepiej dzisiaj wygląda. Maść działa?

Owszem, dała mu kolejną maść do wypróbowania, w nadziei, że złagodzi te łuszczące wysypki, jakie go nękały.

Wzruszył ramionami - wymierzony, ostrożny gest, jak wszystkie jego ruchy.

- Gdybym tylko sobie przypomniała, czego używałam, kiedy byłeś mały... - Zniechęcona, wzruszyła ramionami. - Zupełnie nie pamiętam. Myślisz, że się starzeję? Mm? - Wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. - Czy moja twarz zaczęła w końcu odwracać się od słońca...

razem z pamięcią?

- Jesteś w odpowiednim wieku do melodramatów, muszę przyznać. Cieszę się, mamó, że u ciebie wszystko dobrze. Ale teraz

muszę już iść.

- Tak szybko?

- W tym ćwiczeniu liczą mi czas. A muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi.

Ché wspiął się na parapet i obejrzał, by wygłosić ostatnią uwagę.

- Coś tu jest nie w porządku - stwierdził. - Uważaj na siebie.

Zniknął, zanim jeszcze zdążyła otworzyć usta, by go pożegnać.

- Och... - rzuciła tylko.

Wróciła do swojego odbicia. Nuciała cicho, czesząc złociste loki. Starła się nie słyszeć skrzywienia łóżka, dobiegającego przez sufit nad jej głową.

- Przeprowadziłeś akcję zgodnie z instrukcją?

- Tak - odparł Ché.

- Znakomicie. Jakies przypadkowe ofiary?

- Dwóch akolitów. Ich śmierć była... konieczna.

- Dwóch? Nie mogłeś znaleźć jakiegoś sposobu, by ich ominąć?

- To by zajęło więcej czasu. Wybrałem bezpośrednie podejście.

- Jak zawsze. Obawiam się, że to wpływ Rōshuna, którego w sobie nosisz. No dobrze. A powiedz, jak się czuje twoja matka?

Ché odsunął się odrobinę od drewnianego panelu. Siedział we wnęce, w mrocznej komnacie w głębi splątanego labiryntu tworzącego dolne piętra Świątyni Szeptów. Wnęka była wyłożona ciemno lakierowanym drewnem. W głębi, na poziomie głowy siedzącego człowieka, umieszczono niewielką ażurową przesłonę, której ciemne szczeliny skrywały tajemnicę tego, kto mógłby być za nią. Zza przesłony dobiegał chłodny, aromatyczny podmuch, choć cisza sugerowała, że przestrzeń z tamtej strony jest niewielka i odizolowana.

- Wydaje się, że moja matka czuje się dobrze - odparł spokojnie niewidocznemu przesłuchującemu.

- Miło mi to słyszeć. To piękna kobieta.

Głos wydawał się irytująco wysoki, jakby mówiący stale był na granicy hysterii. Ché poznał cztery różne głosy przemawiające do niego w tej niszy, wszystkie należały do jego opiekunów, choć nie miał pojęcia, kim byli. Zresztą tak samo nie wiedział, kim są inni skrytobójcy, ponieważ wszyscy szkolili się osobno i bardzo rzadko

pozwalano im się spotkać.

Ché znów pochylił się do panelu, czekając na dalsze polecenia.

- Czy nie zechcesz mnie spytać, Ché, czemu dzisiaj wysłano cię właśnie tam?

- A powiedziałaśbyś?

Cichy śmiech.

- Nie, nie powiedziałbym. Ale znam kogoś, kto ci to wytłumaczy na swój własny, wymijający sposób. Chce porozmawiać z tobą od razu, młody Dyplomato.

- O kim mówisz? - zapytał spokojnie, choć serce zabiło mu szybciej.

- Masz się natychmiast zgłosić w Komorze Burz. Ona tam czeka.

Ché wznosił się w klatce, po bokach miał dwóch zamaskowanych akolitów ściskających nagie sztylety. Broń była nasmarowana trucizną - wiedział o tym, gdyż zapach specyfiku wyraźnie dawał się wyczuć w ograniczonej przestrzeni. Klatka skrzypiała i trzęsła się alarmująco, kiedy masywna przeciwwaga ciągnęła ją wolno ku najwyższemu punktowi wieży. Zatrzymała się z szarpnięciem, od którego zachwiali się wszyscy trzej. Drzwi otworzył im kolejny strażnik, czekający już na zewnątrz.

Sala na szczycie wieży była obszerna, choć pozbawiona okien. Ich kroki odbijały się echem, kiedy szli pod wysokim sklepieniem, zdobionym gipsowymi frezami przedstawiającymi twarze z grymasami wszystkich emocji. Lśniące podłogi zrobiono z polerowanego drewna; tu i tam leżały skóry dzikich zwierząt z zachowanymi łbami, które szczyrzyły zęby na przechodzących. Meble, choć nieliczne, były pięknie tapicerowane i solidne. Powietrze było duszne, światło przyćmione.

Od czasu do czasu mijali drzwi strzeżone przez akolitów; dobiegały zza nich przytłumione głosy. Wszędzie unosił się dym, niosący odór narkotyków; zdawał się gromadzić wokół żółtych kul gazowych lamp wiszących na wyłożonych drewnem ścianach.

Do Komory Burz prowadziły szerokie schody rzeźbione w różowo żyłkowanym marmurze. Po obu stronach każdego stopnia stał akolita z nagim ostrzem, opieranym ceremonialnie w zgięciu lewego łokcia. Eskortujący Ché zatrzymali się tutaj i gestem nakazali mu iść dalej samemu.



Ché zaczął się wspinać.

Zauważył, że za otworami masek oczy strażników wydają się szkliste, jakby pod działaniem narkotyków. Stali jak posągi i oddychali tak płytko, że nie dostrzegał nawet poruszeń ich piersi. Nuda spływała po nich jak upał.

Na samym szczycie schodów drogę blokowały potężne rzeźbione drzwi z lanego żelaza.

Stojąca przy nich strażniczka odwróciła się i uderzyła o drzwi pięścią w rękawicy. Po krótkiej chwili zaskrzypiały zawiasy i drzwi uchyliły się do wnętrza, a przez szczelinę wylała się kaskada dźwięków: ćwierkanie ptaków, szum płynącej wody, muzyka i śmiechy. Na progu stanął stary kapłan.

Skłonił się.

Ché wszedł do środka, niepewny, czego oczekiwać.

Okna sięgały od podłogi po sufit na całym obwodzie kolistej sali; pochylały się lekko do wnętrza, dając lepszy widok na niebo. Ukazywały białe chmury i krople jesiennego deszczu, rozbijające się o przejrzyste szyby.

Ché zmrużył oczy i omiótł wzrokiem całe pomieszczenie, zapamiętując wszystkie możliwe szczegóły - jak pracowicie go uczono. Prawdę mówiąc, spodziewał się czegoś całkiem innego, może bardziej mrocznego, mniej kuszącego. Bardziej świątobliwego.

Zamiast tego zobaczył ciepłą, otwartą przestrzeń. Na samym środku w kamiennym palenisku płonął ogień, przykryty okapem, którego komin przebijał podłogę platformy wzniesionej powyżej - pomieszczenia na wyższym poziomie, otoczonego cienkimi ściankami z drewna.

Pokoje wypoczynkowe, domyślił się Ché, odosobnione komnaty, skąd dobiegał śpiew ptaków w klatkach.

W przytulnej przestrzeni obok paleniska ustawiono miękkie skórzane fotele, a przed nimi stojak z dużą, szczegółową mapą Imperium. Dostojnicy na fotelach opierali stopy na wyściełanych stołkach i palili pałeczki hazii albo rozmawiali. Między nimi chodzili niewolnicy z tacami pełnymi owoców lub owoców morza, albo z misami dymiących narkotyków. Ché wiedział, że pozbawiono ich języków i przebito im bębenki w uszach. Co do dygnitarzy,

rozpoznawał wszystkich zebranych przy ogniu.

Ché był Dyplomata, imperialnym skrytobójcą. Bardzo często w tak zwanych negocjacjach uczestniczyli ludzie o wielkich wpływach w Imperium. Miał obowiązek znać tych ludzi, gdyż pewnego dnia mógł dostać rozkaz, by ich zabić.

W większości mieli stopień generała, a zatem twarze wolne od wyszukanych ozdób, typowych dla kapłanów Mannu. Wyjątek stanowił wąski srebrny stożek przebijający lewą brew, w wojskowym stylu - taki sam, jaki nosił Ché. Ubierali się także w proste oficjalne szaty formacji akolitów, choć poza tym nie było w nich nic prostego.

Przyglądał się im kolejno. Siedział tam arcygenerał Sparus, „Mały Orzeł”, niewysoki, milczący i skupiony; niedawno powrócił po stłumieniu powstania na Lagos, zyskując sławę, ale tracąc lewe oko, które zasłonił elegancką czarną opaską. Obok siedział generał Ricktus z ciężko poparzonymi twarzą i dłońmi; przykro było na niego patrzeć - czarne włosy rosły w kępkach nad uszami, które były jedynie nierównymi strzępami ciała. Przy nim zajął miejsce generał Romano, wciąż młody, wręcz chłopięcy, choć był chyba najgroźniejszą z zebranych tu osób i najbardziej pożądanym tronem. I w końcu generał Alero, weteran kampanii w Ghazni, który zdobył dla Imperium terytoria większe niż ktokolwiek inny oprócz samego arcygenerała Mokabiego - i został potępiony za to, że za wcześnie się zatrzymał.

Wszyscy ci generałowie byli możliwymi kandydatami do tronu, kluczowymi graczami w subtelnej, ale śmiertelnej rozgrywce politycznej, stanowiącej tło wszystkiego, co działo się w Imperium. Za każdym z nich stała duża frakcja. Imperium Mann było nadal młode i okazało się już, że każdy może wyrwać tron dla siebie, jeśli tylko jest dostatecznie zdeterminowany.

Sama matrona była tego żywym świadectwem.

W pokoju przebywały jeszcze trzy inne osoby. Pierwsza to młody Kirkus, jedyny syn matrony. Siedział rozparty w fotelu, a oczy miał zamglone od narkotyków, choć z jakichś powodów nabierały życia, kiedy tylko spoglądał na Romano. Drugą osobą była babka młodego człowieka, matka Sasheen, śpiąca mocno w swoim fotelu - tak się przynajmniej wydawało. Wokół jej stóp spacerowało kilka jaszczurek

ze złotymi łańcuszkami na szyjach.

Ostatnią z tej trójki była sama matrona Sasheen. Stała przy mapie, trzymając w dłoni kryształowy puchar. Miała na sobie długą suknię z zielonego szyfonu, rozchyloną od szyi do stóp - tylko w talii była przewiązana paskiem z tego samego materiału. Suknia przy każdym ruchu ukazywała nagość kobiety; przelotne widoki miękkiego brzucha, włosów łonowych czy pełnych piersi odwracały uwagę od jej twarzy, która była pospolita i pozbawiona urody: zbyt blisko osadzone ciemne oczy, trochę za długi zakrzywiony nos... Mimo to było w niej coś pociągającego - może to, jak wystawiała się na pokaz, jak gdyby cały świat należał do niej i mogła z nim robić, co zechce... A może to jej uśmiech, którego często używała.

- Ale czy uda się osiągnąć to przed zimą? - zwróciła się do starego Alero, jednocześnie przyglądając się pilnie mapie.

Generał Alero wzruszył ramionami.

- Tylko jeśli zdecydujemy się już teraz i przestaniemy dyskutować o szczegółach.

Spojrzenie doświadczonego weterana uciszyło na chwilę dyskusję młodszych mężczyzn.

- I nadal utrzymujesz, że możemy odnieść sukces?

Generał ostrożnie dobierał słowa, jak człowiek, który stara się uzbierać dokładną należność z dłoni, na której pozostało bardzo niewiele monet.

- Tak, uważam, że tak, ale jeśli będzie nam sprzyjać szczęście. W tym planie wiele jest rzeczy, które mogą się nie udać, i zbyt mało miejsca na improwizację. Jeśli się powiedzie, odniesiemy szybkie i zdecydowane zwycięstwo. Wolne Porty będą nasze. Jeśli nie... - Pokręcił głową. - Będziemy mieli powtórkę z Coros.

W zapadłej nagle ciszy słychać było uderzenia kropli deszczu o szyby. Ché stał nieruchomo. Kątem oka widział fruujące pod stropem jaskrawo ubarwione ptaki. Służący sunął za nimi i szmatką ścierał odchody.

- Nadal uważam, że to szaleństwo - odezwał się Sparus, Mały Orzeł. Zaskrzypiała skóra, kiedy wszyscy się ku niemu odwrócili. Mocno zaciągnął się pałeczką hazii i pozwolił im chwilę czekać, nim podjął: - Dwa niezależne uderzenia floty na Wolne Porty, nie

wspominając nawet o najważniejszym elemencie, to znaczy morskiej inwazji na sam Khos...

W dodatku będzie się już zbliżać zima. To przy założeniu, że siły lądowe w ogóle zdołają dotrzeć do Khos w gotowości bojowej, co samo w sobie jest ryzykowne. Ponadto musimy uznać, że nasze manewry odciągające będą skuteczne i że flota inwazyjna nie zostanie wykryta. I nawet wtedy, jeśli kampania na lądzie choć trochę się opóźni, utkniemy w błocie aż do wiosny. Mercjanie zyskają czas, by zebrać siły, natomiast nasz Pierwszy Korpus Ekspedycyjny będzie uwięziony, bez możliwości odwrotu. To będzie gorsze niż Coros. - Spojrzał wprost na matronę, a jego jedyne oko błysnęło. - Powiem tyle: jeśli ta kampania się nie uda, będzie cię kosztowała tron.

- To groźba? - rzucił młody Romano.

Sparus nie zwrócił na niego żadnej uwagi, wciąż wpatrzony jednym okiem w Sasheen.

Mówił prawdę. Mannijski zakon gardził przywódcami, którzy przegrywali bitwy albo zdradzali oznaki słabości. Pozbywano się ich szybko.

Matrona przepłynęła nad podłogą pomiędzy mapą a Sparusem. Położyła wypiełgnowaną dłoń na ramieniu Małego Orła i uśmiechnęła się lekko. Potem odwróciła się do pozostałych - tak gwałtownie, że jedna pierś wysunęła się spod sukni.

- A więc? - spytała, obrzucając generałów surowym wzrokiem.

Poznaczone bliznami wargi Ricktusa się rozchyliły.

- Sparus ma rację - oświadczył głosem szorstkim jak jego poparzona skóra. - Plan jest ryzykowny, a nie wierzę, by nasza sytuacja była aż tak rozpaczliwa. Utrzymujmy oblężenie Wolnych Portów. W końcu padną, jeśli tylko będziemy blokować ich wymianę handlową.

- Nie. - Matrona uniosła dłoń. - Miałam ważne powody, by żądać rozwiązania problemu Mercji i one zachowały ważność. Od dziesięciu lat dławimy ich wymianę handlową i dobijamy się do ich bram. A jednak Wolne Porty wciąż się bronią. A inni czerpią odwagę z ich oporu. Musimy pokonać tych Mercjan i to zdecydowanie, jeśli nie chcemy, by Imperium wydało się słabe. A zatem musimy zdobyć

Khos. Bez niego pozostałe Wolne Porty skapitulują, albo będą głodować.

Wróciła do mapy, którą Ché uważnie studiował. Nierówne pociągnięcia ołówka wyznaczały ruchy działań morskich i lądowych. Dostrzegł symbole dwóch flot atakujących zachodnie wyspy Wolnych Portów, jedna płynąca wzdłuż archipelagu, druga koncentrująca się na Minos. Trzecią flotę zauważył daleko na wschodzie, zaznaczoną grubą strzałką, sięgającą od Lagos do Khosu. Matrona stuknęła w nią palcem.

- Szósta Armia pozostaje na Lagos, zgodnie z sugestią Mokabiego. Są rozgrzani po niedawnym stłumieniu powstania. To będzie doskonała niespodzianka, jak widzi to Mokabi, bo zawsze widział to w taki sposób. Stworzymy Pierwszy Korpus Ekspedycyjny z Szóstej Armii i niedobitków, jakie możemy zebrać. Z Lagos przierzucimy ich morzem prosto na Khos.

- Ależ matrono - wychrypiał Ricktus. - Nawet jeśli ich Wschodnia Flota da się odciągnąć przez nasze działania na zachodzie, to przecież pozostaną aktywne mercjańskie eskadry, osłaniające konwoje z Zanzaharu. Nasze statki w Lagos to głównie jednostki transportowe i handlowe, i tylko dwie eskadry bojowe. Flota ekspedycyjna będzie marnie chroniona, jak to już zauważył Sparus. Wystarczy kilka eskadr, by całą flotyllę posłać na dno Midèrēs.

Młody Romano, z uśmiechem kryjącym się w kąciку ust, pochylił się nagle, jakby chciał powstać.

- Pamiętajcie jednak, że te dwie flotylle na zachodzie będą największymi, jakie widziano podczas tej wojny. Mercji trudno będzie dorównać im liczbą, nawet jeśli wykorzysta całą swoją marynarkę wojenną. Będą musieli wezwać Wschodnią Flotę, by bronić się na zachodzie.

- Oto przemówił ekspert taktyki morskiej - odezwał się nagle Kirkus. Wymienili z generałem niechętnie spojrzenia.

- Flota Ekspedycyjna nie będzie się angażować w bitwy morskie - oświadczyła Sasheen. - Przebije się przez wszystkie napotkane eskadry przeciwnika, a w razie potrzeby poświęci swoje okręty, by przeszły transportowce. W ostatecznym rozrachunku liczy się tylko, by armia dotarła do lądu.

Nagle odezwał się Sparus:

- Dobrze jest Mokabiemu siedzieć w swojej willi w Palermo i planować na pergaminie śmiałe kampanie, jakby wciąż był arcygenerałem. Ale trudniej jest zrealizować takie plany.

- Jeśli przyjmujemy ten plan, zgodził się wrócić do służby - odparła Sasheen.

- Tak, i dowodzić swoją ukochaną Czwartą Armia, bezpiecznie okopaną poza zasięgiem murów Bar-Khosu. Jeśli Korpus Ekspedycyjny zdobędzie miasto od tyłu, otworzą im bramy i będzie mógł odbyć defiladę zwycięstwa. Jeśli nie, to cóż, kogoś innego obciąży winą za błędy i bezpiecznie wróci do swoich posiadłości.

- Mokabi całkowicie poświęci się temu przedsięwzięciu - zaprotestował Alero, dawny towarzysz nieobecnego dowódcy. - Zaryzykuje głowę jak my wszyscy.

- Tak, jasne. Wiele mówi nam to, że nie zgłosił się na dowódcę Korpusu Ekspedycyjnego.

I rozumiem jego motywy, wypowiedziane czy nie. Ja też nie chciałbym dowodzić taką szaleńczą kampanią.

Sasheen dopiła puchar i pusty wręczyła przechodzącemu niewolnikowi.

- To szkoda, Sparusie, bo miałam nadzieję, że zechcesz ze mną wyruszyć.

- Matrono?

- Osobiście będę towarzyszyć Korpusowi Ekspedycyjnemu.

Zaskoczenie ogarnęło zebranych. Ché wstrzymał oddech - wciąż stał z tyłu, całkowicie ignorowany.

- Jak słusznie zauważyłeś - mówiła dalej Sasheen, spoglądając na młodego Romano i grubego Alero - od wyniku tej kampanii zależy mój tron. Wypada zatem, bym była na miejscu... pobrażkiwała mieczem, że tak powiem.

- To szaleństwo, matrono. Nie możesz się w taki sposób narażać.

- Samo życie jest ryzykownym przedsięwzięciem, Sparusie. A ty też wyruszysz, jeśli chcesz dopilnować, by twoja matrona wróciła z tej wyprawy cała i zdrowa.

Romano nieźle się bawił tą przemową, dopóki Sasheen nie uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Ty także, Romano. Sparus poprowadzi Korpus Ekspedycyjny, a ty będziesz jego zastępcą. - Młody człowiek wyprostował się gwałtownie, aż spadł mu na kolana popiół z pałeczki hazii. - Alero, Ricktus, każdy z was dostanie pod komendę jedną z flot dywersyjnych. Macie tam wywołać burzę, która zostawi nam dość miejsca, żeby się prześliznąć. Tak będzie.

Młody Kirkus wyprostował się; oczy mu błysnęły.

- Ja też, mam... Ja też chciałbym z tobą wyruszyć.

- Ale nie wyruszysz - odparła stanowczo. - Zostaniesz tutaj, w Świątyni, dopóki nie rozwiążemy naszego drugiego problemu.

I po raz pierwszy spojrzała na Ché. Odruchowo się wyprostował, patrząc jej w oczy.

- Ale kto wie, jak długo to potrwa? - poskarżył się Kirkus.

- Powinieneś wcześniej o tym pomyśleć, mój wspaniały synu, kiedy prowadziłeś swój cull i tak gorliwie wykorzystywałeś przywileje swojego pochodzenia.

Kirkus sposepniał. Ale z bocznej części sali dobiegło nagle głośne warknięcie. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę, Ché również. Spodziewał się, że zobaczy pokojowego kerido, który przysiadł na podłodze i szarpie kawałek mięsa, okazało się jednak, że to babka, nadal siedząca z zamkniętymi oczami.

- Chłopak zachował się właściwie - wychrypiała wiekowa kapłanka. - Działał w zgodzie ze wskazaniami Mannu. Nie obwiniaj go o to, córko.

Matrona odetchnęła głęboko.

- Niech będzie - ustąpiła. - Ale na razie nie wolno mu nawet nosa wysunąć poza Wieżę.

Machnęła wyprostowaną dłoń, przerywając ewentualne protesty syna. Nie podobała jej się ta publiczna dyskusja i nawet Kirkus zrozumiał, że lepiej się nie odzywać, choć twarz płonęła mu czerwienią.

- A teraz - rzekła Sasheen - przepraszam na chwilę.

Oddaliła się od grupy i przeszła obok Ché.

- Chodź ze mną - rzuciła przez ramię.

Za smugą zapachu perfum podążył do przeszklonej ściany, gdzie przez rozsuwane drzwi wyszli na otaczający wieżę taras. Na jego

obwodzie stały walczące z wichurą rośliny w donicach. Kiedy Sasheen zasunęła drzwi, deszcz zmoczył im twarze, zimny jak wiatr, który dmuchał mocno.

- Zastanawiasz się, czemu ci pozwoliłam słuchać dyskusji mojej Burzowej Rady.

- Nie, świętobliwa matrono - skłamał odruchowo Ché.

Wiedział, że nie powinien się przyznawać do braku zaufania swoich zwierzchników.

Mogłoby to sugerować nieczyste sumienie - niebezpieczny stan ducha w zakonie, w którym zdrada stała się niemal doktryną.

Sasheen przyjrzała mu się z uwagą.

- Dobrze - rzekła w końcu. - Opiekunowie nie wątpią w twoją lojalność. Być może nie mylą się w swoich sądach.

Skłonił głowę, ale milczał.

- W takim razie pewnie się zastanawiasz, czemu po ciebie posłałam.

- Tak, matrono - odparł, wciąż z pochyloną głową. Tym razem mówił prawdę.

- W takim razie powiem wprost. - Skinieniem głowy wskazała Komorę Burz za szybą. - Mój syn, młody Kirkus, zabił osobę, która nosiła pieczęć.

Ché wreszcie spojrzał jej w twarz. Była wyższa od niego, tak jak większość ludzi.

- W swojej mądrości, moja matka nie próbowała go powstrzymać. Zawsze uważała, że Rōshun nie stanowi wielkiego zagrożenia dla Mannu. Ja sama nie jestem tego pewna.

Wiatr rozwiał jej suknię; woda ściekała między piersiami, po brzuchu, w kręcone włosy na łonie.

- Kilka dni temu przechwyciliśmy trzech spośród nich, kiedy próbowali przedostać się do mojego syna. Dwóch miało odwrócić uwagę, ale trzeciemu prawie się udało, choć zdążyliśmy go osaczyć. Odebrał sobie życie. Jednak z pewnością wysłą następnych.

- Rozumiem - wymruczał Ché.

Serce biło mu teraz szybciej. Czuł krew pulsującą w czubkach palców dłoni i stóp.

- Naprawdę? Zastanawiam się.



- Tak. Musisz wiedzieć, pani, że byłem szkolony przez Rōshun, właśnie na wypadek takich sytuacji.

- A zatem wiesz, po co cię wezwałam.

Ché miał ochotę znowu podrapać się w kark, ale powstrzymał ten odruch. Zamiast tego wystawił twarz na deszcz. Krople kłuły go w oczy, ale przynajmniej łagodziły swędzenie.

- Chcesz, bym cię doprowadził do klasztoru Rōshun - rzekł, zwracając się do wiatru. - Abyś mogła ich zniszczyć, zanim oni zabiją twojego syna.

- Istotnie - przyznała. Usłyszał śmiech w jej głosie. - Mam przygotowaną kompanię najlepszych komandosów, którzy już teraz czekają na twoje przybycie. Popłyniesz z nimi na Cheem i skorzystasz z tego krzewu, który podobno pozwala trafić do klasztoru.

- Są gotowi, by podążać za przewodnikiem przez góry, nawet jeśli będzie się wydawał obłąkany?

- Zdają sobie sprawę z wiedzy, jaka ukryta jest w twojej głowie. I są gotowi na wszystko.

Kiedy już dotrą do klasztoru, zabiją wszystkich, których tam znajdą, i spalą wszystko do gołej ziemi, tak że nikt nie przeżyje.

Ché odetchnął lekko przez nos, szukając w umyśle pustki.

Zmrużyła oczy i pochyliła się do niego.

- Czy ta misja budzi może twój niepokój?

- Nie sędzę.

- Nie został w tobie żaden ślad lojalności wobec rōshuńskich przyjaciół?

Ach, teraz sytuacja zaczyna nabierać sensu...

- Świętobliwa matrono, jestem lojalny tylko wobec Mannu.

Zajrzała w głębię jego oczu. Uświadomił sobie, że drapie się w rękę - choć nie ośmielił się przestać w obawie, że w ten sposób zdradzi coś o sobie.

Sasheen znowu się wyprostowała i spojrzała na niego z góry.

- Rozumiem. Powiedz mi jeszcze: ty i twoja matka, jesteście sobie bliscy?

Ché nagle przestał się drapać. Zyskał kilka chwil, ścierając z twarzy warstwę wilgoci.

- Nie jesteśmy zbyt bliscy, nie. Rozstaliśmy się na osiem lat, kiedy

byłem w Cheem i szkoliłem się na Rōshuna.

- Słyszałam, że kocha cię mimo to.

- W takim razie wiesz więcej ode mnie.

- Oczywiście, że tak. Jestem przecież świętobliwą matroną. - Uśmiechnęła się. - Ale jestem też matką - dodała szczerze. - Możesz być pewien, że żywi silne uczucia wobec swojego jedyne go dziecka.

Sasheen spojrzała przez szybę na syna. Kiedy znowu zwróciła się do Ché, wzrok miała twardy, bez śladu humoru.

- Na twoim miejscu bardzo bym dbała o tę relację. Takie więzi są rzadkością na tym świecie. Czasami nasza lojalność jest jedynym, co może je podtrzymać.

Ta subtelnie zawoalowana groźba skłoniła go, by odwrócić wzrok. Ché spojrzał na rośliny szarpane wiatrem i głośno chłuszczące szyby w oknach. Wpatrywał się w nie, jakby szukał w nich spokoju.

Sasheen podążyła za jego spojrzeniem. Wyciągnęła rękę i szorstko pogładziła wystrzępiony liść, jak domowego zwierzaka.

- Czy się zrozumieliśmy?

Ché przytaknął. Czuł, że coś go dławi.

- Dobrze więc, nie zwlekajmy dłużej. Wracaj do swojego opiekuna. Będzie miał dla ciebie pełne instrukcje.

Obserwował spod opuszczonych rzęs, jak odwraca się i rozsuwa szklane drzwi.

Zatrzymała się jeszcze w pół kroku i rzuciła mu znaczące spojrzenie.

- Aha, Dyplomato...

- Tak, matrono?

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj.

## ROZDZIAŁ 20

### Wrażenia z Q'os



**W** pośpiechu i zamieszaniu przed zejściem z pokładu na pewno nikt się nie spodziewał, że usłyszy wystrzał. Huk przetoczył się nad głowami, uciszył pasażerów i pociągnął ich tłumnie do relingu na lewej burcie żaglowca „Matka Rosa” - całkiem jakby wichura nagle przechyliła pokład.

Ludzie przeciskali się i wyglądali ponad ramionami innych, by lepiej widzieć leniwe wody zatoki za burtą. Jakaś postać płynęła niedaleko ich kadłuba, rozchlapując wodę z posępną determinacją człowieka, któremu grozi utonięcie.

- Tam ktoś jest - zauważył Nico, wychylając się przez reling.

Spojrzał w stronę nabrzeża, gdzie zauważył smugę dymu wciąż unoszącą się z końca strzelby, trzymanej przez żołnierza w białym pancerzu.

- Tak - odezwał się stojący obok Ash. - Widzę.

Drugi żołnierz zbliżył się do strzelca, który złamał broń w pół, by wymienić nabój. Nowo przybyły niósł kuszę, ale jeszcze ją naciągał, kiedy towarzysz znów uniósł strzelbę do ramienia.

Nico zobaczył rozprysk wody, zanim usłyszał drugi strzał. Fontanna pojawiła się tuż obok głowy pływaka, choć zdawało się, że on sam tego nie zauważył.

- Co on robi? - zainteresował się Nico.

- Ten człowiek jest niewolnikiem - wyjaśnił Ash. - Tutaj, w Q'os, mają więcej niewolników niż wolnych obywateli, podobno ponad milion. Wydaje się, że ten próbował uciec z wyspy, ukrywając się na którymś ze statków.

- Jeżeli taki miał zamiar, to marnie go realizuje.

Ash przyjrzał się swojemu uczniowi.

- To może powinienes tam wskoczyć? - zaproponował. - Pokażesz mi, jak to się robi.

Znowu strzał. Przez moment Nico rozglądał się za rozpryskiem, ale potem zwrócił uwagę na samego pływaka i kałużę czerwieni rozlewającą się wokół jego głowy. Mężczyzna obracał się powoli w wodzie, nim znieruchomiał z całkowicie zanurzoną twarzą.

- Zabili go! - wykrzyknął Nico.

- Taki mieli zamiar.

- Ale...

- Zaryzykował - powiedział cicho Ash. - Miał pecha. Chodź, zejdźmy szybko na brzeg, zanim innym pasażerom znudzi się gapienie na trupa.

Chwyił chłopca za rękaw i pociągnął do trapu.

Zeszli na nabrzeże, dźwigając na ramionach bagaże. Nico szedł za swoim mistrzem oszołomiony.

Minęło osiem dni, odkąd wypłynęli z Cheem. Kiedy statek zbliżał się już do Pierwszej Przystani wielkiego wyspowego miasta, zdumiała go skala budowli, jakie widział na horyzoncie. Q'os było największą metropolią znanego świata, mającą więcej mieszkańców niż nawet starożytny Zanzahar po drugiej stronie Midèrès. Nico jeszcze nigdy nie widział tak wysokich budynków. Wznosiły się ku niebu gęsto niczym leśne poszycie, z armiami okien ciemnych w bladym świetle dnia. Pośród nich, gęstniejąc w okolicach centrum miasta, wieże świątyni jak igły przebijały nisko zawieszane chmury. Wydawały się fizyczną niemożliwością - nawet kiedy Ash opowiedział mu o stalowych szkieletach i jakiejś niezwyklej formie płynnego kamienia. Nie umiał też rozpoznać sylwetek przelatujących między ich szczytami - a Ash z całą powagą wyjaśnił, że to ludzie podwieszeni do sztucznych skrzydeł.

Z drugiej strony cały ten obcy pejzaż wydawał się niemożliwy,

kiedy zbliżał się wolno ponad kołyszącym się dziobem statku.

Teraz tuż obok w wodzie pływał zabity niewolnik, jakiś pies zębami ciągnął trupa do brzegu, a setki hałaśliwych ludzi mieszały się ze sobą w zamęcie nabrzeża - jednego z wielu na wyspie Q'os. Nico zaczął się zastanawiać, co on - na Wielkiego Błazna - właściwie tu robi.

Czuł się jak mrówka w tłumie setek podobnych. Budynki wyrastały za rzędami składów i magazynów na portowym nabrzeżu. W oddali rzędy kominów wypluwały w powietrze czarny dym. Czując na ramieniu dłoń Asha, Nico sunął naprzód, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

Minęli grupę żołnierzy siedzących na przykrytych płótnem skrzyniach, a potem zbliżyli się do dużego budynku z otwartymi ścianami i wkroczyli w rozległą przestrzeń pod wysokim skośnym dachem z przybrudzonego szkła i metalowych wsporników. Hałas był ogłuszający; prawie uniemożliwiał rozmowę. Nico w milczeniu wytrzeszczył oczy, kiedy drogę zagroził im wysoki pulpit.

- Następny! - zawołał siedzący za nim znudzony urzędnik i machnął ręką, którą opierał na watowanym łokciu rękawa białej szaty. W drugiej ręce trzymał małą ściereczkę i kiedy Ash podszedł, urzędnik wydmuchał w nią czerwony nos.

Pulpit był tak wysoki, że urzędnik spoglądał na nich z góry.

- Macie coś do oclenia? - zapytał kapłan przez nos.

- Nie. Jestem instruktorem szermierki - odparł gładko Ash. Równocześnie szarpnął ciężką tunikę pod płaszczem, by wygładzić pognieciony po podróży materiał. - Mam tutaj podjąć pracę w Akademii Ul Sun Juan. A to mój uczeń.

Nico uśmiechnął się z przymusem.

- Macie ze sobą broń?

Ash zademonstrował płócienny zwój.

- No dobrze - zdecydował w końcu urzędnik. Wyglądał, jakby jedyną rzeczą zajmującą jego myśli były w tej chwili wygodne łóżko i talerz ciepłej zupy. - Należy się opłata jednego marvela od każdego, kto sprowadza broń na wyspę. Dwa dodatkowe, po jednym na osobę, za prawo wstępu do miasta. Plus jeden jako opłata administracyjna. Czyli razem cztery.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

Ash upuści mu na dłoń monety, a urzędnik trochę na pokaz kolejno sprawdził je zębami, po czym jedną wsunął do kieszeni, a pozostałe wrzucił do szczeliny w blacie. Nabazgrał coś na kartce i rzucił ją Ashowi.

- Witamy w Q'os - powiedział i szarpnął jakąś dźwignię. Poniżej pulpitu odsunęła się krata, otwierająca im przejście. - Następny.

W Q'os panował chłód, a słońce kryło się za ciężkimi chmurami. Ash i Nico trzymali się w pobliżu portu. Szybko zniknęli w tłumie wypełniającym kolejne brukowane uliczki.

Budynki wznoszące się po obu stronach zbudowano raczej z cegły niż z kamieni.

Gdziekolwiek spojrzał, widział pracujące dźwigi - nowe konstrukcje wyrastały na miejscu zburzonych albo nad jeszcze stojącymi. Wszędzie powiewały flagi z czerwoną dłonią Mannu; wyżej na wietrze kołysały się długie wstęgi, jakby cała dzielnica przygotowywała się do jakiegoś święta. Ogromny portret matrony Sasheen przesłaniał całą ścianę budynku; nad ulicami wisiały transparenty z wypisanymi słowami „Radujmy się”.

Nico zawsze uważał Bar-Khos za gwarne miasto, ale w porównaniu z tą metropolią przypominał wioskę. Ulice były tak zatłoczone, że ludzie ledwie mogli się poruszać.

Prezentowali wszelkie wyobrażalne style: powiewne jedwabie z dalekich krain, futra z północy, ubrania uszyte ze skóry zeli w biało-czarne pasy, brezentowe peleryny, płaszcze z piór z ogromnymi kapturami i wszechobecne czerwone szaty. Najczęściej jednak widziało się jasnobrązowe okrycia niewolników z obrazami na szyjach, przechodzących samotnie albo w grupach, często obciążonych pakunkami i skrzyniami. Na poboczach ulic dzieci ładowały do wiader dymiące łajno zeli. Na wysokich balkonach świątyni kapłani krzyczeli przez megafony, wzmacniające ich chrapliwe wołania. W klatce wiszącej na słupie na skrzyżowaniu siedział nagi przestępca; zwieszając nogi w dół, rzucał własnymi ekskrementami w każdego, kto pechowo znalazł się zbyt blisko.

W Q'os trwała jesień i jakby dla przypomnienia, zaczął padać gęsty deszcz. Dzięki temu mogli przynajmniej ruszyć szybciej, gdy

przechodnie zniknęli, szukając schronienia.

- Mam wrażenie, że chodzimy w kółko - poskarżył się Nico, na próżno wycierając twarz.

- Bo chodzimy. Gdyby ktoś nas śledził, z czasem powinniśmy go zgubić.

- Śledził?

- Tak. Q'os to miasto opanowane paranoją. Tutejsi kapłani mają własną formację policyjną: Regulatorów. Każdy podejrzany o nielojalność albo herezję zostaje aresztowany i uwięziony. Ludzie są opłacani, by donosić na sąsiadów. Ponieważ Kirkusowi grozi wendeta, a po naszej pierwszej próbie wiedzą, że to groźba całkiem realna, Regulatorzy będą podwójnie czujni. Mogą obserwować każdego nowego przybysza.

- To znaczy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? Nawet teraz?

- Jesteśmy w niebezpieczeństwie w każdej chwili naszego pobytu tutaj. A teraz posłuchaj uważnie. Dopóki tu jesteśmy, masz robić, co ci każę, bez dyskusji i bez wahania. Jeśli wpadniemy w kłopoty, masz się martwić wyłącznie o swoje bezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek mi się przytrafiło, uciekaj. Zniknij.

Te słowa nie wpłynęły dobrze na samopoczucie Nica. Idąc, nie mógł się powstrzymać, by nie zerkać czasem przez ramię, aż w końcu Ash go upomniał, że takie zachowanie zwraca uwagę.

Z każdą chwilą byli bardziej przemoczeni.

- Deszcz szczypie mnie w oczy - poskarżył się Nico, kiedy znowu dogonił Asha. Musiał się zatrzymać i przepuścić wyładowany wózek.

- I ma paskudny smak.

- Tutaj nawet niebo jest zanieczyszczone. To przez cały ten węgiel, który spalają. Kiedy brud nie spada z deszczem, całe miasto okrywa cuchnąca mgła. Nazywają ją Mgłą Baala, na pamiątkę dawnego króla, znanego z puszczania wiatrów. Słyszałem, że po jakimś czasie człowiek się przyzwyczaja.

Nico wąpił. Przez godzinę włókł się za mistrzem, podziwiając niezwykle widoki miasta.

Równocześnie z coraz większym trudem starał się ignorować ssanie w żołądku - ominęło ich przecież śniadanie.

W końcu zatrzymali się w hostalio - kwadratowym budynku z

brudnej szarej cegły; szyby w oknach zmętniały od kurzu, a farba łuszczyła się ze spróchniałych ram.

Na budynku, jakieś dziesięć metrów nad ulicą, wisiał wielki szyld. Nad obrazkiem łóżka napis głosił „Hostalio el Paradisio”, w handlowym.

- Może być - uznał Ash. - W tej dzielnicy jedna noclegownia nie jest lepsza od drugiej.

Wewnątrz stanęli przy biurku, kapiąc wodą na kafelki. Podali fałszywe nazwiska portierowi, który uniósł wzrok ponad brzeg arkusza wiadomości tylko na chwilę, kiedy wpisywali się do rejestru.

- Są jeszcze wolne pokoje na czwartym piętrze - rzucił. - Tam spróbujcie. Żadnych gości po dziewiątej. W pokojach nie wolno przyrządzać jedzenia. Absolutnie żadnego ognia, nawet świec. Aha - dodał i jeszcze raz podniósł wzrok. - Nie wolno wyrzucać odchodów przez okno.

Do tych celów służy otwór wychodka na każdym piętrze. To przyzwoity lokal i chcemy, by taki pozostał. Rozumiecie?

- W takim razie okażę mu szacunek, na jaki zasługuje - rzekł Ash i zacisnął pięść, aż woda zaczęła kapać na otwarty rejestr, brudząc papier ciemnoszarymi plamami. Portier zatrasnął księgę, ratując ją od dalszych szkód, i gniewnym prychnięciem zaanonsował koniec transakcji. Wrócił do lektury, a Nico i Ash ponieśli swoje bagaże schodami w górę.

Cały czas jednak obserwował ich kątem oka.

Znalezienie wolnego pokoju polegało na wyszukaniu drzwi, dowolnych drzwi, z kluczem sterującym z zamka. Odkryli takie na czwartym piętrze, tak jak im powiedziano. Idący przodem Nico chwycił klucz i spróbował go przekręcić, ale bez skutku.

- Odsuń się - polecił Ash.

Zamek z kluczem nie był umocowany do samych drzwi, ale do solidnej metalowej skrzynki, przykręconej do futryny. Żeby klucz zadziałał, Ash musiał wrzucić monetę do szczeliny - okazało się, że konieczny jest cały srebrny marvel, ponieważ mniejsze monety zwyczajnie wypadały dołem.

Przyłożywszy ucho do metalu, Nico słyszał, jak ciężki marvel odtacza się gdzieś wewnątrz; brzmiało to, jakby zniknął za ścianą.



Potem w skrzynce coś szcęknięło i klucz przekręcił się w rękę Asha, który wyjął go i pchnął drzwi.

W pokoju było ledwie tyle miejsca, żeby się położyć. Dwa opuszczane ze ściany łóżka, jedno nad drugim, były złożone. Ash wrzucił następną monetę do następnej szczeliny, przy zawiasach łóżka, i otworzył je. Potem usiadł ciężko, kładąc na kolanach skórzaną torbę.

Westchnął jak stary człowiek, którym był.

Nico zamknął drzwi i w kilku krokach podszedł do okna po przeciwnej stronie, gdzie oparł swoją torbę o brudny tynk pod parapetem. Pokój cuchnął smołodrewnem, stęchłym potem i wilgocią. I bardzo potrzebował wietrzenia. Chłopak spróbował rozchylić okiennice przesłaniające małe okienko, ale nie chciały się ruszyć.

- Nico... - rzucił ponuro Ash i wręczył mu ćwiartkę.

Nico zauważył umocowane do ramy pudełko na monety. Zdumiony, wrzucił ćwiartkę do szczeliny, wewnątrz coś szcęknięło i w końcu udało mu się otworzyć okiennice. Za nimi zobaczył ceglany mur, brudny od sadzy i ptasich odchodów, oddalony najwyżej o dwa metry, po drugiej stronie uliczki.

Okna naprzeciwko, w większości otwarte, ukazywały plecy ludzi na krzesłach, wyglądające na zewnątrz blade twarze, niewyraźne poruszenia, jakąś kłótnię. Powietrze w zaułku wydawało się jeszcze gorsze od tego w pokoju. Docierały do niego odgłosy miasta.

Nico wychylił się, by zbadać uliczkę w dole, zasypaną śmieciami i pełną kałuż; po lewej stronie widział ciąg całkiem podobnych zaułków aż do brzegu zatoki tworzącej Pierwszą Przystań.

Raz jeszcze spojrzął w okna naprzeciwko, gdy tymczasem Ash za jego plecami zaczął się rozpakowywać. Dokładnie na wprost Nico widział siedzącego na stołku starszego mężczyznę, który budował coś ze stosu zapalek.

Nico odwrócił się i oparł o parapet. Zauważył, że blade światło dnia jeszcze bardziej podkreśla nędzę pomieszczenia.

- Kiedy mamy się spotkać z Barachą i Aléasem?

- Jutro. - Ash starannie ułożył przy umywalce zapakowaną czyściłkę i mydło. - Ale najpierw musimy się zobaczyć z agentką, żeby się upewnić, czy dotarli bezpiecznie.

- Moglibyśmy iść teraz.
- Nie, lepiej poczekać do zmroku.

Cudownie, pomyślał Nico. Nie był zachwycony perspektywą siedzenia w tym pokoju przez całe popołudnie, bez niczego do roboty.

- Byłeś już w Q'os. Może mógłbyś mi pokazać coś ciekawego?
- Trzymaj. - Ash podał mu jeden z tomików, które zawsze nosił w swojej sakwie. - Możesz poczytać, żeby jakoś zabić czas. Jest napisana w handlowym. Co do mnie, chyba się zdrzemnę.

Nico spojrział na książeczkę, ale nie sięgnął po nią. Na pewno poezja, uznał. Ash stale czytał jakieś wiersze.

- Prawdę mówiąc, wolałbym do wieczora wyrywać sobie paznokcie.

Ash uniósł brew i odłożył książeczkę na posłanie. Tak samo reagował przez całą drogę, za każdym razem, kiedy proponował Nicowi coś do czytania, a chłopak odmawiał. Tym razem jednak wędrowiec się odezwał.

- Nie umiesz czytać, chłopcze. Prawda?
- Nico wyprostował się gniewnie.
- Oczywiście, że umiem czytać. Po prostu nie mam ochoty.
  - Nie. Potrafisz może odcyfrować pojedyncze słowa, ale nie wierzę, żebyś umiał porządnie czytać.

Nico porwał książkę z łóżka.

- Chcesz, żebym ci pokazał? Proszę, tu jest napisane... - Spod zmrużonych powiek spojrział na okładkę. - *Wołanie... czapli...* - wyrecytował, po czym otworzył tomik na stronie pokrytej drobnym drukiem. - *Zbiór... roz-myś-lań...*

Słowa popłynęły przed jego oczami, jak zwykle. Zamrugął, próbując odzyskać ostrość widzenia, ale bez skutku.

Zniechęcony, rzucił książeczkę na posłanie.

- To nie tak, że nigdy nie próbowałem - wyjaśnił. - Ale słowa mieszają się ze sobą.

Skaczą dookoła i zmieniają się, kiedy na nie patrzę. W teatrze mogę przynajmniej śledzić, co się dzieje. Ale nie w książkach.

- Rozumiem - rzekł Ash. - Mam taki sam problem.
- Przecież czytasz bez przerwy!

- Teraz tak, owszem. Ale jako młody chłopak miałem trudności i w rezultacie zacząłem bać się słów. Niektórzy z nas tacy się rodzą, Nico. Ale to nie musi nas powstrzymywać od czytania. Zmusza tylko, żebyśmy bardziej się starali. Musisz ćwiczyć i się nie spieszyć.

Chodź, usiądź tutaj, to ci pokażę.

Nico wycofałby się, gdyby mógł, jednak poczuł za sobą krawędź parapetu. Ash, siedzący na łóżku z książką na kolanach, zauważył wahanie chłopca.

- Uwierz mi, Nico. Umiejętność czytania to cenna rzecz w życiu.

- Ale ty masz tylko poezje. Poezja mnie nudzi.

- Bzdura. Poezja to coś, w czym żyjemy, czym oddychamy. - Stary wędrowiec otworzył książkę na przypadkowej stronie. Przyglądał się przez chwilę, poślinił palec i przewrócił kartkę. - Posłuchaj - rzekł. - W taki sposób piszemy czasem poezje w honshu. To Issea, pisanie o samotności wśród nocy.

Przeczytał cicho:

*Górskie jezioro*

*Pije księżyc.*

*Pije mnie.*

Spojrzał na Nica.

- Wyczuwasz to? Tę samotność?

- Może lepiej przeczytaj jeszcze raz. Było krótkie i nawet nie zauważyłem, że już się zaczęło.

Ale już mówiąc to, Nico usiadł obok Asha i spojrzał na druk.

Ash położył mu tomik na kolanach.

- Spróbuj sam coś przeczytać. Nie spiesz się.

Nico powoli odczytywał każde słowo, powtarzając je szeptem. Gdy tylko zaczęły się zmieniać i rozpływać, postarał się odprężyć. Umiał czytać, jeśli miał ochotę. Tylko związany z tym wysiłek go zniechęcał, i irytacja na własną niezdarność. Z tymi krótkimi wierszami szło mu łatwiej, język był prosty, druk należycie otoczony białą powierzchnią. Przerzucił kilka kartek, oceniając wiersze według wyglądu. Po chwili przeczytał głośno:

*W drzwiach*

*Przestrzeń*

*Wystraszonego ptaka.*

- Widzisz? Całkiem dobrze ci poszło. To trudne, ale nie niemożliwe.
- Te wiersze... Albo rozumiesz je w mgnieniu oka, albo wcale.

Ash kiwnął głową.

- Możesz sobie zatrzymać tę książkę. Uznaj, że to element twojej edukacji.

- Dziękuję - odparł Nico. - Nigdy jeszcze nie miałem własnej książki.

Przyjrzał się jej. Musnął palcami skórzaną oprawę. Potem wstał, trzymając ją w dłoni.

- A teraz błagam - powiedział. - Na litość, czy możemy stąd wyjść i coś zrobić?

## ROZDZIAŁ 21

### Rajskie miasto



Prawie trzecia po południu, według zegara na bladuróżowej fasadzie pobliskiej mannijskiej świątyni. Nico i Ash zjedli w ulicznej jadłodajni, siedząc na wysokich stołkach przy otworze w ścianie, gdzie klienci składali zamówienia i można było zobaczyć spoconych kucharzy, pracujących w maleńkiej, dusznej kuchni. Jedli w milczeniu, gorliwie pochłaniając makaron w ostrym sosie, i patrzyli na ludzi przechodzących szybko w drobnym deszczu, padającym z niskich chmur; woda ciekła stróżkami z narożników brezentowego zadaszenia nad głowami jedzących. Ash zachowywał czujność, mimo wyraźnego zmęczenia. Nico zdążył dobrze go poznać - wiedział, że starzec kątem oka obserwuje otoczenie, bez wątpienia wypatrując znaków, że są śledzeni. Jeśli nawet coś zauważył, nie powiedział o tym chłopcu.

Uwagę Nica zwróciła świątynia po drugiej stronie ulicy. Nie patrzył na wchodzących i wychodzących, ale na budowlę - niepodobną do żadnej świątyni, jaką w życiu oglądał.

Składała się właściwie tylko z kamiennej iglicy, sterczącej spośród niskich budynków dookoła niczym mniejsza kopia tych sięgających nieba wież, które widział w innych częściach miasta. Znowu się zastanowił, jak można tak ukształtować stal i płynny kamień, by budowla była tak wąska i tak wysoka.

- Siedzę i spokojnie jem kluski w samym Q'os - rzucił cicho. - I uświadamiam sobie, że w ogóle nic nie wiem o tych ludziach. Oprócz tego, że jako Mercjanin powinienem uważać ich za wrogów, a więc się ich obawiać.

Ash przeżuł wolno i przełknął.

- To zwykli ludzie - oświadczył. - Tyle że ich obyczaje sięgnęły ekstremum, a zatem również ich serca. W pewnym sensie wszyscy są chorzy... chorzy duchem. - Wessał kolejną nitkę makaronu i obejrzał się przez ramię na świątynię. - Gdybyś poznał ich kapłanów, bałbyś się bardziej.

Nico zastanawiał się, czy to prawda. Opowieści o ludzkich ofiarach składanych przez kapłanów Mannu i o pomniejszych nieprawościach popełnianych przez wyznawców wydawały się - teraz, kiedy siedział na rogu ulicy w samym sercu Imperium - raczej bzdurnymi mitami.

Milczał przez chwilę, a potem znów zaczął głośno myśleć:

- Może nie mielibyśmy o co walczyć, gdyby nie te wszystkie religie, które nas różnią.

- Być może. - Ash oblizał palce. - Ale pomyśl chwilę. Naprawdę uważasz, że rzadziej zdarzałyby się wojny, gdybyśmy wszyscy wyznawali jedną religię, albo nawet nie mieli żadnej? - Ash pokręcił głową, w zaskakująco smutny sposób. - Taki już mamy zwyczaj, Nico, by udawać, że nasza wiara jest dla nas najważniejsza. Ale wojny rzadko wybuchają z powodu wierzeń. Wojny prowadzi się z powodu ziemi i łupów, dla prestiżu albo z głupoty. Prowadzi się je, ponieważ jedna strona chce panować nad drugą. Jeśli między walczącymi narodami są różnice religijne, tym łatwiej zamaskować to, co mają wspólnego. Prawdziwa wiara bardzo rzadko jest powodem. Mannijczycy wcale nie są inni, mimo pozorów. Ich najważniejszym celem jest dominacja. W głębi serca pragną wszystkim zawładnąć.

Po drugiej stronie ulicy świątynny zegar wybił godzinę. Na balkonie na wieży pojawił się kapłan i wykrzyknął przez megafon do tłumów na ulicy; podobne wołania zabrzmiały w całym mieście. Kiedy rozległy się niewyraźne słowa, Nico zobaczył coś dziwnego: wszyscy na ulicy przerwali swoje zajęcia i uklękli na ziemi, wznosząc twarze i ramiona w kierunku dalekiej Świątyni Szeptów.

Poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw i po chwili został ściągnięty w

dół, na kolana, przez Asha, który także uklęknął. Nico rozejrzał się i zobaczył, że nie jest jedynym, który spóźnił się z okazaniem czci dla Mannu, ani też jedynym, który nie jest tym zachwycony.

- Codzienne wezwanie - wyjaśnił Ash z nutą pogardy w głosie, po czym gwałtownie uniósł ręce, odsłaniając je przed deszczem, gdy rękawy płaszcza zsunęły się do łokci.

Nico z wahaniem poszedł za jego przykładem, czując się przy tym jak idiota.

O szóstej pojechali tramwajem - dużym powozem zaprzężonym w dwanaście zeli, których czarno-białe futra parowały z wysiłku. Napis nad drzwiami głosił: „Paradisio”.

Ash wrzucił do szczeliny pół marwela i kołowrotek wpuścił go do tramwaju. Za jego plecami Nico zrobił to samo. W środku nie było już wolnych siedzeń, więc Nico - za przykładem Asha - chwycił brzeg półki na bagaż, biegnącej przez całą długość pojazdu. Na półce leżały obok siebie worki jarzyn, beły materiałów, a nawet stała klatka z kurami, które przyglądały się Nicowi paciorkowatymi oczami. Kołysali się z Ashem, gdy tramwaj przeciskał się przez zatłoczone wieczorem ulice; miecze starannie ukrywali pod płaszciami.

Pasażerowie byli milczący i panowała dziwna cisza, jeśli nie liczyć bezustannego bębnienia deszczu o dach i szyby.

- Nikt tu z nikim nie rozmawia - szepnął chłopiec. - Nawet na siebie nie patrzą.

Mistrz Ash uśmiechnął się blado. Wóz pustoszał z wolna, gdy ludzie wysiadali na kolejnych przystankach. W końcu zwolniły się siedzenia, więc Ash i Nico usadowili się wygodnie. Stary wędrowiec natychmiast zamknął oczy.

Nico zauważył, że czoło mistrza marszczy się z bólu. Ash drżącymi palcami ścisnął skronie, jakby chciał ukoić nagły skok ciśnienia. Wyjął jeden ze swoich liści i wsunął sobie do ust.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważył Nico.

Mistrz odpowiedział znużonym głosem, nie otwierając oczu:

- To miejsce źle na mnie działa, Nico. Zbudź mnie, kiedy dojedziemy do ostatniego postoju.

Po czym otulił się wilgotnym płaszczem i znieruchomiał.

Wyspa Q'os miała cztery zatoki portowe, każda z nich utworzona w

przestrzeni między palcami, znanymi jako Pięć Miast. Pierwsza Przystań leżała w zatoce, z jednej strony ograniczonej lądowym występem nazywanym kciukiem, a z drugiej cyplem, który przypominał palec wskazujący.

Paradisio, nazywane też Pierwszym Miastem, było największą dzielnicą rozrywki w całym Q'os i zajmowało większą część powierzchni kciuka. Główna arteria biegła wzdłuż brzegu - widzieli stąd Pierwszą Przystań i wschodnie doki, gdzie wynajęli pokój.

Przejeżdżając przez tę dzielnicę, mogli obejrzeć kępę wysokich iglic, otaczających wielką budowlę Shay Madi, najnowsze i największe koloseum na wyspie; jego boczne ściany wyrastały ponad okolicznymi domami jak niewielkie wzgórze. Tam właśnie tramwaj zatrzymał się po raz ostatni, w cieniu gigantycznego stadionu.

Kiedy wysiedli na deszcz wraz z ostatnimi pasażerami, Nico mógł tylko patrzeć z rozdziawionymi ustami na gigantyczny splot łuków i kolumn. Tramwaj odjechał; zele wyglądały na zmęczone, ale biegły szybciej z mniejszym obciążeniem i kuszone bliską perspektywą stajni. Cała podróż trwała prawie godzinę, jeśli niedaleki uliczny zegar prawidłowo wskazywał czas.

Nico i Ash ruszyli szybkim krokiem, kryjąc się przed żywiołem pod kapturami płaszczy.

Tłumy szukających rozrywki sunęły ulicami Paradisio w drodze na stadion. To spowolniło Nica i Asha, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku. Wreszcie zatrzymali się w cichej bocznej uliczce. Zrobiło się wyraźnie ciemniej i jakiś człowiek na stukających szudłach przeszedł ulicą, zapalając kolejne latarnie.

- Gazowe światła - wyjaśnił Ash, gdy tylko chłopiec otworzył usta, by zapytać. - Miasto leży na wielkich pokładach gazu, więc wykorzystują go, gdzie tylko mogą.

Nico próbował odgadnąć, co starzec chce przez to powiedzieć.

- Wyobraź sobie wyziewy z zadów świń. - Ash znowu go uprzedził.  
- Możesz trzymać ten zapach w butlach albo przesyłać rurami, żeby spalać tam, gdzie potrzebujesz.

- Butelkują gaz, który wylatuje ze świńskich zadów?

Starzec westchnął.

- Nie, Nico. Podałem ci tylko przykład. Ale zasada jest ta sama.



- A zastanawiałem się, czemu Q'os tak okropnie cuchnie.

Ash odwrócił się do niego i przyjrzał mu się uważnie. Wysunął dolną wargę, a potem cofnął ją wolno.

Minęła ich grupka kobiet; paplały w dialekcie, który brzmiał trochę jak handlowy, choć dziwnie zduszony. Weszły do publicznej łaźni, przed którą stanęli. Obok wejścia jakiś znak zwrócił uwagę Nica - namalowano na nim coś, co przypominało rōshuńską pieczęć.

Ash zignorował go; weszli do łaźni za kobietami.

Wewnątrz wrzucił monety do szczeliny, odebrał dwa czyste ręczniki i wkroczyli w wilgotną atmosferę szatni. Była pusta, tylko kilkoro mężczyzn i kobiet rozmawiało pod słabym światłem górnych lamp.

Na polecenie Asha Nico wszedł do pustej kabiny. Czekał tam sam, gdy tymczasem jego mistrz gdzieś zniknął. Nasłuchiwał rozmów na zewnątrz, ale brzmiały głucho i prawie niczego nie rozumiał.

Nagły zgrzyt w górze kazał mu unieść głowę. Ash wyjrzał przez otwór w suficie, który powstał po usunięciu dużej drewnianej płytki. Po chwili wyciągnął rękę, Nico chwycił ją i został wciągnięty w mroczną, zakurzoną przestrzeń pod dachem.

- Te budynki mają wspólny strych - szepnął mu Ash prosto w ucho. - Możemy stąd dotrzeć do naszej agentki i nikt nie zobaczy, że wchodzimy do tamtego domu. Na pewno jest obserwowany.

Ash prowadził Nica przez mrok, ostrożnie stawiając kroki raczej na belkach niż na delikatnych płytkach między nimi. Dla utrzymania równowagi, wysuwał na bok rękę, w której trzymał miecz w pochwie. Mimo wszechobecnego kurzu, Nico starał się powstrzymać kichanie i skupiał na tym, gdzie stawia stopy. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak zsuwa się z belki i przez sufit spada wprost na kolana jakiegoś pechowego osobnika w kąpielni.

Po pewnym czasie Ash się zatrzymał. Podniósł i odłożył na bok płytkę, po czym wsunął głowę przez otwór. Uspokojony, opuścił się na dół. Nico zwinnie zeskoczył zaraz za nim.

Stali w niedużym pomieszczeniu; ich plecy pod mokrymi płaszczami rozgrzewały się powoli przy płonących w kominku węglach. Ogień był jedynym źródłem światła. W głębokim skórzanym fotelu siedziała kobieta z książką na kolanach, jednak to

nie jej niewyraźna sylwetka ani nie książka przyciągnęły uwagę chłopca. To raczej duży pistolet, trzymany w jednej ręce i mierzący nieruchomo w pierś Asha.

Na moment wszystko znieruchomiało; poruszały się tylko cienie rzucone na ściany i na drewniane meble. Potem jakaś iskra strzeliła w kominku i Nico drgnął. Kobieta uniosła wolną rękę i powoli przytknęła palec do warg.

Na mały stolik przy fotelu odłożyła pistolet, a obok niego książkę. Wstała i podeszła do kominka, po czym skinęła na Asha.

Nico zbliżył się także. Zauważył pieczęć wiszącą jawnie na szyi kobiety, która przykucnęła przy ogniu i wskazała komin. Ash odłożył miecz, przyklęknął na podłodze i zajrzał w głąb rozjaśnionego płomieniem komina. Pokiwał głową, sięgnął po miecz i wstał.

Kobieta także.

Skinęła na nich w milczeniu. Nico obejrzał się jeszcze na kominek, po czym wyszedł za nimi z pokoju.

W niewielkim, nieoświetlonym holu minęli wnękę kuchenną i weszli do wygodki. Było to ciasne pomieszczenie, ledwie mieszczące trzy osoby, a kiedy kobieta zasunęła drzwi, pogrążyli się w całkowitej ciemności.

Zapłonęła zapałka i przesunęła się do ściany; dotknęła knota zanurzonego w naczyniu z olejem, ustawionym w czarnej od sadzy wnęce. Płomień rósł powoli, rozsiewając zapach kapryfolium. Pomogło to przynajmniej zamaskować smród.

Kiedy już mogli się zobaczyć, kobieta otworzyła kurek w innej wnęce, gdzie mieściła się umywalka. Pomieszczenie wypełnił szum płynącej wody.

- Mamy kłopoty - oznajmiła cichym, niskim głosem.

Przecisnęła się obok Asha i usiadła na wygodce, by zrobić więcej miejsca.

Wtedy knot rozjarzył się mocniej i rozkwitło światło. Nico zobaczył przed sobą twarz, o której śnił nocami.

- Serēse - wyrzucił.

Młoda kobieta uniosła palec do warg.

- Nie jesteście tu bezpieczni - szepnęła. - Budynek jest obserwowany.

Ash kiwnął głową bez zaskoczenia.

- Dobrze wyglądasz - zauważył.

Nico musiał przyznać, że rzeczywiście dobrze wygląda: włosy miała splecione w warkocz, a je smukłe ciało okrywał brązowy skórzany kombinezon.

- Ale ty stanowczo nie - odparła. - Co wyście robili? Wyglądacie okropnie.

- Dziękuję ci. A teraz powiedz, od jak dawna podsłuchują?

Serēse wzruszyła ramionami.

- Aparat w kominie znalazłam, jak tylko wróciłam do miasta. Zostawili ślad ubrudzonego sadzą palca tam, gdzie nie powinno go być, bo przed wyjazdem dokładnie posprzątałam. - Pokręciła głową.

- Ale słuchajcie uważnie. W tej chwili to nie jest problem. Wczoraj w nocy mój ojciec przecesał okolicę. Wiecie, że lubi być dokładny. Regulatorzy obserwują budynek ze wszystkich stron.

- Czyli Baracha dostał się do miasta?

- Tak. Ale nadal nie słuchasz. Zamiast odwiedzić mnie osobiście, ojciec przysłał liścik.

Napisał, że powinnam natychmiast zniknąć. Uznałam jednak, że lepiej zostanę do waszego przybycia. Uważa, że Regulatorzy pilnują nie tylko tego budynku, ale też łaźni. Nie pytajcie skąd, ale chyba wiedzą o tym przejściu. Na pewno widzieli, jak wchodzicie.

Nico zerknął na starca. Słodka Erēs, pomyślał. Pewnie wiedzą, że tu jesteśmy.

Ash zastanawiał się chwilę, gładząc kciukiem pochwę miecza.

W ciszy Serēse spojrzała na Nica i spróbowała się uśmiechnąć. Ona się boi, uświadomił sobie chłopak i poczuł satysfakcję, że nie jest jedyny. Przez moment, patrząc na nią, wspominał ich krótkie spotkanie w pralni w Sato, kiedy włosy miała wilgotne od pary. Z trudem kojarzył tamtą dziewczynę z młodą kobietą, którą widział przed sobą.

- Spotkanie? - spytał Ash. - Ojciec coś wspominał?

- Tak. Powiedział, że spotka się z wami jutro, zgodnie z planem.

- To dobrze. W takim razie pójdziemy stąd.

- No pewnie - zirytował się Nico. - Po prostu sobie wyjdziemy, całkiem spokojnie, a oni tylko pomachają. Nie przychodzi mi do

głowy żaden błąd tego planu. Ani jeden.

- Wyjdziemy przez łaźnię razem z innymi. Dzięki temu przynajmniej będą musieli się rozdzielić. To najlepsze, co możemy zrobić.

Serēse przyznała mu rację. Potem wstała i wysliznęła się do holu, przez moment przyciskając się plecami do Nica. Nico i Ash wyszli za nią; narzuciła na siebie czerwony płaszcz i chwyciła płócienny plecak, który czekał już spakowany.

Zebrali się przed kominkiem. Ash zaryzykował spojrzenie przez szczelinę w okiennicy.

Nico przejął inicjatywę: przesunął fotel pod otwór w suficie i wspiął się na górę. Wyciągnął rękę, by pomóc Serēse, ale nie chwyciła jej. Rzuciła mu tylko swój plecak. Potem wspięła się na poddasze, a za nią Ash. Starannie ułożył za sobą płytkę.

W szatni w łaźni panowała cisza, kiedy zsunęli się do pustej kabiny. Przez kilka minut czekali, stłoczeni na drewnianej ławeczce. Nico czuł ciepło nogi przyciśniętej do niego Serēse, ale jak mógł, starał się to ignorować.

Ash uniósł dłoń i zaczął masować czoło.

- Świątynia? - zapytał, jakby chciał zapomnieć o bólu. - Udało ci się zebrać jakieś informacje?

- Przez kilka dni obserwowałam jej obrzeża - szepnęła. - Potem opowiedziałam Baso i pozostałym, co widziałam. Prawda jest taka, że tego nie da się zrobić.

- Baso się udało.

- Tak - syknęła. - I jak daleko doszedł?

Ash nie odpowiedział.

- Nie wiemy nawet, czy Kirkus wciąż tam jest.

- Wróż tak uważał, zanim opuściliśmy Sato. Możemy tylko zakładać, że to się nie zmieniło.

Zamilkli, gdy do głównej sali wszedł jakiś człowiek. Pogwizdywał cicho, najwyraźniej samotny. Inni jednak pojawili się wkrótce; dyskutowali głośno, jaki zamtuż odwiedzić po kąpieli. Ash pochylił się i wyjrzał pod drzwiami kabiny.

- Posłuchajcie - szepnął, gdy się wyprostował. - Wychodzimy razem z nimi. Jeśli zaatakują nas na zewnątrz, musicie oboje uciekać,

a ja postaram się jakoś ich zatrzymać. Nico wie, dokąd się udać.

- Wiem?

- Do hostalio, Nico. Uciekajcie do wschodnich doków, a tam każdy wskaże ci drogę.

Odczekali kilka uderzeń serca, dopóki Ash nie skinął głową, a wtedy wszyscy troje naciągnęli kaptury i za grupą mężczyzn wyszli na ulicę. Wieczorny mrok zmienił się w nocną ciemność, ale przynajmniej przestało padać. Natychmiast skręcili w przeciwną stronę niż mężczyźni i odeszli swobodnym krokiem.

Nico wyczuwał oczy śledzące ich w cieniu, choć nie wiedział, czy to wrażenie odpowiada rzeczywistości. Serēse zaczęła coś mówić, albo z nerwów, albo żeby wyglądać bardziej zwyczajnie. Jej słowa brzmiały dziwnie wśród ciemności, z rzadka rozjaśnianej gazowymi latarniami.

- Masz na imię Nico? - odezwała się do niego. - Tak?

- Tak. Pamiętałaś.

- W dawnej mowie to znaczy „przenikliwy”.

Nico spróbował przełknąć ślinę. W gardle mu zaschło. Czujnie obserwował ciemną bramę po lewej stronie.

Potwierdził niewyraźnym mruknięciem.

- A jesteś?

- Co jestem? - Mógłby przysiąc, że w czerni poruszył się jakiś cień.

- No, przenikliwy. Próbujesz zrozumieć motywy innych?

- O tym przekonywała mnie matka.

Nico wciąż rozglądał się spod kaptura. Musiał się powstrzymać, by nie patrzeć przez ramię.

Ash chyba wyczuwał jego nastrój.

- Nie oglądaj się - szepnął. - Paplaj dalej.

Nico spróbował jakoś podjąć rozmowę.

Coś chlupnęło w kałuży akurat w chwili, gdy Serēse otworzyła usta, by coś powiedzieć.

- Idą za nami - szepnęła zamiast tego.

Nico opanował odruch ucieczki, a Serēse zaczęła mrużyć pod nosem. Przypominało to starą wyliczankę, którą Nico pamiętał z lat dzieciństwa.

- Weź mnie za rękę - poleciał nagle Ash.

- Dlaczego? - zdziwił się Nico.

- Bo mało co widzę.

Ash nie czekał na jego reakcję, ale ujął rękę Nica i ułożył ją na własnym przedramieniu.

Mrużył oczy, jakby chciał zobaczyć coś w oślepiającym świetle.

Zaprzężony w zele tramwaj przeturkotał po prawej stronie, rzucając na ulicę mdląco żółty blask. Powóz nie był pełny; z rzadka tylko jakaś twarz w oknie spoglądała w mrok, pozbawiona wyrazu i zagubiona w świecie własnych myśli. Ale gdy tylko przejechał, w jego miejscu pojawiły się dwie postacie w płaszczach; ruszyły, żeby przeciąć im drogę.

- Co jest? - rzucił Ash, czując, że Nico zaciska palce.

- Jeszcze dwóch przed nami.

- W takim razie skręć.

Nico skierował ich w boczną uliczkę. Serēse zamilkła, Ash rozluźnił płaszcz i przesunął pochwę miecza. Nico zrobił podobnie, trochę niepewny. Całe jego ciało drżało. Pamiętał, że powinien koncentrować się na oddechu.

Boczna ulica biegła tyłami wielkiego marmurowego budynku, ozdobionego gargulcami o twarzach zastygłych w groteskowych grymasach. Przez jasne okna dobiegała muzyka, jakiś rodzaj opery, takiej samej jak te, których Nico mógł słuchać w Bar-Khosie. Wśród tych dźwięków, ledwie słyszalny, rozlegał się z tyłu stuk podkutych butów. Nico rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że ich śladem podąża pięć postaci.

- Mistrzu - syknął Nico, kiedy kolejni intruzi stanęli im na drodze, ledwie dziesięć kroków przed nimi. Z pewnością Regulatorzy.

Zgrzyt stali w nocnej ciszy... Zamigotały klingi.

- Stać! - rozkazał głos. - Jesteście aresztowani, wszyscy.

- Nie zatrzymujcie się - polecił Ash. Zrzucił płaszcz z ramion. Zbliźali się do Regulatorów, choć ci z tyłu także zmniejszali dystans. - Będziecie musieli walczyć. Oboje.

Pamiętajcie o oddechu. I kiedy tylko zobaczycie wolną drogę, uciekajcie. Zrozumiano?

Według Nica, nie był to żaden plan. Ścisnął w dłoni owiniętą skórą rękojeść miecza, szukając w tym uspokojenia. Był gotów, by go

wydobyć, tak jak go uczono. Nic już nie wydawało mu się realne.

Jedna z mrocznych postaci uniosła pistolet.

Pistolet...

- Stać! - zawołał ponownie czyjś głos.

- Jak blisko są? - spytał Ash.

- Sześć kroków.

Nico aż podskoczył na dźwięk eksplozji tuż obok. Człowiek z pistoletem krzyknął i przewrócił się na plecy.

Serēse odrzuciła swój pistolet i nie zatrzymując się nawet, wyjęła długi nóż myśliwski.

Nico znieruchomiał na moment, podziwiając jej sylwetkę - a potem Ash również włączył się do akcji.

Jednym płynnym ruchem starzec wydobył miecz i się uchylił; ugiął przednią nogę w kolanie, drugą wyciągnął do tyłu i przejechał ostrzem po brzuchu przeciwnika; spostrzegł cięcie z góry innego Regulatora, tym samym ruchem odbił klingę i pchnął.

Nico nie zauważył, co się stało potem - tymczasem sam znalazł się w sercu starcia.

Uchylił się przed cięciem, jak go bez końca uczono, i poczuł chłodne tchnienie klingi przed twarzą.

To się dzieje naprawdę, powiadomił go umysł. Ci ludzie chcą mnie zabić.

Ciało przejęło kierowanie. Dobył miecza i przy następnym kroku pchnął. Poczucił opór, który zaraz ustąpił; o centymetry od niego jakaś twarz wykrzywiła się w bólu.

To człowieka, ludzką istotę przebił swoim mieczem...

Mężczyzna się szarpnął. Nico przez rękojeść wyczuwał jego rozpaczliwe ruchy.

Wypuściłby miecz z obrzydzeniem, ale nagła lekkość była znakiem, że tamten sam zsunął się z ostrza, potem westchnął jakby z ulgą i usiadł na ziemi.

Nico się cofnął.

Czyjeś ręce chwyciły go za szyję, pociągnęły do tyłu i w dół; ktoś wytrącił mu miecz.

Uderzył o bruk, przygnieciony ciężarem obcego ciała, poczuł cuchnący oddech napastnika.

Ktoś inny przytrzymał mu nogi. Przeklinająca i wyrywająca się Serēse padła na ziemię tuż obok.

Nico uwolnił głowę i uniósł ją, by spojrzeć na Asha.

Wędrowiec nadal stał i tańczył między otaczającymi go postaciami w kapturach. Nico przyglądał się z podziwem, tak jak Regulatorzy, którzy go trzymali. Przez moment odniósł wrażenie, że nie da się zatrzymać starca - ruchy miał tak szybkie że jakakolwiek reakcja była niemożliwa; jego manewry zdawały się wyprzedzać wszystko, co działo się wokół.

Ale Regulatorów było zbyt wielu, a poza tym Ash prawie nie widział. Przepuścił jeden atak i został trafiony w lewe ramię; cięcie powinno odrąbać mu rękę, ale zdążył się uchylić.

Zareagował stęknieniem i defensywnie zatoczył łuk mieczem. W słabym świetle zdawało się, że przez rozdarty rękaw spływa czern.

- Uciekajcie! - wykrzyknął starzec, nie wiedząc, że jego towarzysze zostali powaleni.

Kolejny cios trafił Asha - miecz uderzył go płazem w głowę. Starzec zatoczył się, odbił od ściany i wyprostował z wściekłym warknięciem. Jego miecz uderzył natychmiast, ale Regulatorzy odskoczyli poza zasięg klingi.

Jeden z nich wyjął pistolet i starannie wymierzył w kolano Asha.

- Mistrzu Ash! - krzyknął ostrzegawczo Nico.

Spróbował się wyrwać, gdy tymczasem Regulator przymknął jedno oko i nacisnął spust.

Minął ułamek sekundy, nim zapalił się ładunek czarnego prochu... a w tym czasie zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego.

Ogromny mężczyzna znalazł się nagle na polu walki. Jednym cięciem strącił czubek czaszki strzelca, tak że zawieszony na krwawym strzępie skóry uderzył w policzek. Broń wypaliła, gdy strzelec padał już na ziemię. Pocisk poszedł w górę. Olbrzym atakował dalej - tych, którzy trzymali Nica i Serēse.

To był Baracha, a za nim nadbiegał Aléas z błędnym wzrokiem. Baracha wznosił i opuszczał swój ciężki miecz, jakby rąbał drewno. Aléas postępował za nim, kłując i tnąc na prawo i lewo. Ash przeszedł do ataku.

Leżąc na wznak, wciąż oszołomiony, Nico patrzył, jak z posępną,



bezglósną skutecznością trzech Rōshunów eliminuje przeciwników. Po kilku chwilach wszyscy Regulatorzy leżeli na bruku.

Okrzyk entuzjazmu rozległ się z gmachu opery. Przedstawienie dobiegało końca.

Nico dygotał i czuł skurcze żołądka, kiedy patrzył na ciała krwawiące na bruku. Dławił się od metalicznego zapachu krwi. Jego ofiara też gdzieś tam leżała, wiedział to dobrze - człowiek, którego zabił. Teraz nie potrafiłby nawet go wskazać.

Usłyszał, że ktoś się krtusi - to Serēse wymiotowała pod murem. Zaskoczyło go, że jest świadkiem jej słabości.

Ash wycierał miecz płaszczem jednego z zabitych. Baracha stał nieruchomo, dyszał ciężko i z wyraźną ulgą spoglądał na córkę. Wokół, na mokrych kamieniach, ludzie dławili się, rżęzili, próbowali się poruszyć.

- Niezły bałagan - burknął Alhazii, zwracając się do Asha. - Dobrze, że sami też obserwowaliśmy budynek. Obawiałem się, co może nastąpić, kiedy w końcu przybędziecie.

Nie zachowałeś należytej ostrożności, starcze.

Ash szybkim ruchem wsunął miecz do pochwy.

- Też się cieszę, że cię widzę, Baracho.

W oddali zabrzmiał ostry gwizd.

- Może powinniśmy zostawić pogawędki na kiedy indziej? - zaproponował Aléas.

Nico sięgnął po swój miecz. Dopiero po kilku próbach zdołał porządnie chwycić rękojeść, potem zauważył krew na rękach i wytarł je o tunikę. Nie schodziła. Próbował wsunąć broń do pochwy, ale jakoś nie mógł trafić.

Ash położył mu dłoń na ramieniu.

- Oddychaj - powiedział.

- Tak, mistrzu - odparł Nico i schował klingę do pochwy.

- A więc jutro? - zwrócił się Ash do Barachy.

- Tak, jutro... I pamiętaj, żeby tym razem zachować czujność.

Cichym głosem Ash polecił swojemu uczniowi, by go poprowadził.

Rana Asha krwawiła mocno przez całą drogę powrotną. On i Nico próbowali jakoś ją opatrzyć, ale krew ściekała na dłoń i kapłała z wilgotnych palców. Ash nie zgodził się, żeby do hostalio dojechali

tramwajem, uznawszy, że rana zbyt rzuca się w oczy. Idąc, przyciskał tylko do rozcięcia oderwany kawałek tuniki; ani razu się nie poskarżył. Na prośbę Nica dwukrotnie zatrzymali się przy głębokich kałużach, gdzie próbował zmyć z rąk plamy krwi.

- Czy już widzisz? - spytał Nico, strząsając z dłoni wodę.

- Tak, wzrok mi się poprawia.

- Nie rozumiem. Co ci właściwie dolega?

- Nic mi nie dolega. Mówiłem ci już, że cierpię na ostre bóle głowy. Jeśli stają się za mocne, utrudniają mi widzenie.

Nico nie naciskał. Nie chciał tego robić, kiedy jego mistrz najwyraźniej cierpiał.

Gdy prawie godzinę później dotarli do hostalio, obaj byli śmiertelnie zmęczeni. Bez kłopotów ominęli drzemiącego nocnego portiera i wspięli się cztery kondygnacje w górę.

Myśleli tylko o tym, żeby w końcu runąć na posłania.

Najpierw zaryglowali drzwi ciemnego pokoju, używając ćwiartki ze stosu monet, które Ash właśnie w tym celu zostawił w misce umywalki. Jeszcze jedną ćwiartkę wrzucili do szczeliny pod gazową lampą i zapalili światło. Kolejna moneta okazała się konieczna, by rozłożyć łóżko Nica.

Zanim jednak zasnęli, musieli opatrzyć ranę Asha. Nico użył następnej ćwiartki, by uruchomić kurek i napełnić misę wodą; pozostałe monety nadal leżały na dnie. Tymczasem Ash wyjął swój zestaw medyczny i wyszukał sterylne bandaże, buteleczkę czystego alkoholu, a także igłę z nitką.

Wylał trochę alkoholu na ranę, sycząc przy tym przez zęby. Cięcie nie było zbyt głębokie, ale rozwarło szeroko, a skóra wokół, na całym ramieniu, miała teraz fioletowy kolor. Ash wylał jeszcze trochę alkoholu na bandaże, nad płomieniem zapałki rozgrzał do czerwoności igłę, a potem nawlókł ją precyzyjnie, choć palce mu drżały, gdy krew spływała po ręce.

Wreszcie podał igłę Nicowi.

- Pozszywaj mnie, chłopcze - powiedział.

Nico kołysał się na nogach. Ledwie potrafił utrzymać otwarte powieki. Ciało drżało mu ze zmęczenia i niewiele brakowało, by się przewrócił. Nie było jednak wyjścia, więc wziął igłę i usiadł obok

Asha. Próbował udawać przed sobą, że wie, co robi, że w klasztorze uważał na lekcjach chirurgii, a nie obijał się razem z Aléasem.

Ostrożnie zszył brzydkie krawędzie skóry. Ash siedział nieruchomo i przyglądał się jego pracy. W pewnym sensie zmęczenie Nica okazało się błogosławieństwem; mózg był zbyt znużony, by reagować na widok rany.

W końcu Ash kiwnął głową i westchnął.

- To wystarczy.

Nico odciął nożem nitkę i, jak najlepiej potrafił, zabandażował rękę. Potem zdjął Ashowi buty i pomógł ułożyć nogi na pościeli. Sprawdził, czy wygodnie opiera się o poduszkę.

Ash przymknął oczy. Jego oddech stał się płytszy.

Nico przypomniał sobie, jak starzec tańczył między uzbrojonymi Regulatorami, niemal ślepy, trzymając miecz, jakby ten nic nie ważył. Legenda i mity, które go otaczały, nagle okazały się prawdą.

- Chyba zabiłem dzisiaj człowieka - powiedział cicho Nico, stając nad nieruchomym ciałem mistrza.

Ash westchnął.

- I jak się czujesz, kiedy tego dokonałeś?

- Jak przestępca. Jakbym zabrał coś, do czego nie miałem żadnego prawa. Jakbym stał się kimś innym, kimś zbrukanym.

- To dobrze. Lepiej, żeby zawsze tak było. Powinieneś się martwić, jeśli po takim czynie, kiedy krew już ostygnie, nie będziesz czuł nic.

Ale Nico tego właśnie pragnął najbardziej - nie czuć nic.

Jak zdoła teraz wrócić do domu, do matki, jak spojrzy jej w oczy, wiedząc, co zrobił?

- Mógł mieć dzieci - powiedział. - Syna, takiego jak ja.

Ash zamknął oczy i położył głowę na poduszce.

- Dobrze się spisałeś, Nico - wychrypiał.

Nico ledwie zrozumiał te słowa. Nie zdejmując butów, podjął najtrudniejszą wspinaczkę w życiu - na górne pościeli. I ledwie zdążył się wyciągnąć na cienkim materacu, kiedy ciało odmówiło mu posłuszeństwa i osunął się w nieświadomość.

Obaj leżeli jak martwi, każdy pokryty potem i zaschniętą krwią, nie słysząc odgłosów bójk w pokoju piętro wyżej ani monet spadających i brzęczących bez końca za innymi ścianami.

W ciemnych uliczkach wokół opery panował spokój. Wielki gmach stał pogrążony w ciszy - występy się skończyły. Widzowie dawno już wyszli, by powrócić do domu albo szukać innych rozrywek.

Wózek zakołysał się, kiedy wylądowało na nim kolejne ciało. Oddział czyszczący pracował w milczeniu. Z rzadka tylko spod zawiązanych na twarzach chust dobiegało stęknienie wysiłku albo jakieś przekleństwo - reakcja na cuchnące wydzieliny ciał, między którymi chodzili. Dwie postacie stały w pewnym oddaleniu - mężczyzna i kobieta. On zaciągał się pałeczką hazii, ona opierała się o mur, ciasno otulona płaszczem.

- Wreszcie jest - stwierdził mężczyzna.

Następny wózek pojawił się na ulicy: solidna drewniana skrzynia na kołach. Woźnica cicho cmoknął na zela i ściągnął lejce, kiedy zrównał się z dwojgiem ludzi.

- Nie spieszyles się - rzuciła z wyrzutem kobieta, podchodząc bliżej. Woźnica wzruszył ramionami.

- Jak długo? - zapytał, nim zeskoczył z kozła.

- Godzina, nie więcej.

Woźnica mlasnął językiem i przeszedł na tył wózka. Otworzył drzwi; z wnętrza, z metalowej klatki, spojrzwały na niego dwa psy gończe. Wściekle machały ogonami.

- No chodźcie, moje skarby - rzucił woźnica. - Pora zapracować na kolację.

Otworzył klatkę i przypiął im do obroży grube smycze. Potem pozwolił im zeskoczyć.

Szarpały się mocno, by jak najszybciej ruszyć w pogoń. Dyszały z otwartymi pyskami, ale nie czekały - tak zostały wytresowane.

- Doprowadzą was ślady krwi - odpowiedziała kobieta.

Ale psy już pochwyciły trop i popędziły za nim; opiekun ledwie mógł je utrzymać.

- Idziemy szybko - rzucił ostrzegawczo przez ramię, nie czekając, by sprawdzić, czy ktoś za nim pobiegnie.

Dwójka Regulatorów porozumiała się wzrokiem i ruszyła za nim.

## ROZDZIAŁ 22

### Łowienie na kamyki



**W** każdym innym porcie wokół Midèrēs ogłoszono by alarm, gdyby przybył wojenny galeon bez żadnej bandery, wiozący oddział wyraźnie przygotowany do wojny.

Ale w Cheem podobne obrazy były równie zwyczajne jak ryby. Kiedy okręt zacumował przy nabrzeżu i ludzie zeszli na ląd, kilku miejscowych żebraków - w większości byłych marynarzy, starych albo okaleczonych - pojawiło się, by sprawdzić, czy warto tracić czas na prośby o jałmużnę; szybko jednak zrezygnowali. Jeden z nich przyglądał się nowo przybyłym trochę dłużej - mężczyzna koło czterdziestki, którego lewa ręka kończyła się osłoniętym skórą kikutem. Kiedyś był żołnierzem w Legionie Imperialnym, a teraz wiek i narkotyki nie otępiły go na tyle, by nie zauważył wojskowych tatuaży na nagich ramionach i przegubach schodzących z pokładu ludzi, kamuflażu, który nosili pod gładkimi płaszczami, ani też ich wyraźnego poczucia wyższości.

Komandos, uznał narkoman i wsunął się głębiej w cień bramy. Przyglądał się uważnie, jak jeden z oficerów zbliża się do miejskiego strażnika. Szybko dobili targu. Wezwano kolejnych strażników, a po chwili zjawiły się muły. Marynarze z okrętu zaczęli wyładowywać skrzynki dostatecznie ciężkie, by mogły zawierać złoto, i pakować je na muły. Następnie oficer, kilku jego ludzi i eskorta strażników

wyruszyli do miasta razem z ładunkiem.

Pozostali, około siedemdziesięciu, nie mieli nic do roboty. Odpoczywali w porannym słońcu, narzekając głośno, gdy dostawali jakieś polecenia. Niewielkie grupki zagłębiały się co pewien czas w uliczki miasta; żołnierze dostawali ciężkie sakiewki i polecenia, by zdobyć zele, muły i zapasy.

Ze swojej bramy stary żebrak - na błogosławioną chwilę zapominając o narkotycznym głodzie - obserwował to wszystko spod zmarszczonych brwi, czując dziwną nostalgię.

Zastanawiał się, jacy nieszczęśliwi durnie tym razem ściągnęli na siebie gniew Imperium.

Chłodny wiatr dmuchał przez otwarte okno wieży, niosąc ze sobą zapach deszczu.

Spoglądając na ciemniejące niebo, Oshō ciaśniej otulił się grubym kocem i zadrżał.

Nadchodzi burza, pomyślał, widząc za górami gromadzące się czarne chmury. I to tak szybko po poprzedniej... W tym roku zima przyjdzie wcześniej.

Nie była to przyjemna myśl. Tutaj, wysoko w górach, Oshō nie lubił zim. Od wilgoci i chłodu bolały go kości, a każdy ruch odbierał mu siły. Samo wstanie z ciepłego łóżka co rano wymagało wysiłku woli, który z każdym rokiem przychodził z większym trudem. Zimy sprawiały, że czuł swoje lata i w pewien sposób miał o to do nich pretensje.

Słabnę z wiekiem, myślał. Kiedyś nie dręczyłoby mnie tyle wątpliwości co teraz.

W dole Baso przeszedł przez dziedziniec, a wiatr szarpał jego cienką szatę. Oshō śledził go wzrokiem i zastanawiał się, czy zawołać starego przyjaciela. I nagle zmarszczył czoło.

To przecież nie może być Baso. Baso nie żyje.

Przyjrzał się uważnie i rozpoznał Kosha, z zaczerwienionymi uszami i pochylonego dla ochrony przed wiatrem. Po chwili zniknął w kuchni, bez wątplenia szukając wczesnego śniadania, by napełnić swój wiecznie pusty żołądek.

Oshō ciężko przeżył wieść o śmierci Basa. Wstrząsnęła nim do głębi - stał na dziedzińcu przed zebranymi Rōshunami, gdy Wróż

powiadomił, że stracili ludzi w Q'os. Oshō skamieniał; poczuł ucisk w piersi tak silny, że ledwie mógł oddychać. Przez moment zdawało mu się nawet, że to atak serca, choć na szczęście nie trwało to długo. Ale po raz pierwszy w życiu, otoczony swoimi podwładnymi, nie potrafił objąć dowództwa.

Dopiero Ash pozwolił mu uratować twarz, a po nim Baracha. To oni potwierdzili, że nadal trwa wendeta, a Oshō mógł wrócić do swojego pokoju i mocno zatrzaskać za sobą drzwi, by w samotności oddać się rozpacz.

Kiedy teraz stał przy oknie, w pamięci pojawił się obraz Basa, jak śmiał się głośno, gdy rozwidlona błyskawica rozorała niebo nad nimi. Oshō uśmiechnął się do tej wizji. Nie myślał o niej od lat.

Było to wspomnienie z drugiego dnia ich ucieczki ze starego kraju, po ostatecznej klęsce Armii Ludu w bitwie pod Hung. Oshō był jedynym generałem, który uszedł z życiem z tej śmiertelnej pułapki. Wycofując się w walce, on i niedobitki jego wojsk dotarli do ocalałych okrętów floty, zakotwiczonych jakieś trzydzieści laq dalej. Bez odpowiednich zapasów, w chaosie, chwycili wiatr w żagle, wiedząc, że ojczyzna jest dla nich stracona, a jedyną nadzieją pozostało wygnanie. I to niewielką nadzieją, gdyż flota władców pojawiła się nagle pod pełnymi żaglami.

Nie mogli im uciec. Okręty znalazły się w potrzasku między skalistym wybrzeżem od zachodu a sztormem nadciągającym z otwartego oceanu na południu - a jeśli jakiś sztorm można było nazwać zabójcą okrętów, to ten z całą pewnością. Za rufą coraz bardziej zbliżały się jednostki nieprzyjaciela, mające przynajmniej trzykrotną przewagę.

Stawiając wszystko na jedną kartę, zdesperowani uciekinierzy skierowali swoje okręty prosto w sztorm.

Baso był wtedy jeszcze chłopcem, najwyżej szesnastoletnim. Wciąż z dumą paradował w za dużej, pogiętej zbroi, choć inni ocaleni z Armii Ludu zrzucili pancerze w obawie przed utonięciem. W tych mrocznych godzinach zdawało się, że wszystko stracone. Z drżących warg spływały modlitwy do przodków. Ryczące szkwały rwały takielunek i łamały maszty, przewracały okręty do góry dnem. Nikt nie liczył, że wyjdzie z tego żywy. Nawet Oshō uważał, że już zginęli,

jeśli nie z ręki ścigających, to z powodu wściekłego sztormu. Ukrywał jednak te lęki, nakazując flotylli, by parła naprzód; by podtrzymać swoich ludzi na duchu, popisywał się brawurą, choć jego serce, jak serca innych, ogarniała rozpacz.

Baso jednak roześmiał się głośno, choć pokład kołysał się pod nogami, a niebo szalało - tak pełen życia w szaleństwie tej chwili, bez lęku czy zmartwienia o przyszłość, przeszłość, a nawet o teraźniejszość... Ten widok wzmocnił wolę Oshō i dał mu odwagę wtedy, kiedy jej potrzebował najbardziej.

A teraz Baso odszedł, jak tak inni; niewielu zostało z tych, którzy przybyli razem z Oshō: Kosh, Shiki, Ch'eng, Wróż Shin, Ash... Tych ze starego kraju mógł policzyć na palcach jednej ręki. Byli jedynym, co łączyło go jeszcze z daleką przeszłością w jego ojczyźnie. Zdawało się, że z odejściem każdego z nich strata była dotkliwsza, że coraz bardziej się martwił, kto może być następny.

To Ash, wiedział o tym - strata byłego ucznia z pewnością okaże się najboleśniej.

Ash nadal żył, na pewno przebywał w Q'os, tocząc wendetę - w jego wieku, na Dao!

Oshō nie powinien mu na to pozwalać. Nie w jego stanie. Ale pogrążonemu w bólu nie przyszło mu wtedy do głowy, by spróbować Asha przekonać do zmiany decyzji. Dopiero później, kiedy Ash już odjechał, Oshō uspokoił się trochę i zrozumiał, że jego stary przyjaciel prawdopodobnie nie wróci z tej wyprawy - jak nie wrócił Baso.

Nie wiedział, skąd takie przekonanie, gdyż nie dręczyły go tragiczne sny ani nie otrzymał od Wróża groźnych przepowiedni. Po prostu przygniatał go wielki ciężar, kiedy tylko pomyślał o starym przyjacielu, jakby miał pewność, że już nigdy go nie zobaczy.

To przez tę nieszczęsną wendetę tak się czuł. Nie sądził, by mogła się skończyć inaczej niż fatalnie - i to dla nich wszystkich.

W otwartym oknie poczuł kolejny podmuch wiatru. Gdzieś pośród nocy okiennice stuknęły raz, potem drugi, i ucichły.

Na starość zrobiłem się melancholijny, pomyślał, ale potem zachichotał cicho. Wiedział, że wiek nie ma z tym nic wspólnego.

Zamknął okiennice, odgradzając się od burzy sunącej przez góry.



Zadrzał raz jeszcze, po czym wrócił do książek i swojego miękkiego fotela przy ogniu.

W Q'os trwało późne popołudnie. Tawerna Pięciu Miast była zatłoczona jak zwykle o tej porze - siedzieli tu miejscowi dokerzy i uliczni sklepikarze, którzy skończyli pracę, a także typowa grupa cudzoziemców, mieszkańców okolicznych hostalii, zwabionych tutaj przez doskonałe jedzenie i wina. W rogu, pod małym, syczącym płomykiem gazowej lampy umocowanej do brudnego tynku, pograżyło się w rozmowie sześć osób. Miejscowi bywalcy nie zwracali na nich uwagi - może jedynie na młodą kobietę w brązowych skórach. Była kuszącym widokiem dla zmęczonych oczu ludzi pracy, którzy harowali od świtu, by teraz wrócić do żon - postarzałych nad wiek przez regularne porody i ciężką codzienną pracę.

- To niemożliwe. - Serēse mówiła cichym głosem, choć gwar w tawernie wystarczał, by zagłuszyć jej słowa. Zdawała się nie zauważać spojrzeń męskich gości. Może była przyzwyczajona do takich reakcji i nauczyła się je ignorować. - Wątpię, czy w tej chwili gdziekolwiek w Midērēs jest miejsce pilniej strzeżone niż Wieża Szeptów. Nie widzę żadnej metody, żeby udało się tam przedostać.

Pochylony nad kieliszkiem Baracha z niedowierzaniem uniósł brew.

- Mówię ci, tato, że to prawda. Nawet do fosy wokół wieży wpuszczono jakiś gatunek ryb, niedużych, ale bardzo drapieżnych. Codziennie zbierają się tam tłumy, bo straż miejska zaczęła opuszczać do fosy przestępców, dla zabawy. Widziałam coś takiego trzy dni temu.

Woda się zmaciła, a kiedy wyciągnęli tego człowieka, miał nogi ogryzione aż do kości. Jak chcecie pokonać taką przeszkodę?

Nico, siedzący w ponurym milczeniu obok swojego mistrza, na te słowa uniósł głowę.

Nigdy nie słyszał o takich drapieżnych rybach.

- Coś ci powiem - rzekł Baracha. - W całym swoim życiu nie widziałem miejsca, do którego nie da się przedostać, kiedy ma się dość czasu i wytrwałości. Skoro nie możemy przepłynąć fosy wpław, możemy to zrobić tratwą.

Serēse westchnęła zniechęcona.

- Jeśli ominiesz jakoś łodzie patrolowe... a także unikniesz obserwatorów z wieży i regularnych patroli na brzegu.

- W takim razie udamy łódź patrolową, powiosłujemy do wieży i wejdziemy po murze.

- Nawet w nocy będziecie widoczni. Ustawili światła wokół niższych poziomów. Nie pokonasz nawet trzech metrów, a zobaczy cię jakiś patrol albo któryś z lataczy.

- No to zostawmy fosę. Ukradniemy kapłańskie szaty, przejdziemy po moście i w przebraniu wejdziemy główną bramą.

Baracha przedstawiał to tak, jakby zadanie było całkiem łatwe.

- Owszem, ale nikogo nie przepuszczą przez bramę, jeśli nie wsunie dłoni przez otwór.

Sprawdzają, czy ma ścięte czubki małych palców. Prawdę mówiąc, nikt nie może nawet postawić stopy na moście, dopóki go w ten sposób nie skontrolują.

- No to rozwiązanie jest oczywiste - oświadczył Aléas. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu. Chłopak uśmiechnął się z satysfakcją. - Wszyscy odetniemy sobie czubki małych palców, poczekamy kilka księżyców, żeby rany się wygoiły, a potem przejdziemy niezatrzymywani.

- Zamknij się, Aléasie - burknął Baracha.

Aléas uniósł brwi i zerknął na Nica. Porozumieli się wzrokiem, choć Nico nie odpowiedział przyjacielowi uśmiechem. Był zmęczony. Spał źle, dręczony koszmarami, w których raz po raz na nowo przeżywał wydarzenia minionej nocy.

- Jeśli chcecie jakoś przedostać się do środka - mówiła dalej Serēse - to musicie znaleźć sposób, którego nie przewidzieli.

Aléas wyraźnie miał tego dość.

- Przecież nie może do końca życia tkwić w tej wieży. Jeśli nie możemy się tam dostać, możemy zaczekać, aż sam wyjdzie. Może w czasie Augere.

- A jeśli nie? - spytał Baracha. - Zeszłej nocy prawie nas dorwali. Nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, prawdopodobnie przeczesują miasto, żeby nas znaleźć. Oprócz ciebie, wszyscy jesteśmy tu obcy. Znajdą nas, to tylko kwestia czasu. Gdybyś nie zauważył, to raczej nie

jest przyjazne miasto, żeby w nim dłużej zostawać.

Jego słowa uciszyły całą grupę. Nico zauważył, że mimowolnie obserwuje całą salę, by sprawdzić, czy ktoś im się przygląda.

Tam: jakiś człowiek zbyt szybko odwrócił głowę, gdy dostrzegł spojrzenie Nica.

Chłopiec patrzył jeszcze przez chwilę, by sprawdzić, co robi. Mężczyzna zamówił sobie coś do picia i wrócił do rozmowy z towarzyszami.

Nico odetchnął i spróbował się rozluźnić. Ten człowiek gapił się pewnie na Serēse, nic więcej. Zaczynam widzieć duchy, powiedział sobie. To paskudne miasto zaczyna działać mi na nerwy. Chciałbym stąd wyjechać i nigdy nie wracać.

Baracha wyprostował się i odetchnął głośno, by okazać niezadowolenie.

- Powinniśmy to uznać za komplement - stwierdził uspokajająco. - Okazują nam wielki szacunek.

Ale nie rozwiązywało to ich problemów. Baracha wyraźnie się niepokoił, gładząc swoją długą brodę.

Przez cały czas, gdy rozmawiali, Ash siedział, patrząc na swój kielich i opierając na kolanie dłoń zranionej ręki. Kiedy milczenie się przedłużało, zdrową ręką podniósł naczynie, wypił łyk wina i odstawił kielich na blat.

- Zapominamy o czymś oczywistym - oznajmił nagle, nie unosząc wzroku.

Baracha skrzyżował ręce na piersi i westchnął.

- A co to takiego, o przemądry?

- Myślą, że będziemy się przekradać. Nie spodziewają się ataku.

Aléas szeroko otworzył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że mamy szturmować bramy?

Ash kiwnął głową. Lekki uśmiezek rozciągnął mu wargi.

- Wspaniały pomysł - przyznał Baracha. - Tyle że, oczywiście, do tego potrzebna jest armia.

Ash przyjrzał się im kolejno. Raz jeszcze łyknął wina i stanowczym gestem odstawił pusty kielich.

- W takim razie, moi zaniepokojeni przyjaciele, musimy sobie znaleźć armię.

Na zewnątrz było jasno; słońce świeciło na wyjątkowo czystym niebie. Blask jednak nie był korzystny, gdyż wyraźniej niż zwykle ukazywał wyblakły, bezbarwny charakter miasta.

Kiedy światło spływało w podobne do kanionów ulice, stawało się blade i przygaszone.

- Nie chcę nikogo urazić - rzekł Aléas - ale obawiam się, że mistrz Ash w końcu stracił rozsądek.

Stali przed tawerną we trójkę, z Nico i Serēse; dwaj starsi Rōshuni rozmawiali poza zasięgiem słuchu.

- Podejrzewam, że od samego początku nie miał go zbyt wiele - odparł oschle Nico. - Myślisz, że rzeczywiście spróbują czegoś takiego? Naprawdę?

Aléas zastanowił się, zerkając na swojego mistrza.

- Obaj są z jednej gliny. - Kiwnął głową. - Skoro jeden coś takiego zaproponował, drugi uzna, że nie może się cofnąć. Zrobią to, nawet jeśli mieliby zaryzykować wszystko.

To wystarczyło, by Nico poczuł ucisk w żołądku. Spojrzał na daleką Wieżę Szeptów, widoczną nawet tutaj, we wschodnich dokach. Nie mógł uwierzyć, że poważnie myślą o ataku na taką fortecę. To na pewno tylko zwykłe gadanie, niezależnie od tego, co mówi Aléas. Ich plany do niczego nie doprowadzą i w końcu będą musieli opuścić Q'os, nie kończąc wendety.

Zresztą nie pierwszy raz, jak słyszał.

Jednak dobrze już poznał Asha i zdawał sobie sprawę, że to fałszywa nadzieja.

Odwrócił się od wieży i spróbował pomyśleć o czymś innym.

Serēse przyglądała mu się z uwagą.

- Jak się dziś czujesz? - spytała.

- Trochę zmęczony - przyznał. - Nie spałem dobrze. Chybabym się ucieszył, gdybyśmy stąd odjechali.

- Nie podoba ci się tutaj?

- Nie, nie podoba. Zbyt wielu ludzi, zbyt mało miejsc, gdzie można zostać samemu.

Aléas klepnął go w ramię.

- Mówisz jak prawdziwy farmer.

- Słodka Erēs, niby kiedy twierdziłem, że jestem farmerem?

- Nie mówiłeś. Poznałem głównie po zapachu.

Nico nie miał ochoty na ich zwykłe żarty i pewnie zareagowałby gniewem, gdyby nie Baracha, który właśnie ruszył z miejsca. Szybkim ruchem głowy nakazał Aléasowi i Serēse, by szli za nim.

Aléas skinął Nicowi na pożegnanie.

- Uważaj na siebie - rzuciła Serēse.

Oboje ruszyli szybko, by dogonić mistrza.

Zbliżył się zamyślony Ash.

- Muszę sprawdzić kilka rzeczy - poinformował Nica. - Chodźmy.

- Zaczekaj chwilę.

Ash odwrócił się niecierpliwie.

- To, co proponujesz... znaczy, ten atak na Wieżę... To chyba jakiś obłąd.

Skóra wędrowca w świetle poranka wydawała się jaśniejsza. Nocą stracił dużo krwi.

- Wiem - odpowiedział ze znużeniem. - Ale nie przejmuj się tak bardzo. Obiecałem twojej matce, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. Prawda?

- Wydaje mi się, że bezpieczeństwo według mojej matki i według ciebie to dwie zupełnie różne rzeczy.

Ash przytaknął.

- Mimo to zamierzam dotrzymać obietnicy. Kiedy wędzemy się do Wieży, nie pójdziesz ze mną. To zbyt ryzykowne. Masz za mało doświadczenia na takie przedsięwzięcie. Zgadza się, Nico, jest w tym planie odrobina szaleństwa, ale obawiam się, że ta odrobina jest niezbędna, jeśli mamy dokonać wendety. Kiedy będziemy wewnątrz, zaczekasz z Serēse na dole i pomożesz nam uciec, jeśli uda nam się wyjść.

- Nie tylko o siebie się obawiam.

Na twarz starca powróciła odrobina koloru.

- Rozumiem. Ale to nasza praca, Nico. To ryzyko, jakie musimy podjąć. - Wzruszeniem ramion dał znak, że dyskusja skończona. - Dość gadania. Idziemy.

Dom stał przy ulicy wśród wielu podobnych domów, a wszystkie były tylko pustymi skorupami bez mieszkańców, z oknami wybitymi albo zasłoniętymi deskami, a wnętrzami pełnymi gruzu; kilka było

spalonych albo zburzonych. Tylko ten jeden pozostawał zamieszkały, sąsiadujący z obu stron z szeregiem opuszczonych budynków. Ale i tak wydawało się, że jest w stanie zaledwie odrobinę lepszym od reszty. Okna pokrywała warstwa sadzy, a od środka przesłaniały je ciemne kotary. Farba, niegdyś w optymistycznie żółtym kolorze, łuszczyła się z ceglanych murów. Wiatrowskaz - sylwetka nagiego mężczyzny z błyskawicą w dłoni - wisiała na rynnie przy dachu i ze zgrzytem kołysała się na słabym wietrze.

Nico patrzył w górę. Czuł się odsłonięty pod tą huśtającą się płytą, która wyglądała, jakby lada chwila miała spaść - choć pewnie zwisała obłuzowana przez długie miesiące, może lata.

Stukanie ciężkiej kołatki wciąż rozbrzmiewało od strony frontowych drzwi, gdy Ash opuścił rękę i odstąpił.

Za plecami mieli obrzeża niegdyś zabudowanego terenu, wiele lat temu zniszczonego przez pożar. Ogromny stos śmieci wyrastał wśród ruin, przesłaniając znaczną część nieba.

Szczury bez lęku biegały po zboczach, krzątając się między strzępami, które poruszały się na wietrze jak ręce wołających o pomoc. Smród zgnilizny odbierał oddech, tak wszechobecny, że nawet rzadkie podmuchy tylko mieszały wonie, a od tych nieoczekiwanych połączeń łzawiły oczy i drapało w gardle.

Nico starał się nie oddychać głęboko, gdy czekali przed porysowanymi drzwiami domu, który chcieli odwiedzić. Stojący obok Ash nucił pod nosem. Nie brzmiało to jak muzyka, a raczej jak słowa wypowiedane bez otwierania ust.

- Twój lud nigdy nie odkrył sztuki tworzenia melodii?

Nucenie umilkło i Ash spojrzał na niego zdziwiony.

Chciał właśnie odpowiedzieć, ale wtedy ze środka doszedł stuk przewracanego krzesła czy równie ciężkiego przedmiotu. Ktoś zaklął. Zabrzęczał łańcuch, zgrzytnął odsuwany rygiel, potem drugi. Otwierane drzwi skrzypnęły o podłogę.

- Czego?

Kobieta była niska i przygarbiona niemal do pasa. W jednej ręce trzymała latarnię, w drugiej laskę, na której się opierała, gdy zadzierała głowę, by przyjrzeć się parze przybyszów.

Nico zamrugał, widząc jej brudną twarz, przypominającą raczej

sierść skołtunione włosy i wąs obfitszy niż sam mógłby wyhodować.

- Przyszliśmy zobaczyć się z Gamorrelem - oznajmił Ash. - Powiedz mu, że przybył wędrowiec.

- Co?

Ash westchnął. Pochylił się do jej ucha.

- Twój mąż! - zawołał. - Powiedz mu, że stary wędrowiec chce się z nim widzieć.

- Nie jestem głucha - odparła. - Wejdźcie. Wejdźcie.

Wewnątrz dom wyglądał tak samo jak z zewnątrz.

Ruszyli za kobietą, która człapała wolno korytarzem. Szli krok w krok, niczym w procesji do serca jakiejś ukrytej świątyni - takiej jednak, której mury wzniesiono z cegły, pokryto odpadającym tynkiem i ozdobiono obrazkami w ramkach, zbyt niewyraźnymi, by w migotliwym świetle latarni zobaczyć, co przedstawiają. Podłoga była drewniana, pokryta jasnoszarą warstwą kurzu i piaskiem, który trzeszczał pod podszewkami. Powietrze przenikał odrażający zapach, jakby ktoś dniem i nocą gotował tu kapustę. Szczur przebiegł im pod nogami, inne przemykały pod ścianami.

Wspięli się na schody, które skrzypiały pod ich ciężarem, jakby groziły zawaleniem.

Wchodzili po jednym stopniu, a potem czekali, aż kobieta pokona kolejny. Spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie stanęli przed drzwiami, na których czerwoną farbą albo krwią ktoś wymalował symbol siedmioramiennej gwiazdy.

Weszli do salonu: pokoju oświetlonego przez kilka dymiących latarni, ustawionych na stole pokrytym figurkami, amuletami, kamiennymi moździerzami i tłuczkami, nożami, szpilkami i innymi przedmiotami nieznanego przeznaczenia. Płachty materiału wisiały pod sufitem, niczym dach namiotu. Pod nimi, na krześle niedaleko zasłoniętego okna, siedział starzec w kamizelce. Dłonie splótł na brzuchu, oczy miał zamknięte i chrapał głośno. Na jego kolanach leżało stado szczurów ze splecionymi ogonami, spoglądających na przybyszów.

Starzec poruszył się, gdy za gośćmi trzasnęły drzwi. Podrapał się, strącając na twarz kosmyk gładkich czarnych włosów. A potem zachrapał znowu.

- Gamorreli - odezwał się głośno Ash i trącił stopą nogę staruszka, przy okazji płosząc szczury.

Mężczyzna nie poderwał się gwałtownie, ale wolno uchylił powiekę jednego oka na tyle, by spojrzeć - jakby chciał zbadać okolicę, zanim wynurzy się z bezpiecznego snu. Na widok Asha skrzywił się i spojrzał przytomnie.

- Mogłem się domyślić - rzekł głosem szorstkim ze starości. - Tylko Rōshun ośmieliłby się budzić śpiącego sharti.

- Wstawaj. Mamy sprawy do obgadania.

- Tak? A jakie to sprawy?

Na kolana spadła mu skórzana sakiewka, której ciężar wystarczył, by poderwać starca na nogi. Uśmiech rozjaśnił pomarszczoną twarz i odsłonił zęby, brunatne jak piwo.

- Interesujące - wymruczał i wstał bez wysiłku. - Wejdźcie do mojej komory.

Poprowadził Asha do sąsiedniego pokoju i starannie zamknął za nimi drzwi.

- Usiądź - rzuciła starucha, wskazując Nicowi jedno z krzeseł przy oknie. - Chee, tak?

Trochę chee?

Nico ze słabym uśmiechem pokręcił głową. Pomyślał o biegających wszędzie szczurach, kurzu i śmieciach dookoła, zauważył też brud wżarty pod paznokciami kobiety.

- Tak? - nalegała i zanim zdążył odmówić, poczłapała do innego pomieszczenia. Otwarte nagle drzwi uwolniły chmurę pary niosącą wilgotny zapach kapusty.

Usłyszał, jak kobieta przegania jakieś stworzenia; potem zadźwięczały kubki.

Gdzieś w salonie tykał mechaniczny zegar, choć Nico nie potrafił go wypatrzeć wśród chaosu ozdób na ścianach. Fotel był niewygodny i chłopiec miał wrażenie, że siedzi na żwirze, wstał więc, strzepnął na podłogę resztki szczurzych odchodów i znowu ostrożnie usiadł. Zamierzał oprzeć ręce na poręczach, ale zmienił zdanie i położył je na kolanach.

Gospodyni weszła powoli, niosąc tacę z dzbankiem gorącej chee i dwiema filiżankami z białej porcelany.



- Pomogę - zaoferował się Nico.

Wstał, odebrał tacę i ustawił ją na małym stoliku. Kobieta uśmiechnęła się i z uśmiechem zajęła miejsce naprzeciw chłopca. Nawet siedząc, garbiła się i opierała dłoń na lasce.

Obserwowała go uważnie, kiedy nalewał chee.

- Dziękuję - rzekł Nico, siadając z filiżanką w dłoni, choć się z niej nie napił.

Starucha skinęła głową i wciąż mu się przyglądała. Zastanowił się, co takiego w nim zobaczyła.

- Powiedz - rzekła. - Ty śnisz dużo?

Pomyślał chwilę.

- Ostatnio nawet za dużo - wyznał.

- Wiesz, niektórzy śnią więcej niż inni. Niektórzy też widzą więcej niż inni. Ja poznaję, że jesteś taki. Ty masz szczęście. Mój mąż, on taki sam.

Nico spojrzał na filiżankę. Chee wydawała się dobra, a naczynie było czyste. Uniósł głowę, uśmiechnął się i odwrócił wzrok - i wreszcie znalazł zegar, stojący na postumencie przy przeciwległej ścianie, obok wieszaka. Wisiały tam peleryna i czarny cylinder. Czuł się nieswojo pod spojrzeniem kobiety, i robiło mu się niedobrze od zapachu pary, wciąż wpadającej przez otwarte drzwi.

Zmusił się, by popatrzeć na staruszkę. Miała kolor przypalonego tłuszczu... Spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich jakąś delikatność, czułość pooraną bliznami dawnych ran. Zobaczył też znudzenie, zamaskowane przez chwilową ruchliwość.

Skinęła mu głową, jakby właśnie skądś wrócił.

- Dlatego on jest sharti, wiesz. Mój mąż, on jest bardzo potężny na dawny sposób. Ludzie ciągle do niego przychodzą: biedni, zrozpaczeni... Wielu korzysta z jego usług.

- Czyli nie jesteście Mannijczykami?

- Co? Mannijczykami? Nie, chłopcze. Mannijczycy by nas posłali w niewolę albo i gorzej, gdyby tylko wiedzieli, kim jesteśmy. Tutaj my praktykujemy stare obyczaje, pierwsze obyczaje. Heretycy, tak oni na nas mówią. My i ubodzy to ci, których oni najbardziej nienawidzą.

Przerwała, by podnieść filiżankę do wysuniętych warg. Siorbnęła głośno, potem znowu, i ją odstawiła.

- Ty wiesz, o czym ja mówię? Stare obyczaje?

Nico rozważył pytanie. Pomyślał o matce, która wykonywała znak ochronny za każdym razem, kiedy zobaczyła samotną srokę - odruch, który wpoila nawet jemu. I jeszcze, jak w każdą noc zimowego przesilenia zostawiała na parapecie okna płonącą świecę.

- Możliwe. - Wzruszył ramionami. - Te dawne obyczaje... nadal są gdzieś przestrzegane?

- Och, praktykuje się je wszędzie, ale tylko w cieniach. W tradycjach dawno pozbawionych znaczeń. Ale ci starzy pamiętają jeszcze życie przed Mannem, mm? Tylko w Wysokim Pashu ty znajdziesz stare obyczaje, które ciągle mają znaczenie. I większy zasięg niż nawet... na Niebiańskie Wyspy, tak, nawet tam. Wiesz, w taki sposób oni żyją wiecznie.

Kiedy oni umierają, korzystają z dawnej wiedzy, żeby wrócić do życia. To są rzeczy, o których Mannijczycy każą nam zapomnieć.

Nico słuchał jej słów, z przyklejonym do twarzy pozornym zaciekawieniem. Pohamował odruch, żeby podrapać się po kostkach, gdzie czuł skaczące i kłuszące pchły. Zerknął na zamknięte drzwi i zastanowił się, jak długo jeszcze mistrz Ash będzie tam tkwił. Co oni w ogóle tu robią?

Kobieta nabrała tchu i poruszyła trzymanym w dłoni końcem laski.

- Grzeczny z ciebie chłopak - pochwaliła. - Ty słuchasz starej kobiety, chociaż ty wolisz być gdziekolwiek indziej, nie tutaj. Ale teraz ja myślę, że oni omówili swoje sprawy.

Nico odstawił filiżankę, gdy tylko usłyszał, że otwierają się drzwi. Stał już na nogach, gdy zjawił się Ash z tym drugim tuż za nim.

- ...bliżej tego czasu, zatem - mówił Ash.

Zauważył filiżankę na stole i schylił się po nią. Wypił duży łyk, a potem odstawił ją, uśmiechając się do staruszki. Skinął głową na Nica, by szedł za nim. Potem ruszył do schodów.

- Dziękuję za chee - powiedział szybko Nico i pomaszerował za mistrzem.

Wsiedli do tramwaju, zmierzającego do dzielnicy wschodnich doków, i usiedli na wolnych miejscach z tyłu. Przez jakiś czas Ash wyglądał przez tylne okno.

- Myślisz, że ktoś nas śledzi?

Ash się odwrócił.

- Trudno powiedzieć - mruknął.

Nie wyglądał na zbyt zatroskanego.

Tramwaj z turkotem mijał wielki plac, z trzech stron otoczony budynkami z białego marmuru. Kłębiły się tu tłumy postaci w czerwonych szatach - całe tysiące.

- Pielgrzymi - wyjaśnił Ash, nim uczeń zdążył zapytać.

- Myślałem o czymś innym - odparł Nico dostatecznie głośno, by być słyszany mimo gwaru tłumów. - W tamtym domu... Dostałeś to, po co poszedłeś?

- Mam nadzieję.

- I nie masz zamiaru powiedzieć mi nic więcej?

- Nie, jeszcze nie.

Nico westchnął zniechęcony.

- Świetny sposób, by uczyć swojego ucznia. Mówić mu jak najmniej, nawet jeśli zapyta.

- W czasie akcji zawsze lepiej, kiedy sam do czegoś dojdiesz.

- Wygodna teoria - parsknął Nico. - Pozwala ci nie odpowiadać na żadne pytania.

- Owszem, to też jej zaleta.

Tramwaj podskoczył na nierówności. Ash odwrócił się, by znowu spojrzeć do tyłu. Potem wyprostował się i przez chwilę w zamyśleniu gładził kciukiem palec wskazujący.

Wreszcie wstał, chwytając brzeg półki bagażowej nad głową.

- Wracaj i czekaj na mnie w naszym pokoju. Nie wychodź, dopóki nie wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do otwartego wyjścia i zeskoczył na ulicę. Oddalił się szybko, nie zwracając uwagi na mijający go tramwaj i przyciśniętą do szyby twarz Nica.

Jakiś czas później tramwaj wjechał na tereny wschodnich doków i Nico w końcu zaczął rozpoznawać okolicę. Spoglądał przez okno na mijane ulice, które wydawały się mgliście znajome, co budziło równie mglistą pociechę. Minęli idącą po chodniku dziewczynę; Nico zauważył jej czarne włosy.

Poderwał się, przeszedł do wyjścia i wyskoczył.

- Serēse! - zawołał, ale była za daleko, by go słyszeć.

Stracił ją z oczu, kiedy mijała następną przecznicę - to była ona, nie miał żadnych wątpliwości. Szedł naprzód szybkim krokiem i rozglądał się dookoła. Ulice były zatłoczone.

Przechodnie sunęli po chodnikach, tramwaje i wozy przejeżdżały drogą. W pobliskiej świątyni dzwony wybiły godzinę - dwa uderzenia i cisza.

Nico szedł ulicą identycznych budynków, z wysokimi oknami otwartymi na miasto. Ze środka dobiegały rytmiczne odgłosy. Raz udało mu się zajrzeć do okna, które sięgało aż do ziemi, i zobaczył tam coś w rodzaju warsztatu, choć bardzo wielkiego, rozległego i zakurzonego. Setki ludzi, głównie kobiet i dzieci, siedziały na matach na podłodze, wykonując proste i powtarzalne zadania, które na pierwszy rzut oka nie miały sensu. Inne dzieci zmiatały z podłogi odpadki, a kilku dorosłych mężczyzn z wysiłkiem ciągnęło wózki z materiałem. Ci siedzący rzucali do wózków gotowe elementy, inni zaś coś z nich wyjmowali. Kilku nadzorców spacerowało między pracującymi, często na kogoś pokrzykując.

Po mniej więcej minucie Nico ruszył dalej. Nie zauważył nawet śladu Serēse. Musiał ją zgubić.

Przez chwilę rozważał powrót do hostalio, ale sama myśl o siedzeniu tam samotnie i przywoływaniu wspomnienia o tym, co ostatnio zrobił, wywoływała depresję. Równie dobrze mógł iść na spacer, choć ulice miasta nie wyglądały przytulniej niż jego pokój.

Dotarł do lepszych dzielnic, gdzie wzdłuż ulic rosły rzędy drzew, a niewielkie skwery dawały miejsce dla domów chee albo fontann z czystą wodą. Atmosfera tutaj była mniej gorączkowa niż w pobliżu portu. Mimo to Nico wyczuwał, że nie należy do tego miasta. Nie miało nic, co mogło się z nim wiązać, prawie nic, na co mógłby spojrzeć i rozpoznać.

Wszystko tutaj raziło - nie tylko skala architektury, ale też zachowanie ludzi.

W Bar-Khosie zdarzało się, że obcy ludzie ze sobą rozmawiali. Uśmiechy pojawiały się na twarzach sklepikarzy; a jeśli wybuchła jakaś kłótnia czy bójka, inni zawsze starali się ją uciszyć. I choć Bar-Khos był znużony wojną - a może właśnie dlatego - w tym obleganym mieście nadal panował duch wspólnoty, wrażenie

wspólnego życia dla wspólnego celu, ważniejszego niż poglądy, religia czy znajomości. Tutaj ludzie mieli w sobie jakąś zawiść i izolację. Sprawiali wrażenie, jakby wiele im obiecano - i owszem, dostali to wszystko - a jednak w rezultacie byli jeszcze bardziej udręczeni i zniechęceni niż poprzednio.

Może to, czego najbardziej mu teraz brakowało, to widok zieleni i otwartej przestrzeni, odpoczynek od wyrastających wokół ścian z betonu i cegły. Pod wpływem impulsu zaczął jakiegoś chłopca i spytał o najbliższy park. Miał nadzieję, że dzieciak nie spojrzy na niego ze zdziwieniem i nie wyjaśni, że nie ma u nich takich rzeczy.

Chłopiec jednak udzielił mu prostych wskazówek - okazało się, że wystarczy skręcić w następną przecznicę. I rzeczywiście, zaraz za rogiem oczy Nica błysnęły, gdy zobaczył przed sobą niewielki park otoczony czarnym żelaznym parkanem. Przyspieszył kroku i wszedł przez bramę; buty zachręściły na żwirowej alejce. Stopniowo zwalniał kroku, rozglądając się uważnie. Park był na swój sposób atrakcyjny i niemal pusty; z rzadka tylko Nico dostrzegał człowieka, wypróżniającego się w krzakach, albo kilku pijanych w wysokiej trawie - wyglądali, jakby ktoś porzekał ich na słońcu.

Nico wybrał sobie miejsce możliwie odległe od tych parkowych mieszkańców i usiadł pod wysokim drzewem cicado. Kierując twarz w stronę słabnącego słońca, niemal się uspokoił.

Po chwili przymknął oczy i wyobraził sobie, że jest gdzie indziej - znowu w domu, na Khosie, że siedzi na porośniętych lasem wzgórzach, wyrastających za niewielkim domkiem matki.

W takie dni często wyruszał z Podarkiem na wyprawy, niosąc w plecaku świeżo upieczony przez matkę bochenek keeshu, trochę sera, manierkę z wodą, świstawkę na ptaki, parę haczyków i linkę. Zostawiając w dole przyziemne kłopoty, wspinał się po zboczach, aż spocony i zdyszany docierał do czystego powietrza na wysokości, a nastrój poprawiał mu się z każdym krokiem. Podarek biegał dookoła i obwąchiwał grunt, szukając śladów królików, myszy czy czegokolwiek, co mógłby gonić.

Czasami, kiedy Podarek uspokoił się i uciszył, Nico łowił ryby w chłodnych jeziorach, wyciągając jednego tęczowego pstrąga po drugim - a po powrocie z dumą wręczał je matce na kolację. Kiedy

indziej, gdy był w melancholijnym nastroju, szukał skalnego występu nad głębszym jeziorem i łowił na kamyki - rzucał je do wody i obserwował pilnie, jak spadają pod powierzchnię. Jeśli miał szczęście, jakiś młody pstrąg wyskakiwał z kryjówki do kamyka, i równie szybko odpływał, gdy odkrywał, że to nie jedzenie. W ten sposób Nico polował nie na zwierzęta, ale na ich widok. I spędzał tak długie godziny.

Jeśli nadal było dość wcześnie, Nico wybierał najbliższą górę i wspinał się na sam szczyt, choćby był już bardzo zmęczony, głodny i bolały go nogi. Zastanawiał się wtedy, czy ojciec przechodził czasem tędy, kiedy polował albo podczas swoich samotnych wycieczek. Już na szczycie padał na ziemię obok Podarka i dyszał ciężko, a wzrokiem chłonał rozległy obszar przed sobą, ograniczony w oddali niebieskozieloną powierzchnią morza. Powietrze, którym się rozkoszował, miało posmak soli. Pot na skórze wysychał powoli w łagodnych podmuchach wiatru. Czuł się wtedy pogodzony ze światem, jego życie trafiało we właściwy kontekst, a problemy wydawały się nieistotne i bez znaczenia. Nic naprawdę się nie liczyło, uświadamiał sobie, żadne jego lęki, niepewności, nadzieje i pragnienia, zmienne przecież i chwilowe, a jedynie trwanie tej chwili, samo istnienie. Patrzył w łagodne oczy Podarka i pojmował, że pies poznał już ten stan ducha. Zazdrościł mu jego prostej egzystencji.

- Hej, ty...

Głos pochodzi z terażniejszości i Nico zareagował, otwierając oczy. Kolory wolno powracały, więc z początku widział tylko wyrastającą nad sobą zieloną sylwetkę na tle nieba.

Wyciągnął szyję i zmrużył oczy.

Serēse, z rękami na biodrach... Marszczyła czoło.

- Siedzisz w moim miejscu - oznajmiła, zanim zdążył otworzyć usta.

- Co? - Wyprostował się.

- Ty. Zająłeś moje miejsce - powtórzyła.

Nico uśmiechnął się zdziwiony, po czym spojrzał na pijaków i narkomanów, leżących tu i tam na trawie.

- Rozumiem. Często tu przychodzisz, prawda?

Usiadła obok i szturchnęła go parę razy, by zyskać więcej miejsca

pod drzewem. Czuł ciepło jej ciała; wywołało falę fizycznego wstrząsu, wędrującą tam i z powrotem po plecach.

- Nasze hostalio jest niedaleko stąd - wyjaśniła. - Ojciec nie zgodził się, żebym żyła w takiej nędzy, jaką znosili w dokach on i Aléas, dlatego przeprowadziliśmy się do lepszej kwatery. Wrócili tam, żeby przeczekać i omówić plany. Trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego. Pomyślałam, że wyjdę na spacer i poszukam sobie jakiegoś miejsca, żeby posiedzieć na słońcu. - Rozejrzała się, marszcząc nos. - I obawiam się, że to właśnie to.

Wyjęła z kieszeni brązowego skręta i zapaliła zapałkę. Zaciągnęła się i wypuściła z płuc dym, a nozdrza Nica wypełnił zapach ziela hazii.

- Chcesz? - Podała mu skręta.

Matka twierdziła, że hazii źle działa na płuca, gorzej nawet niż smołodrew. I rzeczywiście, Serēse często kaszlała głośno, jakby całą noc paliła to zielsko. Nico chciał odmówić, ale pomyślał: czemu nie? Niepewnie wziął skręta i wciągnął do płuc strużkę dymu, ale zaraz oddał, gdy tylko zaniósł się kaszlem.

- Przerwałam ci? - spytała Serēse, kiedy Nico w milczeniu nadal przeżywał wyprawę na wzgórze.

- Nie. Tylko wspomnienia.

- W takim razie zostawię cię z nimi.

Wstała jednym płynnym ruchem, pełnym gracji - jak wielki kot.

- Nie odchodź z mojego powodu - poprosił Nico.

Wyciągnęła rękę.

- Żartowałam. Jeśli mamy spędzić razem popołudnie, wolałabym, żeby to nie było tutaj.

Nico nie mógł się nie zgodzić, więc chwycił jej dłoń i pozwolił postawić się na nogi.

- A co proponujesz? - zapytał, wciąż ściskając jej rękę.

Wzruszyła ramionami.

- Przejdźmy się trochę.

Puściła jego dłoń, ale zaraz wzięła go pod rękę. Zrobiło się chłodniej, gdy słońce skryło się za budynkami. Przechodnie spieszyli we wszystkie strony, a niewolnicy w żelaznych obrożach dźwigali na głowach ciężkie pakunki. Minęli kilka restauracji, czując zapachy

potraw, unoszące się przez otwarte drzwi.

- Jesteś głodna? - zapytał Nico, choć sam nie miał ochoty na jedzenie.

Serēse pokręciła głową; jej ciemne włosy zafalowały na ramionach.

- Potrzebuję świeżego powietrza. Nie lubisz czasem zwyczajnie pospacerować?

- Oczywiście - zapewnił pospiesznie.

Znowu podała mu pałeczkę hazii i tym razem zaciągnął się głębiej.

- Ty i Aléas - powiedziała. - Mam wrażenie, że w końcu się zaprzyjaźniliście.

- Myślę, że tak... Chociaż Baracha... to znaczy twój ojciec nie jest zadowolony.

- Nie, na pewno nie. Jesteś przecież uczniem Asha.

Nico spojrzał na nią pytająco.

Wzruszyła ramionami.

- Mistrz Ash jest najlepszy w zakonie. Wszyscy o tym wiedzą. To wcale nie podoba się mojemu ojcu, bo zawsze trawiła go żądza, by być jedynym najlepszym. Nie może znieść myśli, że nie jest. Ale nie powinieneś mieć mu tego za złe. Matka opowiadała mi o jego dzieciństwie, o ojcu, który był człowiekiem gwałtownym i władcym, ale też małego ducha.

Poniżał syna przy każdej okazji i okazywał mu jedynie wzgardę, aż do dnia swojej śmierci. W pewnym sensie ukształtowało to charakter mojego ojca i nic nie może zrobić, by go zmienić.

Nico rozważył tę wiadomość, próbując ją dopasować do dumnego Alhazii, którego poznał.

Przeszli obok wystawionych na ulicę stolików kawiarni; głosy klientów stawały się coraz głośniejsze i bardziej ochrypłe. Cienie wydłużały się z wolna.

- Moja matka też taka była - odezwał się po dłuższej chwili Nico. - Coś z przeszłości nadal ją kształtuje.

- Jej rodzice?

- Nie. Mój ojciec.

Serēse odpowiedziała, ale nie dosłyszał. Zwolnił kroku, aż w końcu się zatrzymał.



Tuż przed nim coś wirowało w powietrzu, opadając ku ziemi. Kiedy wylądowało, przyjrzał się uważnie.

Nasienie cicado... świeża zieleń kontrastowała z posępną szarością bruku. Wokół, na całej ulicy, leżały zdeptane i zeschnięte liście, a między nimi wiele podobnych skrzydlatych nasion, choć mniejszych niż te, do których był przyzwyczajony - mniejszych niż powinny.

Nico uniósł głowę; jego wzrok przesunął się po kolejnych piętrach budynku, przy którym się zatrzymali. Znad krawędzi wysokiego dachu zwisały gałęzie drzewa.

Serēse podążyła za jego wzrokiem.

- Ogród na dachu - wyjaśniła. - Bogaci lubią takie mieć. - Na moment ściągnęła wargi. - Chodź...

Skręciła w alejkę, biegnącą wzdłuż bocznej ściany budynku.

Nico poszedł za nią. Serēse przystanęła pod drabiną umocowaną do muru nad ich głowami - schody ewakuacyjne na wypadek pożaru, biegnące pod oknami na kolejnych piętrach, aż do samego szczytu. Nico zrozumiał, co planuje dziewczyna.

Czuł się lekko oszołomiony, kiedy ją podsadzał, uśmiechnięty i chwiejący się trochę pod jej ciężarem. Ugięła kolana i skoczyła, chwytając najniższy szczebel drewnianej drabiny.

Podciągnęła się w górę i Nico mógł podziwiać jej zwinną postać, kiedy szarpnęła blokujący skobel.

Drabina wysunęła się ze stukotem, niosąc ją w dół, i zatrzymała się tuż obok niego.

- Na co się tak gapisz? - szepnęła.

Ogród na dachu był niewielki, choć pięknie zaaranżowany. Czyjaś staranna ręka pozwoliła, by rozrastał się naturalnie, a przy tym nie wyglądał zbyt dziko. Miniaturowe drzewa rosły w glinianych donicach, a rozłożyste krzewy w skrzynkach wypełnionych ziemią, posypaną wiórami drewna; resztę przestrzeni porastała trawa, usiana niebieskimi i żółtymi kwiatkami. W samym środku tryskała niewielka fontanna, a woda spływała korytem ułożonym z gładkich, ale nieregularnych kamieni, co przypominało miniaturowy górski strumyk.

Pomysłowo rozmieszczona roślinność przesłaniała okoliczne budynki, więc Nico i Serēse mogli sobie wyobrazić, że są

gdziekolwiek, ale na pewno nie w sercu największego miasta świata. W głębi stała szopa, zapewne prowadząca do wewnętrznych schodów. Serēse sprawdziła drzwi - były zamknięte, o czym przekonała się z satysfakcją. Oboje usiedli na ławeczce nad płynącą wodą, w milczeniu podziwiając ukryty ogród. Z tego miejsca nieustanny gwar miasta był ledwie słyszalny.

Serēse zapaliła kolejną pałeczkę hazii i dmuchnęła dymem w zapadający zmierzch.

- Dobrze się spisałeś - powiedziała. - To znaczy, ostatniej nocy.

Był to jedyny temat, którego dotąd unikali.

- Tak myślisz? Tak się bałem, że byłem zupełnie otępiały.

- I co z tego? Nie ty jeden. Ale zrobiłeś to, co należało. Wykazałeś się odwagą.

Nico długo i z uwagą przyglądał się dziewczynie, oceniając ją bez skrępowania, ale i bez zuchwałości. I od razu zauważył coś jeszcze, poza energią i urodą - Serēse była zdenerwowana i bardzo potrzebowała towarzystwa.

Raz jeszcze zaciągnęła się hazii i podała mu pałeczkę.

- Odwagą? - powtórzył Nico, jakby po raz pierwszy chciał wypróbować to słowo. Na chwilę zobaczył przed sobą twarz człowieka, którego zabił; zaciętość w jego wzroku, gdy Nico wbił miecz w ciało, zmieniające się stopniowo najpierw w zdziwienie, a potem w straszliwą świadomość wszystkiego, co właśnie utracił. - Nie, to nie odwaga kazała mi wbić mu ostrze w brzuch. To był strach. Nie chciałem tam umierać. Nie chciałem, żeby on mnie zabił. No więc zabiłem go pierwszy.

Był trochę zdziwiony, że tak łatwo przychodzi mu rozmowa o głęboko skrywanych uczuciach. Zastanawiał się, czy może coś się w nim zmieniło, czy od ostatniej nocy stał się trochę starszy. A może chodziło tylko o rozluźniające działanie dymu hazii.

- To zabawne - powiedział, nadal głośno myśląc. - Odkąd opuściłem Khos, zrozumiałem kilka rzeczy. Na przykład mój ojciec. Był najodważniejszym człowiekiem, jakiego znałem, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Myślę, że gdzieś w głębi duszy zawsze się obawiałem, że jednak był tchórzem, skoro uciekł tak od wszystkiego. Kiedy byłem młodszy, miałem takie dziecinne

wyobrażenia brawury, odwagi pod ogniem i tak dalej. Takie historie z legend. Ale tutaj zobaczyłem przez chwilę, co ojciec musiał przeżywać każdego dnia pod murami. Teraz zastanawiam się, jak zdołał wytrzymać tak długo, jak wstawał rankiem, wiedząc, co go czeka. I rozumiem, czemu wybrał inne życie, z dala od tego wszystkiego, gdziekolwiek będzie to możliwe. Chciałbym tylko mieć choć połowę jego siły.

Popatrzył na pałeczkę hazii w dłoni: zgasła zapomniana. Oddał ją Serēse. W głowie mu się kręciło.

- Odwaga to nie jest coś, co dobrze znam, Serēse... Nie tak naprawdę. Kiedy pojawiają się kłopoty, zwykle odczuwam strach.

Serēse zapaliła na nowo i usiadła, opierając brodę na dłoni.

- Rozumiem - powiedziała cicho i dmuchnęła dymem. - Wczoraj w nocy dla mnie to też był pierwszy raz. I chyba też nie znoszę tego za dobrze.

Jej oczy nagle stały się czujne. Przelotny cień zwrócił uwagę obojga na niebo. Zdążyli jeszcze zobaczyć latacza; czarne nietoperzowe skrzydła niosły go w górę na prądach termicznych nad miastem.

Serēse zadrżała.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - zapewniła, ale głos ją zdradzał.

Zmień temat, polecił sobie w duchu Nico. Niech myśli o czymś innym.

- Opowiedz mi coś o sobie, Serēse.

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Nie jestem całkiem pewien. Twoja matka... opowiedz o niej.

To pytanie było błędem; zobaczył to w jej oczach. Mimo wszystko spróbowała mu odpowiedzieć.

- Matka zmarła kilka lat temu. Tak poznałam ojca: dopiero kiedy zachorowała. Przyjechał do nas, na Minos, a kiedy odeszła, zabrał mnie na Cheem. Tam zostałam, póki nie skończyłam szesnastu lat: w górach, między tymi wszystkimi mężczyznami uczącymi się zabijać.

- Nigdy nie pomyślałaś, żeby pójść w ślady ojca?

- Ja Rōshunem? Nie, nie zniosłabym takiego życia.

- Więc jak trafiłaś tutaj?

Uśmiechnęła się, choć był to smętny uśmiech, pozbawiony

humoru.

- Trochę wariowałam z nudów. Dwa razy próbowałam uciec. Raz się zakochałam i wywołałam straszne zamieszanie. Potem stary Oshō zaproponował, żebym wyjechała do Q'os. Tutejsza agentka zaczęła chorować i potrzebowała kogoś do pomocy. Skorzystałam z tej szansy. Pani Spar zmarła w tym roku na kaszlącą chorobę. Zgodziłam się zostać, dopóki nie znajdą kogoś innego na jej miejsce.

Serēse zerknęła na trzymaną w palcach pałeczkę hazii, która znów zgasła. Odrzuciła ją.

- A ty, mój inkwizytorze, jak się tutaj znalazłeś, zamieszany w to wszystko?

- Ostatnio sam się nad tym zastanawiam.

- Mówisz tak, jakbyś tego żałował.

Nico wstał i podszedł do fontanny, udając, że chce z bliska przyjrzeć się miniaturowym płaskorzeźbom. W rzeczywistości nie widział niczego.

- Nie chciałam być wścibska - powiedziała, zwracając się do jego pleców. Wyraźnie wyczytała coś z jego postawy. - Po prostu wypaliłam za dużo zieleń. - Zawahała się, szukając lepszego wyjaśnienia. - Jest w tobie coś takiego, Nico... To wyciąga słowa.

Fontanna naprawdę przypominała malutkie górskie jezioro. Nico spodziewał się niemal, że zobaczy pływające pod powierzchnią miniaturowe pstrągi.

- Masz rację, rzeczywiście czasem żałuję. Od wczorajszej nocy żałuję, że w ogóle opuściłem Bar-Khos. Wiem, że to wszystko... - Rozejrzał się, nie patrząc na nic konkretnego.

- To nie jest sposób na życie. Być przyszłym zabójcą... Wiesz, jeszcze w klasztorze tak bardzo chciałem dobrze wypaść, że prawie zapomniałem, po co się tego uczę. Dzisiaj jednak stanąłem z tym twarzą w twarz.

Serēse podeszła bliżej. Widział jej odbicie w wodzie.

Przetarł twarz dłonią i westchnął.

- Może to przejdzie, kiedy wyjedziemy z tego miasta - powiedział, patrząc na nią; starał się mówić weselszym tonem. - Powiedz, zostaniesz w Q'os, kiedy to wszystko się skończy?

- Nie - odparła. - Muszę wyjechać, dla własnego bezpieczeństwa.

- I dokąd pójdziesz?

- Myślę, że z pieniędzmi, które odłożyłam... chyba przez jakiś czas będę wędrować. Chcę zobaczyć Mercję, póki jeszcze jest wolna. Minęło kilka lat, odkąd opuściłam wyspy i słyszałam, że kobieta może bezpiecznie podróżować samotnie. - Chyba się uśmiechnęła. - Będę spokojna, będę przyjmować życie, jakim jest, i zabiorę tylko te rzeczy, które zmieszczą się w plecaku. Swobodna i beztraska. W tej chwili wydaje mi się, że to świetny plan.

- Rzeczywiście - zgodził się Nico, a w jego głosie zabrzmiała tęsknota, która zaskoczyła nawet jego. Tak, to wspaniały pomysł: zarzucić plecak na ramiona i powędrować przez wyspy Wolnych Portów. Przez chwilę wyobrażał sobie, że wyrusza na taką wyprawę w towarzystwie tej dziewczyny, przeżywa każdy dzień bez lęku i bez zagrożenia życia. Ta wizja napełniła go wewnętrznym ciepłem, choć była tak nierealna...

- Więc chodź ze mną - powiedziała z uśmiechem Serēse. Popatrzył na nią bez wyrazu. - Będziemy dobrymi towarzyszami wędrówki - dodała, wyraźnie z niego żartując. - Wiem, że tak.

- Prawie się nie znamy.

- Ale dobrze się układa między nami, prawda? Takie rzeczy poznaje się już po pierwszym spotkaniu.

- Proszę - szepnął. - Dosyć.

- Aha, nie podoba ci się, co mówię... - Skrzywiła się.

- Myślę, że w tej chwili oddałbym wszystko, żeby móc właśnie to zrobić.

Spoważniała. Nico poczuł lekki dotyk jej dłoni na ramieniu.

- Więc co cię tu trzyma? Jesteś uczniem, nie niewolnikiem.

- To, że wiele zawdzięczam mistrzowi Ashowi. Mamy... mamy umowę i nie zerwę jej.

- Myślisz, że by cię nie zwolnił, gdyby wiedział, że tego pragniesz?

- Nie wiem, co by zrobił - odparł Nico. - Ale czułby się co najmniej oszukany.

- Nico... - Westchnęła. - Ash to dobry człowiek. Nie doceniasz go. Przyglądałam mu się, kiedy jest z tobą. Zależy mu na tobie.

Nico zeszywniał, strącając jej dłoń z ramienia.

- Wątpię. Toleruje mnie, owszem. Ale na ogół unika mojego

towarzystwa, kiedy tylko może.

- Jak na kogoś tak przenikliwego, w tej sprawie jakbyś oślepl - stwierdziła cichym głosem.

Nie wiedział, co chce przez to powiedzieć.

- Powściągliwość leży w jego naturze. Trzyma na dystans nawet tych, których zna od dawna. On wiele wycierpiał, Nico. Jak wszyscy starzy wędrowcy. Sądzę, choć on by pewnie zaprzeczył, że boi się cierpienia po kolejnej stracie.

Nico nie odpowiedział i przez chwilę w niewielkim ogrodzie słychać było tylko plusk wody. Nadciągnął chłód; chłopak zadrżał, wyczuwając wilgoć w powietrzu. Już teraz widział rzadką jeszcze parę własnego oddechu.

- Zimno się robi - zauważył.

- Nadciąga mgła - odparła.

- Mgła? Teraz? Tutaj jest jakaś dziwaczna pogoda.

- Chłód spływa z gór na kontynencie. Lepiej wracajmy, jeśli nie chcemy zamarznąć.

Nico raz jeszcze spojrział na ogród na dachu, po czym odwrócił się z wymuszonym uśmiechem.

- Mistrz Ash zna historię o zamarzaniu. Opowiem ci po drodze.

Kiedy Nico wrócił wreszcie do hostalio, pokój przywitał go smętnym wnętrzem. Ostatnią monetę zużył, by otworzyć drzwi; potem w misie umywalki szukał po omacku pozostałych jeszcze na dnie ćwiartek. Na szczęście znalazł jedną i wykorzystał ją, by zapalić gazową lampę. Potem ułożył się na górnym pościeliu, owinięty cienkim kocem. Myślał o ostatnich godzinach, gdy tymczasem jego ciało rozgrzewało się z wolna.

Ash wrócił późno i wydawał się jeszcze bardziej znużony niż poprzednio. Odbił się od umywalki, jakby jej nie widział.

Znowu ból głowy, pomyślał Nico.

Mistrz burknął coś do niego, kiedy kładł się na dolnym pościeliu. Nico był ciekaw, co robił przez cały dzień, i chciał nawet zapytać wprost, ale uznał, że Ash pewnie każe mu być cicho. Zresztą miał inne, ważniejsze pytania, które chciał zadać.

- Zimna noc - stwierdził wreszcie starzec.

- Bardzo.

- Jadłeś już coś?

Nico uświadomił sobie, że nie.

- Nie, ale nie jestem głodny. To miejsce odbiera mi cały apetyt.

Starzec wstał ostrożnie, pogrzebał w sakwie i wyjął owsiany placek owinięty w woskowany papier.

- Mistrzu Ash... - zaczął Nico i zaczekał, aż starzec odwróci się do niego.

Ash podał mu placek.

- Jedz - polecił.

Nico tylko pokręcił głową.

- Mistrzu Ash, chciałbym o coś spytać.

- No to pytaj.

Nico nabrał tchu, zbierając się na odwagę.

- Tak się zastanawiałem... I nie jestem pewien, czy się do tego nadaję... Żeby być Rōshunem.

Ash zamrugał, jakby miał trudności ze skupieniem wzroku. Rozdarł opakowanie i sam odgryzł kawałek placka, nie odrywając wzroku od chłopca.

Słowa szerokim strumieniem popłynęły z ust Nica.

- Nie wydaje mi się, żebym miał w sobie to, co potrzebne. Ta sprawa... jest gorsza, niż mi się wydawało. A zeszłej nocy... - Pokręcił głową. - Walczyć jako żołnierz, w obronie swojej ojczyzny, może to inna sprawa, ale wcale nie jestem o tym przekonany.

- Nico - odparł łagodnie starzec, z policzkiem wypchanym plackiem. - Jeżeli nie chcesz dłużej być moim uczniem, powiedz tylko, a załatwimy tę sprawę od razu i będziesz mógł wrócić do domu.

Nico usiadł gwałtownie.

- A co z naszą umową?

- Starłeś się dotrzymać jej jak najlepiej. Pracowałeś ciężko i stawiałeś czoło niebezpieczeństwu. Wystarczy, że powiesz słowo. Natychmiast odprowadzę cię na nabrzeże i znajdę miejsce na statku. Noc możesz spędzić na pokładzie, a rankiem będziesz już żeglować daleko stąd. Nie będę miał do ciebie żalu. Sam postąpiłbym tak samo, gdybym mógł.

Serēse miała rację, pomyślał Nico. To dobry człowiek.

Ash zapakował resztę placka i odwrócił się, by schować ją w

bagażu.

- Czy chcesz odejść? - rozległy się jego słowa. Wciąż stał zwrócony do Nica plecami.

Nico przyglądał mu się z góry. Starzec wydawał się niemal kruchy ze zmęczenia. I stał nieco zgarbiony nad swoją sakwą, bez ruchu; zdawało się, że nawet nie oddycha, czekając na odpowiedź.

Pytanie zawisło w powietrzu, nabierając wagi, tworząc dystans między nimi; w tej chwili byli sobie obcy, podążający rozchodzącymi się ścieżkami. I nagle, w niespodziewanym rozbłysku, Nico zrozumiał.

Umierasz.

Zamrugnął, patrząc na starca; przypomniał sobie jego bóle głowy, ciągłe używanie liści dulce, jego niecierpliwość, by wziąć sobie ucznia. Ash był chory i wiedział, że jego stan będzie się pogarszał.

Nico odkrył, że tego nie zniesie. Nigdy nie zdołam żyć ze sobą, pomyślał, jeśli teraz porzucę tego schorowanego, starego wędrowca tutaj, w tym okropnym miejscu, samego.

- Nie, mistrzu - usłyszał własny głos. - To chyba miasto zaczyna na mnie tak działać. Nic więcej.

Ash stał jeszcze przez chwilę odwrócony do chłopca tyłem. Ramiona mu się uniosły, jakby odetchnął na nowo.

Kiedy znów się wyprostował, dystans między nimi zniknął; znów powrócili do znajomych ról: mistrza i ucznia.

- Powinieneś się trochę przespać - rzeki Ash. - Jutro czeka nas długi dzień. Jeśli zechcesz, możemy porozmawiać rano.

Nico położył się, opierając głowę na ramieniu. Ash usiadł w pozycji medytacyjnej na podłodze. Oddychał spokojnie, wpatrując się w jakiś punkt na drzwiach.

Nico gapił się w sufit, nie więcej niż pół metra nad głową. Przyglądał się pęknięciom tynku, na których tańczyło migotliwe światło, i ciemniejszym plamom, gdzie przesączyła się wilgoć. Nasłuchiwał rzadkiego brzęku monet, wrzucanych do szczelin piętro wyżej, toczących się długą drogą do jakiegoś bezpiecznego skarbca w piwnicy hostalio, daleko pod nim.

Zastanawiał się, ile czasu ma jeszcze Ash. To musi być jakaś choroba, na pewno śmiertelna.



Nico zostanie, mimo wątpliwości. Choć zdawał sobie sprawę, że to decyzja wynikająca z lojalności i współczucia, nie z rzeczywistej chęci pozostawania przy nim.

Kiedy zasnął niedługo potem, śniło mu się, że chowa starca obok grobu, który wykopał dla Podarka. Serēse także tam była i powiedziała kilka słów. Nico milczał. Zamiast przemowy, ułożył na ubitej ziemi miecz wędrowca. Kiedy odwrócili się oboje i odeszli, odczuwał smutek i ulgę. Jakby z każdym krokiem zmniejszał się ciężar w żołądku.

On i Serēse nieśli na ramionach plecaki. I przez całą wieczność potem Nico śnił, że wędrują razem, beztroscy i zakochani.

## ROZDZIAŁ 23

### W pułapce



**W** tych górach słońce zachodziło szybko. Późnym popołudniem ich cienie zlewały się już w szarą zapowiedź zmierzchu.

Kolumna komandosów rozbiła biwak przy czystym strumieniu. Byli w drodze już cały dzień, głównie pieszo, gdyż zełe zostawili na wybrzeżu, pod opieką kilku ludzi. Muły - kupione w Cheem Port za imperialną walutę - dźwigały najcięższe ładunki, bo pewniej stąpały po górskich ścieżkach niż ciężkie, czystej krwi zełe. Żołnierze zdejmowali im teraz juki, zawierające głównie żywność i części zdemontowanych lekkich dział. Niezbędne rozkazy wydawali gestami oficerowie, rozpoznawalni tylko dzięki wytatuowanym na skroniach insygniom.

Kolejno powrócili ostatni purdasi, elitarni zwiadowcy armii Imperium. Nazywano ich tak od płaszczy z kapturami, maskowanych plamami kolorów oraz kępkami trawy i gałązek.

Każdemu towarzyszył wilczur, hodowany specjalnie do takich zadań. Purdasi zameldowali, że teren jest czysty.

Mimo to wokół obozowiska wystawiono podwójny pierścień straży, niewidocznej w zaimprovizowanych kryjówkach. Nie palono ognisk. Za schronienie służyły wsparte na kijach płachty plamistego płótna, zaledwie tak duże, by żołnierz mógł wczołgać się pod chroniącą od deszczu osłonę.

Komandosi pracowali szybko i właściwie bez nadzoru. Ich pułkownik, żując kawałek smołodrewna, zlustrował wszystko ze środka obozu, mruknął z satysfakcją i ruszył w stronę klęczącego na ziemi Dyplomaty.

- Więc to jest to? - rzucił szorstko.

Przyklęknął koło krzewu, który pilnie obserwował młody człowiek.

Ché nie odwrócił głowy. Miał na sobie prosty skórzany kaftan, a na nim ciężki płaszcz z szarej wełny. Owinął się nim szczelnie.

- Tak - potwierdził.

Cassus, pułkownik, przyciągnął do siebie obwieszoną jagodami gałązkę.

- Wyglądają całkiem jak czaszki - zauważył, przyglądając się białym plamkom. - Nie chciałbym wkładać czegoś takiego do ust.

- Nie jem ich. Przygotowuję we właściwy sposób, a potem rozsmarowuję trochę soku na czole. Każde inne zastosowanie kończy się śmiercią.

Pułkownik trzymał gałązkę jeszcze chwilę, nim ją puścił. Krzew zafalował.

Potem dowódca wstał i spojrzał na młodego człowieka. Ché wciąż przyglądał się jagodom.

- Kiedy to zrobisz?

Jakiś dziwny grymas przemknął po twarzy Ché, ale zniknął, zanim Cassus zdołał go odczytać. Pułkownik znowu się zastanowił, co właściwie go niepokoi.

Uważał się za człowieka spostrzegawczego. Wiedział, że ich przewodnik z czymś się zмага, że coś go dręczy - tym uporczywiej, im bardziej zbliżają się do celu.

On nie chce tego robić, myślał często Cassus.

- Rano - poinformował Ché. - Ludzie potrzebują odpoczynku. Nie da się przewidzieć, jak szybko mogę wędrować albo po jakich terenach.

- I naprawdę będziesz w tym czasie jak obłąkany?

Ché rozchylił wargi, ukazując zęby.

- Całkiem bezrozumny.

Pułkownikowi wcale się to nie podobało i powiedział o tym

głośno. Ale już wcześniej skarżył się na ten element misji i Dyplomata nie potrafił dodać mu otuchy. Dlatego milczał - to nie był jego kłopot.

Cassus odwrócił się i spojrzął na obóz. Jego ludzie właściwie skończyli pracę. Teraz przysiedli koło namiotów, przeżuwali suchy prowiant i rozmawiali cicho. Niektórzy rozebrali się, by skorzystać z kąpieli w potoku.

Było ich osiemdziesięciu dwóch, kiedy wyruszali z Q'os: pułkownik i osiem drużyn po dziesięciu ludzi, pełna kompania; dodatkowy człowiek to ten dziwny, przysłany ze sztabu Dyplomata. Dwóch ludzi pochorowało się w czasie rejsu i musieli zostać na okręcie; dwóch kolejnych zostało na wybrzeżu, by pilnować zeli; następny zwichnął nogę w kostce podczas wędrówki przez góry. Ogólnie, straty były mniejsze, niż można by się spodziewać. Zostało siedemdziesięciu siedmiu ludzi - prawie cztery plutony.

Pułkownik jednak był niespokojny. Niepokoił się, zanim jeszcze wyruszyli z tą pospiesznie przygotowaną misją. Mieli walczyć z ponad pięćdziesięcioma Rōshunami - tak przynajmniej zapewniał ich przewodnik, Dyplomata. Pięćdziesięciu Rōshunów, na własnym terenie, broniących swojego życia i domu... Jego komandosi to wprawdzie najlepsi żołnierze wojsk Imperium, ale i tak nie podobał mu się stosunek sił.

Nie wiedział, czemu matrona nie posłała jako wsparcia batalionu zwykłych żołnierzy.

Taką misję należy przecież prowadzić bez pośpiechu, z przytłaczającą przewagą liczebną.

Podjeżdżał jednak, że królowie-zebracy z Cheem Port protestowałiby, gdyby chciały u nich wylądować takie siły, niezależnie od ilości złota, jaką by im oferowano.

Poza tym być może krążące w Q'os plotki były prawdziwe. W stolicy coś się szykowało.

Nowe kompanie tworzone z niedobitków starych, a ludzie ze spokojnych placówek na rubieżach Imperium byli wzywani do miasta. Wszyscy mówili tylko o jednym i Cassus uważał, że mają rację. W niejednej przecież inwazji brał już udział.

Ché wyprostował się obok krzewu i w końcu spojrzął

pułkownikowi w oczy. Raz jeszcze Casus poczuł, że sztywnieje pod zimnym, pustym wzrokiem młodego człowieka.

- A zatem rankiem - potwierdził, nie wyjmując z ust smołodrewu.

Ché skinął głową i odszedł.

Cassus przyglądał się, jak Dyplomata rozbija namiot w sporej odległości od pozostałych, a potem wrzuca plecak pod płachtę. Chwilę później usiadł ze skrzyżowanymi nogami, twarzą w stronę zachodzącego słońca, złożył dłonie i zamknął oczy.

Wyglądał jak któryś z tych obłąkanych mnichów Dao.

Kilku żołnierzy zwróciło na niego uwagę, tak jak wcześniej na pokładzie. Poszturchiwali się nawzajem i przyglądali w milczeniu.

Niebezpieczny typ, pomyślał Cassus. Nie chciałbym stawać przeciw niemu. Odwrócił się i splunął na trawę. Już niedługo będziemy musieli się zmierzyć z pięćdziesięcioma takimi.

Wciągnął w płuca górskie powietrze i rozejrzał się po białych od śniegu szczytach wokół obozu. Wiedział, że gdzieś tam są ci ludzie, ukryci w jakiejś górskiej dolinie za murami klasztoru.

Zaskoczenie, uznał, raz jeszcze wracając do planów swojej misji. Wszystko opiera się na zaskoczeniu.

Nico obudził się nagle.

Pokój kołysał się w gazowym świetle. Ash wciąż siedział na podłodze, pogrążony w medytacji, spod przymkniętych powiek wpatrując się w ten sam punkt na drzwiach. Nico przetarł oczy. Nie wiedział, jak długo spał. Może godzinę?

Ktoś krzyknął w korytarzu w proteście, wypowiadając długie, bezsensowne zdania pijaka.

To było jedyne ostrzeżenie.

Drzwi odskoczyły tak gwałtownie, że uderzyły o ścianę, uwalniając obłok kredowego pyłu. Szok sprawił, że Nico odruchowo napiął mięśnie. Otworzył usta, może aby krzyknąć, może by westchnąć. Ale nagle odkrył coś niezwykłego: czas zwolnił, zatrzymał się na krawędzi tego pierwszego momentu.

Kątem oka widział rękę Asha sięgającą po miecz u boku. Nico wiedział jednak, że dłoń natrafi jedynie na pustkę - owinięty w płótno miecz leżał pod łóżkiem, gdzie Ash schował go zaraz po powrocie. W drzwiach dostrzegł oddział akolitów, którzy pojedynczo

wbiegali do pokoju. Ich szaty zdawały się stężyć w ruchu, jak na obrazie, a fałdy zyskały głębię grą cieni i światła, dziwnych migotań połyskującej w świetle lamp jedwabistej tkaniny. Zobaczył nagą stal klingi pierwszego z napastników, trzymanej niby przedłużenie ramienia. Ostrze połyskiwało oleiście, niebieskie jak morze, żółte jak kukurydza, brązowe jak wilgotna ziemia... A gazowy płomyk odbijał się bliżej główki, niczym miniaturowe słońce. Widział maskę tego człowieka, w której otworach widoczna była czerń - prócz białek oczu, wpatrzonych teraz w starego wędrowca, zaskoczonego i nieuzbrojonego.

Czas ruszył w normalnym tempie, zapanował chaos, a straszliwy ryk wypełnił uszy Nica, przyćmiewając zmysły. Uświadomił sobie, że to Ash jest źródłem dźwięku - klęcząc na podłodze, zrobił jedyne, co mógł, gdy pierwszy z akolitów skoczył na niego z mieczem.

To był pierwotny wrzask, niepodobny do niczego, co Nico w życiu słyszał, do niczego, co uważał, że może zrodzić się w ludzkiej krtani. Był kształtowany i kierowany z taką mocą, że na chwilę oszołomił napastnika, który upuścił broń, jakby nagle rozpałała się do czerwoności.

To wystarczyło, by dać Ashowi niezbędną sekundę. Poderwał się i chwycił jedyny ruchomy element umeblowania w całym pokoju: krzesło. Po czym z pełną siłą uderzył nim w twarz akolity. Trzasnęły kości, mężczyzna zatoczył się na tych, którzy usiłowali wbiec za nim. Wędrowiec rzucił się ku nim i z rozpędu wypchnął na próg. Jakoś udało mu się zamknąć drzwi. Oparł się o nie plecami.

- Nico... - rzucił tak obojętnie, że raczej przeraził chłopca, niż go uspokoił. - Rzuć mi monetę, chłopcze, ale szybko.

I skinął głową na umywalkę, teraz poza jego zasięgiem, gdzie trzymali drobne, przeznaczone do wrzucania w rozmaite szczeliny w pokoju.

Nico zsunął się z posłania. Ash walczył z drzwiami, które dygotały mocno i jakby chciały odsunąć go z drogi.

- Spiesz się! - syknął.

Nico stanął nad miską i zaczął macać dno, szukając monety. Nie widział żadnej i nagle wystraszył się, że zużył ostatnią - ale nie, palce znalazły, choć oczy nie zdołały. Chwycił ją i rzucił Ashowi.

Wędrowiec pochwycił monetę jedną ręką, tym samym płynnym ruchem odwrócił się i wrzucił ją do szczeliny w futrynie. Przekręcił klucz i odprężył się odrobinę, kiedy rygiel wskoczył na miejsce. Wciąż słyszeli uderzenia o dygoczące drewno, a Ash nadal opierał się o nie plecami, najwyraźniej nie ufając przesadnie zamkowi.

Nico zrobił krok w jego stronę, potem odwrócił się i skierował do zasłoniętego okiennicą okna. Tam się zatrzymał, niezdecydowany.

Ash zmarszczył czoło. Ostrze topora przebiło płytę drzwi przy jego głowie, rozrzucając deszcz drzazg.

- Okno, chłopcze. Okno!

Chłopcu nie trzeba było powtarzać dwa razy. To przecież ich jedyna droga wyjścia.

Podbiegł, pchnął okiennice... Tylko że nie zdołał ich otworzyć. Nie chciały ustąpić pod naciskiem. Wymagały monety.

Nico zaklął, gdy raz jeszcze zaczął przeszukiwać miskę, choć tym razem wiedział, że wykorzystał już wszystkie.

Tępo spojrzął na Asha, wyłamując palce. Był zbyt przerażony, by sensownie myśleć.

- Sakiewka! - krzyknął Ash. - Tam! Na łóżku!

I rzeczywiście, kiedy Nico rozwiązał ją niezgrabnie, wśród innych monet znalazł ćwiartkę. Podbiegł do aparatu i spróbował wrzucić ją do szczeliny, ze zdenerwowania jednak upuścił monetę i musiał biec za nią, kiedy poturlała się przez cały pokój, aż pod nogi Asha.

Ash krzyknął coś, czego Nico nie usłyszał. Chwycił monetę i wrócił do okna. Tym razem lepiej wymierzył i ćwiartka zniknęła w szczelinie. Nico rozchylił okiennice i odetchnął głęboko. Na zewnątrz było ciemno i unosiła się gęsta mgła. Wystawił głowę, by spojrzeć na uliczkę cztery piętra niżej. Nie dostrzegął żadnej możliwości, żeby zejść, żadnych schodów ewakuacyjnych ani niedalekich rynien.

- Jesteśmy w pułapce! - zawołał.

Schował głowę akurat w chwili, kiedy coś uderzyło o ramę okna. Spojrzął na odłamany koniec bełtu z kuszy, który stoczył się z parapetu.

Ktoś strzelał do niego z dachu budynku naprzeciwko! Nico odskoczył od okna.

Ash krzyczał, żeby przeskoczyć do okna po drugiej stronie. Okno

było przesłonięte okiennicami - a sam budynek oddalony o dobre dwa metry. Nico wiedział, że nigdy nie odważy się na taki skok.

- Nico! - huknął jego mistrz.

Chłopak się obejrzał. Drzwi zaczynały się rozpadać, ostrze topora wyrąbywało deski.

Podniósł się i zauważył, że odruchowo chwycił przewrócone krzesło. Podbiegł do okna i cisnął je w noc. Mgła zawirowała za nim, gdy trafiło w okiennice po drugiej stronie uliczki.

- Otwórz! - zawołał, ostrożnie odsunięty od okna. - Otwieraj!

Okiennice rozchyliły się na tyle, by w szczelinę wsunęła się twarz mężczyzny. To był ten sam staruszek, którego Nico zauważył pierwszego dnia, jak buduje coś z zapalek.

- Proszę! - zawołał Nico. Sięgnął po sakiewkę z pieniędzmi, zamachnął się i przerzucił ją na drugą stronę, między okiennice, do pokoju staruszka. - Weź to! - krzyknął.

Okiennice się zatrzasnęły. Nico niemal zaszlochał, choć tak naprawdę jakaś jego część przyjęła to z ulgą. Następny bełt rozbił ramę o centymetry od jego dłoni.

Nico odskoczył w głąb pokoju.

I nagle okiennice naprzeciwko otworzyły się szeroko. Staruszek z bezzębnym uśmiechem skinął na niego ręką. A potem odsunął się na bok, by zrobić miejsce.

Nico poczuł ucisk w żołądku. Myśl o skoku przywołała wspomnienie upadku, jeszcze w Bar-Khosie, kiedy runął z dachu tawerny. To nie sam upadek tak go przerażał, bo nigdy nie mógł go sobie dobrze przypomnieć - to raczej ta chwila tuż przed upadkiem, kiedy zsunął się do krawędzi i tam zawisł na moment, rozpaczliwie szukając uchwytu, którego jednak nie znalazł.

Przez coraz szersze szczeliny w drzwiach widział już maski akolitów. Ash ryzykował własny kark przy każdym uderzeniu topora, kiedy ostrze przebijało się na wylot.

- Nie potrafię - oświadczył Nico.

Ash milczał przez chwilę, przyglądając się chłopcu z głębokim zrozumieniem.

- W takim razie miecze. Przerzuć tam nasze miecze.

Nico zmarszczył lekko czoło, ale wykonał polecenie.



Odwrócił się, sięgnął pod łóżko i wyjął płócienny rulon z bronią. Podbiegł do okna i cisnął go do pokoju naprzeciwko.

Nie usłyszał, jak z tyłu zbliża się Ash - zbyt głośno rozbrzmiewały uderzenia o drzwi.

Dlatego był zaskoczony, kiedy wędrowiec pociągnął go od okna do drzwi, a raczej tego, co z nich zostało, a jeszcze bardziej, kiedy złapał go za siedzenie spodni i za kołnierz. Ash warknął jakieś obce słowa, mające pewnie dodać chłopcu odwagi, i pobiegł w kierunku okna. Nico wrzeszczał i machał rękami, gdy Ash z impetem rzucił go w pustkę.

Nico przefrunął nad zaułkiem. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że przeleci.

Nie przeleciał. Okno uniosło się ponad niego, zanim tam dotarł. I nagle znowu nadeszła ta koszmarna chwila, której bał się najbardziej - tuż przed śmiertelnym upadkiem.

Tym razem jednak sprzyjało mu szczęście - wyciągnięte ręce trafiły na coś i chwyciły mocno. Był to wystający parapet, na którym Nico zawisł po ciężkim uderzeniu o mur. Bose stopy szukały jakiegoś podparcia na szorstkim murze.

Zauważył Asha przeskakującego mu nad głową w rozwianym płaszczu, wystrzelony bełt chybił, a wędrowiec zanurkował głową naprzód do pokoju. Niemal natychmiast stanął przy oknie i wciągnął Nica do środka.

Dysząc ciężko, Nico leżał na podłodze. Staruszek z zapałkami gapił się na niego, w podnieceniu kłapiąc bezzębnymi dziąsłami. Siedział na łóżku, obok zbudowanej z zapałek makiety wiejskiej chaty. Ash nie zwracał na niego uwagi. Kopnięciem rozwinął brezentowy rulon, odsłaniając dwa miecze w pochwach. Rzucił Nicowi jego broń, gdy chłopiec wstawał niezgrabnie z podłogi, i wydobył swoją w chwili, gdy pierwszy akolita wskoczył przez okno za nimi.

Ash odepchnął Nica i uchylił się przed cięciem skierowanym w jego szyję. Pchnął klingę w brzuch akolity - wbił i wyciągnął, tam i z powrotem, błyskawicznie. Kopnięciem odrzucił zabitego na bok, a sam rzucił się na kolejnego napastnika w białej szacie, który wpadł do pokoju. Temu powiodło się lepiej. Ręką odbił w bok klingę Asha, czym zmusił go do uchylenia się, by uniknąć uderzenia w twarz.

Atakowali i parowali w szybkiej wymianie uderzeń, ostrza zgrzytały i dźwięczały, spychając Nica i staruszka w kierunku drzwi, a przy okazji niszcząc wszystkie meble. Co zadziwiające, chata z zapalek pozostała nietknięta.

Nico szarpnięciem otworzył drzwi pokoju. Musiał się stąd wydostać.

Potyając się, z mieczem w dłoni, wyskoczył na ciemny korytarz. Ash wpadł na niego, wycofując się i nadal walcząc z akolitą. Szybkim spojrzeniem wskazał kolejnych atakujących, skaczących nad alejką do pokoju. Bezzębny staruszek siedział z boku i radośnie klaskał w ręce.

Nico pobiegł korytarzem, a Ash następował mu na pięty. Jakaś wystraszona twarz w drzwiach, inne zamykające się z trzaskiem, wreszcie klatka schodowa prowadząca w górę i w dół. Nico pognął w dół, przeskakując po trzy stopnie naraz. Na każdym wirażu chwycił się poręczy i mijał jedno piętro za drugim, aż w końcu dotarli na parter. Widział frontowe drzwi na końcu długiego korytarza.

Ash złapał go, kiedy Nico biegł już w tamtą stronę. Wędrowiec szarpnął chłopca, a potem pchnął w przeciwną stronę. Tymczasem białe błyski zlatywały schodami, które właśnie opuścili.

Pralnie, brudne balie i tary, i mocny zapach krochmalu w powietrzu... Nico słyszał jęk własnego oddechu w krtani; bosa stopy klaskały na posadzce, kiedy skręcał raz w tę, raz w tamtą stronę; i wreszcie chwila euforii: gazowa lampa na ścianie oświetlała tylne wyjście z budynku. Nico przebiegł przez nie i wypadł w noc przestłoniętą mgłą - i w nagłą erupcję hałasu.

Wokół latały kamienne odpryski. Nico stał jak wrośnięty w ziemię, nie rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego dudni mu w uszach od szybkich i ogłuszających trzasków. Dopiero po chwili zrozumiał, że ostrzeliwuje go wiele strzelb. Więcej niż kiedykolwiek w życiu widział.

Pociski zmieniłyby go w sito, gdyby Ash nie podciął mu nóg, a Nico nie padł jak długi na ziemię. Obaj odczołgali się we mgle, daleko od plamy światła wylewającego się z otwartych drzwi. Mgła ukrywała ich przed strzelającymi, choć nad głowami przelatowały pociski.

Ścigający ich akolici zatrzymali się w głębi korytarza, nie

wystawiając się na kanonadę, jaką prowadzili ich koledzy.

Ash i Nico czołgali się wzdłuż ulicy. Nico nie czuł nawet bólu łokci i kolan, obcieranych przez szorstkie kamienie bruku. Kiedy oddalili się dostatecznie, Ash postawił go na chwiejnych nogach i przytrzymał.

Próbowali ruszyć biegiem. Nie było tu żadnych ulicznych latarni, jednak ktoś ich zauważył. Zabrzmiały krzyki, a potem odgłosy pościgu.

Jakaś sylwetka pojawiła się przed nimi, ale runęła bezgłośnie po szybkim cięciu Asha.

Nico bez zastanowienia przeskoczył nad trupem. Kolejne postacie - i miecz Asha znowu świsnął w powietrzu; stary wędrowiec ani na chwilę nie zwolnił kroku. Nico zgubił swoją broń gdzieś po drodze, ale się tym nie przejął. Górą, tuż nad dachami budynków przefrunął latacz - czarny i szybki, ale widoczny we mgle, krążył nad okolicą.

Zdawało się, że cały teren jest otoczony i wrogowie potrafią wypatrzeć ich ruchy, kiedy tylko Nico i Ash mijają lepiej oświetloną ulicę. Ich alejka dobiegła do szerokiej arterii, gdzie zatrzymali się, słysząc strzały. Odskoczyli do tyłu, widząc blokady po obu stronach.

Nico przycisnął się do muru, próbując znaleźć kryjówkę, której tam nie było. Przy każdym strzale napinał mięśnie, spodziewając się gwałtownego bólu. Ash pociągnął go za sobą i nisko pochyleni przebiegli przez ulicę. Krzyki po obu stronach zdradzały przypadkowe ofiary własnego ostrzału.

Przed nimi wyrósł budynek - niski i brzydszy od większości w mieście. W czarnym jak noc wejściu nie było drzwi. Wbiegli w cuchnące, ciemne wnętrza. Fontanny kamiennych odprysków i iskier tryskały z tyłu z krawędzi muru.

Chwiejnie wbiegli dalej; słabo widoczne ściany pokrywały niewyraźne zarysy graffiti - to była publiczna latryna, z rzędem otworów wzdłuż jednej ściany.

Ash przeszedł na tyły budynku, gdzie w ścianie było kilka brudnych, wąskich okien.

Rękojeścią miecza wybił jedno z nich i oczyścił ramę z odłamków.

- Musimy się rozdzielić, chłopcze. Sam jestem o wiele szybszy. Jeśli się ukryjesz, odciągnę ich od ciebie.

Nico rozejrzał się niepewnie.

- Ukryję się? Gdzie?

Ash zlustrował rząd otworów latryn w pojedynczej drewnianej ławie pokrytej plamami podejrzanego pochodzenia. Potem szarpnął za nią, aż zerwał górną deskę. Smród był taki, że starzec zaczął się krztusić. Obok Nico walczył ze skurczami żołądka.

Mistrz stanął przed chłopcem, a ten cofnął się przerażony, widząc minę starca. Wiedział, co proponuje Ash, i zaczął wolno, z determinacją kręcić głową.

- Chcesz tutaj zginąć?

- Więc mnie nie zostawiaj. Spróbujemy uciec razem.

- Jesteśmy w pułapce, Nico. Musimy teraz myśleć twórczo i znaleźć jakieś wyjście, przynajmniej dla ciebie. A teraz włącz.

- Nie wejdę.

- Proszę cię, Nico. Słuchaj, już nadchodzą.

To prawda. Z ulicy na zewnątrz usłyszał kroki.

- Już! - rozkazał Ash.

I całkiem wbrew swojej woli, Nico poczuł, że postępuje w stronę odkrytego szamba.

Mocne pchnięcie rzuciło go w dół i wylądował na plecach. Ciało trafiło w wilgotny, cuchnący wzgórek o konsystencji błota, które próbowało go wessać. Żołądek znów zareagował i tym razem Nico wymiotował.

- Cicho! - szepnął z góry Ash i umocował na miejscu deskę.

Nico zasłonił dłonią usta; dławił się i dygotał w milczeniu.

- Kiedy już będzie można, spróbuj dotrzeć do doków - poinstruował go Ash przez jeden z otworów. - Znajdziesz tam posąg któregoś z ich generałów. Nie da się go przeoczyć. Jeśli zdołam, spotkam się tam z tobą o świcie. Ale jeśli nie wrócę, Nico, wyjedź z miasta. Wracaj do domu, do matki. Żyj długo i dobrze mnie wspominaj.

Stary wędrowiec rzucił w dół sakiewkę pełną monet. Brzęknęły cicho, lądując w odchodach obok.

- Żegnaj, mój chłopcze.

- Mistrzu Ash!

Ale Ash zniknął. Nico słyszał, jak wyslizguje się przez okno. Po

chwili od strony wejścia zabrzmiały kroki, ktoś krzyknął i rzucili się za nim.

Inni zostali na miejscu. Przez otwory migotało światło, przesuwały się cienie, całkiem blisko tupały ciężkie buty, a rozkazy rozbrzmiewały echem w cuchnącej przestrzeni nad nim.

Nico zamknął oczy i próbował oddychać, nie dławiąc się przy tym. Całą siłą woli starał się nie myśleć, co mu zrobią, jeśli zostanie schwytany.

Światło zamigotało na zamkniętych powiekach, nim jednak zebrał się na odwagę, by spojrzeć w górę, już zniknęło.

Pościg trwał dalej. Pomieszczenie nad nim stało się ciemne i ciche.

Czekał. W oddali zabrzmiały kolejne wystrzały. Wrzask. Krzyki ludzi.

Nico stracił poczucie czasu. Przekonał się, że jeśli w ogóle się nie porusza, zmniejsza uczucie dotyku nieczystości na skórze. Leżał w absolutnym spokoju, próbując oddychać bez oddychania.

Zastanawiał się, jak sobie radzi Ash. Był pewien - mimo skali zasadzki, jaką na nich zastawiono - że jego mistrz znajdzie jakieś wyjście. A to dawało Nicowi nadzieję.

Zaszczekały psy. I znowu głosy... Serce Nica niemal się zatrzymało, gdy u wejścia znowu rozległy się kroki.

- Tutaj już sprawdzali - oświadczył głos kobiety.

- Ci idioci? Może radzą sobie z wymachiwaniem mieczami, ale powątpiewam w ich zdolność obserwacji.

Znowu zastukały buty. Zapłonęło światło, zafalowały cienie.

- Gdzie jest Stano? Widzieliście go? - W głosie kobiety zabrzmiał niepokój.

- Tak. Rōshun załatwił go we mgle. Pech.

- Nie żyje?

- Tak wyglądał.

Kobieta nie była zadowolona.

- Kiedy złapiemy tych drani, zajmę się nimi pierwsza.

- Jak chcesz.

Głos rozlegał się już wprost nad głową Nica. Lampa zajaśniała w otworze. Nico skulił się, próbując się odsunąć.

Pojawiła się twarz. Oczy spojrzały na niego.

I nagle błysnęły w uśmiechu zęby.

## ROZDZIAŁ 24

### Czekając przy Mokabim



O świcie mgła prawie się nie przerzedziła.

Leżała na ulicach niczym warstwa kłębiącego się śniegu, przesłaniając wszystko wewnątrz i wszystko na zewnątrz, nawet wschodzące słońce, które stało się niewyraźną plamą jasności, bez ciepła. Światło - dla tych pechowców, którzy musieli wyjść z domu o tak wczesnej godzinie - było jedynie słabym lśnieniem, które dodawało kształtu porannemu chładowi. Przechodnie zderzali się ze sobą na chodniku. Wozy przejeżdżały po trasie innych wozów, a muły kłapały na siebie zębami. Mgła cuchnęła, oblepiała gardła, szczypała w oczy.

Każdą powierzchnię pokrywała wilgocia, która ściekała w kroplach nawet z obwisłych flag.

Ash szedł ulicą. Jego płaszcz był przemoczony, tak samo jak ubranie pod spodem. Nadal miał przy sobie miecz, choć go ukrywał. Zasnęta krew plamiła mu dłoń, ściekając z otwartej na nowo rany. Idąc, utykał nieznacznie.

Przed nim we mgle wyrósł pomnik: ogromny kolec przebijający mrok. Nabite na niego szarpały się ludzkie postacie, a ich przedśmiertne drgawki zastygły w umiejętnie odlanym spizu. Ash zatrzymał się przy nim. Generał Mokabi, trzykrotnie większy niż w rzeczywistości, stał u podstawy kolca, patrząc na miasto. Jego twarz

znieruchomiła w wyrazie tryumfu, ale był to tryumf okupiony wielkim wysiłkiem, co podkreślały linie zmęczenia na twarzy. Ręce opierał na biodrach, głowę odchylił lekko do tyłu, jakby rozkoszował się podziwem innych dla tego największego ze swoich dokonań.

Nica nigdzie nie było.

Ash odetchnął i usiadł ciężko na balustradzie otaczającej pomnik. Skrzywił się z ulgą, kiedy nogi przestały dźwigać ciężar ciała.

Świt przechodził z wolna we wczesny poranek. Ash ciasniej otulił się płaszczem, choć wilgotna wełna prawie nie dawała ciepła. Nie poruszał się. Po chwili wyglądał, jakby sam był elementem pomnika, więc kiedy zwiększył się ruch na sąsiednim placu, nikt nie zauważył, że siedzi tam i czeka.

Poranek zmienił się w przedpołudnie. Wciąż ani śladu Nica.

Stary wędrowiec wstał i przez jakiś czas spacerował wokół pomnika, starając się rozgrzać trochę nogi. Chodząc, rozglądał się i próbował przebić wzrokiem mgłę. Gdzieś w dali zegar wybił godzinę.

Minęło południe i Ash usiadł znowu, z mieczem na kolanach, jakby przyzywał kłopoty - noszenie odkrytej broni było w mieście zakazane. Gładził kciukiem skórzaną pochwę i spoglądał czujnie spod kaptura. Dmuchnęła bryza od morza, gdzieś z prawej strony. Jesienne liście, suche i delikatne, szeleściły wokół, spadając z drzew, których nie widział. Mgła przemieszczała się, tworząc czyste przestrzenie, ale nadal się nie unosiła.

Zegar uderzył znowu. Ash wstał powoli.

- Nico! - zawołał.

Głos był przytłumiony, zagubiony w osłonie mgły.

Przy jego nogach zawirowały liście. Starzec zwiesił głowę.

- Opowiedz dokładnie, co się stało. - Baracha wyraźnie tracił cierpliwość.

Przez kilka chwil Ash milczał.

Głazy, na których siedzieli, były śliskie od wilgoci, przez co przypominały czarne skały wulkaniczne. Tu i tam w zagłębieniach tworzyły się maleńkie jeziora mętnej wody, odbijające światło przedwieczornego zmierzchu, a od czasu do czasu wypuszczające wąskie strumyczki, kończące się powolnym, monotonnym kapaniem. W pobliżu jakaś mewa bez przekonania dziobała martwego kraba.



- Ukryłem go i próbowałem pociągnąć ich za sobą. To był błąd.
- Tak myślisz? - rzucił sarkastycznie Baracha.
- Tato! - wtrąciła surowo Serēse.

Ash przyglądał się drobnym falom, uderzającym o kamień pod jego stopami. Gdzieś dalej było morze, schowane teraz i milczące, jeśli nie liczyć plusku fal na obrzeżach.

Aléas spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko chrapliwy skrzek.

Spróbował jeszcze raz.

- To przecież nie jest wina mistrza Asha. Prawdziwy cud, że sam zdołał się wyrwać. - Baracha rzucił uczniowi gniewne spojrzenie, lecz Aléas mówił dalej: - Przecież i nas by schwytali, gdyby nie bystre oczy Serēse.

Jako pierwszy powiedział głośno o tym, co spotkało Nica, o czym wszyscy wiedzieli: został schwytany.

- A co się działo z wami? - zapytał Ash, odrywając wzrok od fal.

- Kiedy Serēse wracała do hostalio, zauważyła, że jesteśmy obserwowani, więc wysliznęliśmy się, zanim zdążyli uderzyć. Gdyby nie to... - Nim dokończył, spojrzał mistrzowi prosto w oczy. - Bylibyśmy jak ryby w saku.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Ale nie było to swobodne milczenie między przyjaciółmi; siedzieli raczej jakby odizolowani od siebie, otuleni własnymi zmartwieniami.

Fale pluskały na brzegu. Z tyłu dobiegał pomruk miasta, przytłumiony i niewyraźny.

Baracha przyjrzał się siedzącemu na głazie wędrowcowi.

- Zastanawiasz się nad czymś. Mów.
- Rankiem powinniśmy przystąpić do realizacji planu.
- Powinniśmy? Niewiele czasu zostawia nam to na przygotowania.
- Te mgły trwają zwykle kilka dni. Jutro powinno to wyglądać tak jak dzisiaj. Potem... kto może wiedzieć?

Baracha pogładził brodę. Krople wody ściekały z nierównych kosmyków.

- Plan? - zdziwiła się Serēse. - Jaki plan?
- Poczyłem pewne kroki - odparł Ash - dzięki którym może uda się nam wejść do Wieży.

- Ale co z Nikiem? - spytała niespokojnie. - Mamy go zwyczajnie zostawić w ich rękach?

Słodka Erēs, pomyślcie, co on przechodzi, kiedy my tu smętnie siedzimy i się kłócimy!

Ash odpowiedział łagodnie:

- Zdaję sobie sprawę z tego, co go czeka, Serēse. Nie porzucimy go. W tej chwili z pewnością trzymają go w Wieży Szeptów, gdyż Regulatorzy mają w niej swoją siedzibę.

Zatem, jeśli chcemy ratować Nica, i tak musimy tam wejść.

- Ratować go? - Baracha wstał. - Niczego takiego nie zrobimy. Ten chłopak jest dla nas stracony i wszyscy o tym wiemy. Nie możemy narażać życia w takich szaleńczych akcjach.

Jeśli wędzemy się do świątyni, to żeby zlikwidować Kirkusa. To jest nasza misja, nic więcej.

- I pozostaniemy wierni naszej misji. Ale zanim skończymy w Kirkusem, powie nam, gdzie znajdziemy Nica. Ty możesz wtedy robić, co zechcesz. Ja pójdę i odszukam swojego ucznia.

- Ja również - oznajmił Aléas.

- Zrobisz, co ci powiem, mój chłopcze - warknął Alhazii. - Jak tylko wykonamy zadanie, odejdziesz stąd razem ze mną. Jeśli będziesz nadal żywy, to już będzie cudem i nie mam ochoty bardziej cię narażać. - Jego szczerłość trochę oszołomiła Aléasa. - A ty, moja córko, taka ożywiona i energiczna, wiem, co planujesz, ale od razu ci powiem, że nie pójdziesz z nami. Ciebie nie będę narażał w ogóle.

- Nie możesz mnie powstrzymać, ojciec.

Baracha zbliżył się do niej o krok, zaciskając wielkie pięści. Opanował się jednak, choć z wysiłkiem.

- Mogę cię powstrzymać - oświadczył i nikt w to nie wątpił.

Serēse poderwała się i także zacisnęła pięści. Spojrzała gniewnie na ojca.

- Gdyby chodziło o twojego ucznia, tato, nie próbowałbyś go ratować?

- Być może - przyznał, unikając wzroku Aléasa. - Gdyby istniała jakakolwiek szansa powodzenia. Ale odkąd jestem niby coś winien temu chłopcu? Ash powinien lepiej go pilnować. To przecież nie moja wina, że wpadł w ich ręce.

Serēse odwróciła się z niesmakiem.

- On ma rację, Serēse. - Ash uniósł dłoń. - Nie możesz iść z nami. Potrzebujemy kogoś, kto zostanie na zewnątrz, kto zadba o naszą ucieczkę. Wejść do środka to jedno, ale twój ojciec mówi szczerą prawdę. To będzie prawdziwy cud, jeśli którykolwiek z nas przeżyje. Ale jeśli się uda, żeby się wydostać, musimy mieć jeszcze kogoś. A ty będziesz nam potrzebna najbardziej.

Te słowa trochę ją uspokoiły. Znowu usiadła na głazie.

- Musimy działać szybko, jeśli mamy zdobyć wszystko, co potrzebne - stwierdził Ash. - Obawiam się, że zużyjemy większość naszych funduszy.

Serēse wpatrywała się w twarz starca.

- Naprawdę sądzisz, że zdołasz go uratować?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Baracha splunął na kamyki między nimi.

- Nie robimy tego, żeby ratować chłopaka! Czy wbijecie sobie to w końcu do waszych zakutych łbów? Z tego, co wiemy, on może już nie żyć.

Znowu odwrócili się od siebie. Ash spoglądał w stronę morza i studiował je nie wzrokiem, ale uszami. Baracha podniósł jakiś kamyk i rzucił w pobliską skałę.

Trzepot skrzydeł zwrócił uwagę Asha. Obejrzał się szybko i zdążył jeszcze pochwycić powidok przestraszonego ptaka, który odleciał. Widział przede wszystkim pustkę, przestrzeń, którą ptak przed chwilą zajmował.

Uniósł głowę i zobaczył białą mewę, żeglującą w biel.

Uśmiech pojawił się na jego twarzy. Zrzucił kaptur i odetchnął głęboko.

- On żyje - oznajmił.

Baracha zmarszczył brwi. Aléas i Serēse spojrzeli na Asha wyczekująco.

- Skąd możesz wiedzieć? - spytał Baracha.

- Intuicja - odparł Ash. - Chłopak żyje. I potrzebuje nas.

Nico nie miał pojęcia, gdzie się znalazł.

Po schwytaniu skuli go w przegubach i naciągnęli worek na głowę. Było to przerażające doświadczenie - ciemność przed oczami, ciężkie

płótno przyciśnięte do twarzy... Dyszał ciężko i z trudem chwycił oddech, a szorstkie ręce wbijały palce w jego ciało, ciągnęły i popychały w tę czy tamtą stronę - uderzenia, krzyki, dezorientacja. Wokół niego rozbrzmiewały podniecone głosy. Wysłano jeźdźca z wiadomością, że udało się schwycić Rōshuna; stukot kopyt ucichł w głębi niewidocznej ulicy. Nica wrzucili do powozu; smród jego własnego ubrania odbierał oddech, gdy podskakiwał na nierównym bruku. Przejechali po moście albo innej drewnianej konstrukcji. Żelazne obręcze kół przetoczyły się po deskach, po czym powóz stanął i czekał, aż otworzą się ciężkie wrota; przejechali przez kamienną bramę i zatrzymali się znowu. Potem jacyś ludzie wyciągnęli Nica i pchnęli go po kamiennej posadzce, kilka stopni w górę i przez następne drzwi.

Stanął w jakimś pomieszczeniu. Wiedział, że jest duże dzięki echem, które słyszał przez worek. Jakaś kobieta krzyczała w sporej odległości, a jej tyradę zakończyło głośnie brzęknięcie.

Zapach dymu hazii wypełnił powietrze. Ludzie rozmawiali cicho po lewej stronie.

- Klucze - zażądał Regulator obok Nica.

- Potrzebny mi kontrakt, jeśli nadal go masz. - To inny męski głos, nowy, nieco zdyszany, jakby należał do nałogowego palacza.

W pobliżu ucha Nica zaszeleścił rozwijany papier.

- Złowiłeś tylko jednego, co?

- To o jednego więcej, niż tobie się udało przez cały czas, Malsh - zakpiła kobieta-Regulator.

Palacz parsknął jak kot, który zakrztusił się kłębkami sierści. Podeszedł do więźnia. Nico usłyszał metaliczny zgrzyt rozwieranych nożyc, a potem ktoś zaczął rozcinać i zdierać z niego ubranie.

- Potrzebne mi też imię, do dokumentów.

Głos kobiety zabrzmiał złowieszczo.

- Zaraz będzie - rzuciła.

Nica poprowadzono nagiego - i ciągle z workiem na głowie - przez szereg żelaznych drzwi, które kolejno otwierały się przed nim i zamykały po przejściu, a za każdym razem dzwonił obok pęk kluczy. Kamienie pod bosymi stopami były szorstkie.

Jakiś człowiek mówił głośnie wprost przed nimi, a jego głos

rozbrzmiewał echem w wąskim korytarzu. Recytował wiersz w języku, który w połowie był handlowym, a w połowie czymś innym. Kiedy Nica prowadzono naprzód, głos się zbliżał, aż mówiący znalazł się tuż obok, a potem już cichł za plecami - o wiele szybciej niż powinien.

Korytarz stopniowo wygiął się w prawą stronę. Wkrótce potem zaczął też prowadzić w dół, tak że Nico zachwiał się kilka razy i niemal upadł, gdy jego stopa trafiła w pustkę.

Zachrzęściły buty Regulatorów. Zatrzymali się i obrócili Nica w bok. Zgrzyt zawiasów otwieranych żelaznych drzwi brzmiał jak paniczny krzyk młodej dziewczyny.

Wepchnęli Nica do środka - machał przed sobą skutymi rękami. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, zmieniając akustykę ograniczonej przestrzeni.

Z początku myślał, że jest sam, ale po chwili usłyszał szuranie buta, a potem następne, z innego kierunku. Wyczuł dwójkę Regulatorów, którzy oddychali po obu stronach.

- Połóż się na ziemi - rozkazał mężczyzna.

- Co?

- Połóż się na ziemi - powtórzyła kobieta.

Nico dygotał. Choć to absurdalne, słyszał, jak szczękają mu zęby.

Kolana ugięły się pod nim, a po chwili już leżał, z podbródkiem opartym o kamień, z żebrami mocno uciskanymi przez twardą powierzchnię.

Usłyszał skrzypienie skóry, kiedy ktoś zgiął i rozprostował palce. Ten odgłos powtórzył się czterokrotnie.

Pierwszy kopniak wystarczył, żeby uwolnić zawartość pęcherza. Ciało skuliło się w sobie; nabrał powietrza, czując szok białego bólu.

- Już się posikał - zauważyła kobieta.

I wtedy wzięli się do niego na poważnie.

Nico próbował się odczołgać, uciec przed ciosami. Słyszał własny głos, jak wrzeszczał, żeby przestali. W tej chwili powiedziałyby im wszystko, gdyż nie znajdował w sobie żadnej odwagi - zdarto z niego nie tylko ubranie, ale też godność i wolę.

Ale o nic go nie pytali. Na zmianę deptali mu po nogach, uderzali jego głową o kamienie albo kopali go w żebra. Robili to bez

szczególnych emocji, powoli i metodycznie, jakby była to dla nich zwykła, codzienna praca, którą chcieli uczciwie wykonać.

Był pewien, że w końcu go zabiją. Ale kiedy w głowie już mu wirowało i zaczęła ją wypełniać czarna mgła, drzwi otworzyły się ze zgrzytem i ciosy ustały niespodziewanie.

- Świętobliwa matrono... - wysapał mężczyzna, wyraźnie zaskoczony.

Kroki, szelest szaty...

- Chcę na niego popatrzeć - zażądał inny kobiecy głos.

Zdjęli mu z głowy worek. Nico oddychał ciężko i mrużył oczy od blasku pojedynczej latarni na podłodze.

Jedno spuchnięte oko otworzył szerzej, by spojrzeć na nowo przybyłych. Para Regulatorów kłaniała się nisko wysokiej kobiecie w średnim wieku. Nosiła dobrze Nicowi znaną białą szatę zakonu Mann. Obok niej stał jakiś młody człowiek, jeszcze wyższy, szczupły i atletycznie zbudowany, także w białych szatach.

- Podaliście mu już myślamon? - spytała matrona.

Oboje spojrzeli na Nica, który leżał pokrwawiony na kamieniach.

- Nie, chcieliśmy go najpierw zmiękczyć.

- Dobrze. Teraz możecie mu podać.

Szybko wydano polecenie komuś czekającemu za drzwiami celi. Pojawił się stary kapłan ze zwitkiem papieru w dłoni. Ukłąkł obok Nica i delikatnie uniósł jego głowę, aż Nico popatrzył mu prosto w oczy. Może to uzdrowiciel, pomyślał.

Starzec rozwinął papier i dmuchnął na niego, a wtedy obłok drobnego białego pyłu opadł Nicowi prosto na twarz.

Zakaszłał i roztarł piekące oczy. A potem pochwyciło go znużenie i wyciągnął się na kamieniach. Myśli zaczęły pływać w gęstej mgle, jakby zaraz miał zasnąć. Z rzadka na powierzchnię wynurzały się sny, ale zaraz znikwały bez śladu.

Potem doświadczał tylko fragmentów zdarzeń.

Zostawcie nas, polecił kobiecy głos.

- Matrono? - zdziwił się inny.

- Porozmawiam z nim.

- Jak sobie życzysz.

Nico szedł wąską górską ścieżką. Kozy skubały rzadką trawę

powyżej i obserwowały go kątem oka, gdy je mijał.

- Bee! - zawołał, żeby dać im sygnał, że dostrzega ich uwagę.
- Dlaczego wydaje takie dźwięki?
- To przez myślamon. Jest częściowo we śnie.

Nico był spragniony, ale wyczuwał przed sobą wodę.

Dotarł do wierzchołka i spojrział w dół, w głąb wąwozu - rzeka przelewała się po kamieniach w dole.

Uśmiechnął się.

- Chłopcze - odezwał się głos z wysoka.

Nico spojrział w twarz kobiety. Była to całkiem zwykła twarz, ale widoczne za nią emocje czyniły ją brzydką. Budziła skojarzenie z ptakiem, czymś czarnym i groźnym.

Zadawała mu pytania, a on odpowiadał... Mówił o swoim mistrzu, o mieście, i co tam robili. Młody mężczyzna stał obok i przyglądał mu się, a w miarę upływu czasu miał coraz groźniejszą minę. Odsłaniał zęby jak wilk szykujący się do ataku.

Kobieta patrzyła oczami twardymi jak szkło, bez mrugnięcia. Miał wrażenie, że jeśli będzie mówił, może przestanie go przeszywać tym żarłocznym wzrokiem. Nico chciał się przed nim schować. Chciał wrócić do osobistej przestrzeni. Opowiadał o Cheem i o klasztorze w tamtejszych górach - w opowieści wystąpili Aléas, Baracha i Oshō. Mówił o wiekowym Wrózu w jego chacie, i jak być może drapał się z powodu pcheł, ale za to potrafił robić rzeczy, których Nico nie rozumiał.

- Przestań gadać - rozkazała kobieta, ujmując jego twarz w swoje szpony.

Znowu spytała go o mistrza. Nico opowiedział jej o Wieży Szeptów i o tym, jak rozważali różne sposoby, by dostać się do środka, odnaleźć Kirkusa i go zabić.

Wtedy się na niego rozgniewała, choć nie rozumiał dlaczego. Może zapomniał o swoich obowiązkach? A może znowu pokłócił się z Losem?

Mocno ścisnęła jego twarz i wstała.

- Może twoja babka miała rację - zwróciła się do młodego człowieka obok. - Jeśli w taki sposób szkolą teraz Rōshunów, to nie ma się czego obawiać.

Pochyliła się nad Nikiem. Kropla śliny pojawiła się między jej rubinowymi wargami.

Wydłużyła się, spadła i plasnęła o jego zamknięte oko.

- Przyszedłeś zamordować mojego syna, mały Rōshunie. I powiem ci teraz, że twoi przyjaciele wkrótce będą martwi, twój zakon zniszczony, a ty... - Trąciła go nogą, a Nico skulił się odruchowo. Ty posłużysz jako przykład.

Młody człowiek oddychał ciężko. Chciał rozedrzeć Nica na kawałki.

- Sam go wykończę, od razu - warknął.

- Nie. Możesz się z nim trochę zabawić, ale ma być żywy. Jutro znowu odbędą się igrzyska. Tam go pošlemy. Słyszysz, szczeniaku? - Znowu szturchnęła chłopca stopą. - Trafisz do Shay Madi, gdzie spotkasz śmierć na oczach tłumów. Mogą się przekonać, jak waleczni są naprawdę Rōshuni, jak bardzo powinniśmy się przed nimi trząść.

Odwróciła się i wyszła; szata wzdymała się za nią.

Młody człowiek uśmiechnął się, ukazując ostre zęby. Nadepnął na dłoń Nica tak mocno, że coś strzeliło.

Nico wrzasnął.



## ROZDZIAŁ 25

### Brawura głupców



Ze Świątyni Szeptów wychodziła procesja. Była to procesja królewska, o czym świadczyły jej liczebność i wspaniałość, oraz proporce, jakie niesiono - wśród nich czarnego kruka na białym tle, flagę samej matrony. Ash, Baracha i Aléas przyglądali się z dachu pobliskiego budynku, jak pochód przekracza most nad fosą i wije się na zachód, gdzie dzisiaj miały się odbyć igrzyska w Shay Madi.

Po ulicach pędziły setki wiernych w czerwonych szatach, by zobaczyć niespodziewany przejazd świątobliwych; wrzeszczeli przy tym, jakby całkiem postradali zmysły. Kolumny akolitów pojawiały się i znikały we mgle jak duchy; czasami wysyłali na boki niewielkie oddziały, by powstrzymać napór wiernych. Lektyki niesione przez dziesiątki niewolników kołysały się nad tłumem i przesuwwały jedna po drugiej; ich pasażerów skrywały ciężkie haftowane zasłony. Pomniejsi kapłani walili w bębny, kręcili się gorączkowo albo okładali swoje nagie plecy gałęziami kolczastych krzaków. Aléas obserwował tłum i liczył przechodzących ludzi.

- Może nam to pomoże - rzekł z napięciem Baracha. - Tak wielu ich wyszło ze Świątyni.

Ash odpowiedział wzruszeniem ramion. Wyprostował się i zaczął układać przedmioty ze swojej płóciennej torby, która leżała otwarta na betonowym dachu. Dzisiaj ubrał się na wendetę jak wszyscy: miał

na sobie wzmocnione buty, jasnobrązowe, pogrubione na kolanach skórzane nogawice, mocny pas, luźną tunikę bez rękawów i naramienniki. Na to narzucił ciężką białą szatę, sięgającą aż do ziemi. Baracha miał na sobie podobną. Stali teraz naprzeciw siebie i prostowali ręce, sprawdzając, jak się czują w nowych kostiumach.

- Szttywne - burknął Ash.

- Jakbyś włożył worek - zgodził się Baracha.

Kapłańskie szaty musiały im wystarczyć. Łatwiej było je skopiować niż kostiumy akolitów, noszących pancerze.

Aléas także wyciągnął z torby szatę i zaczął ją wkładać przez głowę.

- Nie - powstrzymał go Baracha. - Jeszcze nie.

Uniósł uprząż z grubej skóry i narzucił Aléasowi na ramiona tak, że pasy krzyżowały mu się na piersi. Potem on i Ash zaczęli doczepiać do niej rozmaite narzędzia, jakie zdołali nabyć w nocy u czarnorynkowych kupców, których znali w mieście. Wśród nich był zestaw noży do rzucania - dla zmniejszenia ciężaru miały otwory w klingach; poza tym mały łom, składana kotwiczka i szpony do wspinaczki, mieszki ze sproszkowaną korą kłoszowca zmieszaną z nasionami barris, a obok torebki prochu błyskowego topór z dokręcanym przedłużeniem drzewca, bełty do kuszy, dwa woreczki kolców, apteczka, zwój liny z węzłami, skórzana manierka z wodą, uszczelnione smołą dwie małe beczułki czarnego prochu - trudniejsze do zdobycia i kosztowniejsze niż wszystko inne razem wzięte. Cały ten sprzęt był absurdalnie ciężki i wkrótce Aléas odkrył, że uginają się pod nim nogi.

- Będziesz nam służył za jucznego muła - wyjaśnił jego mistrz. - To znaczy, że trzymasz się blisko nas, cokolwiek by się działo, a kiedy cię o coś poprosimy, szybko nam to podajesz.

Uniósł małą dwustrzałową kuszę i wcisnął ją uczniowi do rąk.

- A jeśli nie podajesz, to lepiej, żebyś akurat do kogoś strzelał.

Aléas szarpnął głową, próbując przytaknąć. Rosło w nim napięcie.

Ash pomógł mu naciągnąć szatę na ten dodatkowy ładunek.

- Wyglądasz jak gruby babsztyl w ciąży - stwierdził, klepiąc chłopaka po ramieniu.

Aléas zmarszczył brwi i poczłapał dookoła, wykonując przesadne

ruchy. Z ich min wnioskował, że nie stanowi pięknego widoku.

Zegar w świątyni wybił ósmą rano.

- Twoja armia się spóźnia - zauważył Baracha.

- Nie trać wiary. Wkrótce przybędzie.

Ash wrócił do parapetu. Postawił na nim stopę, wsparł ręce na kolanie i patrzył, jak mijają ich ostatnie szeregi procesji. Potem skierował wzrok na wieżę i przez chwilę się jej przyglądał.

Znajdowali się w najbezpieczniejszym punkcie obserwacyjnym, jaki znaleźli w pobliżu - na wysokim dachu kasyna przy ulicy biegnącej wzdłuż brzegu fosy. Kasyno rankiem wciąż było czynne, jeśli światło i dźwięki dobiegające z nielicznych otwartych okien mogły być jakąś wskazówką. Aléas przestąpił z nogi na nogę - nie chciał siadać w obawie, że bez pomocy nie potrafi się podnieść. Stał obok Asha przy parapecie, zerknął na wieżę, a potem spojrzął na miasto, z którego we mgle widoczne były tylko niewyraźne kontury budynków.

Mogę dzisiaj zginąć, powtarzał sobie w myślach, jakby w oderwaniu od znaczenia tych słów.

Miał wrażenie, że coś pali go w żołądku.

Za sobą słyszał, jak mistrz recytuje poranną modlitwę. Aléas, nie patrząc, wiedział, że Baracha klęczy ze skrzyżowanymi na piersi rękami, kierując twarz ku bladej poświacie słońca. Dzisiaj w modlitwie prosi pewnie o odwagę, o błogosławieństwo prawdziwego proroka Zabrihma.

Ash także uklęknął na płaskim dachu i przyjął pozycję medytacyjną.

- Chodź - zwrócił się do Aléasa. - Przyłącz się do mnie.

Czemu nie, pomyślał chłopak. Choć obładowany, zdołał uklęknąć obok Asha i po chwili oddychał już głęboko, szukając uspokojenia. Wiedział, że nie przyjdzie mu to z łatwością, gdyż był pobudzony, pełen napięcia. Właśnie w takich chwilach najbardziej żałował, że nie potrafi szczerze uwierzyć w moc modlitwy, jak Baracha. Dlatego ograniczył się do osobistej litanii, do własnego wołania o sens.

Robię to dla przyjaciela, myślał. Ponieważ zasługuje na moją lojalność, ponieważ jestem zrodzony z Mannu i muszę odpokutować za czyny moich rodaków. Jeśli zginę, zginę w słusznej sprawie.

Jeśli zginę...

Kroki z przeciwnego końca dachu...

- Twoja armia - stwierdził ironicznie Baracha i wstał.

Aléas się obejrzał. Jakiś człowiek wynurzył się z mgły i wytrzeszczył oczy, widząc ich przebrania.

- Więc naprawdę chcecie to zrobić, szaleńcy?

- Spóźniłeś się - zauważył Baracha.

Mężczyzna zdjął z głowy wystrzępiony cylinder.

- Błagam o wybaczenie - powiedział i skłonił się tak nisko, że kapelusz w dłoni niemal dotknął betonowej powierzchni dachu. - Wskazówki, jakich udzieliła mi wasza dziewczyna, były dosyć skąpe, ale jakoś dotarłem i mam to, czego wam trzeba.

Kiedy wszyscy trzej stanęli przed nim, Aléas czuł unoszący się wokół przybysza fetor - mimo że dzieliło ich kilka kroków Rzednące włosy mężczyzny zwisały w tłustych, przysypanych łupieżem kosmykach, chude ciało garbiło się brzydko pod brudnym płaszczem.

Kiedy się drapał, ukazywał półksiężyc brudu za paznokciami. Gdy się uśmiechał, jego zęby przypominały brązowe pieńki.

Mężczyzna odetchnął chrapliwie i wyjął coś z głębokiej kieszeni płaszcza - szczura trzymanego za ogon. Zwierzak próbował się wyrwać; był całkiem biały i miał różowe oczka.

Z drugiej kieszeni mężczyzna wyjął zwinięty kawałek papieru. Rozłożył go jedną ręką, odsłaniając odrobinę białego proszku. Dmuchnął nim szczurowi w pyszczek. Zwierzak zmarszczył nos i wydał taki odgłos, jakby miał kichnąć.

Aléas patrzył zafascynowany, jak mężczyzna zaczyna kołysać szczurem, który wciąż się szarpał. W pewnej chwili machnął mocniej, tak że szczur poszybował wysokim łukiem, prosto w otwarte usta. Mężczyzna zamknął je i tylko różowy ogon dyndał mu spomiędzy warg.

Spojrzał kolejno na twarze trójki Rōshunów. Byli zaszokowani - oprócz Asha, który wiedział, czego się spodziewać.

Mężczyzna uklęknął i oparł się na łokciach; głowę opuścił tak nisko, że brodą dotykał niemal dachu. Wtedy szarpnął za ogon i wyciągnął z ust białego szczura. Zwierzak nieruchomo leżał na betonie; zdawało się że jest martwy.

Nieznajomy dmuchnął mu w pyszczek. Szczur poruszył się, drgnęły wąsiki, uchyliły się powieki. Przetoczył się na bok i jak zahipnotyzowany patrzył na człowieka, który chwycił go w obie dłonie i wstał. Potem stawał kolejno przed Rōshunami i ścisnął zwierzę tak, że tryskało na ich ubrania stróżką uryny. Ostry zapach moczu wypełnił Aléasowi nozdrza.

Z innej kieszeni mężczyzna wyjął płócienny worek, wrzucił do niego szczura, bardzo starannie wyrwał sobie z głowy jeden włos i zawiązał nim wylot. Szczur zaczął się wyrywać; cienkie płótno nie wydawało się dość mocne.

- Trzymaj - powiedział, wręczając Ashowi szarpiący się worek.

Ash spojrział tylko i ruchem głowy wskazał Barachę. Mężczyzna podszedł do Alhazii.

Baracha także nie zdradzał entuzjazmu.

- Chłopak może to wziąć - zdecydował.

I tak Aléas został obciążony dodatkowym ładunkiem - tym razem był to worek z wyrywającym się szczurem.

- On jest królem pośród szczurów - wyjaśnił mężczyzna. - Przybiegną po niego, kiedy zawoła.

- A kiedy to nastąpi?

- Już nastąpiło.

Aléas się rozejrzył. Nie widział niczego, w szczególności żadnych szczurów.

- Wielkie dzięki - rzucił szorstko Ash i wręczył mężczyźnie sakiewkę z pieniędzmi.

Mężczyzna skłonił się znowu, choć tym razem nie tak nisko. Wcisnął kapelusz na głowę i stuknął w niego.

- Życzyłbym wam szczęścia, ale ostatnio wydaje się, że to rzadki towar. Poza tym szkoda go marnować na głupców. A zatem żegnaj, Ash. Oby twój koniec był chwalebny.

Udzieliwszy tego błogosławieństwa, odwrócił się i począpał w mgłę.

- Kiedy mówiłem, że potrzebna będzie armia - mruczał Baracha, kiedy przeszli przez ulicę i zbliżyli się do mostu - to w sensie dosłownym. Ludzi przede wszystkim. Uzbrojonych ludzi. Pancerzy. Dyscypliny.

Kątem oka dostrzegł jakieś kształty, wynurzające się i znikające we mgle - to nadchodziły szczury.

- Szczury będą lepsze - zapewnił Ash.

Rōshuni zatrzymali się przed niską wartownią, zagradzającą im drogę na most. Na ich spotkanie wyszedł zamaskowany akolita z dłonią wspartą na rękojeści miecza. Zaczął coś mówić, ale urwał nagle, kiedy Ash wbił mu nóż pod żebro, sięgając ostrzem do płuc.

Wyrwał klingę; powietrze ze świstem ulatywało z rany. Akolita zwalił się na bok, dysząc pod maską niczym ryba wyjęta z wody.

Baracha przestąpił nad nim, a po chwili z wartowni dobiegły odgłosy krótkiego starcia.

Wyszedł stamtąd z posępną miną i wszyscy wkroczyli na most.

Aléas wciąż niósł w ręku torbę, teraz wiszącą nieruchomo - król szczurów przestał się szarpać. Za plecami chłopiec widział sunącą za nimi bezkształtną masę. Wieża wyrastała nad głowami, a ukryte oczy obserwowały ich z wnętrza. W dolnych poziomach umieszczono strzelnice - w występach muru, by łucznicy mogli strzelać pionowo w dół. Aléas starał się iść normalnym krokiem, w swojej szacie, ze swoim brzemieniem.

Zatrzymali się u podstawy wieży, przed żelaznymi wrotami. Na poziomie pasa otworzyła się klapka, odsłaniając czerń.

Aléas podszedł bliżej, zgodnie z instrukcją. Szarpnął worek, bez trudu zrywając włos, i wrzucił szczura przez otwór we wrotach.

Niemal natychmiast inne szczury wybiegły z mgły i rzuciły się do bramy. Trzech Rōshunów odskoczyło na boki, odtrącając od nóg rojące się gryzonie. Przy wrotach szczury utworzyły stos, niczym zeschnięte liście, tak wysoki, że następne mogły się przecisnąć przez otwartą klapkę.

- Dym - rozkazał Ash, wyciągając rękę.

Aléas wyszukał pod szatą jedną z torebek wypełnionych korą kloszowca i nasionami barris.

W środku rozległy się krzyki. Uderzył dzwon alarmowy.

Wędrowiec pochylił się i zapałką podpalił lont, po czym rzucił torebkę na ziemię, gdzie natychmiast zaczęła wypuszczać chmury białego dymu, wzmacniające naturalną osłonę mgły.

Bełt roztrzaskał się u stóp Aléasa, który bez namysłu uniósł

podwójną kuszę, wymierzył w otwór jakieś siedem metrów nad sobą i strzelił. Z innej strzelnicy wyfrunął kłęb dymu i ołowiany pocisk, widoczny tylko w chwili, gdy krwawo i błyskawicznie przeleciał przez lewe ucho Barachy.

- Aléas! - krzyknął Alhazii.

Aléas odwrócił się i strzelił znowu.

Tymczasem Ash i Baracha zajęli się jedną z beczulek czarnego prochu, które miał umocowane pod szatą. Baracha nie zwracał uwagi na wystrzępione ucho, z którego ciekła krew.

- Wiązesz supły jak moja matka - narzekał, zwracając się do Asha.

Obaj starali się odwiązać beczulkę. Padły kolejne wystrzały. Hałas ogłuszał, pociski wyrywały spod ich stóp kawałki drewna.

Wreszcie im się udało. Aléas naciągnął kuszę i skulił się obok bramy. Wiedział, że wkrótce zostaną trafieni, mimo dymu. Ale z otworów strzelniczych rozległy się wrzaski przerażonych strażników - dotarły do nich szczury.

Ponad hukiem wystrzałów usłyszał szorstki głos swojego mistrza:

- Będzie potrzeba więcej! Musimy użyć obu! Ash jednak nie słuchał. Ustawił beczulkę przy bramie, zamoczył lont w wodzie i odbiegł.

- Kryć się! - huknął Baracha i wszyscy trzej zeskoczyli po obu stronach mostu na jego betonowy fundament.

Lont był krótki, ale zdawało się, że czekają całą wieczność, nim woda przesączy się do środka. Beczulki prochu zrobione były z jednego kawałka drewna, a u góry miały otwór wielkości palca, wypełniony na wpół stwardniałą smołą. Sterczał z niego lont, a kiedy zassał wodę do wnętrza, proch zapalał się od kontaktu z wilgocią.

Eksplodował nagle. Ogłuszająca fala dźwięku przesunęła się nad nimi, a za nią kłęb cuchnącego dymu oraz szczątki drewna i szczurów, które jak krótka ulewa spadły do fosy.

Kaszląc, wysunęli głowy nad krawędź mostu. Wrota stały nadal.

Baracha z krzykiem wskoczył na most i zamachał rękami na bramę. Pocisk przeleciał mu obok głowy, ale on nawet nie drgnął. Wyprostował się tylko i marszcząc brwi, spojrzął w górę.

Ash także wyskoczył zza osłony i pomógł Aléasowi wspiąć się na

zniszczonej powierzchni. Chłopcu wciąż dzwoniło w uszach. Wśród kłębow dymu zauważył, że deski mostu zostały zdmuchnięte, pozostał tylko betonowy fundament, odsłonięty teraz i poczerniały. Wrota także poczerniały i wygięły się mocno, ale nadal stały. Przed nimi zaś Ash gładził pochwę swojego miecza. Obejrzał się na Aléasa, unosząc brew, i chłopak schylił się, by napiąć kuszę. Padły strzały; jeden z nich zdarł skórę z ramienia Barachy, odbił się od betonu i przemknął obok prawego kolana Aléasa.

- Na wszystko co święte! - zawołał wściekły Baracha. - Może chociaż raz byś wycelował w kogoś innego?

Wyrwał Aléasowi kuszę i strzelił dwukrotnie do otworu, przy którym ciągle unosił się obłok dymu. Ktoś wrzasnął z bólu. Baracha rzucił broń uczniowi.

- Co teraz? - zwrócił się do Asha. - Mówiłem, że trzeba użyć obu beczułek.

Ash uniósł palec do warg, by uciszyć potężnego mężczyznę. Przeszedł przez rzednący powoli dym i położył dłoń na mniejszych drzwiczkach, wbudowanych w skrzydło wrót - były teraz wygięte i nieco uchylone. Pochylił się do przodu i nacisnął mocno.

Drzwi wpadły do wnętrza. Brzęknęły o ziemię i chyba wcale się nie odbiły. Po drugiej stronie czekały tylko dym i ciemność.

Obaj Rōshuni wskoczyli do wnętrza. Za nimi włókł się Aléas ze swoim bagażem. Jakiś akolita wił się na ziemi pod warstwą szczurów - ominęli go, nie patrząc.

Szeroki korytarz ze strzelnicami po obu stronach. I kolejna brama na końcu - tym razem jednak szeroko otwarta.

Dalej trafili do obszernej, jaskrawo oświetlonej lampami komory, gdzie stało kilka uwiązanych do słupów wierzchowych zeli oraz kilka pustych wozów. Wzdłuż ścian stały koryta z wodą, a niedaleko znajdowała się stajnia, jeśli zapach dobrze wskazywał. Prowadziło stąd kilka korytarzy, a Rōshuni wybrali ten na wprost. Ash prowadził, Aléas zamykał tyły.

Korytarz trafiał do dolnego sanktuarium Świątyni Szeptów - największej otwartej przestrzeni w wieży. Ściany miały tu kolor nagiego ciała, a na końcu wznosił się ołtarz ofiarny z białego kamienia, w kałużę przyćmionego gazowego światła. Wzdłuż



sanktuarium biegły dwa rzędy kolumn z różowego marmuru, które znikwały w mroku pod wysokim łukowym sklepieniem. Strop pokrywały mannijskie fryzy - obrazy, które odbijały chaos w dole.

Chaos wywołany był paniką, desperackimi próbami ucieczki przed lawiną rozjuszonych gryzoni, atakujących teraz wszystko, co się ruszało. Akolici biegali, jakby ich szaty stały w ogniu, każdy okryty warstwą falującego futra. Niektórzy przetaczali się po posadzce, by zmiażdżyć atakujące zwierzaki. Tylko Rōshuni stali nietknięci wśród zamętu.

- Nie spodziewałem, się, że będzie tak łatwo - mruknął Baracha, choć tylko Alhazii mógł powiedzieć coś takiego ze zwisającym w strzępach uchem.

Szczury utorowały im drogę i mogli spokojnie przejść w głąb. W czterech rogach hali umieszczono zabudowane spiralne schody; trzy z nich prowadziły w górę, ale te najbliższe, po lewej stronie - w dół. Rōshuni zatrzymali się przy nich, spoglądając w mrok.

- Kwatery niewolników - domyślił się Ash.

- Skąd wiesz?

- Ten smród...

Ruszyli dalej w głąb sanktuarium. Drogę zagrodziła im płytka sadzawka, przecinająca całą podłogę i oddzielająca pozostałą część świątyni od ołtarza.

Zatrzymali się tu na naradę.

- Myślicie, że Kirkus wciąż jest w Komorze Burz? - spytał Baracha, gdy jakiś akolita przebiegł obok nich i zanurkował do wody. Zignorowali go.

- Nie mamy wyboru. Musimy zakładać, że tak.

- Powinna tu być klatka wjazdowa - stwierdził Baracha. - Wszystkie te wieże je mają.

Widzicie ją gdzieś?

- Tam. - Aléas wskazał drzwi, ledwie widoczne w ścianie za ołtarzem.

- A więc spróbujemy klatki - zdecydował Baracha. - Nigdy nam się nie uda, jeśli będziemy musieli walczyć o przejście na każdym poziomie, aż do szczytu.

- Zgoda!

Ash wkroczył na wąski mostek spinający brzegi sadzawki; nawet teraz trzymał miecz w pochwie. Baracha zeskoczył do wody i przeszedł na drugą stronę. Aléas wybrał mostek.

Podwójne drzwi do klatki były niewielkie, odlane z żelaza i mocno zamknięte. Nie znaleźli żadnej dziurki od klucza ani innej oczywistej metody, żeby je otworzyć.

- Łom - zażądał Baracha. Wyciągnął rękę i pstryknął palcami.

Aléas zaczął szukać pod szatą, aż w końcu zniecierpliwiony Baracha rozdarł przód jego kostiumu i odsłonił uprząż. Zerwał z niej łom i wziął się do pracy przy drzwiach.

Nie chciały się otworzyć.

- Musimy je wysadzić - sapnął, oddając łom.

Ash się zgodził. Ustawili przy drzwiach drugą beczkę prochu i zmoczyli lont.

- Kryć się! - krzyknął Baracha i odbiegli, szukając osłony. Tym razem pamiętali, żeby zasłonić uszy.

Kiedy rozwiał się dym, wysadzone drzwi ukazały im wznoszący się w ciemności szyb. Z boku wisiały mocno napięta metalowa lina i żelazna drabinka.

- Miałem raczej nadzieję, że wjedziemy - zauważył niechętnie Aléas.

- Wspinamy się - odparł krótko Baracha.

Aléas szedł ostatni. Zaciskał zęby z wysiłku, podciągając się z ładunkiem na kolejne szczeble drabinki. Wpadające przez drzwi w dole światło częściowo rozjaśniało szyb, ale w mroku zdążył już stracić z oczu Asha na czele - szedł przed Barachą, który był cięższy i został trochę z tyłu. W szybie ostro pachniał smar i wszędzie leżał kurz - Aléas nieraz przystawał, by kichnąć.

Po dłuższym czasie musiał się zatrzymać i odpocząć. Powietrze drapało w krtani; płuca paliły. Wytarł nos rękawem, po czym przesunął rękę, chwytając szczebel pod łokciem, i splótł dłonie, by zablokować w tej pozycji ramię. Był silny i sprawny, ale zastanawiał się, czy zdoła się wspiąć do celu. Znajdowali się już za wysoko, by docierało do nich światło wpadające przez otwór na dole, ale oczy przyzwyczyły się do mroku i Aléas widział znikającego w górze Barachę.

Nie miał wyboru - musiał iść za nim.

Potrzebował jeszcze czterech przerw na odpoczynek i mnóstwa wysiłku między nimi, nim wreszcie dołączył do swojego mistrza. Baracha wisiał w ciemności na drabince i czekał na niego.

- Czemu to tyle trwało? - syknął.

- Podziwiałem widoki - odparł Aléas. - A potem, tak dla przyjemności, porozmawiałem chwilę z piękną dziewczyną z Exanse. A może z Palo-Valetta? Jakoś wypadło mi to z głowy.

- Podaj łom - burknął Baracha.

Aléas wykonał polecenie, co nie było łatwe, skoro obaj wisieli niepewnie na drabince.

Patrzył potem, jak mistrz przekazuje łom dalej, do Asha, który trafił na blokadę szybu.

Po chwili z góry posypały się odpryski drewna.

Aléasowi drobina wpadła do oka. Zaklął i zamrugał gwałtownie, by ją usunąć. Przez chwilę nogi zawisły mu w powietrzu.

- Aléas! - upomniał go Baracha.

Obok niego przeleciała deska; odbijając się od ścian szybu, zniknęła w dół. Po niej spadły dwie kolejne, potem Ash precyzyjnie przesunął się przez wybity otwór, a za nim Baracha. Na wpół ślepy Aléas z wysiłkiem pokonał ostatnie szczeble i chwycił krawędź nierównego otworu, wybitego w podłodze klatki wjazdowej. W tym samym momencie Baracha złapał go za uprząż i wciągnął do środka, tak że nim chłopak postawił stopy na deskach, przez chwilę wisiał w uchwycie mistrza. Potarł oko, ale tylko rozboleło go jeszcze bardziej. W nosie czuł kurz.

Klatkę zamykały żelazne drzwi, a zakrzywione uchwyty po obu stronach wskazywały, że należy je rozsunąć. Za nimi słyszeli bicie dzwonów i jakiś głos wykrzykujący rozkazy.

I znowu łom nie zdołał utorować im drogi.

- Nie do ruszenia - wysapał Baracha.

Tymczasem Ash przyglądał się sterczącej z bocznej ściany metalowej dźwigni. Pchnął ją w górę - klatka zadygotała i uniosła się nieco. Potem zatrzymała się ze stukiem i opadła z powrotem.

- Nie jesteśmy jeszcze na samym szczycie. Ta klatka wjeżdża wyżej.

- To dlaczego się nie rusza?

Ash pogładził umocowaną pod dźwignią mosiężną płytę. Cała

trójka przyjrzała się dokładnie - w płycie umieszczono cztery wąskie bębny, a każdy miał wybite na obwodzie cyfry. Ash sprawdził je kciukiem. Obracały się, niczym malutkie kółka na wspólnej osi, odsłaniając przy tym coraz to inne znaki.

- Słyszałem o czymś takim - oznajmił Aléas. - To zamek cyfrowy. Trzeba ustawić właściwe cyfry na czterech bębenkach.

Ash, który przesuwiał je kciukiem, teraz machnął ręką.

- To byłby cud, gdybyśmy trafili na właściwą kombinację. Obawiam się, że utknęliśmy.

Ale nie skończył jeszcze mówić, gdy drzwi nagle się rozsunęły.

Kilkunastu zaskoczonych akolitów patrzyło ze zdumieniem na tak samo zdumionych Rōshunów.

Baracha warknął, chwycił stojącego najbliżej i wciągnął go do kabiny. Wtedy wszyscy się ocknęli.

Ash i Aléas złapali uchwyty i zaczęli zamykać drzwi, akolici zaś próbowali precyzyjnie się przez coraz węższą szczelinę. Pięści uderzały w głowę Aléasa, palce próbowały go chwytać za włosy.

Naciskał na uchwyt, równocześnie się broniąc; ciosy spadały na jego głowę, widział wyszczerzone zęby, rozszerzone w gniewie oczy, a w tle kołyszające się maski i manewrujące klingi, szukające okazji do pchnięcia. Drzwi były już prawie zamknięte. Blokowały je ramiona i nogi akolity, który stękał z wysiłku, ale nie ustępował.

- Bierzcie broń - polecił Ash.

Przesuwiał głowę w przód i w tył, unikając wymachującej pięści. W końcu udało mu się wydobyć miecz, cofnął się przed ostrzem i ciął swoim. Krew trysnęła do klatki wjazdowej - nierzeczywista i upiornie jaskrawa...

Aléas także usiłował dobyć broni. Źle widział lewym okiem - z całą pewnością wpadła tam jakaś drzazga, którą czuł przy każdym mrugnięciu. Uwolnił klingę i dźgnął bez celowania.

Z tyłu Baracha krzyczał na swojego jeńca.

- Numer!

- Pchaj - zachęcił Ash młodego ucznia i sam naparł na uchwyt. Drzwi przymknęły się odrobinę.

Więcej rąk złapało zbliżające się krawędzie. Akolita w szczelinie był albo nieprzytomny, albo martwy, a ci z tyłu wykorzystywali go teraz

jako tarczę i jako dźwignię. Ash tymczasem bezustannie atakował mieczem; krew tryskała i tworzyła kałuże na podłodze. Aléas pośliznął się na niej, próbował przytrzymać się uchwytu, i upuścił przy tym miecz. Linia ostrego bólu przecięła policzek i gwałtownie odsunął głowę; czuł wilgoć na twarzy. Mocniej ścisnął uchwyt drzwi i instynktownie odbił klingę, której nawet nie widział.

- Mistrzu! - zawołał, oglądając się na Alhazii.

Baracha trzymał mocno człowieka, którego wypytywał, i dyszał ciężko o włos od jego twarzy. Jeniec nie był akolitą, ale kapłanem w starszym wieku, z łysą czaszką i kępkami włosów, sterczącymi z rozszerzonych nozdrzy.

- Niczego się nie dowiesz, mówię ci. Niczego ze mnie nie wyciągniesz.

- Nie? - spytał Baracha.

Pociągnął szatę kapłana i wsunął pod nią rękę.

Naprzeciw Ash odtoczył się od drzwi. Aléas wyciągnął rękę do uchwytu. Drzwi rozsunęły się bardziej i więcej ramion i rąk wcisnęło się w otwór. Chłopiec krzyknął, by dodać sobie sił, i walczył, by szczelina się nie rozwarła.

Trzymany przez Barachę kapłan odbił się od jego pleców.

- Przestań! - krzyczał z wyraźnym akcentem.

- Mistrzu! - spróbował jeszcze raz Aléas.

Ktoś rzucił mu przekleństwo, twarz była przysunięta tak blisko, że wyczuwał w oddechu czosnek. Ponad nią akolici wcisnęli w szczelinę kawał drewna i zaczęto rozsuwać drzwi.

Baracha nie zwracał na ucznia uwagi.

- Dawaj numer albo ci je urwę!

Ash klęczał na podłodze. Był przytomny, ale poruszał się, jakby był pijany.

- Przestań! - prosił kapłan tonem bliskim hysterii. I nagle wrzasnął ile sił w płucach.

- Numer! - ryknął Baracha.

- Cztery-dziewięć-cztery-jeden!

Straszliwy wrzask kapłana wypełnił niewielką kabinę i urwał się nagle. Aléas poczuł, że mężczyzna zsuwa się po jego nogach.

Baracha rzucił na podłogę coś bezkształtnego i pokrwawionego.

Aléas poczuł, że zbiera mu się na wymioty, nie miał jednak czasu na myślenie, ponieważ nóż przesunął się przy jego brzuchu, szukając dojścia wśród zwisającego z upręży sprzętu.

Baracha pochylił się nad Ashem i pokręcił kółkami zamka.

- Szybciej! - wykrztusił Aléas.

- Nie działa! Ten dureń mnie okłamał.

- Dźwignia! Pchnij tę przeklętą dźwignię!

Klatka wjazdowa zatrzęsała się i ruszyła w górę. Przeciwnicy krzyczeli z bólu, gwałtownie cofając kończyny z drzwi, które nie pojechały z kabiną, ale zostały w dole.

Aléas oparł się o ścianę. Czuł, że pot leje się z niego strumieniami. Odetchnął trzy razy, wstał z trudem i przyklęknął obok Asha.

- Co z nim? - spytał Baracha.

Aléas zauważył nóż sterczący z uda. Obejrzał rozcięcie.

- Powierzchnowa rana - stwierdził.

Ostrożnie wyrwał nóż. Ash syknął.

Baracha powąchał ostrze.

- Zatrute - stwierdził. - Szybko, chłopcze, dawaj odtrutkę.

Aléas się opanował. Chwila nie była odpowiednia na panikę. Chwycił zwisającą z biodra apteczkę.

- Którą?

- Wszystkie.

Z każdej z czterech fiolek Aléas wlał do ust Asha po kilka kropel.

Klatka zatrzymała się z brzękiem. Baracha skoczył do innych drzwi i chwycił mocno, by nie dało się ich otworzyć. Ale nikt nawet nie próbował.

Aléas potarł zaognione oko. Odczepił od upręży manierkę z wodą, odchylił głowę i spróbował wypłukać drzazgę. Zamrugnął i chlusnął jeszcze raz - chyba skutecznie. Potem pił przez dłuższą chwilę.

- Maść pobudzająca - wychrypiał z podłogi Ash.

Aléas przyklęknął. Wyjął z apteczki małe gliniane naczynie, zdarł papierowe zamknięcie, nabrał na palec nieco tłustego kremu i rozsmarował na wargach Asha.

W oczach starca znowu błysnęła energia.

- Pomóż mi wstać - polecił.

- Powoli - doradził Aléas. - Byłeś otruty.

- Wiem. Czuję to.

Baracha nasłuchiwał przy drzwiach. Obejrzał się na chwilę.

- Jak się czujesz? - spytał cicho.

Ash w milczeniu kiwnął głową.

- Myślę, że to roztarte nasiona świętoszka - stwierdził Aléas, podnosząc zatrute ostrze do nosa.

- Bardzo rzadkie - zauważył Ash.

- I trudne do usunięcia. Jak tylko się stąd wydostaniemy, musimy cię oczyścić.

- Jesteście gotowi? - zapytał Baracha.

Ash podniósł z podłogi swój miecz. Zrzucił ciężką szatę i użył jej, by wytrzeć rękojeść, a potem zakrzywioną klingę. Wyglądał jak farmer czyszczący kosę.

Ostry ból zaatakował go, gdy tylko skończył. Zgarbił się, przyciskając dłoń do boku, i odetchnął z trudem. Wyprostował się powoli, z wyraźnym wysiłkiem.

Wreszcie kiwnął głową.

Baracha rozsunął drzwi.

## ROZDZIAŁ 26

### Zabójstwo



Kirkus czuł mdłości. Stał przy ciężkich pancernych drzwiach i przyciskał do nich ucho.

Za nimi słyszał jedynie ciszę.

Szli po niego - wiedział o tym i ta świadomość budziła w nim pragnienie ucieczki. Ale dokąd miał uciekać? Znajdował się na samym szczycie niebosiężnej iglicy; jedyna droga na dół była tą samą, którą nadchodzili ludzie zamierzający go zabić.

Miał tylko nadzieję, że zatrzyma ich straż świątyni. Uda im się, był tego pewien - przecież od dzieciństwa szkolono ich na taką właśnie sytuację. Ale w jaki sposób, zdumiał się po raz kolejny, ci ludzie w ogóle dotarli tak daleko?

Odsunął się od drzwi i ciężkim krokiem wrócił do Komory Burz. W dłoni ścisnął krótki miecz. Uniósł go i raz, potem drugi ze świstem przeciął powietrze.

Nie będzie mi potrzebny, przekonywał sam siebie. Na pewno nie wedrą się do środka.

Stary kapłan Manse stał na środku pomieszczenia; dłonie wsunął w rękawy i pochylił głowę. Niema służąca dokładała właśnie do ognia, choć od czasu do czasu zerkała ukradkiem na Kirkusa.

- Wy oboje, do drzwi - polecił im. - Zawiadomcie mnie, gdyby coś się działo.



Nie obejrzał się, kiedy przebiegli obok. Przez chwilę krążył po sali, aż zatrzymał się przy oknie i przycisnął czoło do chłodnej szyby. Tutaj w górze był powyżej warstwy mgły; zdawało się, że wieża wyrasta z morza chmur; wierzchołki innych sterczały tu i tam niczym wyspy.

Krzyk usłyszał mimo grubego szkła - dotarł z któregoś okna na niższym poziomie. I znowu poczuł ucisk w żołądku.

Do dzisiaj Kirkus tylko raz obawiał się o swoje życie - kilka lat temu, podczas pierwszego oczyszczenia. Załamał się w połowie tego trwającego cały tydzień rytuału. W żaden sposób nie potrafił przywołać siły woli, by go kontynuować.

Wtedy przyszła do niego babka. Podała mu wodę, by mógł zmyć z twarzy wstrętą maź.

Po chwili przestał drżeć. Powstrzymał łzy. Spojrzał na nią, choć nadal widział upiory.

Wiedział, że niewiele brakuje, by stracił rozum.

- Dlaczego boskie ciało jest tak silne? - szepnęła mu do ucha.

Zachrypiał tylko w odpowiedzi. Nie mógł mówić.

- Powiedz - zażądała, a głos uderzył go jak bicz.

- Ponieważ... nie cierpi... od słabości - wyrecytował, z trudem formując słowa.

- Dobrze. A teraz opowiedz mi o tych słabościach.

Miał wtedy uczucie, że przeżywa narkotyczną euforię. Nie potrafił zogniskować myśli.

Porządkował je z wysiłkiem, skupiony na słowach babki.

- Sumienie - szepnęła.

- Dobrze. A dlaczego uważamy sumienie za słabość?

Wtedy się zawahał. Znał odpowiedź, ale był rozbity, nie mógł zebrać myśli i nie potrafił ubrać jej w słowa.

Starucha się uśmiechnęła.

- Ponieważ, moje dziecko, nie jest to nasz stan naturalny. - Po czym jej uśmiech zniknął, gdyż głowa Kirkusa znowu opadła na piersi. - Słuchaj, bo to ważne.

Z ogromnym wysiłkiem raz jeszcze uniósł wzrok.

- Wiedzą o tym nawet daości. W świecie nie istnieje naturalne rozróżnienie dobra od zła, nie ma wewnętrznych praw ani

sprawiedliwości. Czy wilczyca czuje się winna, kiedy chwytą młode i bezbronne zwierzę, żeby je pożreć? Nie, nie czuje, bo przecież musi przeżyć i nakarmić szczeniaki. Sumienie to pojęcie znane tylko człowiekowi. Ludzie wpajają takie koncepcje swoim dzieciom, aby potrafiły odróżnić dobro od zła, ale nikt się nie rodzi z takimi wierzeniami.

Kirkus zmarszczył brwi - przecież wiedział to wszystko. Po co marnuje ten krótki czas, jaki mu pozostał?

- A teraz powiedz: dlaczego ludzie wpajają swoim dzieciom takie idee jak sumienie?

Hm?

Przypomniał sobie właściwe słowa.

Ponieważ są słabi. Potrzebują reguł, by bronić się przed silnymi.

- Właśnie. Albowiem spoglądają na świat wokół siebie i widzą jego okrucieństwo, widzą śmierć i niesprawiedliwości, ślepy przypadek, walkę o przetrwanie i dominację, widzą własną śmiertelność... i boją się. Nie potrafią pogodzić się z gorzką prawdą, a gdyby musieli, doprowadziłoby ich to do szaleństwa, chociaż to nas, wyznawców Mannu, nazywają szaleńcami. A więc wymyślają sposoby, by osłonić się przed życiową prawdą: sumienie, prawo, sprawiedliwość, dobro i zło, Matkę Świata. Tam szukają schronienia, tam kryją się przed chłodem rzeczywistości i dzielą się ciepłem własnych złudzeń. Ale my jesteśmy z Mann, Kirkusie. My nie jesteśmy tacy słabi. Tobie i mnie, nam wszystkim z Mann, od dzieciństwa wpaja się uczciwszy zestaw reguł. Byliśmy zmuszeni, by popatrzeć na świat i przyjąć go takim, jakim jest naprawdę. To jest nasza siła. To jest twoja siła. Nie zapominaj o tym, dziecko. Nie zapominaj o swojej sile, bo jesteś silny, moje dziecko. Jesteś silny. A teraz przetrwaj to. Przywołaj swoją wolę. Nie możesz się poddać.

Wtedy to wystarczyło. Wytrzymał i przetrwał oczyszczenie.

Kirkus wypuścił powietrze; oddech skroplił się na szkle i przesłonił świat mgłą na zewnątrz. Przez chwilę myślał o Larze. Zastanowił się, gdzie jest w tej chwili, czy może wybrała się oglądać dzisiejsze igrzyska.

Wiedział, że Asam i Brice też tam są. Wyobraził sobie, jak we trójkę spotykają się w imperialnej łoży, swobodnie, gdyż mieli za

sobą lata zabaw i starć w dzieciństwie, razem, w cichych korytarzach i mrocznych podziemiach Świątyni Szeptów - oni i Kirkus. Niemal widział drobną twarzyczkę Lary, kiedy się dowiaduje, że Kirkus dzisiaj nie przybędzie, że tkwi uwięziony w Świątyni, dopóki jego matka nie postanowi inaczej. Powolne mrugnięcie, kiedy jej o tym powiedziano. Jej słowa, całkiem zmieniające temat rozmowy, niemające z Kirkusem nic wspólnego - tylko brak wspomnienia o nim.

Lara, przemówił jego wewnętrzny głos.

Odsunął się od okna. Okrążył pokój i z wysiłkiem zogniskował wolę. Przystanął przy jednym z parujących dymiących naczyń i pochylił się, by wciągnąć opary do płuc; poczuł, że narkotyk płynie przez jego ciało. Siła wróciła do mięśni i się wyprostował. Raz jeszcze machnął mieczem, który świsnął w powietrzu.

Od dziecka szkolono go w używaniu takiej broni.

Jeśli dotrą tak daleko do wnętrza Świątyni, pozabija ich wszystkich. Co do jednego.

Najwyższe piętro wydawało się dziwnie puste. Wyszli do wysoko sklepionej sali, skąd prowadziły przejścia do innych pomieszczeń. Wszędzie słabo migotały gazowe lampy.

Powietrze było ciepłe i duszne. Smużki dymu snuty się pod stropami, pokrytymi dekoracyjnym tynkiem. Po lewej i prawej stronie w ścianach umieszczono rzędy drzwi; dobiegały z nich stłumione głosy, a czasem gniewny krzyk.

Rōshuni trzymali się blisko siebie, idąc przez długą salę. Ich buty stukały rytmicznie o podłogę z polerowanego drewna.

Kapłan w białej szacie przebiegł pod łukiem przejścia, jakieś piętnaście metrów przed nimi. Obejrzał się na intruzów, ale nie zwolnił. Usłyszeli, jak zatraskują się za nim drzwi i jak szczęka klucza w zamku.

Po chwili minęli to samo przejście.

Na posterunku stali tam dwaj akolici, każdy strzegący swoich drzwi. Na widok Rōshunów dobyli mieczy, ale nie opuścili stanowisk.

- Aléasie... - rzucił Baracha.

Aléas uniósł kuszę i zawahał się tylko przez moment. Wystrzelił

raz, potem znowu, trafiając obu w piersi. Akolici upadli, charcząc i sięgając zakrzywionymi palcami do wbitych w ciało bełtów.

- Nie zatrzymujcie się - poradził Ash.

Kiedy zbliżyli się do kolejnego pomieszczenia, zobaczyli ustawionych w tyralierę akolitów z pistoletami w dłoniach. Rōshuni ukryli się po obu stronach przejścia. Baracha zrzucił już swoją kapłańską szatę. Aléas przyklęknął, odłożył kuszę na podłogę, po czym ostrożnie zapalił zapałkę i przytknął ją do mieszka prochu błyskowego. Coś kapało na podłogę: krew; Aléas uświadomił sobie, że to z rany na jego policzku.

Rzucił płonący mieszek i cofnął się, wciskając palce do uszu. Kiedy proch eksplodował z hukiem i oślepiającym błyskiem, Baracha i Ash wbiegli do sali; Aléas podążył kilka kroków za nimi.

Kilkunastu akolitów zataczało się ślepo, przyciskając dłonie do uszu.

Ash ruszył do akcji. Skoczył naprzód, zrobił wypad i ciął; zaśpiewała klinga. Zdawało się, że nie dosięgnął stojącego przed nim akolity, ale po krótkiej chwili głowa tamtego odchyliła się do tyłu i upadła na ziemię, razem z dłońmi; z kikutów rąk i szyi trysnęły wielkie fontanny krwi, plamiąc czerwienią wszystkich w pobliżu. Padł strzał, gdy Baracha rozrąbał brzuch kolejnemu; obłok dymu się rozwiął, pozostawiając ostry zapach prochu. Akolici odrzucali pistolety i sięgali po miecze, wymachując nimi szaleńczo w kierunku napastników.

Huknął kolejny strzał, ale dźwięk zginął w ogólnym hałasie starcia.

Ash wbił się w środek linii przeciwników, uchylał się i odskakiwał, atakował jednego i odbijał cios innego. Baracha sunął za nim i osłaniał flanki, rąbiąc na prawo i lewo. Ktoś w białej szacie próbował pchnąć odsłonięty bok Barachy; miał czerwoną dłoń odbitą nad sercem, jakby dla łatwiejszego celu. Aléas trafił go i powalił na ziemię, jego mistrz nawet tego nie zauważył.

Starcie trwało; Aléas spojrzął ponad głowami walczących. Zobaczył schody, a na ich szczycie akolitkę, kobietę w średnim wieku, bez maski. Ładowała pistolet.

Aléas spokojnie wymierzył i strzelił jej prosto w pierś.

Cięciwa kuszy pękła, gdy tylko wyrzuciła bełt; końce strzeliły na boki, a bełt stuknął nieszkodliwie o kamienną ścianę. Kobieta uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego, ukazując rząd zabarwionych na czerwono zębów.

Aléas usiłował napiąć drugą, wciąż całą cięciwę; kątem oka obserwował ruch kobiety, która uniosła pistolet i w niego wymierzyła.

Zobaczył dym, potem płomień, a potem poczuł trafienie z boku głowy; zatoczył się do tyłu i upadł. Krew popłynęła obficie. Leżąc na plecach, na wpół ogłuszony, sycząc przez zęby, Aléas nadal próbował napiąć kuszę.

Akolici, jakby odzyskiwali zmysły, w zbiorowym kontrataku ruszyli na Asha i Barachę.

Ash poruszał się zbyt szybko, by zdołali go otoczyć, ale Baracha walczył o wiele cięższym mieczem, więc przeżywał trudniejsze chwile. Dostał cios w plecy; ostrze rozcięło skórzany kaftan i ciało tuż pod nim.

Baracha krzyknął w języku Alhazii i machnął mieczem w bok, nie patrząc; trafił atakującego między żebra i ostrze się zaklinowało; musiał się zatrzymać, by je uwolnić.

Uniósł głowę akurat, by zobaczyć opadający z góry miecz innego akolity. Klinga odrąbała mu lewą dłoń, wbiła się w podłogę i utknęła.

Aléas przetarł oczy i w końcu wcisnął na miejsce wibrującą cięciwę. Jego mistrz krzyczał w ataku wściekłości i bólu, spoglądając na leżącą na podłodze odciętą dłoń. Machnął mieczem i rozciął akolicie gardło.

Potem ogarnął go bitewny szal.

- Aeos, Toomes, do licha! - krzyknęła kobieta, próbując przeładować broń. - Obejdźcie flanki i załatwcie młodego!

Dwaj akolici wyrwali się z chaosu i ruszyli ku niemu.

Aléas, wciąż na podłodze, odsuwał się od nich, pospiesznie zakładając bełt na napiętą wreszcie cięciwę. Wystrzelił go w brzuch bliższego z atakujących. Drugi skoczył na niego i nagle Aléas znalazł się w sercu własnej potyczki, odbijając ciosy kuszą. Na moment ogarnęła go groza, kiedy uderzenie wybiło mu z ręki broń. Przetoczył

się na bok i wstał z trudem - bagaż spowalniał go i zakłócał równowagę. Wy dobył miecz.

Akolita był dobry, lecz Aléas także. To instynkt kazał mu się uchylić przed zaskakującym cięciem; wyprostował się, uderzając w szyję przeciwnika ostrzem, którego tamten ledwie uniknął. Obaj ciężko dyszeli, jeden w zbroi, drugi obciążony sprzętem. Jednak Aléas był sprawniejszy: odbił ripostę i zrobił krok naprzód, w stylu cali; jego cięcie trafiło tamtego w bok. Przekręcił ostrze. Wysunął je. Pozwolił akolicie osunąć się na podłogę.

Rozejrzał się - zwycięstwo należało do nich. Tylko dwaj akolici stali jeszcze na nogach, obaj naprzeciw Asha. Baracha kroczył w stronę kobiety na schodach i wykrzykiwał słowa zbyt głośne, by były zrozumiałe.

Kobieta strzeliła z pistoletu, ale chybiła. Odrzuciła go i sięgnęła po miecz. W lekkim rozkroku stanęła na górnym stopniu.

- No chodź, ty wielki sukinsynu! - zawołała.

Baracha wspiął się na sześć stopni i machnął na nią kikutem ramienia. Krew chlapnęła jej w oczy.

I zaraz potem gładko wbił ostrze w brzuch. Ściągnął ją, nabitą na miecz, a kiedy znalazła się przy nim, nogą zepchnął ją z klingi. Potoczyła się na sam dół i znieruchomiła.

Spokój ogarnął komnatę. Ostatni z akolitów padł. Jęki, kasłania i rżenie odbijały się echem od wysokiego sklepienia.

Baracha osunął się i przyklęknął na kolano.

- Aléas - stęknął.

Wymijając leżących, Aléas podbiegł, by pomóc swojemu mistrzowi.

- Na szczyt, chłopcze. Zaprowadź mnie na szczyt.

Razem zaczęli się wspinać. Schody były śliskie, gdyż

Baracha szybko tracił krew. Aléas pomógł mu usiąść na najwyższym stopniu i oparł go plecami o drzwi. Mieli stąd doskonały widok i trudno byłoby komukolwiek ich zaskoczyć.

- Opaska - wychrypiał mistrz. Zbladł jak ściana i zaczynał już szczękać zębami. Aléas pospiesznie otworzył apteczkę i wziął się do pracy.

Ash podszedł chwiejnie, wspiął się na górę i osunął obok Barachy.

Od stóp do głów zlany był krwią, choć szczęśliwie chyba niewiele tej krwi należało do niego.

- Jak się czujesz? - spytał zdyszany.

Baracha spojrzął na kikut lewej ręki. Po założeniu opaski, upływ krwi się zmniejszył, choć nadal rana wyglądała groźnie.

- Straciłem dłoń... - Tyle tylko zdołał odpowiedzieć.

Aléas nie pozwolił swojemu mistrzowi na dalsze pogawędki, wsuwając mu między zęby pasek twardej skóry. Rozerwał jeden mieszek prochu błyskawego i bez ostrzeżenia rozsypał trochę na ranę. Baracha zagryzł pasek; jego skórzany kaftan zaskrzypiał. Aléas zapalił zapałkę i przytknął do kikuta. Proch spalił się w jednym rozbłysku i skauteryzował ranę.

Aléas zaczął ją bandażować.

Obok nich Ash szukał czegoś w apteczce. Znalazł naczynie z maścią pobudzającą i nałożył sobie trochę białego kremu na język. Potrząsnął głową, by oprzytomnieć.

- Marnie wyglądamy, mistrzu Ash...

- Ha! - wykrzyknął starzec. - Nie spodziewałem się, że dotrzemy tak daleko.

Aléas wskazał drzwi.

- Ale dalej już nie damy rady. Nawet z czarnym prochem wątpię, czybyśmy się przebili.

- Bzdura - stwierdził Ash. - Nadal mamy swój rozum.

Nie wstając, załomotał ręką na klamkę w żelazne drzwi. Odczekał chwilę i uderzył znowu.

- Już po nich! - zawołał głośno. - Możecie wyjść!

Aléas zmarszczył czoło.

- Naprawdę liczysz, że będą tacy głupi? - zapytał cicho.

- Zawsze spodziewaj się głupoty... - odparł równie cicho Ash - ...kiedy strach przyćmiewa umysł.

Jakby na potwierdzenie jego słów, zza drzwi zabrzmiał stłumiony głos:

- Kto to mówi?

- Toomes! - odpowiedział natychmiast Ash.

Nie było reakcji. Oczekali kilka minut, ale nic się nie działo.

Aléas myślał o tym, jak teraz, w ich obecnym stanie, uda się

odszukać Nica. Nie wiedzieli nawet, gdzie go trzymają. To beznadziejne...

Coś szcęknęło za drzwiami. Potem znowu. Zaczęły się uchylać.

Ash oparł się na mieczu i wstał chwiejnie. I kiedy w szczelinie ukazała się twarz starego kapłana, powitał ją szerokim uśmiechem. Zanim tamten zdążył zareagować, przecisnął się obok niego. Za drzwiami stała jeszcze kobieta; przyciskała dłonie do ust i wytrzeszczała oczy.

- Nie ruszajcie się - polecił im Ash. - Aléasie! - rzucił przez ramię.

Aléas sprawdzał mistrzowi puls, który trudno było znaleźć. Tutaj... słabe tętno pod palcem. No cóż, w tej chwili nie da się zrobić nic więcej.

Ruszył za wędrowcem do środka.

W srebrnych klatkach śpiewały ptaki. W powietrzu unosił się zapach narkotyków tak mocny, że Aléasowi zakręciło się w głowie. Stłumił nerwowy chichot. Pomieszczenie wydawało się bardzo jasne w porównaniu z półmrokiem panującym w tym, które właśnie opuścili - to dzięki umieszczonym wokół wysokim oknom.

Słońce ponad mgłą było błękitne, zbyt jaskrawe, by na nie spojrzeć.

- Kirkus! - rzucił rozkazująco Ash.

Stary kapłan spuścił głowę. Kobieta, chyba służąca, zerknęła szybko na wzniesioną część pomieszczenia.

Przeszli obok ognia płonącego na środku i wspięli się po drewnianych stopniach, prowadzących do sypialni, oddzielonych od siebie cienkimi drewnianymi panelami.

Wszystkie cztery pokoje były puste.

Ash stanął nieruchomo. Potem uniósł głowę i pociągnął nosem.

Odwrócił się i wrócił do pokoju, który przed chwilą sprawdzili. Przykucnął przy masywnym łożu i wsunął pod nie rękę. Pociągnął. Pojawiła się noga, po niej nagie pośladki, wreszcie całe ciało.

Był to młody kapłan; jego dolną wargę przebijały ozdobne złote kolce.

- Kirkus - oświadczył tryumfalnie Ash, patrząc w przerażone, otępiałe oczy młodego człowieka, który wzniosł ręce jak chłopiec, próbujący osłonić twarz przed blaskiem poranka.



- Nico. Gdzie jest? - zapytał Ash.

Kirkus zamrugał. W końcu skupił wzrok na twarzy Rōshuna.

Ash potrząsnął nim, odsłaniając zęby.

- Odszedł - sapnął Kirkus; ręka skinęła niedbale. - Na Shay Madi.

Mówił prawdę. Aléas widział to w jego oczach.

Zwiesili smętnie głowy, co jakby dodało młodemu kapłanowi sił. Wsparł się na rękach.

- Jest całkiem złamany i was też to czeka, jeśli zrobicie mi krzywdę.

- Załatw go - rzucił lodowato Aléas. - Może wystarczy nam czasu, żeby uratować Nica.

Ash zmienił pozycję i oparł ostrze miecza o bladą krtań Kirkusa.

- Stójcie! - zaskomlał młody kapłan. - Robicie to dla złota, prawda? Mam złoto, więcej złota niż moglibyście wydać przez całe życie.

- Więc na co by się nam przydało? - odparł Ash i niemal delikatnym ruchem przejechał czubkiem miecza po gardle młodego człowieka.

Kirkus wytrzeszczył oczy; z rozwartych ust wysunął się język. Uniósł dłoń do gardła, jakby próbował zacisnąć ranę. Ciemna czerwień pojawiła się nagle między jego palcami; płynęła obficie, kiedy dławił się na śmierć.

Czekali, aż syn matrony legł bez życia.

Kiedy wrócili, Baracha był przytomny i usiłował wstać. Aléas zdumiał się jego odpornością.

- Zrobione? - zapytał, gdy Aléas pomógł mu wstać.

Aléas kiwnął głową.

- Co z chłopakiem?

- Shay Madi.

- Może skłamał... - rzekł pocieszająco Alhazii, zwracając się bardziej do Asha niż do swojego ucznia.

Ale Ash go zignorował. Zszedł po schodach.

Na dół zjechali klatką.

## ROZDZIAŁ 27

### Dzień radości



Bahn był zadowolony z dymu kadzideł, unoszącego się w mrocznej atmosferze wewnętrznej świątyni. Stał pod wysoką, pozbawioną okien kopułą, w ciszy zakłócaną tylko cichym mamrotaniem mnichów Dao, wykonujących swoje rytuały. Lekko kołysał się w swojej zbroi, którą nosił od dwunastu godzin i która teraz ciążyła mu, jakby dźwigał drugiego człowieka. Sztywne, profilowane płytki i osłony pokrywał drobny szary pył poznaczony strużkami potu; ciało swędziało w miejscach, gdzie pasy dotykały lepkiej skóry. Zdawał sobie sprawę, jak musi cuchnąć dla innych w pobliżu, ale i z tego był właściwie zadowolony. Coś takiego pomagało zamaskować utrzymujący się zapach seksu.

Żona cieszyła się, że udało mu się dotrzeć, nawet jeśli ceremonia nadania imienia ich córce rozpoczęła się bez niego. Marlee nauczyła się cenić te chwile, kiedy wracał do domu z Tarczy - także dlatego, że oznaczało to przerwę w walkach.

W zeszłym tygodniu runął fragment Muru Kharnosta, zwiastując kolejną rundę szturmów Mannijczyków, którzy próbowali wykorzystać to nagłe osłabienie obrońców. Khosyjczycy starali się powstrzymać najeźdźców tak długo, by jak najlepiej załatać wyrwę. Podczas tej tygodniowej obrony sam Bahn nie uczestniczył w starciach.

Był tam z racji swojej funkcji adiutanta generała Creeda; miał obserwować i nie angażować się osobiście. Kiedy zeszłej nocy Mannijczycy znowu zaatakowali, Bahn ze sztabem polowym stacjonowali na drugim murze, skąd przez mrok patrzyli, jak toczy się bitwa przy wyłomie i na dalekich parapetach. Tylko niewyraźnie widział starcia w ciemności rozjaśnianej pochodniami i nagłymi rozbłyskami jaskrawego światła oraz czarnych cieni, gdy z nieba spadały flary - jak w tym śnie, który kiedyś go dręczył, o płonących, zniekształconych ludziach spadających z gwiazd.

Bahn nic nie robił przez całą noc; patrzył tylko w milczeniu i regularnie wysyłał do Ministerstwa Wojny gońców z meldunkami o sytuacji. Od czasu do czasu odpowiadał na uwagi kogoś z grupy sztabowej albo uśmiechał się z jakiegoś ponurego żartu, rzucanego dla rozładowania atmosfery. Jednak był to już szósty poważny szturm w ciągu sześciu nocy i Bahn odczuwał zmęczenie. Kiedy wzeszło słońce, rzucając promienie na ich lewe naramienniki i na przypory muru chroniącego brzeg Lanszlaku, wrogowie cofnęli się, zabierając rannych - i szturm szczęśliwie się skończył.

Po odejściu Mannijczyków widzieli przed sobą nowy, zrujnowany i zniszczony krajobraz; wszędzie dostrzegali ruch, ale powolny, ociężały i bez poczucia celu. Bahn obserwował żołnierzy, którzy zataczali się jak pijani - i prawdopodobnie byli - albo osuwali się na kolana w błocie czy na zachlapanie krwią kamienie. Niektórzy krzyczeli ku jaśniejącemu niebu, wołali towarzyszy albo śmiali się, zwyczajnie się śmiali. Kiedy ucichł gwar bitwy, Bahn miał wrażenie, jakby nagle ustał ostry wichur, który atakował jego ciało przez te długie godziny mroku i czujności. Wsłuchiwał się w dalekie krzyki wiecznie głodnych mew. Wokół siebie widział wychudłe twarze grupy obserwatorów; ludzie spoglądali pustym wzrokiem, tak samo jak on.

Zmarznięty i otępiały, Bahn wspiął się na Górę Prawdy, by złożyć meldunek generałowi Creedowi; starzec czuwał w swojej kwaterze za zaciągniętymi kotarami, przy migoczących w rogach lampach. Wyglądał, jakby wcale nie spał. Przeciwnik został odparty kosztem sześćdziesięciu jeden zabitych, poinformował go Bahn. Los niektórych wciąż był nieznany.

Dodatkowo, bardzo wielu odniosło rany. Podjęto prace naprawcze przy wyrwie w murze, choć wydawało się wątpliwe, czy ludzie zdołają ją załatać inaczej niż tylko prowizorycznie.

- Bardzo dobrze - odpowiedział zmęczony Creed. Siedział odwrócony do Bahna plecami w głębokim skórzanym fotelu.

Wiedząc, że jest spóźniony, Bahn zatrzymał się w ministerstwie tylko tak długo, by zmyć brud z twarzy i rąk. Wyprosił też w kuchni trochę chleba i sera, które zjadł w marszu, kiedy szybkim krokiem schodził ze wzgórza do pobliskiej Dzielnicy Cyrulików. Rankiem ulice były ruchliwe, niemal tłoczne, jak zwykle po zakończeniu długiego szturmu.

W tej dzielnicy wznosiła się jego rodzinna świątynia - w okolicy, gdzie przyszedł na świat i się wychował. Na ulicy Pigwy wciąż jeszcze stały prostytutki, które pozostały tu po minionej nocy. Czekały na klientów - schodzących z murów żołnierzy, u których ulga i przelew krwi wzbudziły też inne żądze.

Kiedy Bahn je mijał, niektóre wołały go po imieniu - te starsze, które wciąż pamiętały go jako chłopca. Kiwał im głową z wymuszonym uśmiechem i szedł dalej. Na rogu Opatowskiej zauważył młodą dziewczynę i na jej widok coś ścisnęło go w żołądku. Ona także go poznała - nie z dawnych lat, ale sprzed kilku dni; wyginała plecy, by pokazać niewielkie piersi, i spoglądała spod gęstych rzęs.

Taka młoda, pomyślał Bahn; ogarnęło go uczucie bliskie rozpacz.

Kiedyś, po pierwszym i ostatnim razie, obiecał sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Teraz szedł dalej, żeby minąć dziewczynę. Odwrócił głowę tylko po to, żeby skinąć jej na powitanie, ale wtedy ona rozchyliła wargi, chciała coś powiedzieć, a on zobaczył ich kolor, ich delikatne zaróżowienie... I się zatrzymał.

Z bliska widział zaczerwienienie nozdrzy - ślad po wciąganiu drossu, oraz zapadnięte oczy narkomanki. Wydawała się chudsza niż wtedy, kiedy widział ją ostatnio.

- Co u ciebie? - zapytał. Słowa brzmiały łagodnie, choć głos był pełen napięcia. Bahn czuł pulsowanie krwi.

- Wszystko dobrze - odparła.

A jej wygłodzone spojrzenie uderzyło w niego, budząc głębokie wiry pożądania.

Wzrok prześliznął się po bladych ramionach, po gładkiej skórze w głębokim wycięciu sukni. Przez jedną krótką chwilę wyobrażał sobie, jak pieści wargami jej drobne piersi.

Zabrał ją do zaułka za kamienicami przy bocznej ulicy; jego poczucie czasu rozpadło się nagle w ciąg obrazów niepowiązanych i drażniących - jak w bitwie. Całego pochłonęło go pragnienie, by uwolnić się w niej z gorączkowej żądz. Równocześnie rodziło się w nim poczucie odrazy do samego siebie, które z pewnością potem uderzy z pełną siłą; powracały obrazy, dźwięki i zapachy, jakie otaczały go przez całą tę krwawą noc i przez poprzednie; powróciło poczucie winy i wstydu za własne bezpieczeństwo oraz wygodę w tej wojnie, świadomość braku zagrożenia dla siebie, gdy inni ludzie, jego towarzysze, ginęli w walce, a on nie robił nic - tylko patrzył.

Zrzucił z siebie to wszystko w tej drogocennej chwili uwolnienia, po której powróciły pustka i wyczerpanie. Wcisnął dziewczynie do ręki sakiewkę ze wszystkimi pieniędzmi, jakie miał przy sobie. Chciał jeszcze coś powiedzieć, a ona uśmiechnęła się przelotnie; znała rytmy męskich emocji. Przez jedną chwilę Bahn poczuł się tak, jakby znów był chłopcem.

Teraz, słuchając mamrotania mnichów, wciąż czując na skórze dotyk ciała dziewczyny, Bahn zauważył, że lekko drży - może wskutek wydarzeń minionej nocy, a może późniejszych. Trząsł się w dusznym powietrzu świątyni, obok żony i syna, obok innych członków rodziny, którzy zjawili się dzisiaj, by zobaczyć, jak jego córka otrzymuje imię.

Bliski paniki, powtarzał sobie tylko: wielki Błaźnie, co ja sobie myślałem?

Wszystko zdarzyło się w jasny dzień, w okolicy, gdzie miejscowi dobrze go znali. Każdy mógł zauważyć, jak odchodzi z dziewczyną, i każdy mógł także znać Marlee. A co robi, jeśli złapał od niej jakąś chorobę? Jak to wytłumaczy?

Wpadłem w szpony demona, myślał Bahn. Rozejrzał się nerwowo, jakby sam się wystraszył tej myśli, i w ciemnej wnęce ściany po przeciwnej stronie sali zobaczył złoty posąg Wielkiego Błaźna;

Błazen klęczał, pogrążony w kontemplacji, chudy, łysy i przystojny, i uśmiechał się do niego od ucha do ucha.

Bahn wciągnął do płuc ostry zapach kadzideł; przez długi czas starał się zapanować nad drżeniem. Nigdy więcej, przysięgł sobie szczerze - i poczuł, że puls mu się uspokaja.

To ta wojna, pomyślał. Niszczy mojego ducha, tak samo jak niszczy wszystko, czego dotknie.

I jakby na potwierdzenie, działa na Tarczy odezwały się znowu werblem odległych wybuchów. Kilkoro dzieci z zaciekawieniem odwróciło głowy; reszta pozostała niewzruszona. Być może huk dział sygnalizował kolejny mannijski atak po krótkim wytchnieniu. A może był to tylko powrót do codzienności Tarczy. Bahn nie miał ochoty zastanawiać się nad tym w tej chwili. W końcu nie był pilnie potrzebny na murach.

Przed jego zebraną rodziną trzech mnichów Drogi stanęło nad zagłębionym w posadzce paleniskiem. Ogień był niewielki - właściwie garść czerwonych węgli; ledwie dymił. Na węglach leżał stos liści mymaru, żółtych i wolno zmieniających się w popiół od postrzępionych krawędzi do wnętrza; ich niebieskawy dym wznosił się wokół jego córki, podtrzymywanej przez mnichów nad płomieniami. Śpiewali nad nią i przesuwali ręce na boki, tak że mała obracała się, otulona w lnianą płachtę. Nie płakała - kaszłała delikatnie, wciągając dym w małeńkie płuca, i mrugała, patrząc na najstarszego mnicha - starego Jerva, który żył tutaj jeszcze wtedy, kiedy Bahn był chłopcem. Dziewczynka pilnie obserwowała wyrastające mu z brody kosmyki siwych włosów.

Córka Bahna przeżyła swój pierwszy rok; była zdrowa i silna. U Mercjan oznaczało to czas radości, czas, kiedy dziecko powinno otrzymać imię. Dla małej - która odkąd zaczęła raczkować, wciąż się dokądś spieszyła - to imię miało brzmieć „Ariale” - od legendarnego konia ze skrzydłami u kopyt. Sama Marlee stwierdziła, że będzie idealne - ale Marlee zawsze uważała, że to, co zabawne, jest słusze i dobre. Bahn potrzebował trochę czasu, by przywyknąć do myśli, że córka będzie nosiła imię konia.

Ariale Calvone... To dobre imię, uznał teraz i się uśmiechnął. A z tym uśmiechem poczuł się znowu sobą - bardziej niż przez ostatnie

dni.

Zebrani dziś goście pochodzili w większości z rodziny Marlee: jej matka, ciotki i wujowie, głównie sklepikarze i żołnierze. Niektórych Bahn prawie nie znał i prawie nie widywał od dnia, kiedy zawarł związek z Marlee. Jako rodzina dobrze się prezentowali: w pięknych ubraniach, stali wyprostowani z tą samą godnością, jaką widział u żony.

W porównaniu z nimi jego krewniacy byli nieliczni i nie pasowali do tamtych; stali swobodnie, w mocno znoszonych świątecznych ubraniach. Matka nie przyszła - z pewnością pracowała już, reperując buty i inne przedmioty ze skóry w swoim mieszkaniu połączonym z warsztatem przy Ceglanej, właściwie to całkiem niedaleko stąd. Bahn nie spodziewał się jej dzisiaj i to nie z jej powodu wybrali na ceremonię świątynię jego dzieciństwa - ich lokalna świątynia na północy miasta była zarezerwowana na wiele tygodni naprzód.

Zjawiła się za to jego ciotka, Vicha, z rozwichrzonymi czarnymi włosami, które na tę okazję postarała się poskromić. Przyszła z dwoma córkami, Aleksą i Maureen, obiema o włosach tak jasnych, jak włosy matki były ciemne. Wszystkie nosiły jeszcze żałobę po śmierci Hacelosa, męża i ojca, mistrza cieśli. Zginął na morzu, kiedy konwój z ziarnem został zatopiony w drodze z Zanzaharu pięć miesięcy temu - właśnie tę stratę starały się uzupełnić stocznie w Al-Khosie. Dobry człowiek, uważał zawsze Bahn.

Reese przyszła również, oszałamiająco piękna z rudymi włosami, choć oczy miała podkrążone, jakby ostatnio za mało sypiała. Losa z nią nie było, dzięki Erēs.

Z cienia wynurzył się młody mnich i powłócząc nogami, ruszył między krewnych, niosąc w dłoni drewniane aesło; czekał, aż otworzy się zapadka, po czym machał dłonią, by dwie deseczki stuknęły o siebie jak dwie szczęki, raz za razem, w powolnym, smętnym rytmie. W drugiej ręce niósł żebraczą miseczkę, prosząc o jałmużnę za odprawienie nabożeństwa. Z poważnymi minami kongregacja posłusznie wrzucała monety do mijającego ich naczynia.

Kiedy mnich się zbliżył, Bahn uświadomił sobie, że wszystkie pieniądze oddał ulicznej dziewczynie i teraz nie miał nic. Musiał wymamrotać przeprosiny. Zresztą to zakłócenie ceremonii i tak go

zirytowało. W latach jego młodości pozwalali człowiekowi zostawiać, ile mógł, w drodze do wyjścia, po zakończeniu nabożeństwa. Ale czasy najwyraźniej się zmieniały, nawet tutaj.

Marlee wyjęła monetę ze swojej torebki i wrzuciła ją za niego. Wzrokiem zdawała się pytać, czy Bahn dobrze się czuje - pewnie wyczuwała jego napięcie. Kiwnął głową, położył jej dłoń na karku i przyciągnął żonę do siebie.

Mnisi podnieśli dziewczynkę wysoko w górę. Ich pieśń była w dawnej mowie Khosu, której dźwięki były gładkie i płynne niczym woda szmerząca na kamieniach. Wyrecytowali jej imię i modlili się, by otrzymała Dziewięć Błogosławieństw podczas długiego i owocnego życia, wypełnionego dobrymi czynami. Mała Ariale zachichotała, kiedy znów ją opuścili, i zamachała nóżkami pod okryciem. Stary mnich Jerv uśmiechnął się do niej.

W innej rzeczywistości to Bahn mógłby teraz odprawiać tę ceremonię dla cudzego dziecka. Matka zawsze chciała, żeby został mnichem - był najmłodszym z trzech synów.

Starszy brat Teech poświęcił się rodzinnemu rzemiosłu, szewstwu i kaletnictwu, a średni brat Cole wbrew jej woli zaciągnął się do wojska.

Bahn stałby się pewnie dobrym mnichem, gdyż w głębi serca był człowiekiem łagodnym.

Matka go rozpieściła, powtarzał zawsze ojciec, jak zwykle spokojnie. Ale miłość do Marlee zepchnęła go z tej drogi.

W kolejnych latach najstarszy brat umarł z nieznanых przyczyn - po prostu nagle padł martwy przy kolacji.

Miejscowy uzdrowiciel podejrzewał jakąś chorobę serca. Wkrótce potem drugi brat, Cole, porzucił rodzinę, a wraz z nią i sprawę Bar-Khosu. Po tak gwałtownej stracie dwóch synów, nim minął rok, ojciec umarł ze zgrzyoty. Matka radziła sobie sama, ale jej tłumiona, niewypowiedziana pretensja do Bahna - jedyne go pozostałego syna - w kilka miesięcy zmieniła się w otwartą niechęć. Regularnie rzucała mu kąśliwe uwagi, które miały wywołać poczucie winy. Bezustannie porównywała go z synami, których straciła. Chyba w pewien sposób uważała go za odpowiedzialnego za śmierć braci, jakby wierzyła, że to on ściągnął na nich niesprawiedliwy los, ponieważ zrezygnował z



mniszej szaty.

Czym się teraz stałem? - myślał Bahn. Żołnierzem, owszem, ale z pewnością nie wojownikiem.

Tylko jego własna niewielka rodzina dawała Bahnowi poczucie, że osiągnął coś dobrego na ścieżce, którą wybrali z Marlee. Bardzo się starał być dobrym mężem i ojcem, więc świadomość, że zawiódł, zaboląła go bardziej niż słowa matki.

Ale już nigdy więcej, pomyślał. Utrzymam swoją rodzinę, choćby nie wiem co.

Wreszcie nabożeństwo dobiegło końca i zarumieniona z podniecenia córka, z włosami ciągle pachnącymi dymem, wróciła do rodziców. Cała rodzina zebrała się na niedużym skwerze, w jasnym świetle dnia, o którym wewnątrz budynku niemal zapomnieli. Mieli teraz pójść do domu jego ciotki, kilka ulic dalej, na rodzinne przyjęcie; na szczęście udało się przygotować skromny poczęstunek z żywności zdobywanej przez wszystkich po trochu.

Reese szła razem z Bahnem i jego rodziną. Żartowała z Juno i Ariale. Z Marlee rozmawiały o ceremonii - drobiazgi bez znaczenia. Tymczasem huk dział od południa stał się tak równy i regularny, że Bahn rozpoznał w nim zwykłą wymianę ognia między wrogimi stronami. Może Mannijczycy na jakiś czas zrezygnowali, myślał - i naprawdę chciał, żeby to było prawdą.

On i Marlee szli razem pod rękę, gdy Reese niosła ich córkę, a Juno wlókł się za nimi.

Marlee spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć „no to ją zapytaj”. Kiwnął głową.

- Miałaś jakieś wieści od Nica? - zwrócił się do Reese.

Wygodniej oparła sobie Ariale o biodro, nim odpowiedziała:

- W zeszłym tygodniu przyszedł list, wyglądał jak na wpół utopiony w morzu. Nie mogłam odczytać, co w nim było napisane, ale owszem, był od Nica. Poznałam po jego strasznym charakterze pisma.

- Przynajmniej dobra wiadomość - ucieszyła się Marlee. - Nawet jeśli nie mogłaś przeczytać. Na pewno świetnie sobie radzi... tam, gdzie się znalazł.

Marlee urwała w nadziei, że Reese powie, dokąd wyruszył

chłopiec - ale się rozczarowała.

Kiedy schodzili ze skweru, zobaczyli siedzącego na ziemi mnicha z żebraczą miseczką.

Mężczyzna był w średnim wieku; wstał, widząc nadchodzącą grupę, po czym stanął przed nimi, oferując błogosławieństwo i potrząsając naczyniem. Pomijając brudną szatę, nie wyglądał nawet na mnicha. Wyraźna blizna przecinała jego twarz od czoła do brody. Od wielu dni nie golił czaszki.

Kolejny oszust, uznał Bahn. Odkąd rada uznała zebranie za nielegalne, z wyjątkiem zebrania z powodów religijnych, zrozpaczeni ludzie wkładali szaty, golili głowy i udawali tak jak ten mnichów.

Skandal, pomyślał Bahn i tłumiony gniew wezbrał w nim nagle, sam nie wiedział czemu.

- Niech wam los sprzyja - oznajmił łagodnie człowiek w czarnej szacie; w jego miseczce pobrzękiwało kilka monet.

Bahn precyzyjnie się obok i odepchnął go mocniej, niż planował. Fałszywy mnich krzyknął zdziwiony, miseczka upadła na ziemię, a monety rozsypały się, przędąc promienie słońca.

Wszyscy krewni spojrzeli na Bahna. Nawet jego syn, Juno, zamrugnął zaskoczony.

Przepraszam, odpowiedział im w myślach Bahn. Wczoraj w nocy widziałem, jak giną nasi ludzie, kiedy wy spaliście w łóżkach, bezpieczni dzięki nim. A potem, rano, przeorałem młodą uliczkę, prawdopodobnie zarażoną jakąś chorobą, zmuszoną do takiej pracy przez nędzę i skrzywione potrzeby zbłąkanych mężów, takich jak ja.

Ale nic nie powiedział, nie tego dnia. Zamiast tego uśmiechnął się przeproszająco, jak dobry mąż, jak dobry ojciec. Wziął syna za rękę i poszli dalej.

## ROZDZIAŁ 28

### Shay Madi



Główny nadzorca lubił swoją pracę. Przynajmniej takie wrażenie wywarł na Nicu, kiedy wywlókł go z zagrody przejściowej pod areną. Od czasu do czasu wypluwał z zaplamionych pulchnych warg słowo „Rōshun”, jakby było to najgorsze przekleństwo. Dwa razy jego pejcz spadł na plecy Nica, choć chłopiec prawie tego nie czuł - jeszcze jeden cios po tak wielu innych.

- Właż - burknął, wypychając chłopca za zardzewiałą kratę.

Potykając się, Nico wpadł do wąskiego, okratowanego przejścia, które parę metrów dalej kończyło się kolejną kratą, unoszoną teraz z zewnątrz. Strażnik ponaglił go ukłuciem rozwidlonej pałki, tępej, ale jednak zabolalo. Nico wszedł chwiejnie do klatki.

Potknął się o nieruchome ciało i rozciągnął na klepisku. Krzyknął głośno, gdy ból znowu przeszył połamaną dłoń.

Wszędzie czuł ból; narastała w nim gorączka. Lewe oko spuchło i nie mógł go otworzyć; nie wiedział nawet, czy gałka oczna jest nadal na miejscu. Wargi były spuchniętą miazgą, większość przednich zębów miał wybitych albo połamanych. Nawet oddech sprawiał ból.

Krata opadła z trzaskiem i jeden ze strażników ją zaryglował.

- Zróbcie miejsce dla potężnego Rōshuna! - zawołał ze śmiechem główny nadzorca do innych więźniów. - Jeśli będziecie uprzejmi, może was wszystkich ocali!

Nico zwinął się w kłębek; cały drżał. Wyczuwał własny smród, a ponad nim odór ciał wielu innych ludzi. W klatce tłoczyli się mężczyźni i kobiety, czekający na śmierć.

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Spojrzał zdrowym okiem na mężczyznę, który przyglądał mu się z troską.

- Masz - powiedział cicho i podsunął mu chochlę. Nico łyknął i natychmiast wykaszał wodę z powrotem. - Powoli - uspokoił go mężczyzna.

Nico wypił trochę.

Mężczyzna pomógł mu usiąść, a kilku innych rozsunęło się tak, by mógł oprzeć plecy o pręty. Zauważył, że jego dobroczyńca ma ogoloną głowę i nosi czarną szatę.

- Tak, jestem mnichem - potwierdził, widząc zaskoczenie chłopca.

Nico pokiwał głową - tylko tak mógł wyrazić wdzięczność. Rozejrzał się i odkrył, że wszyscy zamknięci w klatce przyglądają mu się z zaciekawieniem. Spuścił wzrok na zasypane słomą klepisko.

Ryk wzniósł się na arenie - stłumiony dźwięk, dochodzący zza ciężkich wrót na końcu jeszcze jednego okratowanego przejścia. Leżąca na ziemi kobieta jęknęła głośno.

- Bądź z Dao - rzekł kapłan do Nica i jeszcze raz lekko dotknął jego ramienia. Ten dotyk dawał pociechę, był ludzki...

Mnich odszedł do kobiety, by najlepiej jak potrafił, dodać jej otuchy.

Nico objął rękami pierś; przesunął je delikatnie i powoli. Zmusił się, by skoncentrować umysł na oddechu.

Kiedy wypuszczał powietrze, wyobrażał sobie cierpienie uwalniające się z ciała; kiedy wciągał, koncentrował się na spokoju.

Po jakimś czasie metoda chyba poskutkowała - mógł przynajmniej spokojnie myśleć.

Myśli były dobre. Mogły zabrać go z tego miejsca.

Pozwolił więc, by umysł odpłynął. Wspominał słoneczny Khos, domek, swoją matkę...

Najbardziej na świecie chciałby teraz znowu ją zobaczyć.

Czas mijał niepostrzeżenie. Wreszcie nad głową Nica zadzwoniły pręty klatki - wrócił główny nadzorca.

- Teraz ona. - Wskazał pocieszoną przez mnicha kobietę. - Weźcie

też jego... tego mnicha.

Inni strażnicy szturchali wybranych więźniów rozwidlonymi pałkami, choć wszyscy zachowywali bezpieczny dystans za kratami.

- Wstawać! Wstawać! - krzyczeli.

Mnich pomógł kobiecie wstać; wciąż ją podtrzymywał. Odsunęła się krata, odsłaniając wyjście z klatki i oboje wyszli do korytarza prowadzącego na arenę.

- Stać! - zawołał nadzorca.

Strażnicy przysunęli się do prętów i sięgnęli do wnętrza rękami w skórzanych rękawicach. Zdarli z kobiety okrycie, aż stanęła naga wobec ich spojrzeń. Jej skórę pokrywały fioletowe sińce, a także ślady ugryzień. Mnichowi pozwolono zachować szatę, żeby tłum wiedział, z kim ma do czynienia.

Mnichowi podano miecz i małą, okrągłą tarczę. Rzucił je na ziemię.

- Nie będę walczył - oznajmił.

Strażnicy zaczęli kląć i poszturchali go jeszcze, lecz mimo to nie chciał chwycić za broń.

Tłum za bramą skowyczał niecierpliwie. Strażnicy zrezygnowali z przekonywania i przywiązali mnichowi miecz i tarczę do przegubów dłoni, skąd zwisały bezużyteczne.

Więźniowi drżały ręce, ale stał wyprostowany z godnością.

Wrota rozwarły się i w ciemność wpadł promień światła. Nico nie widział tam niczego, oślepiiony nagłą jasnością.

Kobietę i mnicha wypchnięto na arenę. Wrota zamknęły się i tłum zaryczał.

Nico odczuwał ten dźwięk aż w trzewiach. Niewiele brakowało, by stracił panowanie nad pęcherzem. Walczył z odruchem, by się wypróżnić, i na szczęście po kilku chwilach uczucie minęło.

- Co się z nimi stanie? - zapytał jakiś młody człowiek głosem zupełnie pozbawionym emocji. Nie zwracał się do nikogo konkretnego.

A jednak pytanie zawisło w powietrzu, jakby skierowane do wszystkich.

- Umrą - odpowiedział mu inny głos.

Był to mężczyzna w średnim wieku, siedzący z trójką innych - żołnierze, sądząc po bliznach i tatuażach, a także po tym, jak siedzieli

obojętnie, widać często zdarzało im się tak czekać na śmierć.

Wyglądali na Khosyjczyków.

Specjalni, domyślił się Nico. Z opowieści ojca wiedział, że podziemni wojownicy często wpadali w ręce przeciwnika, kiedy gdzieś za nimi następował zawał.

Żołnierz bez współczucia spoglądał na młodego człowieka.

- Ludzie uzbrojeni w stal zarzną ich jak bydło. Albo będą pożarci przez zwierzęta, doprowadzone głodem do szaleństwa.

- Zawsze jest szansa - odezwała się kobieta ze starymi bliznami po piętnowaniu na obu policzkach. - Jeśli będziesz dobrze walczył, tłum może darować ci życie.

Żołnierz parsknął, a Nico przełknął ślinę mimo ściśniętego gardła. Pomyślał o tej młodej kobiecie, najwyżej dwudziestoletniej, teraz śmiertelnie przerażonej. To mogłaby być Serëse albo każda inna dziewczyna, jaką znał jeszcze w domu. Co to za świat, gdzie ludzie chcą oglądać innych ludzi dla zabawy rąbanych na kawałki?

Z areny dobiegł krzyk. Kobiety. Stadion ucichł.

Jej błagania o litość docierały aż do klatki - aż umilkły nagle. Wszyscy więźniowie spojrzeli na wrota, by uniknąć patrzenia sobie w oczy - nawet zgorzkniały żołnierz.

Mnich krzyczał. Nico nie rozróżniał słów, choć głos brzmiał gniewnie i z pasją.

Zabrzmiał dźwięk jakby ze straganu rzeźnika, potem drugi. Tym razem tłum nie krzyknął.

Nico osłonił ramieniem głowę. Z każdym uderzeniem serca czuł ból pulsujący od ran. I znowu starał się myśleć o czymś innym, by zająć umysł.

Myślał o Ashu i o tym, jak jego mistrz nie przybył, by uratować go przed tymi potwornościami.

A może przybył i teraz leżał martwy, zabity, gdy próbował ocalić ucznia.

Ale Nico nie mógł w to uwierzyć. W rzeczywistości uważał starca za niezwyciężonego, jak siła natury - a przecież nie da się zabić siły natury, można tylko czekać, aż sama odejdzie.

Więc gdzie teraz jesteś? - pytał mistrza.

A może Ash wcale nie próbował? Może jakiś aspekt kodeksu

Rōshun nie pozwolił mu przyjść Nicowi z pomocą? Ten kodeks nie dopuszczał aktów osobistej zemsty, może więc nie pozwalał na osobisty ratunek, nie wtedy, kiedy pilniejsza była wendeta?

Powinienem cię opuścić, póki jeszcze mogłem, myślał Nico. Powinienem skorzystać z tej szansy, wrócić do domu, do matki...

Przez chwilę przeklinał tamten dzień, kiedy Ash pojawił się w jego życiu. Ale tak naprawdę była to powierzchowna emocja i szybko ją stłumił. Nie chciał, by ogarnęło go rozgoryczenie w chwili, kiedy znalazł się już tak blisko końca. Ash był dla niego dobry. To wina Nica, że pozwolił, by sprawy tak się potoczyły.

Wspomniał Serēse. Nigdy by jej nie poznał, gdyby nie jego mistrz. Ale myśli znowu zeszyły na manowce: wyobraził sobie, jak jego przyjaciel Aléas oszłamia dziewczynę swoim urokiem, jak uwodzi ją zaraz po śmierci Nica. Wyobraził sobie, jak oboje będą go wspominać: kiedyś był przyjacielem, dziwny chłopak, ale miał dobre serce, i jakie to smutne wspomnienie, nawet teraz, po latach, że zginął w tak straszny sposób. Bardziej powinniśmy się starać, by go uratować, powiedzą sobie, zanim wrócą do pięknego łóża, żeby wypocić żal.

To znowu gorycz, uświadomił sobie Nico. Zwykle nie miał jej w sobie, a przynajmniej chciał w to wierzyć. Ale matka miewała czasem takie nastroje. Może to prawda, co ludzie mówią: człowiek zawsze przejmuje coś od rodziców, choćby nie chciał.

Ktoś przemawiał do tłumu na stadionie: kobiecy głos, mocny i władczy. To pewnie sama matrona... Mówiła coś o Rōshun... Mówiła o nim, zrozumiał nagle Nico.

Słodka Erēs, przecież nie jest jeszcze gotów! Nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie.

Podszedł strażnik i przez pręty szturchnął go w obolałe żebra. Nico skulił się, wciąż kryjąc głowę pod ramieniem. Inny strażnik uderzył go w plecy.

- Dobra! - warknął Nico i wstał z trudem.

Zmusili go, by wyszedł z klatki. W przejściu u jego stóp wylądowała czarna szata, którą musiał włożyć, choć niemal przy tym zemdlał. Potem dali mu miecz i tarczę. Strażnicy przypięli mu tę tarczę do przedramienia, powyżej bezużytecznej dłoni. Pracowali

spokojnie i skutecznie, jak zmęczeni poganiacze, którzy cieszyli się, że zbliża się koniec pracy. Nico zauważył, że unikają jego wzroku.

- Nie broń się za mocno - zasugerował jeden z nich, tuż przy jego uchu. - Pozwól, żeby załatwili cię szybko.

Wrota rozwarły się przed nim, ciężkie od jaskrawego światła dnia. Nico osłonił oczy.

Ogarnęła go przeszywająca niepewnością groza. Strażnicy wypchnęli go za bramę.

Słońce świeciło nad głową, choć cienka warstwa chmur osłabiała jego blask. Mgła, którą zauważył podczas przejazdu na Shay Madi, teraz zniknęła, choć nadal wyczuwał pod bosymi stopami wilgoć piasku. Odór rzezi unosił się w powietrzu, oblepiał język, dławił w krtani.

Nico widział smugi krwi na piasku, prowadzące do różnych zamkniętych bram wokół areny.

Rozejrzał się wokół i zobaczył tysiące twarzy czekających niecierpliwie na widowni.

Przez jedną chwilę pozbawioną tchu ich spojrzenia pożerały go tam, gdzie stanął. Ktoś się roześmiał i zaraz potem śmiali się wszyscy, a kakofonia pohukiwań była niczym koszmar, który nagle stał się rzeczywistością. Nico skulił się w sobie. Wstyd zwyciężył z paniką.

- Przybyłeś tu, żeby nas zabić, mały Rōshunie! - zawołał ktoś. Nico odwrócił się i spojrzał na samą matronę w imperialnej łoży, w otoczeniu akolitów i kapłanów. - Teraz zapłacisz za swoją porażkę.

Cisza zapadła w wielkiej misie stadionu. Cień przemknął po piasku: ptaki - czarne kruki - krążyły nad głowami.

Po przeciwnej stronie otworzyły się wrota. Nico usłyszał huk petard. Błyski rozjaśniły ciemną przestrzeń w głębi.

Stado wilków wypadło na arenę.

Nico cofnął się mimowolnie.

Żołnierze stali na ogrodzeniu wokół areny, i tak zbyt wysokim, by się wspiąć. Brama przed nim była teraz szczelnie zamknięta.

Nico naliczył sześć wilków. Z początku poruszały się dość chaotycznie, ale po chwili go zauważyły. Rozbiegły się i ustawiły wokół areny - ale zmniejszyły dystans.

Nico mocniej ścisnął miecz. Machnął nim, sprawdzając ciężar - to



była klinga tnąca, cięższa przy końcu. Niekiedy Baracha kazał im ćwiczyć taką prostą bronią.

Ruch zwrócił na niego uwagę: wilk rzucił się ku niemu, wyrzucając piasek spod łap, z wywieszonym jęzorem.

Nico nie miał gdzie uciekać.

Rozstawił nogi, by zachować równowagę, i podniósł tarczę. Całej siły woli wymagało, by stać tak w miejscu naprzeciw szarżującego zwierzęcia. Całkiem możliwe, że był to najodważniejszy czyn jego życia.

Machnął mieczem, niemal tracąc balans. Wilk kłapnął zębami na klingę i odskoczył, pozostawiając po sobie zwierzęcy odór.

Następny zaatakował z prawej. I znowu Nico nerwowo ciął mieczem i chybił odrobinę, kiedy zwierzę odskoczyło poza zasięg.

Teraz trzy zbliżały się powoli od przodu. Strużki potu zaczęły spływać mu po skórze, jak gdyby ktoś oblał go letnią wodą. Nico cofnął się do zamkniętej bramy. Tłum wył, czekając na krew.

Gdzieś w głębi umysłu Nica pojawiło się nagle miejsce spokoju, zakątek opanowania, do którego natychmiast się wycofał. W myślach odetchnął głęboko, co dało mu dość swobody, by się zastanowić, co tym wszystkim ludziom przychodzi z takich rzezi.

Echa tego powszechnego śmiechu wciąż rozbrzmiewały w pamięci. Wspomnił gorzkie chwile w szkole, kiedy dzieci śmiały się z nieszczęścia kolegów. To był okrutny, złośliwy śmiech, bez śladu współczucia. Zdarzało się czasem, że sam się do niego przyłączał.

Przypomniawszy sobie mnicha, który niedawno wykrzykiwał coś gniewnie do tłumu. Tysiące ludzi, a tamten człowiek był chyba jedynym zdrowym na umyśle.

To była prawda i kiedy to zrozumiał, poczuł wstyd za ich drwiny. Skierował się na zewnątrz, ku samemu tłumowi. Nico wstydził się za nich - za ich pragnienie, by oglądać śmierć innego człowieka i cieszyć się z niej.

W głębi serca wszyscy jesteśmy okrutnymi dziećmi, pomyślał.

Krew uderzyła mu do głowy. Zaciśnął szczęki, a połamane zęby posłały przez całą głowę promienie bólu. Przyszło mu na myśl, że pozwolić się przerazić w tej sytuacji, cofnąć się to skazać się na porażkę, ustąpić. Lepszy jest gniew, uznał. Lepiej stanąć do walki.

Sześć wilków zaatakowało.

Nico wahał się przez moment, ale nagle nastąpił w nim przełom. Pamięć szkolenia połączyła się z rozpaczą.

Stęknął, odepchnął się od wrót i chwiejnie ruszył naprzód, by spotkać się ze zwierzętami w bezpośrednim starciu - jak by to zrobił Ash.

Wilk ruszył do ataku z lewej strony, tak szybko, że zostawiał za łapami półksiężycowe smugi piasku. Nico trafił go w pysk tarczą i obaj odbili się od siebie po zderzeniu; Nico odzyskał siły tylko dzięki bólowi, który eksplodował w złamanej ręce. Ciął mieczem drugiego wilka, który skoczył z prawej; powietrze głośno wydobywało się z gardzieli zwierzęcia.

Ostrze rozrąbało mu czaszkę.

Zbliżył się do grupki trzech bestii, zwolnił kroku i mocno kopnął w ziemię, wyrzucając im prosto w oczy chmurę piasku. Oślepiło je to dostatecznie, by przystanąły na chwilę, potrząsając łbami - i wtedy wpadł między nie; kłuł i rąbał mieczem, walił tarczą i szczęśliwie nie czuł, jak zęby i pazury rozrywają mu ciało.

Potem Nico już niewiele sobie uświadamiał, gdyż ogarnęła go krwawa gorączka.

Pamiętał, że zatrzymał jednego z wilków w miejscu, wydając z gardła zwierzęcy warkot.

Pamiętał, jak rąbał innego, aż zwierz został poćwiartowany na kawałki. Pamiętał, jak któryś głęboko wbił zęby w jego udo, a on równie wściekle ugryzł napastnika, jego miecz zaś kłuł i kłuł...

A potem klęczał na piasku i z wysiłkiem wciągał powietrze do płuc, i nie był zdolny do niczego, gdyż wyczerpał już wszystkie siły.

A dookoła leżały wilki, martwe albo konające.

Na stadionie zaległa absolutna cisza, zakłócana tylko jego własnym ciężkim oddechem i dyszeniem leżącego niedaleko wilka. Wizja zguby przemknęła mu przez myśli i zniknęła.

Nie zdawał sobie sprawy z własnych ran, kiedy uniósł głowę i spojrzał na matronę, która wpatrywała się w niego ze swojej łoży. Nawet z tej odległości widział jej rozdziawione w zdumieniu usta.

Usłyszał rytmiczny krzyk rodzący się w tłumie widzów. Nie miał pojęcia, co to znaczy.

Zauważył akolitę, który przeciskał się między widzami, by dotrzeć do władczyni.

Wykrzyknął jej coś do ucha, a ona znowu zerknęła na Nica. Wyjęła zza pasa zakrzywiony nóż, a on patrzył, jak wbija go głęboko w brzuch pośląca. Wciąż z nożem w dłoni, z ciemnym, wilgotnym ostrzem, odwróciła się do areny.

- Spalić go! - zabrzmiał jej głos. - Spalić go żywcem!

Burza protestów wezbrała w tłumie widzów. Ale matrona stawiała jej czoło i się nie zachwiała.

Akolici wybiegli z wielu bram wokół areny. Otoczyli Nica, kierując w niego miecze, by nie mógł się ruszyć.

Ale i tak by nie mógł. Pochylił się, wsunął twarz między kolana i z trudem wciągał powietrze. Nie myślał o niczym prócz tego, by odzyskać oddech.

Kiedy znów uniósł głowę, zobaczył, że pośrodku wielkiego placu układają wielki stos.

Strażnicy i żołnierze ustawili się w linię i podawali sobie deski oraz szczapy drewna. Wokół stadionu ludzie nadal wykrzykiwali protesty. Napierali na pierścień żołnierzy, niektórzy nawet rzucali przedmioty.

Stos rósł coraz wyżej.

## ROZDZIAŁ 29

### Burza w górach



**C**hé zbudził się, czując paskudny posmak w ustach i dudnienie w głowie, jakby pił mocne trunki, choć wiedział, że tak nie było. To działanie soku jagód, który rozsmarował sobie na czole wiele dni temu.

W oddali usłyszał ostry trzask, potem następny - strzały. Otworzył oczy i przekonał się, że panuje wieczór. Nad głową pojawiały się już coraz jaśniejsze gwiazdy.

Ché jęknął i podniósł się z wysiłkiem. Zachwiał się, potknął i przewrócił na plecy. Potem jęknął znowu i rozejrzał się dookoła. Znał to miejsce.

Był u wylotu górskiej doliny. Obok niego na wietrze kołysały się ciężkie od jagód gałęzie krzewu. Zamrugał. Zmierzch zapadał szybko, ale Ché dostrzegął jeszcze szeroki strumień, wijący się dnem doliny. Podążył wzrokiem wzdłuż jego biegu, jednocześnie wciągając w nozdrza lekką bryzę: czuł zapach czarnego prochu i płonącego drewna. Wiedział, co tam zobaczy - klasztor, otoczony lasem kloszowych drzew.

Budynek stał w płomieniach.

Ché zobaczył strugi ognia, kierujące się ku klasztorowi z różnych stron: to artyleria prowadziła ostrzał poprzez zmierzch, wyrывая z budynków fontanny płomieni i odłamków, i uzbrojeni w długie

strzelby snajperzy, strzelający z wysokich urwisk po zachodniej stronie.

Płomienie szybko się rozpały. Na tle ich blasku plutony komandosów wchodziły do lasu kloszowców. Huczał dzwon.

Ché zaburczało w brzuchu - to wspomnienie spędzonych tu dni, kiedy taki sam dzwon wzywał na kolację.

Chmury przeciskały się nad szczytami gór i jedna po drugiej przesłaniały gwiazdy.

Ché zatrzymał się na skraju lasu.

W cieniu pod drzewami toczyła się bitwa. Widział błyski wystrzałów przeciwko mieczom, widział postać w czarnej szacie, wycinającą sobie przejście przez szereg komandosów, podczas gdy ich porucznik wrzeszczał, by go otoczyli i zlikwidowali. Po lewej stronie, gdzie chyba znajdowała się główna brama, słyszał odgłosy większego starcia.

Dźwięczała stal na tle brzydkiego trzasku strzałów. Krzyczeli ludzie.

Drgnął, kiedy eksplozja rozerwała wieczorny zmierzch. Podniósł głowę i zobaczył, że górna część wieży - gdzie, jak wiedział, mieszkał stary Oshō - rozpada się w chmurze pyłu.

Ktoś krzyknął przeraźliwie, trudno powiedzieć: z bólu czy z wściekłości.

Ché się wycofał. Jego oczy nie chciały już oglądać zniszczenia. Wpatrywał się w ziemię pod nogami, chwilami oświetlaną dostatecznie, by ukazać kępy trawy i pasy cienia. Ominął granicę lasu i znowu trafił nad strumień. Skręcił nad brzegiem i ruszył w górę, pozostawiając klasztor za sobą.

Po chwili zobaczył to, czego szukał: małą chatkę Wróza.

- Witaj, Ché - odezwał się Wróż w handlowym. Przykucnął przed drzwiami chaty.

Przynajmniej imię Ché było prawdziwe, kiedy tutaj żył, nawet jeśli on sam był kłamstwem.

Przystanął. Poszukał wzrokiem broni przy wiekowym Wrózu albo jakiegokolwiek znaku przyczajonego w chacie Rōshuna.

- Co u ciebie? - zagadnął spokojnie starzec.

Z dołu znowu rozległ się głuchy huk wystrzału. Ziemia zadrżała pod stopami Ché; otrząsnął się i odpowiedział - choć tylko

wzruszeniem ramion. Tak naprawdę sam nie wiedział, co u niego.

Stary wędrowiec kiwnął głową i poklepał ziemię obok siebie. Ché zawahał się, jakby nawet trawa mogła skrywać zagrożenie. Bardzo ostrożnie usiadł obok Wróza.

Razem patrzyli na bitwę w dole.

- Zastanawialiśmy się, gdzie zniknąłeś - odezwał się Wróż swoim wysokim, słabym głosem. - Ale teraz już wiemy.

Ucisk w piersi Ché...

- To nie był mój wybór - zapewnił.

- Nie spodziewałem się, by był. Dostrzegłbym to w tobie, gdybyś był takim, który łatwo zdradza.

Ché spuścił głowę.

- Nie osądzam cię. - Wróż poklepał go po ręku. - Robimy to, co musimy. Ale powiedz mi, proszę: jak sobie radziłeś od czasu, kiedy ostatni raz siedzieliśmy tak i rozmawialiśmy?

Ché podrapał się po karku. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć temu człowiekowi, którego tak dobrze znał w innym życiu. Przez chwilę nie rozumiał nawet, co tutaj robi, że rozmawia z nim swobodnie jak z przyjacielem. Ale gdy usłyszał trzaski wystrzałów w dole, przypomniał sobie, czemu jest tutaj, a nie tam.

- Kiedy tu żyłem - powiedział - prawie każdej nocy śniło mi się, że jestem kimś innym. A teraz jestem tym człowiekiem naprawdę i co noc śnię o tym, że znów jestem tym, kim byłem tutaj. Zostałem rozdarty przez własną przeszłość. Nie zdołam od tego uciec, choćbym się starał.

- Źle to rozumiesz, Ché. Nie możesz uciec od własnej przeszłości. - Wróż nachylił się i Ché poczuł odór jego oddechu. - Możesz tylko siedzieć, aż osiągniesz spokój, i czekać, aż ona sama cię opuści.

- Staram się. - Ché westchnął. - Medytuję tak, jak się tutaj nauczyłem, ale wciąż jestem rozdarty.

- Co z twoim Chan? - zapytał starzec, jakby było to istotne. - Czy jest tak silne, jak je zapamiętałem?

- Moje Chan? - W głosie Ché wyraźnie zabrzmiało zniechęcenie. - Jeśli nawet posiadałem kiedyś coś takiego, już dawno to roztrwonilem. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz, starcze.

- Wiem, kim jesteś - oświadczył wędrowiec. Mówił z całkowitą

pewnością.

- Więc mi powiedz.
- Jesteś śmiechem z głębi samego siebie.
- Dziś wieczorem nie mam ochoty na zagadki.

Kąciki ust starca drgnęły lekko. Spojrzał na płonący klasztor i spoważniał.

- Kiedy pierwszy raz tu przyszedłeś, nie dostrzegłem cię. Nie poświęcam uwagi takim sprawom, ponieważ wy, młodzi, jesteście niczym motyle latem, stale przychodzicie i odchodzicie. Zauważyłem jednak, w pewne dni, kiedy powietrze było spokojne albo wiatr wiał w odpowiednią stronę, że od klasztoru dochodzą do mnie strzępy śmiechu. Na ogół śmiech, jaki tutaj słyszę, jest raczej opanowany albo sztuczny, przeznaczony dla publiczności.

Ten jednak był inny i łatwo wpadał mi w ucho. Był... jakby to powiedzieć... tak naturalny, spontaniczny... Jak u radosnego dziecka.

Wróż pokiwał głową, jakby zgadzał się sam ze sobą.

- Zadałem więc sobie pytanie... Zapytałem siebie, kim jest ten, którego słyszę, jak śmieje się tak radośnie? I pomyślałem o wszystkich, którzy byli tam jako Rōshuni, wszystkich, o których wiedziałem... i wciąż nie miałem pojęcia. Czekałem więc. Odpowiedź zawsze nadchodzi, jeśli czeka się dostatecznie długo, zauważyłeś? I nadeszła. Pewnego dnia twój mistrz przyprowadził cię do mnie, żebym zajrzał do twojego serca i powiedział mu, co zobaczyłem. Natychmiast rozpoznałem w tobie twórcę tego śmiechu. Miałeś w sobie humor, Ché, pomimo swoich demonów.

Płomienie wzbity się teraz z dachu północnego skrzydła klasztoru. Palił się refektarz. Ché pomyślał o setkach posiłków, jakie tam spożywał, rozmawiając albo słuchając innych.

- Co słychać u mojego dawnego mistrza? - zapytał cicho.
- Shebec? Nie żyje.

Ché zeszywniał. Poczuł, jak ogarnia go chłód i otepienie.

Ogień rozprzestrzenił się szybko; iskry strzelały na wszystkie strony. Płomienie oświetlały zagajnik kloszowców na środku dziedzińca. Z tego miejsca obaj mężczyźni widzieli gałęzie spowite dymem i drzewa kołyszące się w falach żaru.

- Czy oni wygrają? Ci twoi? Moje stare oczy nie widzą już zbyt

dobrze.

- To przecież ty jesteś Wróżem.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy starca.

- Rōshuni - rzekł Ché - walczą mężnie.

- To dobrze.

- Nie przyłączysz się do nich?

- Ja? Jestem już za stary, żeby walczyć.

Zamilkli obaj. Zaszklonymi oczami Ché obserwował odbicia płomieni, rzucające na podbrzusza niskich chmur. Myślał: to był kiedyś mój dom, chyba jedyny dom, jaki miałem w życiu.

- Zabiją cię, jeśli tu zostaniesz - ostrzegł.

- Wiem.

Runęła część dachu. Płomienie sięgnęły wyżej.

- A moi ludzie - rzekł Wróż - zabiją cię, jeśli to oni zwyciężą.

- Tego się spodziewam - zgodził się młody człowiek.

Stary Wróż zachichotał ironicznie. Jeszcze raz poklepał Ché po ręce.

- W takim razie posiedź tu ze mną jeszcze trochę. Zobaczymy, co się stanie.

Ash spóźnił się i wiedział o tym.

Wdrapał się wyżej, pozostawiając pod sobą ostatni rząd siedzeń, najwyższy i najdalszy od areny stadionu. Wspiął się na zardzewiałą drabinkę przymocowaną do zewnętrznego muru; mijał poplamione guanem gargulce i posągi imperialnych sław. Jeszcze przed chwilą stali tam żołnierze, ale teraz zeszli, by powstrzymać wzburzonych widzów; na widowni ludzie zaczęli rzucać w strażników śmieciami i żądali, by uznano ich wołanie o litość dla więźnia.

Ash był osłabiony chorobą i już dawno wyczerpał wszystkie siły. Wspinał się jednak, ponaglany strachem przed tym, co trzeba będzie uczynić. Było tylko jedno, co mógł teraz dla chłopca zrobić - i wiedza o tym ciążyła mu swoją pewnością.

Nico walczył dobrze. Ash zdążył zobaczyć jego starcie z wilkami. Równocześnie przez cały czas rozglądał się po stadionie, próbując wpaść na jakiś pomysł, jakiś sposób, żeby ocalić młodego ucznia. Nic nie przyszło mu do głowy.

Nadzieja zbudziła się, gdy Nico - wbrew wszelkim oczekiwaniom - zdołał jakoś zwyciężyć i zdobył podziw tłumu. Teraz jednak sytuacja



zmieniła się znowu, powróciła do dawnego koszmaru. Matrona dowiedziała się o śmierci syna - to było jasne - i zapragnęła zemścić się na tym chłopcu na oczach wszystkich. Tak działa rozpacz, skutek przemocy. To była jego wina, uświadomił sobie Ash. To on zgotował chłopcu taki los.

W dole, na arenie, na szczycie stosu żołnierze ustawili słup i właśnie przywiązywali do niego Nica. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, co z nim robią; wznosił twarz ku niebu. Do słupa umocowano trzy długie łańcuchy. Akolici, z dłońmi zawiniętymi w gałgany, chwycili je za końce. Inni polewali stos drewna oliwą.

Ash wiedział, jak Mannijczycy robią takie rzeczy. Oblane oliwą drewno rozпали się szybko, nie dając ofierze szansy, by w dymie straciła przytomność. Przypalał go, a potem wywloką z ognia, jak tylko przestanie wrzeszczeć. Jeśli dobrze wybiorą moment - a w Q'os uważali to za formę sztuki, gdyż taka była natura tego miasta - ofiara będzie jeszcze żywa, z poczerniałym i odsłoniętym ciałem. Wtedy przybiją ją na widoku i zostawią, by umierała w cierpieniach.

Ash nie mógł na to pozwolić.

Jakby na dany znak, wokół stosu pojawili się ludzie w białych szatach, trzymający niezapalone żagwie. Zaczęli je odpalać, a żołnierze wokół ogrodzenia starali się odepchnąć napierające tłumy.

Ash dotarł w końcu na szczyt muru i przez kilka chwil leżał nieruchomo na twardym parapecie. Miał wrażenie, że imadło ścisnęło mu czaszkę, posyłając w głąb ciała kaskadę mdłości.

Rana na nodze otworzyła się znowu; czuł, jak energia go opuszcza i ścieka do buta, wypływa przez skórę. Sięgnął do kieszeni, poruszając tylko ręką; znalazł mieszek, wyjął kilka liści dulce i wsunął je do ust. Potem znowu oparł głowę o kamień. Nieruchomy, czekał, aż ból się cofnie.

Jak długo pamiętał, ludzie zawsze się skarżyli, że życie jest za krótkie. Często się nad tym zastanawiał, ponieważ dla niego - i to już od wielu lat - wydawało się o wiele, wiele za długie. Może doświadczył po prostu większej liczby inkarnacji niż większość - jak tłumaczyli to niektórzy mnisi Dao - a połysk na obrazie życia zwyczajnie się startł i Ash zbyt łatwo mógł spojrzeć poza niego. Może przysłała pora, by całkowicie przekroczyć ten krąg, jak poradziliby mu

mnisi.

Jak zwykle pełen zwątpienia, Ash nie był pewien, czy wierzy w takie rzeczy. Ale kto mógł wiedzieć naprawdę?

Wiedział za to - i wiedział bardzo dobrze - że już dawno powinien rzucić tę pracę, wynieść się na jakąś daleką górę, zbudować tam chatę i przeżyć w prostocie pozostałe lata.

Nie dałoby mu to szczęścia - szczęście było przecież elementem życiowego obrazu. Ale być może w końcu znalazłby spokój.

Ash oparł policzek o zimny beton i zamknął oczy. Mógłby teraz zrezygnować ze wszystkiego i nigdy nie stawać wobec tego, wobec czego będzie musiał stanąć lada chwila.

Chłopiec dobrze walczył.

Wspierając się na mieczu w pochwie, Ash wstał niepewnie. Zachwiał się i zamrugał, by wyraźniej widzieć. Odwrócił się w stronę areny, dalekiej i jakby nierzeczywistej.

Dym unosił się już z podstawy stosu. Akolici stali dookoła, szturchając go płonącymi żagwiami. Przywiązany młody człowiek zaczął się wyrwać.

Ash wyjął zabraną Aléasowi kuszę i starannie ułożył w rowkach dwa przyniesione ze sobą bełty. Broń nadawała się do walki na krótki dystans, ale bełty były ciężkie i z tej wysokości mogły wystarczyć.

Raz jeszcze spojrzął na Nica, po czym uniósł kuszę i wymierzył wysoko. Odetchnął głęboko i skoncentrował się na przepływie powietrza w płucach. Spokój obejmował ciało.

Nadeszła chwila - i wydało mu się to dziwne, nawet po tylu latach. Ten moment, kiedy nie czuł już, że oddycha, ale że to jego oddechem coś kieruje. Powoli wypuścił powietrze i poczuł, że palec naciska spust.

Bełt wystrzelił tak szybko, że Ash nie mógł nadążyć za nim wzrokiem. Nie zmienił pozycji, ale trwał nieruchomo; oczy odnalazły ciemny punkt, spadający łukiem z góry w stronę piasku areny.

Uderzył w słup tuż nad głową Nica. Ash zamrugał, by strzepnąć z rzęs krople potu.

Ściekał mu teraz z czaszki jak krew z otwartej rany i zmywał łzy.

Płomienie lizały już stopy chłopca. Wokół unosiły się kłęby dymu.

Nico krztusił się i szarpał, próbując się wyrwać.

Ash nabrał tchu. Opuścił kuszę o milimetr. Wypuścił powietrze. I strzelił.

Im bardziej Nico starał się odetchnąć, tym mocniej paliły go płuca. Kaszłał więc i próbował zerwać przykuwające go do słupa łańcuchy. Od dymu kręciło mu się w głowie, stopy unikały dotyku płomieni. Przez chwilę znów znalazł się w Bar-Khosie, na gorącym dachu, gdy z tyłu ponagliła go Lena. Miał wrażenie, że całe jego życie kręciło się wokół tego jednego błędu. Zrobiłby wszystko całkiem inaczej, gdyby tylko miał szansę.

Teraz zbliżała się śmierć. Dziwne, że pod sam koniec życie wydawało się tak wyraźnie realne. Kolory jarzyły się odcieniami, jakich nigdy dotąd nie zauważał; nawet żółty piasek przyciągał jego wzrok nieskończoną feerią światła i cienia. Słyszał pojedyncze głosy w wielkim gwarze tłumu, rozróżniał nawet słowa, odcienie znaczeń. Dlaczego świat nie mógł zawsze tak wyglądać, być tak bujny, tak ożywiony? Nico mógłby całymi dniami tylko siedzieć i go chłonać. Być może, pomyślał, tak to wygląda również wtedy, kiedy człowiek się rodzi.

Jaka szkoda, że całą tę barwność życia poznał dopiero w chwili śmierci. To właśnie to, uświadomił sobie, o czym tak często opowiadali daości. W każdym razie jego mistrz o tym mówił: że świat nieruchomieje, kiedy człowiek osiąga uspokojenie, i wtedy może go zobaczyć, wyczuć, pochwycić takim, jakim jest naprawdę: realny i odsłaniający się w nieskończoność.

Usłyszał, jak coś stuknęło o drewno nad jego głową, ale nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał na swoje stopy i zobaczył pod nimi morze nabierających mocy płomieni. Fala żaru ogarnęła go niczym gorąca woda. Spali się tutaj na śmierć - te płomienie pochłoną go żywcem.

Nico słyszał kiedyś opowieść o czasach, gdy Mannijczycy zaatakowali Nathal. Mnich z miasta Maroot usiadł na ulicy przed rezydencją najwyższego kapłana, oblał się oliwą, a potem ją podpalił; spłonął żywcem bez drgnienia, protestując przeciwko zbrodniom, jakie Mannijczycy popełniali na jego rodakach.

Jak ten człowiek tego dokonał, zastanawiał się teraz Nico. Jak

znalazł w sobie taki spokój?

Ogarniało go gorąco. Zamrugał, próbując coś zobaczyć. Wszystko było zbyt realne. Jakaś część umysłu nie chciała uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Ale nie była to ważna część - nie ta, która kazała cofać się przed ogniem, dusić się dymem, zapachem gotowanego mięsa, nie ta, która kazała mu krzyczeć i szarpać się w zwierzęcej panice.

Nico przewrócił oczami, rozpaczliwie szukając czegoś, na czym mógłby się skupić.

Akolici stali dookoła z płonącymi żagwiami, mrużąc od dymu oczy, ukryte za nieludzkimi maskami.

Ból płynący od stóp zbliżał się szybko do granicy agonii - a on wiedział, że jej nie zniesie. Dym przesłaniał już wszystko.

Odchylił głowę, próbując nabrać powietrza. Błękitne niebo, znikające na wschodzie chmury o konturach podkreślanych blaskiem słońca... A wśród nich, w czystych przestrzeniach między kłębami dymu, niespodziewany ruch czegoś ciemnego. Coś spadało ku niemu.

Patrzył na to, jakby zahipnotyzowany lotem.

Zszokowało go nagłe uderzenie i zaczął się krztusić ostrym smakiem krwi. Wzrok osłabł, skupił się na niewyraźnym słońcu albo czymś płonącym równie jasno. A potem i to rozwiało się i zniknęło.

## ROZDZIAŁ 30

### Rytuały



Chrapanie zbudziło ją wczesnym rankiem. Świat był jeszcze szary w szczelinie między zasłonami w jedynym niewielkim oknie w sypialni. Powietrze było nieruchome i cuchnęło seksem. Reese leżała w półmroku i obserwowała śpiącego Losa: cienkie zmarszczki na jego wtulonym w poduszkę policzku, rozchylone chłopięce wargi, jasne rzęsy. Pomyślała, że mogłaby go obudzić, sięgając ręką do krocza - odrobina miłosnej gry rozluźniłaby ucisk w piersi, ochłodziła krążącą niespokojnie krew. Ale się nie poruszyła.

Wpatrywała się tylko w belki stropu i usiłowała zrozumieć sny o synu. Kiedy pierwszy ciepły blask słońca zalał pokój, wstała cicho.

Otworzyła kuchenne drzwi i wpuściła koty do kuchni - chciała, by w chacie pojawiło się trochę życia. Udała irytację, kiedy ocierały się o jej gołe kostki, a ona myła się i szykowała do kolejnego dnia. Los przestał chrapać, kiedy został sam w łóżku. Zebrała jego ubranie, pachnące winem, wonnościami i dymem; wyszła na podwórze i rzuciła wszystko do drewnianej balii obok dużego kamiennego koryta pełnego deszczówki, której później użyje do prania.

Ptaki wyśpiewywały swoje melodie na tle tępego gdakania kur. Od wschodu światło dnia rozlewało się po niebie ponad drzewami i łąkami trzcinotrawy, nieruchomymi w bezwietrznym powietrzu. Reese stała z ręką opartą na biodrze i spoglądała w dal. Starła się

nie myśleć o niczym. Chciała tylko oddychać w tym czystym jasnym świecie, który wyrastał ze wspomnień nocy, i jego wyrazistością rozproszyć bezimienne lęki, nawiedzające ją w postaci snów. Czuła się pobudzona, jakby miała się rozplakać, gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

W chacie wróciła do zwykłych zajęć, a potem stanęła przed pokojem Nica. Otworzyła rozchwiane drzwi z jasnymi rysami na poziomie pasa i przyjrzała się podłodze, szukając czegoś, co mogłaby podnieść, odłożyć czy poprawić... aż znieruchomiała, znów wspierając rękę na biodrze, i zastanowiła się, co właściwie robi.

Stając się podobna do matki Cole'a, pomyślała. Przez całą noc tłukę laską o milczące ściany, żeby wypłoszyć z nich myszy, których nie słyszy nikt oprócz mnie, nikt nie widzi nawet śladu.

Reese nie pamiętała, kiedy ostatnio wchodziła do tego pokoju. Nie była pewna, co z nim zrobić, gdy Nico uciekł z domu do miasta - zostawić nietknięty i pozwolić sobie na nadzieję, że pewnego dnia syn wróci choćby z krótką wizytą, czy może pogodzić się z twardą rzeczywistością, do której - odkąd Nico odszedł z tym wędrowcem - uparcie przekonywał ją Los, a ostatnio chyba także jej własne sny, że chłopiec odszedł już na dobre.

Pokój wydawał się pusty nie tylko dlatego, że brakowało rzeczy Nica. Kiedy chłopak tu mieszkał, nigdy nie było tak czysto i porządknie, choć trzeba przyznać, że Nico był dość schludny. Pozostało kilka jego drobiazgów: mała świstawka na parapecie - zgubił ją dawno temu, a Reese znalazła po jego ucieczce - obok kilka gładkich, pokrytych plamkami kamyków z dna strumienia; w kącie jego wędkarstwo i przybory wędkarskie owinięte w płócienny pokrowiec. Łóżko było posłane tak, jak Nico zostawił je dawno temu: brzegi kołdry wsunięte pod siennik, róg złożony na poduszce.

Wszędzie pełno kurzu, co zauważyła teraz, kiedy przyjrzała się dostatecznie uważnie.

Wyszła pospiesznie, napełniła cebrzyk wodą z octem i wróciła do pokoju syna, by wszystko dokładnie pościarać. Pracowała, aż jej czoło pokryło się warstwą potu, a słońce weszło powyżej linii drzew, widoczne w mętnej szybie okna. Od czasu do czasu wzbierała w niej chęć, by się rozplakać, ale wtedy pracowała szybciej, aż zły

nastrój mijał; kolana ją bolały, gdy zmywała skrzypiące deski podłogi, a grzbiet protestował, kiedy wyciągała się, by dosięgnąć belek niskiego stropu. Odkurzenie zostawiła na sam koniec; podnosiła pamiątki po Nicu, by zetrzeć pod nimi, i pilnowała, by odstawić je dokładnie tam, gdzie stały wcześniej.

W końcu wyprostowała się i odgarnęła z twarzy wilgotne od potu włosy. Przyglądała się gładkim powierzchniom, aż nabrała pewności, że pokój jest należycie czysty.

Okno tkwiło naprzeciw, jasne teraz od słońca.

Reese otworzyła je szeroko i się cofnęła. Stała, składając dłonie, jakby czekała, aż coś wejdzie do wnętrza. Minęła chwila i nagle dmuchnął lekki wietrzyk; Reese odetchnęła głęboko, a poranne powietrze z jasnego świata gładziło jej twarz i wypełniało płuca.

- Mój syn - szepnęła i sama nie wiedziała, czemu łzy popłynęły jej z oczu.

Ciało leżało na marmurowym ołtarzu z ramionami skrzyżowanymi na piersi i zamkniętymi oczami. Zostało rytualnie obmyte przez posępnych, cichych kapłanów Mortarusa, tajemniczego kultu śmierci wewnątrz zakonu

Mann. Przez godzinę starannie ocierali zwłoki ściereczkami wybielonymi żółcią żywych piaskowych węgorzy - tą samą, która bieliła ich kapłańskie szaty, ich sztywne maski i proporce Mannu na ścianach. W ciszy świątyni jaskrawe ściereczki zanurzali w misie z wodą ciepłą jak krew, a zmarszczki na powierzchni poruszały świeżymi płatkami kwiatów przy krawędzi naczynia; potem ociekający materiał unosili w powietrze i wykręcali niemal do sucha. Przy wtórze rytualnego mamrotania przesuwali je po martwej skórze.

Kiedy praca dobiegła końca i kapłani Mortarusa odeszli w powolnej procesji, wśród pieśni i szelestu szat, wokół zwłok nadal unosił się zapach dzikiego lotosu. Rana na szyi została zaszyta - ciemna linia była prawie niewidoczna pod umiejętnie nałożonym kremem i pudrem. Nic jednak nie potrafili zrobić z grymasem na stężącej twarzy trupa.

To właśnie najtrudniej było znieść Sasheen.

- Co rozkażesz, matrono? - odezwał się cichy głos zza jej pleców.

Kapłan Heelas, osobisty zaufany Sasheen, stał z pochyloną głową

kilkanaście kroków od ołtarza. Wbijał wzrok z marmurową posadzkę, jakby unikał widoku klęczącej matrony i jej matki, która przysiadła z boku na drewnianym stołku.

Sasheen nie słyszała go, choć echa głosu zawisły w powietrzu i w końcu przeniknęły przez jej ból.

- Co? - spytała nieobecny głosem.

- Wzywałaś mnie, matrono.

Sasheen przetarła dłonią oczy i spojrzała przytomniej. Patrzyła na nieruchomą postać syna, jakby widziała ją po raz pierwszy; ciało było teraz zaledwie skorupą, pustą i pozbawioną treści. Zdołała tylko przelotnie rzucić okiem na twarz wykrzywioną w grymasie zgrozy.

Coś drgnęło wewnątrz niej. Plecy wyraźnie zeszywniały.

- Zatrzymaj wszystko - poleciła lodowatym szeptem.

- Wszystko, matrono?

- Wszystko - powtórzyła, a w jej głosie zabrzmiała energia, siła przecząca słabości łez. - Porty i mosty. Cały transport. Fontanny. Świątynie. Rozrywki, prace... Jeśli nawet nędzny żebrak wyciągnie ręce po jałmużnę, te ręce należy mu uciąć. Chcę, żeby wszystko się zatrzymało. Rozumiesz?

Sasheen odetchnęła, wyczuwając w powietrzu lotos.

- Mój syn nie żyje - powiedziała. - I wszyscy mają okazać mu szacunek.

Zaufany sługa Heelas złożył dłonie i odczekał kilka uderzeń serca, nim przemówił:

- Co z Augere, matrono? - zapytał.

- Tak, to też - odparła pośpiesznie Sasheen. - Wszystko. Augere upamiętnimy w bardziej odpowiednim czasie.

Kapłan milczał, wyraźnie oszołomiony. Zachował jednak spokój i po chwili skłonił głowę.

- Czy to... wszystko?

- Wszystko? Nie, wcale nie wszystko, Heelasie! Choćby trzeba było zburzyć całe miasto, ci ludzie mają być schwytani i doprowadzeni do mnie żywi. Przekaż Bushraliemu, że jeśli jego Regulatorzy nie wykonają tego, o co proszę, czeka go nowa kariera: eunucha w jednym z haremów Sentiatu. Czy to jasne?

- Absolutnie, matrono.



- Więc idź.

Kapłan odszedł z nietypowym dla siebie pośpiechem.

Sasheen zauważyła, że drżą jej palce. Zaciśnęła je w pięści.

- Uspokój się, moje dziecko. Uspokój się.

Matrona Sasheen zwróciła się do matki:

- Uspokoić się? Mój syn leży martwy, a ty każesz mi się uspokoić? Za te słowa powinnam kazać cię stąd wywlec i spalić żywcem.

Starucha siedziała na prostym stołku, składając półprzejryste dłonie.

- Jeśli od tego poczujesz się lepiej, zrób to.

Przez jedną chwilę Sasheen naprawdę nad tym myślała.

Bezładnie opuściła rękę. Znowu odwróciła się do syna, leżącego na ołtarzu tuż obok niej - na swoim ostatnim miejscu spoczynku, nim zostanie złożony w suchych podziemiach Hypermorum.

Zauważyła coś na jego piersi. Wyciągnęła rękę; długie paznokcie na moment zawisły nieruchomo, nim ostrożnie podniosła to z jego piersi, przy okazji zaczepiając o kręcony włos.

Potem przyjrzała się rzęsie na czubku palca - zadrżała i odleciała w powiewie jej oddechu.

Mój syn nie żyje, pomyślała Sasheen.

Nigdy dotąd nie zaznała takiego bólu. Przypominał rodzaj szaleństwa albo to uczucie ucisku, kiedy człowiek uświadamia sobie, że zapomniał o czymś bardzo ważnym, ale jest już za późno, by cokolwiek poprawić. Tyle że teraz trwało ono bezustannie, obejmowało każdą chwilę na jawie i we śnie także. Było dręczącą, bolesną i zwierzęcą grozą, która w końcu ją zadławi, jeśli nie zdoła jakoś jej uwolnić.

Poczuła wilgoć pod palcami - paznokcie wbijały się w ciało tak mocno, że przebiły skórę.

- Opanuj się, dziecko - odezwała się znowu starucha. - Jesteś matroną. Jesteś najdoskonalszym przykładem Mannu. Nie możesz pozwolić, by widziano cię w takim stanie.

Sasheen strąciła pomarszczoną dłoń, która spoczęła jej na ramieniu.

- Był moim synem. Moim jedynym dzieckiem.

- Był słaby.

Te słowa uderzyły ją jak policzek.

- Córko... - mówiła uspokajająco stara kobieta. Jej ton można by wziąć za przepraszający, choć taki nie był. - Chodź, usiądź koło mnie.

Sasheen się rozejrzała. W sali nie było nikogo, jeśli nie liczyć akolitów pilnujących dalekiego wejścia. Wszyscy stali odwrócenii do niej plecami.

Sasheen podeszła i usiadła obok matki.

- Ja też go kochałam - zapewniła starucha. - Był moim wnukiem, był z mojej krwi. Ale to nie po Kirkusie rozpaczasz, Sasheen. On zginął szybko i już nie cierpi. Rozpaczasz nad sobą.

Sasheen spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie. Nie potrafiła rozprostować palców.

Starucha zmarszczyła czoło.

- Musisz przystosować się do uczucia straty. Nawet dzikie zwierzę cierpi po śmierci swoich młodych. Ale jak każde zwierzę, musisz pokonać to i iść dalej. Możesz jeszcze urodzić następne dziecko. Bądź spokojna, ta żałoba to tylko przelotna słabość. Powinnaś jedynie pamiętać, kim jesteś.

- Mój syn nie był słaby.

- Ależ był, Sasheen, był. Jak inaczej mógłby tak umrzeć bez oporu? Rozpieściłyśmy go, ty i ja. Przez te wszystkie lata wydawało się nam, że uczymy go siły, gdy tymczasem on uczył się tylko, jak ukrywać swoje słabości. Gdyby nie zaślepiało nas uczucie, coś byśmy zauważyły, coś poprawiły... - Uniosła dłoń, nim Sasheen zdążyła zaprotestować. - Musimy wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Życie wszystkich nas rozpieściło, córko. W końcu władamy światem. Ale dla własnego dobra musimy uznać to za ostrzeżenie. W każdej chwili, póki oddychamy, otaczają nas wrogowie. I jeśli nie okażemy męstwa, ulegniemy im tak jak Kirkus, padniemy od noża, od trucizny. .. Chciałabyś zginąć jak twój syn, hm?

Sasheen milczała, wbijając wzrok w posadzkę.

- Nie. Tak właśnie myślałam. W takim razie złożę ci pewną propozycję. Poinformujemy Cinimona o nowym oczyszczeniu: nas samych i zakonu jako całości. Pozbędziemy się naszych wad, a przy okazji usuniemy z zakonu tych, którzy nie są godni, by podążać drogą Mannu. Może na swój sposób pomoże ci to przetrwać stratę.

Sasheen zamrugała. Niewiele widziała przez łzy.

- Może - zgodziła się słabym głosem i to dało jej uspokojenie, choć niewielkie: że mogła ulec woli matki, choćby na chwilę. - Może... - szepnęła znowu.

Osunęła się na zimną kamienną posadzkę i zaszlochała.

Starucha wstała. Zdjęła z ramion ciężki płaszcz i uklękła sztywno obok córki, jakby chciała ją pocieszyć. Ale narzuciła tylko płaszcz na jej głowę i ciało, tak że matrona przypominała teraz drżący kopiec na podłodze.

Stara kobieta zmarszczyła czoło.

Była czwarta rano, jak wskazywały uderzenia dzwonu w mannijskiej świątyni na południowym krańcu placu. Jakby na ten znak, pojawił się patrol miejskich strażników, niosących ślepe latarnie i nabijane kolcami pałki. Ich dowódca rozejrzał się, szukając oznak niepokoju, ale na Skwerze Kary o tej zakazanej porze nie zobaczył nikogo. Panowała cisza, jeśli nie liczyć dalekiego szczekania psa.

Jakiś cień cofnął się głębiej w zaułek i zaczekał, aż przejdzie patrol. Nastąpił ruch: jakaś ręka skinęła na kogoś, by wyszedł naprzód. Dwie postacie razem wysunęły się z ciemności i ruszyły przez plac.

Niemal bezszelestnie przebiegły boso po marmurowych płytach. Zatrzymały się na samym środku i spojrzały na wiszącą tam grozę: przybite do rusztowania spalone ciało młodego człowieka. Na szyi miał drewnianą deskę z wypalonym na niej jednym słowem.

Było zbyt ciemno, by je teraz odczytać, ale wiedzieli już, co mówi: „Rōshun”.

Jedna z postaci podsadziła na rusztowanie drugą, która wyjęła nóż i wzięła się do pracy.

Ciało opadło o parę centymetrów. Po chwili uwolniło się od rusztowania i uderzyło o ziemię.

- Niech to licho! - syknął Aléas, balansując na rusztowaniu. - Nie mogłaś go złapać?

Serēse uniosła głowę znad ciała. Grymas wykrzywił jej twarz.

- To dla mnie dość trudne - szepnęła. - Nie rozumiesz?

- Jasne. - Aléas zeskoczył na ziemię. - Za to dla mnie to najłatwiejsza rzecz na świecie.

Pochylił się, zerwał trupowi deskę z szyi i owinął go grubym

workiem. Potem stęknął i zarzucił sobie zwłoki na ramię.

Biegiem opuścili plac.

Wszędzie krążyły patrole. Ogłoszono zakaz przebywania na ulicach po północy.

Wcześniej słyszeli rozmowę o zamknięciu portów. Nikt nie miał prawa opuścić miasta.

Potrzebowali ponad godziny, by przejść przez całe Q'os, do terenów przemysłowych na południowo-wschodnim wybrzeżu. Tam spotkali się z mistrzem Ashem i mistrzem Barachą.

W tej okolicy budynki były w większości zrujnowane. Ogromne magazyny przykucnęły pod jasnymi gwiazdami - złowieszcze z wyglądu, przywodziły na myśl wejścia do jaskiń. Aléas i Serēse uniknęli wchodzenia między nie, wybierając drogę przez pas mokradeł - miejscami brnęli po kolana w zimnej wodzie i błocie. Dalej musieli się wspiąć na zbocze wydmy, czarne od sadzy.

Powierzchnia morza nocą lśniła przed nimi plamami luminescencji. Bryza dmuchała w twarze, świeża i słona. Aléas dyszał ciężko; ciało Nica stało się ciężarem, z którym ledwie mógł iść. Serēse nie zaproponowała mu pomocy.

Razem zeszli po drugiej stronie wydmy i dotarli do małej zatoczki, niemal całkiem ukrytej przed ludzkim wzrokiem. Baracha siedział tam przy niewielkim ognisku, żuł smołodrew i podtrzymywał obandażowany kikut lewej ręki. Kiedy usłyszał ich kroki, sięgnął po miecz.

- To tylko my! - zawołał Aléas.

Jego mistrz uspokoił się i odłożył broń na kolana.

Leżąca sylwetka poruszyła się, gdy podeszli: to był Ash, który zajął miejsce po drugiej stronie ogniska. Głowę oparł o swoją sakwę. Po chwili stęknął i z trudem usiadł.

Przez cały dzień zbierali drewno wyrzucone na plażę i układali je w stos - przynajmniej Aléas i Serēse, gdyż obaj Rōshuni ledwie mogli stanąć. Teraz Aléas ostrożnie ułożył ciało Nica na szczycie; kilka wygładzonych polan obluzowało się i potoczyło w dół. Ash podszedł bliżej, utykając. Niezręcznie zaczął zrywać z ciała workową tkaninę.

- Chyba lepiej to zostawić - zaproponował Aléas, kładąc dłoń na ramieniu wędrowca.

Ash ją strząsnął. Znieruchomiał dopiero wtedy, kiedy ciało zostało odsłonięte i mógł mu się przyjrzeć w blasku ognia. Syknął głośno i zachwiał się tak mocno, że Aléas musiał go podtrzymać.

Ash delikatnie musnął palcami poczerwiałe zwłoki. Natrafił na koniec bełtu z kuszy, wbitego w pierś chłopca.

Znieruchomiał na długie minuty.

Baracha podszedł, niosąc zapalone drewno. Bez większych ceremonii wetknął je do wnętrza stosu i przekręcił, jakby chciał mocniej rozpalić płonący już ogień. Stos zaczął dymić. Odstąpili wszyscy i po chwili dostrzegli pierwsze błyski ognia.

Baracha nabrał piasku i rzucił go w płomienie, recytując pod nosem jakieś słowa. Aléas podtrzymywał Serēse - oboje płakali otwarcie, pierwszy raz tego dnia. Płomienie obejmowały krzyżujące się polana i sięgały do ciała na szczycie. Wśród nich tańczyły kolory: jaskrawe błękity, żółcie i zielenie morskich minerałów, które zaschły na drewnie. Ze stosu strzelały iskry płonącego tłuszczu. Bryza unosiła odór palonego mięsa.

Po chwili stos zapadł się w sobie i pochłonął Nica.

W oddali, nad powierzchnią morza, pierwsze płomienie słońca przebiły się na mrocznym niebie. Nad horyzontem przesuwwały się cienie niewidocznych chmur.

Ash wyrecytował coś w swojej mowie. Powtórzył potem w handlowym, być może specjalnie dla swojego młodego ucznia. Jego oczy, choć pogrążone w cieniu, jarzyły się dwoma punktami ognia.

- Chociaż ten świat jest tylko kroplą rosy... - zadeklamował - ... mimo to... mimo to...

Ash polecił im zdobyć glinianą urnę owiniętą skórą, by wsypać do niej popioły.

Zmęczony, ostrożnie grabił szary pył, aż rozłożył go płasko na wypalonym piasku. Wtedy znieruchomiał i patrzył przez chwilę, jak cząstki popiołu unoszą się w resztkach żaru.

To dla jego matki, myślał, kiedy patykiem zgarniał popiół do naczynia. Wśród pyłu leżały rozrzucone kawałki kości i najmniejsze z nich zgarnął także. Potem zamknął urnę i schował w swojej płóciennej sakwie.

Miał też mniejsze naczynie, właściwie glinianą fiolkę wielkości

kciuka, do której przymocował rzemienną pętlę. Tam także wsypał nieco spopielonych szczątków i zamknął ją drewnianym korkiem. Potem przeciągnął rzemień przez głowę; fiolka zawisła mu na piersi jak pieczęć. Czuł na skórze jej ciepło.

Gdy wstawał, nagły ból przeszył mu czaszkę. Ash się zachwiał - ktoś mówił do niego, ale nie wiedział kto. Zatoczył się do tyłu i upadł.

Rozciągnięty na piasku, ledwie mógł oddychać. Szarpały go czyjeś ręce, głos pytał, czy dobrze się czuje, czy go słyszy. Ból uderzył znowu, mocniej niż kiedykolwiek. Ash zacisnął zęby i krzyknął w swoim szorstkim języku. A potem zapadł w nieświadomość.

>

## ROZDZIAŁ 31

### Konsekwencje



**N**ie było drogi ucieczki.

Po śmierci jedyne go syna matrony Sasheen zamknięto wszystkie porty. Przy głównych arteriach miasta, a także wielu pomniejszych ulicach ustawiono posterunki kontrolne.

Strażnicy miejscy porównywali twarze przechodzących z trzymanymi w rękach rysunkami.

Ludzie opowiadali, że Rōshuni przybyli do miasta - jeden z nich to wędrowiec - zabili młodego kapłana i wciąż gdzieś się ukrywają. Niektórzy mówili, że to w akcie zemsty młody Rōshun został spalony żywcem na Shay Madi. Wszędzie krążyły patrole. Nocami obowiązywał zakaz przebywania na ulicy, pod karą śmierci. Oddziały wojska, dowodzone przez posępnych Regulatorów, wpadały do pokojów w hostaliach, do nielegalnie otwartych tawern, burdeli czy prywatnych mieszkań; żądali odpowiedzi, wyciągali z domów podejrzanym i stale kogoś szukali.

I jakby tego było mało, by zakłócić normalne życie miasta, wśród mieszkańców zaczęły krążyć pogłoski o zbliżającej się kampanii. Od wielu tygodni przybywali tu żołnierze, a ich rozległe obozowiska rosły na północnych i zachodnich krańcach miasta. Wokół nich stawały szataśy ludzi, jacy zwykle towarzyszą wojsku: handlarzy, prostytutek, rzemieślników i włóczęgów. W Pierwszej Przystani

gromadziła się wielka flota. Była większa niż jakakolwiek inna, która przetrwała w pamięci ludzi: głównie okręty liniowe, ale też mniejsze łodzie i transportowce.

Niektórzy twierdzili, że popłyną na Lagos, by zastąpić stacjonującą tam Szóstą Armię, ale uznawano ich za głupców i szybko zakrzykiwano - wszyscy bowiem wiedzieli, że teraz na wyspie potrzebny będzie tylko symboliczny garnizon. Lagos było nazwą wymawianą ostatnio szeptem. W następstwie nieudanego powstania, na osobisty rozkaz matrony Sasheen wyspa została spustoszona. Opowieści, jakie stamtąd docierały, mówiły o nagich polach śmierci bez żadnych śladów życia, usianych wielkimi stosami pogrzebowymi w miejscach, gdzie kiedyś leżały miasteczka i wioski - albowiem każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na wyspie zostało spalone. Nowym osadnikom z zatłoczonych miast Imperium proponowano tam działki ziemi.

Tysiące ludzi emigrowało.

Mądrzejsze głowy uznawały, że rozsądniejszym celem inwazji byłby Cheem. Być może matrona miała już dość tego, że statki handlowe padały ofiarą tamtejszych piratów. Mniej prawdopodobną możliwością pozostawały Wolne Porty - ryzykowne przedsięwzięcie, gdyż ich flota była najlepsza na świecie i od dziesięciu lat, mimo liczebnej przewagi Imperium, broniła się przed atakami.

Może więc spróbują zaatakować Zanzahar, podpowiadali zawsze dowcipnisie. Żartowali w ten sposób, gdyż to byłoby największym szaleństwem.

Q'os żyło więc niepewnością i domysłami. I choć pozostawało stosunkowo bezpieczne dla tych, dla których było domem, ulice stały się zdradzieckie dla pozostałych. Baracha ze swoim uczniem i córką, a także wciąż nieprzytomnym Ashem, dobrze wiedzieli, że są ścigani przez wrogów. Musieli stąd odpłynąć i to jak najprędzej.

Ale porty były zamknięte.

Nie mając innych możliwości, poszukali kryjówki. Planowali zaczekać, aż znowu zacznie się ruch na morzu - uznali, że to najwyżej kwestia tygodni. W końcu miasto żyło z handlu morskiego, niezbędnego mu do przetrwania. Nie mogło zbyt długo blokować wymiany towarów.



Znaleźli opuszczony skład w pobliżu zatoczki, nad którą spalili ciało Nica. Drewniana budowla też była częściowo spalona w dawnym pożarze, który zniszczył prawie całą północną i zachodnią ścianę. Ale od strony morza nadal zachowała dach, a wewnątrz znaleźli biura, wciąż w dość niezłym stanie.

Tam się ukryli, czekali i jak najlepiej opiekowali się Ashem.

Stary Rōshun zapadł w jakiś rodzaj nieświadomości. Oddychał płytko, ale regularnie, wydawał dźwięki i wcale się nie poruszał. Niekiedy jego powieki drżały, jakby śnił.

Przez większość dni Baracha siedział w magazynie i przez któreś z wybitych okien patrzył w morze. Kiedy indziej krążył po ograniczonej przestrzeni biura, przeklinając pod nosem utratę dłoni. Choć z pewnością przeżył straszny ból, radził sobie z nim na sposób Alhazii. Kikut przynajmniej goił się dobrze.

Rzadko zerkał na Asha, który wychudzony i bez życia leżał na posłaniu. Zdawało się, że stara się unikać starca w jego obecnym stanie, jakby trochę nim przerażony.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zachoruję, jeśli prócz ciebie nie będę miała żadnej opieki - stwierdziła pewnego ranka Serēse, dostrzegając ten brak zainteresowania.

Stary Rōshun leżał pod ścianą, a Baracha siedział przy oknie po drugiej stronie pokoju.

Dziewczyna trzymała nad ustami Asha zmoczoną ściereczkę, z której kapąła woda, więc nie widziała, jak ojciec odwraca się i przygląda jej spod zmrużonych powiek.

Może była wtedy za mała, uznał Baracha, i nie pamięta, jak jej własna matka przez cały tydzień leżała tak nieprzytomna, nim odeszła.

A może, odpowiedziało echo w jego myślach, pamięta aż za dobrze, tylko jest zwyczajnie silniejsza od ciebie...

I Baracha zrozumiał, że to prawda. Ta świadomość sprawiła, że poczuł się mały...

Odwrócił głowę.

Dni zmieniały się w tygodnie. Cała trójka była niespokojna, napięta, wszystkich dręczył smutek. Zaczęli na siebie warczeć. Często musieli uciszać wybuchające nagle kłótnie z obawy, że zdradzą swoją

obecność. Spierali się o to, kto zjada najwięcej żywności, pije najwięcej wody, kłócili się, kto powinien wieczorem opróżnić wiadro z nieczystościami, trzymać straż i wyglądać niespodziewanych gości albo gotować, albo pracować, albo kto powinien gdzie spać. Kłócili się nawet przy codziennej grze w sponta, w której zamiast pieniędzy stawiali swoje obowiązki albo żywność. Zdarzało się, że dochodziło niemal do bójek, gdy głośno oskarżali się nawzajem o oszustwa i zmywy - wszyscy byli wzburzeni, a przegrany odchodził nadąsany i urażony.

W samym środku jednej z tych gorączkowych dyskusji, pod sam koniec drugiego tygodnia, gdy wszyscy troje, czerwoni ze złości, wrzeszczeli na siebie nawzajem, jakiś głos odezwał się z kąta pokoju i poprosił, żeby się uprzejmię zamknęli.

To był Ash. Siedział na posianiu i z irytacją marszczył brwi.

- Mistrz Ash! - wykrzyknął Aléas.

- Tak - odparł Ash, jakby przyznawał, że to rzeczywiście on.

Przy zamkniętych portach, kiedy żadne statki nie mogły opuścić wyspy, tylko nieliczni kapitanowie skłonni byli zawinąć do Q'os z ładunkiem. A ci, którzy wpływali do portów, nieodmiennie sprzedawali towary po niebotycznych cenach.

W rezultacie żywność w mieście osiągnęła ceny, jakie mogli zapłacić tylko najbogatsi.

Piętnastego dnia blokady wybuchły rozruchy głodowe. Teren magazynów na północy miasta został wypalony do gołej ziemi. W innych miejscach szalały pożary, a na ulicach stanęły barykady. Na Skwerze Kary kawaleria dokonała szarży, zabijając dwieście osób żądających chleba, w większości głodnych kobiet i dzieci.

Następnego dnia otworzono porty.

Świątynia Sentiatu była dziś opustoszała; pozostali tylko ci, którzy mieszkali w jej murach. Zamknięto ją bowiem, jak wszystkie miejsca rozrywek w Q'os, by miasto mogło należycie odprawić żałobę po synu matrony.

Ché nie uważał śmierci Kirkusa za wielką stratę. Aż nazbyt dobrze znał takich jak on.

Kirkus był rozpuszczonym prostakiem, żyjącym iluzją własnej wielkości, wzbudzającym zamęt wszędzie, gdzie się pojawił. Cekał

tylko, aż matka ustąpi mu miejsca i będzie mógł zasiąść na tronie. Kto wie, jakie potworności sprowadziłby na świat, gdyby kiedykolwiek uzyskał pozycję świątobliwego patriarchy? Gdyby tego dożył, byłby pierwszym patriarchą zrodzonym i wychowanym do tej roli - poprzedni władcy z trudem wdrapali się na szczyt i trzymali się go ze wszystkich sił, dopóki mogli. Żaden jeszcze nie przeżył dość długo, by zostawić tron swoim następcom. Walki o władzę trwały przez cały czas.

Kiedy Ché wrócił w końcu do Q'os, był zaszokowany śmiercią Kirkusa. A właściwie nie samą śmiercią, lecz raczej tym, że Rōshunom udał się taki wyczyn. Jako zawodowiec musiał ich podziwiać: bezpośredni atak na samą Świątynię? Kiedy poznał raport, zdumiał go tupet takiego przedsięwzięcia. Nikt by tego nie przewidział, sam Ché również. Imperialni Dyplomaci szkolili się w użyciu bardziej subtelnych metod; nie planowali takich działań wprost.

Tutaj, w Świątyni Sentiatu, matka Ché była wstrząśnięta tym, co uważała za największą tragedię Imperium. W pewien sposób sądziła, że jest osobiście zaangażowana w sprawy Świątyni Szeptów, zwłaszcza te dotyczące matrony. Z pewnością wynikało to z łóżkowych rozmów, jakie prowadziła z kapłanami ze Świątyni. Ché wiedział, że przyjmowała klientów wyższej klasy niż większość.

- Twoja skóra wygląda dziś okropnie - stwierdziła, kiedy siedzieli przy fontannie na siódmym piętrze.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś, mammo.

- Zupełnie o siebie nie dbasz. Wyglądasz na wyczerpanego.

Odsunął twarz od gładzących go delikatnie palców.

- Wyjeżdżałem - odparł. - Z misją dyplomatyczną. Okazała się trudna.

- Ale wróciłeś wiele dni temu. Mam swoje źródła. Zdążyłeś chyba odpocząć przez ten czas.

Powietrze było tu chłodne, odświeżane szumiącymi cicho kaskadami fontanny. Ché widział swoje odbicie w wodzie, ale było rozmyte, niewyraźne, bez szczegółów. Przeciągnął czubkami palców po powierzchni i rozbił je.

- Nie śpiam dobrze - wyznał.

Przyjrzała się synowi uważniej. Czuł się niepewnie i unikał jej wzroku.

- Coś cię niepokoi?

Ché uniósł głowę. Po drugiej stronie sali siedziała grupa eunuchów; paplali coś między sobą. Ledwie ich słyszał wśród plusku fontanny, ale jednak zniżył głos.

- Mamo... - zaczął i urwał, walcząc ze słowami, które chciał wypowiedzieć. - Myślałaś kiedyś o tym, żeby opuścić to miejsce?

- Opuścić świątynię? - Zamrugła zdziwiona.

- Q'os, mamó, i zakon Mann. Myślałaś, że moglibyśmy porzucić to wszystko i żyć samotnie, tak jak chcemy?

Obejrzała się szybko na eunuchów.

- Opuścić zakon? Co cię opętało, że mówisz takie rzeczy? Miałabym porzucić mój dom, moich przyjaciół?

W jej oczach zapłonęło oburzenie. Ché odwrócił głowę.

- Synu, czy ci się to podoba, czy nie, takie życie mi odpowiada. Tutaj czuję się bezpieczna. Czegokolwiek zapragnę, mogę to otrzymać. W zamian w miarę możliwości pracuję dla dobra Mannu. Jestem tu potrzebna. Mam swoją wartość.

- Jesteś dziwką - odparł, nim zdążył się powstrzymać.

Policzek zabolął od uderzenia. Grupa eunuchów przerwała rozmowę i spojrzła na nich poprzez strumienie fontanny.

- Pilnujcie swoich spraw - ostrzegł ich Ché.

Natychmiast odwrócili głowy.

- Mamo - spróbował znowu, jeszcze ciszej. - Tutaj grozi ci niebezpieczeństwo. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. Jesteś tym, co im pozwala trzymać mnie jak na smyczy.

- Bzdura. Przez lata zyskałam wielu przyjaciół, Ché, ludzi na wysokich stanowiskach.

Znają moją lojalność wobec Mannu. Nie pozwolą, żeby stała mi się krzywda. - Zmrużyła oczy. - Ale czemu? Planujesz zrobić coś, co rozgniewa twoich przełożonych?

Ché zrozumiał, że znalazł się w niebezpieczeństwie, i powstrzymał język.

Nabrał dłonią wody i obmył twarz. To go otrzeźwiło, choć woda zostawiła na wargach dziwnie kwaśny posmak.

- Ostatnio żyję w napięciu - powiedział w końcu. - Może powinienem sobie znaleźć spokojniejsze zajęcie.

Wstał; krople wody wciąż ściekały mu po brodzie.

- Muszę już iść.

Wszelka podejrzliwość odpłynęła z twarzy matki.

- Tak szybko? Dopiero przyszedłeś!

Ché kiwnął głową. Przez moment miał ochotę wyciągnąć rękę i położyć jej dłoń na policzku - dotknąć, połączyć się, poczuć bliskość z tą kobietą, która pozostawała dla niego obca, nawet teraz. Wiedział jednak, że taki gest wyda się jej dziwny i że w ten sposób jeszcze bardziej się przed nią zdradzi.

- Zobaczmy się wkrótce, mamó. Uważaj na siebie.

Głos niósł ze sobą zapach przypraw. Nie był to ten sam piskliwy, jękliwy głos, który przemawiał do Ché przed wyruszeniem na Cheem, ani też szorstki baryton, któremu składał meldunek po powrocie. Ten głos był kobiecy i Ché słyszał go najrzadziej.

Mimo to go nie lubił. Żadnego nie lubił, ale tego najbardziej. Zawsze czuł niepokój, gdy słyszał go zza drewnianego panelu w mrocznej wnęce - stłumiony, wydawał się mroczny i pradawny, jak śmierć.

- Mam dla ciebie nowe zadanie - oznajmił teraz.

- Domyślałem się tego.

Prychnięcie, suche jak pieprz.

- Zapominasz się, Dyplomato. Powstrzymaj tę arogancję, bo dopilnuję, by ci ją przycięto.

Bierze moją niechęć za arogancję, pomyślał Ché. To typowe dla tych ludzi.

Opanował się jednak dostatecznie, by wymruczeć przeprosiny.

- No dobrze - powiedziała. - A teraz zadanie. Świątobliwa matrona opuści wkrótce Q'os.

Będzie wymagać, by w nadchodzącej kampanii towarzyszył jej Dyplomato. Taki jest nasz zwyczaj, na wypadek, gdyby jakieś dyplomatyczne działania okazały się niezbędne w armii.

Inaczej mówiąc, myślał Ché, na wypadek, gdyby któryś z generałów odmówił wykonania rozkazów albo próbował przejąć władzę. Ché miał zatem służyć matronie jako najemny zbir, groźba,

która wymusi posłuszeństwo podczas wyprawy.

- Czyli plany inwazji będą realizowane?

- Oczywiście. Śmierć syna osłabiła politycznie matronę; zwycięstwo w polu pomoże jej wzmocnić pozycję.

- Czego wymagacie ode mnie?

- Ach, zapominam czasem, że instruktorzy przekazują ci tylko to, co niezbędne. Może to już wiek, i mój umysł słabnie. - Znowu prychnięcie... Ché zrozumiał nagle, że to śmiech. - W takim razie ci wytłumaczę. Widzisz, mamy w zakonie tradycję, sięgającą pierwszych dni Imperium. Kiedy patriarcha albo matrona wyrusza w pole, zabiera ze sobą wybranego Dyplomatę.

- Dlaczego ja? - zapytał wprost.

- Nigdy dotąd nie zadawałeś takich pytań - mruknęła kobieta.

Ché ugryzł się w język. Zaczynało go to już niepokoić: te słowa, wypowiedziane, zanim je sobie uświadomił.

Zaczynał się rozsypywać, a co gorsza, miał wrażenie, że nie potrafi tego powstrzymać.

- Ty - powiedział głos - ponieważ większość Dyplomatów została już wysłana na Minos, by tam zacząć wczesne negocjacje, a także by wzmocnić przekonanie, że to Minos jest naszym celem. Ty, Ché, jesteś najlepszym z tych, którzy pozostali.

Być może nawet była to prawda.

- Moje zadania?

- Są proste. Masz być we wszystkim posłuszny matronie.

- To wszystko?

- Jest coś jeszcze.

Czekał. Zdążył się już przekonać, że jego opiekunowie najważniejsze elementy misji zostawiali na sam koniec.

- Matrona Sasheen podejmuje w tej wyprawie wielkie ryzyko osobiste - mówił głos.

Zawahał się, jakby zbierał siłę woli, by powiedzieć to, co musi być powiedziane. - Jeśli stanie się oczywiste, że wpadnie w ręce nieprzyjaciela... albo jeśli uzna, że wszystko stracone i spróbuje uciekać do domu... wtedy ty, młody Dyplomato, musisz ją zabić.

- Zabić?

- Zabić.

Ché obejrzał się, jakby w obawie, że ktoś podsłuchuje.

- Czy to jakaś próba?

- Nie. To rozkaz. Nie możemy ryzykować, że świątobliwa matrona zakonu Mann wpadnie w ręce Mercjan. Nie możemy też pozwolić, by uciekła z podkulonym ogonem.

Prestiż Imperium zbyt mocno by na tym ucierpiał. Albo zwycięży, albo zginie męczeńską śmiercią. Czy to jasne?

Słowa uwięzły mu w krtani. Zastanawiał się, ilu Dyplomatów przed nim, towarzysząc w polu świątobliwemu przywódcy, otrzymywało te same instrukcje. Być może każdy z nich - ponieważ nigdy jeszcze żaden przywódca nie wpadł w ręce wroga, ani też nie uciekł z pola bitwy.

I nagle wszystko, co Ché wiedział o strukturach władzy Imperium - i kto nim naprawdę rządzi - zatrzęsło się u samych podstaw.

- Tak, to jasne.

- Dobrze. A zatem ruszaj, moje dziecko.

## ROZDZIAŁ 32

### Ministerstwo



Mimo rozmiarów Ministerstwa Wojny, jego hole i korytarze wydawały się zwykle opustoszałe. Można było pokonać długą drogę z jednego końca budynku na drugi i z rzadka tylko zobaczyć inną osobę. Panowała tu cisza, jak w muzeum albo bibliotece. Niekiedy zza grubych drzwi z tekowego drewna dochodził pomruk głosów, a w holach dało się słyszeć głośne tykanie zegarów. W parku na zewnątrz szczekały psy i krzyczały bawiące się dzieci, lecz dźwięki te były stłumione przez okna w białych ramach, dzięki którym światło zalewało wnętrza. Setki szyb dygotało w rytm dalekiej kanonady.

W kluczowych punktach budynku rozstawiono strażników. Stali nieruchomo jak posągi, zwykle jakby nieobecni; czasem tylko obojętnym wzrokiem odprowadzali rzadkich gości.

Tak jak w tej chwili. Dwaj strażnicy znaleźli człowieka, który zmierzał w ich stronę, kierując się do gabinetu generała: był to pierwszy adiutant Creeda. Zwykle zjawiał się tutaj kilka razy dziennie. Dziś rano jednak jego twarz była bledsza niż zazwyczaj, a kroki wybijały rytm przyspieszonego pulsu. Kiedy się zbliżył, strażnicy zobaczyli na jego brodzie zielone kwadraciki liści grafu w miejscach, gdzie zaciął się przy goleniu; zwichrzone czarne włosy czekały jeszcze na uczesanie.

Osobisty sekretarz generała, młody Hist, uniósł głowę, gdy



mężczyzna przeszedł obok jego starannie uporządkowanego biurka. Sekretarz otworzył usta, ale uprzedził go jeden ze strażników przy drzwiach.

- Pańska sprawa, poruczniku Calvone? - zapytał, kiedy mężczyzna zatrzymał się lekko zdyszany.

- Nie teraz - rzucił Bahn i precyzyjnie się między nimi, zanim zdążyli się odsunąć.

- Pilna wiadomość, generale - oznajmił Bahn, gdy wkroczył do gabinetu z kawałkiem papieru w ręku.

Generał Creed, obrońca Khosu, nie zareagował. Z zamkniętymi oczami siedział w głębokim skórzanym fotelu, a stary służący Gollanse układał jego długie czarne włosy.

- Generale... - powtórzył Bahn.

I kiedy Creed znowu nie odpowiedział, westchnął i przypomniał sobie w myślach: nie można go poganiać.

Gollanse nucił coś pod nosem, kończąc pracę. Włosy generała w porannym słońcu wyglądały jak skrzydło kruka i tylko na skroniach poddawały się siwiźnie. Creed był dumny ze swojej grzywy; w czasie akcji nosił ją rozpuszczoną, gdyż nadawała mu młody wygląd, mimo zaawansowanego wieku.

Westchnął, gdy Gollanse poklepał go po ramieniu, dając sygnał, że skończył.

Creed wstał z fotela i po raz pierwszy spojrzał na Bahna.

- Melduj - rzucił.

- Wiadomość z Minosu. Od jednego z ich agentów na Lagos.

- Czytaj.

Bahn odchrząknął.

- „Z Ministerstwa Wywiadu, Al-Minos, sekcja zamorska. Generale Creed, informujemy, iż jednemu z naszych agentów w okolicach Lagos udało się przejąć imperialną przesyłkę.

Nadawca gratuluje admirałowi Quernmore'owi sukcesów w tłumieniu niedawnego buntu na wyspie, ale odwołuje jego wcześniejsze stałe rozkazy, by w takim przypadku Trzecia Flota natychmiast wracała do Q'os. Zamiast tego flota ma chwilowo pozostać na Lagos i oczekiwać dalszych instrukcji. Uważamy, że w jakiś sposób może to mieć związek z Wolnymi Portami”.

Bahn przeczytał już ten list kilka razy. A jednak poczuł, że palce zaczynają mu drżeć.

Uspokój się, człowieku. To może przecież nic nie znaczyć.

- Wiadomość wysłano nam ptakiem pocztowym cztery dni temu. Dotarła dzisiaj rano.

Generał Creed nie zdradził zdenerwowania, zresztą Bahn spodziewał się po nim spokoju.

Od śmierci żony, trzy lata temu, generał nie dziwił się niczemu, co następowało w niemającej końca wojnie z Mannijczykami. Jak gdyby nic nigdy nie mogło być tak złe, jak wieści, które otrzymał w dniu jej śmierci.

- Tak mi się wydawało, że ostatnio są za spokojni - mruknął generał. Założywszy ręce za plecami, stanął przy oknie wychodzącym na Tarczę.

Mimo znaczenia tych słów, chłodny głos generała ukoił nerwy Bahna. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo polega na zdolnościach przywódczych tego człowieka.

Jakby się zmienił w mojego ojca, pomyślał; a ja w małego chłopca.

Sięgnął po jedno z dwóch drewnianych krzesel przed biurkiem i usiadł na nim ciężko. Był innym typem człowieka niż generał. Hanlow z kchosyjskiego wywiadu zbudził go krótko po wschodzie słońca, po bezsennej nocy, kiedy wzburzone myśli Bahna jakoś nie chciały się uspokoić. Na progu swojego domu odebrał przesyłkę od wczesnego gościa; jej odszyfrowaną treść zapisano z boku kartki. Creed pewnie śpi, wyjaśnił Hanlow, a nie chciał zwyczajnie zostawiać mu wiadomości na biurku.

Bahn przeczytał i spojrzał Hanlowowi w oczy. Dobrze, powiedział. Zaniesie Creedowi wiadomość osobiście.

Kiedy posłaniec odszedł, proste zadanie związane z odszukaniem lewego buta zmieniło się w jednostronną kłótnię z żoną. Cierpliwość i spokój Marlee tylko mocniej roznieciły jego gniew; biegał po domu i rozrzucał rzeczy w poszukiwaniu zagubionego buta. Stopniowo ogarniała go wściekłość, uczucie całkiem dla niego nowe i zupełnie obce.

Odwrócił się i wrzasnął na Marlee - co było wyczynem tak zaskakującym, jakby ją uderzył. Jego syn wybiegł z pokoju, Ariale

zaczęła płakać w sypialni na piętrze.

Marlee chodziła za mężem, przemawiała do niego spokojnie i ani na moment nie zostawiała go samego. Obserwował sam siebie, jakby był pasażerem we własnym ciele, świadom swojego głosu rozbrzmiewającego głośno i ostro w coraz jaśniejszych pokojach ich domu, zaszokowany tym, co mówił do niej i do siebie, i wściekłością krążącą w jego ciele bez żadnego powodu.

W końcu Marlee chwyciła go mocno za ramię.

- Co to takiego? - syknęła.

Bahn zmusił się, by spojrzeć jej w oczy. I natychmiast się uspokoił. Co ja wyprawiam, pomyślał, odzyskując równowagę.

Odetchnął głęboko i jakby na przeprosiny pogładził ją po ręku.

- Może nic - powiedział cicho.

Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej pachnących jagodami włosach; objął dłońmi szczupłą talię.

W tym uścisku poczuł, jak wlewa się w niego całe znużenie wojną, jak gdyby lata starca nagle przelały się w ciało kogoś młodego, kto na to nie zasłużył. I znowu pomyślał: co ja wyprawiam? Ponieważ zdawało się, że wszystko, co w życiu kochał i co nadawało mu sens, tkwiło ukryte w odpowiedzi na to pytanie.

Marlee podniosła jego zagubiony but, który znalazła chwilę wcześniej. Oczy jej lśniły, kiedy zetknęli ze sobą czoła. Pocałował ją, a w dłoni wciąż ścisnął pomiętą wiadomość.

- Co pan o tym sądzi, sir? - zapytał Bahn i oblizał zaschnięte wargi.

- Dla mnie wygląda to na inwazję.

Stary żołnierz stał tak blisko okna, że para jego oddechu pokryła mgiełką szybę. Przetarł ją rękawem.

- Wygląda, to prawda.

- Na Khos?

Chwila zastanowienia.

- Możliwe. Nie zdziwiłbym się.

Słyszając to, Bahn poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

- Na litość, modlę się do Losu, żeby nie.

Creed milczał przez chwilę, spod zmrużonych powiek spoglądając na Tarczę.

- Ja też - mruknął. - Musimy zawiadomić Radę.

Bahn obserwował jego profil, zakreślony przez światło dnia. Przez chwilę, ledwie sekundę czy dwie, broda generała drżała lekko. A potem znieruchomiała.

## ROZDZIAŁ 33

### Wędrowiec



- **T**o wszystko nasza wina - oświadczyła Serēse, spoglądając przez okno powozu na mijane ślady zniszczeń, plamy krwi na ulicach, poczerńnięte budynki, z których wciąż unosił się dym.

Baracha przyglądał się jej zdziwiony. Ostatnio trudno mu było zrozumieć córkę. Siedzący obok Ash zdawał się pogrążony we własnym świecie. Mało się odzywał od swojego pozornego wyzdrowienia.

Powóz skręcił na wschód, w stronę Pierwszej Przystani, podążając krętą arterią znaną jako Serpentyzna. Ash gładził wiszące na jego szyi małe naczynie z popiołami - nieświadomie, jak się zdawało. Był wyraźnie zamyślony.

Uznali za zbyt ryzykowne, by rezerwować miejsca na statku pasażerskim, zmierzającym bezpośrednio na Cheem - Regulatorzy z pewnością pilnie obserwowali nabrzeża w nadziei, że po otwarciu portów Rōshuni wyjdą z kryjówek. Spotkali się zatem z alhazijskim przemytnikiem, znajomym Barachy, i zaproponowali mu sporą sumę za miejsca na jego szybkim żaglowcu. Zamierzał przerzucić ładunek drossu do Palo-Fortuna, skąd łatwo znajdą transport do Cheem. To było bezpieczniejsze rozwiązanie. Aby całkiem uniknąć kontroli, mieli dopłynąć na statek małą łódką wiosłową z nabrzeża przed prywatnym składem.

Woźnica szarpnął lejce i zełe stanęły. Po prawej stronie nabrzeże prowadziło do otwartej zatoki, gdzie na kotwicy stała flota. Powóz zakołysał się na resorach, kiedy cztery postacie w pelerynach z kapturami zeskokczyły po obu stronach. Baracha zapłacił woźnicy i ruszył za pozostałą trójką na brzeg, gdzie w wodzie kołysała się spora szalupa. Przy wiosłach siedziało sześciu brodatych marynarzy, niespokojnie rozglądających się po okolicy. Wiosła sterczały pionowo w górę.

Rōshuni zatrzymali się na moment, by spojrzeć na flotę.

- Ciekawe, dokąd wyruszą - zastanawiał się Baracha.

- Gdziekolwiek to będzie, już mi żal tamtych ludzi - odparł Aléas.

Marynarze czekali niecierpliwie. Nie mieli ochoty tutaj tkwić, kiedy ich statek był już załadowany i gotów do rejsu.

- Pamiętajcie - tłumaczył cicho Baracha swojej córce i Aléasowi. - Jesteśmy uciekającymi niewolnikami, a Ash to mnich, który eskortuje nas do misji na Minosie. Odzywajcie się tylko wtedy, gdy ktoś was zapyta i starajcie się nie rzucać w oczy.

Aléas i Serēse jako pierwsi zeszli do łodzi. Ze strony marynarzy nie padło nawet słowo powitania, tylko krótki rozkaz, żeby usiedli szybko i nie wchodzili w drogę. Ash trzymał się z tyłu, wciąż gładząc zawieszoną na szyi fiolkę.

Baracha podszedł, by wsiąść także, ale zatrzymał się z jedną nogą na brzegu. Burknął coś, co brzmiało jak przekleństwo, i wrócił do Asha.

- Nie płyniesz z nami, prawda?

- Nie, chyba nie.

Alhazii odszedł kawałek. Ash powoli ruszył za nim.

Zatrzymali się i stanęli pod bladym porannym słońcem.

- Nie możesz tego zrobić - oświadczył Baracha.

- Jednak muszę.

- Mów jasno, stary głupcze. Chcesz się zemścić za chłopaka. Chcesz tam wrócić i zabić samą matronę.

Ash nie zaprzeczył.

Baracha mówił cicho, ale z mocą:

- A jaki przykład dasz takim działaniem? Nasz najstarszy Rōshun szuka osobistej zemsty?

- To sprawiedliwości szukam. Chłopak zasługuje przynajmniej na tyle.

Baracha parsknął.

- Bawisz się w słówka. Jeśli tego dokonasz, złamiesz kodeks, według którego żyjemy.

Mówisz teraz o osobistej wendecie, a to przeczy wszystkiemu, w co wierzą Rōshuni. Nawet ja potrafię to zrozumieć.

- A zatem nie jestem już Rōshunem - odparł chłodno Ash. - I łamię tylko własny kodeks, nie zakonu.

Baracha chwycił go za ramię. Stary wędrowiec spojrzał na jego dłoń, a potem w rozgniewane oczy.

- Rōshun czy nie, jesteś przykładem dla nas wszystkich. Ale z rozpaczy zupełnie postradałeś rozum, i tyle. Nie jesteś sobą.

- Nie, nie jestem. Przez dwa tygodnie leżałem zły potem własnych koszmarów.

Wczoraj rano zbudziłem się i odkryłem, że te koszmary są rzeczywiste.

Sięgnął do ściskającej mu ramię dłoni i strącił ją bez wysiłku.

- Alhazii... Nic już nie wiem prócz tego, że nie potrafię żyć ze sobą ani sekundy dłużej, jeśli nie doprowadzę tej sprawy do końca.

Przez chwilę Baracha dygotał na granicy wściekłości. Zacisnął pięści, twarz mu pociemniała - jak zawsze, kiedy nie mógł postawić na swoim.

I całkiem niespodziewanie przypomniał sobie słowa błogosławionego proroka.

„Nie sądź nikogo po ścieżce, którą podąża. Jeśli nie przeszedłeś całej drogi i każdego kroku w tym samym kierunku, nie zdołasz powiedzieć innemu, dokąd zmierza i co zostawia za sobą”.

Baracha spojrzał w niebo, potem na ziemię, i wreszcie znowu na pomarszczonego wędrowca, załamane rozpaczą.

Wypuścił z płuc frustrację.

- Niech zatem błogosławi cię Zabrihim, stary głupcze - powiedział.

Wyciągnął rękę. Ash patrzył na nią przez chwilę, a potem ucisnął ją mocno.

Kręcąc głową, Baracha ruszył do łodzi.

- Baracho! - rzucił Ash.

Potężny mężczyzna się obejrzał. Ash wydobył z sakwy urnę z prochami, podszedł i wręczył ją tamtemu.

- Przechowaj, póki nie wrócę - rzekł. - A jeśli mi się nie uda, dopilnuj, żeby trafiła do jego matki. Aléas będzie wiedział, gdzie jej szukać.

Baracha kiwnął głową i z urną w ręku zeskoczył do łodzi. Marynarze odepchnęli ją od brzegu i naparli na wiosła.

Kiedy dziób łodzi przeciął fale, a słona woda z szumem popłynęła wzdłuż burt, Baracha obejrzał się jeszcze, siedząc na drewnianej ławeczce. Chciał może pożegnać Asha ostatnim salutem, bo wiedział, że pewnie nigdy już go nie zobaczy.

Ale starzec odwrócił się już w stronę miasta.

KONIEC

Tomu: I



# PODZIĘKOWANIA



Serdeczne podziękowania dla mojej agentki Louise Burns i redaktorki Julie Crisp.

Dla moich wczesnych czytelników Bena Foksa, Iana Chapmana i Arta Questera.

Dla całej ekipy FD, a zwłaszcza dla zawsze pomocnego Michaela Duffy'ego.

I dla Deborah, na pamiątkę dawnych czasów.